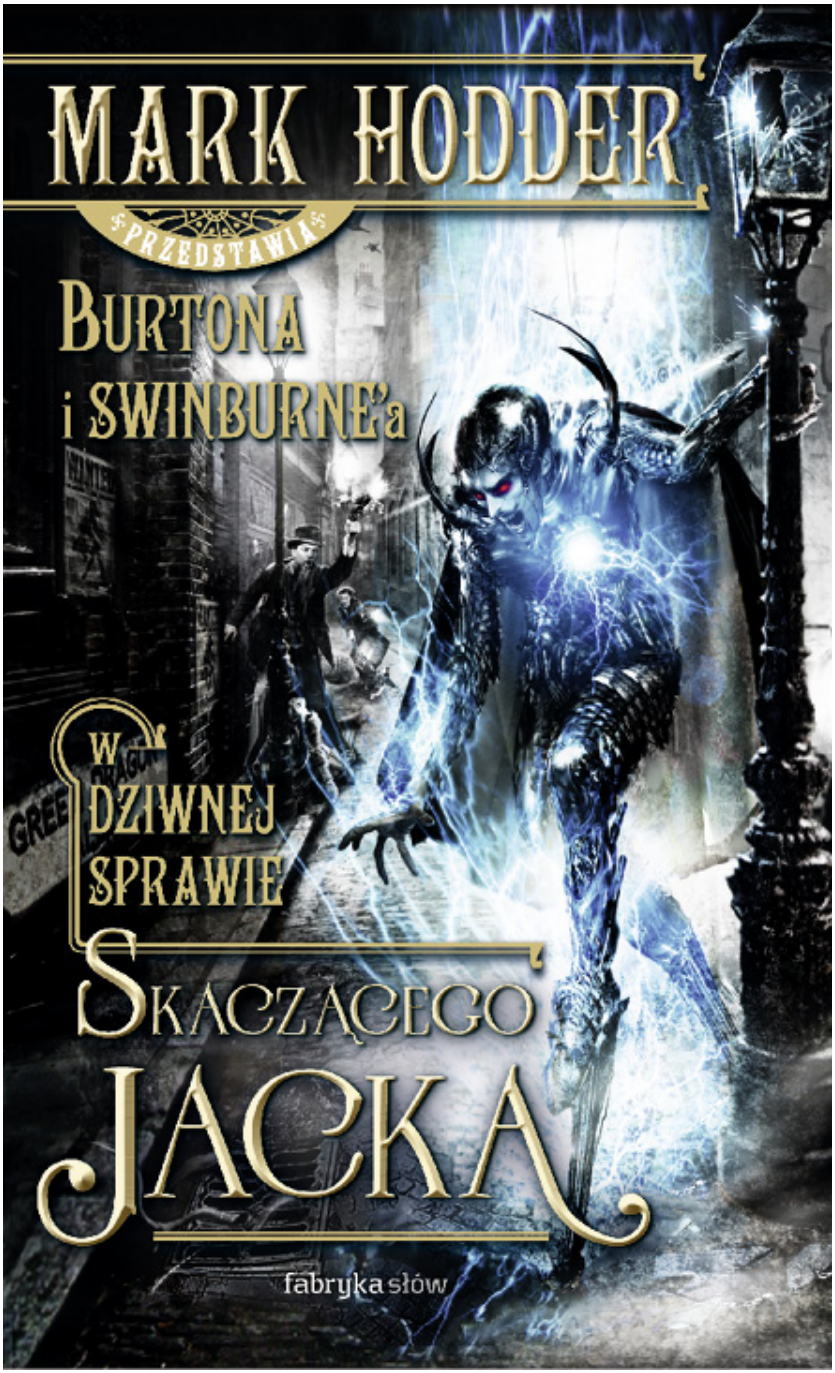
MARK HODDER
PRZEDSTAWIA
BURTONA
i SWINBURNE'a
W
DZIWNEJ
SPRAWIE
SKACZĄCEGO
JACKA
fabryka słów

MARK HODDER

PRZEDSTAWIA

BURTONA i SWINBURNE'a

W DZIWNEJ SPRAWIE SKACZĄCEGO JACKA

tłumaczenie
Krzysztof Sokołowski

fabryka słów

Lublin 2012

Burton & Swinburne:

1. Dziwna sprawa Skaczącego Jacka
2. Zdumiewająca sprawa Nakręcanego Człowieka
3. Wyprawa w Góry Księżycowe

Ojcu, Michaelowi Johnowi Hodderowi, poświęcam

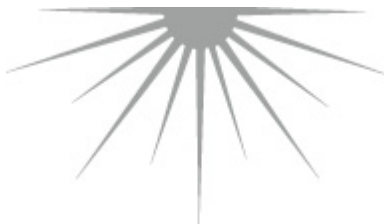

Zapraszam na porywającą, odświeżającą wyprawę do dziewiętnastowiecznej Anglii – krainy faktów i fikcji. Mark Hodder z całą pewnością wie, co robi. Zawdzięczamy mu steam operę najwyższej próby. W jego pierwszej powieści towarzyszymy angielskiemu badaczowi i poecie erotycznemu (oraz królewskiemu agentowi) sir Richardowi Francisowi Burtonowi, poecie i wielkiemu wyznawcy Markiza de Sade, Algernonowi Charlesowi Swinburne'owi oraz drużynie, w skład której wchodzą: Florence Nightingale, Charles Darwin, Francis Galton i Isambard Kingdom Brunel (raczej różni od naszych prawdziwych wiktoriańskich przodków), a także tajemniczy albinos Laurence Oliphant, w przygodzie dotykającej istoty samego czasu! Poznajemy Londyn wypełniony końmi parowymi i welocypedami, jego ulice, którymi przechadzają się wilkołaki oraz Skaczący Jack, gwiazda „Potworności za pensa", mogący okazać się kluczem do rozwiązania groźnej, mrocznej zagadki.

Szybka, skomplikowana akcja, świetnie skonstruowane postaci i pomysłowość, która nigdy nie zawodzi! Książka Hoddera ze strony na stronę staje się lepsza, prowadząc czytelnika ścieżkami wiodącymi ku niektórym z największych tajemnic wiktoriańskiego Londynu.

Tak dobrego debiutu nie czytałem od lat.

Michael Moorcock

*** Część pierwsza ***

W której wyznaczony zostaje agent i zaczynamy poznawać tajemnice

Znany błąd jest lepszy niż nieznana prawda.

przysłowie arabskie

*** Rozdział 1 ***

Po powrocie z Afryki

Każda kłoda, którą życie rzuca ci pod nogi, jest okazją.
Obojętnie, jak trudną.
Obojętnie, jak niepokojącą.
Obojętnie, jak nieodgadnioną.
Obojętnie, jak ją osądzasz.
To okazja.

propaganda libertyńska

Mój Boże! Popełnił samobójstwo!

Sir Richard Burton zachwiał się i bezwładnie opadł na krzesło. Przekazana mu przez Arthura Finlaya notatka opadła na podłogę. Obecni na sali odwracali się, zajmowali miejsca, w skupieniu przyglądali paznokciom; wszystko było lepsze od widoku pogrążonego w bólu kolegi.

Stojąca na progu formalnej szatni, zasłonięta przez przymknięte drzwi, Isabel Arundell widziała, jak zwykle ciemne, płonące oczy kochanka rozszerzają się w szoku, samym spojrzeniem dając dowód nagłej bezradności. Widziała, jak gwałtownie porusza wargami niczym ktoś próbujący przeżuć i przełknąć coś z gruntu niejadalnego. Jakże pragnęła podbiec, stanąć przy jego boku, pocieszyć go, zapytać, co zaszło, co go zraniło, wyrwać notatkę z jego rąk, przeczytać ją, dowiedzieć się, kto popełnił samobójstwo... Jednak w tym dobranym towarzystwie takie zachowanie byłoby niestosowne, by już nie wspomnieć i o tym, że Richard poczułby się zawstydzony. Jako prawdziwy mężczyzna zawsze stąpał twardo po ziemi i zawsze radził sobie sam. W każdej, nawet najgorszej sytuacji. Tylko Isabel wiedziała, jaki jest wrażliwy. Nie dopuści, by dowiedzieli się o tym inni.

Wielu, przede wszystkim ci nazywający go Bandziorem Dickiem, uważało jego surową męską urodę za manifestację wewnętrznego ja. Uważali za niemożliwe, by Dick kiedykolwiek stracił pewność siebie, choć gdyby tu teraz byli, gdyby go widzieli, tak bardzo wstrząśniętego, zapewne przeleciałaby im przez głowę myśl, że nie jest jednak diabłem, którym czynią go zawadiackie wąsy i rozdzielona na dwa pasma broda.

Doprawdy, trudno przebić się przez tak imponującą zewnętrzną powłokę.

Komitet zaledwie przed chwilą zebrał się przy stole, ale widząc malujące się na twarzy Burtona cierpienie, sir Roderick Murchison, przewodniczący Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, podjął decyzję.

– Wnoszę o chwilę przerwy...

Burton wstał. Podniósł rękę w geście protestu.

– Panowie, proszę... – wyszeptał ochryple – kontynuujmy spotkanie. Zaplanowaną na dziś dyskusję będziemy musieli oczywiście odwołać, lecz jeśli dacie mi pół godziny, zapewne zdążę uporządkować notatki i wygłosić krótki odczyt o dolinie Indusu. Powinien zadowolić zebranych.

– Bardzo to uprzejme z twojej strony, sir Richardzie – powiedział jeden z członków komitetu, sir James Alexander – lecz przecież spadł na ciebie straszliwy cios. Jeśli wolisz...

– Poproszę o trzydzieści minut na przygotowanie. Ci ludzie zapłacili za bilety.

– Doskonale. Dziękuję.

Burton odwrócił się, niepewnym krokiem podszedł do drzwi, przekroczył próg, zamknął je za sobą. Stanął twarzą w twarz z Isabel. Chwiał się lekko.

Miał pięć stóp i jedenaście cali wzrostu. Osobiście nie potrafił odżałować cala dzielącego go od równych sześciu stóp, choć szerokie ramiona, wypukła pierś, szczupła, lecz muskularna sylwetka i nieukrywana charyzma w oczach nowo poznanych ludzi czyniły z niego giganta, nawet w porównaniu ze znacznie wyższymi mężczyznami. Krótkie, ciemne włosy zaczesywał do tyłu. Smagła, ogorzała twarz o regularnych rysach upodabniała go do Araba, a podobieństwo to dodatkowo podkreślały ostre kości policzkowe, obie zniekształcone bliznami. Ta po prawej była niewielka, ale ta po lewej, długa, głęboka, szarpana, sięgała niemal dolnej powieki. Tak wyglądały rany wlotowa i wylotowa, pamiątki somalijskiej włóczni. Przebiła mu twarz na wylot podczas nieszczęsnej wyprawy do Berbery w Rogu Afryki[1].

1 Inna nazwa Półwyspu Somalijskiego (przyp. tłum.).

Dla Isabel blizny te świadczyły o duchu awanturniczym i nieustraszonym. Burton był jej mężczyzną idealnym, szalonym, namiętnym, romantycznym, różniącym się pod każdym względem od statecznych, chłodnych figur zaludniających świat londyńskich wyższych sfer. Rodzice uważali go za nieodpowiedniego, ale Isabel wiedziała, że dla niej nie istnieje nikt inny.

Zrobił jeden chwiejny krok i padł jej w ramiona.

– Co tak tobą wstrząsnęło, Dick? – westchnęła dziewczyna, kładąc mu dłonie na ramionach. – Co się stało?

– John się postrzelił.

– Nie! Czy żyje?

Burton cofnął się, otarł oczy rękawem.

– Jeszcze żyje. Ale strzelił sobie w głowę. Isabel, mam odczyt do przygotowania. Wolno mi oczekiwać, że dowiesz się, dokąd go zabrali? Muszę się z nim zobaczyć. Muszę doprowadzić do pokoju między nim a...

– Oczywiście, kochany. Oczywiście. Niezwłocznie spróbuję się czegoś dowiedzieć. Ale... czy rzeczywiście musisz przemawiać? Nikt nie miałby ci za złe, gdybyś zrezygnował.

– A jednak wystąpię. Spotkamy się później, w hotelu.

– Doskonale.

Pocałowała go w policzek i odeszła. Przeszła kilka kroków po eleganckiej, marmurowej posadzce korytarza, obejrzała się jeszcze raz i znikła za drzwiami audytorium. Otworzyła je tylko na krótką chwilę, lecz Burton usłyszał dobiegające z sali pomruki niezadowolenia, a nawet buczenie. Publiczność czekała zbyt długo. Czuła krew. Pragnęła zobaczyć, jak upokarza i poniża człowieka, będącego mu niegdyś bratem: Johna Hanninga Speke'a.

– Zapowiem pana – odezwał się cichy głos za jego plecami. Odwrócił się. Murchison opuścił swych kolegów z komitetu, a teraz stał tuż za nim. Na czole przewodniczącego perlił się pot. Jego i tak wąska twarz wydawała się mizerniejsza niż zazwyczaj, była też bardzo blada.

– Czy to... czy to moja wina, sir Rodericku? – spytał Burton cichym, schrypniętym głosem.

Murchison zmarszczył brwi.

– Czy to twoja wina, że stosujesz rygorystyczne kryteria, a John Speke przedstawił Towarzystwu obliczenia, z których wynika, że na długości dziewięćdziesięciu mil Nil płynie pod górę? Czy to twoja wina, że jesteś erudytą i doświadczonym dyskutantem, a John Speke nie potrafi sklecić jednego zdania? Czy to twoja wina, że szelmy umiały zmanipulować go i obrócić przeciwko tobie? Nie, Richardzie, to nie twoja wina.

Burton zastanawiał się przez chwilę.

– Tak o nim mówisz – przerwał milczenie – lecz przecież to jego poparłeś. Sfinansowałeś mu drugą ekspedycję, a mnie odmówiłeś pomocy.

– Ponieważ ma rację. Mimo niedokładnych pomiarów, mimo iż tylko przypuszcza, bawi się w zgadywanki, komitet uważa za bardzo prawdopodobne, że Nil rzeczywiście wypływa z odkrytego przez niego jeziora. Prosta prawda, Richardzie, wygląda tak: jemu się udało, a tobie, bardzo mi z tego powodu przykro, nie. Nigdy nie lubiłem tego człowieka, niech Bóg ma w opiece jego biedną duszę, ale szczęście sprzyjało jemu, nie tobie.

Murchison zmuszony był odsunąć się na bok, bowiem członkowie komitetu wychodzili właśnie rzędem z formalnej szatni i szli korytarzem do sali wykładowej.

– Bardzo mi przykro, Richardzie. Muszę już iść – z tymi słowy dołączył do towarzystwa.

– Zaczekaj! – Burton poszedł za nim. – Powinienem być z wami.

– To nie jest konieczne.

– Jest.

– Dobrze. A więc chodź.

Znaleźli się w zatłoczonym audytorium. Weszli na scenę przy kpiących wiwatach tłumu. Za mównicą stał pułkownik William Sykes, mający prowadzić debatę. Sprawiając wrażenie niezbyt szczęśliwego, próbował jakoś uciszyć co hałaśliwszych spośród chmary słuchaczy, przede wszystkim dziennikarzy – na czele z wyróżniającym się z gromady tajemniczym młodym Amerykaninem, Henrym Mortonem Stanleyem – robiących wszystko, by nadać wydarzeniu rangę skandalu wartego opisania. Za nim siedział doktor Livingstone, najwyraźniej wściekły. Clement Markham, również obecny na scenie, nerwowo obgryzał paznokcie. Burton opadł na krzesło obok niego, wyjął z kieszeni mały notatnik oraz ołówek i zaczął pisać.

Swe miejsca zajęli sir James Alexander, Arthur Finlay i inni geografowie. Tłum pohukiwał i kpił.

– No, wreszcie! Zabłądziliście? – spytał jakiś dowcipniś. Jego błazeństwo powitał ryk zachwytu.

Murchison powiedział coś Sykesowi do ucha. Pułkownik skinął głową, cofnął się i usiadł.

Przewodniczący podszedł do mównicy, zastukał w nią kostkami palców. Kamiennym spojrzeniem zmierzył obrócone ku niemu twarze. Odczekał, aż zapadła cisza, z rzadka przerywana nerwowym pokasływaniem.

– Spotkanie uległo opóźnieniu, za co jestem winien przeprosiny – przemówił sir Roderick Murchison. – Lecz gdy wyjawię przyczynę, jestem pewien, że zostanie nam to wybaczone. Wszystkimi... członkami komitetu... wstrząsnęła wieść o wielkim nieszczęściu... – Przerwał, odchrząknął, odzyskał panowanie nad sobą. – Nieszczęściu, które spotkało porucznika Speke'a. Z głębokim żalem informuję, że nieszczęście to z pewnością pozbawi porucznika życia.

Rozległy się okrzyki żalu i konsternacji. Murchison wyciągnął rękę.

– Proszę! Bardzo proszę!

Audytorium cichło powoli.

– W tej chwili wiemy tylko to, co brat porucznika Speke'a napisał w liście dostarczonym nam niedawno przez posłańca. Wczoraj wieczorem porucznik dołączył do polowania w posiadłości Fullera niedaleko Neston Park. O godzinie czwartej po południu, gdy przechodził przez murek ogradzający pole, jego strzelba wypaliła, poważnie raniąc go w głowę.

– Zastrzelił się?! – krzyknął ktoś zajmujący miejsce w głębi sali.

– Czy zastrzelił się celowo?

– Nic o tym nie świadczy.

– Kapitanie Burton! – Był to inny, lecz równie donośny głos. – Czy to pan pociągnął za spust?

– Jak pan śmie! – Murchinson także podniósł głos. – Cóż za niesprawiedliwe oskarżenie. Nie dopuszczę...

Posypały się pytania, większość z nich skierowana do Burtona.

Słynny badacz wyrwał kartkę z notatnika. Podał ją Clementowi Markhamowi, pochylił się i wyszeptał mu coś do ucha. Markham zerknął na notatkę, wstał, podszedł do Murchisona, powiedział coś cicho. Murchison skinął głową.

– Panie i panowie – oznajmił – przybyliście do siedziby Zgromadzenia Ogólnego Bath, by wysłuchać dyskusji kapitana sir Richarda Burtona i porucznika Speke'a dotyczącej kwestii źródeł Nilu. Oczywiście rozumiem, że chcecie, by sir Richard wypowiedział się na temat owego strasznego wypadku, którego ofiarą padł jego kolega, ale rozumiecie przecież, że wypadek ten wstrząsnął nim i że w tej chwili nie ma ochoty rozmawiać na ten temat. Jednakże przygotował krótkie oświadczenie, które odczyta państwu pan Clement Markham.

Zszedł z mównicy. Jego miejsce zajął Markham. Zaczął czytać równym, cichym głosem:

– „Mężczyzna, którego nazywałem bratem, został bardzo ciężko ranny. Po jego powrocie z Afryki podzieliły nas powszechnie znane różnice opinii. Czuję się tym bardziej zobowiązany do publicznego wyrażenia mojego szczerego podziwu dla jego siły charakteru i żądzy przygód oraz wstrząsu spowodowanego tym, co go spotkało. Jakiejkolwiek wiary jesteście, proszę, byście się za niego modlili".

Markham wrócił na miejsce. Na sali panowała absolutna cisza.

– Ogłaszam trzydziestominutową przerwę – oznajmił Murchison. – Następnie sir Richard wygłosi odczyt o dolinie Indusu. Jednocześnie ośmielam się zwrócić do państwa z ogromną prośbą o zachowanie cierpliwości, podczas gdy my dokonamy zmian w porządku dnia. Dziękuję.

Wyprowadził z sali małą grupkę badaczy i geografów. Przez chwilę cicho rozmawiał z Burtonem, po czym skierował się z powrotem do formalnej szatni.

Sir Richard Francis Burton, niezdolny myśleć, z mocno bijącym sercem, poszedł w przeciwnym kierunku. Wszedł do jednej z sal bibliotecznych, pustej – Bogu niech będą dzięki. Zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie i zapłakał.

– Proszę o wybaczenie. Nie jestem w stanie kontynuować.

Słowa te zostały wypowiedziane niemal niesłyszalnym szeptem.

Przemawiał przez dwadzieścia minut, nie wiedząc, co mówi. Cichym drżącym głosem odczytywał fragmenty swego dziennika. Mówił coraz wolniej, aż wreszcie przerwał w pół zdania. Podniósł wzrok. Setka par oczu wpatrywała się w niego, a w każdej z nich malowała się wielka litość.

Odetchnął głęboko.

– Proszę o wybaczenie – powtórzył głośniej. – Dziś debata się nie odbędzie.

Odwrócił się plecami do zebranych, nie słuchał wykrzykiwanych pytań i grzecznych braw. Zszedł z podwyższenia. Przecisnął się między Finlayem i Livingstone’em i prawie wybiegł do westybulu. Poprosił szatniarza o płaszcz, cylinder i laskę, odebrał je, przemknął do drzwi, zszedł po schodach na ulicę.

Niedawno minęło południe. Po niebie płynęły ciężkie chmury; okres ładnej pogody kończył się, temperatura spadała.

Machnięciem ręki zatrzymał dorożkę.

– Dokąd? – spytał dorożkarz.

– Royal Hotel.

– Doskonale. Wskakuj pan.

Burton usiadł na drewnianej ławce. Na podłodze walały się niedopałki cygar. Drewniane koła hałaśliwie potoczyły się po bruku, ale on, odrętwiały, nie zwracał jednak uwagi ani na to, ani na otoczenie. Próbował przypomnieć sobie Speke’a z przeszłości, z czasów gdy młody porucznik był cenionym towarzyszem, a nie zgorzkniałym przeciwnikiem, lecz pamięć zbuntowała się i podsunęła mu wspomnienie sprzed sześciu lat. Wspomnienie wydarzenia, które legło u korzeni ich wrogości: ataku w Berberze.

Berbera, wysunięty najbardziej na zachód przylądek Afryki, 19 kwietnia 1855 roku. Przez kilka ostatnich dni na horyzoncie zbierały się już burzowe chmury. Powietrze było ciężkie, wilgotne.

Wyprawa porucznika Burtona rozbiła obóz na skalistej grani, jakieś trzy czwarte mili

od miasta, niedaleko plaży. Namiot porucznika Stroyana stał dwanaście jardów od wąskiego namiociku na dwóch słupkach typu *rowtie*, który Burton dzielił z porucznikiem Herne'em. Porucznik Speke miał swój w podobnej odległości, ale po przeciwnej stronie, oddzielony od reszty stosem zapasów i wyposażenia ekspedycji, otulonym brezentową płachtą. Nieco dalej stało pięćdziesiąt sześć spętanych wielbłądów, pięć koni i dwa muły. Oprócz czterech Anglików w wyprawie uczestniczyło jeszcze trzydziestu ośmiu mężczyzn: abbanów – przewodników, strażników, służących i poganiaczy wielbłądów. Wszyscy byli uzbrojeni.

Monsun nadciągał wielkimi krokami, więc w ostatnim tygodniu Berbera niemal całkowicie się wyludniła. Do ostatniej chwili zwlekała jedna arabska karawana, ale Burton odmówił udzielenia jej ochrony, wybierając oczekiwanie na statek dostawczy, który lada chwila miał przypłynąć z Adenu, więc w końcu i Arabowie odeszli.

Nastała cisza i spokój.

Zbliżała się noc. Burton wyznaczył trzech dodatkowych wartowników, bowiem somalijskie plemiona z wybrzeża od kilku dni groziły atakiem. Ich członkowie obawiali się, że Brytyjczycy albo położą kres lukratywnemu handlowi niewolnikami, albo przejmą niewielką miejscową faktorię.

O wpół do trzeciej nad ranem Burtona obudziły krzyki i strzały. Otworzył oczy. Przez płócienny dach namiotu widział drżące, pomarańczowe światło.

Usiadł.

Do środka wpadł El Balyuz, główny abban.

– Atakują! – krzyknął. Na jego twarzy gościła niepewność, jakby nie potrafił uwierzyć we własne słowa. – Twoja broń, *effendi*. – Podał Burtonowi pistolet.

Badacz odrzucił koc, wstał. Położył pistolet na stoliku na mapy, wciągnął spodnie, przerzucił szelki przez ramiona, chwycił broń.

– Tylko udają, łotry. – Uśmiechnął się do Herne'a, który, także przebudzony, ubrał się pospiesznie i chwycił colta. – Chcą się pokazać, ale nie wolno dopuścić, żeby stali się zbyt pewni siebie. Wyjdź od tyłu, z przeciwnej strony niż ognisko. Spróbuj ocenić ich siły. Jeśli uznasz to za konieczne, strzel im parę razy nad głowami. Zaraz, dranie, dadzą nam święty spokój.

– Święta racja. – Porucznik prześlizgnął się pod płótnem *rowtie* i znikł.

Burton sprawdził swój rewolwer.

– Na litość boską, Balyuz, po co mi nienaładowana broń? Daj szablę.

Schował colta za pas spodni, chwycił podaną przez Araba szablę.

– Speke! – krzyknął. – Stroyan!

Niemal w tej samej chwili uchyliła się klapa namiotu. Do środka wpadł Speke – wysoki, chudy, blady mężczyzna o wodnistych oczach, jasnych kasztanowatych włosach i długiej, gęstej brodzie. Zazwyczaj spokojny, sprawiający nawet wrażenie zakłopotanego, w tej chwili oczy miał wręcz dzikie.

– Zawalili mi namiot na głowę! Omal nie oberwałem! Dojdzie do walki?

– Powinniśmy jednak założyć, że tak. – Burton przyznał wreszcie sam przed sobą, że sytuacja może być poważniejsza, niż to początkowo zakładał. – Bądź czujny i uzbrój się do obrony obozu.

Przez kilka chwil obaj czekali, nasłuchując dobiegających z zewnątrz odgłosów bieganiny.

Za plecami usłyszeli głos Herne'a, który wrócił z rekonesansu.

– Dużo ich, łotrów. Tylu, że nasi strażnicy, zaskoczeni, wzięli nogi za pas. Oddałem kilka strzałów w tłum, ale prawie od razu zaplątałem się w linki namiotowe. Duży Somalijczyk zamachnął się na mnie cholernie wielką pałą. Wsadziłem mu kulę, sukinsynowi. Stroyan jest albo nieprzytomny, albo załatwiony na amen. Nie wiem, nie mogłem się do niego zbliżyć.

Coś uderzyło w płótno namiotu, raz, potem drugi. I następny, pojedyncze uderzenia zlały się w ciągły werbel z towarzyszeniem bojowych okrzyków. Atakował ich, rzec można, rój szerszeni. Przez otwarte wejście poleciały oszczepy, sztylety cięły płótno.

– *Bismillah*! – zakrzyknął z pasją Burton, jakby to było przekleństwo. – Musimy wywalczyć sobie drogę do zapasów, tam jest więcej broni. Herne, do słupka z tyłu przywiązane są włócznie. Przynieś je.

– Tak jest! – Porucznik pobiegł na tył namiotu, ale wrócił jeszcze szybciej, krzycząc: – Przecinają płótno!

Burton zaklął jeszcze raz, znacznie gorzej.

– Jeśli ta przeklęta konstrukcja zwali się nam na głowy, mają nas. Jesteśmy ugotowani. Chodźcie! Wynośmy się stąd! Teraz!

Odsunął płócienną klapę. Wyskoczył w ciemność... i stanął twarzą w twarz z mniej więcej dwudziestoma krajowcami, Somalijczykami. Inni biegali po obozie, kradli wielbłądy, plądrowali zapasy. Krzyknął, przyskoczył do napastników, zaatakował.

Czy to porucznik Stroyan leżał tam, w plamie cienia? Nie sposób było powiedzieć na pewno. Burton torował sobie drogę szablą, krzywiąc się przeraźliwie, bo pałki i włócznie sięgały jego ciała, czuł płynącą z ran krew.

Obejrzał się, by sprawdzić, jak radzą sobie inni. Speke cofnął się do namiotu; usta miał otwarte, w oczach panikę.

– Ani kroku wstecz! – wrzasnął. – Pomyślą, że uciekamy!

Speke spojrzał na niego przerażonym wzrokiem i tak, w ogniu bitwy, ich przyjaźń dobiegła kresu, bowiem John Hanning Speke zrozumiał, że nie może już dłużej ukrywać tchórzostwa.

Pałka trafiła Burtona w ramię, rozpraszając jego uwagę; odwrócił się, wzniósł szablę do uderzenia. Popchnięto go, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Ktoś szarpnął go do tyłu, więc wykonał błyskawiczny zwrot, jednocześnie wznosząc ostrze. W ostatniej chwili rozpoznał El Balyuza.

Zamarł z uniesioną ręką.

Głowa wybuchła mu nagłym, strasznym bólem.

Jakiś ciężar przechylił go na bok. Burton padł na kamienistą ziemię.

Oszołomiony, sięgnął do twarzy. Oszczep przeszedł przez nią na wylot. Ostrze wyposażone w zadziory wniknęło przez lewy policzek i wyszło prawym, wybijając część trzonowych zębów, przecinając język i krusząc podniebienie.

Z wielkim wysiłkiem próbował zachować przytomność.

Poczuł, że ktoś wyciąga go z pola walki.

Zemdlał.

Przed namiotem Speke, doprowadzony do furii nieoczekiwanym ujawnieniem wstydliwej

cechy swego charakteru, wkroczył do boju, uniósł rewolwer Dean and Adams, przyłożył lufę do piersi Somalijczyka, który pokonał jego przyjaciela i ściągnął spust.

Broń się zacięła.

– O do diabła! – zaklął.

Dzikus, prawdziwy, potężnie zbudowany wojownik, spojrzał na niego z góry, uśmiechnął się i uderzył go w serce. Speke upadł na kolana, walcząc o oddech. Somalijczyk pochylił się, chwycił go za włosy, jedną ręką odchylił mu głowę, a drugą wsunął między jego nogi. Przez jedną straszną chwilę Anglik był pewien, że zamierza pozbawić go męskości, ale nie, on tylko szukał ukrytych arabskim sposobem sztyletów.

Speke'a rzucono na plecy. Błyskawicznie skrępowano mu ręce, zaciskając więzy okrutnie mocno, po czym, brutalnie poderwany na równe nogi, wyprowadzony został z obozu, plądrowanego teraz i niszczonego.

Porucznik Burton oprzytomniał ciągnięty przez El Balyuza na plażę. Czuł się na tyle dobrze, że zdołał zatrzymać swego zbawcę i polecić mu gestami i wypisanymi na spłachetku piasku słowami by przyprowadził łódkę, którą grupa badaczy wyciągnęła na brzeg w porcie, do ujścia pobliskiego strumienia.

El Balyuz skinął głową i pobiegł spełnić rozkaz.

Burton leżał na wznak, wpatrzony w Mleczną Drogę. Myślał: „Chcę żyć!".

Minęła minuta, może więcej, ale niewiele. Podniósł dłoń do twarzy, dotknął karbowanego ostrza oszczepu. Był tylko jeden sposób usunięcia go z rany: przesunięcie drzewca przez oba policzki i usta. Chwycił je, pchnął i znów stracił przytomność.

Noc mijała powoli. Zwycięzcy nieprzerwanie drwili z Johna Speke'a, obrażali go, opluwali. Wymachiwali szablami zaledwie cale od jego twarzy. Speke znosił to, stojąc nieruchomo z przymkniętymi oczami i zaciśniętymi ustami. Spodziewał się śmierci, myślał tylko o tym, jak Burton przedstawi ten incydent w swym raporcie.

„Ani kroku wstecz! Pomyślą, że uciekamy".

Te słowa bolały. Jeśli zostaną zapisane w tym brzmieniu, pomniejszą go jako człowieka. Niech diabli wezmą aroganckiego szubrawca!

Jeden z Somalijczyków od niechcenia przebił mu włócznią bok. Speke krzyknął z bólu. Drugi cios, wymierzony w ramię, rzucił go na ziemię. Porucznik padł na wznak.

„To już koniec" – pomyślał.

Z trudem dźwignął się na nogi. Związanymi dłońmi sparował uderzenie wymierzone w serce. Ostrze rozdarło mu wierzch jednej z nich, przy palcach, aż do kości.

Napastnik odstąpił o krok. Speke wyprostował się, spojrzał mu w oczy.

– Idź do diabła – powiedział. – Nie umrę na kolanach.

Somalijczyk przyskoczył, znów uderzył włócznią, tym razem w lewe udo. Porucznik czuł, jak ostrze ociera mu się o kość.

– Do diabła – wychrypiał w szoku, instynktownie chwytając za drzewce. Walczył z

Afrykaninem o broń, on chciał ją wyrwać, jego przeciwnik – odzyskać. Somalijczyk puścił włócznię i lewą ręką sięgnął za pas po tkwiący tam kij. Uderzył Speke'a w prawe ramię. Rozległ się przerażający trzask. Anglik padł na kolana, jęcząc w strasznym bólu.

Somalijczyk oddalił się od niego o kilka kroków, zawrócił, pobiegł. Przebił przeciwnikowi prawe udo. Na wylot, ostrze włóczni utkwiło w ziemi.

Speke krzyknął przeraźliwie. Instynkt zwyciężył świadomość.

Mózg miał przedziwnie oderwany od ciała. Obserwował własne dłonie wyrywające włócznię z ziemi i z rany, odrzucające ją na bok. Bardziej zatoczył się, niż zaatakował przeciwnika. Związanymi dłońmi trafił go prosto w twarz. Wojownik zachwiał się, uniósł ręce. Krew tryskała mu z nosa.

Speke zaczął uciekać, na pół idąc, na pół podskakując. Jego obojętny mózg podsuwał mu pytanie, jakim cudem nadal trzyma się na nogach, przecież jest ciężko ranny. „Dlaczego nie czuję bólu?" – zadawał sobie pytanie nieświadomy, że ciało mu płonie cierpieniem.

Kuśtykał, bosy, po ostrych kamieniach. Zszedł zboczem wzgórza na niemal równie kamienistą plażę. Jakimś cudem udało mu się pobiec, powiewając ocalałymi resztkami ubrania. Somalijczyk podniósł włócznię, podbiegł, rzucił nią, lecz nie trafił. Zrezygnował z pogoni. Jego krajanie próbowali dopędzić Anglika, ale udało mu się tego uniknąć. Nadal biegł. Dystans między nim a pościgiem zaczął się powiększać, a gdy Speke przekonał się, że Somalijczycy zaniechali pościgu, padł na kamienie i zaczął przegryzać więzy na rękach. Osłabł z szoku i upływu krwi, lecz wiedział, że musi znaleźć towarzyszy, więc ze wschodem słońca poszedł przed siebie i szedł tak, póki nie dotarł do Berbery. Tam znalazła go grupa poszukiwawcza prowadzona przez porucznika Herne'a. Zaniesiono go do czekającej przy ujściu strumyka łodzi. Przebiegł trzy mile. W jego ciele naliczono jedenaście ran, w tym dwie uszkadzające wielkie mięśnie ud.

Posadzono go w łodzi. Podniósł głowę, spojrzał na człowieka siedzącego naprzeciw niego. Człowiekiem tym był Burton. Twarz miał obandażowaną, na białym lnie, na wysokości policzków, widać było dwie czerwone plamy.

Ich oczy się spotkały.

– Nie jestem cholernym tchórzem – wyszeptał Speke.

Bitwa ta powinna uczynić ich braćmi. Obaj zachowywali się tak, jakby ich nimi uczyniła. Niespełna dwa lata później wyruszyli wspólnie na jedną z największych wypraw badawczych w historii Wielkiej Brytanii: najeżoną niebezpieczeństwami, wiodącą do Afryki Środkowej, podjętą w celu znalezienia źródeł Nilu. Ramię przy ramieniu znosili warunki życia nie do zniesienia, deptali ziemię, na której nie postała wcześniej stopa białego człowieka, docierali do granicy, za którą rozciągało się królestwo śmierci. Infekcja czasowo sparaliżowała i oślepiła Burtona, Speke na zawsze stracił słuch w jednym uchu, gdy próbował scyzorykiem wyciągnąć z niego owada. Obaj odcierpieli malarię, dyzenterię i obezwładniające wrzody.

Szli naprzód.

A w Speke'u uraza aż wrzała.

Speke stworzył własną historię bitwy pod Berberą, wycinając z niej najważniejszy

element: oto ciśnięty przez atakujących kamień trafił go w kolano, powodując, że cofnął się o krok bliżej *rowtie*. Burton obejrzał się dokładnie w tej chwili, widział kamień odbijający się od kolana Speke'a, doskonale rozumiał jego instynktowną reakcję. Ani na chwilę nie zwątpił w odwagę towarzysza, co dla Speke'a nie było żadną tajemnicą. Po prostu wolał o tym fakcie zapomnieć. Wiedział już, że historia jest tym, czym ją uczynisz.

Dotarli do krainy jezior. Burton zbadał jedno z nich, leżące na południe od Gór Księżycowych – wielkie, nazywane przez miejscowe szczepy Tanganyika. Zgromadzone przez niego dane geograficzne wydawały się sugerować, że być może wypływa z niego Nil, choć on sam, ciężko chory, nie był w stanie osobiście zbadać najbardziej na północ wysuniętego brzegu, a to tam winna narodzić się wielka rzeka.

Speke, pozostawiwszy „brata" w szponach wywołanego gorączką delirium, powędrował w kierunku północno-wschodnim. Trafił na brzeg ogromnego jeziora, które z imperialnym rozmachem nazwał imieniem brytyjskiego władcy, choć plemiona tu zamieszkujące nadały mu już własną nazwę – Nyanza. Próbował je okrążyć, stracił z oczu, powrócił nad wodę dalej na północy... a może były to już inne wody...? Dokonał częściowych, nieudolnych pomiarów, a po powrocie poinformował Burtona, dowódcę wyprawy, że samodzielnie, bez cienia wątpliwości, odkrył źródła Nilu.

Odzyskawszy zdrowie na tyle przynajmniej, by móc ruszyć w drogę, po długiej wędrówce badacze powrócili do Zanzibaru. Burton popadł tam w skrajne przygnębienie, obwiniając się o to, że zebrane materiały, oceniane według jego najwyższych standardów, nie były jednoznaczne i decydujące. John Speke, nie przywiązujący wielkiego znaczenia do dowodów naukowych, niemający aż takich skrupułów, mniej zdyscyplinowany, wrócił do Anglii przed Burtonem. Po drodze uległ wpływom mężczyzny, nazwiskiem Laurence Oliphant, arcyintryganta, człowieka niezwykle wścibskiego, pozera trzymającego panterę śnieżną jako domowe zwierzę. Oliphant umiejętnie podsycał jego urazy, aż przekształciły się w autentyczną złą wolę, po czym skusił go do zagarnięcia całej chwały dla siebie. Nie miało znaczenia, że była to wyprawa tego drugiego, on, Speke, rozwiązał największą geograficzną zagadkę wieku!

Jego ostatnie wypowiedziane do Burtona słowa brzmiały: „Do zobaczenia, przyjacielu. Możesz być pewien, że nie skontaktuję się z Królewskim Towarzystwem Geograficznym, nim nie przybędziesz, by zająć godne ciebie miejsce, i nie wystąpimy razem. O to możesz się nie martwić".

Wprost po zejściu z pokładu statku w Anglii Speke udał się do Towarzystwa Geograficznego. Oznajmił sir Roderickowi Murchisonowi, że tajemnica Nilu przestała być tajemnicą.

Członkowie Towarzystwa podzielili się w opiniach. Część wspierała Burtona, część Speke'a. Intryganci dopilnowali, by to, co powinno być dyskusją naukową, zdegenerowało się do osobistej waśni, choć Burton, odzyskujący wówczas zdrowie w Adenie, niemal nie był świadomy tego, co się dzieje.

Łatwo poddający się wpływom Speke stał się przesadnie pewny siebie. Zaczął krytykować charakter Burtona; niebezpieczny ruch człowieka wierzącego, że przeciwnik był świadkiem jego tchórzostwa.

Do Burtona dotarła informacja, że ma otrzymać tytuł szlachecki, więc powinien wrócić do Anglii. Zastosował się do otrzymanej rady. Wyszedł na brzeg po to, by znaleźć się w oku cyklonu. Przedstawiciel rzadko ukazującego się publicznie władcy położył mu ostrze miecza na ramionach, nazwał sir Richardem Francisem Burtonem, a sławny badacz

myślał wówczas o Johnie Speke'u. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego zachowuje się w ten sposób, dlaczego jest tak agresywny. Przez kilka następnych tygodni tylko się bronił, nie ulegał pokusie zemsty.

Życie bywa kapryśne, nie zawsze zwycięża ten, kto ma rację.

Jednocześnie stopniowo stawało się jasne, że porucznik Speke zgadywał wprawdzie, lecz miał szczęście: najprawdopodobniej to właśnie Nyanza była źródłem Nilu.

Murchison wiedział, czego Burton nie omieszkał mu wytknąć, że obserwacje i obliczenia Speke'a są niedokładne, a w dodatku pełne prostych błędów. Można je wręcz było nazwać amatorskimi, nie do przyjęcia w świecie nauki. Mimo to było w nich ziarno potencjalnej prawdy. To wystarczyło. Stowarzyszenie sfinansowało drugą ekspedycję.

John Speke wrócił do Afryki, tym razem w towarzystwie młodego, lojalnego, wolnego od uprzedzeń żołnierza, Jamesa Granta. Zbadał Nyanzę, nie zdołał jej okrążyć, nie znalazł miejsca, z którego miał wypływać Nil, nie wykonał dokładnych pomiarów, a do Anglii przypłynął zbrojny wyłącznie w hipotezy, które Burton obalał jedną po drugiej z właściwą sobie żelazną logiką.

Starcie twarzą w twarz wydawało się nieuniknione.

Organizację debaty wziął na siebie zachwycony obrotem spraw Oliphant, który zdołał tymczasem tajemniczo zniknąć z ludzkich oczu; plotki głosiły, że ukrył się w jaskini opium. Ale nie przestał pociągać za sznurki niczym niewidzialny lalkarz. To on wybrał miejsce spotkania, siedzibę Zgromadzenia Ogólnego Bath i czas, 16 września 1861 roku. Sprowokował Burtona do udziału w nim, oznajmiając publicznie, że Speke powiedział: „Jeśli Burton nie wejdzie na mównicę w Bath, to go skopię".

Burton dał się sprowokować.

– To załatwia sprawę. Na Boga, powinien mnie skopać.

Dorożka zatrzymała się przed Royal Hotel, Burton wrócił myślami z krainy przeszłości. Wysiadł, przysięgając sobie jedno: pewnego dnia Laurence Oliphant zapłaci za to, do czego doprowadził.

Wszedł do hotelu. Recepcjonista zasygnalizował, że czeka na niego wiadomość.

Od Isabel. Przeczytał ją natychmiast.

„Johna zabrano do Londynu. Jadę do Fullerów dowiedzieć się, gdzie dokładnie".

Burton zacisnął zęby. Głupia kobieta! Naprawdę sądzi, że rodzina Speke'a powita ją z otwartymi ramionami? Że radośnie poinformuje o jego stanie i miejscu pobytu? Bardzo kochał Isabel, owszem, ale jej niecierpliwość, połączona z zadziwiającą niedelikatnością, niezmiennie doprowadzała go do szału. Była jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany, zmierzający do celu najprostszą drogą, lekceważący wszystkie zagradzające ją przeszkody. Wszystko, co robiła, uważała za dobre zawsze, bez względu na to, co mogli sobie pomyśleć inni.

Odpowiedział krótko i zwięźle:

„Wyjeżdżam do Londynu. Spakuj się, zapłać, jedź za mną".

Wręczył kartkę recepcjoniście.

– Proszę przekazać wiadomość pannie Arundell, gdy tylko wróci. Macie rozkład Bradshawa?

– Kolej tradycyjna czy atmosferyczna, proszę pana?

– Atmosferyczna.

– Tak jest.

Wręczono mu rozkład jazdy. Najbliższy pociąg atmosferyczny odjeżdżał za pięćdziesiąt minut. Miał akurat tyle czasu, by wrzucić do walizki to, co najpotrzebniejsze, i pojechać na stację.

*** Rozdział 2 ***

Coś w ciemnej alejce

> Eugenicy zaczęli nazywać swe brudne eksperymenty „genetyką”, od starogreckiego słowa genesis oznaczającego pochodzenie. To reakcja na prace Gregora Mendla, zakonnika augustianina, kapłana. Kapłana! Czyż można sobie wyobrazić hipokrytę większego niż kapłan ingerujący w Kreację?
>
> **Richard Monckton Milnes**

Podróż do Londynu była szybka i wygodna.

Atmosferyczny system kolejowy Isambarda Kingdoma Brunela okazał się wielkim sukcesem. Zastosowano w nim tory o szerokim rozstawie, między którymi pośrodku biegła rura o przekroju piętnastu cali z dwucalową szczeliną na szczycie, przykrytą zaworem klapowym z wołowej skóry. Pod pierwszym wagonem każdego składu znajdował się tłok w kształcie odwróconego dzwonu, dopasowany do rury, połączony z wagonem cienkim, przechodzącym przez zawór wałkiem. Wałek wyposażony był w sprytne urządzenie na kołach, otwierające zawór przez nacisk na froncie, a zamykające go i smarujące z tyłu. Co trzy mile urządzenie zasysało powietrze z rury na froncie, by następnie wypompować je z tyłu. Różnica ciśnienia powietrza nadawała pociągowi wielką prędkość.

Podczas pierwszych prób swego systemu Brunel natknął się na nieoczekiwaną przeszkodę: szczury zjadały wołową skórę. Zwrócił się z prośbą o pomoc do eugenika, swego kolegi, Francisa Galtona. Naukowiec wyhodował specjalną rasę wołu o skórze odstraszającej gryzonie, a także będącej dla nich śmiertelną trucizną.

Pneumatyczna sieć kolejowa pokryła już Wielką Brytanię wzdłuż i wszerz. Rozbudowywano ją szybko na terenie imperium, przede wszystkim w Indiach i Południowej Afryce.

Podobny system napędu planowano dla londyńskiego metra, ten projekt opóźniła jednak śmierć Brunela przed dwoma laty.

O wpół do siódmej Burton był już w swym domu na Montagu Place 14. Londyńskie ulice tonęły we mgle. Otworzył bramę z kutego żelaza i właśnie stał przy frontowych drzwiach, kiedy usłyszał dobiegający z pewnej odległości głos gazeciarza: „Speke się postrzelił! Awantura podczas debaty o Nilu! Przeczytajcie, dowiecie się wszystkiego!”.

Westchnął i postanowił zaczekać na małego urwisa. Rozpoznał miękki irlandzki akcent Oscara, uciekiniera przed niekończącą się klęską głodu – pojawiał się regularnie o tej porze. Chłopiec wręcz doskonale posługiwał się słowem, a ten talent Burton potrafił docenić.

Gazeciarz podszedł, rozpoznał go, uśmiechnął się. Był niski, dość krępy, miał może z osiem lat, oczy nadające mu wyraz wiecznie zaspanego i ujmujący uśmiech, któremu urok odbierały tylko krzywe, żółknące zęby. Włosy nosił zawsze za długie i nigdy nie pojawiał się bez zniszczonego cylindra oraz kwiatka w butonierce.

– Witam, kapitanie. Jak widzę, znów udało się panu trafić na czołówkę.

– Nie ma się z czego śmiać, Śmieszku – odparł Burton używając przezwiska, którym ochrzcił gazeciarza przed kilkoma tygodniami. – Wejdź na chwilę, pogadamy w korytarzu. Spodziewam się, że wszyscy dziennikarze winią mnie za to, co się stało?

Oscar podszedł do słynnego badacza. Stali obaj na progu domu, Burton szukał kluczy w kieszeni.

– No, jak by to powiedzieć, kapitanie... O współczesnym dziennikarstwie możemy powiedzieć wiele dobrego. Przekazując opinie zwykłych ludzi, dziennikarstwo uświadamia nam, jak wielka jest ignorancja społeczeństwa.

– Ignorancja to dobre słowo – zgodził się z nim Burton. Otworzył drzwi, wciągnął chłopca do środka. – Jeśli reakcję zgromadzonych w Bath można uznać za typową, sądzę, że ci miłosierni twierdzą, że Speke się postrzelił, ci niemiłosierni zaś, że to ja go postrzeliłem.

Oscar złożył paczkę gazet na wycieraczce.

– Nie myli się pan, ale ważne jest to, co pan twierdzi.

– W tej chwili nikt nie wie, co się właściwie stało, z wyjątkiem tych, którzy byli świadkami zdarzenia. Być może w ogóle nic by się nie stało, gdybym bardziej się starał przerzucić most nad przepaścią, która nas rozdzieliła, i wykazał się większą wrażliwością, gdybym spróbował zrozumieć, że Speke'a dręczą jego własne, osobiste demony.

– Ach, jego demony, mówi pan? – wykrzyknął chłopiec przenikliwym, piskliwym głosem. – A co z pańskimi demonami? Czy nie zachęcają pana do rozkoszowania się samooskarżeniami?

– Rozkoszowania!

– Ależ oczywiście. Samooskarżanie to luksus. Kiedy sami się winimy, nabieramy przekonania, że nikt inny nie ma prawa nas winić.

Burton chrząknął. Włożył laskę do stojaka na parasole, wykonanego z nogi słonia, powiesił cylinder na wieszaku, zrzucił płaszcz.

– Jesteś przerażająco inteligentnym obdartusem, Śmieszku.

Oscar zachichotał.

– To prawda. Jestem tak inteligentny, że czasami nie rozumiem ani słowa z tego, co mówię.

Gospodarz wziął mały dzwonek ze stolika w holu. Zadzwonił na gospodynię.

– Ale czy nie jest prawdą, kapitanie Burton – mówił dalej chłopiec – że nigdy nie żądał pan od Speke'a niczego więcej niż przedstawienia naukowych dowodów na poparcie głoszonych przez niego tez?

– Oczywiście! Atakowałem metody, a nie jego osobiście, choć on nie okazał mi bynajmniej podobnej grzeczności.

Rozmowę przerwało pojawienie się pani Iris Angell. Choć była właścicielką domu, w

którym mieszkał Burton, pełniła także rolę jego gospodyni. Starsza dama o szerokich biodrach i siwych włosach miała miłą twarz o kwadratowej szczęce i wspaniałe, wielkie niebieskie oczy.

– Mam nadzieję, że wytarłeś nogi, młody panie Oscarze?

– Czyste buty są wizytówką dżentelmena, pani Angell – oznajmił godnie chłopiec.

– Dobrze powiedziane. W kuchni jest świeżutka zapiekanka z jajkami i bekonem. Może masz ochotę?

– Ależ oczywiście, dziękuję.

Starsza pani spojrzała na Burtona. Skinął jej głową w odpowiedzi, więc odwróciła się na pięcie i zeszła po schodach do swego królestwa w suterenie.

– A więc tak naprawdę potrzebuje pan informacji, prawda, kapitanie? – spytał Oscar.

– Muszę wiedzieć, dokąd zabrano porucznika Speke'a. Wiem, że przewieziono go z Bath do Londynu, ale do którego szpitala? Możesz się tego dowiedzieć?

– Oczywiście. Zaraz powiem chłopakom. Powinienem mieć odpowiedź w ciągu godziny.

– Doskonale. Panna Arundell też próbuje się czegoś dowiedzieć, choć boję się, że jej wysiłki przyniosą więcej szkody niż pożytku.

– Jak to, kapitanie?

– Zamierza odwiedzić rodzinę Speke'a. Złożyć kondolencje.

Oscar aż się skrzywił.

– O niebiosa! Nic nie jest w stanie dokonać większych zniszczeń niż kobieta z misją dobroczynną. Mówię to, bo się o pana martwię: miejmy nadzieję, że pan Stanley niczego nie wywącha.

Burton westchnął ciężko.

– *Bismillah!* Zupełnie o nim zapomniałem.

Henry Morton Stanley, dziennikarz, niedawno przybył do Anglii z Ameryki. Jego przeszłość wydawała się nieco tajemnicza, a ślad walijskiego akcentu świadczył, że nie jest aż takim autentycznym jankesem, za jakiego się podawał. Chodziły plotki, że posługuje się fałszywym nazwiskiem. Ale kimkolwiek był naprawdę, jako dziennikarz od razu narobił hałasu, a szczególnie zainteresował się różnymi ekspedycjami organizowanymi przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne. Zawarł przyjaźń z doktorem Livingstone'em, wraz z nim stanął przeciw Burtonowi w debacie o Nilu, opublikował kilka, łagodnie mówiąc, nieprzychylnych artykułów w *Empire*, w tym jeden oskarżający Burtona o zamordowanie chłopca, który widział go oddającego mocz na sposób europejski podczas jego słynnej pielgrzymki do Mekki. Bourton odpowiedział szybko i przekonująco, tłumacząc, że jego przebranie, doskonała znajomość miejscowego języka oraz staranna obserwacja obyczajów okazały się wystarczające, by przez kilka miesięcy mylić pielgrzymów, mających go za Araba, jest więc nie do pomyślenia, by można było przyłapać go na błędzie tak podstawowym, jak oddawanie moczu na stojąco. A poza tym zabicie chłopca musiałoby przyczynić się do odkrycia, że jest oszustem, który przyjął fałszywą tożsamość, a tym samym doprowadzić do jego natychmiastowej egzekucji.

Stanley atakował też w prasie Isabel, szkalując ją za brak kobiecej subtelności i zbyt silny charakter. Burton nie potrafił pozbyć się wrażenia, że dziewczyna zaczyna być mu kamieniem u szyi, i to w momencie kluczowym dla jego kariery. Stanley zrozumiał to już jakiś czas temu i teraz doskonale się bawił.

– Aha – prychnął Oscar.

Pojawiła się pani Angell, niosąc pokaźny kawałek zapiekanki. Wręczyła chłopcu talerzyk.

– To nic wielkiego – zastrzegła się – ale mam nadzieję, że wypełni tę dziurę bez dna, którą nazywasz żołądkiem.

– Ależ proszę pani, moje gusta są najprostsze z możliwych. Zawsze zadowala mnie to, co najlepsze.

Burton zmierzwił mu włosy dłonią.

– Zmykaj, Śmieszku. A kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekał drugi kawałek.

Oscar zjadł, westchnął z zadowoleniem i podniósł gazety z wycieraczki. Gospodarz przytrzymał przed nim otwarte drzwi, po czym zamknął je i spojrzał na swą gospodynię.

– Zna pani najnowsze wiadomości?

– Tak, proszę pana. Niech go Bóg zachowa. Dla pana musiało to być strasznym wstrząsem.

– Nienawidził mnie.

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, został wprowadzony w błąd.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić. Dziennikarze już pukają do drzwi?

– Nie, proszę pana. Prawdopodobnie sądzą, że nadal jest pan w Bath.

– To dobrze. Jeśli się zgłoszą, proszę wylać na nich wiadro pomyj. Żadnych gości, proszę, pani Angell. Nie chcę widzieć się z nikim aż do powrotu małego Oscara.

– Doskonale. Mogę przynieść panu coś do jedzenia?

Burton, wchodzący już po schodach, odwrócił się.

– Bardzo proszę. I dzbanek kawy.

– Oczywiście, proszę pana.

Starsza dama odprowadziła wzrokiem swego lokatora, wchodzącego na piętro i skręcającego w prawo, do gabinetu. Zacisnęła wargi. Znała Burtona wystarczająco dobrze, by orientować się w jego nastrojach.

– Kawa, też mi coś – mruknęła pod nosem, schodząc do kuchni. – Jeszcze dziś wieczorem wysuszy butelkę brandy.

Burton rzeczywiście nalał sobie duży kieliszek brandy. Siedział zgarbiony w swym starym fotelu z torbami jak juki po bokach, opierając nogi na osłonie kominka. W jednej ręce trzymał kieliszek, w drugiej list, przysłany z Downing Street 10. „Proszę skontaktować się z biurem premiera natychmiast po przybyciu do Londynu”.

Popijał brandy, rozkoszując się tym, jak rozgrzewa mu żołądek. Był zmęczony, ale nie śpiący, czuł na sercu ciężar rodzącej się depresji.

Oparł głowę na zagłówku fotela. Przymknął oczy, skupił się na zmyśle słuchu. Nauczył się tej sztuczki od sufich po drodze do Mekki. Człowiek posługuje się wzrokiem jako swym głównym zmysłem, jeśli jego rolę powierzy się innemu, jeżeli pozwoli się umysłowi na swobodne snucie myśli i idei, grę intuicji, może się zdarzyć, że z niedostępnych zazwyczaj głębi wypłyną na powierzchnię ukryte w nich gotowe związki.

Słyszał cichy trzask półek na książki dostosowujących się do zmiany temperatury wczesnym wieczorem; tylko ten dźwięk rozlegał się w gabinecie, jeśli nie liczyć jego

oddechu i tykania zegara stojącego na półce nad kominkiem. Ale spoza dwóch otwieranych do góry okien dobiegały go stłumione odgłosy życia angielskiej stolicy: rozmowy przechodzących chodnikiem ludzi, stukot i posapywanie silniczków welocypedów, pokrzykiwanie domokrążców, chrypliwy werbelek przelatującego górą rotofotela, szczekanie psa, płacz dziecka, stłumiony grzmot i świst koni parowych, stuk kopyt prawdziwych i ochrypły śmiech prostytutek.

Kroki na schodach.

„Co mam zrobić?" – zadał sobie pytanie.

Ciche pukanie.

– Proszę wejść.

W drzwiach stanęła pani Angell z tacą, na której leżały pokrojone wędliny, ser i kawałek chleba, a także stała filiżanka na spodeczku, cukiernica i dzbanek kawy. Przeszła przez gabinet, postawiła tacę na stoliczku przy fotelu.

– Robi się bardzo zimno jak na tę porę roku, proszę pana. Mam napalić w kominku?

– Nie, w porządku, ja napalę. Mogę podyktować pani list?

– Ależ oczywiście.

Gospodyni, często wykonująca dla Burtona drobne prace sekretarki, usiadła przy jednym z trzech biurek, wsunęła arkusz czystego papieru w skórzany sztywnik, ujęła pióro. Umoczyła stalówkę w kałamarzu i pod dyktando napisała: „Jestem w domu, w Londynie. Czekam na dalsze instrukcje. Burton".

– Bardzo proszę wysłać ten list na Downing Street dziesięć.

Starsza dama spojrzała na swego lokatora, zdziwiona.

– Gdzie?

– Downing Street dziesięć. Natychmiast, jeśli wolno prosić.

– Oczywiście, proszę pana.

Odeszła, zabierając ze sobą list. Po kilku chwilach Burton usłyszał dobiegające od frontowych drzwi trzy sygnały gwizdkiem. W ciągu pół minuty pies, niemal z pewnością chart, zjawi się na progu, zje, co mu dadzą, a potem weźmie list w zęby i, usłyszawszy adres odbiorcy, machnie ogonem, po czym pobiegnie, bezbłędnie kierując się na Downing Street.

Te niezwykłe, wspaniałe psy były częścią niedawno wprowadzonego systemu komunikacyjnego, pierwszym zaakceptowanym przez Brytyjczyków praktycznym zastosowaniem eugeniki. Każdy z nich przychodził na świat, znając wszystkie adresy w promieniu pięćdziesięciu mil od miejsca urodzenia, a przy tym także umiejąc przenosić pocztę między tymi adresami. Naszczekiwały i drapały w drzwi, póki ktoś listu nie przyjął. Po wypełnieniu obowiązku czworonożni kurierzy biegali po ulicach, czekając na kolejne przywołanie trzema gwizdkami.

System uzupełniały papugi – kurierki. Te fenomenalne przedrzeźniaczki przekazywały informacje mówione. Wystarczyło pójść na pocztę, wypowiedzieć informację, podać nazwę odbiorcy wraz z adresem, po czym papuga bezbłędnie znajdowała właściwą parę uszu.

Był tylko jeden problem, kwestia od samego początku niepokojąca naukowców eugeników. Każda wprowadzana przez nich modyfikacja gatunku zawsze przynosiła jakąś niepożądaną zmianę.

Problem z papugami polegał na tym, że przeklinały, wykpiwały i obrażały wszystkich napotkanych ludzi. Osoba odbierająca wiadomość otrzymywała ją najeżoną treściami,

których nadawca z całą pewnością w niej nie zamieścił. Wydawało się, że nie ma sposobu na skorygowanie tej wady. Początkowo spodziewano się, że papugę pocztową będzie miało każde gospodarstwo, okazało się jednak, że nikt nie jest w stanie wytrzymać steku obelg pod swym adresem we własnym domu. Do sprawy włączono więc pocztę i teraz każdy jej oddział posiadał własną ptaszarnię.

W przypadku psów kurierów wada nie wydawała się aż tak poważna. Był nią nieprawdopodobny wręcz apetyt. Choć chude jak szkielety, psy te wymagały pełnego posiłku pod każdym odwiedzonym adresem. Teoretycznie darmowy system wymagał więc od korzystających z niego klientów sporych nakładów finansowych. Na psią karmę.

Burton słyszał, jak zamykają się frontowe drzwi. List wyruszył w drogę.

Napił się brandy, sięgnął po cygaretkę. Miał ochotę na tani, mocny tytoń.

„Zbadać Dahomej?" – pomyślał. Nadal nie wiedział, co ma robić teraz, kiedy Nil wymknął mu się z rąk. Oczywiście potrzebna była nowa ekspedycja, tę sprawę należało rozstrzygnąć wreszcie raz na zawsze, wiedział jednak, że Murchison nie pozwoli mu jej poprowadzić. Jego werbalna wojna ze Spekiem podzieliła Królewskie Towarzystwo Geograficzne. Jego prezes niewątpliwie wybierze neutralnego geografa.

A więc Dahomej? Już od dłuższego czasu Burton bardzo chciał poprowadzić ekspedycję w ten mroczny, groźny zakątek Afryki Zachodniej, ale w tej sytuacji trudno mu będzie zgromadzić pieniądze.

Może prywatny fundator? Firma wydawnicza?

Ach tak, oczywiście, są jeszcze książki. Od dawna zamierzał przygotować ostateczny przekład *Baśni z tysiąca i jednej nocy*; może nadszedł właściwy czas, by wziąć się za ten ambitny projekt? A już z pewnością powinien skończyć *Vikrama i Wampira*, zbiór opowiadań zebranych z hinduskiej demonologii, spoczywający w tej chwili na jednym z jego biurek z komentarzem przerwanym mniej więcej w połowie.

Pisać książki, starać nie rzucać się w oczy, czekać, aż wrogowie się znudzą.

Ożenić się z Isabel?

Zajrzał do pustego kieliszka, wydmuchnął do niego dym, wsadził cygaretkę między zęby, sięgnął po karafkę i dolał sobie brandy.

Od roku uważał za swe przeznaczenie poślubienie Isabel Arundell, a teraz nagle nie był już tego taki pewny. Kochał ją, w to nie wątpił, lecz także miał do niej wiele pretensji. Kochał jej siłę i praktyczność, miał pretensje o dominującą osobowość i skłonności do załatwiania jego spraw samodzielnie, bez skonsultowania się z nim. Kochał za to, że tolerowała jego zainteresowania z tym wszystkim, co egzotyczne i erotyczne, nienawidził jej ciasnego katolicyzmu. Charles Darwin zabił Boga, ale nie tylko ona i jej rodzina nadal żyli złudzeniem, że istnieje.

Próbował pohamować ogarniające go uczucie frustracji następnym kieliszkiem brandy. I jeszcze jednym. I kolejnym.

O ósmej pani Angell zapukała do jego drzwi. Z dezaprobatą spojrzała na pijanego podróżnika.

– Wypił pan choć odrobinę kawy? – spytała.

– Nie i nie zamierzam jej pić. O co chodzi?

– Chłopiec wrócił.

– Śmieszek? Niech przyjdzie na górę.

– Raczej nie, proszę pana. W tym stanie nie powinien pan przyjmować dzieci.

– Przyślij mi Śmieszka, niech cię diabli!

– Nie.

Burton wstał z wysiłkiem. Chwiał się, oczy mu płonęły.

– Zrobisz, co ci każę, kobieto! Natychmiast.

– Nie, proszę pana, nie zrobię. Nie zrobię tego, co mi każe zrobić pijak posługujący się tak nieuprzejmym językiem. Pozwolę sobie przypomnieć, że choć mnie pan zatrudnia, jest pan także moim lokatorem. Mam prawo zerwać umowę w każdej chwili. Przyjmę wiadomość od chłopca, a potem przekażę ją panu.

Pani Angell cofnęła się na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Burton zrobił kilka kroków w ich stronę, zatrzymał się pośrodku pokoju, zachwiał, spróbował odzyskać równowagę. Przyjrzał się półkom pełnym specjalistycznych książek: języki, erotyka, ezoteryka, etnologia. Przyjrzał się broni białej wiszącej nad kominkiem, zniszczonym rękawicom bokserskim zwieszającym się z boku przewodu kominowego, pistoletom i włóczniom zdobiącym ściany po obu jego stronach, wiszącym na ścianach obrazom, wśród których był także portret Edwarda, jego umysłowo upośledzonego młodszego brata, od trzech lat przebywającego w Szpitalu dla Umysłowo Chorych Surrey County. Niecałe pięć lat temu Edwarda pobili niemal na śmierć cejlońscy wieśniacy, buddyści, których obraziło, że poluje na słonie. Przyjrzał się trzem wielkim biurkom zawalonym papierami, rozpoczętymi książkami, mapami, szkicami, przyjrzał się mnóstwu pamiątek z podróży, posągom bóstw, rzeźbom, nargilom, modlitewnym dywanikom, bibelotom i drobiazgom.

Spojrzał na drzwi naprzeciw okna, prowadzące do małej garderoby, w której trzymał swe rozliczne przebrania, i na swe odbicie w szkle okien, za którymi była ciemność.

Pytanie gnębiło go dalej. Wypowiedział je głośno:

– Co, do diabła, mam teraz robić?

Otworzyły się drzwi, do pokoju weszła gospodyni. Wyraz twarzy miała surowy, zimnym głosem powiedziała:

– Młody pan Oscar prosił, bym przekazała panu, że pan Speke znajduje się w Prywatnym Sanatorium Penfold.

Burton skinął głową raz, krótko.

Starsza dama odwróciła się do wyjścia.

– Pani Angell... – powiedział głośno.

Zatrzymała się, spojrzała na niego przez ramię.

– Zwróciłem się do pani w sposób niedopuszczalny – wybełkotał zakłopotany. – Nic nie usprawiedliwia także wybuchu złego humoru. Proszę, by przyjęła pani me przeprosiny.

Pani Angell przyglądała się mu w milczeniu jeszcze przez chwilę.

– Doskonale – powiedziała wreszcie. – Ale proszę wyprowadzić swe demony z tego domu. Czy pan mnie dobrze rozumie? Albo one, albo pan się wyprowadzi... na zawsze.

– Zgoda. Śmieszek dostał drugą porcję zapiekanki?

Kobieta uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Owszem. I jabłko. I karmelka.

– Dziękuję. A teraz, tak jak pani sobie życzyła, zamierzam wyprowadzić demony.

– Byle nie zwiodły pana na manowce. Proszę, sir Richardzie.

– Zrobię, co w mojej mocy, pani Angell.

Stara dama pokiwała głową i odeszła.

Burton tkwił w miejscu, głęboko zamyślony. Na wizytę w szpitalu było już za późno,

ta sprawa będzie musiała zaczekać do jutra, a jeśli Speke nie przeżyje nocy, niech i tak będzie. Ale nigdy nie jest za późno na odwiedziny w Klubie Kanibali. Kilka drinków z przyjaciółmi libertynami z pewnością podniesie go na duchu. Może będzie dziś wśród nich Algernon Swinburne? Wprawdzie znał tego obiecującego młodego poetę od niedawna, ale już doskonale czuł się w jego towarzystwie.

Podjął decyzję. Przebrał się, wypił kolejny łyk brandy. Stukanie do okna rozległo się, gdy był już na progu. Zawrócił, przeszedł przez pokój niezbyt pewnym krokiem.

Na parapecie siedziała kolorowa papuga.

Podniósł skrzydło okienne. Do środka wtargnęła gęsta mgła. Papuga spojrzała na niego czarnym ślepiem.

– Wiadomość z parszywego biura premiera – zatrajkotała. – Jesteś oczekiwany przez tego głupka lorda Palmerstona na Downing Street dziesięć jutro o dziewiątej rano. Proszę potwierdzić, ośle. Koniec wiadomości.

Brwi Burtona, zwisające zwykle nisko nad oczami, przez co wydawały się stale zmarszczone, powędrowały wysoko na czoło. Premier pragnął zobaczyć się z nim osobiście? Dlaczego?

– Odpowiedź. Początek wiadomości. Spotkanie potwierdzam. Będę o czasie. Koniec wiadomości. Odleć.

– A ty idź się pieprzyć – chrypnęła papuga i odleciała.

Burton zamknął okno.

Miał się spotkać z lordem Palmerstonem.

O do diabła!

Klub Kanibali miał swą siedzibę nad włoską restauracją Bartolini na Leicester Square.

Burton spotkał w nim spokojnego, zazwyczaj raczej posępnego Richarda Moncktona Milnesa w towarzystwie drobniutkiego Algernona Swinburne'a oraz kapitana Henry'ego Murraya, doktora Jamesa Hunta, sir Edwarda Brabrooka, Thomasa Bendyshe'a i Charlesa Bradlaugh. Samych rozrabiaków.

– Burton! – krzyknął Milnes, gdy tylko go zobaczył. – Gratulacje!

– Czym zasłużyłem sobie na gratulacje?

– Przecież zastrzeliłeś tego pyszałka Speke'a! Bo to ty pociągnąłeś za spust, prawda? Proszę, powiedz, że to ty.

Podróżnik opadł na fotel. Zapalił cygaro.

– To nie ja.

– Ach, co za szkoda – rozżalił się Milnes. – A już miałem nadzieję, że opowiesz nam, jak to jest zabić człowieka. Białego człowieka, rzecz jasna.

– Tak, tak, oczywiście – włączył się do rozmowy Bradlaugh. – Bo przecież zabiłeś tego małego Araba w drodze do Mekki, czyż nie?

Burton przyjął drinka od Henry'ego Murraya.

– Dobrze wiecie, że nie zabiłem – warknął. – Sukinsyn Stanley wypisuje same obelżywe bzdury.

– Daj spokój, Richardzie – zaszczebiotał Swinburne wysokim, podnieconym głosem. – Nie protestuj aż tak gwałtownie. Czyż nie godzisz się z twierdzeniem, że morderstwo to

jedna z tych wielkich granic, które musimy przekroczyć, by udowodnić sobie, że naprawdę żyjemy?

Słynny podróżnik westchnął, potrząsając głową. Swinburne był młody, miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, dysponował swego rodzaju intuicyjną inteligencją, przemawiającą do starszego z nich dwóch z wielką siłą, ale pozostał łatwowierny.

– Nonsens, Algy. Nie pozwól, by ci twoi libertyni zaczarowali cię swymi błędnymi ideami i zdumiewająco złą logiką. Są niepoprawnie perwersyjni, a najbardziej ten tu Milnes.

– Ha! – krzyknął Bendyshe z drugiego końca pokoju. – Swinburne jest tak perwersyjny, jak to tylko możliwe. Lubi ból, nie wiedziałeś o tym? Uwielbia pocałunek bicza.

Młody poeta zachichotał, nerwowo poruszył się w fotelu, strzelił z palców. Jego ruchy, jak zawsze, były szybkie, urywane, ekscentryczne, jakby cierpiał na taniec świętego Wita.

– To prawda – przyznał. – Jestem wyznawcą de Sade'a.

– Popularna przypadłość – przyznał Burton. – Och, przecież sam widziałem... odwiedziłem burdel w Karachi... w ramach misji badawczej dla Napiera, sami rozumiecie...

Przyjaciele prychali i buczeli kpiąco.

– ...i widziałem tam mężczyznę ubiczowanego niemal do nieprzytomności. To mu się podobało!

– Cudowne! – Swinburne drżał na całym ciele.

– Może i tak, to kwestia gustu, ale biczowanie to jedna rzecz, a morderstwo zupełnie inna.

Milnes usiadł obok Burtona, pochylił się bliżej niego.

– Ale... – wyszeptał – powiedz mi, Richardzie, czy nigdy nie zastanawiałeś się, jak wielką wolność musi czuć człowiek, który właśnie dokonał aktu morderstwa? W końcu przełamał tym aktem wielkie tabu. Przełam tabu, a wyrwiesz się z okowów cywilizacji.

– Nie jestem wielkim entuzjastą fałszywych przyjemności oraz podstępnego podważania zasad cywilizacji – powiedział spokojnie Burton. – W mojej opinii panem Grundym, naszym fikcyjnym wcieleniem wszystkiego, co och, jakie czyste, grzeczne, wstrzemięźliwe i konwencjonalne, należy nieźle wstrząsnąć, naturalnie. Owszem, występuję przeciw wąskim ramom angielskiego społeczeństwa i angielskiej kultury. Ale morderstwo to coś znacznie bardziej fundamentalnego od społeczeństwa i kultury.

Swinburne aż zapiszczał z rozkoszy.

– Nieźle wstrząsnąć! Ach, brawo, Richardzie!

Milnes skinął głową.

– Fałszywe przyjemności, podstępne podważanie... doprawdy, Richardzie! Przyjemności niosące niewolę, podstępne podważanie ferujące wyroki. A gdzie, pytam, wolność?

– Nie wiem – odparł Burton. – Jakimi narzędziami mierzyć coś tak nieskończonego jak wolność?

– Biorąc wzór z natury, mój chłopcze. Natury, której zęby i pazury są czerwone. Zwierzę zabija zwierzę... Czy jest czemuś winne? Nie! Pozostaje wolne w wyborze, może robić co chce, może nawet – i najpewniej zrobi to – znów zabijać. Jak powiedział de Sade: „Natura nie przemawia do nas dwoma głosami, z których pierwszy potępia przez dzień

cały to, co drugi rozkazuje”.

Burton opróżnił kieliszek jednym łykiem.

– Oczywiście. Darwin wykazał, że natura jest procesem brutalnym, nieznającym pojęcia litości. A jednak mam wrażenie, że o czymś zapominasz, Milnes. Zwierzę, które zabija, najprawdopodobniej samo zostanie zabite przez inne zwierzę, dokładnie tak, jak morderca wieszany jest za swe czyny.

– A więc zakładasz istnienie pierwotnego, naturalnego prawa, od którego nigdy się nie uwolnimy? Prawa przekraczającego granice kultury, niezależnie od stopnia jej rozwoju?

James Hunt, zmierzający w drugi kąt pokoju, by posłuchać dyskusji między Bradlaugh i Brabrookiem, zatrzymał się na chwilę wystarczająco długą, by napełnić kieliszek Burtona.

– Owszem, wierzę, że istnieje coś w rodzaju takiego prawa. Hinduistyczne pojęcie karmy uważam za znacznie bardziej kuszące niż absurdalny chrześcijański grzech pierworodny.

– Co słychać u Isabel? – spytał, podchodząc do nich, Bendyshe.

Burton zignorował to prowokacyjne, kpiące pytanie. Mówił dalej:

– Karma oferuje nam przynajmniej równowagę. Czy też, jeśli wolicie, wprowadza pojęcie kary i nagrody za czyny, które popełniamy, i myśli, które w tej chwili przebiegają nam przez głowę. Nie karze nas za założony grzech samego naszego istnienia ani za wykroczenia przeciw całkowicie sztucznemu dyktatowi tak zwanej moralności. Jest funkcją natury raczej niż wyrokiem sądu Boga, którego istnienia nikt nie udowodnił.

– Na Jowisza! Stanley miał rację, pisząc, że jesteś poganinem! – zakpił Bendyshe. – Burton łączy siły z Darwinem! Twierdzi, że nie ma Boga!

– Prawdę mówiąc, Darwin nigdzie tego nie powiedział. Inni tak zinterpretowali jego *O pochodzeniu gatunków*.

– „Nie ma Boga, Natura wystarczy sama sobie, w żadnym swym względzie nie potrzebuje twórcy” – zacytował Swinburne. – De Sade raz jeszcze.

– Pod wieloma względami wydaje mi się on śmieszny, ale w tym wypadku całym sercem się z nim zgadzam. Im głębiej studiuję religię, tym bardziej przekonuję się, że człowiek nie czcił niczego... oprócz siebie.

I Burton zacytował fragment własnego wiersza:

– „Człek czci siebie, sam jest swym Bogiem; walczy śmiertelny umysł by stworzyć model, jaki winien być, odnaleźć doskonałość w sobie”.

Milnes zaciągnął się cygarem. Wydmuchnął kółko, leniwie wznoszące się ku sufitowi pokoju. Obserwował, jak rozwiewa się powoli.

– A skoro mowa o karmie, Richardzie... Wydajesz się twierdzić, że morderca poniesie karę. Tak czy inaczej, w procesie czysto naturalnym. A więc, czy ludzki osąd, w tym przypadku karę śmierci, uważasz za naturalny?

– Jesteśmy tworami natury, czyż nie?

– Cóż... – przerwał mu Bendyshe – jeśli chodzi o Swinburne’a, to czasami poważnie się zastanawiam.

„Słusznie” – pomyślał Burton. Rzeczywiście, Swinburne sprawiał wrażenie bardzo nienaturalnego. Miał zaledwie pięć stóp i dwa cale wzrostu i był niezwykle drobnej budowy. Jego ręce i nogi wydawały się tak delikatne, że aż kruche, garbił się, a wyjątkowo długa szyja kończyła się wielką głową, która wydawała się jeszcze większa

dzięki masie zmierzwionych, czerwonych jak marchewka włosów, wyrastających z niej niemal pod kątem prostym. Kształt jego ust sugerował kobiecą słabość. Oczy miał wielkie, bladozielone, o marzycielskim wyrazie.

Bardzo niewielu poetów wyglądało na poetów aż tak bardzo, jak Algernon Charles Swinburne.

– Odkładając na bok tę sprawę... – mówił dalej Bendyshe. – Co będzie, jeśli morderca uniknie stryczka?

– Poczucie winy? – zaryzykował Burton. – Stopniowa, lecz nieunikniona degradacja charakteru. Degeneratywna choroba umysłu. Być może aż do szaleństwa i autodestrukcji.

– A może tendencja do przebywania w towarzystwie kryminalistów – zaproponował Swinburne – aż on sam, co nieuniknione, zostanie zamordowany.

– Dobrze powiedziane – zgodził się z nim słynny podróżnik.

– Interesujące – przyznał Milnes z namysłem. – Ale przecież chyba wszyscy wiemy, że morderstwo popełniane jest albo pod wpływem wyjątkowo silnych uczuć, albo też mordercą okazuje się ktoś w zaawansowanym, jeśli to właściwe określenie, stanie umysłowej degeneracji. Lecz co, jeśli morderstwo z premedytacją popełnia inteligentny człowiek, a jego motywem jest wyłącznie naukowa ciekawość? Co, jeśli służyło wyłącznie przekroczeniu granicy, której, jak nam wmawiają, nie należy przekraczać?

– Jałowy argument – odpowiedział Burton.

– Ależ skąd, drogi chłopcze! – wykrzyknął Milnes. – To wspaniały motyw! Przecież człowiek, który tego dokona, zaryzykuje nieśmiertelną duszę dla nauki!

– A więc niewątpliwie nabierze rozumu, cofnie się, nie dokończy eksperymentu – stwierdził Burton nieco bełkotliwie. – Bo jeśli przekroczy tę granicę, to już zza niej nie wróci. Tak czy inaczej, decyzję podejmie raczej w oparciu o swe własne standardy zachowania niż standardy cywilizacji czy pojęcie nieśmiertelnej duszy. Bowiem, jak powiedziałeś, jest inteligentnym człowiekiem.

– Dziwne – stwierdził Henry Murray, który do tej pory przysłuchiwał się dyskusji w milczeniu. – A myślałem, że z nas wszystkich to ty pierwszy pochwalisz tego rodzaju eksperyment.

– Plotki dotyczące mojej reputacji traktujesz doprawdy przesadnie poważnie.

– Czy to konieczne? – spytał z uśmiechem Swinburne. – Mnie całkiem podoba się myśl, że w naszym gronie jest diabeł.

Sir Richard Francis Burton przyjrzał się z namysłem wrażliwemu młodemu poecie. Zastanawiał się, jak utrzymać go z dala od kłopotów.

Burton nie był libertynem, ale ci uważali go za członka honorowego swej kasty i rozkoszowali się jego znajomością egzotycznych kultur, w których paraliżujące prawa cywilizacji wydawały się niezwykłe wyłącznie przez ich nieistnienie. On sam lubił z nimi pić i dyskutować, a już szczególnie odpowiadało mu to dzisiaj wieczorem, bowiem dyskusje zajmowały mu umysł, co odsuwało od niego przygnębienie, od chwili powrotu z Bath ogarniające go coraz wyższą, groźniejszą falą.

Ale o pierwszej w nocy znów się pojawiło, a sprzyjało mu zmęczenie i alkohol. Pożegnał się z przyjaciółmi, wyszedł z klubu.

Noc była zimna, niezwykle zimna jak na wrzesień. Drogi błyszczały wilgocią. Całuny mgły gęstniały wokół latarni gazowych, otaczając każdą z nich złotą aureolą. Burton otulił się płaszczem. Przytrzymywał go jedną ręką, a drugą kręcił laską.

Minął go klekoczący welocyped. Te parowe, jednoosobowe pojazdy zaczęły pojawiać się na ulicach przed dwoma laty. Popularnie nazywano je pensem z ćwiartką, a to z powodu oryginalnej linii, bowiem ich przednie koło wysokością niemal dorównywało dorosłemu mężczyźnie, a tylne miało zaledwie osiemnaście cali średnicy.

Siedziało się na nich wysoko w skórzanym siodle, na wysokości szczytu przedniego koła i nieco za nim. Stopy wkładano w skórzane strzemiona po obu jego stronach. Nogi układały się w bezpiecznej odległości od tłoka, wału i wykorbienia, pracujących po lewej stronie osi. Mały, przypominający puszkę silniczek mocowany był do ramy za i pod siodłem, pod silnikiem umieszczono kocioł z paleniskiem, kosz na węgiel znajdował się jeszcze niżej; te trzy elementy ustawiono w segmenty łuku wzdłuż górnej wewnętrznej części przedniego koła. Dostarczały wehikułowi mocy, a także stanowiły jego środek ciężkości. W połączeniu z wewnętrznym żyroskopem silnika czyniło to welocyped niemal niemożliwym do przewrócenia mimo jego nieco niepokojącego wyglądu.

Najniezwyklejszą i najlepszą cechą pensa z ćwiartką była jego niesłychana wręcz wydajność. Dwadzieścia mil pokonywał w mniej więcej godzinę, zużywając bryłkę węgla nie większą od pięści. W palniku mieściły się cztery kawałki, w koszu także cztery, zasięg pojazdu wynosił więc około stu sześćdziesięciu mil, efektywny czas pracy silnika sięgał zaś dwudziestu czterech godzin bez konieczności dokupywania paliwa. Do największych wad, oprócz wytrzęsienia, które pasażer miał zagwarantowane, należały zaś dwa smukłe kominy wznoszące się za siodłem. Pluły one dymem w i tak zadymioną atmosferę Londynu, pogarszając jeszcze sytuację. Niemniej pojazdy te były ostatnim krzykiem mody. Uczyniły wiele dla frakcji inżynierów z kasty techników, grupy mocno niepopularnej po ostatnich niepowodzeniach: tragicznym w skutkach zalaniu podmorskiego miasta Hydroham usytuowanego u wybrzeża Norfolk i kilku poważnych katastrofach podczas kulejącego – i w końcu zarzuconego – programu produkcji wypełnianych gazem statków powietrznych.

Burton odprowadził wzrokiem znikające we mgle jeździdełko.

Podczas jego pobytu w Afryce Londyn bardzo się zmienił. Był pełen nowych maszyn i nowych rodzajów zwierząt. Inżynierowie i eugenicy, dwie główne frakcje kasty techników, parli przed siebie niepowstrzymanie, choć libertyni protestowali w przekonaniu, że sztuka, piękno i szlachetność ducha są ważniejsze od postępu materialnego.

Problem polegał na tym, że libertyni, choć produkowali ryzy antytechnicznej propagandy, nie potrafili przemówić jednym głosem, dostarczyć jasnego przekazu. Z jednej strony prawdziwi libertyni, tacy jak Bractwo Prerafaelitów, byli w istocie luddystami, z drugiej rosnących w siłę hulaków interesowała czarna magia, anarchia, deprawacja seksualna, zażywanie narkotyków, mieszanie się w nie swoje sprawy i generalnie złe zachowanie, usprawiedliwione dążeniem do „przekroczenia granic właściwych kondycji ludzkiej”. Większość libertynów, czego doskonałym przykładem był Richard Monckton Milnes, plasowała się gdzieś między tymi dwoma obozami. Nie byli to rozmarzeni idealiści jak pierwsza frakcja, ale też z dystansem odnosili się do skandalicznego niepohamowania drugiej.

Sir Richard Burton sam nie wiedział, do której z tych grup mu bliżej. Urodził się w

Anglii, ale nigdy nie czuł się tu jak w domu. Prawdopodobnie dlatego, że był dzieckiem ruchliwych rodziców, włóczących go po całej Europie. Zaskoczyło go, gdy po powrocie znad Nilu stwierdził, że panujący w jego ojczyźnie stan społecznego rozchwiania raczej mu odpowiada. Nagłe zmiany, znacznie silniej odczuwane w stolicy niż poza nią, większości Brytyjczyków mogły wydawać się niezrozumiałe, wręcz niepokojące, lecz on sam uważał się za przelotnego ptaka umiejącego dostosować się do każdych okoliczności, więc w tej chwili dziwnie łatwo dostrajał się też do zmienności brytyjskiej kultury.

Nagle uświadomił sobie, że słyszy stukanie dobiegające gdzieś znad jego głowy i że towarzyszyło mu ono, to rozlegając się, to cichnąc, od chwili wyjścia z klubu. Podniósł głowę, rozejrzał się dookoła, lecz nie dostrzegł niczego.

Kierował się w stronę domu, nasłuchując uważnie. Tak, ten dźwięk znów się pojawił. Ktoś go śledzi? Obejrzał się za siebie. Nie, nic nie wskazywało na to, by ktoś deptał mu po piętach, chociaż w tej właśnie chwili jego tropem ruszył policjant. Uwagę stróża prawa zwrócił samotny, bez wątpienia pijany mężczyzna o rysach twarzy zdradzających brutalność. Po mniej więcej pięciu minutach konstabl zbliżył się do niego, dostrzegł elegancki strój dżentelmena, zawahał się i zrezygnował z pościgu.

Burton przeszedł na drugą stronę Charing Cross Road. Szedł długą, fatalnie oświetloną, boczną uliczką. Kopnął pustą butelkę, wpadła do kanału ściekowego z melodyjnym brzękiem. Usłyszał dobiegający z góry łopot wielkich skrzydeł. Podniósł głowę. Właśnie przelatywał nad nim wyhodowany przez eugeników wielki łabędź, ciągnący za sobą pasażerski latawiec. Zdążył jeszcze zobaczyć wychylającą się z niego bladą twarz, niewyraźną i zamazaną, po czym latawiec znikł, zasłonięty dachami domów. Pasażer zawołał coś do niego, ale mgliste, wilgotne powietrze stłumiło okrzyk, czyniąc go niezrozumiałym.

W zeszłym roku Speke i Grant użyli tego środka komunikacji, by dotrzeć w pobliże Nyanzy starą drogą. Zabrało im to zaledwie ułamek tego czasu, jaki poświęciła na jej przebycie ekspedycja Burtona. Rozbili obóz w Kazeh, miasteczku leżącym około stu pięćdziesięciu mil na południe od wielkiego jeziora, i tak Speke popełnił charakterystyczny dla niego błąd w ocenie. Nie zapewnił ptakom wystarczającej ochrony. Pożarły je lwy, a bez nich nie zdołał okrążyć jeziora, upewnić się, że to rzeczywiście ono jest źródłem wielkiej rzeki, a tym samym nie mógł udowodnić, że Burton się myli.

Kilka jardów dalej z pogrążonych w ciemności odrzwi wynurzył się powoli mężczyzna o grubo ciosanych rysach, ubrany w płócienne spodnie i koszulę oraz kamizelkę w kolorze rdzy i sukienną czapkę. Ślady poparzeń w postaci czerwonych obrzęków na twarzy i potężnych przedramionach świadczyły o długich godzinach spędzonych na podsycaniu ognia w kuźni.

– Potrzebujesz pomocy, kumpel? – warknął. – Może ciężko ci dźwigać tyle drobnych w kieszeniach?

Burton tylko na niego spojrzał. Mężczyzna cofnął się tak szybko, że aż potknął się o próg i usiadł ciężko.

– Przepraszam, przyjacielu – wybełkotał. – Chyba wziąłem cię za kogoś innego. Na pewno!

Podróżnik prychnął z pogardą. Poszedł dalej. Znalazł się w sieci wąskich uliczek, mrocznych, niebezpiecznych, obrzydliwych, a jednocześnie w żałosnych mackach nędzy, wypływającej falą z East Endu do śródmieścia. Zaniedbane domy spoglądały na nie ponurymi oknami. Od czasu do czasu zza okiennic wydobywały się dźwięki:

nieartykułowane krzyki, odgłosy razów, płacz, ale przede wszystkim panowała tu pozbawiona śladów nadziei cisza.

Uderzyło go niezwykłe podobieństwo trzewi Londynu do najodleglejszych zakątków Afryki.

Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w lewo. Poślizgnął się, uderzył golenią w porzuconą na ulicy skrzynkę, poczuł, jak nogawka spodni zahacza o wystający gwóźdź i drze się. Zaklął cicho, niewyraźnie. Kopnął skrzynkę.

Wzdłuż krawężnika przebiegł szczur.

Burton oparł się o latarnię. Przetarł oczy. Brandy nieprzyjemnie paliła mu gardło. Dostrzegł przyklejoną do słupa ulotkę, przeczytał ją machinalnie.

Praca dyscyplinuje ducha.
Praca kształci charakter. Praca wzmacnia duszę.
Nie dopuść, by twą pracę wykonywały maszyny!

Poszedł dalej alejką, skręcił na kolejnym rogu. Nie był pewien, gdzie jest, ale nie wątpił, że zmierza we właściwym kierunku. Stanął nareszcie w końcu długiej, prostej uliczki, której wytarty bruk oświetlała jedna nędzna latarnia. Po jej obu stronach wznosiły się pozbawione okien ceglane ściany magazynów. Wydawało mu się, że prowadzi ona do głównej ulicy, dostrzegł nawet, choć niewyraźnie, narożny sklep, być może rzeźnika, ale kiedy próbował odczytać szyld, obok przemknął welocyped, pozostawiając za sobą chmurę dymu jeszcze bardziej ograniczającą widoczność.

Szedł uliczką, starając się omijać kałuże śmierdzącej uryny. Ślizgał się na pecynach błota i czegoś jeszcze gorszego, kopał przed siebie obrzydliwe odpadki.

W zasięgu jego wzroku, przed sklepem, pojawił się krab śmieciarz. Jego osiem nóg stukało po bruku, a dwadzieścia cztery wyrastające z brzucha cienkie ramiona wiły się to tu, to tam, zbierając śmieci i wrzucając je w paszczę, przez którą trafiały do paleniska.

Stukając i potrzaskując, wyszedł z alejki. Nagle zawyła jego syrena ostrzegawcza. W kilka sekund później krab z przeraźliwym sykiem wypuścił z dwóch skierowanych do tyłu dysz strumień gorącej, czyszczącej nawierzchnię pary.

Automatyczny czyściciel znikł za zasłoną skłębionego białego oparu. Burton zatrzymał się, a potem cofnął kilka kroków, czekając, aż chmura rozpłynie się w powietrzu. Jej gorące kłęby podpełzły ku niemu i zawisły w powietrzu, chłodząc się powoli.

Ktoś wszedł w zaułek, jego przeraźliwie wyciągnięty cień tkwił w białej chmurze pod nieprawdopodobnym kątem. Była to postać czarniejsza od czerni, przypominająca szkielet, przerażająco zniekształcona. Burton czekał, aż cień się zmniejszy i w chwili, gdy mężczyzna, bo z pewnością był to mężczyzna, wychynie zza zasłony pary, zostanie wciągnięty w ciało właściciela.

Ale cień się nie zmniejszył.

Bo to nie był cień.

Być może nie był to nawet mężczyzna.

Z rozstępującej się właśnie mgły wyskoczyła przedziwna postać na nienaturalnie długich nogach sprawiających, że wydawała się karnawałowym klaunem na szczudłach. Długi czarny płaszcz powiewał wokół jej zgarbionych pleców. Błyskawice otaczały nimbem nie tylko głowę, lecz całe ciało.

Burton cofał się spiesznie, póki nie trafił plecami na ścianę. Zamrugał gwałtownie, oblizał wargi.

Czy to... to coś było człowiekiem? Miało dużą, czarną, lśniącą głowę, otoczoną wijącymi się niebieskimi płomieniami. Czerwone oczy wpatrywały się w niego złowrogo. Białe zęby lśniły jak w uśmiechu, choć ten stwór nie miał przecież warg.

Postąpił kilka kroków w jego kierunku, to zginając, to prostując szponiaste palce. Burton zorientował się, że pierwsze wrażenie było słuszne: kreatura maszerowała na dwustopowych szczudłach.

Jej chude ciało odziane było w biały, jakby pokryty łuskami kombinezon, odbijający nędzne światło starej, słabej latarni. Na piersi widniało coś okrągłego, emitującego snopy iskier i otaczającego długie członki wstęgami błyskawic.

– Burton – zachrypiało widmo. – Richard Francis pieprzony Burton.

Uderzyło go, wyprowadzając cios z boku w prawe ucho. Burton zatoczył się, wypuścił z ręki laskę, cylinder sfrunął z jego głowy do kałuży.

– Przecież mówiłem ci, żebyś trzymał się od tego z daleka – warknęło widmo. – Nie posłuchałeś mnie.

Burton stwierdził ze zdumieniem, że jest absolutnie trzeźwy.

Palce stwora pogrążyły się w jego włosach, szarpnęły, poderwały mu głowę. Poczuł przeszywające całe ciało, paraliżująco potężne wyładowanie statyczne. Ręce i nogi drżały mu niekontrolowanie.

Nieruchome czerwone ślepia patrzyły wprost w jego oczy.

– Nie będę powtarzał. Zostaw mnie w spokoju!

– Co...? – wysapał Burton.

– Po prostu zostaw tę sprawę. To nie twój cholerny interes.

– Jaką sprawę?

– Nie udawaj mi tu niewiniątka. Nie chcę cię zabić, ale przysięgam, że jeśli będziesz wtykał w nią nos, to ci skręcę ten pieprzony kark.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Widmo potrząsnęło jego głową tak mocno, że aż zadzwoniły mu zęby.

– Mówię o tym, że zbierasz siły przeciwko mnie. Nie tym powinieneś się zajmować. Przeznaczone ci jest coś zupełnie innego. Rozumiesz?

I stwór uderzył go przedramieniem w twarz.

– Pytałem, czy rozumiesz.

– Nie!

– Więc wytłumaczę ci to... – warknął facet na szczudłach – dobitnie.

Obrócił ofiarę, cisnął nią o ścianę, zamierzył się i uderzył ją pięścią w usta.

– Masz...

Kolejny cios.

– ...zająć się tym...

Jeszcze jeden.

– ...czym powinieneś się zająć.

Burton oparł się ciężko o ceglany mur. Z trudem poruszając rozbitymi wargami, wybełkotał:

– A skąd mam wiedzieć, co powinienem zrobić?

Palce wplątane w jego włosy podrywały mu głowę kawałek po kawałku, aż wreszcie musiał spojrzeć w oczy widma, odległe o cale od jego oczu. Płonęły czerwienią; Burton

dopiero teraz nabrał pewności, że to coś, co go napadło, jest kompletnie szalone. Błękitny płomyk przeskoczył z głowy stwora na jego czoło, przypiekając mu skórę.

– Powinieneś poślubić Isabel, a potem wędrować po żałosnych konsulatach. Szczyt twej kariery powinien nastąpić za trzy lata, wraz z debatą o Nilu i śmiercią tego żałosnego dupka Speke'a, ginącego od postrzału z własnej ręki. Powinieneś pisać książki, a potem umrzeć.

Burton zaparł się nogą o ścianę.

– O czym ty, do diabła, opowiadasz? – spytał nieco mocniejszym głosem. – Debata została odwołana. Speke postrzelił się wczoraj... ale nadal żyje.

Oczy widma rozszerzyły się nagle.

– Nie... – wyszeptało. – Nie... – Zgrzytnęło zębami. – Jestem historykiem – warknęło. – Wiem, co się stało. To był tysiąc osiemset sześćdziesiąty czwarty rok, nie tysiąc osiemset sześćdziesiąty pierwszy. Wiem...

Przez jego straszną, chudą twarz przemknęło zdziwienie i jakby niepewność.

– Do diabła, dlaczego to musi być takie strasznie skomplikowane? – powiedziało jakby do siebie. – Może gdybym cię zabił...? Ale jeśli śmierć jednego człowieka doprowadziła do takich skutków...

Czując, jak palce stwora rozluźniają się, Burton zaryzykował. Szarpnięciem uwolnił głowę i uderzył go w brzuch ramieniem. Widmo zatoczyło się aż pod przeciwległą ścianę. Przykleiło się do niej, jakby w ten sposób broniło się przed upadkiem. Wpatrując się w twarz podróżnika, powoli odzyskiwało równowagę.

– Posłuchaj mnie, sukinsynu! Kiedy znowu się spotkamy, nie podchodź do mnie... dla swego własnego dobra.

– Nie znam cię! Nie pożałuję, jeśli nigdy się już nie spotkamy. Ani przez chwilę!

Z piersi widma wystrzeliła błyskawica. Uderzyła w ziemię, a ono samo krzyknęło z bólu i omal nie upadło. Jego dzikie oczy przybladły nagle, przez chwilę Burton widział w nich coś bardzo zbliżonego do rozsądku. Stwór spojrzał w dół, na swe ciało, a potem znów podniósł wzrok na przeciwnika.

– Ironia losu... Kończy mi się czas – powiedział cicho, spokojnie. – Wszedłeś mi w drogę, to przez ciebie sytuacja jest o tyle gorsza.

– Jaka sytuacja? Wyjaśnij – zażądał badacz.

Osobliwa, patykowata postać podeszła do niego. Tęczówki jej oczu zwęziły się do niemal niewidocznych punkcików.

– Ożeń się z tą suką, Burton. Uspokój się, ustabilizuj. Zostań konsulem w Fernando Po, Brazylii, Damaszku czy gdzie tam te pierdoły cię wyślą. Pisz te swoje cholerne książki. A przede wszystkim zostaw mnie w spokoju! Rozumiesz, co do ciebie mówię? Zostaw mnie w pieprzonym spokoju!

Widmo skuliło się, patrząc na niego z wściekłością w oczach, po czym nagle wystrzeliło pionowo w powietrze. Burton zadarł głowę. Napastnik wzleciał wysoko nad dachy magazynów... i znikł.

*** Rozdział 3 ***

Zlecenie

Umrzeć, mój drogi doktorze? Ależ to ostatnia rzecz, którą zamierzam zrobić!

lord Palmerston

Wielkie nieba! – wykrzyknął lord Palmerston. – W coś ty się znowu wpakował, kapitanie?

Powoli, ostrożnie, Burton usiadł na krześle naprzeciwko biurka premiera. Ciało miał całe w sińcach, podbite prawe oko, porozcinane i spuchnięte wargi.

– Drobny wypadek, sir. Nie ma się czym przejmować.

– Wyglądasz po prostu strasznie.

„I kto to mówi" – pomyślał słynny podróżnik.

Przez ostatnie dwa lata Palmerston przechodził opracowaną przez eugeników kurację przedłużania życia. Miał już siedemdziesiąt siedem lat, a można się było spodziewać, że dożyje sto trzydziestki. Kuracji towarzyszyła odnowa kosmetyczna. Luźną skórę na twarzy naciągnięto, usunięto złogi tłuszczu, wyeliminowano odbarwienia. W zmarszczki na czole, wokół oczu i wokół ust regularnie wstrzykiwano paraliżujące toksyny, co je wygładzało, wyostrzało też kontury twarzy, czyniąc ją taką, jak u młodego mężczyzny... czy też u woskowej figury, bo w opinii Burtona pan premier wyglądał tak, jakby właśnie urwał się z wystawy Madame Tussauds. Nie było w nim niczego naturalnego, wyglądał na luksusową parodię samego siebie, autokarykaturę: twarz zbyt biała i zbyt podobna do maski, usta za bardzo czerwone, bokobrody przesadnie bujne, wijące się włosy nazbyt długie i czarne, ciemnogranatowy aksamitny strój nadmiernie obcisły i fircykowaty, eau de Cologne użyta zanadto rozrzutnie, a ruchy przesadnie zmanierowane.

– No przecież! – wykrzyknął premier. – Nie pierwszy raz mocno pana poturbowali, prawda? Pamiętam, jak wrócił pan z Abisynii z tymi okropnymi ranami twarzy. Powiedziałbym, że masz nosa do kłopotów, Burton.

– Obawiam się, że to raczej kłopoty mają nosa do mnie – mruknął poszukiwacz przygód.

– Hmm... niech i tak będzie. W każdym razie, studiując pański życiorys, widzę w nim nieszczęście goniące nieszczęście.

Palmerston przeglądał raporty piętrzące się na jego biurku – ogromnym, masywnym,

ciężkim meblu z rzeźbionego mahoniu. Burtona rozbawił szczegół dekoracji: tuż pod blatem biegł fryz przedstawiający sceny wysoce erotycznej natury.

Sam blat bynajmniej nie zadziwiał obfitością znajdujących się na nim przedmiotów: podkładka, srebrne pióro w uchwycie, stelaż na korespondencję, karafka wody, smukła szklanka i – po lewicy siedzącego za biurkiem dostojnika – przedziwne urządzenie z mosiądzu i szkła, od czasu do czasu poświstujące cicho, emitujące przy tym kłąb pary. Burton nie próbował się nawet domyślać, do czego służy, zauważył jednak, że część mechanizmu, szklana rura o grubości mniej więcej jego przegubu, jest wpuszczona w biurko.

– Służył pan w Armii Wschodnioindyskiej pod dowództwem generała Napiera. Powierzał panu misje wywiadowcze, czy tak?

– Zgadza się. Posługuję się biegle wieloma językami, w tym także dialektem hindustańskim. Mogę z powodzeniem uchodzić za krajowca, więc był to, w mojej opinii, logiczny wybór.

– Iloma językami pan włada?

– W tej chwili dwudziestoma czterema plus kilkoma dialektami. Płynnie.

– Święty Boże! Zdumiewające!

Palmerston nadal grzebał w raporcie. Burtona zdumiewało – i napawało lekką grozą – że tyle zdążono już o nim napisać.

– Napier wyraża się o panu w samych superlatywach. Jego następca, Pringle, odwrotnie.

– Pringle to skretyniała ropucha.

– Doprawdy? Takie jest pańskie zdanie? Boże drogi, powinienem chyba stosować nieco ostrzejsze kryteria doboru ludzi, których mianuję na wysokie stanowiska, prawda?

Burton odkaszlnął.

– Proszę o wybaczenie. Nie powinienem był tego mówić.

– Z raportów wnoszę, że mówienie tego, czego nie powinieneś pan mówić, to kolejna z pańskich specjalności. Kim był pułkownik Corsellis?

– Jest, sir. On żyje. Kiedy go spotkałem, pełnił obowiązki dowódcy korpusu.

Palmerston spróbował unieść brwi, ale pozostały one nieruchome na jego ściągniętej twarzy.

– „Tu spoczywa ciałem Corsellis niebożę, reszta pułkownika z piekła ujść nie może” – przeczytał głośno.

Kąciki ust Burtona zadrżały lekko. Całkiem zapomniał o tej młodzieńczej rymowance.

– Szczerze mówiąc, sir, on sam poprosił mnie, żebym coś o nim napisał.

– Jestem pewien, że był zachwycony sposobem, w jaki jego prośba została spełniona – stwierdził Palmerston z miażdżącą ironią, niecierpliwie stukając palcami w blat biurka. Przyglądał się rozmówcy z namysłem. – Służbę czynną odbywał pan od czterdziestego drugiego do czterdziestego dziewiątego roku w Osiemnastym Bombajskim Pułku Piechoty Krajowej. Siedem lat nieustannej niesubordynacji i częstych zwolnień lekarskich.

– Wszyscy chorowali, sir. W owym czasie Indie nie sprzyjały dobremu zdrowiu. A jeśli chodzi o niesubordynację, byłem młody. To jedyne usprawiedliwienie.

Premier skinął głową.

– W młodości wszyscy popełniamy błędy w ocenie. Większości z nas są one

wybaczane i odchodzą w przeszłość, gdzie ich miejsce. Ale panu ciągle wiszą kamieniem u szyi. Mówię oczywiście o błędach popełnionych podczas śledztwa w Karaczi i plotkach, jakie wywołało.

– Chodzi panu o raport o męskich burdelach?

– Tak.

– Generała Napiera niepokoiła liczba odwiedzających je brytyjskich żołnierzy. Zlecił mi sprawdzenie, jak dalece demoralizujące mogą być te instytucje i uprawiane w nich praktyki. Wypełniłem rozkaz. Sprawdziłem.

– Według Pringle'a sięgnąłeś pan za głęboko.

– Interesujący dobór słów.

– Jego, Burton, nie mój.

– Rzeczywiście. Mam nieodparte wrażenie, że człowiek zastępujący jedno słowo innym często mówi nam o sobie więcej, niżby chciał.

– I co, pańskim zdaniem, powiedział nam o sobie Pringle?

– Ten człowiek złośliwie zszargał mi reputację. Oskarżył mnie o deprawację, dokładnie tę, której istotę miałem za zadanie zbadać. Prowadził przeciw mnie prawdziwą kampanię z zaciekłością dowodzącą jego irracjonalnej obsesji. W mojej opinii sugeruje to jedno.

– Mianowicie?

– Niedoskonale tłumioną chęć oddania się tejże właśnie deprawacji.

– To poważne oskarżenie.

– To nie oskarżenie, lecz przypuszczenie, wysunięte w prywatnej rozmowie. Proszę porównać to, co powiedziałem, z jego wściekłymi, wygłaszanymi publicznie protestami przeciwko mojemu, od początku do końca wyobrażonemu, postępowaniu. Wysuwane przez niego bezpodstawne zarzuty do dziś hamują rozwój mej kariery, a wówczas niemal ją zrujnowały.

Palmerston skinął głową. Odwrócił stronę.

– W rezultacie zostałeś pan pominięty w awansie na głównego tłumacza?

– Tak. Stanowisko to otrzymał człowiek władający jednym językiem oprócz ojczystego.

– Wydaje mi się to dość absurdalne?

– Cieszę się, że ktoś wreszcie nazwał rzecz po imieniu.

– To gorzkie słowa.

Burton milczał.

– Opuścił więc pan Kompanię Wschodniоindyjską z powodów zdrowotnych?

– Cierpiałem na malarię, dyzenterię oraz zapalenie spojówek.

– A także syfilis – podpowiedział Palmerston.

– Dziękuję za przypomnienie. Lekarze sądzili, że moje dni są policzone. Ja też tak sądziłem.

– Jak zdrowie obecnie?

– Malaria odzywa się od czasu do czasu. Chinina zazwyczaj przerywa jej ataki.

– Albo butelka ginu? Dwie butelki?

– Jeśli to konieczne...

Na bok powędrowała kolejna gęsto zapisana kartka.

– Powróciłeś pan do Anglii w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku. Zwolniony z powodu złego stanu zdrowia. Przygotowywał się pan do słynnej dziś pielgrzymki do

Mekki?

– To prawda, panie premierze. Czy mogę spytać, dlaczego tak obszernie omawiamy mój życiorys?

Lord Palmerston obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Wszystko we właściwym czasie, Burton – upomniał rozmówcę. Przeczytał kolejną stronicę, a potem, rzuciwszy mu krótkie, niemal przepraszające spojrzenie, sięgnął do szuflady. Wyjął z niej okulary pince-nez i z widocznym żalem zasadził je na nos. Ich soczewki zrobiono z niebieskiego, przydymionego szkła.

Odchrząknął.

– Dlaczego się pan na nią zdecydowałeś?

– Na pielgrzymkę? Byłem ciekawy. A także znudzony i niecierpliwy. Chciałem wyrobić sobie nazwisko.

– To ostatnie z pewnością się udało. Odbył pan całą podróż w przebraniu, jako krajowiec, mówiąc wyłącznie po arabsku?

– Tak. Jako derwisz Abdullah. Chciałem, by traktowano mnie jak swego, nie jak gościa. Od bardzo dawna jestem przekonany, że w każdej kulturze człowiekowi z zewnątrz pozwala się dostrzec tylko część prawdy. Część starannie wybraną. Pożądałem autentyczności.

– Zabił pan chłopca, unikając w ten sposób zdemaskowania jako niemuzułmanin?

– O tę zbrodnię jestem, jak się okazuje, oskarżany codziennie. Wczoraj wieczorem pytanie to zadano mi znowu, po raz nie wiem już który. Czy zabiłem chłopca? Nie, panie premierze, nie zabiłem. Nie jestem winien morderstwa ani chłopca, ani kobiety, ani mężczyzny, ani nawet psa.

– A czy byłbyś do tego zdolny, kapitanie?

Burton wyprostował się w krześle, zaskoczony. Oto po raz kolejny wracała kwestia, dyskutowana tak niedawno w Klubie Kanibali. Niezwykły zbieg okoliczności obudził przesądną część jego natury.

– Czy byłbym zdolny do popełnienia morderstwa z zimną krwią? Nie sądzę. Czy byłbym zdolny zabić człowieka w ogniu bitwy lub w samoobronie? Oczywiście. Być może zabijałem w Berberze, w okolicznościach uniemożliwiających obserwację skutków strzału lub ciosu szablą.

– A gdyby posiadał pan władzę wymagającą, by dla dobra sprawy wysłać człowieka na prawie pewną śmierć?

– Spełniłbym mój obowiązek.

Lord Palmerston skinął głową, jakby ta odpowiedź go zadowalała. Sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął z niej tabakierę, wysypał odrobinę drobnego proszku na grzbiet dłoni u nasady kciuka. Podniósł rękę, wciągnął go do nosa, prychnął, obrócił kolejną stronę raportu. Burton dostrzegł, że paznokcie ma wypielęgnowane, pokryte przezroczystym lakierem.

– Incydent w Berberze miał miejsce w pięćdziesiątym piątym – powiedział premier. – Pańskim towarzyszem był wówczas porucznik John Hanning Speke?

– Tak.

– Przy okazji, wczoraj wieczorem zasięgnąłem informacji o jego stanie. Umieszczono go w Prywatnym Sanatorium Penfold. Zdołał odstrzelić sobie połowę twarzy, lekarze nie dają mu szans na przeżycie.

Podróżnik skinął głową. Twarz miał nieruchomą jak z kamienia.

– Wiem – przytaknął.

Palmerston przyjrzał mu się z uwagą.

– Kolejny wróg?

– Najwyraźniej tak. A pan?

Jeśli tak bezczelnie bezpośrednie pytanie wstrząsnęło premierem lub choćby go zaskoczyło, nie okazał tego w żaden sposób. Burton napomniał się w myślach: ten człowiek nie był w stanie okazać niczego.

– Czy jestem pańskim wrogiem? Nie, nie jestem.

– To bardzo pocieszająca wiadomość. Tak, panie premierze, porucznik Speke rzeczywiście towarzyszył mi w wyprawie do Somalii. Mnie włócznia przebiła twarz, on także odniósł rany. Zginął porucznik Stroyan, jeden z naszych towarzyszy. W następnym roku, po krótkiej służbie na Krymie, zorganizowałem ekspedycję do Afryki Środkowej celem odnalezienia źródeł Nilu. Speke towarzyszył mi w niej, po czym mnie zdradził. Prasa szeroko się o tym rozpisywała. Zorganizowano konfrontację, miała odbyć się wczoraj w siedzibie Zgromadzenia Ogólnego Bath. Nie odbyła się. Na tym kończy się mój życiorys. Czy mógłbym się teraz dowiedzieć, co ja właściwie tu robię?

Usta Palmerstona rozchyliły się, wydając rechot, choć na wargach premiera nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

– O mój Boże! Doprawdy, kapitanie, jesteś bardzo niecierpliwym człowiekiem.

– Nie zaprzeczę. Co więcej, będę z panem szczery, panie premierze. Mam kaca i strasznie chce mi się siku, więc byłbym wdzięczny, gdybyśmy zrezygnowali z subtelności i przeszli wprost do sedna.

Palmerston kilkakrotnie uderzył pięścią prawej ręki w blat biurka. Odrzucił głowę. Wydał z siebie kilka zgrzytliwych dźwięków, których Burton, choć niezrównany tłumacz, nie potrafił zinterpretować. Mógł tylko założyć, że to śmiech. Rytmiczne chrypienie przeciągało się, z naturalnego zmieniło w udawane, aż wreszcie przeszło w rodzaj syku. Przez jeden raczej niesamowity moment wydawało się, że w panu premierze zrobiła się dziura, przez którą błyskawicznie uchodzi powietrze.

Burton zorientował się nagle, że coraz donośniejszy świst nie wydobywa się z premiera, lecz z dziwnego urządzenia wbudowanego w biurko. Spojrzał na nie właśnie, by zobaczyć, jak wpada w gorączkowe drżenie. Strzałka wskaźnika przesunęła się na pole oznaczone czerwonym kolorem. Z dźwiękiem, jaki wydaje wielki czop wybijany z beczki, mechanizm przeszył ostatni wstrząs, po czym ucichł i znieruchomiał. Z jego szczytu uleciała chmurka pary. Igła opadła w lewo, do zera.

Lord Palmerston zamknął usta. Spojrzał na urządzenie, chrząknął, wyciągnął rękę, pstryknął przełącznikiem. Otworzyły się małe drzwiczki, przez które wyskoczył pojemnik, lądując wprost na jego dłoni. Odkręcił wieczko, wyciągnął arkusik błękitnego papieru. Przeczytał liścik, skinął głową, spojrzał na Burtona i powiedział:

– Został pan zaakceptowany.

– To miłe – zauważył Burton. – Tylko czyja to akceptacja? I czego dotyczy?

– Jak to czyja? Pochodzi wprost z Buckingham Palace! Nasz król oferuje panu pracę!

Podróżnik dla odmiany zapomniał języka w gębie. Szczęka mu opadła. Twarz Palmerstona rozszerzyła się nagle na wysokości ust. Być może próbował się uśmiechnąć. Z całą pewnością nie był to miły widok.

– Właśnie dlatego wezwałem pana tutaj, Burton. Pałac się panem zainteresował. Po dłuższej dyskusji uznano, że dzięki dość niezwykłym umiejętnościom w połączeniu z,

powiedzmy, silną osobowością możesz pan przysłużyć się imperium. W sposób wyjątkowy, czyniąc coś, czego nie mógłby uczynić nikt inny. Mówimy o stanowisku stworzonym specjalnie dla pana.

Burton milczał. Myśli przelatywały mu przez głowę jak błyskawice. Próbował jakoś znaleźć się w tej niezwykłej sytuacji i pogodzić z faktem, że być może ktoś w pałacu słyszy każde wypowiadane tu słowo.

– Muszę przyznać – mówił dalej Palmerston – że postawiłeś mnie pan przed dylematem. Wiedziałem, że muszę coś z panem zrobić, ale nie miałem pojęcia co. Niepokoił mnie pański talent do przysparzania sobie wrogów. Obawiałem się, że jakiekolwiek dam ci stanowisko, kapitanie, natychmiast staniesz mi się kulą u nogi. Jeden z moich kolegów zasugerował, że powinienem pogrzebać cię w jakimś odległym konsulacie. Na szczycie listy znalazło się Fernando Po... ale dla pana nie jest to chyba tajemnicą?

Burton pokręcił głową przecząco. Na inną reakcję nie było go stać. Pamięć natychmiast podsunęła mu słowa: „Ożeń się z tą suką, Burton. Uspokój się, ustabilizuj. Zostań konsulem w Fernando Po, Brazylii, Damaszku czy gdzie tam te pierdoły cię wyślą".

– Kto o tym wie? – spytał tonem świadczącym o wielkim napięciu.

– Przepraszam?

– Kto wie o naszej rozmowie, o tej pracy, o konsulacie?

– O pracy tylko ja i pałac. – Palmerston postukał palcem w mosiężno-szklane urządzenie. – W tej sprawie kontaktowaliśmy się prywatnie. O tym, że w tej chwili tu rozmawiamy? Pałac, ja, mój prywatny sekretarz, strażnicy przy drzwiach, lokaj, służba, jeśli komuś zdarzyło się zobaczyć, jak pan wchodzi. O konsulacie? Pałac, ja i lord Russell, który podpowiedział to rozwiązanie. Skąd to pytanie?

Burton znał ministra spraw zagranicznych i wiedział, jak wygląda. Starszy, łysy mężczyzna o szerokiej twarzy w niczym nie przypominał napotkanego widma.

– Uważam za bardzo prawdopodobne – powiedział powoli – że w otoczeniu rządu lub rodziny królewskiej jest szpieg.

Palmerston znieruchomiał, tylko grdyka poruszała mu się w górę i w dół.

– Domagam się wyjaśnień – powiedział cicho.

Szybko, bez zbędnych ozdobników, Burton opowiedział o ataku widma. Premier słuchał go uważnie, nie wykonując żadnego, najdrobniejszego nawet ruchu. Niczym nie różnił się od figury woskowej, którą tak bardzo przypominał. A kiedy jego gość skończył, polecił mu opisać napastnika tak szczegółowo, jak to tylko możliwe.

– Był wysoki, wychudzony – padła odpowiedź. – Ramiona miał długie, cienkie, lecz żylaste i bardzo silne. Jego głowa zamknięta była w dużym, czarnym, lśniącym, okrągłym hełmie, wokół którego płonął niebieski ogień. Spod jego osłony patrzyły na mnie czerwone, szalone oczy. Twarz przypominała czaszkę: zapadnięte policzki, ostry nos, cienkie usta. Ciało okrywał opięty kombinezon, przypominający w dotyku rybią łuskę. Z ramion zwieszał się długi czarny płaszcz z białym podbiciem. Do piersi przymocowany miał okrągły aparat przypominający lampę, świecącą na czerwono, iskrzącą. Kościste dłonie wyglądały jak szpony. Okrywające stopy i łydki obcisłe buty, wyposażone w mechanizm przypominający sprężynowy, łączyły się z dwustopowymi szczudłami. – Burton umilkł na chwilę, po czym dodał ciszej: – Podczas pielgrzymki do Mekki wiele mówiono o złych dżjan...

– Dżjan? – przerwał mu Palmerston.

– A, przepraszam. To liczba mnoga od dżini. Chodzi o nawiedzające pustynię złe duchy. Uważam się za inteligentnego człowieka, więc oczywiście miałem te opowieści za manifestację zwykłych przesądów. Jednakże gdyby powiedział mi pan, że wczoraj w nocy spotkałem jednego z nich twarzą w twarz, mógłbym panu uwierzyć.

– Bo może był to właśnie on? – Palmerston spojrzał na aparat, drżący, wypluwający właśnie kłąb pary. – Słyszał pan kiedyś o Skaczącym Jacku?

Podróżnik spojrzał na niego zaskoczony.

– Nawet mi to do głowy nie przyszło – przyznał.

Skaczący Jack był mitycznym potworem. Matki straszyły nim niegrzeczne dzieci, gdy inaczej nie mogły skłonić ich do posłuszeństwa. „Bądźcie grzeczne, bo przyjdzie po was Skaczący Jack!”

– A więc szpieg przebrany za postać z folkloru – powiedział z zastanowieniem. – Ale... dlaczego? I dlaczego miałby atakować mnie? Co takiego interesującego może być w sugestii lorda Russella chcącego zrobić mnie konsulem?

– Być może jest więcej niż szpiegiem. Kapitanie Burton, chciałbym, by porozmawiał pan z detektywem inspektorem Williamem Trounce’em ze Scotland Yardu. W tysiąc osiemset czterdziestym roku, jako zwykły konstabl, był obecny na miejscu zabójstwa. Twierdzi, że widział tam tego Skaczącego Jacka. Mimo sprzeciwu zwierzchników wyraża niezłomne przekonanie, że istnieje on rzeczywiście, a nie jest tylko tworem wyobraźni zrodzonym z paniki lub histerii, jak utrzymują inni. Skaczący Jack omal nie zakończył jego kariery, ledwo się zaczęła. Przez dziesięć lat Trounce był pośmiewiskiem Scotland Yardu. Zajmowane obecnie stanowisko zawdzięcza wyłącznie determinacji i ciężkiej pracy. Pan ma swój kamień u szyi, on ma swój.

Burton rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Mam rozmawiać z nim... o czym?

– Będzie to początek pańskiego drugiego zadania. Wspomniałem, że proponujemy panu pracę. Król wybrał stanowisko agenta... z braku lepszego słowa. Jest niezwykłe. Pańskim zadaniem będzie badanie spraw leżących poza kompetencjami policji lub takich, których natura wymaga specyficznego podejścia, do jakiego Scotland Yard nie jest zdolny. Odpowiada pan przed Buckingham Palace i przede mną. Jeśli uznasz to za wskazane, panie Burton, możesz wydawać polecenia policji. Żyjemy w burzliwych czasach. Technicy przekraczają granice etyki, libertyni przekraczają granice moralności. Obie kasty są zbyt potężne, obie mają frakcje ekstremistów. Pałac niepokoi się tym, że nauka zmienia naszą kulturę za szybko i w zbyt wielkim zakresie, bez koniecznego okresu przejściowego, bez refleksji i konsultacji. Dobro imperium wymaga obecności kogoś potrafiącego odkrywać sekrety, podejmować błyskawiczne decyzje, kogoś nieustraszonego i niezależnego, kogoś takiego jak pan.

– To dla mnie zaszczyt, sir – powiedział podróżnik szczerze.

– Nie wydaję rozkazu. Jeśli nie chce pan tej pracy, konsulat czeka.

– Chcę tę pracę, panie premierze.

– Doskonale. Mam dla pana pierwsze zadanie, bo, o czym wspomniałem, Skaczącego Jacka należy uznać za drugie. Jeśli rzeczywiście w rządzie lub w pałacu jest szpieg, ma zostać zdemaskowany! A jeśli chodzi o misję podstawową, ma pan dowiedzieć się, czym są te stworzenia i skąd pochodzą.

Palmerston wyjął arkusz papieru z szuflady biurka. Przesunął go w kierunku

rozmówcy. Był to wykonany ołówkiem roboczy szkic przestawiający przysadzistego, niekształtnego człowieka z twarzą jak zwierzęcy pysk, upodabniającą go do złego psa.

– Mam znaleźć artystę? – spytał Burton.

– Nie. Wiem, kim jest artysta. To Francuz nazwiskiem Paul Gustave Doré. Pogrzebał się żywcem gdzieś na East Endzie i tam ukradkiem szkicuje sceny z życia biedoty. Jeden Bóg wie po co, ale artyści już tacy są z tymi ich absurdalnymi przekonaniami o godności biedy i co tam jeszcze. Nie, chcę, żebyś znalazł pan ludzi-wilki.

Burton spojrzał na niego zaskoczony.

– Ludzi-wilki? Pana zdaniem to jest szkic z natury?

– Tak, szkic z natury. Królewski sekretarz powiadomił Dorégo, że monarchia jest zainteresowana jego pracami. W odpowiedzi zaczął przysyłać niektóre do pałacu. To jedna z nich. Odwróć ją.

Na odwrocie szkicu widniała niestarannie nabazgrana notatka.

„Wasza Wysokość, oto jeden z *loups-garous* żyjących na swobodzie w Kotle, gdzie wszyscy bardzo się ich boją. Każdej nocy dochodzi do ataków i śmierci – o wiele liczniejszych, niż można się spodziewać w tej części miasta. Mieszkańcy Kotła nienawidzą policji i nie zwrócą się do niej w potrzebie. Tego *loup-garou* widziałem na własne oczy. Szkic przedstawia to, na co patrzyłem. Porwał chłopca, wyrwawszy przedtem serce jego ojcu. Doré”.

– Mój Boże!

– Osobiście sądzę, że ten Doré wpadł w towarzystwo palaczy opium – powiedział Palmerston – i że ma wywołane narkotykami zwidy. Może pan dowie się więcej? Z pańskimi zdolnościami do maskowania się, przebierania i przyjmowania różnych akcentów zdoła pan, jak sądzę, dotrzeć tam, gdzie nie dostanie się policja. Proszę znaleźć tego malarza i pogadać z nim.

Stukając i buchając parą, maszyna wyrzuciła z siebie drugi pojemnik. Premier podniósł go, otworzył, przeczytał wiadomość i podał kartkę gościowi.

– Pańska pensja.

Burton spojrzał na rząd nabazgranych na niej cyfr i szczęka mu opadła po raz drugi tego dnia.

W porównaniu z poprzednią nocą mgła zgęstniała w siarczany opar. Burton, którego nieprzyjemnie piekły od niej oczy, zatrzymał na Whitehall dorożkę miejską. Był to jeden z nowych czterokołowych pojazdów, napędzanych końmi parowymi. Jego silnik przypominał nieco słynną Rakietę Stephensona, choć był od niej o wiele mniejszy. Miał około pięciu stóp długości, trzy stopy szerokości i trzy stopy wysokości, za to cienki, prosty, bijący w niebo komin liczył sobie aż dziesięć stóp. Z obu stron przedniej osi dwa cienkie, wygięte pręty sterujące biegły do miejsca dla kierowcy, który siedział w „pudle” na samej górze wehikułu, za silnikiem. Dźwignie w uchwytach pozwalały regulować prędkość, a także hamować.

Mimo wysokości komina dym często owiewał mu twarz, toteż kierowca nosił dla ochrony gogle i skórzany hełm.

Burton wsiadł do pojazdu. Przez okno obserwował, jak odjeżdża od chodnika.

Londyńczycy niczym zjawy przemykali w mgle tak gęstej, że nożem ją krajać, to pojawiając się, to znikając, jakby niepewni własnej egzystencji.

Kac też znikł, jakby go nigdy nie było. Podróżnik czuł się dobrze – silny, pozytywnie nastawiony do życia. Wreszcie wiedział, co ma robić. W uszach brzmiały mu pożegnalne słowa Palmerstona:

– To nie robota dla żonatych, rozumie pan?

Burton rozumiał go doskonale.

Isabel za to nigdy nie zrozumie.

Prywatne Sanatorium Penfold, prowadzone przez siostry Zgromadzenia Szlachetnej Dobroczynności, mieściło się w St. John's Wood, w bok od Edgware Road. Dorożka zatrzymała się przed wejściem. Burton wysiadł, zapłacił kierowcy, a następnie wszedł po schodach do budynku.

Siostra przy biurku recepcji spojrzała na niego pytająco.

– Och! – krzyknęła. – Biedna ta pańska twarz, ale bardzo przepraszam, sir, my tu nie zajmujemy się drobnymi ranami. Był pan u swojego doktora? Skaleczenia wystarczy pewnie tylko oczyścić, a trochę maści doskonale poradzi sobie z podbitym okiem.

Podróżnik uśmiechnął się lekko.

– Szczerze mówiąc, siostro, przyszedłem w odwiedziny do porucznika Johna Speke'a. Gdzie go znajdę?

Kobieta spojrzała na niego zaskoczona.

– Ależ jego już u nas nie ma. Zabrano go dziś w nocy.

– Zabrano? Kto zabrał? Gdzie?

– No... hmmm... jego rodzina?

– To pytanie czy twierdzenie?

– Ależ nie... to znaczy chciałam powiedzieć tak... Przypuszczam, że zabrała go rodzina.

Burton zmarszczył brwi.

– Co się dzieje? Przypuszczam? O co tu chodzi?

– Jest pan krewnym porucznika Speke'a?

– Nazywam się Richard Burton. Może siostra o mnie słyszała?

– Ach tak, oczywiście, oczywiście, że słyszałam. To znaczy... okazało się... że porucznika Speke'a zabrano z sanatorium dzisiejszej nocy, podczas dyżuru siostry Raghavendry, a ona nie wypełniła odpowiednich papierów. Nie wiemy, kto go zabrał i dokąd.

– Ten człowiek spoczywał przecież na łożu śmierci! Do licha, jak mogła dopuścić, by zabrano go bez dopełnienia procedury!

– Powiedziała, że... że zachorowała i nie pamięta przebiegu wypadków.

– Doprawdy? A o której miało miejsce to wydarzenie?

– Około czwartej nad ranem. O tej porze dyżuruje niewielu pracowników.

– I Speke jeszcze żył?

– Tak, proszę pana. Chociaż, przyznaję z żalem i przykro mi wypowiadać te słowa, nie sądzę, by przeżył bez naszej opieki.

– Chciałbym zobaczyć się z pielęgniarką... z siostrą Raghavendrą.

– Niestety, nie ma jej w pracy. Została zawieszona w pełnieniu obowiązków i odesłana do domu. Była bardzo zdenerwowana.

– Gdzie mieszka?

– Och, tego nie mogę panu powiedzieć, panie Burton. To wbrew naszym zasadom.

– Do diabła z waszymi zasadami! Mieliśmy właśnie szansę przekonać się, że nic nie znaczą.

– Ależ sir! – Wzburzona siostra patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Burton wyjął z kieszeni portfel, a z portfela złożony dokument. Podał go dyżurnej.

– Spojrzyj no na podpis, młoda damo. Z pewnością nie jest ci nieznany.

– Nie... tak! O Boże! Ten sam jest na banknocie funtowym!

– To teraz proszę przeczytać ten paragraf. – Podróżnik wskazał palcem krótki fragment tekstu.

Siostra zastosowała się do jego polecenia. Zacisnęła usta.

– Doskonale, sir. Wygląda na to, że nie mam wyboru. Siostra Raghavendra mieszka tutaj. – Zapisała adres na kawałku papieru, wręczyła go gościowi.

– Dziękuję.

Burton obrócił się do wyjścia, zadowolony z wrażenia, jakie wywiera dokument wystawiony mu rano przez Palmerstona.

– Sir Richardzie! – zawołała pielęgniarka.

Obejrzał się przez ramię. Dziewczyna patrzyła na niego z uśmiechem.

– Proszę posmarować sobie oko olejem rycynowym. Zapobiega opuchliźnie.

Burton puścił do niej oczko i wyszedł.

Dorożka nadal stała przy krawężniku.

– Ty nadal tutaj? – zawołał do kierowcy.

– Och, oczywiście, panie. Pomyślałem sobie, że czekać na pasażera to lepszy interes, niż w londyńskim smrodzie uganiać się za nowym.

– Zabierzesz mnie na Bayham Street trzy? To obok Mornington Crescent.

– Z zamkniętymi oczami, panie... Przy tej nieszczęsnej mgle zresztą na to samo wyjdzie. Wskakujcie.

Burton ulokował się na siedzeniu. Zamknął drzwi. Parowe konie warknęły, pojazd ruszył, a on przetarł podrażnione oczy. Wydawał się sobie lepki od brudu, ze skórą pokrytą sadzą i mnóstwem innych zanieczyszczeń. Zastanawiał się, czy już ewakuowano Limehouse. Podczas poprzedniej mgły, dwa tygodnie temu, toksyczne gazy wypełniły basen Tamizy. Tłum marynarzy, narkomanów i nielegalnych emigrantów: Hindusów ze statków, indyjskich bandytów, Chińczyków, Afrykanów, uchodźców z Irlandii, wyległ na Whitechapel. Rozruchy trwały trzy dni, a kiedy mgła się rozeszła i wszyscy ci ludzie wrócili do swych nor i palarni opium, okazało się, że wzdłuż Commercial Road leżą setki uduszonych trupów. Wobec realnego niebezpieczeństwa wybuchu epidemii cholery i skokowego wzrostu liczebności i tak niekontrolowanej populacji szczurów rząd poczuł się w obowiązku wezwać armię do oczyszczenia ulic i spalenia ciał. Od tej pory gazety zaczęły wzywać do „zdobycia Limehouse", wysiedlenia jego mieszkańców i zrównania go z ziemią. Zdaniem Burtona było to mało prawdopodobne. Handel opium potrzebował Limehouse, a w imperium, jak sądził kapitan, istniały potężne siły czerpiące z handlu opium równie potężne korzyści.

Droga na Mornington Crescent zabrała znacznie więcej czasu, niż powinna. Kierowca

dwukrotnie pomylił drogę i kiedy wreszcie zatrzymał się na Bayham Street, był tak zażenowany, że aż wzbudzał litość.

– Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło, słowo daję, szefie – jęknął. – Jakem Montague Penniforth, przysięgam, że znam każdy zakątek tego miasta. Tylko ta nasza specjalność kompletnie pomieszała mi w głowie. Nie daję rady myśleć, a co dopiero prowadzić tę śmierdzącą chabetę koniecznie we właściwym kierunku.

Burton wiedział, o czym mówił kierowca. Któryś ze składników mgły powodował, że i on był lekko zamroczony, a tego po suto zakrapianym wieczorze w Klubie Kanibali doprawdy nie potrzebował.

– Nie ma się czym przejmować, panie Penniforth – powiedział. – Oto kilka szylingów na pociechę. Może pora dać sobie spokój na dziś? Niech pan wraca do domu, spędzi trochę czasu ze swoją panią.

– A to dopiero! – Penniforth zakaszlał. – Też pomysł! Daisy przerobiłaby moje flaki na podwiązki, gdybym pojawił się w domu przed północą. Nienawidzi mnie jak zarazy!

Burton roześmiał się.

– A więc poczekaj na mnie, proszę, jeśli nie masz nic lepszego do roboty. To nie potrwa długo, a obiecuję ci jeszcze jednego szylinga.

– Mam dziś szczęśliwy dzień. – Kierowca wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Pociągnę sobie z fajeczki, pora napełnić biedne płuca przyzwoitym dymem.

Podróżnik zostawił Montague Pennifortha czyszczącego cybuch obrzydliwej czereśniowej fajki. Ruszył chodnikiem, sprawdzając numery domów. Trójka okazała się być jednym z trzypiętrowych szeregowców. Przez okienko u góry drzwi wejściowych przedzierało się słabe światełko. Szarpnął sznur, gdzieś w głębi domu odezwał się dzwonek.

Po dłuższej chwili na progu stanęła starsza kobieta w żałobie, z twarzą ukrytą pod czarnym welonem.

– Tak? – szepnęła. W jej głosie brzmiał cień podejrzliwości, bowiem choć jej gość był niewątpliwie dżentelmenem, twarz miał pociętą, pokrytą sińcami, wręcz barbarzyńską.

– Bardzo panią przepraszam – przemówił sir Richard grzecznie. – Czy mieszka tu siostra Raghavendra?

– Owszem, sir, na drugim piętrze. Pan z sanatorium?

– Jadę wprost stamtąd. – Nie była to dokładnie odpowiedź na zadane pytanie, ale dama najwyraźniej nie zorientowała się w tym, a także uspokoiła, słysząc niski, grzeczny, melodyjny głos.

– Jeśli życzy pan sobie porozmawiać z siostrą, posłużę jako przyzwoitka – powiedziała cichym, słabym głosem.

– To bardzo miło z pani strony.

– A więc proszę zejść z tej mgły. Może pan zaczekać w holu.

Burton przejechał podeszwami butów po leżącej na progu żelaznej wycieraczce, po czym wszedł do obskurnego holu, którego ściany zawieszone były oprawionymi obrazami i fotografiami, a także malowanymi talerzami i krucyfiksami. Gospodyni zamknęła za nim drzwi. Z pobliskiej półeczki wzięła mały srebrny dzwoneczek. W odpowiedzi na jego cichy brzęk skądś wybiegła krzepka młoda dziewczyna z dłońmi, przedramionami i nawet czubkiem nosa ubrudzonymi mąką. Dygnęła niezdarnie.

– Tak, pszepani?

– Biegnij do siostry Raghavendry, Polly, i powiedz jej, że ma gościa, pana...?

– Kapitana Burtona. – Burton niemal zawsze używał swego wojskowego stopnia. Uważał, że „sir Richard” brzmi pretensjonalnie.

– A więc kapitana Burtona. Możesz powiedzieć także siostrze Raghavendrze, że jeśli chce go widzieć, odprowadzę pana kapitana do jej pokoju dziennego.

– Tak, pszepani.

Służąca pobiegła po schodach i znikła im z oczu.

– Niezdarna dziewucha, ale dobrze mi służy – powiedziała gospodyni. – Nazywam się Emily Wheeltapper, kapitanie. Mój świętej pamięci mąż, kapitan Anthony Wheeltapper, służył w Siedemnastym Regimencie Szwoleżerów. Padł pod Bałakławą. Jestem już w siódmym roku żałoby. Dobry był z niego człowiek.

– Wyrazy współczucia.

– Może filiżankę herbaty, kapitanie?

– Proszę się mną nie przejmować. Nie zajmę pani wiele czasu.

– Biedna dziewczyna ma jakieś kłopoty? Rano wróciła do domu, zalewając się łzami. Tam, w sanatorium, stało się coś złego?

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć, pani Wheeltapper.

Na schodach zadudniły ciężkie kroki służącej.

– Powiedziała, żeby wejść, pszepani.

– Dziękuję, Polly. A teraz marsz do kuchni. Babeczki same się nie zrobią. Proszę za mną, kapitanie.

Stara dama wspinała się po schodach powoli, a Burton cierpliwie szedł za nią.

Siostra Raghavendra czekała na nich na podeście drugiego piętra. Zdaniem Burtona miała dwadzieścia parę lat i przy swej ciemnej karnacji, z czarnymi oczami w kształcie migdałów, była bez wątpienia bardzo piękna. Urody dodawał jej krótki, prosty nos oraz pełne, zmysłowe usta, nieco prostokątne w kształcie, co częściej spotyka się u kobiet z Ameryki Południowej. Czarne włosy, choć spięte, nie pozostawiały wątpliwości, że w naturze są bardzo długie i lśniące.

W powietrzu unosił się zapach jaśminu.

Pielęgniarka przypominała Burtonowi perską dziewczynę, z którą kiedyś spał. Gdy ich oczy spotkały się, poczuł dreszcz podniecenia.

– To pan jest kapitanem Burtonem? – spytała dziewczyna słodkim głosem z lekkim cudzoziemskim akcentem. – Przypuszczam, że przyszedł pan w sprawie porucznika Speke’a? Zapraszam pana do siebie.

Wszedł za nią do małego, skromnie umeblowanego pokoju. Usiadł na fotelu, który mu wskazała. Ona i gospodyni zajęły miejsca na kanapie. Podróżnik zwrócił uwagę na statuetkę Ganeshy na półeczce nad kominkiem, niedbale rzucony na stół czepek pielęgniarski i stojącą na toaletce buteleczkę laudanum.

Siostra Raghavendra siedziała prosto, sztywno wyprostowana, z dłońmi złożonymi na kolanach równo, lecz z pewnym wdziękiem. Ubrana była nadal w strój służbowy: sięgającą podłogi bladoszarą suknię z wysokim kołnierzem i długimi rękawami, na którą narzuciła krótki biały żakiet.

– Za pozwoleniem pani Wheeltapper – rozpoczął Burton życzliwie, łagodnym głosem – chciałbym zapytać panią o zdarzenia zeszłej nocy, kiedy to Johna Speke’a zabrano z sanatorium.

Starsza dama poklepała lokatorkę po dłoni.

– Czy godzisz się na to, kochanie? – spytała.

– Oczywiście – odpowiedziała pielęgniarka. Zabrzmiało to zaskakująco władczo. – Odpowiem na wszystkie pana pytania najlepiej jak potrafię, kapitanie.

– Miło mi to słyszeć. Może po prostu proszę opowiedzieć, co się stało.

– Oczywiście, nie zamierzam niczego ukrywać. Mój dyżur zaczynał się o północy, kończył o szóstej. Przydzielono mnie do pułkownika Speke'a, miałam jedynie siedzieć przy nim i kontrolować jego stan. Proszę o wybaczenie tych brutalnych słów, kapitanie, ale spodziewaliśmy się, że umrze lada chwila. Miał bardzo poważnie uszkodzoną lewą część głowy i twarzy. Obecność pielęgniarki przy jego boku nie była konieczna z medycznego punktu widzenia, nie istniał sposób na uratowanie go, ale zasady nie pozwalają nam zostawić umierającego samemu sobie. Na wypadek gdyby tuż przed śmiercią odzyskał przytomność i mógł przemówić, poprosić o coś, coś wyznać.

– Doskonale to rozumiem.

– Przez cztery godziny czytałam mu, a potem przerwał mi mężczyzna, który wszedł do jego pokoju.

Siostra umilkła. Przyłożyła dłoń do gardła, odetchnęła głęboko i mówiła dalej:

– Nie potrafię go opisać. Nie potrafię odtworzyć w pamięci jego obrazu. Wiem, że szedł cicho, a potem, potem...

Na jej czole pojawiły się kropelki potu. Przygryzła wargę, wsunęła palec za kołnierzyk sukni, jakby chciała go rozluźnić.

– Zemdlałam? – spytała niepewnie. – Ale... dlaczego miałabym mdleć?

– Co było dalej? Co pani pamięta?

– Znalazłam się... no... znalazłam się w lobby, przy stanowisku recepcji. Pchałam wózek i czułam... czułam zadowolenie, bo porucznik Speke trafił w dobre ręce.

– Czyje?

– Wydawało mi się, że rodziny, ale... nie wiem. – Opuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

Pani Wheeltapper pogładziła lokatorkę po ramieniu, uspokajając ją melodyjnym pomrukiem bez słów.

Sir Richard Francis Burton słuchał nie tylko słów dziewczyny, lecz także sposobu, w jaki je wymawiała, i z właściwym sobie rodzajem geniuszu uznał, że pochodzi ona, a przynajmniej jej rodzina, z dystryktu Mysore w południowych Indiach, a dokładnie z rejonu Bangalore. Przemówił do niej w jej dialekcie:

– Zostałaś zauroczona, młoda damo. Rozpoznaję oznaki uroku jak ty, pielęgniarka, rozpoznajesz symptomy choroby. Świeżo otwarta butelka laudanum na toaletce sugeruje, że cierpisz na ból głowy. To także skłania mnie do przypuszczenia, że doświadczyłaś traumatycznego szoku, a pamięć o nim ukryłaś głęboko w swym umyśle. Uwierz mi, proszę, na słowo: dla ciebie to bardzo niedobrze, żeby została tam ukryta jak rodzący się rak. Trzeba go wydobyć na powierzchnię, przyznać, że istnieje, a potem stanąć z nim do otwartej walki, podporządkować go sobie, pokonać. Siostro Raghavendro, posiadam magnetyczną moc oddziaływania. Jeśli pozwolisz, jeśli oddasz się pod moją opiekę i odeślesz tę szlachetną starszą damę, być może zdołam złamać urok i odkryć, co ukrywa. Chodzi mi wyłącznie o twoje dobro, nie powinnaś się mnie bać ani wątpić w moje zdolności mesmerysty.

Pielęgniarka spojrzała na niego pięknymi oczami, rozszerzonymi ze zdumienia i zachwytu.

– Mówisz moim językiem! – wykrzyknęła w swej mowie.

– Tak. I znam Bangalore. Zaufasz mi, siostro?

– Mam na imię Sadhvi – westchnęła Hinduska. – Proszę, pomóż mi pamiętać. Nie chcę stracić pracy, nie mając pojęcia, dlaczego ją straciłam.

– Ależ chwileczkę! – zaprotestowała pani Wheeltapper zrzędliwie. – Co tu się dzieje? Nie toleruję szachrajstwa w moich progach. I ten niezrozumiały żargon! Mam nadzieję, że to nie słodkie słówka, wymieniane bezczelnie pod nosem biednej, starej wdowy?

Burton puścił dłoń dziewczyny, uśmiechnął się uroczo.

– Nie, proszę pani, oczywiście, że nie. Tak się składa, że znam miasto, w którym urodziła się siostra Raghavendra, i mówię jej ojczystym językiem. Wzruszyła się, słysząc go z moich ust.

– To prawda – wtrąciła pielęgniarka. – Nie potrafi pani sobie nawet wyobrazić, jaką radość sprawiło memu sercu takie przypomnienie kraju dzieciństwa.

Starsza dama wyrzuciła ręce w powietrze.

– Och! – krzyknęła głosem pełnym ożywienia, jakiego Burton zupełnie się po niej nie spodziewał. – Och, jakie to cudowne! Masz wielkie szczęście, kochanie!

– To prawda, to prawda... – Siostra Raghavendra skinęła głową. – Proszę pani, jestem więcej niż pewna, że możemy zaufać naszemu drogiemu kapitanowi. Nie wątpię, że zachowa się godnie. Za pani pozwoleniem porozmawiam z nim chwilę w moim języku, o jego podróżach po mej ojczyźnie. Dla pani byłoby to tylko nudne. Dlaczego nie miałaby pani zająć się tym, co robiła pani do tej pory? Czuję te wspaniałe zapachy... W kuchni znów dzieją się cuda?

Pani domu wsunęła pod woalkę sękatą dłoń. Zachichotała.

– Głuptasek – prychnęła. – Przecież wiesz, że to Polly gotuje. Kontroluję ją, oczywiście, ale ona zawsze dodaje tę swoją specjalną przyprawę: absolutny antytalent do gotowania!

Wszyscy troje roześmieli się serdecznie.

– Pani Wheeltapper – powiedział Burton, poważniejąc – przed kilkoma miesiącami król uhonorował mnie tytułem szlacheckim. Mogę dać pani słowo, że nie sprzeniewierzę się mu przez jakikolwiek niewłaściwy uczynek.

Wypowiadając te słowa, Burton już zadawał sobie pytanie, czy może sobie zaufać i czy będzie w stanie dotrzymać obietnicy.

– O Boże! – zagruchała dama. – Szlachcic. Sir w moim własnym domu! Taki zaszczyt mnie spotkał. Jeszcze nigdy...

Podniosła welon. Obwisła twarz pokryta wątrobianymi plamami, choć dziś stara, dawała dobre pojęcie o tym, że kobieta ta była kiedyś bardzo atrakcyjna, a i teraz nabrała urody dzięki swobodnemu, serdecznemu uśmiechowi, skierowanemu ku słynnemu badaczowi, mimo iż ukazał on brak dwóch spośród szeregu pożółkłych zębów. Niebieskie oczy błyszczały tak zaraźliwym humorem, że Burton nie potrafił nie odpowiedzieć uśmiechem.

– Proszę o wybaczenie – usprawiedliwiła się gospodyni. – Potraktowałam pana jak zwykłego gościa, a pan jest przecież niewątpliwie człowiekiem wielkiej kultury, takim jak mój Tony, niech Bóg ma w opiece jego duszę. Oczywiście, że nie odmówię wam chwili odosobnienia.

Wstała. Burton zerwał się na równe nogi. Odprowadził ją do drzwi.

– Szarmancki dżentelmen – westchnęła dama. – Jakie to cudowne.

– Było mi bardzo przyjemnie poznać panią, pani Wheeltapper. Porozmawiam z siostrą

Raghavendrą i będę musiał iść, ale czy wolno mi odwiedzić panią kiedyś, w przyszłości? Znam Siedemnasty Regiment Szwoleżerów i z wielkim zainteresowaniem posłucham o służbie pani zmarłego męża w tej formacji.

Po policzku starej kobiety spłynęła łza.

– Kapitanie... sir Richardzie... sir... będzie pan mile widziany w tym domu, ilekroć zechce pan go odwiedzić.

– Dziękuję, szanowna pani.

Burton zamknął za gospodynią drzwi. Powrócił do Sadhvi Raghavendry, jedynego prawdziwego powodu, dla którego byłby skłonny powrócić na Bayham Street 3. Usiadł.

– Co wie pani o mesmeryzmie? – spytał.

– Kiedy byłam dzieckiem, wielokrotnie widziałam stosowany w praktyce.

– Przeraża cię?

– Nie. Chcę wiedzieć, czym jest to, czego nie pamiętam. Jeśli zachodzi konieczność wprawienia mnie w trans, proszę bardzo.

– Dobra dziewczynka. Chwileczkę, muszę usiąść bliżej.

Podróżnik przysunął fotel i ustawił go tak, by siedzieć z siostrą twarzą w twarz. Patrząc wprost w piękne oczy pielęgniarki, powiedział w jej ojczystym języku:

– Odpręż się. Nie spuszczaj wzroku!

Spojrzenia dwóch par ciemnych, bezdennych oczu spotkały się i nie rozeszły.

– Masz długie rzęsy – powiedziała dziewczyna.

– Ty także. Nic nie mów. Odpręż się. Oddychaj w tym samym rytmie co ja. Wyobraź sobie, że pierwszy oddech wypełnia ci prawe płuco. Wdychaj powietrze powoli, wydychaj powoli. Kolejny oddech płynie do lewego płuca. Powoli, powoli. I następny do środka piersi. Zaczerpnij powietrza, wypuść powietrze.

Uczył ją techniki sufich. Dziewczyna oddychała już we właściwym rytmie. Siedziała pozornie całkowicie nieruchomo, ale w rzeczywistości kołysała się niemal niezauważalnie w rytmie, w którym Burton rozpoznał rytm bicia jej serca.

Cichym, spokojnym głosem podawał jej kolejne instrukcje. Wprowadził ją w cykl czterech oddechów, każdy skierowany do innej części ciała. Umysł pielęgniarki, podporządkowany skomplikowanemu ćwiczeniu, stopniowo poddawał się jego władzy. Widział to we wspaniałych, błyszczących oczach. Ich źrenice stawały się coraz szersze.

Nagle te czarne punkty zamknęły się z obu boków do środka, tworząc pionowe linie, a ciemnobrązowe tęczówki zabłysły jaskrawym różem. Patrzyło na niego coś przepełnionego złą wolą.

Burton zamrugał ze zdumienia. Iluzja – jeśli była to iluzja – natychmiast znikła.

Siostra Raghavendra znowu miała piwne oczy o czarnych, szeroko rozwartych źrenicach. Była w transie.

Podróżnik błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą.

– Chcę, byś powróciła do zdarzeń ostatniej nocy. Wróć do Prywatnego Sanatorium Penfold. Wróć do pokoju porucznika Speke’a. Czytałaś mu, ale ktoś ci przerwał. Do pokoju wszedł mężczyzna...

– Tak – przytaknęła cicho Hinduska. – Otwierające się drzwi skrzypią cicho. Podnoszę wzrok znad książki. Słyszę krok i... i on stoi na progu.

– Opisz go. Szczegółowo.

Dziewczyna zadrżała.

– Co za człowiek! Takiego jeszcze nigdy nie widziałam. Ma na sobie surdut z

pogniecionego czarnego aksamitu, koszula, spodnie, buty i kapelusz też są czarne, ale skóra i włosy, proste, długie włosy, sięgające poniżej kołnierza, bieluteńkie jak śnieg! To albinos! W jego całej postaci nie ma śladu pigmentu oprócz oczu, okropnych, różowych, z pionowymi źrenicami jak u kota.

Burton poruszył się niespokojnie. Takie właśnie oczy spojrzały na niego z twarzy pięknej Hinduski zaledwie przed chwilą.

– Z jego twarzą też coś nie jest w porządku – mówiła dalej dziewczyna. – Dolna i górna szczęka są trochę za bardzo wysunięte, przez co jest podobna do pyska, uśmiecha się i zęby ma... psie! Wchodzi do pokoju, patrzy na porucznika, patrzy na mnie i każe mi przyprowadzić wózek. Muszę być mu posłuszna. Jakbym nie miała własnej woli.

– Więc wychodzisz z pokoju?

– Na chwilę. Wracam z wózkiem, jest ich trzech... trzech...

Przerwała, tylko jęczała cienko.

– Nie bój się – uspokoił ją Burton. – Jestem przy tobie. Nic ci nie grozi. Powiedz mi, co widzisz w pokoju.

– Trzech mężczyzn, to znaczy... wydaje mi się, że są mężczyznami, ale może to wcale nie ludzie? Są niscy, noszą czerwone płaszcze z kapturami i... każdy z nich jest jakiś pokręcony. Ciała mają za długie i za wąskie w biodrach, klatki piersiowe za potężne, ramiona za szerokie, nogi za krótkie. A ich twarze... są takie...

– Mów dalej.

– Och, tylko nie to! Mają psie pyski!

Burton wyprostował się w fotelu zaskoczony. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej szkic Dorégo. Rozłożył go, podał dziewczynie.

– Takie? – spytał.

Dziewczyna szarpnęła się, zadrżała gwałtownie.

– Tak! Proszę... proszę, powiedz mi, kim są? – podniosła głos, który nagle stał się piskliwy. – Czym oni są?

Burton ujął ją za ręce, pieścił kciukami wierzch jej dłoni. Ich skóra była gładka, miękka i ciepła. Poczuł odurzający zapach jaśminu.

– Ciii. Nie bój się. To już minęło, Sadhvi. To już przeszłość.

– Przecież nie są ludźmi!

– Zapewne nie. Powiedz mi, co było potem.

– Wracam do pokoju porucznika Speke’a. Z wózkiem. Widzę te trzy... stworzenia. Albinos chwyta mnie z tyłu, przytrzymuje mnie, zakrywa mi usta ręką. Jest taki silny! Nie mogę się ruszyć! Jego ludzie... psy... podnoszą porucznika z łóżka, sadzają go na wózku. Wyjeżdżają z pokoju.

– Nie ma w pobliżu innych pielęgniarek? Nikt ich nie widzi?

– Nie, chyba nie, ale dzięki panu coś sobie uświadomiłam. Sanatorium, a przynajmniej to jego skrzydło, wydaje się bardzo ciche... bardziej, niż ma prawo być, zwłaszcza o tej godzinie.

– Więc te psie stwory wychodzą z pokoju. Co dalej?

– Ten mężczyzna obraca mnie, patrzy mi w oczy, każe zapomnieć. Wolno mi tylko pamiętać, że porucznika zabrała jego rodzina. Wychodzi z pokoju, idę za nim korytarzem do recepcji. Dziwnie się czuję. Mijamy stojące nieruchomo pielęgniarki, on zwraca się do każdej z nich, coś do nich cicho mówi. Dochodzimy do recepcji, widzimy wózek, jest pusty. Albinos każe mi do niego podejść, więc podchodzę. Mówi coś do siostry w

recepcji, a ona zaczyna mrugać i rozgląda się dookoła. Potem podchodzi do drzwi, mija mnie, mówi: „Przebudź się”.

Dziewczyna westchnęła i wyraźnie się rozluźniła.

– Wyszedł.

– A ty pchasz wózek i nie pamiętasz nic z tego, co zaszło?

– Tak.

– Doskonale. Zamknij oczy. Skoncentruj się na rytmie oddechu.

Dłonie siostry Raghavendry wyślizgnęły się z jego dłoni, ciało rozluźniło się, głowa opadła na pierś.

– Sadhvi – szepnął Burton – będę liczył od dziesięciu. Usłyszysz, jak liczę, i będziesz się stopniowo budziła. Kiedy powiem „zero”, odzyskasz świadomość. Obudzisz się przytomna, wypoczęta i będziesz pamiętała wszystko. Nie musisz się niczego bać. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

Powieki okrywające piękne oczy zadrżały, rozchyliły się, źrenice zwęziły, dziewczyna spojrzała na niego, poderwała dłoń do ust.

– Dobry Boże! – krzyknęła. – Czy to się naprawdę zdarzyło?

– Tak, Sadhvi, to się rzeczywiście zdarzyło. Połączenie szoku i sugestii hipnotycznej odebrało ci pamięć, lecz ona już do ciebie wróciła. Odzyskaliśmy ją.

– Te jakieś psy... były naprawdę obrzydliwe.

– Podejrzewam, że eugenicy maczali w tym palce.

– Nie! Nie wolno im tak krzywdzić ludzi!

– Może nie ludzi skrzywdzili, tylko psy? Albo wilki?

Dziewczyna spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami.

– Tak... – szepnęła. – Wilki.

– Ale dlaczego uprowadzili Speke’a? To mnie niepokoi – powiedział Burton z namysłem. Wstał. – W każdym razie dziękuję, siostro Raghavendro. Bardzo mi pomogłaś.

Hinduska wstała z sofy, podeszła do niego, położyła mu dłonie na piersi.

– Kapitanie, ten albinos... To... on jest zły. Czułam to. Będzie pan na siebie uważał... proszę.

Burton nie zdołał się powstrzymać. Objął jej smukłą talię, przytulił dziewczynę, spojrzał w jej piękne, przepełnione smutkiem oczy.

– Och! – szepnęła dziewczyna. Nie zaprotestowała.

– Będę ostrożny – głos podróżnika był cichy, schrypnięty. – A kiedy tajemnica przestanie już być tajemnicą, czy mogę powrócić, by ci o tym opowiedzieć?

– Tak. Wróć, kapitanie Burton, bardzo cię proszę, wróć.

Przyszło południe, lecz Londyn pogrzebała gęstniejąca mgła, całkowicie odcinając go od światła słonecznego. Próbował generować swe własne: latarnie gazowe i okna domów świeciły w ciemności, ale próby te niszczone były w zarodku, redukowane do nędznych plam: żółtych, czerwonych i pomarańczowych. A pomiędzy tymi plamami wił się przytłaczający ogromem, obrzydliwy mrok, niczym pożerająca świat żywa istota.

– To pan, szefie? – dobiegł go z góry szorstki głos.

– Tak, to ja, panie Penniforth. Nadal pan oddychasz?

– Ano oddycham. Pociągnąłem sobie z fajeczki. Nie ma jak latakia na odymienie miechów. Niech pan siada wygodnie, a ja zapalę latarnię. I proszę mi mówić Monty.

Burton wspiął się do powozu.

– Miechy – prychnął. – Płuca masz raczej jak dwie turbiny, skoro radzą sobie i z tą mgłą, i latakią. Do Scotland Yardu, dobrze?

– Jasne. Jedną chwileczkę, szefie.

Pasażer lokował się możliwie wygodnie, a Penniforth tymczasem zszedł z pudła, zapalił zapałkę, przyłożył ją do latarni zawieszonych z przodu silnika oraz przed i za kabiną pasażera, a potem wrócił na miejsce, obwiązał chustą dolną część twarzy, poprawił gogle, nasunął kapelusz nisko na oczy i zacisnął dłonie na dźwigniach sterujących.

Maszyna zakaszlała, prychnęła, strzeliła dymem w i bez niego wręcz ołowianą, londyńską atmosferę.

Odjechała od krawężnika, ciągnąc za sobą kabinę.

– No to w drogę, w wielkie nieznane – burknął pod nosem kierowca.

W chwili gdy ostrożnie wyjeżdżali z Mornington Crescent na Hampden Road, z lewej dobiegł ich głośny trzask i brzęk tłukącego się szkła.

– Ostrożnie – napomniał się Penniforth. – Nie chcesz przecież wjechać w wystawę sklepową, prawda? Powiem otwarcie, że to nieodpowiedzialność prowadzić pojazd w tę pogodę.

Wjeżdżali w Tottenham Court Road, gdy na ziemię spadły „czarnuszki”. W górnych warstwach mgły pył węglowy łączył się z cząsteczkami lodu, po czym osiadał na ziemi niczym czarny śnieg. Widok ten był doprawdy obrzydliwy.

Jechali dalej. Pennifortha bardziej prowadził instynkt, wspomagany niesamowitą wręcz znajomością miasta, niż wzrok. Mimo to więcej niż raz zdarzyło mu się skręcić w złą ulicę. Parowy koń prychał i gulgotał.

– Tylko mi się nie skarż – przestrzegł go kierowca. – Dobry z ciebie ciepły kociołek, z pewnością cieplejszy ode mnie. Tu na górze ziąb taki, że od wihajstra odpada ci sam wiesz co.

Silnik syknął donośnie.

– A więc o to ci chodzi? Czujesz się niezadowolony z życia?

Odpowiedział mu cienki gwizd i bulgotanie.

– Zamiast zanudzać mnie perełkami swojej mądrości, lepiej patrz, gdzie jedziesz.

Wehikuł rozszczękał się i rozdzwonił – to koła wpadły w dziurę w jezdni.

– Och, maszynko, dobra z ciebie dziewczynka! Wio, dziecino, hop przez przeszkody.

Parowa dorożka, dysząc ciężko, przejechała przez Leicester Square i Charing Cross Road, mijając antykwariaty, wypełnione książkami dawno niewidzianymi i w tej chwili także niewidzialnymi. Jechali w stronę Trafalgar Square. Tam Monty musiał ostrożnie objechać wywrócony wóz z owocami i martwego konia, który padł w uprzęży. Koła rozjeżdżały jabłka na miazgę, wgniatały je w bruk z cichym mlaskaniem. Papka zaś szybko czerniała od osiadającej na ziemi sadzy.

Posapujący silnik pozwolił im przejechać jakoś Whitehall, skręcić w lewo, w Great Scotland Yard, i wreszcie tam, naprzeciw starej, ponurej siedziby policji, cienia wychylającego się niepewnie z ciemności, Penniforth zahamował i pozwolił mu odpocząć.

– Jesteśmy na miejscu, szefie! – krzyknął, stukając w dach kabiny.

Sir Richard Francis Burton wysiadł. Rzucił kierowcy kilka monet.

– Masz czas na zapiekankę z piwem, Monty – oznajmił. – Dobrze sobie na nie zasłużyłeś. Jeśli wrócisz za godzinę, kolejny kurs masz zagwarantowany.

– Wspaniałomyślny jesteś, szefie. Możesz na mnie polegać. Kiedy już stąd wyjdziesz, pierwszą rzeczą, którą zobaczysz, będę ja!

– Dobrze powiedziane.

Burton wszedł do Scotland Yardu. Służący podszedł do niego, wziął jego płaszcz, kapelusz i laskę. Strzepnął z nich sadze na i tak strasznie brudną podłogę.

Kapitan podszedł do siedzącego za biurkiem dyżurnego. Mała plakietka identyfikowała go jako J.D. Pepperwicka, urzędnika.

– Czy inspektor Trounce jest w budynku? Jeśli to możliwe, chciałbym z nim porozmawiać.

– Pańskie nazwisko?

– Sir Richard Francis Burton.

Urzędnik, chudy mężczyzna o oczach skrytych za grubymi okularami, czerwonym nosie i niechlujnych wąsach, spojrzał na niego wyraźnie zdziwiony.

– Ale chyba nie ten słynny badacz?

– We własnej osobie.

– Dobry Boże! Czy chce pan porozmawiać z inspektorem o wczorajszej strzelaninie?

– Być może. Zechce pan spojrzeć na to? – Burton okazał mu swoje pełnomocnictwa. Urzędnik przyjął je, rozłożył kartkę, zobaczył podpis i przeczytał tekst ponad nim z wielką uwagą, zastanawiając się nad każdym słowem po kolei.

– No proszę! – wykrzyknął, skończywszy. – Ważny pan jest.

– A więc...? – Burton znacząco przechylił głowę. Uniósł brwi.

Urzędnik zrozumiał go w lot.

– A więc zaraz zawiadomię inspektora Trounce’a. Zaraz, w tej chwili!

Zasalutował elegancko i odwrócił się w stronę urządzenia wiszącego na ścianie za jego plecami. Duża, płaska mosiężna płyta do pewnego stopnia przypominała plaster miodu, podzielony na rzędy małych, sześciokątnych przegródek. Każdą z nich wyposażono w okrągłą obsadę posiadającą również okrągłe, kopulaste wieko, zakończone wygiętą rączką. I na każdej widniało wygrawerowane nazwisko.

Urzędnik sięgnął do wieka z napisem „D.I. Trounce”. Wyjął je z obsady wraz z ciągnącą się za nim długą, złożoną z segmentów tubą. Odkręcił wieko, dmuchnął w tubę. Burton wiedział, że na drugim końcu z identycznego wieka wysuwa się mały zawór, wydając cichy gwizd. W chwilę później metaliczny głos spytał: „Tak? O co chodzi?”.

Urzędnik podniósł tubę do ust. Choć mówiąc do niej, specjalnie zniżał głos, Burton wyraźnie słyszał jego słowa:

– Jest tu sir Richard Burton, ten ważniak od Afryki. Chce się z panem zobaczyć. Ma... no... uprawnienia specjalne. Twierdzi, że interesuje go wczorajsze postrzelenie Johna Speke’a w Bath.

Przyłożył tubę do ucha. Czekał chwilę, a potem przeniósł ją przed usta.

– Tak jest, proszę pana.

Założył wieko i wsunął urządzenie do przegródki. Tuba składała się automatycznie.

Uśmiechnął się do podróżnika.

– Inspektor spotka się z panem natychmiast – poinformował. – Pierwsze piętro, pokój numer dziewiętnaście. Na schody wychodzi się przez te drzwi, sir – dodał, wskazując palcem w lewo.

Burton skinął głową. Poszedł we wskazanym kierunku. Wspiął się na piętro drewnianymi schodami, pilnie potrzebującymi czyszczenia. Wyszedł na wyłożony boazerią korytarz pierwszego piętra i poszedł przed siebie, odczytując numery na licznych zamkniętych drzwiach. Zza jednych z nich dobiegł go kobiecy płacz.

Mniej więcej w połowie znalazł numer dziewiętnaście. Zapukał.

– Wejść – rozkazał ostry męski głos.

Burton wszedł do średniej wielkości kwadratowego, pogrążonego w mroku pokoju. Najciemniejsze kąty pomieszczenia wydawały się jeszcze ciemniejsze dzięki niebieskawej kurtynie cygarowego dymu. W ścianie naprzeciwko drzwi znajdowało się bardzo wysokie, wąskie okno, po prawej stronie był także kominek, w którym cicho potrzaskiwał ogień, i rząd dużych szafek na akta po lewej. Podłogę pośrodku pokrywał czerwony wytarty dywan, na wieszaku przy drzwiach odpoczywał wysłużony melonik i niezbyt czysty płaszcz. Nad kominkiem wisiał spory portret sir Roberta Peela. Dwie słabe lampy gazowe umieszczono we wnękach po obu stronach przewodu kominowego, a na stojącym pod oknem masywnym biurku płonęła świeca, rzucając plamę żółto-pomarańczowego światła na lewy policzek detektywa inspektora Trounce’a.

Inspektor siedział za biurkiem twarzą zwrócony w stronę drzwi. Na widok gościa wstał.

Był mężczyzną niewysokim, grubokościstym i muskularnym. Miał bardzo szerokie ramiona, wypukłą pierś oraz lekko zarysowujący się brzuszek. Burton uznał, że ten człowiek w pełni zasługuje na określenie „bezceremonialny”. Jego bezceremonialności dowodziły nie tylko dłonie o krótkich, grubych palcach i kwadratowych paznokciach, szeroki, krótki nos i bujne, podkręcone brązowe wąsy, ale przede wszystkim wysunięta, agresywna szczęka, dowodząca prostoty i siły charakteru.

Powitał gościa, mocno ściskając mu dłoń.

– Miło mi pana poznać, sir Richardzie – powiedział, wskazując gościowi fotel. Sam również usiadł.

– Jeśli o mnie chodzi, wystarczy kapitanie. – Burton przyciągnął swój fotel do biurka i rozparł się w nim wygodnie.

– Pan służył w wojsku? – spytał policjant gardłowym, lekko ochrypłym głosem.

– Owszem, w Osiemnastym Pułku Piechoty Krajowej w Bombaju.

– Ach! Nie wiedziałem. Gazety piszą wyłącznie o ekspedycjach. Tak czy inaczej, jak mogę panu pomóc, kapitanie? Chodzi o coś, co ma związek z porucznikiem Spekiem, prawda?

– Szczerze mówiąc, nie. Nie o to. Chodzi o coś, co ma związek ze Skaczącym Jackiem.

Trounce poderwał się z fotela. W jednej chwili twarz mu zastygła, spojrzenie nieruchomych oczu stało się zimne jak lód.

– A więc proszę wyjść stąd natychmiast, sir. Kto cię do tego skłonił? Pewnie ta mała zarozumiała świnia, Honesty. Nie zniosę więcej tych kpin.

Burton nawet się nie poruszył. Siedział z nogą założoną na nogę. Z kieszeni wyjął dwa cygara.

– Może pan zapali, inspektorze? – spytał spokojnie.

Trounce zmierzył go spojrzeniem pełnym wściekłości.

– Nie wiem, co ma to wspólnego z panem, ale chcę postawić sprawę jasno: nigdy nie zaprzeczę temu, co widziałem.

– Nie wątpię. Siadaj, człowieku. Uspokój się. Zapal cygaro.

Policjant nie poruszył się. Burton westchnął.

– Inspektorze, jak pan widzi, mam podbite oko, przeciętą wargę, poparzone czoło i sporo nader bolesnych siniaków. Może zainteresuje pana, skąd się to wzięło?

– No, skąd?

– Tej nocy napadło na mnie stworzenie doskonale odpowiadające opisowi Skaczącego Jacka.

Trounce opadł na fotel za biurkiem. Machinalnie sięgnął po zaoferowane mu cygaro, przyciął je, zapalił od świecy, wsunął między zęby, zaciągnął się słodkim dymem. Nie spuszczał wzroku z twarzy gościa.

– Niechże pan opowie, co się stało... Jak wyglądał? – poprosił cicho. Z ust wypłynął mu obłok niebieskiego dymu.

Burton też przyciął cygaro, po czym opowiedział, co zaszło. Kiedy skończył, policjant pochylił się. Światło świecy zapłonęło w jego błyszczących, niebieskich oczach.

– To on, kapitanie Burton. To on! A więc wrócił?

– Pałac Buckingham oraz premier polecili mi przyjrzeć się bliżej sprawie. To oni poinformowali mnie, że jest pan kimś w rodzaju eksperta. Teraz pan, inspektorze, już rozumie, mam nadzieję, że zareagował nieco za ostro. Nie jestem tu, by z ciebie kpić, raczej sądziłem, że może uda się nam współpracować.

Detektyw wstał. Podszedł do jednej z szafek na akta, wysunął jej dolną szufladę i, nie wahając się ani przez chwilę, wyjął z niej podniszczoną teczkę. Zaniósł ją na biurko.

– Proszę o wybaczenie – powiedział. – Sama wzmianka o tym diabelskim pomiocie wyprowadza mnie z równowagi. To on naraził mnie na kpiny, których jestem ofiarą nawet po tych wszystkich latach. Proszę mi powiedzieć, co pan o nim wie?

– Nie wiem nic. Do dziś uważałem, że Skaczący Jack to bajka, a kiedy go spotkałem, nawet nie przyszło mi do głowy, że to właśnie on i zorientowałem się dopiero, kiedy Palmerston wymienił to imię w związku ze zdarzeniami z dzisiejszej nocy.

– W takim razie oto jego krótka historia.

Nie zaglądając do raportu, Trounce, najwyraźniej znający go na pamięć, zaczął streszczać jego zawartość.

– Po raz pierwszy Skaczący Jack zaistniał dwadzieścia cztery lata temu, w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku. Pewien dżentelmen poinformował nas, że widział groteskową postać przeskakującą przez bramę cmentarza koło Szpitala dla Umysłowo Chorych Bethlem. Kilka dni później, w październiku, po krótkiej wizycie u rodziców w Battersea piętnastoletnia służąca nazwiskiem Mary Stevens wracała do domu swych pracodawców na Lavender Hill skrótem przez Cut Throat Lane. Chwycił ją ktoś – czy też COŚ – odpowiadający pańskiemu opisowi napastnika. Atak miał podtekst seksualny, kapitanie Burton. Napastnik zdarł z ofiary ubranie, ściskał ciało, pieścił je w agresywny sposób. Nic dziwnego, że dziewczyna zaczęła krzyczeć, zwracając na siebie uwagę mieszkańców, którzy pojawili się na miejscu sprawdzić, co to za zamieszanie. Słysząc, że nadbiegają, napastnik uciekł, sadząc wielkimi susami. Świadkowie stwierdzili, że wyskoczył w powietrze i znikł w locie. Następnego dnia w tej samej okolicy, w jednym z zaułków, stwór wylądował naprzeciw jadącego powozu. Domagał się informacji o Lizzie, kimkolwiek była. Przerażony woźnica stracił kontrolę nad końmi i uderzył w ścianę sklepu, doznając poważnych ran. Świadków było wielu, wszyscy złożyli to samo zeznanie: duch, jak go nazywano w owym czasie, uciekł, przeskakując

dziewięciostopowy mur. Jeden twierdził też, że śmiał się przy tym jak szaleniec i niemal niezrozumiale bełkotał coś o historii i przodkach.

– Jak wyglądał? – przerwał mu Burton.

– I znów, oprócz drobnych różnic, wynikających zapewne z typowej niewiarygodności zeznań świadków, opisy są wyjątkowo spójne i w pełni zgodne z tym, co pan widział. Wolno mi zaproponować drinka? W szafeczce mam karafkę czerwonego wina.

Burton potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję. Muszę przyznać, że tej nocy mocno przesadziłem.

– Zdarza się najlepszym z nas. – Trounce uśmiechnął się cierpko. Sięgnął po mosiężne wieczko na biurku, identyczne z tym, jakie gość widział na ścianie za plecami dyżurnego. Podniósł je, rozwijając tubę. Otworzył ją. Dmuchnął. W chwilę później odezwał się głos.

– Pepperwick – powiedział do tuby – dopilnuj, żeby przysłali nam dzbanek kawy i dwie filiżanki. Wszystkie moje sprawy przekazuj detektywowi inspektorowi Spearingowi. Do odwołania. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

Przyłożył tubę do ucha, po chwili znów podstawił do ust, powiedział „dziękuję”, zamknął wieko i umieścił je z powrotem w blacie biurka.

– Idziemy dalej. W końcu tysiąc osiemset trzydziestego siódmego roku i na początku tysiąc osiemset trzydziestego ósmego tak zwany „duch” albo „diabeł” pojawiał się wielokrotnie. Najczęściej w trójkącie wyznaczonym przez Camberwell, Battersea i Lambeth. Przy okazji: to właśnie wtedy zyskał sobie przezwisko, pod którym go znamy. Atakował młode dziewczyny. Wszystkie uszły z życiem, choć były seksualnie napastowane, ale kilka z nich postradało zmysły wskutek szoku. Poza tym dwóch świadków objawień Jacka, jeśli wolno mi użyć tego słowa, zmarło na zawał serca. Wspominam o tym, ponieważ niektóre gazety nazwały te wydarzenia złośliwymi figlami. Osobiście, kapitanie, nie potrafię nazwać figlem działania, którego skutkiem jest utrata życia bądź szaleństwo. Pora na najlepiej udokumentowany i szeroko komentowany przypadek Jane Alsop. Dziewiętnastego lutego tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku, za piętnaście dziewiąta wieczorem, zadzwonił dzwonek przy bramie małego domku, stojącego na uboczu, przy Bearbinder Lane, w wiosce Old Ford leżącej niedaleko Hertford, na północ od Londynu. Jane Alsop, osiemnastolatka, była wówczas w domu wraz z rodzicami i dwiema siostrami. Przez frontowe drzwi i ścieżkę przeszła do bramy, przy której stała tajemnicza postać. Na policji powiedziała, że wydała się jej ona bardzo wysokim, kościstym mężczyzną otulonym płaszczem, mającym na głowie coś w rodzaju hełmu. Spytała go, czego chce, a on odpowiedział, że jest policjantem i potrzebuje światła. Że doniesiono mu, jakoby ktoś włóczył się w sąsiedztwie. Przyniosła mu z domu świecę. Wówczas postać odrzuciła płaszcz i okazało się, że to Skaczący Jack we własnej osobie. Złapał ją, zdarł z niej sukienkę do pasa, ale udało się jej wyrwać i uciec ścieżką. Jack pobiegł za nią, złapał ją na progu domu. Ciągnął ją za włosy, szarpał halkę. Do przedpokoju wbiegła młodsza siostra Jane, zobaczyła, co się dzieje, zaczęła krzyczeć ze strachu. Słysząc to, przybiegła jej starsza siostra. Zdołała wyrwać dziewczynę z łap potwora, po czym odepchnęła go i zatrzasnęła drzwi. Jack odbiegł wielkimi susami. Znikł w mroku.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął Trounce.

Do pokoju wsunęła się niska siwa kobieta niosąca tacę.

– Kawa, proszę pana – oznajmiła.

– Dziękuję, Gladys.

Kobieta postawiła tacę na biurku. Nalała kawy do dwóch filiżanek. Wyszła, nie odzywając się, cicho zamknęła za sobą drzwi.

Burton pstryknął niedopałkiem cygara do kominka.

– Mleko? – spytał Trounce.

– Nie, dziękuję. Tylko cukier. – Słynny podróżnik wsypał do swojej filiżanki aż cztery łyżeczki.

– Na Jowisza! – zdumiał się policjant. – To się nazywa upodobanie do słodyczy!

– Nabrałem go w krajach arabskich. I co dalej, jeśli wolno spytać?

– Od Jane uzyskaliśmy najpełniejszy opis Skaczącego Jacka. Mogę potwierdzić, że pasuje do pańskiego w każdym, nawet najdrobniejszym szczególe, łącznie z niebieskim płomieniem tańczącym wokół jego głowy. Osiem dni później inna osiemnastolatka, Lucy Scales, wraz ze swą młodszą siostrą, Lisą, przechodząc Green Dragon Alley na skraju Limehouse, dostrzegły skuloną w kącie, okrytą płaszczem postać. Wydawała się cierpieć, siostry usłyszały jęki bólu, Lucy podeszła więc i spytała, jak można jej pomóc. Postać podniosła głowę w czarnym hełmie, wokół którego tańczyły niebieskie płomienie, krzyknęła. Z hełmu do twarzy dziewczyny przeskoczył język ognia, oślepiając ją i zmuszając do cofnięcia o kilka kroków. Upadła, dostała gwałtownych drgawek, trwających przez wiele godzin. Lisa przytuliła ją, zawołała o pomoc i... mój Boże!

Trounce spojrzał na gościa szeroko otwartymi oczami. Jego wargi poruszały się, ale nie był w stanie wykrztusić słowa.

– Co się stało? – spytał Burton zdziwiony.

– Za... zapomniałem.

– O czym pan zapomniał?

– Mój Boże – powtórzył szeptem policjant.

– Mów, człowieku!

Trounce odchrząknął. Cichym, zdumionym głosem powiedział:

– Lucy spoczywała w ramionach siostry. Skaczący Jack oddalał się szybko. Lisa zeznała, że mówił coś do siebie piskliwym głosem szaleńca. I że nie zrozumiała z jego bełkotu prawie nic oprócz jednego zdania, które nie sprawiło jej żadnego problemu.

Przerwał. Przyglądał się siedzącemu naprzeciw niego mężczyźnie.

– Jak brzmiało to zdanie, inspektorze?

– Krzyknął: „To przez ciebie, Burton!”.

Sir Richard Francis Burton poczuł, jak strużka zimnego potu ścieka mu wzdłuż kręgosłupa.

Dwaj mężczyźni w milczeniu patrzyli sobie w oczy.

Po ścianach pokoju przemykały cienie. Żałosny jęk rogu mgłowego napierał na okienną szybę.

– To oczywiście przypadek – szepnął Trounce.

– Oczywiście – przytaknął Burton równie cicho. – W tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku miałem siedemnaście lat. Wraz z rodzicami i bratem mieszkałem we Włoszech. Przebywałem w Anglii bardzo krótko, nie słyszałem o żadnym Skaczącym Jacku i z pewnością nigdy go nie spotkałem.

Na chwilę znów zapadło milczenie, a potem Trounce otrząsnął się, otworzył raport,

przerzucił kilka kartek.

– W każdym razie czas na moje spotkanie – powiedział szorstko. – Mamy dziesiątego czerwca tysiąc osiemset czterdziestego roku. Jest to zapewne najbardziej niechlubna data w historii Anglii.

Burton skinął głową.

– Dzień zamachu.

*** Rozdział 4 ***

Zamach

Żaden zamach nie zmienił historii świata.

Benjamin Disraeli

Dennis Doliniarz ukradł konstablowi Williamowi Trounce'owi pięć minut. Te pięć minut mogły uczynić osiemnastoletniego chłopaka bohaterem narodowym, a uczyniły go pośmiewiskiem Scotland Yardu.

Rejon konstabla Trounce'a obejmował Constitution Hill. Każdy swój obchód młody policjant planował tak, by być na miejscu o szóstej, dokładnie wtedy, gdy królowa Wiktoria wraz z mężem wyjeżdżali bramą ogrodową pałacu Buckingham i w otwartym powozie odbywali popołudniową przejażdżkę po Green Park. Dla dwudziestoletniej królowej ten codzienny rytuał był jak łyk świeżego powietrza, jeśli można nazwać świeżym udające je śmierdzące londyńskie coś. Był ucieczką, choćby na godzinę, od sztywnych form obowiązujących na dworze, z jego pokrytymi kurzem stuleci lokajami, wyniosłymi kamerdynerami, usłużnymi doradcami i wiecznie zawracającymi głowę pokojówkami. A zbierający się na drodze przejazdu obywatele mieli szansę pozdrowić lub wybuczeć władczynię w zależności od tego, kto jak oceniał jej trzyletnie rządy.

Niezadowolonych Trounce usuwał surowym: „Proszę iść dalej, nie robić tłoku".

Lecz dziś na Mall zauważył Dennisa Doliniarza i postanowił iść za nim. Osławiony kieszonkowiec ubrany był jak zwykle, jak przystało na dżentelmena, czującego się doskonale w tłumie spacerujących tą reprezentacyjną aleją, bardzo zamożnych ludzi. Było to oczywiście przebranie; gdyby otworzył usta, przemówił, jego ciężka, rwana angielszczyzna natychmiast ujawniłaby mieszkańca londyńskiego East Endu, znanego też pod nazwą Kotła.

„Nieźle się doszorował ten nasz Dennis" – pomyślał Trounce, zwalniając kroku. Nie spuszczał z oka przechadzającego się pozornie bez celu przestępcy.

Doliniarz najwyraźniej właśnie szukał ofiary, a kiedy ją znajdzie, konstabl Trounce wykona swój ruch. Takie pierwsze w życiu aresztowanie, kończące karierę tego szczególnego przestępcy, byłoby prawdziwym powodem do dumy.

Wkrótce okazało się jednak, że tego dnia Dennis jest jakiś niezdecydowany. Przechodził z jednej strony alei na drugą, tropił najpierw jednego mężczyznę, potem

drugiego, zatrzymał się w bramie, przyglądał przechodniom, a przez cały ten czas jego zręczne palce pozostawały na widoku. Nie wsunęły się do niczyjej kieszeni... nawet jego własnej.

Trounce znudził się dość szybko. Podszedł do złodzieja, stanął naprzeciw niego.

– Któż to, ach, któż? I w co się bawimy? – spytał.

– No nie, nic takiego... przecież w nic się nie bawimy – jęknął Dennis. – Chciałem tylko przewietrzyć najlepszy niedzielny strój.

– Ależ dziś jest środa!

– I co z tego? Prawo nie zabrania nosić niedzielnych strojów w środę.

Oczy Dennisa biegały to w jedną stronę, to w drugą, jak oczy szczura poszukującego drogi ucieczki z pułapki. Konstabl odczepił od pasa pałkę, pchnął nią złodziejaszka w pierś.

– Obserwuję cię, przyjacielu. Te twoje paluszki prędzej czy później zabłądzą, gdzie nie są mile widziane, a kiedy to się stanie, poczujesz moje paluszki... na ramieniu. Zapamiętaj te słowa. Już wkrótce zamiast tego eleganckiego garniturku założysz strój zatwierdzony przez państwo. W więziennych pasiakach nie ma kieszeni. Wiedziałeś o tym?

– Jasne. Ale nie ma pan powodu mi grozić.

– Nie mam? Naprawdę nie mam? I niech tak zostanie, Dennis, mój chłopcze. Pilnuj się. A teraz paszoł won. Nie chcę cię widzieć w tej części mojego lasu, rozumiesz?

Obrzuciwszy młodego konstabla ostatnim wściekłym spojrzeniem, doliniarz splunął na chodnik i odszedł szybko.

Konstabl Trounce uśmiechnął się. Wznowił obchód. Doszedł do końca Mall, minął pałac Buckingham, skręcił w prawo, do Green Park. Zamiast iść wzdłuż Constitution Hill, wolał przejść trawnikiem, dzięki czemu mógł znaleźć się za plecami zgromadzonych wzdłuż trasy przejazdu. Doświadczenie mówiło mu, że wichrzyciele na ogół trzymają się z tyłu, zapewniając sobie wolną drogę ucieczki na wypadek, gdyby komuś nie podobały się ich gwizdy.

Powóz Jej Wysokości, ciągnięty przez cztery konie – na lewym pierwszej pary siedział foryś – już wyjechał na ścieżkę i znajdował się w tej chwili nieco przed nim. Poprzedzało go dwóch jeźdźców eskorty, kolejnych dwóch zajmowało stanowiska kilka jardów za nim.

Trounce przyspieszył kroku, próbował go dogonić. Schodził opadającym łagodnie zboczem pagórka, dzięki czemu miał doskonały widok.

Mimo przyjemnej pogody królowej oczekiwało niewielu ludzi. Nikt nie manifestował niezadowolenia, tu i tam rozlegały się rzadkie brawa.

Huknął strzał. Konstabl drgnął.

Co, do diabła!?

Pobiegł. Nie spuszczał wzroku z tego, co działo się tuż przed nim. Dostrzegł mężczyznę w cylindrze, niebieskim surducie i białych bryczesach idącego po prawej stronie poruszającego się wolno powozu. Odrzucał właśnie dymiącą skałkówkę, lewą ręką sięgał pod surdut, po drugą sztukę broni.

Przerażenie wyssało z młodego policjanta wszystkie siły. Czas zwolnił, niemal zatrzymał się w biegu.

Trounce czuł, że biegnie, depcząc trawę, słyszał swój głos krzyczący: „Stój!”.

Dostrzegł obracające się w jego stronę głowy.

Własny oddech dudnił mu w uszach.

Mężczyzna powoli podniósł lewą rękę.

Królowa wstała, uniosła dłonie, chwyciła zakrywające szyję koronki.

Mąż wyciągnął ku niej ramiona.

Jakiś mężczyzna wyskoczył skądś, chwycił strzelca.

– Nie, Edwardzie! – krzyknął cichy, ledwie słyszalny głos.

Świat znieruchomiał: dwóch walczących mężczyzn o twarzach, co widać było nawet z tej odległości, podobnych jak u braci, zgromadzeni wzdłuż ścieżki ludzie, niektórzy uchwyceni w pół kroku do przodu, inni cofający się, królowa stojąca w kremowej sukni i czepku, jej pochylony małżonek w cylindrze i czerwonej marynarce. Jeźdźcy eskorty zawracający konie.

„Chryste!" – pomyślał Trounce. „Chryste, nie, błagam...!"

I nagle minęła go przedziwna postać, wydająca się pędzić na szczudłach, w dodatku wyposażonych w sprężyny. Zatrzymała się tuż przed nim; konstabl potknął się, upadł na kolana.

– Przestań, Edwardzie! – krzyknęła postać ile sił w płucach.

Błyskawica strzeliła z jej boku, uderzyła w ziemię. Postać zachwiała się, jęknęła, chwyciła za ten bok jakby w bólu.

Dwaj walczący nieco niżej mężczyźni odwrócili się, spojrzeli na nią.

Z lufy pistoletu uniosła się chmurka dymu. Z głowy królowej trysnął strumień krwi.

– Wielkie nieba! – jęknął Trounce.

Huk, napełniający echem park, rozchodził się szeroko poza jego granice, niosąc w sobie wszystkie konsekwencje tego potwornego zdarzenia. W tej właśnie chwili tworzyła się historia, eksplodująca i skutkami tej eksplozji ogarniająca imperium jak długie i szerokie.

– Nie! – jęknęła istota na szczudłach. – Nie!

Odwróciła się. Trounce zobaczył jej twarz: szalone oczy, cienki jak ostrze noża nos, usta rozciągnięte w zastygłym grymasie jak karykatura uśmiechu, ściągnięta, poryta zmarszczkami, blada pod warstwą potu skóra i ten wyraz nieznośnego bólu.

To coś miało na głowie wielki, czarny, okrągły hełm. Ciało okrywał mu czarny płaszcz, pod którym widać było biały, obcisły kombinezon. Na piersi wisiało coś przypominające płaską, okrągłą, plującą żywym ogniem latarnię; materiał wokół niej wydawał się nadpalony.

Przedziwna postać na krótkich szczudłach kiwnęła się, pochyliła do przodu i przeskoczyła nad głową konstabla, który padł na trawę, przetoczył się, spojrzał za siebie. Nie dostrzegł już cudaka. Znikł.

– Chryste wszechmogący! Chryste wszechmogący!!!

Usłyszał krzyk. Spojrzał w dół zbocza.

Królowa Wiktoria wypadła z powozu, leżała na ziemi na wznak. Jej mąż właśnie wysiadł i pochylał się nad nią.

Zamachowiec nadal walczył z tym drugim mężczyzną, lecz na oczach konstabla obrońca królowej pchnął go, pozbawił równowagi. Mężczyzna upadł, uderzając głową w niski płotek z kutego żelaza, oddzielający ścieżkę od trawnika. Jego ciało zwiotczało i znieruchomiało.

Ludzie stłoczyli się wokół królewskiego powozu. Eskorta przebiła się przez nich, jeźdźcy próbowali odsunąć przerażonych gapiów, utrzymać dystans między nimi a

zrozpaczonym monarchą. Policyjny gwizdek brzmiał histerią.

„To ja” – pomyślał Trounce. „To ja dmucham w gwizdek”.

Jakaś postać oderwała się od grupy ludzi. Pobiegła przez park w kierunku północno-zachodnim, w stronę Piccadilly.

Był to człowiek, który szarpał się z zamachowcem.

Trounce rzucił się w pościg. Uznał to za właściwe posunięcie.

Przez głowę przeleciała mu myśl, że policyjne buty nie są zaprojektowane do biegania.

– Na litość boską – wysapał głośno do siebie. – Skoncentruj się, człowieku.

Minął królewską eskortę.

Oszołomiony młody człowiek poprawiający monokl wszedł mu w drogę. Zderzyli się. Konstabl usunął go brutalnie na bok, przeklinając.

Uciekinier wbiegł pod górę i znikł w gęsto zadrzewionej części parku. Trounce chrząknął z zadowoleniem. Wiedział, że za drzewami wznosi się wysoki mur.

Dobiegł do granicy lasu zasapany, czując ostry ból w boku. Zatrzymał się, spazmatycznie chwytając powietrze. Próbował przebić mrok za plątaniną gałęzi, nasłuchiwał kroków.

Zza pleców dobiegły go krzyki. Policyjne gwizdki odzywały się z różnych stron, policjanci zbiegali się na miejsce zabójstwa.

Usłyszał szelest. Na to czekał, ślad ruchu.

Chwycił w dłoń pałkę.

– Proszę wyjść na otwartą przestrzeń – powiedział tonem rozkazu. – Widziałem, co się stało, nie ma pan powodu do obaw. Proszę wyjść, chcę pana zobaczyć.

Nie doczekał się odpowiedzi.

– Proszę pana, widziałem, że chciał pan ocalić królową. Muszę tylko...

Liście zadrżały i naprzeciw Trounce’a wyrósł jak spod ziemi facet na szczudłach. Wyskoczył z gęstwiny wręcz błyskawicznie. Zaskoczony policjant cofnął się o krok, potknął i z rozmachem usiadł na ziemi.

– Jak... jak... – wyjąkał.

Istota – zjawa, diabeł, iluzja, czymkolwiek była – przykucnęła, jakby zamierzała skoczyć. Policjant instynktownie uniósł rękę i cisnął w nią pałką. Trafił w pierś, wprost w przymocowaną do kostiumu niby-lampę. Sypnęła iskrami, opadającymi na trawę jak deszcz. Istota zatoczyła się.

– Do diabła! – zaklęła wyraźnie ludzkim głosem. Odwróciła się, skoczyła na prawo od konstabla i uciekła wielkimi susami. Trounce poderwał się na równe nogi. Widział, jak stwór po jednym z potężnych skoków wzbija się na dwadzieścia stóp w powietrze... i znika. Wyglądało to tak, jakby powietrze otoczyło go i wessało w siebie.

Młody policjant stał z bezwładnie zwieszonymi rękami, rozdziawioną gębą i szeroko rozwartymi oczami. Minęła długa chwila, nim przebudził się jakby ze snu, otrząsnął, spojrzał wzdłuż trawiastego zbocza na królewski powóz, a potem znów na las. Jego zwierzyna łowna, mężczyzna, który zaatakował zamachowca, musi przecież gdzieś tam być.

Wszedł między drzewa, nawołując: „Proszę pana, nie musi się pan chować. Niech się pan pokaże. Proszę”.

Dziesięć minut później przyznał się do klęski. Na ziemi leżał porzucony cylinder i to było wszystko. Zwierzyna uciekła mu na dobre.

Potruchtał zboczem na dół, ku panującemu na miejscu zamachu chaosowi. O niczym nie myślał.

Na miejscu była już policja. Funkcjonariusze odpychali napierających ludzi, wspomagani przez królewską eskortę. Trounce przepchnął się przez gapiów, niektórych pogrążonych w milczeniu, innych szlochających, jeszcze innych rozmawiających ściszonymi głosami. Podszedł do leżącego na ziemi zamachowca. Jego głowa dosłownie przybita była do niskiej barierki. Ostrze pionowego pręta sterczało z lewego oka, utrzymując ją pod nienaturalnym kątem w stosunku do ciała. Ziemia pod nią przesiąkła krwią. Nie był to bynajmniej miły widok.

Na ziemi obok leżały dwie skałkówki.

Trounce pomyślał, że to dziwne, żeby zabójca i człowiek próbujący mu przeszkodzić byli aż tak do siebie podobni.

Zorientował się, że stoi nieruchomo, otępiały, niezdolny zrobić cokolwiek, nawet myśleć.

Jakiś wąsaty mężczyzna przyglądał się temu wszystkiemu z uśmiechem na ustach. Uśmiechem!

Coś mu się przypomniało. Przeczytał akta sprawy sprzed dwóch, może trzech lat. Dziewczynka, zaatakowana przez... przez ducha? ...który uciekł gigantycznymi susami... ział ogniem... Miał nawet swą nazwę... tak! Skaczący Jack!

*** Rozdział 5 ***

Narodziny libertynów

Nie zdefiniują nas ideały przez was wymuszane.
Wykpiwamy zachowania społeczne, które utrwalacie.
Nie szanujemy poglądów starszych od nas,
nie będziemy się do nich stosować.
Myślimy i działamy przeciw falom opinii społecznej.
Wykpiwamy wasze dogmaty. Śmieszą nas wasze rządy.
Jesteśmy anarchią. Jesteśmy chaosem.
Jesteśmy indywidualistami.
Jesteśmy hulakami.

z manifestu hulaków

Świeca dopaliła się i zgasła, śląc cienkie, wijące się pasmo dymu ku wysokiemu sufitowi. Dwaj mężczyźni nie przerywali ciszy, pozwolili jej dojrzeć.

Pierwszy odezwał się inspektor Trounce.

– Uznali, że wpadłem w panikę. Uciekłem z miejsca zamachu – powiedział cicho. – Uznali, że twierdzenie, jakobym widział Skaczącego Jacka, to tylko wybieg, próba usprawiedliwienia chwili tchórzostwa. Gdyby nie to, że byłem wówczas kompletnie zielony, pełniłem służbę od zaledwie dwóch tygodni, wywaliliby mnie jak nic. Skończyło się na tym, że przez ponad dziesięć lat kpiono ze mnie, wyśmiewano i pomijano przy awansach. Musiałem raz za razem udowadniać, ile jestem wart. Zdobycie szacunku współpracowników drogo mnie kosztowało. Tu, w Yardzie, ludzie mają dobrą pamięć, kapitanie Burton. Dla nich ciągle jestem Wiejącym Trounce'em. Minęło tyle lat, a po kątach wciąż szepcze się o mnie... od czasu do czasu.

– Wspomniałeś kogoś nazwiskiem Honesty, inspektorze?

– Detektyw inspektor Honesty. Nie taki znowu zły facet, nie można powiedzieć, ale kompletnie pozbawiony wyobraźni. Odrobinę twardogłowy. Nadkomisarz go słucha, a żaden z nich nie miał czasu na zajmowanie się czymś, co uznali za histeryczne majaki.

– Nikt nie rozumie sytuacji, w której się pan znalazł, lepiej ode mnie – powiedział Burton z sympatią. – Ja osobiście nazywany jestem przez wielu Burtonem Łajdakiem, Bandziorem Dickiem albo i gorzej. Tylko dlatego, że w pięć lat po śmierci Wiktorii, w

Karaczi, napisałem pewien raport. Tak dla porządku: wypełniłem tylko bezpośredni rozkaz.

Trounce chrząknął.

– Plama na honorze mężczyzny, usprawiedliwiona lub nie, nigdy się nie zmywa. – Dopił kawę. Z pudełka na biurku wyjął garść cygar, podał jedno gościowi, który przyjął je z wdzięcznością, przyciął i zapalił. Policjant przyłożył zapałkę do swojego, a potem wrzucił ją do kominka, nie zapalając nowej świecy. Usiadł. Jego oczy płonęły za zasłoną tytoniowego dymu.

Burton wiedział, że jest w tej chwili krytycznie oceniany. Wiedział też doskonale, że większości mężczyzn, w odróżnieniu od większości kobiet, nie zachwyca jego ciężka szczęka, mocno zarysowana broda i płonące, niemal zawsze patrzące spode łba oczy. Być może policjant dostrzegał w tej zmęczonej twarzy jego naturę straceńca, zawodowego boksera albo nawet genialnego przestępcy?

Mierzyli się spojrzeniami. Bardzo zdziwiony królewski agent uświadomił sobie nagle, że policjant go aprobuje, docenia, że dotarł spojrzeniem do jego wnętrza i spodobało mu się to, co zobaczył.

– W każdym razie – mówił dalej inspektor – po wydarzeniach owego dnia zostałem zawieszony w pełnieniu czynności służbowych na miesiąc. Nie brałem żadnego udziału w toczącym się śledztwie. Jak pan oczywiście wie, mężczyzna...

– Chwileczkę, detektywie – przerwał mu Burton, unosząc dłoń. – Do zamachu doszło dobre dwadzieścia lat temu. Tak jak zapewne i pan, miałem wówczas osiemnaście lat. Szczerze mówiąc, właśnie zamierzałem rozpocząć studia na Uniwersytecie Oksfordzkim. W odróżnieniu od pana nie byłem świadkiem tych wydarzeń. Przebywałem za granicą. O śmierci królowej Wiktorii dowiedziałem się z prasy. Oczywiście relacjonowała przebieg śledztwa, zajmowała się nim tygodniami, ale nie mogę powiedzieć, bym czytał ją regularnie. Poza tym moja pamięć z pewnością wymaga odświeżenia. Więc proszę nie zakładać, że coś wiem... prędzej już, że nie wiem nic.

Trounce skinął głową, krótko, z zadowoleniem.

– Zrozumiałem, kapitanie. Mężczyzny, który zatrzymał zabójcę po tym, jak wystrzelił on po raz pierwszy, nigdy nie odnaleziono. Gazety nazwały go Tajemniczym Bohaterem. Do dziś jestem przekonany, że ci dwaj byli jakoś spokrewnieni. Ze względu na niezwykłe podobieństwo zewnętrzne. Niestety, moi przełożeni nie przywiązywali większej wagi do tego, co wówczas zaobserwowałem, prawie nikt ze świadków nie dostrzegł podobieństwa, a poza tym wszystkich krewnych zabójcy odnaleziono i przesłuchano. Jego wśród nich nie było. A jeśli chodzi o zamachowca... Edward Oxford urodził w Birmingham w tysiąc osiemset dwudziestym drugim roku. Miał sześcioro rodzeństwa. Jego ojciec był brutalnym alkoholikiem, żonę i dzieci bił praktycznie codziennie. Uznano go wreszcie za niepoczytalnego i zamknięto w szpitalu dla umysłowo chorych. Zmarł tam podczas jakiegoś ataku, udławił się własnym językiem. A przy okazji, dziadek także był szaleńcem. Edward miał siedem lat, gdy jego matka, Hannah, odeszła od męża. Wraz z synem i jedną z córek przeniosła się do Lambeth i tam, po ukończeniu nauki, chłopiec zaczął pracować jako barman. Między innymi w pubie Kapelusz i Piórka, stojącym na rogu Green Dragon Alley.

– Aha! Jest więc jakiś związek między Oxfordem a Skaczącym Jackiem. Oczywiście chodzi mi o związek poza samym zamachem. – Oczy Burtona błyszczały.

– Tak jest. W momencie ataku na Lucy Scales był jego pracownikiem. Gdy do niego

doszło, stał za barem. Wiemy, że gdy się o nim dowiedział, wybuchnął histerycznym śmiechem. Trzeba było użyć wobec niego siły i wezwać lekarza, który podał mu środki uspokajające.

– Interesujące. Proszę mówić dalej, inspektorze.

– Oxford nadal mieszkał z matką i siostrą w wynajętym mieszkaniu na West Place, West Square, w Lambeth. W tysiąc osiemset czterdziestym roku był pomocnikiem w Wieprzu w Zagrodzie na Oxford Street, ale w maju tego roku rzucił pracę. Czwartego maja kupił dwa pistolety. Od szkolnego kolegi, za dwa funty. Przez kolejne cztery tygodnie ćwiczył strzelanie z nich na różnych londyńskich strzelnicach. W następnym miesiącu z tej właśnie broni zabił królową.

– Motyw? – spytał Burton.

– W jego pokoju znaleźliśmy pisane przez niego teksty mające zasugerować, że jest członkiem tajnego stowarzyszenia o nazwie Młoda Anglia, ale udowodniono, że to tylko płody chorego umysłu. Taka grupa nigdy nie istniała. Edward Oxford był szaleńcem, co do tego nie można mieć żadnych wątpliwości. Znany był z tego, że od czasu do czasu wybuchał płaczem bez żadnych powodów albo zaczynał bełkotać bez ładu i składu. Przypadek Lucy Scales bez wątpienia spowodował nagłe pogorszenie jego stanu psychicznego. Według zeznań ludzi, z którymi pracował, często mówił im, że chce zostać zapamiętany, zapisać się w historii. To była jego obsesja. Detektywi Yardu uznali, że jego motywem była właśnie żądza sławy... czy raczej, w jego przypadku, niesławy. Na tym skończyło się policyjne śledztwo. Koledzy byli zachwyceni: królową zastrzelił szaleniec, zaraz potem zabity przez nieznanego sprawcę. Mieli inne kłopoty na głowie: zaczął się kryzys konstytucyjny, doszło do rozruchów. Nikomu nie zależało na wytropieniu Tajemniczego Bohatera. Zdaniem większości wyświadczył ojczyźnie przysługę, oszczędzając jej kosztów egzekucji przez powieszenie.

– Ale pana to nie satysfakcjonowało – stwierdził Burton bystro.

– W najmniejszym stopniu. Kopałem głębiej. Lucy Scales została napadnięta w chwili, gdy Edward Oxford znajdował się tuż za rogiem, nad takim przypadkiem nie potrafiłem przejść do porządku. Zacząłem szukać innych związków między nim a Skaczącym Jackiem.

– I znalazł je pan?

– Tak. Po śmierci Wiktorii pub Wieprz w Zagrodzie zyskał sobie złą sławę przez to, że Oxford tam pracował. Niemal natychmiast stał się miejscem spotkań grupy młodych, ostro pijących arystokratów uważających się za filozofów. Ich filozofia głosiła, że ludzkość sama zakuła się w kajdany.

– Libertyni?

– Właśnie. Ruch libertynów zaczął się właśnie w Wieprzu w Zagrodzie.

– A więc wśród tych młodych arystokratów był Szalony Markiz?

– Tak. Co pan o nim wie?

– Znam tylko jego reputację. I że to on stworzył ruch libertynów.

– Mówi pan o jego złej reputacji?

Burton uśmiechnął się.

– Mam wrażenie, że jest gorsza nawet od mojej.

Trounce zachichotał.

– Henry de La Poer Beresford, trzeci markiz Waterford. Jego historia jest, najłagodniej mówiąc, barwna. W wieku dwudziestu paru lat odziedziczył po ojcu tytuł

wraz z dobrami Curraghmore w hrabstwie Waterford w Republice Irlandii. I od razu zabrał się do roboty, a mianowicie do trwonienia rodzinnej fortuny tak szybko, jak to tylko możliwe, przede wszystkim przez grę na wyścigach i hazard uprawiany w klubach. Szczególnego rodzaju sławę zyskał sobie w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku, kiedy to po udanym polowaniu na lisa koło Melton Mowbray upił się wraz z przyjaciółmi do stanu demencji, po czym wkroczył na ich czele do miasteczka. Panowie znaleźli gdzieś kilka puszek czerwonej farby, która posłużyła im do ochlapania budynków na głównej ulicy. Stąd wzięło się popularne określenie dobrze zakrapianej zabawy: malować miasto na czerwono.

– Szaleństwa młodości – skomentował jego słowa Burton.

– W tym samym roku uciekł przed klęską głodu. Osiadł w majątku leżącym niedaleko na północ od Hertford, na skraju wioski Waterford, choć podobieństwo nazwy jest mylące. Wioski tej nic nie łączy z irlandzkim hrabstwem Waterford.

– Dość dziwny zbieg okoliczności.

– Zapewne, chociaż ja bym się nim nie przejmował. Podejrzewam, że to próżność – a jego próżność nie zna granic – skłoniła tego człowieka do wybrania tego właśnie miejsca. Być może ma się za markiza angielskiej posiadłości, jako dodatku do irlandzkiej. Mieszka w zrujnowanej, niemal rozpadającej się rezydencji, bardzo trafnie nazwanej Chmurnymi Wieżami, do której należy też ładny kawałek ziemi leżącej na zachód od wioski.

– Chwileczkę! Jeśli to Waterford leży tak blisko Hertford, to Old Ford też musi być gdzieś niedaleko.

– Trafna uwaga. Chmurne Wieże dzielą od domku Alsopów zaledwie trzy mile.

– Jane Alsop mieszka tam nadal?

– Tak. Jako pani Jane Pipkiss. Z mężem Bentonem – wzięli ślub w tysiąc osiemset czterdziestym trzecim roku – i dwójką dzieci, córką i synem. W każdym razie między tysiąc osiemset trzydziestym siódmym, a tysiąc osiemset czterdziestym Beresford praktycznie przez cały czas był w konflikcie z miejscową policją. Bójki po pijanemu, wandalizm, okrutne dowcipy płatane miejscowym kobietom. Ten człowiek nie czuje żadnego szacunku dla prawa. Zrobi wszystko, żeby wygrać zakład, i ma silny pociąg do sadyzmu.

– Markiz de Sade potrafi przekonać do siebie pewien typ ludzi – przyznał Burton. – Powinien pan poznać mojego przyjaciela Swinburne’a.

– Doprawdy? – spytał inspektor grzecznie, lekko unosząc brew.

– Cóż, może jednak lepiej nie...

– Wracając do tematu, po śmierci Wiktorii Beresford z kompanią zaczęli pić w Wieprzu w Zagrodzie, najwyraźniej przyciągnięci przez jego sławę „pubu zamachowca”. Kompania się powiększała, ich filozofia klarowała się powoli i tak powstał ruch libertynów.

Burton spojrzał na policjanta, marszcząc brwi.

– A jakie mają związki z Jackiem?

Trounce patrzył na dopalającą się w kominku głownię, jakby to płomień ukrywał prawdę o przeszłości.

– W tysiąc osiemset czterdziestym trzecim roku to coś było już potworem z folkloru. Gdziekolwiek zdarzył się przypadek napastowania seksualnego, ludzie natychmiast krzyczeli: „Skaczący Jack!” niezależnie od tego, czy istniały dowody jego udziału w sprawie, czy nie. Młodzi arystokraci w odpowiednim przebraniu też bardzo często płatali

figle w jego imieniu. W miarę jak mijał czas, coraz trudniej przychodziło odróżnić wyczyny prawdziwego Jacka od wybryków jego naśladowców. A potem, właśnie w czterdziestym trzecim, Jack znów zaczął się pojawiać w trójkącie Battersea, Lambeth i Camberwell. W każdym razie wszystko zdawało się wskazywać, że to rzeczywiście Jack. Nie będę się nad tym rozwodził, kapitanie, zawsze może pan pożyczyć ode mnie raport i zapoznać się ze wszystkimi szczegółami. W każdym razie pojawienie się Jacka niezwykle ożywiło Henry'ego Beresforda. Uznał go za kogoś w rodzaju boga libertynów, nazwał bytem transnaturalnym i uznał za stworzenie wolne od jakichkolwiek więzów, pozbawione sumienia, wierzące wyłącznie w siebie, robiące cokolwiek zechce, kiedykolwiek zechce. Jego bełkot brzmiał tak donośnie, że libertyni rozpadli się na dwie grupy. Pierwsza to prawdziwi libertyni twierdzący, zresztą całkiem rozsądnie, że sztuka, kultura i piękno są konieczne dla ludzkiego ducha. Ich głównym zajęciem jest obecnie atakowanie techników za zgubny wpływ maszyn na nasze życie. Druga, czyli hulacy, którym przewodzi Beresford, chce obalić społeczne zasady prawa, moralności, etyki i zachowań. Cholerne łotry, wszyscy razem i każdy z osobna!

– Zdaje się, że jeśli Skaczący Jack to człowiek – powiedział Burton z namysłem – Szalony Markiz jest pierwszym podejrzanym.

– Z całą pewnością tak, ale z tym jest kłopot. Wynikły też inne problemy. Po pierwsze, pod względem budowy i rysów twarzy w niczym nie przypomina stworzenia, które widziałem. Po drugie, ma murowane alibi na czas ataków na Mary Stevens i Lucy Scales. A po trzecie, choć Skaczący Jack przez ostatnie dwadzieścia lat był coraz popularniejszym bohaterem ludowych opowieści, sam nie pojawiał się aż do wczorajszej nocy, kiedy to zaatakował pana. Z podanego opisu wynika bowiem bez wątpienia, że to ta postać, którą w czerwcu tysiąc osiemset czterdziestego roku widziałem na własne oczy.

– Wspomniał pan o kłopocie. Jakim?

– Henry de La Poer Beresford, trzeci markiz Waterford, zginął przed dwoma laty. Spadł z konia i skręcił kark.

Burton patrzył przed siebie oczami bez wyrazu. Skupiony, w myśli rozważał wszystko to, czego dowiedział się od inspektora. Związki między Oxfordem, Beresfordem i Skaczącym Jackiem wydawały się w najlepszym razie poszlakowe, a w najgorszym przypadkowe, ale było w nich też coś pociągającego. Wyczuwał, że prawda leży ukryta gdzieś tam, w tej gęstej sieci.

– Jest coś jeszcze – powiedział Trounce cicho.

Burton spojrzał na niego pytająco.

– Kiedy Skaczący Jack mijał mnie, pędząc do królewskiego powozu, jego głowę otaczały niebieskie płomienie, a z ciała tryskały iskry i wyładowania elektryczne. Jego strój był częściowo opalony, a kiedy się odwrócił, na twarzy miał wyraz bólu. Potem znikł, a ja ruszyłem w pościg za Tajemniczym Bohaterem. Stwór pojawił się znowu, tym razem na granicy lasu w północno-zachodnim narożniku parku. Poruszał się niezwykle szybko, ale nie wiem, jakim cudem mógł mnie wyprzedzić, nie będąc widzianym. Poza tym ten Skaczący Jack, który wyskoczył spomiędzy drzew nie płonął, jego strój nie nosił śladów nadpalenia, on sam zaś niczym nie sugerował, że w jakikolwiek sposób cierpi. Innymi słowy, kapitanie, jestem przekonany, że istnieje co najmniej dwóch Skaczących Jacków.

– Ba! – westchnął Burton. – Jakby życie nie było wystarczająco skomplikowane i bez tego. – Wstał. – Inspektorze, dziękuję, bardzo mi pan pomógł. Jestem pańskim

dłużnikiem.

Trounce również wstał i na pożegnanie podał mu raport.

– Może pan spłacić dług informacjami o postępach, kapitanie. Moi przełożeni nie pozwolą mi na czynny udział w śledztwie, które mają za stek bzdur, więc mogę liczyć tylko na to, że pan rozwiąże sprawę. Proszę pamiętać, że w czasie wolnym od służby jestem do pańskiej dyspozycji. Bezwarunkowo.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Jeszcze raz dziękuję, inspektorze Trounce...

– Williamie...

– A więc dziękuję, Williamie. Możesz być pewien, że poinformuję cię o wszystkich postępach śledztwa... jeśli jakieś będą. Masz moje słowo.

Burton odwrócił się, zrobił krok do drzwi. Trounce miał mu jeszcze coś powiedzieć.

– Ostatnia sprawa, kapitanie.

– Tak?

– W przeszłości Skaczący Jack zawsze dokonywał serii napadów w ciągu kilku dni, a dopiero potem znikał na całe tygodnie, miesiące lub nawet lata.

– Sądzisz, że nie poprzestanie na zaatakowaniu mnie?

– Jestem tego pewien.

Burton wyszedł ze Scotland Yardu wczesnym popołudniem. Zaraz za drzwiami ogarnęła go cisza londyńskiego specjału.

Z nieba ciągle padała sadza.

Przeszedł chodnikiem, stukając laską niczym ślepiec, i dzięki niej znalazł krawężnik. Oczy zaczęły mu łzawić, w nozdrzach poczuł silne pieczenie.

– Monty! – krzyknął.

Po prawej stronie pojawił się niewyraźny, lecz niewątpliwie ogromny kształt. Burton cofnął się gwałtownie, czując, jak serce mocno wali mu w piersi. Spodziewał się lada chwila zobaczyć niesamowitą istotę na szczudłach, ale nie, ten ktoś był zbyt potężnie zbudowany.

– To pan, szefie?

– Tak. O Boże...

– Ano. Gęsta, że nie widzę wyraźnie nawet końca własnego nosa.

Przy jego boku pojawił się Montague Penniforth.

– *Bismillah*! – wykrzyknął królewski agent. – Nie wiedziałem, że jesteś gigantem!

Mówił prawdę. Penniforth był prawdziwym wielkoludem. Miał ze sześć stóp i pięć cali oraz pasujące do wzrostu mięśnie.

– Wina mojej mamuśki, dawała mi za dużo owsianki z melasą.

Burton zauważył ze zdumieniem, że kierowca mechanicznej dorożki ciągle trzyma w ustach fajkę.

– Cieszę się, że zostałeś, Monty, ale moim zdaniem powinieneś pojechać do domu. Przecież nie poprowadzisz w tych warunkach.

– Och, proszę się o to nie martwić. Powolutku, przy krawężniku, ale dowiozę pana, gdzie pan zechce, szefie. W to akurat nie ma powodu powątpiewać. Proszę za mną, powóz

czeka.

Burton poszedł za nim wzdłuż krawężnika. Wspinając się na miejsce pasażera, spytał dla pewności:

– Jak sądzisz, znajdziesz Montagu Place?

– Oczywiście, przecież nazywa się prawie tak jak ja.

Cudem, bo przecież wydawało się to bezwzględnie niemożliwe, Montague Penniforth rzeczywiście znalazł Montagu Place, chociaż zajęło im to aż do wczesnego wieczora. Dostał za to hojny napiwek.

Królewski agent rozważał pomysł, który wpadł mu do głowy podczas dłużącej się nieznośnie jazdy. Podjął wreszcie decyzję i poprosił Montague, żeby przyjechał do niego jutro, a jeśli mgła mu to uniemożliwi, natychmiast po jej ustąpieniu.

I wreszcie z westchnieniem ulgi wszedł do domu, w którym mieszkał.

Wprowadził się na Montagu Place 14 niewiele ponad rok wcześniej. Był to trzypiętrowy dom z mieszkaniem w suterenie. Właściwie każda kondygnacja składała się z dwóch dużych pokoi. W suterenie królowała pani Angell, mająca do dyspozycji salonik zagracony oprawionymi zdjęciami, dekoracyjną ceramiką, ozdóbkami, pamiątkami i różnymi drobiazgami, sypialnię, łazienkę, spiżarnię i kuchnię, będącą radością i dumą tej dzielnej kobiety. Kuchnia wyposażona została we wszystko, co potrzebne do gotowania, a nawet więcej, ponieważ nieżyjący pan Thomas Franklin Angell był zapalonym technikiem, a także błyskotliwym wynalazcą amatorem. Wiele unikalnych sprzętów i narzędzi skonstruował samodzielnie, lecz nigdy ich nie opatentował. Pani Angell powiedziała swemu lokatorowi, że na strychu też pełno jest „dziwactw Toma", ale Burton nigdy tam nie był. Nie wiedział, co gospodyni miała na myśli.

Przy końcu korytarza sutereny, po przeciwnej stronie niż schody, znajdowały się drzwi, przez które po kilku prowadzących do góry stopniach wychodziło się na puste, otoczone wysokimi ścianami tylne podwórko. Zamykała je stajnia, przerobiona na opustoszały w tej chwili garaż.

Na parterze znajdował się salon i rzadko używana jadalnia.

Pierwsze piętro zajmował gabinet Burtona, a także garderoba z mnóstwem jego przebrań i kostiumów, mała toaleta i nieużywany, pusty pokój, w którym podróżnik zamierzał urządzić laboratorium lub ciemnię fotograficzną.

Na drugim piętrze znajdowała się sypialnia, garderoba i pokój gościnny. Na trzecim, najwyższym, mieściła się jego biblioteka, wypełniona księgami i manuskryptami, oraz schowek.

Wszedłszy do gabinetu, Burton zauważył najpierw pięć walizek stojących równo przy drzwiach, a potem pokojówkę, Elsie Carpenter, odkurzającą właśnie półkę nad kominkiem.

– Uciekaj, panienko Elsie... dobra dziewczynka.

– Oczywiście. – Pokojówka skłoniła głowę i wyszła z pokoju. Miała piętnaście lat. Przychodziła codziennie i od ósmej rano do czwartej po południu robiła to, co pani Angell kazała jej zrobić.

Na biurku leżał list. Podróżnik przeczytał go.

Wtorek, 17 września 1861
Najdroższy Dicku,

U Fullerów było po prostu strasznie. Przywitano mnie bardzo nieprzyjaźnie, nie

powiedziano mi ani słowa o tym, co dzieje się z Johnem oprócz tego, że przeniesiono go do Londynu. Mam wrażenie, że robiono wszystko, bym nie poznała prawdy. Może, gdy zwrócę się do sir Rodericka Murchisona, on wstawi się w naszej sprawie? O ile wiem, dzisiaj, czyli siedemnastego, po południu wyjeżdża z Bath do Londynu.

Przywiozłam ci bagaże, a teraz jadę do domu. Do mamy wysłałam papugę z pytaniem, czy, biorąc pod uwagę okoliczności, ona i ojciec są gotowi cię przyjąć. Otrzymałam odpowiedź, że nie są. Nie martw się, kochany, nie będą ci tak niechętni, gdy już się pobierzemy.

Odezwę się do ciebie w czwartek po południu.

Nie znoszę tych naszych rozstań.

Twoja kochająca
Isabel

Burton rzucił list na biurko, usiadł i napisał do lorda Palmerstona. Był pewien, że po jego rekomendacji premier wezwie nadkomisarza sir Richarda Mayne'a i poleci mu przydzielić sprawę Skaczącego Jacka inspektorowi Trounce'owi. Wsadził list do koperty, zakleił ją, wypisał na niej: „Pilne. Do lorda Palmerstona". Podpisał się swym nowym kryptonimem: Abdullah. Dawało to pewność, że wiadomość trafi prosto do rąk własnych premiera.

Zszedł na dół. Wziął gwizdek ze stojącego w holu stołu, otworzył drzwi, zagwizdał trzy razy krótko, raz za razem. W chwilę później psi goniec przeskoczył furtkę i wylądował na progu, machając ogonem. Spod stołu podróżnik wyciągnął puszkę po herbatnikach. Otworzył ją. W środku znalazł kawał szynki; pani Angell pilnowała, by zawsze pod ręką było coś szczególnie smakowitego. Położył mięso przed chartem, który pochłonął je żarłocznie, oblizał się, spojrzał na list w dłoni człowieka i wziął go w zęby.

Człowiek pochylił się. Wyszeptał mu do ucha: „Downing Street dziesięć, Whitehall".

Goniec odwrócił się i znikł we mgle.

Burton wrócił do gabinetu. Podszedł do kominka. Pokojówka napaliła w nim wcześniej, bo ciąg chwycił już, choć jeszcze niepewnie. Ożywił ogień pogrzebaczem, zapalił od niego cygaro, opadł na fotel.

Ktoś, kto dziś rano wysłuchałby słów Palmerstona, nie mógłby mieć wątpliwości, że do tej chwili Burton prowadził niezwykłe życie. On sam uznał jednak, że ze wszystkich przeżytych przez niego dni ten dzisiejszy był, być może, najbardziej zdumiewający.

Potrząsnął głową. Aż trudno uwierzyć, ale zaledwie wczoraj nie wiedział, czym mógłby się zająć!

Oparł głowę na zagłówku fotela. Przymknął oczy. Pozwolił myślom przebiegać, jak im się podoba. Skupiły się na tysiąc osiemset czterdziestym pierwszym roku, kiedy zaczynał studiować arabski, a imperium brytyjskie omal nie upadło.

Po tragicznej śmierci królowej Wiktorii rząd, na którego czele stał wówczas lord Melbourne, wpadł w panikę. Następcą Wiktorii powinien zostać jej wuj, Ernest Augustus Pierwszy, książę Cumberland i król Hanoweru, piąty syn króla Grzegorza Trzeciego. Ciągłość sukcesji była jasna. Ale sama myśl o tym, że to on zasiądzie na brytyjskim tronie, napełniała wszystkich szczerym przerażeniem. Sześćdziesięciodziewięcioletni Ernest szaleństwo odziedziczył bez wątpienia po ojcu. Krążyły pogłoski, że w tysiąc osiemset dziesiątym roku zamordował w okrutny sposób pokojowego, że miał syna z księżną Zofią, czyli z własną siostrą, że szczególnie gorsząco napastował lady Lyndhurst.

W dodatku był skrajnym konserwatystą, co szczególnie nie pasowało do Anglii, przewietrzanej wówczas przez liberalne wiatry. I wreszcie oznaczałoby to ponowne przejęcie władzy nad Hanowerem i Zjednoczonym Królestwem przez jedną królewską rodzinę, a przecież rozdział nastąpił zaledwie trzy lata temu, gdy do władzy doszła Wiktoria.

Natychmiast po zamachu ludzie wylegli na ulice. Protestowali przeciw Ernestowi jako ich przyszłemu królowi. W kilku miastach doszło do zamieszek. Niedaleko kompleksu Parlamentu wybuchła bomba.

Rząd ogłosił kryzys konstytucyjny. Kandydatura księcia Cumberland została zablokowana. Władzę królewską przejęła rada najwyższych dostojników państwa, wśród których znalazł się też minister spraw zagranicznych lord, Palmerston. Rada zwróciła uwagę na ustawę, którą miano przedstawić parlamentowi w tysiąc osiemset czterdziestym roku: Akt Regencyjny przygotowany po ujawnieniu, że królowa jest w ciąży. Na mocy Aktu mąż Wiktorii, Albert książę Sachsen-Coburg-Gotha, miał zostać regentem na wypadek śmierci królowej przed dojściem do pełnoletności ich dziecka.

Palmerston, którego Wiktoria nie znosiła za skłonność do działania bez wyczerpania odpowiedniego procesu konsultacyjnego, potrafił dostrzec nadarzającą się okazję. Za jego radą członkowie rady dokonali politycznego fałszerstwa: antydatowali Akt Regencyjny tak, by zaczął działać nie od daty narodzin królewskiego dziecka, lecz od daty jego poczęcia. Parlament przyjął go błyskawicznie i jednogłośnie.

Była to oczywiście sztuczka i nic więcej.

Nienarodzone dziecko zmarło wraz z matką, więc tak czy owak, książę regent nie miał żadnych praw do tronu. By mu je stworzyć, potrzebna była kolejna manipulacja: zmiana konstytucji.

Ernest Augustus Pierwszy był oczywiście wściekły. Gdyby Hanower był trochę większy od małego angielskiego hrabstwa, zapewne wypowiedziałby Anglii wojnę. Nie mógł, więc tylko bezradnie przyglądał się, jak brytyjscy politycy przepisują dokumenty tak, by pozbawić go tronu.

W kwietniu tysiąc osiemset czterdziestego drugiego roku na tronie imperium brytyjskiego zasiadł dom Sachsen-Coburg-Gotha.

Książę Albert został królem.

*** Rozdział 6 ***

Wieprz w Zagrodzie

Rząd jest mózgiem imperium.
Technicy są mięśniami imperium.
Libertyni są wyobraźnią imperium.
A ja, niech mi Bóg dopomoże,
muszę być sumieniem imperium.

Jego Wysokość król Albert

Środowy świt próbował wstać nad Londynem, lecz to mu się nie udało. Dopiero późnym rankiem przez mgłę przedarły się słabe promienie słońca.

Sir Richard Francis Burton spędził wieczór poprzedniego dnia na lekturze raportu wypożyczonego od inspektora Williama Trounce'a. Zawarta była w nim jedna informacja, o której nie rozmawiali: świadkowie, nawet ci, dla których Skaczący Jack był duchem lub diabłem, zeznawali zgodnie, że ma on około czterdziestki. A jednak od dnia, w którym po raz pierwszy pokazał się publicznie, minęły dwadzieścia cztery lata. Jeśli, atakując Mary Stevens, miał około czterdziestki, teraz powinien mieć jakieś sześćdziesiąt pięć lat, tymczasem twarz, którą podróżnik dostrzegł pod kulistym hełmem, zniekształcały wprawdzie ból i szaleństwo, lecz z pewnością nie wiek.

Musiał zgodzić się z Trounce'em: Skaczącym Jackiem była więcej niż jedna osoba. W dodatku osoby te należały, być może, do różnych pokoleń.

Burton spał lekko, krótko, a sen nie przyniósł mu odpoczynku. Jak zwykle wstał wcześnie. Przed śniadaniem pisał przez trzy godziny.

Przez cały ranek w jego gabinecie i w bibliotece paliły się lampy gazowe. Burton znosił na dół stosy książek. Szperał w nich, szukając informacji o mitycznych istotach przypominających stwora, który go napadł. A także, przy okazji, o ludziach-wilkach.

Tego przynajmniej nie brakowało. Występowały pod nazwą *loups-garous* lub wilkołaki. Pojawiały się w opowieściach z całego świata i we wszystkich epokach historycznych. Niestety, nie dało się tego powiedzieć o Jacku. O nim nie znalazł ani jednej wzmianki.

Palił nargile przy kolejnej książce, gdy o pierwszej odwiedził go Algernon Swinburne. Poeta wspiął się na palce, przyjrzał przyjacielowi, który dowiedziawszy się od pani

Angell o tym, że ma gościa, burknął: „proszę go wpuścić”, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że coś powiedział. Bez wątpienia był w „naukowym dołku”, jak nastrój ten nazywał Swinburne: ślepy na wszystko z wyjątkiem trzymanej w ręku książki.

– Bu! – przywitał go.

– *Moko Jumbie* – usłyszał w odpowiedzi.

– Co?

Burton wreszcie podniósł na niego wzrok.

– Och, cześć, Algy. Nie, nic. Nie mogę znaleźć niczego przypominającego naszego Jacka oprócz karaibskiego *Moko Jumbie*. Podczas uroczystości karnawałowych reprezentują go tancerze na szczudłach. Pochodzenie ma niewątpliwie afrykańskie. *Moko* jest bogiem z regionu Konga, samo słowo oznacza wróżbitę. *Jumbie*, przynajmniej w moim przekonaniu, odpowiada mniej więcej arabskiemu „dżini”, a samo słowo pochodzi z kongijskiego *zumbi*. Czyli: duch wróżbita. Interesujące.

– Naprawdę? – zdziwił się Swinburne. – Po co ci te studia nad Skaczącym Jackiem, masz zamiar dołączyć do hulaków czy co? Skąd to podbite oko?

– Ten pierwszy podbił mi to drugie.

– Jak to? Chcesz mi powiedzieć, że Skaczący Jack nakładł ci po twarzy? – Swinburne usiadł na fotelu naprzeciw gospodarza. Musiał ominąć stos książek, a siadając, trącił go łokciem, posyłając opasłe tomy na podłogę.

Burton westchnął ciężko.

– Uważasz, że „nakładł po twarzy” to określenie pasujące do początkującego poety?

– Zamknij się i odpowiedz mi na pytanie.

– Jeśli się zamknę, nie będę mógł...

– Richardzie...! – pisnął Swinburne, podskakując na fotelu.

Podróżnik roześmiał się wesoło. Można było odnieść wrażenie, że śmiech go boli: podwinął górną wargę, ukazując zbyt duże kły, a jego oczy zmieniły nieco kształt, jakby zmuszał do działania za rzadko używane mięśnie. Prychnął trzy razy basowo, z głębi piersi, a potem wrócił do swego zwykłego, posępnego i groźnego wyrazu twarzy. Przenikliwe spojrzenie wbił w bladozielone oczy gościa.

– Mówię prawdę, Algy. Skaczący Jack zaatakował mnie w nocy, zaraz po tym, jak wyszedłem z Klubu Kanibali. – Odłożył książkę i opisał przyjacielowi, co się stało.

– Wielkie nieba, co za przeżycie! – ucieszył się poeta, wysłuchawszy go do końca. – Musi być czymś cudownym tak oberwać w łeb od mitu! Oczywiście nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Jadłeś coś?

– Upewniam cię, że wszystko, co powiedziałem, to prawda. Nie uważam przeżycia za cudowne i nie, nie jadłem.

– No to na co czekasz? Idziemy do Czarnej Ropuchy na drugie śniadanko.

Burton odstawił nargile. Wstał.

– Dobrze, ale proszę, tym razem nie nadużywaj piwa. Poprzednim razem po drugim śniadanku musiałem cię stamtąd wynieść na własnych plecach.

– Zabawne. – Mały poeta zachichotał cienko. – A ja nic nie pamiętam.

Skoczył na równe nogi, zwalając przy okazji kolejną górę książek.

Kilka minut później dwaj mężczyźni w zapiętych pod szyję płaszczach i zawadiacko przekrzywionych cylindrach szli, kręcąc laskami, z Montagu Place 14 na zachód, w stronę Baker Street.

Mgła zmieniła kolor z iście piekielnej czerwieni na bladą, chorą żółć; ludzie, pojazdy i

zwierzęta poruszali się w niej bardzo ostrożnie. Tłumiła także dźwięki, nawet nagły wybuch kotła przejeżdżającego niedaleko welocypedu i krzyki jadącego nim człowieka, który doznał poparzeń, wydawały się niewyraźne, niepoważne.

– Algy – przerwał milczenie Burton – kręciłeś się przy hulakach, paru nieźle znasz. Dlaczego aż tak entuzjazmują się Skaczącym Jackiem? Jaka właściwie jest ta ich filozofia?

– To ekstremiści – powiedział poeta zdecydowanie. – Anarchiści. Nihiliści. Bardzo niegrzeczni chłopcy. Twierdzą, że wszystkie zasady moralne i zachowania społeczne są całkowicie sztuczne, że stosując się do nich, człowiek przyzwala na tłumienie swego autentycznego ja.

Przeszli przez Gloucester Place, skręcili w Dorset Street. Swinburne szedł charakterystycznym, sprężystym krokiem; niemal zawsze poruszał się szybko, nerwowo. Zaraz za rogiem ich nozdrza mile połechtał słodki zapach pieczonych kasztanów. Londyńskie ulice oferowały niewiele tak przyjemnych woni. Burton przywitał się ze sprzedawcą, uchylając kapelusza.

– Dzień dobry, panie Grub. Jak biznes?

– Okropnie. Nikt mnie nie widzi w tej grochówce. Torebeczka dla pana?

– Przykro mi, staruszku, ale nie. Idziemy do pubu coś przekąsić.

– Mówi się: trudno. Miłego dnia, kapitanie.

Burton odznaczał się tym wielkim talentem, że potrafił porozumieć się z każdym, niezależnie od jego pozycji społecznej. Niektórym z jego znajomych wcale się to nie podobało, uważali za nieprzystojne tak przyjacielsko konwersować z prostakami, ale ich opinie nie robiły na nim żadnego wrażenia.

– Różnica między prawdziwym libertynem, a hulaką – tłumaczył Swinburne, nie zwalniając kroku – polega na tym, że pierwszych interesuje, czym jednostka może wzbogacić społeczeństwo, drugich zaś tylko to, jak społeczeństwo kształtuje jednostkę.

– Mówisz o libertynach, jakby posiadali jakieś cnoty, a tymczasem cieszą się oni nieco inną reputacją.

– Nie, nie, nie zrozum mnie źle. Obie gałęzie tego ruchu są złe, przynajmniej według purytańskich standardów słynnej pani Grundy. Nasza mistyczna orędowniczka tego, co właściwe, rozdeptuje drobną stópką choćby najmniejszy pozór skandalu, a libertyni są jednym wielkim skandalem. To dlatego, że skupiają się przede wszystkim na seksualności. Dla nich jest to zagadnienie, w którym najpełniej manifestuje się hipokryzja imperium. Libertyni wszelkiej maści w sposób radośnie nieopanowany popierają erotyzm, pornografię, pederastię, de Sade’a i w ogóle wszelkiej maści rozpustę.

Pewien dżentelmen musiał usłyszeć fragment tej tyrady, bo mijając ich, burknął pod nosem: „Mało powiedziane”. Poeta roześmiał się. Podniósł głos, tak by przechodzący obok ludzie mogli go usłyszeć.

– Prawdziwi libertyni wskazują na tysiące londyńskich prostytutek i mówią: „Patrzcie. Seks na sprzedaż. Kobiety i mężczyźni musieli uciec się do tego, by przeżyć w naszej tak zwanej cywilizacji. Gdzie twoja tak cenna moralność? Gdzie powściągliwość, gdzie purytańska etyka? W dodatku mają klientów! Mężczyzn, których seksualne gusta nie dadzą się zaspokoić w zgodzie z zasadami tak zwanej przyzwoitości. Wy, społeczeństwo, kreujecie to, przeciw czemu ośmielacie się występować”.

Burton rozejrzał się. Zobaczył obracające się głowy, pełne dezaprobaty spojrzenia. Swinburne’a to nie obchodziło. Nie tylko głosił kazanie, lecz wręcz się nim rozkoszował.

– Tymczasem hulacy sławią sam akt seksualny jako to, co czyni mężczyzn i kobiety nagimi dosłownie i w przenośni, redukuje ich do natury w stanie czystym, przy czym słowo „czysty” rozumiem jako wyzwolenie od nienaturalności. Seks w sposób wręcz idealny obiera nas ze sztucznej skóry społeczeństwa, dzięki niemu mamy szansę na odnalezienie naszej nieskalanej tożsamości. Hulacy mówią o wstydzie: nie wiemy. O cnocie: nie chcemy. O grzechu: kochamy. I to już nie jest grzech!

Obaj mężczyźni skręcili w prawo, w Baker Street. Burton prychnął pogardliwie, lecz po chwili namysłu przyznał:

– Owszem, mógłbym zgodzić się z takim teoretycznym założeniem. Każdy inteligentny człowiek widzi, że zakłamana grzeczność wraz z wystudiowanymi manieryzmami naszej cywilizacji w tym samym stopniu tłumią i gnębią. Z całą pewnością służą zacieraniu różnic, wspierają to wszystko, co zniechęca do sięgnięcia po wolność intelektualną, emocjonalną i seksualną. Społeczeństwo woli członków zbudowanych według podyktowanych przez nie zasad niż na swój własny obraz i podobieństwo. Czyni ich to lepszymi niewolnikami.

– Święta racja – przytaknął Swinburne. – Ten, kto pozwala, by jego ja uformowało imperium, jest nikim więcej niż wrzuconą w jego ogień gałęzią. To dlatego libertyni, a przede wszystkim hulacy urażają, niepokoją, a nawet przerażają ludzi. Ten ruch przekracza granice, z których istnienia nie zdawali sobie nawet sprawy, póki nie zostały przekroczone, a przecież te właśnie granice definiują większość z nich, napawają ich komfortowym przekonaniem, że są cennymi członkami stabilnego społeczeństwa. Ludzie lubią czuć się potrzebni, wiedzieć, że mają do odegrania jakąś rolę, nawet jeśli jest to rola paliwa, którym imperium pali w swym piecu. Mój Boże, tylko popatrz!

Swinburne wskazał palcem wyłaniający się z oparów gigantyczny kształt. Był to jeden z nowych koni pociągowych, megakoń, stworzony niedawno przez eugeników. Te ogromne stwory miały piętnaście stóp w kłębie (podawanie wysokości w dłoniach uznano za śmieszne), wyróżniała je także wielka siła. Ciągnięte przez nie ładunki nierzadko dorównywały rozmiarami niewielkim domom.

Na widok tego konia Burton i Swinburne wcisnęli się niemal w ścianę najbliższego budynku, pragnęli oddalić się od niego na największą możliwą odległość. Megakonie nie kontrolowały ani pęcherza, ani żołądków, a opróżniały je wyjątkowo często. Przez pewien czas był to prawdziwy problem dla miasta, którego ulice i tak nie słynęły z czystości, aż wreszcie pewien technik wymyślił automatycznych czyścicieli, zwanych popularnie krabami śmieciarzami. Od tej pory to one co noc doprowadzały zanieczyszczane w dzień ulice do stanu używalności.

No i oczywiście, gdy tylko ciągnący omnibus gigant zrównał się z nimi, na bruk poleciały wielkie, ciężkie jak głazy jabłka nawozu, omal nie opryskując przyjaciół.

Megakoń znikł w wirującej leniwie mgle. Burton i Swinburne poszli dalej.

– A Skaczący Jack? Co on ma z tym wspólnego, Algy?

– Według Szalonego Markiza, jeśli przekroczymy definiujące nas ograniczenia, zyskamy moce, które nazywa transnaturalnymi. Jego zdaniem Skaczący Jack, bez wysiłku przeskakujący domy, jest doskonałym, jedynym w swoim rodzaju przykładem istoty nietańczącej do niczyjej muzyki, robiącej, co chce i jak chce, bez względu na prawo, bez względu na moralność. Najwyraźniej taka wolność ma być kolejnym szczeblem ewolucji.

Burton potrząsnął głową.

– Można być wyzwolonym, ale seksualne napastowanie młodych dziewcząt to coś

zupełnie innego. Na Boga, teoria ewolucji biednego starego Darwina okazuje się niebezpieczna dla wszystkich. Niszczy Kościół, jej twórca musi się ukrywać, a teraz jeszcze usprawiedliwia się nią seksualną agresję wobec niewinnych. Nie sądzisz, Algy, że tego rodzaju czyny wskazują raczej na regres niż ewolucję? Musimy przezwyciężać przesądy w imię rozwoju – pod tym względem zgadzam się z hulakami – ale czy przy okazji nie należałoby samodzielnie wypracować zasad zachowania, wykluczających tego rodzaju akty nieprawości? Ewolucja powinna zniechęcać nas do animalistycznych zachowań, a nie do nich popychać.

Swinburne wzruszył ramionami.

– Bestialstwo to specjalność hulaków. Głoszą chwałę perwersji, czarnej magii, narkotyków i przestępstw. Chcą łamać tabu, gwałcić prawa, obalać doktryny, niszczyć to wszystko, co uważają za sztuczne i przygniatające człowieka. – Z mgły wyłonił się pub Czarna Ropucha. – Dzięki Bogu! Wyschłem już na wiór!

– Mam nadzieję, że jeszcze trochę wytrzymasz. Nabrałem ochoty na odwiedziny w Wieprzu w Zagrodzie na Oxford Street.

– Hej, chcesz odwiedzić miejsce narodzin ruchu libertynów, mam rację? Jasne, idziemy! Ale skąd to nagłe zainteresowanie?

Podróżnik opowiedział przyjacielowi o – w najlepszym razie luźnych – związkach Skaczącego Jacka i Edwarda Oxforda.

Pół godziny później stali już przed Wieprzem w Zagrodzie. Mieścił się on w mrocznym, jakby spuchniętym domu, starym, zbudowanym z drewnianych bali, osiadłym i brudnym. Krab śmieciarz zepsuł się niemal na jego progu, przyciągając gapiów. Leżał na ziemi, na boku, podwijając pod siebie cztery prawe nogi. Połowa wychodzących z brzucha cienkich ramion do zbierania odpadków była pokrzywiona lub nawet zmiażdżona, a ze szczeliny w lewym boku, który znalazł się na górze, unosiła się para. Jedna z lewych nóg nadal drgała.

Poeta zachichotał.

– Sam widzisz – powiedział najgłośniej jak potrafił. – W Wieprzu w Zagrodzie nadal straszy duch libertynów, a pojawiające się w pobliżu maszyny padają jak muchy. Trzy razy „hura!” dla sztuki i poezji. Niech diabli wezmą techników.

Weszli do pubu. Przepchnęli się przez słabo oświetlony, zatłoczony bar, którego sufit wisiał tuż nad głowami tłumu robotników, urzędników, sklepikarzy, biznesmenów i dżentelmenów spłukujących piwem zalegającą im w gardłach sadzę, do znacznie jaśniejszego i znacznie luźniejszego salonu. Powiesili płaszcze i kapelusze na wieszaku przy drzwiach, usiedli wygodnie przy stole. Barmanka przyjęła ich zamówienie: szklankę porto dla Burtona, pintę bittera dla Swinburne’a. Obaj zdecydowali się na stek zapiekany w cieście piwnym.

– A więc tu się wszystko zaczęło. – Swinburne rozejrzał się po sali o ścianach wyłożonych drewnianą boazerią, pokrytą lepkim osadem tytoniowego dymu. – Tu Szalony Markiz nauczał swych wyznawców.

– Nauczał ich bezprawia, szaleństwa i niepohamowania... sądząc z tego, co mi mówiłeś – zauważył Burton.

– Nie od razu. Zaczął od całkiem łagodnej formy luddyzmu. Maszyny są wstrętne. Maszyny kradną nam pracę. Maszyny nas odczłowieczają. Takie tam banały. Moim zdaniem markiz pragnął przypodobać się tłumowi. Sam nie bardzo wierzył w swe kazania.

– Skąd to przypuszczenie?

– Stąd, że w trzydziestym siódmym zaprzyjaźnił się z Isambardem Kingdomem Brunelem i jest to fakt powszechnie znany. Często pokazywali się razem w Athenaeum Club. Jeśli Beresford był prawdziwym luddystą, to czemu, do diabła, tak często publicznie widywano go pogrążonego w rozmowie z przywódcą rodzącego się ruchu techników? Jeśli dobrze pamiętam, to w czterdziestym trzecim przestał napadać na techników, a za to wprowadził pojęcie człowieka transnaturalnego. Wkrótce stało się to jego obsesją, powodując widoczne zaostrzenie poglądów. Ach! Wreszcie mamy się czego napić. Dziękuję ci, skarbie.

Swinburne wypił wielki łyk piwa z pintowego kufla, wydającego się strasznie wielkim w jego małej dłoni. Wytarł pianę z ust i mówił dalej:

– Co za rozkosz! Markiz miał pewien problem. Otóż znaczna większość jego wyznawców bardziej interesowała się walką z technikami niż gadaniną o ewolucji człowieka, więc w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym strawniejszą wersję jego nauk wypracowała mała odłamowa grupa malarzy, poetów i krytyków. Na jej czele stali William Holman Hunt, John Everett Millais i mój przyjaciel Dante Gabriel Rossetti.

– Bractwo Prerafaelitów.

– Tak nazywa samą siebie grupa przywódców, choć i oni, i ich liczni naśladowcy lepiej znani są jako prawdziwi libertyni. Przez ostatnich dwadzieścia lat ich rodzaj libertynizmu przekształcił się w uwielbienie tak zwanej godności ludzkiego ducha. Patrzysz na skromnego robotnika i oznajmiasz, że jest piękny w swym trudnym człowieczeństwie, lecz zagrożony przez obrzydliwe, pozbawiające pracy maszyny. – Poeta uśmiechnął się. – Jednakże czuję się zmuszony do wyznania, że prawdziwi libertyni to apatyczna elita, fircykowaci malarze, ospali pisarze, leniwi filozofowie i na pół szaleni poeci jak ja. Wszyscy oni, choć właściwie powinienem powiedzieć: my, ponieważ sam siebie przypisuję do tej grupy... no więc my wszyscy chętniej porozwodzimy się nad godnością robotnika, niż sami złapiemy za łopaty.

– Nie oszukasz mnie, mały – zakpił Burton. – Z ciebie to w najlepszym razie półdupek libertyna.

– Przyznaję, jestem dyletantem. – Poeta roześmiał się wesoło. – No dobrze, pora wrócić do tematu mojej małej diatryby. Więc... w odpowiedzi Henry Beresford wraz z resztą wyznawców przemianowali się na hulaków, a resztę znasz. To banda nieuznających prawa łobuzów, czerpiących radość z występku. Publikując *O pochodzeniu gatunków*, Darwin dał im, oczywiście, potężnego kopa w górę. Komu potrzebna moralność, skoro Bóg umarł?

– Ciekawe, co sam Darwin miałby do powiedzenia na ten temat – napomknął nowo mianowany królewski agent.

– Być może zgodziłby się z twoją teorią o naturalnym systemie sprawiedliwości? Może rzeczywiście wszyscy mamy wbudowany zmysł moralny, nagradzający nasze dobre uczynki i karzący za złe? Podejrzewam, że uznałby to za cechę wspomagającą przetrwanie gatunku.

– Całkiem prawdopodobne... jeśli jeszcze żyje. Wszystkie religie tego świata ogłosiły przeciw niemu dżihad, więc pewnie zdążył już się przekonać, że naukowy realizm nie jest ochroną przed zemstą martwego Boga.

– Wierzysz w te plotki, że ukrył się wśród techników?

– Wcale by mnie to nie zaskoczyło. Głowa frakcji eugeników, Francis Galton, jest

przecież jego kuzynem. Ale wracając do hulaków, Algy... czy nadal ubóstwiają Skaczącego Jacka?

– Powiedziałbym, że nawet bardziej. Ich nowy przywódca, protegowany Beresforda, ma poglądy znacznie bardziej skrajne niż on.

– A kto jest tym nowym przywódcą?

– Znasz go. Nazywa się... ach, jest i nasze jedzenie!

Barmanka postawiła przed gośćmi parujące talerze oraz sztućce.

– Następna kolejka, panowie? – spytała.

– Oczywiście – przytaknął radośnie Swinburne. – Nie. Chwileczkę. Poprosimy butelkę czerwonego wina. Zgadzasz się ze mną, Richardzie?

Burton skinął głową. Barmanka pokazała zęby w uśmiechu i odeszła.

– Oliphant – powiedział Swinburne.

– Słucham?

– Od dwóch lat przywódcą frakcji hulaków jest Laurence Oliphant.

Wczesnym popołudniem mgła zmieniła barwę na czerwonobrązową. W jej kłębach leniwie dryfowały płatki sadzy.

Swinburne upił się i zataczał w dusznym, mrocznym oparze, nie mając pojęcia, dokąd idzie i po co. Zapowiadało się, że i ten dzień zakończy, nieprzytomny, w męskim klubie lub w burdelu.

W ciągu ostatnich kilku tygodni jego stan zdecydowanie się pogorszył.

„Dzieciak potrzebuje celu w życiu” – pomyślał Burton.

Przed wyjściem z Wieprza w Zagrodzie udało mu się porozmawiać z jego szefem. Dowiedział się, że pierwszy właściciel pubu, człowiek, który zatrudniał Edwarda Oxforda i był świadkiem narodzin zarówno grupy prawdziwych libertynów, jak i hulaków, nazywał się Joseph Robinson.

– Teraz to starszy dżentelmen, proszę pana – uprzedził go szef. – Kilka lat temu, to było w tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym roku, zmęczyły go codzienne podróże tam i z powrotem, bo wie pan, zawsze mieszkał w Battersea, więc sprzedał ten lokal i kupił pub bliżej domu, miły, niewielki, nazywa się Dreszczyk.

– Dziwna nazwa dla pubu – zauważył Burton.

– A to się zgadza. Jeśli pan tam kiedyś trafi, warto go o nią zapytać. Niezła historia.

Burton wrócił do domu o szóstej. Zaledwie dziesięć minut później na ulicy, tuż pod jego drzwiami, rozległ się donośny huk, a zaraz potem dzwonek do drzwi. Pani Angell zapukała do drzwi gabinetu, po czym od progu zaanonsowała przybycie gościa, pana Montague Pennifortha, który niestety „zostawił plamy sadzy na dywanie”.

W gabinecie pociemniało; to gigantyczny woźnica mechanicznej dorożki zasłonił sobą drzwi. Przy wejściu do gabinetu Burtona musiał się pochylić. Ubrany był w sięgający do pół łydki płaszcz z rodzaju mundurowych, widoczne spod niego białe bryczesy i buty do kolan. Głowę przykrywał mu trójgraniasty kapelusz, a cały ten strój zdobiły obficie płatki sadzy.

– Bardzo panią przepraszam, dobra kobieto – powiedział ze skruchą. – Moja wina. Zapomniałem wytrzeć buty. Bo widzi pani, mam powód do zmartwienia. Wał korbowy

pękł, wyleciał na dobre czterdzieści stóp w górę, a kiedy już spadł, to w trzech kawałkach.

Montague wzruszył ramionami, patrząc na siedzącego za biurkiem podróżnika.

– Przepraszam, szefie, ale chyba nigdzie pana nie zawiozę, póki nie wymienię sukinsyna, dama wybaczy mi to brzydkie słowo.

Pani Angell pociągnęła nosem, burknęła:

– Nie martwiłabym się aż tak, gdyby to były ślady normalnych rozmiarów. – I odeszła, roztaczając wokół siebie atmosferę wyniosłości.

Burton wstał. Potrząsnął ręką gościa.

– Odwieś płaszcz i kapelusz, Monty. Napijesz się brandy?

– Nie miałbym nic przeciwko, szanowny panie.

Gospodarz hojnie napełnił dwa kieliszki, odczekał, aż kierowca pozbędzie się wierzchniej odzieży, podał mu jeden z nich i gestem wskazał miejsce na fotelu przy kominku. Usiedli naprzeciw siebie. Penniforth westchnął zadowolony.

– No niech mnie, piję brandy w domu wyższych sfer... kto by pomyślał?

– Wyższych sfer, Monty?

– Ojej, przepraszam, szefie.

Burton uśmiechnął się krzywo.

– Nie przedstawiłem ci się, prawda?

– Och, to nie było konieczne, proszę pana. Pan jest sir Richard Burton, ten dżentelmen z Afryki. Prawdziwy Livingstone z pana!

– Uuuch...

Penniforth bardzo się zakłopotał.

– Nie jest to moje ulubione porównanie – wyjaśnił podróżnik.

– Ach! Współzawodnictwo?

– Inne pomysły. Zdaje mi się, że brandy ci posmakowała. Jeszcze trochę?

Zdziwiony kierowca zajrzał do pustego kieliszka.

– Nie powiem „nie”, chyba że nadużywam pańskiej uprzejmości, sir. Nawet nie zauważyłem, kiedy wypiłem tę!

Burton podał mu karafkę.

– Proszę, sam sobie nalej. I powiedz mi, Monty... dobrze znasz East End?

Wielkolud spojrzał na niego tak zaskoczony, że zapomniał, co robi. Zorientował się, kiedy kieliszek napełnił się niemal po brzegi.

– Uuuf! – sapnął. – Kocioł! Potrafię sobie z nim poradzić, ale składanie tam wizyt odradzałbym każdemu oprócz desperatów mających dość życia. Sam mieszkam w Cheapside, a stamtąd można napluć na Whitechapel, więc owszem, znam East End. Całe miasto znam. Taka praca.

– Słyszałeś o wilkach, które tam podobno grasują?

Twarz Pennifortha, uczciwa, gładko ogolona, ogorzała i kwadratowa, w oprawie kręconych brązowych włosów, zbladła lekko, lecz wyraźnie.

– Coś słyszałem. Mówi się, że to bardziej ludzie niż wilki, te potwory od paru tygodni pojawiające się w ciemnościach. Mam nadzieję, że nie chce mnie pan zaprosić do polowania na nie?

– Właśnie to chciałem ci zaproponować.

Montague jednym łykiem wypił całą brandy z kieliszka, który sam sobie napełnił.

– Jasna cholera! – westchnął.

– Możesz mi oczywiście odmówić. Wiem, że Kocioł jest wystarczająco niebezpieczny

i bez potworów, ale tak czy inaczej tej nocy wybieram się właśnie tam. To ostateczna decyzja. Miałem nadzieję, że będziesz mi towarzyszył, bo dla ciebie nie jest to miejsce nieznane. Dobrze zapłacę.

Wielkolud podrapał się po głowie przez gęste, brązowe kędziory.

– Rzecz w tym, sir, że pan jest, za przeproszeniem, z wyższych sfer, więc wystarczy, że jakiś łobuz na pana spojrzy i już będziesz pan dla niego ofiarą. A na East Endzie będą na pana patrzeć same łobuzy.

Burton wstał.

– Poczekaj na mnie – powiedział. – Jeśli chcesz, napij się jeszcze brandy. Wrócę najpóźniej za kwadrans.

Przeszedł przez pokój i znikł za drzwiami.

Penniforth znów napełnił kieliszek. Rozejrzał się dookoła. Nie widział jeszcze takiego pokoju, pełnego książek, broni, zdjęć, map i rzeczy, których nie potrafił nawet nazwać. Wstał. Przyglądał się z bliska starym skałkówkom, współczesnym pistoletom, nożom o wygiętych ostrzach, wielkiemu wyborowi broni białej; to ona najbardziej mu się tu podobała.

Często opowiadał żonie o tym, jak żyje „druga połowa”, ale ten człowiek, Burton, nie wydawał się być jej częścią. Zachowywał się, owszem, jak dżentelmen, ale miał twarz brutala. Należał do „tych lepszych”, ale ze zwykłym kierowcą rozmawiał jak równy z równym. Był słynny, ale nie puszył się i nie pysznił. Dziwne.

Drzwi prowadzące na schody otwarły się. Stanął w nich sprawiający wrażenie nieokrzesanego staruch z długą siwą brodą, sądząc po charakterystycznym, chwiejnym kroku, były marynarz.

– Cześć, ojczulku – przywitał go Montague. – Szukasz pana domu?

– A jak – potwierdził stary ochrypłym głosem, mrugając szybko oczami, nad którymi pyszniły się krzaczaste brwi. – Bandyta jest mi winien trzy z szóstką. Nie zamierzam czekać!

– Naprawdę jest ci winien trzy i pół szylinga?

– Jasne. Gdzie się kryje, szczur jeden?!

Montague odstawił kieliszek. Wypiął pierś.

– Hej, stary, uważaj lepiej, co mówisz!

– Mam uważać? A jeśli nie, to co?

– To, stary łotrze – wycedził kierowca – że jedną ręką złapię cię za kołnierz tego twojego stuletniego płaszcza, a drugą za tyłek równie starych portek i wywalę cię do rynsztoka, gdzie twoje miejsce. I nie myśl sobie, że tylko grożę.

– Zrobiłbyś to? Naprawdę?

– A jak? Z przyjemnością.

Stary prychnął śmiechem... i nagle urósł znacznie, wyraźnie, rozrósł się w barach...

– Nie ma potrzeby, przyjacielu – rozległ się głos sir Richarda Francisa Burtona.

Montague Penniforth aż się zachwiał i cofnął o krok.

– Ciociu moja święta! – krzyknął. – Czy to afrykańskie dżudżu?

– Nie, Monty. Siwa peruka, puder na brodzie, odrobina teatralnego makijażu maskującego blizny i gra aktorska – wyjaśnił stary, który nagle przestał być starym.

– Boże wszechmogący, ale mnie pan oszukał! No, no! Prawdziwy artysta z pana, szefie.

– Więc twoim zdaniem zdałem egzamin? Poradzę sobie w Kotle?

– No niech mnie! Jasne. Gapić to się na pana nie będą, szefie!

– I o to nam chodzi. To co, uzbroimy się teraz i w drogę... jeśli nie masz nic przeciwko temu?

– Jasne, sir. W drogę!

Podróżnik podszedł do biurka stojącego przy ścianie, między oknami. Otworzył szufladę, wyjął z niej parę nowoczesnych pistoletów. Podał sześciostrzałowiec wielkiemu dorożkarzowi.

– Jest naładowany, więc zachowaj ostrożność – ostrzegł. – I jeszcze jedno, Monty. Strzelać wolno tylko w ostateczności. Rozumiesz?

– Oczywiście, sir.

– Jeśli będziesz zmuszony wyciągnąć broń, uważaj, gdzie mierzysz, i ściągaj spust pod warunkiem, że nie masz innego wyjścia.

– Święta racja, szefie.

– Dobrze. Ruszamy. Obawiam się, że będziemy musieli zapłacić za kurs któremuś z twoich konkurentów.

– O to nie ma co się martwić. My, kierowcy, dobrze się rozumiemy. No i ktokolwiek nas zabierze, załatwię z nim odholowanie mojego parowego konia sprzed pańskiego domu.

Obaj mężczyźni wsadzili pistolety za pasy, zapięli płaszcze i opuścili dom.

*** Rozdział 7 ***

Kocioł

Oszczędź sobie żmudnej roboty.

Domowiec sprzątacz,

ten piękny długowłosy kot, to wspaniały, kochający towarzysz rodziny. Zachowuje się tak, jak tego oczekujesz po udomowionym zwierzęciu.

Ale jest jedna różnica.

Cztery razy dziennie twój domowiec sprzątacz przemierza każdy cal podłóg twojego domu, wyjątkowo długim, wyhodowanym włosem zbierając z nich kurz i brud. Potem wylizuje się do czysta i trawi je jak karmę.

Domowiec sprzątacz utrzymuje podłogi w nieskazitelnym stanie!

Umaszczenie: czarne, białe, niebieskoszare, tygrysie.
Więcej barw dostępnych wkrótce.
Zamówienia pocztowe: dwa szylingi lub dwadzieścia osiem znaczków kierować do:

Porrit Adjustments Co.,
Walmersley, Bury, Lancs.

Przez niemal pięć godzin sir Richard Burton i Montague Penniforth snuli się zatłoczonymi uliczkami, przejściami, alejkami i ślepymi zaułkami Whitechapel. Przebijali się przez wirującą mgłę, buty grzęzły im w nieopisanie obrzydliwym brudzie chodników.

Pajęczyną wąskich, wyboistych ulic, otaczającą najnędzniejszą, a jednocześnie najgęściej zaludnioną dzielnicę miasta, spływały ścieki i odpadki wszelkiego rodzaju, w tym trupy. Wszechobecny nieznośny smród sprawił, że dwaj goście w dzielnicy kilkakrotnie wymiotowali.

Mijali wysokie domy zwane koloniami, głównie drewniane, osiadłe na fundamentach

tak, jakby zmęczyło je stanie prosto. Okna miały puste, pozbawione szyb, zastąpionych przez papier, płótno lub połamane deski. To przez nie wprost na ulicę wylewano pomyje i zawartość nocników, to przez nie przegrani spoglądali na świat martwymi oczami.

Ponad ulicami krzyżowały się rozciągnięte między domami sznury, z których zwieszały się zapchlone szmaty, wywieszone do prania przez brudny deszcz, po praniu wysychające na nieświeżym powietrzu, a na razie marynujące się w toksycznych oparach.

Nie raz i nie dwa do Burtona i Pennifortha podchodziły materializujące się z mgły dziewczęta zaledwie wyrosłe z dzieciństwa, bose, ze zlepionymi włosami i nogami umazanymi w ekskrementach, okryte zaledwie nędznymi płaszczami, sukienkami z cienkiego płótna lub nawet męskimi koszulami wiszącymi luźno na ich chudych ciałkach, sprzedające się za kilka miedziaków, a gdy im odmawiali – obniżające cenę, błagające, jęczące i wreszcie przeklinające mijających je niedoszłych klientów.

Nie raz i nie dwa podchodzili do nich chłopcy i mężczyźni w strojach mniej lub bardziej egzotycznie porwanych i brudnych, żądający, wymuszający i straszący, aż wreszcie, gdy pojawiały się pistolety, spluwający, przeklinający i znikający w najbliższym zaułku.

Nie raz i nie dwa mijali chude jak szkielety kobiety skulone w ciemnych kątach, tulące do piersi małe zawiniątka przeżarte nędzą i głodem, tak słabe, tak pozbawione nadziei, że nie podnosiły nawet głów, by spojrzeć na mijających je cicho mężczyzn.

Burton, pisarz, człowiek rejestrujący w najdrobniejszych szczegółach charakter i praktyki kultur tak niepodobnych do jego własnej, nabierał pewności, że nie udałoby mu się znaleźć słów odpowiednich do opisania beznadziejnej nędzy i plugastwa Kotła. Brud, rozkład, smród zgnilizny, przemoc i gwałt, rozpacz i pustka; niczego takiego nie widział w najciemniejszych głębiach Afryki, wśród ludów zwanych prymitywnymi.

Na razie wraz z Montague pił kwaśne piwo w czterech różnych barach. W piątym znaleźli to, czego szukali.

– Kolejny pub przed nami – mruknął Burton, gdy zbliżali się do Stepney. – Muszę spłukać ten wstrętny smak. Zamówimy gin, rum, cokolwiek, byle nie te szczyny nazywane piwem.

Penniforth skinął głową bez słowa. Parł przed siebie, rozdeptując maź wielkimi stopami.

Pub Biały Lew, stojący w połowie krótkiej, krzywej uliczki, wyrastał ponad błoto, ale wyglądało na to, że lada chwila może się w nie zapaść. Pomarańczowe światło wyciekało z jego okien, rozmazywało się we mgle, padało na nierówny bruk i ścianę budynku naprzeciw. Usłyszeli krzyki, wrzaski, fragment jakiejś piosenki, dźwięki dychawicznego akordeonu.

Burton pchnął drzwi. Weszli do baru. Penniforth musiał się pochylić, jak dla niego sufit był tu zdecydowanie zbyt niski.

Nim zdążyli zrobić drugi krok w stronę baru, jakiś głos spytał:

– Kupisz nam coś do picia, tatku?

– Sam sobie kup coś do pieprzonego picia. – Podróżnik doskonale dostosował się do charakteru odgrywanej postaci.

– Uważaj, co mówisz, stare próchno.

– To ty powinieneś uważać. – Penniforth podsunął wielką pięść pod nos mężczyzny, który ich zaczepił.

– Spokojnie, przyjacielu, nic się nie stało – zrejterował mężczyzna.

Montague i podróżnik przepchnęli się przez tłum do baru.

Zamówili gin. Barman kazał im najpierw pokazać pieniądze.

Goście oparli się o brudne, porysowane drewno. Wypili po szklaneczce, natychmiast zamówili drugą kolejkę.

– Spragniony, co? – zauważył mężczyzna stojący obok Pennifortha.

– Ano – burknął wielkolud.

– Mnie też chce się pić. Jak zawsze po awanturze z moją panią.

– Nagadała ci, co?

– Nawet nie masz pojęcia jak, głupia krowa. Do tej pory jakoś was tu nie widziałem.

– Bo do tej pory tu nie zaglądaliśmy.

– To twój stary? – Mężczyzna kiwnął głową w kierunku Burtona.

– A tak – odburknął Penniforth. – Ciekawski, co?

– Tylko próbuję być miły, co w tym złego? Nie chcesz gadać, obejdzie się.

– Nie, w porządku. Pomyślałem sobie, że zabiorę go z Mile End na takie... no... wakacje.

Mężczyzna roześmiał się.

– Wakacje w Stepney! Też pomysł!

– U was przynajmniej nocami nie latają po ulicach żadne potwory.

Burton uśmiechnął się z uznaniem w głąb szklanki. Sprytny jest ten Monty! Od razu do rzeczy! Zamówił drinki dla niego i siebie oraz piwo dla ich nowego przyjaciela.

– Dla ciebie, człowieku – wychrypiał. – Na zwilżenie gardła.

– Dzięki, ojczulku. Potrafię to docenić. A przy okazji, mam na imię Fred. Jestem Fred Spooner.

– A ja Frank Baker. Mój syn ma na imię Monty.

Wypili za zdrowie.

Siedzący w kącie akordeonista zagrał kolejną piosenkę. Tłum śpiewał głośno o – jak zdołał się domyślić Burton – przeróżnych miejscach odwiedzonych przez reformy starej matki Tucker.

Czekał cierpliwie z nosem zatkanym smrodem zastarzałego potu, zepsutych zębów i moczu. Nie musiał czekać długo.

– Więc pojawiły się teraz w Mile End? – Spooner podniósł głos, by przekrzyczeć śpiewaków.

– Ano – przytaknął Penniforth.

– Więc wkrótce pojawią się i tutaj – w głosie Freda brzmiała rezygnacja. – W zeszłym tygodniu kumpel z Wapping stracił przez nie lokatora.

– Jak to stracił?

– Porwały dzieciaka, który u niego mieszkał. To właśnie robią, kradną gówniarzy, choć większość tych porwanych już wróciła. Zaczęły od Whitechapel, potem było Shadwell, przed paroma tygodniami pojawiły się w Wapping, a teraz przyszła kolej na Mile End.

– Kiepska sprawa. Kim one właściwie są?

– Nie wiem, człowieku. Psami. Wilkami. Ludźmi. Czymś pomiędzy. Wiesz, że wybuchają?

– Wybuchają? – zdziwił się Burton. – Jak to? Co masz na myśli?

– Słyszałem o trzech takich przypadkach. Wybuchają płomieniem nagle, bez przyczyny, palą się jak słoma i nic po nich nie pozostaje. Chciałbym tylko, żeby wszystkie

tak skończyły. Gdybyście spytali, co o tym sądzę, powiedziałbym, że piekło się o nie upomina.

– Dziwna sprawa, to z całą pewnością – stwierdził Burton.

– Daj spokój, tato. Lepiej już chodźmy – poprosił Penniforth.

– Najpierw skończę pić!

– Pospiesz się, dobrze?

– Jest tu gdzieś jakiś artycha? – spytał Freda podróżnik.

– Jasne. Śliski Sid Sedgewick wszystko potrafi. A co, macie w planach jakiś kant?

– Nie o takiego artychę pytałem, tylko o kogoś, kto rysuje, maluje...

Spooner prychnął w szklankę.

– Żartujesz? Malarz tutaj?

– Coś tam słyszałem o takim jednym, to wszystko.

– Co jest, tatuśku? Chcesz zamówić portret? Powiesić go w pieprzonej National Gallery?

– Dobrze już, dobrze – uspokajał sytuację Burton.

Obaj z Montym dopili gin, pożegnali się ze Spoonerem, przepchnęli przez tłum i dotarli do drzwi. Wypadli przez nie w nadziei na łyk świeżego powietrza, ale łyknęli coś wręcz przeciwnego.

Północ minęła jakiś czas temu. Chora, gęsta atmosfera przyprawiała o mdłości.

– Do Wapping jest stąd mila jak strzelił – powiedział cicho Burton. – A przez ten labirynt pewnie znacznie dalej.

– Nie martw się, szefie, znam drogę.

– Gotowy?

– Jak się zaczęło, to trzeba skończyć.

– Dobry chłopiec. I niegłupi; godne podziwu, jak pociągnąłeś za język tego Spoonera. Dzięki tobie wiemy, gdzie polują *loups-garous*.

– Co?

– Ludzie-wilki.

Ruszyli w drogę piekielnymi uliczkami i znów, jak przed wizytą w pubie, co kilka chwil spotykali się to z prośbami, to z groźbami. Tylko pistolety i imponujące rozmiary Montague Pennifortha trzymały na dystans napastników uzbrojonych w noże, pałki i garoty.

Ale nawet te środki odstraszające zawiodły za Cable Street, na samej granicy Wapping.

Minęli właśnie Juniper Street, skręcili w lewo w zaułek bez nazwy, kiedy z dwóch ciemnych bram po jego obu stronach wyskoczyli bandyci. Na Pennifortha zarzucili wielki koc, przewrócili go na ziemię, a kiedy upadł, dosłownie nakryli go ciałami. Montague próbował walczyć i krzyczeć, ale wobec ciężaru i siły pięciu mężczyzn okazał się bezradny.

Burtona otoczyło trzech: twardych, o bezlitosnych spojrzeniach. Dwóch stało przed nim, jeden za jego plecami. Uśmiechali się, w rękach trzymali sztylety. Stał nieruchomo, nie wychodząc z roli starego marynarza. Garbił się, patrzył na napastników zmrużonymi oczami krótkowidza.

– Czego... czego chcecie? – spytał słabym, zająkliwym głosem.

– A co macie? – odpowiedział jeden z nich, wyglądający na przywódcę, wysoki, o twarzy jak pysk szczura, ze splątaną czarną brodą i rzadkimi prostymi włosami.

– Nic... nic...

– Naprawdę? Bardzo śmieszne, bo na własne oczy widzę, że masz całkiem przyzwoite buty, a poza tym dotarła do mnie plotka, że pod cieplutkim płaszczem kryjesz pistolet. Nie wyciągaj go, jeśli chcesz pożyć.

Burton usłyszał, jak mężczyzna za jego plecami robi krok do przodu.

„Jeszcze jeden, przyjacielu" – pomyślał.

– A ten aligancki kapeluszyk będzie wyglądał o wiele lepiej na mojej głowie.

– Uuufff... – stęknął Penniforth spod koca.

Bandyta zrobił decydujący krok.

Burton odwrócił się błyskawicznie, wyprostował, zadał cios prawą pięścią w jego szczękę z taką siłą, że złamał ją z wyraźnie słyszalnym trzaskiem. Łotr poleciał do tyłu, ale nim upadł na plecy, podróżnik już stał twarzą do dwóch pozostałych, już atakował ich przywódcę. Szczurowaty pchnął odruchowo, mierząc w gardło, ale podróżnik uchylił się, sięgnął pod jego ramieniem, zablokował mu łokieć i nadgarstek, szarpnął do góry. Kości szczurowatego nie wytrzymały, pękły z obrzydliwym odgłosem. Straszny krzyk bólu uciszył mocny hak. Przywódca napastników stracił przytomność.

Pozostał jeszcze jeden bandyta. Towarzysze pospieszyli mu na pomoc, zapominając o tym, kogo przyciskają przez koc do ziemi. Popełnili głupi błąd. Penniforth poderwał się na równe nogi, drąc materiał na strzępy. Rycząc z wściekłości, rzucił się do walki.

Podczas gdy on rozprawiał się z gangiem, Burton zdjął kapelusz i cisnął nim w trzeciego nożownika. Zaskoczony bandyta uchylił się, na najkrótszą chwilę odwrócił spojrzenie małych oczek, nie dostrzegł kolejnego błyskawicznego ruchu przeciwnika. Nim uświadomił sobie, co się dzieje, poczuł na przegubie uścisk tak wielkiej siły, że musiał otworzyć dłoń, wypuścić z niej sztylet. Szarpnięty gwałtownie w przód, otrzymał uderzenie czołem w nasadę nosa. Krew zalała mu twarz, upadł na kolana, czując niesłabnący uścisk na nadgarstku, jakby zamkniętym w imadle. Na pół przytomny spojrzał w górę, w oczy świecące zimnym gniewem.

– Nnnie – wyjąkał.

– Tak – powiedział Burton.

Wyrwał ramię bandyty ze stawu, uciszył ryk bólu uderzeniem kantem dłoni w kark. Bezwładne ciało zastygło nieruchomo w żółtej, śmierdzącej kałuży.

„Stary marynarz" odwrócił się sprawdzić, jak radzi sobie jego „syn"... i roześmiał się głośno. Wielki kierowca uśmiechał się figlarnie. Trzy bezwładne ciała leżały na ziemi u jego stóp, dwa pozostałe trzymał za kostki, po jednym w każdej ręce.

– Co zrobić z tymi śmieciami, szefie? – spytał.

Burton pochylił się, podniósł swój umazany melonik.

– Rzuć ich na ziemię – poradził. – Tu nikt nie przejmuje się śmieciami.

Odwrócił się. Na przeciwległym krańcu zaułka mignęły mu cztery przysadziste postaci. Pojawiły się i znikły niemal natychmiast, ale pozostawiły po sobie niejasne wrażenie długich do ziemi szkarłatnych płaszczy z wielkimi kapturami, całkowicie ukrywających ciała i twarze tych, którzy je nosili. Nowy zakon kobiecy, wspomagający biednych? Być może, ale w tych zamaskowanych postaciach było jednak coś niepokojącego... ale co... ach tak! Poruszały się jakoś dziwnie.

– Monty! – krzyknął Burton.

Penniforth upuścił ciała. Pobiegł za nim. Dotarli do końca zaułka, po prawej mignął cień szkarłatu na samym końcu muru.

– Dalej!

Podróżnik dobiegł do rogu, ostrożnie wyjrzał na uliczkę tak wąską, że rozpostarłszy ramiona, mógłby jednocześnie dotknąć ścian domów po jej obu stronach. Daleko przed nimi cztery czerwone płaszcze znikały właśnie w kłębiącej się mgle.

Burton przyspieszył. Od czasu do czasu ślizgał się na pokrywającej uliczki mazi, tracił równowagę, lecz niemal natychmiast ją odzyskiwał. Monty deptał mu po piętach.

Sklepione łukowate przejście prowadziło do kolejnego bocznego zaułka, niemal absolutnie ciemnego. Niemal, bo słaby blask świecy przedostawał się przez szczeliny w deskach, którymi zabite było jedno z okien.

W pasemku światła błysnęła plamka czerwieni.

Burton i Penniforth tropili przysadziste postaci przez sieć ciemnych, brudnych zaułków, skazani na przelotne wrażenie ich obecności, nie zbliżając się do ściganych choćby o krok.

– Do diabła – wydyszał Monty. – Szybcy są. A w ogóle kto to? I czemu ich ścigamy?

– Nie wiem, ale jest w nich coś dziwnego. Tam! – Burton wyciągnął przed siebie rękę. Cztery zręczne, płynnie poruszające się kształty przemknęły przez plamę słabego rozproszonego światła samotnej latarni. Dobiegli do tego miejsca, Burton zatrzymał się, pochylił, przyjrzał widocznym w szlamie czterem osobnym, wyraźnie odciśniętym śladom.

– Biegną boso, opierają się na czubkach stóp i... popatrz tylko! Trójkątne poduszki, cztery palce, a te wgłębienia to, jeśli się nie mylę, pazury! To *loups-garous*, Monty!

Gdzieś blisko rozległ się nagle przeraźliwy krzyk strachu.

Burton umilkł i pobiegł w tamtą stronę, a za nim Monty, wyciągając już pistolet spod płaszcza.

Zatrzymali się na brukowanym placyku. Choć niewyraźnie, ukryte w kłębach mgły, można było jednak dostrzec odchodzące z każdego jego boku alejki.

A pośrodku stali mężczyzna i chłopiec. Cztery ukryte pod płaszczami postacie osaczały ich miękkimi susami drapieżników. Burton słyszał nawet cichy warkot.

– Na litość boską, pomóżcie nam – jęknął mężczyzna. – One...

Jedno ze stworzeń skoczyło mu na pierś, osłaniając ofiarę połami szkarłatnego płaszcza. Opadło na bruk niemal natychmiast, a mężczyzna stał nadal... tylko nie miał gardła.

Fontanna krwi uniosła się w powietrze, z szelestem rozprysła na kamieniach.

Chłopiec zaniósł się głośnym, histerycznym płaczem.

Mężczyzna ukląkł powoli, a potem upadł na twarz wprost w czerwoną kałużę.

Penniforth uniósł pistolet. Wystrzelił.

Przerażająco głośny huk odbił się echem od pierzei placu.

Wielkolud chybił, Burton widział uderzony kulą, rozpryskujący się kant cegły, a jednak, nieoczekiwanie, jakby sam dźwięk był bronią, jeden ze stworów wybuchł płomieniem tak gwałtownym, że spopielił go w ciągu zaledwie kilku sekund.

Pozostałe trzy jednocześnie skoczyły na chłopca, krzyczącego piskliwie, próbującego się bronić.

Penniforth strzelił i tym razem trafił jedno ze stworzeń w ramię. Zawyło, puściło chłopca, skoczyło na wielkoluda. Kaptur zsunął się z jego głowy.

Burton, który skoczył mu na spotkanie, chcąc osłonić Monty’ego, zobaczył szatańską twarz o pomarszczonym czole, głęboko osadzone, przekrwione oczy lśniące nad

ściągniętym pyskiem, ociekające śliną długie, ostre kły, kudłaty łeb, z którego sterczały spiczaste uszy.

Padł kolejny strzał, płomień z lufy pistoletu odbił się w ślepiach stwora, który przypadł do ziemi, skoczył, zamachnął się łapą. Podróżnik poczuł uderzenie w skroń, plac wywinął kozła, usłyszał bicie dzwonów. Upadł. Przez zwężający się czarny tunel widział wijącego się, krzyczącego chłopca, niesionego tam, gdzie jego wzrok już nie sięgał, widział upadający z trzaskiem na bruk pistolet, deszcz krwi, a potem już nic.

– Trzymaj to i nie wypuść – wyszeptał mu do ucha głos z ciężkim akcentem. Ktoś wsunął mu do ręki kawałek papieru, a on odruchowo zacisnął na nim palce. Przez chwilę wydawało mu się, że tę kartkę dał mu Arthur Finlay. Wiedział, co jest na niej napisane.

John Speke postrzelił się w głowę.

Kroki dookoła.

Głosy.

– Dokąd, Gus?

– Obojętne, byle na to nie patrzeć.

Dłonie. Podnoszą go. Utrzymują na nogach. Palce wędrują z kieszeni do kieszeni.

– Spokojnie, staruszku – mówi schrypnięty głos.

Coś porusza się za jego pasem.

– No niech mnie... popatrzcie, jeszcze jeden pistolet – mówi basowy głos.

– No to popatrzymy – mówi schrypnięty głos.

– Sprawdź, czy naładowany – mówi jękliwy głos.

Szybkie kroki. Ktoś odbiega w pośpiechu.

– Niech ucieka, głupi gnojek, dorwiemy go później – mówi basowy głos.

– Hej, tatuśku, oprzytomniałeś? – to jękliwy głos.

Burton otworzył oczy.

Grube, otłuszczone indywiduum podtrzymywało go za lewe ramię, dziobaty mały mężczyzna o nogach zniekształconych krzywicą za prawe. Wokół stali ludzie, trzymający w rękach świece lub lampy naftowe, niektórzy patrzyli na niego, inni na chodnik, tam gdzie z wózka rzeźnika wypadły na bruk podroby.

Tylko że...

Burton pochylił się i zwymiotował po raz czwarty tej nocy.

Dwaj mężczyźni, Schrypnięty Głos i Jękliwy Głos, odskoczyli, przeklinając głośno.

Królewski agent, przypominając sobie o przebraniu, wyprostował się, ale nadal garbił. Wytarł usta rękawem, a potem znów spojrzał na porozrzucane po kamieniach poszarpane, porwane wnętrzności. Prześledził wzrokiem ich długi, krwawy szlak wiodący przez rozrzucone nogi, rozdarte udo z nagą, lśniącą w świetle lampy wilgotną kością aż do pustej klatki piersiowej. A ponad szczątkami płaszcza, koszuli i skóry nieruchome, szklane oczy Montague Pennifortha wpatrywały się we mgłę i coś, co istnieje poza nią.

– To były te psy – syknął Jękliwy Głos.

Chudy, starszy mężczyzna zbliżył się do niego powoli. Jedną nogę zastępowała mu drewniana kula, w prawej ręce brakowało trzech palców.

– Skąd jesteś, człowieku? – spytał zaskakująco łagodnym głosem.

– Mile End – wybełkotał podróżnik.

– Miałeś szczęście... Psy cię nie zabiły.

– To nie były psy. Zabrały dziecko. – Królewski agent wpatrywał się w ciało towarzyszącego chłopcu mężczyzny.

– Jak zwykle. Dlaczego nie wrócisz do domu? My tu wszystko załatwimy.

– Wszystko? To znaczy co?

– Pozbędziemy się sztywnych... i przykro mi, jeśli ten tu to twój chłopak.

– Co z nimi zrobicie?

– To, co zwykle.

Burton zrozumiał: szczątki Monty'ego trafią wprost do Tamizy.

Przyłożył dłoń do czoła. Ileż trupów ma już na sumieniu? Porucznik Stroyan w Berberze, Speke, który z pewnością już nie żyje, a dziś jeszcze Montague Penniforth.

Mdliło go. Nie prosił się o to, a teraz co ma zrobić? Nie mógł przecież wezwać policji, nie mógł wezwać nawet grabarza, żeby zebrał z bruku zwłoki wielkoluda. Choćby nie wiem jak chciał mu sprawić przyzwoity pogrzeb, a jeden Bóg wie, że chętnie zapłaciłby zań z własnej kieszeni, nie było przecież sposobu na usunięcie ciała z East Endu bez wzbudzania podejrzeń, a jeśli zawiedzie go przebranie, najprawdopodobniej sam skończy w nurtach rzeki.

Głowa go bolała. We włosach miał niezaschniętą jeszcze krew. Czuł ją.

Opuścił rękę, zacisnął dłoń w pięść tak mocno, że aż paznokcie boleśnie wbiły mu się w skórę. Próbował zacisnąć i drugą, ale coś mu przeszkodziło. Kartka od Finlaya!

Zaraz, chwileczkę, przecież nie od Finlaya... więc od kogo?

Poczekał, aż Schrypnięty Głos, Jękliwy Głos i Drewniana Noga zajmą się czymś, a potem dyskretnie rozłożył kartkę, spojrzał na wypisane na niej słowa.

Mes yeux discernent mieux les choses que la puplart ici. Je vois à travers votre masque. Recontrez moi vers la Thames, au bout de Mews Street dans moins d'une heure.

„Moje oczy widzą więcej niż oczy tutejszych" – tłumaczył w myśli podróżnik. „Przejrzałem twą maskę. Spotkajmy się nad Tamizą, przy końcu Mews Street, za godzinę".

Schował list do kieszeni. Podszedł do Drewnianej Nogi.

– Hej, człowieku, muszę dojść do Mews Street – mruknął cicho. – W którą to stronę?

– Masz tam coś do załatwienia? – Załzawione oczy kuternogi zmierzyły go od stóp do głów.

– Swoje sprawy mam do załatwienia.

– W porządku, koleś, bez urazy. Ta alejka tam, przejdź nią do rzeki, potem skręć w prawo, idź nabrzeżem, aż dojdziesz do lombardu, zamkniętego i zabitego deskami. Będziesz na rogu Mews Street. Poradzisz sobie? Wiesz, że ci podwędzili pistolet?

– Wiem, cholerni złodzieje. Poradzę sobie, przyjacielu. Brat na mnie czeka, a ja już spóźniłem się dobre pięć minut.

– Chciałeś się napić, co?

– Ano.

– Przykro mi z powodu twojego chłopca. Cholernie głupio tak odejść.

Burton z wysiłkiem wzruszył ramionami w typowy dla East Endu, obojętny sposób. Odszedł, powłócząc nogami, w stronę wylotu alejki, którą wskazał mu Drewniana Noga. Dzieląca go od Pennifortha odległość rosła, rozciągała się, jakby miała zaraz pęknąć, ale nie pękła. Jak śmierć Stroyana, jak samobójstwo Speke'a, pamięć o nim miała ciążyć mu

na sercu do końca życia, o tym wiedział, a teraz dowiedział się też, że mianowanie królewskim agentem i zadanie, które dał mu Palmerston, miały kosztować go bardzo wiele.

Zaułek był wąski, niemal całkowicie pozbawiony światła. Biegł lekkim łukiem w dół łagodnego zbocza, wprost nad rzekę. Burton szedł, dotykając palcami ściany po prawej, zachowując w ten sposób właściwy kierunek. Raz za razem potykał się o nieruchome ciała. Wówczas słyszał przekleństwa i jęki, ale najczęściej spotykaną reakcją był brak reakcji.

W ustach miał kwaśny smak od wymiotów i alkoholu. Trująca mgła paliła mu oczy i nos. Niczego nie pragnął tak, jak powrotu do domu. Byle zapomnieć o tej fatalnej wyprawie. Nagle zapragnął zapomnieć o wszystkich fatalnych ekspedycjach.

„Niech cię diabli, Burton. Zostań konsulem w Fernando Po, Brazylii, Damaszku czy gdzie tam te pierdoły cię wyślą. Pisz te swoje cholerne książki!"

Szedł przed siebie, mężczyznę, który zastąpił mu drogę ze słowami: „proszę... co my tu mamy...", nie wdając się w dyskusję i nawet nie zwalniając kroku, z całej siły zdzielił pięścią w dołek i zostawił skulonego na chodniku w pozycji płodu.

Co kilka jardów jego dłoń traciła kontakt z murem, co oznaczało, że zaułek krzyżuje się z innym. Nie opuszczając ręki, szedł dalej, póki pod palcami znów nie poczuł cegły. Wreszcie zamiast nich trafił na metalowe pręty zagradzające mu drogę, a jednocześnie smród stał się znacznie bardziej intensywny. Wywnioskował z tego, że przeszedł przez ulicę biegnącą wzdłuż Tamizy i stoi na brzegu rzeki. Wrócił na jej przeciwną stronę, namacał mur, potykając się poszedł w kierunku mniej więcej zachodnim. Przedzierał się przez obrzydliwą, lepką mgłę, oddychał nią, opar atakował płuca i krew, przez co do mózgu docierało coraz mniej tlenu. Odczuwał to jako wrażenie doskonale mu znane z towarzyszących atakom malarii w Afryce majaków. Wydawało mu się, że jest jednocześnie dwiema osobami, walczącymi ze sobą i próbującymi nawzajem sobie przeszkadzać.

Polem walki stał się fakt tragicznej śmierci Pennifortha. Wszechobecne poczucie winy walczyło z dziką żądzą zemsty, gwałtowna chęć porzucenia roli królewskiego agenta z niezłomnym postanowieniem odkrycia, skąd wzięły się *loups-garous* i dlaczego, co wydawało się już oczywiste, porywają dzieci.

– *Monsieur* – syknął cichy, dobiegający z głębi bramy głos.

Burton zatrzymał się. Nagle zakręciło mu się w głowie. Ale zdołał dostrzec sylwetkę skuloną w prostokącie gęstszego mroku.

– *Monsieur* – również szeptem.

– Doré?

– *Oui, monsieur.*

Burton wszedł do bramy.

– Jak mnie rozpoznałeś, Doré? – spytał po francusku.

– Ba! Myśli pan, że oko artysty da się oszukać odrobiną scenicznego makijażu i tupecikiem? Widziałem pańskie zdjęcie w gazecie, *monsieur* Burton. Tej twarzy nie potrafiłbym zapomnieć: posępne spojrzenie, kości policzkowe, złe usta. Ma pan czoło Boga i szczękę diabła.

Burton chrząknął.

– A pan co tu robi, Doré? East End to nie miejsce dla Francuza.

– Nie jestem po prostu Francuzem, jestem artystą.

– I żołądek ma pan z żelaza, skoro radzi sobie z tym smrodem.

– Można się przyzwyczaić.

W świetle zaledwie odrobinę jaśniejszym od ciemności, w blasku trzech czerwonych punktów unoszących się na rzece przy bliższym brzegu, pochodzących zapewne z pokładu stateczku handlowego lub barki, Burton prawie nie widział rozmówcy. Wydawało mu się, że potrafi rozpoznać szmaty, długą brodę, rozczochrane włosy.

– Wyglądasz jak stary włóczęga.

– *Mais oui*! Tylko dzięki temu żyję. Myślą, że nic nie posiadam, więc dają mi spokój, a ja rysuję ich w wolnych chwilach, w tajemnicy, zachowując największą ostrożność. Ale pan, *monsieur*? Co pan robi w Kotle? To przez *loups-garous*, czyż nie?

– Tak. Polecono mi dowiedzieć się, skąd się biorą i co robią.

– Skąd się biorą, tego nie wiem, a co robią? Porywają kominiarczyków.

– Co?

– *Mais je te jure que c'est vrai! Loups-garous...* one są bardzo wybredne. Porywają dzieci, ale nie wszystkie dzieci im odpowiadają. Tylko chłopcy czyszczący kominy.

– Ki diabeł? Na co wilkołakom kominiarczyki?

– Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Musi pan porozmawiać z Żukiem.

– Kim lub czym jest Żuk?

– Przewodniczy Związkowi Kominiarzy.

– Kominiarze mają swój związek?

– *Oui, monsieur*. Bardzo żałuję, lecz nie wiem, gdzie można znaleźć tego chłopca.

– Może to wiedzieć mój młody przyjaciel, Śmieszek.

– Jest kominiarzem?

– Nie. Gazeciarzem.

– Ach, *mais oui*, będzie wiedział. Te dzieciaki... jak to się mówi?... aha... trzymają się razem. Słyszałem, że słowo usłyszane przez jednego z nich przekazywane jest następnemu i następnemu i że rozchodzi się po waszym imperium szybciej niż pożar po suchym lesie.

– To prawda. Coś jeszcze, *monsieur* Doré? Nie wie pan nic o tym, skąd biorą się te *loups-garous*?

– *Mais non*. Mogę powiedzieć panu, że polują tu od dwóch miesięcy i że teraz napadają już co noc, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Muszę iść. Zrobiła się późna godzina, jestem zmęczony.

– Niech i tak będzie. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas, *monsieur*. Proszę być ostrożnym. Rozumiem, że sztuka jest pańskim życiem, ale nie chciałbym dowiedzieć się, że pan dla niej zginął.

– To się nie zdarzy. Już prawie skończyłem. Zrobione przeze mnie szkice... *Monsieur*, one uczynią mnie sławnym!

– Będę śledził los pańskich prac – obiecał Burton. – A teraz proszę mi powiedzieć, jak mogę wydostać się z Kotła?

– Trzeba iść dalej tą drogą, tam... – Artysta wskazał kierunek gestem dłoni, ledwie dostrzegalnym w ciemności. – To już niedaleko. Dojdzie pan do mostu.

– Dziękuję i do zobaczenia, panie Doré. Niech pan na siebie uważa.

– *Au revoir, monsieur* Burton.

Dopiero po piątej rano sir Richard Burton padł na łóżko w swej sypialni i zapadł w głęboki sen.

Po spotkaniu z francuskim artystą, wracając do domu, minął Tower of London, a potem szedł, kierując się na stłumiony mgłą, lecz mimo to doskonale słyszalny hałas niezasypiającego nigdy londyńskiego Docklandu, aż dotarł do London Bridge. Skręcił na północ, oddalając się od Tamizy. Tu mgła przerzedziła się nieco, ciemność nie była już tak nieprzenikniona, a gęściej stojące latarnie pozwalały na lepszą orientację w terenie. Tak dotarł na Liverpool Street. Zatrzymał dorożkę, zwykłą, ciągniętą przez konia.

W domu, przekonany, że zbliża się nawrót malarii, wziął sporą dawkę chininy, a dopiero potem pozbył kostiumu i zmył z twarzy sadzę. Wreszcie, zachwycony, wślizgnął się do czystej pościeli, zasnął... i śnił o Isabel.

Był to dziwny sen. Stał na niskim, skalistym wzgórzu górującym nad Damaszkiem, a ku niemu z głośnym tętentem podkutych kopyt biegł kary koń. Zbliżył się i wówczas Burton dostrzegł, że dosiada go Isabel, otulona arabskim strojem, siedząca nie bokiem, w kobiecym siodle, lecz po męsku. Promieniowała siłą i szczęściem.

Koń zatrzymał się tuż przed nim. Boki miał wilgotne od potu, oddychał ciężko.

Isabel odsunęła zasłaniający twarz welon.

– Szybko, Dick, bo się spóźnisz – ponagliła go głębokim kontraltem.

Zza pleców dobiegł go znajomy dźwięk: stukot. Chciał się odwrócić, zobaczyć, co się dzieje, ale Isabel go powstrzymała.

– Nie! Nie ma czasu! Musisz jechać ze mną.

Tajemniczy dźwięk zbliżał się wyraźnie.

– Dick, chodź.

Dopiero teraz zauważył, że do konia Isabel uwiązany jest drugi. Gestem wskazała, że ma go dosiąść, szybko.

Klik, klak, klik, klak, klik, klak...

A to co?

Burton zaczął się odwracać.

Spojrzał na rozciągające się za nim wzgórze. Jakiś dziwoląg schodził z niego szybko, wielkimi krokami, był coraz bliżej...

Klik, klak, klik, klak...

Dźwięk szczudeł na kamieniach.

Isabel krzyknęła.

Stwór wydał szalony krzyk tryumfu. Czerwone oczy płonęły.

Burton drgnął, obudził się, usiadł.

Klik, klak, klik, klak...

Chwila dezorientacji... i usłyszał znajomy dźwięk: ktoś walił pięściami we frontowe drzwi. Wstając z ciepłej pościeli, rzucił okiem na kieszonkowy zegarek leżący na stoliku przy łóżku. Siódma. Spał niespełna dwie godziny.

Narzucił galabiję – długą, luźną szatę, którą owijał się podczas pielgrzymki do Mekki, a która teraz służyła mu za szlafrok. Zszedł po schodach.

Pani Angell dotarła do frontowych drzwi przed nim. Usłyszał jej oburzony głos:

– Przyszedł pan go aresztować? Nie? Więc możecie poczekać do bardziej cywilizowanej godziny.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział męski głos – ale to sprawa policji. Nagły wypadek. Obecność kapitana Burtona jest konieczna.

– Obecność gdzie? – spytał podróżnik, zatrzymując się na półpiętrze i patrząc na nich z góry.

– Ach, kapitan! – ucieszył się policjant, młody konstabl. Wszedł do holu.

– Ależ... – zaprotestowała pani Angell.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Burton. – Proszę wejść, konstablu...

– Kapoor, panie kapitanie.

– Zapraszam do mojego gabinetu. A pani Angell powinna w tej chwili wracać do łóżka.

Stara dama spojrzała najpierw na jednego mężczyznę, a potem na drugiego.

– Może najpierw przygotuję herbatkę?

Burton spojrzał pytająco na Kapoora, który pokręcił głową przecząco.

– Nie mamy czasu, sir, ale... bardzo dziękuję.

Gospodyni skinęła głową i wróciła do sutereny, swego królestwa. Podróżnik zaprowadził gościa do gabinetu. Chciał napalić w kominku, ale policjant powstrzymał go gestem.

– Czy mógłby pan ubrać się tak szybko, jak to tylko możliwe, kapitanie Burton? Bardzo proszę. Skaczący Jack znów zaatakował.

*** Rozdział 8 ***

Marvel’s Wood

Welocypedy Pride-Manushi.

Najłatwiej je prowadzić. Najłatwiej kupić. Najłatwiej spłacić.

Każdy welocyped Pride-Manushi ma czteroletnią gwarancję.

Stosowane przez nas silniki Bannerman napędzane są węglem poddanym obróbce techniką Formby’ego dla większej wydajności.

Pakowanie i przesyłka darmowe. Płatność od 12 £ do 15 £ w równych miesięcznych ratach.

Nie wymagamy zaświadczeń lub udziału własnego.

Pride-Manushi, Ltd., Dept. 600, Coventry.

Detektyw inspektor Trounce chciałby spotkać się z panem na miejscu przestępstwa najszybciej jak to możliwe, kapitanie – powiedział konstabl Kapoor. – Rotofotel czeka na ulicy.

– Gdzie to się stało? – spytał Burton.

– Niedaleko Chislehurst. Poczekam tu na pana.

Bez zbędnych ceregieli Burton pobiegł do sypialni. Przelał wodę z dzbanka do miski, opryskał nią twarz, zmył ostatnie plamy sadzy, a potem ubrał się szybko. Całe ciało bolało go od przyjętej na wiele godzin postawy zgarbionego starca, nie mógł się skupić po zaledwie dwóch godzinach snu, lecz z doświadczenia wiedział, że to się szybko zmieni. Miał tę zdolność, że jeśli musiał, potrafił nie spać nawet przez kilka dni, ale gdy konieczność znikała, padał na łóżko i zasypiał tak głęboko, jakby tracił przytomność.

Na schodach dołączył do czekającego na niego konstabla. Razem zeszli do przedpokoju. Tam królewski agent nałożył płaszcz i cylinder, wziął też laskę. Za radą policjanta owinął gardło fularem. Po czym obaj wyszli na ulicę.

Słońce wstało już i próbowało przebić złotymi promieniami bladożółtą mgłę. Czarne płatki wirowały w niej leniwie, nie opadając na ziemię.

Czekały na nich dwa zaparkowane przy krawężniku rotofotele. Burtona zdziwiło, że

nie usłyszał, jak lądują, ale natychmiast przypomniał sobie sen i tętent końskich kopyt po kamienistym zboczu wzgórza.

– Jednym przyleciałem ja, drugi przyprowadził konstabl, który już wrócił do Yardu – wyjaśnił Kapoor. – Miał pan okazję pilotować coś takiego?

– Nie.

– To bardzo proste, kapitanie. – Zatrzymali się przy jednej z maszyn. Policjant krótko objaśnił sposób operowania nią.

Burton przyjrzał się jej uważnie. Wyglądała jak duży, wyścielany napinaną ćwiekami skórą fotel z rodzaju tych, które najczęściej widuje się w klubach dżentelmenów i prywatnych bibliotekach. Fotel przymocowany był do przypominającej sanie ramy z polerowanego drewna i mosiądzu, wyposażonej w płozy, z obu stron podwinięte do góry. W przedniej części ramy, przed podpórką na nogi, umieszczono trzy dźwignie sterujące, przypominające te stosowane w sygnalizacji na kolei, ale wygięte w stronę pilota. Środkowa sterowała wysokością, lewa i prawa kierunkiem lotu. Podpórka pod nogi odchylała się pod naciskiem stóp, przyspieszając lot poziomy rotofotela, ale jeśli nacisnęło się na nią piętami, pojazd zwalniał. Wciśnięcie jej piętami do oporu sprawiało, że zawisał w powietrzu.

Przymocowana do oparcia fotela osłona przypominająca nieco parasol chroniła kierowcę przed strumieniem pary, kierowanym w dół przez krótkie, płaskie, szerokie skrzydła umieszczone na wale wychodzącym z umocowanego za miejscem pilota silnika. Sam silnik był większą wersją stosowanego w welocypedach i pracował z tą samą niezwykłą wydajnością.

Kapoor podał Burtonowi skórzane gogle.

– Musi je pan założyć, kapitanie... i zdjąć cylinder, chyba że chce pan go stracić. Pod siedzeniem jest miejsce na bagaż. Niech pan schowa tam także laskę i lecimy.

Podróżnik zastosował się do rad policjanta. Usiadł w fotelu, zapiął przymocowany do niego pas bezpieczeństwa.

– Wystartuję pierwszy – uprzedził go policjant. – Zaczekam na pana nad mgłą.

Podszedł do pojazdu od strony silnika, coś tam przy nim zrobił. Rozległo się niegłośne, regularne pykanie, fotel zawibrował lekko. W chwilę później drugi silnik prychnął, a potem ryknął głośno. Pracował coraz szybciej, hałasował coraz bardziej, a w kilka sekund później dał się słyszeć warkot, jakby ktoś bił w werbel.

Mgła rozproszyła się, ukazując spory fragment Montagu Place. Dżentelmen, który nagle pojawił się na chodniku po drugiej stronie ulicy, próbował utrzymać kapelusz na głowie.

Źródło hałasu uniosło się, ryk silnika przycichł, Burtona znów ogarnęła napływająca falą mgła.

Odczekał minutę, po czym ujął środkową dźwignię, łagodnie przyciągnął ją do siebie, a jednocześnie przydepnął podpórkę. Skrzydła nad jego głową drgnęły, ruszyły powoli, zawirowały i nagle rozpłynęły się w przezroczystą tarczę.

Mgła odpłynęła.

Rotofotel ze zgrzytem przesunął się po bruku, a potem łagodnie wystartował. Ziemia uciekła i znikła, zasłonięta grubą warstwą mgły. Dziwne, ale prawie nie czuło się ruchu. Zamknięty w niej niczym w grobie Burton miał wrażenie, że trafił do otchłani... i nagle pojazd wyskoczył wprost w promienie wiszącego nisko nad horyzontem słońca poranka. Chwycił lewą dźwignię, szarpnął nią, by odwrócić się plecami do oślepiającego blasku.

Rotofotel zawirował szaleńczo. Chwycił prawą, pociągnął łagodniej. Udało mu się ustabilizować pojazd, już po chwili miał go pod kontrolą.

Zasłona mgły ciągnęła się po horyzont. Choć brudna, odbijała promienie słońca tak jaskrawo, że aż łzawiły od nich oczy.

Burton eksperymentował z kontrolkami, póki nie poczuł się bezpiecznie, a potem powoli obracał rotofotel, aż ustawił go przodem do pojazdu konstabla. Kolumna pary, przypominająca pępowinę, łączyła go z rozciągającą się poniżej warstwą mgły.

Wisieli tak przez chwilę nieruchomo, przyglądając się sobie, po czym policjant zawrócił i poleciał w kierunku południowo-zachodnim. Burton leciał za nim, po śladzie białego pióropusza. Oddychał głęboko cudownym, świeżym powietrzem. Uczucie zmęczenia mijało, w miarę jak tlen wypłukiwał zanieczyszczenia z organizmu.

Rotofotele przyspieszyły w locie nad niewidocznym w dole miastem, nad Soho, Tamizą, mostem Waterloo, Elephant and Castle i Peckham aż do Lewisham, gdzie zasłona mgły zaczęła się rwać, odsłaniając fragmenty domów, ulic i ogrodów.

Burton leciał po raz pierwszy w życiu i bardzo mu się to spodobało. Na myśl o Johnie Speke'u, siedzącym w latawcu ciągniętym przez gigantycznego łabędzia nad wschodnią Afryką, poczuł nagłe ukłucie zazdrości, a potem wielki żal. *Bismillah*! Zaledwie przed trzema dniami dotarła do niego wiadomość, że John się postrzelił.

Niedługo potem skupiska domów zaczęły dzielić od siebie lasy i uprawne pola, a mgła znikła. Pozostały po niej zaledwie pasma białego oparu gęstniejące nad rzekami, kanałami i strumieniami.

Pierwszy rotofotel zaczął zniżać lot. Burton delikatnie odepchnął od siebie środkową dźwignię. Jego pojazd podążył śladem przewodnika.

Przelecieli jeszcze milę, poza granice Chislehurst, po czym Kapoor skręcił lekko na wschód. Obniżył lot. Burton poszedł w jego ślady. Wylądowali na polu, na skraju wsi, której nazwę, Mickleham, Burton miał poznać później. Na trawie, koło ubłoconej lokomobili z podłączonym do niej pługiem, stało sześć przybyłych wcześniej rotofoteli.

Nim skrzydła maszyny Kapoora przestały wirować, młody konstabl już biegł w stronę grupki policjantów stojących przy furtce otwierającej się na ścieżkę prowadzącą do na pół zrujnowanego, starego domostwa. Wymienił z nimi kilka słów, pobiegł z powrotem i znalazł się obok Burtona, gdy ten wysiadał właśnie z pojazdu.

– Nie! – podniósł głos, przekrzykując hałas silnika. – Musimy startować.

– Dlaczego? Co się stało?

– Skaczący Jack nadal jest gdzieś w pobliżu. Ścigają go w kierunku północnym. Będziemy krążyć, może coś zobaczymy? Rozdzielimy się, polecimy nisko, zbadamy tyle terenu, ile damy radę, kapitanie. Niech pan wypatruje grupy wieśniaków i policjanta, ale też nie traci mnie z pola widzenia. Jeśli wyląduję, pan niech ląduje także.

Burton wskoczył do rotofotela, zapiął pas, uruchomił obrotowe skrzydła. Wystartował, poleciał za Kapoorem. W powietrzu zawisły smugi pary, znaczące ślady ich przelotu.

Burton skierował się na zachód. Kontynuował lot w tym kierunku, aż drugi rotofotel stał się już tylko plamką na horyzoncie z ciągnącą się za nią długą, postrzępioną białą nicią. Lecieli z powrotem nad Chislehurst. Królewski agent uważnie obserwował ziemię po lewej i prawej stronie maszyny, a także przed nią.

Pięć minut później dostrzegł postacie zgromadzone na polu golfowym. Skierował rotofotel w ich stronę, a kiedy zbliżył się, lecąc nisko, rozpoznał, że grupka składa się z

kilku policjantów i miejscowych kręcących się tu i tam, uzbrojonych w łopaty i kije od szczotek.

Rozbiegli się, robiąc mu miejsce do lądowania. Płozy uderzyły w ziemię raczej zbyt mocno.

Podbiegł do niego mocno zbudowany, niewysoki mężczyzna. Inspektor Trounce.

– Kapitanie Burton! – krzyknął. – Ukrył się w Marvel's Wood. O tam! – Gestem wskazał las zaczynający się zaraz za wschodnią granicą pola. – Niech pan nad nim przeleci, może uda się go wypłoszyć.

Królewski agent skinął głową i ponownie wystartował.

Nad lasem obniżył lot najbardziej, jak się ośmielił. Liście fruwały dookoła maszyny, strącane z gałęzi gwałtownie poruszających się w skierowanej pionowo w dół strudze pary. Wychylił się w lewo, między drzewami widział spłachetki gruntu. Powoli przeleciał wokół granicy lasu, po czym skierował się po spirali ku jego środkowi.

Mimo grubego płaszcza czuł chłód. W ciągu paru ostatnich dni stawiał ciału wielkie wymagania: upił się, został pobity, spędził całą noc, oddychając zatrutym powietrzem East Endu, i spał zaledwie dwie godziny. Zażył chininę, więc być może nie groził mu atak malarii, ale nie zmniejszało to jego niepokoju. Potrzebował prawdziwego odpoczynku.

Na ziemi coś się poruszyło, minął jednak właściwe miejsce, nim zdążył rozpoznać, co to takiego. Wbił pięty w podpórkę pod stopy, zatrzymał rotofotel w miejscu, a potem odwrócił go i teraz spoglądał w kierunku, z którego przybył. Nie chciał wlecieć w swą własną smugę pary, więc zszedł jeszcze niżej, aż płozy otarły się o czubki drzew. Potem ruszył powolutku, wypatrując ziemi między poruszającymi się gwałtownie gałęziami.

Wychylał się właśnie w prawo, gdy rotofotel nagle, gwałtownie przechylił się w lewo i przerażająco zatrząsł: to wirujące skrzydła przecinały liście i gałązki. Podróżnik instynktownie wcisnął podpórkę stopą do oporu, a jednocześnie pociągnął środkową dźwignię, ściągając ją na siebie. Maszyna szarpnęła, zaczęła się wznosić, wirując szaleńczo wokół swej osi. Walcząc o kontrolę, kątem oka dostrzegł wielki kształt wiszący z boku maszyny, wytrącający ją z równowagi.

Odwrócił głowę. I spojrzał w oczy Skaczącemu Jackowi.

Usta stwora poruszały się, jakby coś krzyczał, lecz choć niemal stykali się twarzami, żaden dźwięk nie był w stanie przedrzeć się przez ryk silników i kłapanie skrzydeł.

Stwór wyciągnął rękę, złapał pilota za nadgarstek. Rotofotel zniżał lot gwałtownie, po spirali.

Burton próbował uwolnić się z uścisku, ale wszystko działo się zbyt szybko. Zaledwie rozpoznał Skaczącego Jacka, a jego pojazd już wpadł między drzewa, przechylił się, skrzydła prysły z trzaskiem, jedno wzleciało w powietrze, odłamki innych rozleciały się na wszystkie strony.

Rotofotel spadał, obracając się, uderzając w przeszkody, miotając przypiętym do fotela pilotem, aż wreszcie uderzył o ziemię tylną częścią, przewrócił się na bok i znieruchomiał. Para ze świstem uciekała z pękniętego kotła. Burton, zszokowany, lecz przytomny przynajmniej na tyle, by bać się wybuchu, znalazł klamry pasa. Walczył z nimi, w końcu zdołał się uwolnić, odpełzł od maszyny najszybciej jak potrafił.

Leżał na brzuchu, dysząc ciężko, z twarzą wtuloną w twardą, gliniastą ziemię.

Usłyszał szelest, potem kroki, przewrócił się na wznak. Okraczyły go długie nogi... a raczej szczudła.

Na twarzy Skaczącego Jacka tańczyły plamki światła. Stał nad królewskim agentem,

przyglądając mu się z góry. Przykucnął.

– Kim jesteś? – spytał.

Błękitne płomienie tworzyły halo wokół jego głowy, z piersi tryskały iskry, w oczach czaiło się szaleństwo.

– Cholernie dobrze wiesz, kim jestem – powiedział Burton.

– Nie wiem. Nigdy cię nie widziałem, choć przyznaję, mam wrażenie, że powinienem cię znać.

– Nigdy mnie nie widziałeś? To ty podbiłeś mi oko! – Już wypowiadając te słowa, podróżnik przypomniał sobie, co zasugerował mu w rozmowie Trounce: że Skaczący Jack może istnieć w więcej niż jednej osobie. – A może to był twój brat? – dodał szybko.

Stwór uśmiechnął się.

– Nie mam brata. Nie mam nawet rodziców!

Odrzucił głowę, wybuchnął głośnym, szalonym śmiechem, a potem opuścił wzrok, oglądając dokładnie twarz podróżnika.

– Gdzie ja cię widziałem... Jesteś sławny czy co?

– Względnie sławny. – Burton próbował wydostać się spomiędzy szczudeł Jacka, pełzł, opierając się na łokciach i stopach, ale stwór chwycił go za płaszcz na piersi, przytrzymał.

– Nie ruszaj się – rozkazał. – No tak, już wiem. Sir Richard Francis Burton. Jeden z tych słynnych wiktorianów.

– Kto to jest wiktorianin, do diabła?

Usłyszeli dobiegające z daleka krzyki, to zbliżali się policjanci i miejscowi ludzie. Towarzyszyło im charakterystyczne bębnienie rotofotela Kapoora.

– Posłuchaj mnie, Burton – syknął Jack. – Nie mam pojęcia, co tu robisz, ale musisz zostawić mnie w spokoju. Pozwolić mi zrobić, co mam do zrobienia. Wiem, że niedobrze to wygląda, ale nie zamierzam krzywdzić tych dziewczyn. Jeśli mnie powstrzymasz, ty czy ktokolwiek inny, nie zdołam wrócić. Nie naprawię tego, co się popsuło. Wszystko zostanie, jak jest, a do tego nie wolno dopuścić! Jest źle! Nie tak miało być! Rozumiesz?

Burton potrząsnął głową.

– Nic nie rozumiem. Pozwól mi wstać, niech cię diabli!

Jack zawahał się, ale zwolnił uścisk. Burton mógł wreszcie wyślizgnąć się spomiędzy jego szczudeł. Wstał, przyjrzał się bliżej dziwnemu stworzeniu.

Skaczący Jack był człowiekiem, widział to teraz wyraźnie. Ale miał na sobie dziwny kostium i roztaczał jakąś nieziemską atmosferę.

– Więc co dokładnie musisz zrobić? – spytał go.

– Odtworzyć, Burton! Odtworzyć!

– Odtworzyć co?

– Siebie. Ciebie. Wszystko! Czy ty naprawdę uważasz, że na świecie powinny żyć gadające orangutany? Nie wydaje ci się, że coś tu jest cholernie nie tak?

– Gadające orangu...?

– Kapitanie Burton! – przerwał mu dobiegający ciągle jeszcze z daleka głos. Za to terkot rotofotela Kapoora rozlegał się całkiem blisko. Jack uniósł wzrok w niebo, zasłonięte gałęziami i liśćmi.

– Mgła się rozeszła. Będę mógł się doładować.

– Władować? Gdzie? Przemawiasz zagadkami, człowieku!

– Na mnie czas – powiedział cicho stwór i nagle ryknął śmiechem. – Czas na mnie!

Burton skoczył na niego, ale Jack uskoczył, a królewski agent upadł na wystające z ziemi splątane korzenie. Poderwał się na równe nogi, Jack tymczasem tylko mignął mu w oczach i znikł wśród drzew.

– Do diabła! – zaklął Burton i ruszył za nim w pościg.

Mimo że musiał uchylać się przed co niższymi gałęziami, Skaczący Jack poruszał się szybko długimi ni to jeszcze krokami, ni to już susami, podróżnika zaś powstrzymywały na każdym kroku korzenie, splątane pnącza oraz jego własne zmęczenie. Niemniej trzymał się w przyzwoitej odległości za Jackiem i widział, jak wyskakuje on spomiędzy drzew na pole golfowe, nieco na północ od miejsca, w którym kłębił się tłumek policjantów i mieszkańców miasteczka.

Świsnęły policyjne gwizdki, miejscowi ryknęli głośno i ruszyli w pościg za dziwnie przebraną istotą, wymachując prowizoryczną bronią.

Burton zatrzymał się. Zdziwiony obserwował, co się dzieje.

Skaczący Jack nie uciekał, raczej okrążał pole, zupełnie jakby bawił się z goniącymi go ludźmi. Nadążał za nim tylko konstabl Kapoor w swym rotofotelu, ale mógł jedynie trzymać się blisko i czekać.

– Czego ty, do diabła, chcesz? – szepnął podróżnik.

Jack, który do tej pory stale się od niego oddalał, skręcił na wschód. Poruszał się skokami wzdłuż granicy pola golfowego, zmienił kierunek biegu na północno-zachodni i zaczął zbliżać się do niego i do granicy lasu. Burton pobiegł, chciał przeciąć mu drogę, ale Jack podskoczył na piętnaście stóp i przeleciał mu nad głową.

– Trzymaj się od tego z daleka! – krzyknął.

Po sześciu długich skokach stwór wyskoczył w powietrze i tuż przy rotofotelu Kapoora, na wysokości dwudziestu stóp, znikł. Podróżnik miał wrażenie, że w ostatniej chwili otoczyła go przezroczysta bańka i że jej krawędź dotknęła maszyny – w każdym razie stwór znikł wraz z przednią częścią pojazdu.

Rotofotel rozleciał się. Pozostawiając za sobą zwinięty w spiralę ślad pary, spadł na ziemię, uderzając w nią z przerażającym trzaskiem. Kocioł wybuchł, odłamki metalu poleciały na wszystkie strony.

Podbiegli do wraku równocześnie, choć z różnych stron: królewski agent, inspektor i kilku policjantów.

Poranione ciało konstabla Kapoora zwisało z obróconego do góry nogami fotela. Na jego twarzy zastygł grymas przerażenia, z ran na szyi krew spływała mu na twarz, zalewała otwarte, nieruchome oczy, skapywała na porytą darń z mokrych włosów.

– Do diabła – wydyszał Trounce, opierając się na lasce całym ciężarem ciała. – W przyszłym tygodniu miał dostać awans.

Zamilkł, najwyraźniej pogrążony w myślach, otrząsnął się i zwrócił do najbliższego konstabla:

– Benneth, sprowadź mi tu sierżanta Pipera, dobrze?

Konstabl skinął głową i odszedł.

– Kim, do diabła, jest to coś, kapitanie? – spytał Burtona.

– Człowiekiem, tego jestem pewien – odparł podróżnik. – A dokładniej, szaleńcem.

– Tym samym, którego widziałem podczas zamachu?

– Niemożliwe. Na to wydawał się za młody.

– Wielkie nieba, to wszystko jest takie zwariowane. Co się zdarzyło tam, w lesie?

– Gadał jakieś bzdury. Nazwał mnie wiktorianinem.

– A co to takiego?

– Nie mam pojęcia, chociaż można chyba bezpiecznie założyć, że ma to coś wspólnego z naszą nieżyjącą królową. Powiedział, że jeśli powstrzymamy go i nie zrobi tego, co powinien zrobić, wszystko zostanie tak, jak jest, a on musi „odtworzyć".

– Co odtworzyć?

– Mnie. Siebie. Wszystko, cokolwiek to znaczy. Potem wspomniał coś jeszcze o gadających orangutanach i że musi coś władować.

Trounce wzruszył ramionami.

– Nic z tego nie ma najmniejszego sensu. Bełkot szaleńca. Nic więcej.

– Z tym akurat mogę się zgodzić.

Do detektywa podszedł sierżant. Zasalutował.

– Ach, to ty, Piper. Nasi ludzie mają chyba tutejszych pod kontrolą.

– Tak jest. Ten skaczący facet znikł, więc pewnie zaraz zaczną wracać do domów.

– Dobrze. Doskonale. Chcę, żebyś zostawił tu kilku ludzi i załatwił przewiezienie biednego Kapoora do kostnicy.

– Jasne, sir. Był dobrym człowiekiem. Dopilnuję, żeby nie czekał ani chwili dłużej niż to konieczne.

– Dziękuję. Kapitanie Burton, czy mógłby pan pójść ze mną? Przy budynku klubowym stoi kilka policyjnych welocypedów, weźmiemy dwa i pojedziemy do Mickleham. Chciałbym, żeby spotkał się pan z dziewczyną, ofiarą Skaczącego Jacka. Aha, przy okazji, sir Richard Mayne przydzielił mnie do sprawy. Mam wrażenie, że jestem pana dłużnikiem. Dziękuję.

– Właściwy człowiek na właściwym miejscu – skwitował jego podziękowania sir Richard. – Chwileczkę, tylko wezmę kapelusz i laskę.

Wrócił do rotofotela, zabrał swoje rzeczy i wrócił do Trounce'a, który zdążył już wysłać paru konstabli do lasu z poleceniem wyciągnięcia uszkodzonego wehikułu. Poszli w stronę klubu.

– Kim jest ta dziewczyna? – spytał Burton.

– Nazywa się Angela Tew, ma piętnaście lat i na tym kończy się moja wiedza. Na razie. Dziś rano, przed świtem, przyleciała do Scotland Yardu papuga. Wysłał ją posterunkowy z Mickleham z wiadomością, że osławiony Skaczący Jack znów zaatakował. Obudzili mnie piętnaście po szóstej. Przylecieliśmy z paroma ludźmi, a przedtem jeszcze wysłałem po ciebie Kapoora. Kiedy przyjechaliśmy, ci wieśniacy byli wściekli. Zobaczyli Jacka wędrującego sobie skrajem pola, zaczęli się z nim ganiać wokół Chislehurst, pogonili go aż do Marvel's Wood. Dołączyliśmy do nich. Jak idiota, którym jestem, zostawiłem rotofotele zaparkowane w Mickleham i kiedy zorientowałem się, jakie mogą być przydatne, za późno już było po nie wracać. Nie przyzwyczaiłem się jeszcze do tego diabelstwa, kapitanie. Gdybym miał konie, włączyłbym je do pościgu, nawet się nad tym nie zastanawiając, ale szczerze mówiąc, taki stary glina jak ja nie za dobrze radzi sobie z całą tą nowoczesną techniką. Mniejsza z tym, w każdym razie pan pojawił się, kiedy już dobiegliśmy do pola golfowego. No dobrze, a teraz sprawdźmy, co z dziewczyną, i spróbujmy czegoś się od niej dowiedzieć.

– Dziwne... – powiedział Burton w zadumie. Podeszli do rzędu zaparkowanych przy budynku klubowym policyjnych welocypedów, pilnowanych przez samotnego konstabla. – Jack ma nadnaturalną zdolność rozpływania się w powietrzu. Dwukrotnie zrobił to na moich oczach. Więc czemu nie znika od razu?

– Nie mam pojęcia – przyznał Trounce. – Konstablu, biorę dwa pensy z ćwiartką.

– Oczywiście, sir – zgodził się chętnie jego podwładny. – Proszę bardzo.

Burton podszedł do jednego z wytrząsaczy gnatów. Od ścianki paleniska odczepił małe miechy, wsadził końcówkę w otwór zaworu i zaczął pompować. Po chwili obłoczek pary wypłynął z innego zaworu – w małym kotle, umieszczonym bezpośrednio pod silnikiem. Wówczas wsadził miechy w uchwyt, przekręcił włącznik silnika, kilkakrotnie obrócił znajdujące się obok niego koło. Zawył żyroskop, więc złożył podpórkę. Nie była już potrzebna.

Przytrzymując się ramy, postawił lewą stopę na drążku, odbił prawą, prześlizgnął między przednim kołem a kominami, wsunął prawą stopę w prawe strzemię, dźwignął się na siedzenie, znalazł lewą stopą lewe strzemię. Zrobił to jednym płynnym ruchem i chociaż welocyped zadrżał, żyroskop utrzymał go w równowadze.

Spojrzał w prawo. Trounce też zajął już miejsce i właśnie wkładał laskę w specjalnie w tym celu zamontowany uchwyt.

Obaj jednocześnie zwolnili hamulce. Tłoki poruszyły się, najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej, zawirowały czopy korbowe, rozległ się syk pary, kierowcy włączyli biegi i welocypedy, dysząc, wyjechały na drogę do Mickleham.

– Skaczący Jack wspomniał coś o tym, że mgła się rozeszła i że świeci słońce – powiedział Burton. – Dla niego było to chyba ważne.

– Sugeruje pan, kapitanie, że nie może znikać w nocy? – zdziwił się Trounce.

– Nie. Pamiętaj, że to właśnie w nocy spotkałem się z nim po raz pierwszy.

– Więc o co chodzi?

– Nie mam pojęcia.

– W całej tej sprawie mamy tylko zagadki, a co jedna, to trudniejsza.

Dojechali do granicy Chislehurst, przejechali przez miasto, ożywione, gdyż był to dzień targowy, i wąską drogą pojechali do wsi. Po mgle nie pozostał najmniejszy nawet ślad, na niebie kłębiły się chmury, tylko od czasu do czasu odsłaniając plamki błękitu. Ze szczytu niskiego wzgórza widać już było Mickleham i po zaledwie kilku minutach dwaj mężczyźni parkowali welocypedy na granicy tego samego pola, na którym Burton lądował tego ranka.

Dwaj konstable nadal stali przy furtce prowadzącej do zaniedbanego domku i to tam Trounce poprowadził Burtona. Zastukał do drzwi. Otworzył mu je mężczyzna w samej koszuli i sztruksowych spodniach na szelkach, rozczochrany, z długimi bokobrodami i okularami w drucianej oprawce na nosie.

– Policja? – spytał cicho.

– Tak, proszę pana. Jestem detektyw inspektor Trounce ze Scotland Yardu, a to mój partner, kapitan Burton. Pan Tew?

– Tak. Edward Tew. Proszę do środka.

Przeszli przez próg. Drzwi wejściowe otwierały się bezpośrednio na dość małą, zagraconą i niską bawialnię. Na wytartej kanapie młoda, bardzo ładna dziewczyna leżała w opiekuńczych objęciach matki. Była to tęga matrona, zapłakana i trzęsąca się nieopanowanie. Dziewczyna patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami. Burtonowi wydała się zbyt chuda.

– Angelo, ci panowie to policjanci z Londynu – Edward Tew przedstawił gości spokojnym, łagodnym głosem.

– Nie może rozmawiać. Jest zbyt zdenerwowana – zaprotestowała gwałtownie matka.

– Wiem, co czuje. Doskonale wiem!

– Cicho, Tilly – powiedział pan Tew. – Mała jest już całkiem spokojna. Zaparz nam dzbanek herbaty, a panowie, proszę, usiądźcie.

– Nie! Dajcie jej spokój! Ja.. ona... ona nie może z wami rozmawiać.

– Wręcz przeciwnie, mamo, mogę – szepnęła dziewczyna.

Matka ujęła jej ręce, pocałowała ją w policzek.

– Jesteś pewna? Przecież nie musisz. Oni będą tylko pytać, pytać, pytać...

– Proszę cię, Tilly. – Pan Tew wydawał się tracić cierpliwość.

– Wszystko w porządku, mamo – uspokoiła ją córka, nadal szeptem.

Pani Tew opuściła wzrok, pociągnęła nosem, wstała i wyszła z pokoju.

– Proszę usiąść obok córki – powiedział do gospodarza Trounce, wskazując mu gestem kanapę. Dla siebie przeznaczył drewniane krzesło przy małym stoliku, na którym stał wazon z kwiatami. Dla Burtona pozostał jedyny w pokoju fotel.

– Masz na imię Angela, prawda? – zwrócił się do dziewczyny bardzo spokojnie, łagodnym głosem.

– Tak, proszę pana – odparła cicho.

– Chciałbym dowiedzieć się od ciebie, co właściwie zaszło. Postaraj się nie pominąć niczego. Każdy szczegół może okazać się ważny.

Angela Tew skinęła głową. Przełknęła z wysiłkiem, przez chwilę nie była w stanie wykrztusić słowa, ale zdołała się opanować.

– Pracuję jako służąca. U Longthornsów, proszę pana, tych, co mieszkają w takim wspaniałym starym domu na Saint Paul's Wood Hill. Szłam do pracy dziś rano, wyszłam z domu...

– Mniej więcej za dziesięć piąta – podpowiedział jej ojciec. – Angela pracuje od piątej do drugiej – wyjaśnił. – Mów dalej, kochanie.

– No i skorzystałam ze skrótu przez Hoblingwell Wood.

– O tak wczesnej godzinie chyba jest jeszcze ciemno, prawda? – spytał Trounce. – Chodzi mi o to, czy nie jest za ciemno na spacery po lesie?

– Jest bardzo ciemno, proszę pana, ma pan świętą rację, ale ścieżka prowadzi prosto jak strzelił, a ja zawsze mam lampę naftową, żeby oświetlić sobie drogę. Bardzo często chodzę skrótem, bardzo.

– I co się stało?

– Przeszłam już kawał drogi, kiedy spomiędzy drzew wyszedł na ścieżkę mężczyzna. Nie widziałam go dobrze, więc podniosłam lampę i spytałam: „Kto tam?". Zobaczyłam, że jest bardzo wysoki i ma strasznie długie nogi, jak ci z cyrku, co chodzą na szczudłach. Od razu mówię panu, że tu w okolicy wszyscy opowiadają o duchu, co się nazywa Skaczący Jack, a ja nie jestem taka głupia. Zobaczyłam go i od razu poznałam z tych opowieści. Odwróciłam się, zaczęłam biec jak najszybciej potrafię, ale zrobiłam tylko kilka kroków, a on już złapał mnie z tyłu, zasłonił mi usta dłonią. A potem... potem...

Dziewczyna zasłoniła oczy ramieniem.

– Nie mogę, tato... – szepnęła.

Ojciec położył jej dłoń na ramieniu. Spojrzał na policjanta błagalnie. Trounce skinął głową i to Edward Tew podjął opowieść.

– Skaczący Jack rozszarpał jej sukienkę od samej góry aż do pasa. Sukienkę... i bieliznę też. Odwrócił moją córkę, przegiął do tyłu, przyłożył twarz...

Dziewczyna chlipnęła. Tew zamrugał szybko, otworzył usta, zamknął je bez słowa.

Spojrzał na gości, przyłożył palec do środka piersi.

– Tu – szepnął.

Burton zacisnął zęby. Angela miała zaledwie piętnaście lat!

Dziewczyna nagle odsłoniła twarz, gniewnie roztarła łzy po policzkach nasadą dłoni.

– Przechylił mnie do tyłu tak, że myślałam, że złamie mnie na pół. Ale potem puścił troszeczkę, spojrzał mi w twarz tymi swoimi strasznymi oczami i powiedział: „Nie ty".

Królewski agent omal nie zerwał się z fotela.

– Panno Tew, to bardzo ważne. Czy jest panienka pewna, że użył tych właśnie słów?

Angela skinęła głową.

– Sama słyszałam, mówił bardzo wyraźnie. „Nie ty" – powiedział, puścił mnie i uciekł, skacząc jak jakiś okropny konik polny.

– Nim zaczęła panienka krzyczeć?

– Tak, proszę pana. Odzyskałam głos dopiero przy furtce. Strasznie szybko biegłam.

Burton i Trounce wymienili szybkie spojrzenia.

– Mówił coś jeszcze? – spytał podróżnik, zwracając się do dziewczyny.

– Nie, proszę pana.

– Możesz mi go opisać?

Jej opis doskonale pasował do istoty, którą Burton dopiero co spotkał w Marvel's Wood.

Kilka minut później wraz z inspektorem opuścili domek rodzinny Tew. Burton obrócił się jeszcze na pożegnanie i dostrzegł stojącą w drzwiach Tilly Tew. Patrzyła na niego, a wyraz jej twarzy był dziwnie tajemniczy.

– Dziwne – powiedział Trounce, kiedy szli już przez pole. – Podczas poprzednich ataków Jack wiał dopiero, kiedy ktoś mu przeszkodził. Weźmy choćby przypadek Mary Stevens. Wrzasnęła, ludzie się zbiegli, więc wziął nogi za pas.

– Bo prawdopodobnie mamy do czynienia z innym Jackiem, inspektorze.

– Może, nie mówię nie. W każdym razie zatkał jej usta dłonią, atak odbył się we względnej ciszy, dziewczynie nikt nie pomógł. Mimo to – z braku lepszego określenia – nie poszedł na całość. Podarł jej sukienkę, napasł oczy widokiem, a potem uwolnił ofiarę. Dlaczego?

– Powiedział: „Nie ty" – co sugeruje, że szukał określonej dziewczyny, ale nie tej. Muszę wrócić do Londynu. Mogę zabrać któryś z waszych rotofoteli?

– Oczywiście. Proszę zaparkować go przed domem, to przyślę po niego konstabla. Jaki będzie twój następny ruch, kapitanie?

– Pójdę spać. Jestem śmiertelnie zmęczony, a poza tym grozi mi nawrót malarii. A ty, inspektorze?

– Zamierzam pogadać dłużej z tą rodziną. Poszukam związków między ofiarami.

– Dobry jesteś. Wkrótce się spotkamy, Trounce.

– W to akurat nie wątpię. Nasz skaczący przyjaciel powróci, to jasne jak słońce. Gdzie się pojawi? Oto jest pytanie. Gdzie?

– Jeszcze jedna rzecz, inspektorze. Zwróć specjalną uwagę na mamuśkę Tilly. Kiedy wychodziliśmy, przyglądała się nam ze szczególnym wyrazem twarzy. Podejrzewam, że wie więcej, niż mówi.

*** Rozdział 9 ***

Brygada z Battersea

Zwyciężaj samego siebie. Póki nie zwyciężysz, jesteś tylko niewolnikiem, bowiem między zależnością od czyichś zachcianek a swoich niemal nie ma różnicy.

sir Richard Francis Burton

O drugiej po południu Burton już pracował. Przespał kilka godzin, umył się, ubrał, zjadł lunch, po lunchu wysłał dwie wiadomości: jedną przez gońca do premiera z prośbą o spotkanie, drugą przez papugę do Swinburne'a z zaproszeniem na wczesny wieczór.

W godzinę później odpowiedź z Downing Street 10 wylądowała na jego parapecie.

– Wiadomość od degenerata, głupka, chama, lorda Palmerstona. Przybyć natychmiast. Koniec wiadomości.

– Bez odpowiedzi – powiedział Burton.

– Wsadź sobie w rurkę – zaskrzeczała papuga i odleciała.

Czterdzieści minut później, po szybkim spacerze wśród mgły, rzednącej wprawdzie, ale nadal ogarniającej środkowy Londyn, Burton znów siedział naprzeciw lorda Palmerstona. Premier robił szybkie notatki na marginesie jakiegoś dokumentu. Przemówił, nie podnosząc wzroku na gościa.

– O co chodzi, Burton? Jestem zajęty, a nie wymagam raportu z postępów śledztwa. Wystarczy mi sprawozdanie, kiedy już z nim skończysz.

– Zginął człowiek.

– Kto? Jak?

– Kierowca parowej dorożki nazwiskiem Montague Penniforth. Był ze mną na East Endzie i został tam zabity przez wilkołaka.

Teraz Palmerston przerwał i spojrzał na niego.

– Wilkołaka? Widziałeś go, kapitanie?

– Widziałem cztery wilkołaki. Rozerwały Pennifortha na strzępy. Gdybym wówczas zajął się jego ciałem, ściągnąłbym na siebie poważne niebezpieczeństwo. Był dobrym człowiekiem, nie zasługuje na pogrzeb w stylu East Endu.

– Czyli Tamizę?

– Tak. – Burton zacisnął pięści. – Zachowałem się jak skończony idiota. Nie powinienem był włączać go w tę sprawę.

Premier odłożył pióro. Splecione dłonie położył na blacie biurka. Cicho, lecz stanowczo powiedział:

– Zadanie, które otrzymał pan od króla, należy uznać za wyjątkowe. Musi pan uważać się za dowódcę na polu bitwy. Od czasu do czasu od sług Jego Królewskiej Mości będzie się wymagało właśnie tego: służby. Biorąc pod uwagę naturę pańskiej misji, jest wysoce prawdopodobne, że niektórzy z nich zginą lub odniosą rany. W służbie imperium.

– Penniforth nie walczył. Woził ludzi.

– Był królewskim sługą, jak my wszyscy.

– Czy ci, którzy w królewskiej służbie stracą życie, mają być bezceremonialnie wrzucani do rzeki? Jak odpadki?

Palmerston wyjął z szuflady kartkę. Pisał przez chwilę, a potem przesunął ją w stronę gościa.

– Jeśli tylko będzie to możliwe ze względu na okoliczności, prześlij informację pod tym adresem. Moi ludzie zjawią się gdzie trzeba i posprzątają bałagan. Zabici zostaną potraktowani z należnym szacunkiem, a także pochowani na koszt państwa. Wdowy otrzymają państwową rentę.

Burton przeczytał nazwiska zapisane w nagłówku pisma, nad adresem.

– Burke i Hare! – zdumiał się. – To kryptonimy?

– Nie. W rzeczy samej to przypadek. Mordercę i złodzieja trupów Burke'a powieszono w dwudziestym dziewiątym, jego partner Hare zmarł dziesięć lat temu. Jako ślepiec, żebrak. Moi agenci, Damien Burke i Gregory Hare, to zupełnie inna para kaloszy. Są dobrzy, choć może przesadnie ponurzy w swych poglądach na świat.

– Montague Penniforth miał żonę, imieniem Daisy. Mieszkał w Cheapside. Tylko tyle o nim wiem.

– Przekażę im to. Szybko znajdą żonę, a ja dopilnuję, żeby nie pozostała bez środków do życia. A teraz... jestem bardzo zajęty, kapitanie Burton. Skończyliśmy?

– Tak, sir – przytaknął podróżnik, wstając.

– Więc może obaj wrócilibyśmy do pracy?

Z tymi słowy Palmerston wrócił do lektury i adnotowania dokumentu. Burton zbierał się do wyjścia, gdy nagle premier przemówił:

– Być może przydałby się panu asystent, kapitanie.

Królewski agent spojrzał na niego zdziwiony, ale premier pracował pilnie i świat mógł dla niego nie istnieć.

Zasady dobrego wychowania wymagają, by młodym damom odwiedzającym domy kawalerów zawsze towarzyszyła przyzwoitka, ale Isabel Arundell w nosie miała zasady dobrego wychowania. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że socjeta już patrzy na nią znad swego jak zwykle zadartego nosa, bo ośmieliła się pojechać z narzeczonym do Bath i zatrzymała się w tym samym co on hotelu, choć – Boże broń! – nie w tym samym pokoju. W tej chwili radośnie łamała kolejne tabu, składając mu wizytę bez przyzwoitki, nie pierwszy zresztą raz.

Nie przejmowała się tym, że sama sobie rujnuje reputację, bo wiedziała, że po ślubie wraz z Richardem opuści Anglię i zamieszka za granicą. On zostanie konsulem, ona

zgromadzi wokół siebie nowych przyjaciół, najchętniej nie-Anglików. Uznają ją za egzotyczny kwiat, delikatną różę wśród, jak sądziła, bardziej tajemniczych, lecz mniej wyrafinowanych kwiatów Damaszku lub na przykład Ameryki Południowej.

Wszystko miała już zaplanowane, a tak się na ogół składało, że Isabel Arundell dostawała to, czego chciała.

Tego popołudnia na Montagu Place 14 została przyjęta chłodno. Pani Angell wpuściła ją do domu niechętnie, nie oszczędziła jej też jawnego, zdaniem Isabel, afrontu, pytając, czy młoda dama uważa tę wizytę za odpowiednią. Uprzejma starsza pani posunęła się aż do sugestii, że skoro się upiera, to może ona sama będzie jej towarzyszyć, bo tego przecież wymagają dobre obyczaje.

Panna Arundell niecierpliwie odrzuciła płynącą z dobroci serca propozycję i bez dalszych ceregieli weszła na schody, a potem wmaszerowała do gabinetu narzeczonego.

Burton siedział skulony w przysuniętym do kominka fotelu z kieszeniami. Otulony galabiją, palił jedno ze swych ohydnych cygar, zapatrzony w ścianę przez gęsty, niebieski tytoniowy dym. Tkwił tak od czasu powrotu z Downing Street, przez cały ten czas prawie nie zmieniając pozycji. Błądził myślami gdzieś daleko. Nie zauważył nawet obecności gościa.

– Na litość boską, Dick – zażartowała Isabel – zeszłam z mgły, żeby znów znaleźć się we mgle, tylko innej. Musisz być...

Przerwała, westchnęła, podniosła dłoń w rękawiczce do ust. Dopiero teraz zauważyła żółty siniak wokół oka ukochanego, drugi, znacznie bardziej krwisty i ciemniejszy, na skroni oraz pokrywające całą twarz otarcia i zadrapania. Burton wyglądał tak, jakby przeszła po nim szarża lekkiej brygady.

– Co... co się... ale... – wyjąkała.

Królewski agent powoli odwrócił głowę. Widziała, jak zwężają się jego źrenice. Powracał do rzeczywistości.

– Ach! – westchnął i wstał. – Wybacz, Isabel... Zapomniałem, że mogę się ciebie spodziewać.

– Twoja twarz... Dick, twoja twarz! – krzyknęła dziewczyna i nagle rzuciła mu się w ramiona. – Co się stało?

Burton pocałował ją w czoło i odsunął na wyciągnięcie ręki.

– Wszystko – powiedział. – Wszystko się stało. Całe moje życie zmieniło się w jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wykonuję zadanie zlecone mi przez samego króla!

– Król? Zadanie? Dicku, ja nic z tego nie rozumiem. Skąd te siniaki i skaleczenia?

– Usiądź, a ja spróbuję ci wszystko spokojnie wytłumaczyć. Ale, Isabel, przygotuj się na niespodzianki. Pamiętasz jeszcze to arabskie przysłowie, którego cię kiedyś nauczyłem? *In lam yakhun ma tureed, fa'ariid yakhoon.*

Isabel przetłumaczyła: „Jeśli nie zdarza się to, co chciałbyś, żeby się zdarzyło, naucz się lubić to, co się zdarza". Usiadła, zmarszczyła brwi. Czekała. Burton podszedł do biurka. Nalał toniku do szklanki, podał go jej, ale sam nie siadał. Wyraz twarzy miał nieodgadniony.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych zamierzało zaoferować mi stanowisko konsula na Fernando Po... – zaczął. Isabel natychmiast mu przerwała.

– Wiem. Wysyłałam list za listem do lorda Russella, rekomendując cię na taką właśnie posadę. Chociaż prosiłam o Damaszek.

– Co? – zdumiał się Burton. – Uznałaś za właściwe pisać do lorda Russella w moim imieniu, nie pytając mnie nawet o zdanie?

– Bzdury gadasz, Dick. Często rozmawialiśmy o konsulacie. Proszę, powiedz mi wreszcie, co ci się stało.

– We właściwym czasie. A na razie... jest przecież wielka różnica między szczerą rozmową między nami a żebraniem o względy ministra.

– Tego nie robiłam! – Isabel niemal krzyknęła.

– Doprawdy? Niech i tak będzie. W każdym razie nie powinnaś przemawiać lub pisać w moim imieniu, jeśli sam cię o to nie poprosiłem.

– Chciałam ci pomóc!

– Co czyniąc, stworzyłaś wrażenie, że nie dysponuję sposobami i środkami na budowę własnej kariery. Ja sam zapewne zdołałbym załatwić Damaszek, zaś twoja interwencja doprowadziła do zaproszenia mnie na Fernando Po. Chciałem dostać grubą kromkę chleba z rządowego stołu, a zaproponowano mi okruchy. Wiesz, co to takiego to Fernando Po?

– Nie – powiedziała cicho jego narzeczona. Po jej policzku spływała łza. Ta wizyta nie chciała jakoś dostosować się do jej planów.

– Hiszpańska wysepka przy zachodnim wybrzeżu Afryki, nic nieznacząca, niezdrowa, będąca istną wylęgarnią chorób i jako taka uważana za grób białego człowieka. Konsulem na Fernando Po Ministerstwo Spraw Zagranicznych mianuje człowieka, którego chce się pozbyć. Fakt, że lord Russell zaproponował mnie na to stanowisko, może oznaczać tylko jedno: że go zirytowałem. Ale nie mogłem go zirytować, bo w żaden sposób się z nim nie kontaktowałem.

– Ale ja tak! To wszystko przeze mnie. Popełniłam błąd i tak mi przykro, Dick, przecież chciałam dla ciebie tego, co najlepsze.

– A osiągnęłaś to, co dla mnie najgorsze – powiedział podróżnik niemiłosiernie. Jego narzeczona ukryła twarz w dłoniach. Zapłakała. – Posłuchaj – powiedział sir Richard cicho. – Gdy król nadał mi tytuł szlachecki, byłem pewien, że moja... że nasza przyszłość jest pewna. A potem przyszła zdrada Johna. Nie wiem, dlaczego zrobił to, co zrobił. Był mi jak młodszy brat, ale okazał się człowiekiem słabym. Pozwolił, by manipulowały nim złe siły. Walczyłem jak nikt, by wyrobić sobie imię: w Indiach musiałem pokonać rozczarowania i zazdrosną wrogość oficerów, w Arabii ryzykowałem egzekucję, podejmując pielgrzymkę do Mekki, w Berberze omal nie zginąłem z rąk krajowców, a w Afryce Środkowej umierałem z chorób i wyczerpania. Wszystko to straciło wartość, gdy John zwrócił się przeciwko mnie i zszargał mi reputację. Co on o mnie opowiadał! Co sugerował! Boże wszechmogący! Powinienem wysmagać go biczem, ale uczucia wstrzymały mą rękę, zyskał na czasie i to załatwiło sprawę. Postrzelił sam siebie, ale równie dobrze mógł wymierzyć we mnie i dopiero wtedy pociągnąć spust. Złośliwe kłamstwa zrobiły swoje, a teraz jeszcze jestem winien temu, że usiłował popełnić samobójstwo! W poniedziałek, kiedy dowiedziałem się, co zrobił, Richard Burton taki, jakim przed dziesięciu laty poznałaś go w Boulogne i w którym się zakochałaś... ten mężczyzna przestał istnieć.

– Nie, Richardzie! Nie mów takich rzeczy!

– Mówię prawdę. Poślubiłabyś człowieka złamanego... gdyby coś się nie stało.

– Co? – szepnęła Isabel.

– Wieczorem tego samego dnia zostałem napadnięty.

Dziewczyna gwałtownie zamrugała oczami.

– Napadnięty? Przez kogo?

– Przez istotę z mitów i legend, istotę pozornie nadnaturalną... przez Skaczącego Jacka.

Narzeczona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, niezdolna powiedzieć choć słowo.

– Mówię prawdę, Isabel. A potem, we wtorek rano, dostałem wezwanie od Palmerstona, który w imieniu króla oferował mi stanowisko. Zostałem... Cóż, nie ma na nie dobrej nazwy, premier używa określenia królewski agent, chociaż śledczy, badacz lub nawet detektyw pasowałoby równie dobrze. Moim pierwszym zadaniem jest zebranie informacji o stworzeniu, które mnie zaatakowało.

Isabel Arundell wstała nagle. Podeszła do okna, wyjrzała na ulicę i nie odwracając się, powiedziała gniewnie:

– To jakieś brednie, Dick. Malaria ci wróciła?

Burton podszedł do biurka, nalał sobie kieliszek porto.

– Czyżbyś sugerowała, że mogę mieć omamy? – w jego głosie brzmiał głęboki smutek i to on sprawił, że narzeczona odwróciła się od okna.

– Skaczący Jack to bajka dla dzieci!

– A gdybym ci powiedział, że widziałem wilkołaki? W Londynie?

– Wilkołaki? Dick, czy ty wiesz, co mówisz?

– Wiem, jak to brzmi, ale wiem także, co widziałem. Poza tym przeze mnie zginął człowiek. Popełniłem błąd, w ten bolesny sposób dowiadując się, że zajmowane przeze mnie w tej chwili stanowisko jest niezmiernie groźne także dla bliskich mi osób.

– Nie mogę... nie... – Isabel zająknęła się, ale po chwili odzyskała głos i wybuchnęła: – Dobry Boże! Chcesz mnie porzucić? – Chwyciła się za pierś, jakby zawiodło ją serce.

– Wiesz, jakim jestem człowiekiem – powiedział Burton spokojnie. – Odkrycia to moja pasja. Afryka jest już dla mnie zamknięta, w każdym razie nie mam szczególnej ochoty psuć sobie zdrowia, co jest nieuniknionym skutkiem ekspedycji. Ta ostatnia omal mnie nie zabiła, a ja wolę umrzeć, stojąc niż leżąc na wznak. Odkrycia geograficzne są tylko jedną z wielu form dokonywania odkryć, istnieją inne, a król dał mi okazję, dzięki której mogę użyć swej pasji w sposób dotychczas niewyobrażalny. Jestem w stanie...

– Przestań! – rozkazała mu Isabel. Wojowniczo wysunęła podbródek, oczy błyszczały jej groźnie. – A co ze mną, Richardzie? Odpowiedz na to pytanie! Co ze mną?

Ignorując ból, którym słowa napełniały mu serce, sir Richard Francis Burton odpowiedział jej na pytanie.

Mimo wszystkich jej wad Burton kochał Isabel, a ona kochała jego. Była mu przeznaczona na żonę, tego nie podważał, a jednak rzucił wyzwanie przeznaczeniu, siłą woli skierował swe życie na inną ścieżkę.

Pozostał pusty, pozbawiony uczuć, a jednak dzięki temu wspiął się na wyższy poziom samoświadomości, przez co tym intensywniej doświadczał nierealnego jak majaki w gorączce uczucia, że jego osobowość nagle się rozszczepiła.

Popołudnie przeszło we wczesny wieczór, a Burton znów pogrążył się w

kontemplacji, sam siebie niemal wprowadził w trans. W transie tym badał doświadczenie obecności swego niewidzialnego drugiego ja, zajmującego ten sam fotel co on. Dziwne, ale stwierdził, że teraz kojarzy tego drugiego Richarda Burtona nie z atakami malarii, lecz ze Skaczącym Jackiem.

Intuicja podpowiedziała mu, że on i jego bliźniak istnieli w punkcie, od którego zaczynała się rozbieżność. Dla jednego otwarta była droga prowadząca na Fernando Po, do Brazylii, Damaszku lub „gdzie tam te pierdoły cię wyślą". Drugi miał wstąpić na ścieżkę życia królewskiego agenta. Jego przyszłość pozostawała nieznana.

Burton nie miał żadnych wątpliwości, że owo „coś" na szczudłach w jakiś sposób przewidziało, jakiego wyboru dokona. Kimkolwiek był Jack, to z pewnością nie szpiegiem, jak to pierwotnie podejrzewali Palmerston i on sam. O nie, nic tak przyziemnego. Nie chodziło tylko o to, co powiedział mężczyzna w dziwnym kostiumie, lecz także jak to powiedział. W jaki sposób narzucił rozmówcy przekonanie, że posiada niezwykłą wiedzę o jego przyszłości. Wiedzę, której nawet najlepszy na świecie szpieg nie uzyska, uprawiając swój zawód.

W Indiach Burton był świadkiem wielu zdarzeń zaprzeczających idei racjonalnego myślenia. Żył w przekonaniu, że ludzie dysponują siłą woli, zdolną rozszerzyć działanie zmysłów ponad ograniczenia wzroku, słuchu, smaku czy dotyku. Teraz zadawał sobie pytanie, czy ma on moc przezwyciężenia ograniczeń czasu? Czy to możliwe, by Skaczący Jack był prawdziwym jasnowidzem? Jeśli tak, to z pewnością za wiele czasu spędzał na rozmyślaniach o przyszłości, bo o teraźniejszości pojęcie miał w najlepszym razie mierne. Zdumiał się na wieść, że debata na temat źródeł Nilu – i wypadek Speke'a – już nastąpiły.

„Jestem historykiem!" – krzyknął. „Wiem, co się stało. To był tysiąc osiemset sześćdziesiąty czwarty rok, nie tysiąc osiemset sześćdziesiąty pierwszy!"

„Stało". Użył czasu przeszłego, choć mówił o roku, od którego dzieliły ich jeszcze trzy lata.

Istniało oczywiste, choć trudne do zaakceptowania, wyjaśnienie sprzeczności w Jackowej percepcji czasu: po prostu nie pochodził on z tego świata. Przecież dwukrotnie znikał na oczach jego, Burtona, a w czterdziestym roku zrobił to samo w obecności Trounce'a. Taką umiejętnością nie jest w stanie popisać się zwykły śmiertelnik.

Więcej. Niespójny, zmienny charakter Jacka, jego równie dziwny wygląd, plątanie czasów, zdolność pojawiania się w tej samej chwili w dwóch różnych miejscach... dosłownie wszystko da się wyjaśnić pod warunkiem przyjęcia założenia, że jest on bytem nadnaturalnym, żyjącym gdzieś w świecie umieszczonym poza granicami normalnego czasu i normalnej przestrzeni. Być może pierwsze wrażenie nie kłamało... czy to możliwe, by był wypuszczonym z butelki dżinnem? Demonem? Złowrogim duchem? *Moko*, kongijskim bogiem wróżbiarstwa?

Królewski agent wyszedł ze stanu kontemplacji z dwoma wnioskami. Przynajmniej na razie należało założyć, że po pierwsze: tajemnicze stworzenie jest jedną osobą, nie dwiema lub więcej, i po drugie, że czas jest pojęciem kluczowym dla zrozumienia Skaczącego Jacka.

Wstał. Rozmasował kark, w którym nieprzyjemnie mu strzykało. Skupienie umysłu na jednej sprawie pomogło mu, jak zwykle, w zapomnieniu o innej i choć spotkanie z Isabel było bolesne, depresja nie unieruchomiła go, jak to się zdarzało w przeszłości. Prawdę mówiąc, czuł się zdumiewająco pozytywnie nastawiony.

Była ósma.

Burton podszedł do okna, wyjrzał na Montagu Place. Po mgle pozostała zaledwie wilgotna zawiesina w powietrzu, gęsto przetykana kręgami światła otaczającymi latarnie i okna. Londyńskie ulice znów pulsowały hałaśliwym życiem, objawiającym się pyrkaniem welocypedów, sapaniem koni parowych, turkotem staroświeckich pojazdów ciągniętych przez prawdziwe konie, hałasem meblowozów, a przede wszystkim wszechobecnym wrzeniem ludzkiej masy. Zazwyczaj, patrząc na taką lub podobną scenę, Burton, wieczny outsider, czuł szarpiącą serce tęsknotę za rozległymi, otwartymi przestrzeniami Arabii, jednak tego wieczora czuł się w Londynie zdumiewająco przytulnie, niemal jak w rodzinie. Nie znał tego uczucia, Anglia zawsze wydawała mu się obca, duszna i represyjna.

„Zmieniam się" – pomyślał. „Nie poznaję samego siebie".

Błysk czerwieni zwrócił na siebie jego uwagę, to Swinburne wysiadał z dorożki. Pojawieniu się poety towarzyszył oczywiście piskliwy wrzask, bowiem zawsze kłócił się on o opłatę za kurs. Swinburne żył w przekonaniu, że w obrębie Londynu jest ona stała i wynosi szylinga. Awanturował się histerycznie, gdy podawano mu inną kwotę, co zdarzało się zawsze. Przy tej okazji, jak przy wielu innych, dorożkarz, zawstydzony przedstawieniem, dał za wygraną i przyjął monetę.

Jego pasażer przebiegł na drugą stronę ulicy swoim charakterystycznym tanecznym krokiem. Zadzwonił do drzwi.

„Wszyscy dzwonią – pomyślał Burton – z wyjątkiem policji. Policja puka".

W chwilę później rozległ się głos pani Angell, piskliwy dyszkant Algernona, kroki na schodach i szybkie stukanie laską do drzwi gabinetu. Podróżnik odwrócił się od okna.

– Wchodź, Algy – zawołał.

Poeta wparował do środka, oznajmiając od progu entuzjastycznie:

– Chwała człowiekowi na wysokościach! Bo człowiek jest panem stworzenia!

– Skąd ta deklaracja?

– Właśnie widziałem jeden z tych nowych statków rotorowych. Jaki wielki! Jakże zbliżyliśmy się do bogów, że za naszą sprawą tony metalu prześlizgują się przez powietrze! Kapelusze z głów! A ty masz nowe siniaki do kolekcji. Kolejna randka z Jackiem? W wieczornych wydaniach widziałem informację, że dziś wczesnym rankiem znów napadł na jakąś dziewczynę.

– Statek rotorowy? Jak wygląda? Jeszcze go nie widziałem.

Swinburne rzucił się na fotel, przerzucił nogę przez oparcie, założył cylinder na główkę laski, zakręcił nim szybko.

– To wielka platforma, Richardzie, płaska, owalna, z mnóstwem wsporników rozciągających się poziomo od krawędzi, z których na końcach wyrastają pionowe wały. Na szczytach tych wałów ogromne skrzydła obracają się tak szybko, że widać tylko kolistą smugę. Pozostawia za sobą ogromne pasmo pary. Znów cię pobił?

– Zapewne leci do Indii – powiedział Burton z niejakim roztargnieniem.

– Tak, tego należy oczekiwać. Ale posłuchaj, na stępce miał wypisany slogan propagandowy!

– Jaki mianowicie?

– „Obywatele! Stowarzyszenie Przyjaciół Sił Powietrznych zaprasza was w swe szeregi! Pomóżcie zbudować więcej statków takich jak ten!"

Burton uniósł brew.

– No, technicy wyraźnie zyskują... w opinii publicznej. I zdaje się, że zamierzają

wykorzystać okazję.

– Cóż to był za widok! – entuzjazmował się gość. – Zdaje się, że mógłby okrążyć ziemię bez lądowania! A teraz opowiedz mi, jak oberwałeś.

– Dziwi mnie twój entuzjazm – powiedział Burton, lekceważąc pytanie. – Myślałem, że wy, libertyni, jesteście przeciw takim maszynom. Wiesz, że użyje się ich do pokonania tak zwanych niecywilizowanych?

– Tak, tak, oczywiście – odpowiedział Swinburne radośnie. – Ale nie sposób nie pozostać pod wrażeniem czegoś do tego stopnia niemożliwego jak statki z metalu. A teraz, stary przyjacielu, odpowiedz na moje przeklęte pytanie: skąd te nowe sińce?

– Och, kilka niewinnych potknięć, nic więcej. Najpierw oberwałem w łeb od wilkołaka, a w parę godzin później Skaczący Jack ściągnął z powietrza mój rotofotel. Miałem kraksę w lesie, zawadzając po drodze o gałęzie.

Swinburne uśmiechnął się.

– Jasne, oczywiście... A tak naprawdę?

– Właśnie usłyszałeś prawdę.

Młody poeta cisnął cylindrem w doprowadzającego go do rozpaczy przyjaciela. Burton złapał kapelusz w powietrzu, odrzucił. Swinburne westchnął ciężko.

– Nie chcesz mi nic wyjaśnić, w porządku, ale przynajmniej powiedz, co mamy w menu na wieczór? Alkoholiczne ekscesy czy może coś innego dla odmiany? Pomyślałem sobie, że ciekawie by było spróbować opium.

Burton zsunął galabiję. Sięgnął po marynarkę, przerzuconą niedbale przez oparcie fotela.

– Od tego lepiej trzymaj się z daleka, Algernonie. Twoja skłonność do autodestrukcji jest wystarczająco groźna i bez opium. Alkohol zabija cię powoli, co do tego nie mam wątpliwości, i nie wątpię, że opium dokonałoby tego samego znacznie szybciej oraz skuteczniej. – Zapiął marynarkę. – Dlaczego chcesz się zabić? Nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie.

– Ba! – Swinburne skoczył na równe nogi, nacisnął cylinder na marchewkowoczerwone włosy. – Nie mam zamiaru popełnić samobójstwa, Richardzie. Ja się tylko nudzę. Strasznie, strasznie nudzę! Znużenie bezsensowną egzystencją przeszywa mnie do szpiku kości. – Zatańczył szaleńczo po pokoju. – Jestem poetą! Potrzebuję stymulacji! Potrzebuję niebezpieczeństwa! Chcę kroczyć cienką linią oddzielającą życie od śmierci, bo tylko tak doświadczę czegoś, o czym warto pisać!

Podróżnik z uwagą przyjrzał się hasającemu po jego gabinecie, małemu, przygarbionemu człowieczkowi.

– Mówisz poważnie? – spytał.

– Oczywiście! Ty też pisujesz poezje. Wiesz, że forma to zaledwie naczynie. Co ja, dwudziestoczterolatek, mogę włożyć do tego naczynia? Wyłącznie żałosny bełkot dziecinnego dyletanta. Wiesz, co napisali o mnie w *Spectatorze*? „Ma pewien talent literacki, ale z całą pewnością innej niż poetycka natury. Nie wierzymy, by jakakolwiek krytyka potrafiła poprawić jakość twórczości pana Swinburne'a". A ja chcę poprawić jakość swej twórczości! Chcę być wielkim poetą albo będę nikim. Lecz by być wielkim, muszę naprawdę żyć, a mężczyzna żyje naprawdę, gdy stale ma przy boku towarzyszkę: śmierć. Opowiadałem ci kiedyś, jak wspiąłem się na klify Culver, na wyspie Wight?

Burton potrząsnął głową. Swinburne zaprzestał swych przedziwnych podskoków. Obaj, gospodarz i gość wyszli z gabinetu. Poeta rozpoczął opowieść na schodach.

– Było Boże Narodzenie tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego roku. Miałem siedemnaście lat, a ojciec odmówił prezentu i nie kupił mi stanowiska oficerskiego w kawalerii. Nie mogłem wziąć udziału w wojnie, więc skąd miałem wiedzieć, czy jestem odważny, czy nie? Bardzo miło śni się o oddziałach straceńców i szarżach kawaleryjskich, ale równie dobrze mogłem przecież okazać się tchórzem. Musiałem się sprawdzić, Richardzie, więc w Boże Narodzenie poszedłem na wschodni cypel wyspy.

Wyszli z domu i natychmiast podnieśli kołnierze. Zrobiło się chłodno.

– Dokąd idziemy? – spytał Swinburne.

– Battersea.

– Battersea? Po co? Jest tam coś ciekawego?

– Dreszczyk.

– To jakaś choroba?

– To pub. Idziemy tędy. Najpierw muszę znaleźć mojego gazeciarza.

– Taki kawał drogi, żeby się napić?

– Na miejscu wszystko ci wyjaśnię. Mów dalej.

– Wiesz, co to takiego klify Culver? Wielkie kredowe zbocze poprzecinane pasmami krzemienia. Bardzo strome. Postanowiłem wspiąć się na nie, żeby sprawdzić, kim właściwie jestem. Przy pierwszej próbie trafiłem na przewieszkę nie do przebycia. Musiałem zejść, poszukać innej drogi. Zacząłem wspinaczkę po raz drugi, zaciskając zęby, przysięgając sobie, że tym razem nie wrócę na dół żywy i cały, jeśli już, to wyląduję u podstawy mojego błogosławionego klifu w kawałkach. Więc lazłem pod górę, a wiatr wiał w szczeliny i dziury w zboczu, wydobywał z nich dźwięki jak hymn grany na organach w kaplicy Eton. Wspiąłem się nieco wyżej... i stado mew wyleciało z jaskini. Latały wokół mnie jak szalone, przez chwilę obawiałem się, że zechcą wydziobać mi oczy. Mimo to nie rezygnowałem, choć wszystkie moje mięśnie skarżyły się donośnie na złe traktowanie. Byłem już prawie na górze i... kredowy stopień pod moimi stopami oberwał się, odpadł, a ja zawisłem na rękach, z palcami wetkniętymi w szczelinę, w której było miejsca akurat tyle, by zmieściły się ich czubki i nic więcej. Zacząłem kołysać się na boki i znalazłem podporę na nogi. Przetoczyłem się przez krawędź tak zmęczony, że omal nie straciłem przytomności. Gdyby nie strach, że mogę się stoczyć i zlecieć na dół, tobym ją stracił.

– I tak udowodniłeś w sposób całkowicie cię satysfakcjonujący, że jesteś odważny? – zapytał Burton.

– Owszem, ale nauczyłem się czegoś jeszcze. Wiem, że mogę dobrze żyć tylko pod grozą pani śmierci, a dobrze pisać, tylko czując, jak w żyłach pulsuje mi prawdziwe życie. Moim śmiertelnym wrogiem jest nuda, Richardzie. Zabije mnie znacznie szybciej i znacznie bardziej obrzydliwie niż alkohol lub opium. Tego jestem więcej niż pewien.

Burton zastanawiał się nad sensem jego słów, nim w kilka minut później na Portman Square nie wpadli na młodego Oscara.

– Śmieszek, nie do wiary!

– Kogo ja widzę, panie kapitanie. Może wieczorne wydanie? – Chłopak uśmiechnął się rozbrajająco.

– Nie, chłopcze... Szukam informacji, której nie znajdę w gazecie. Wartej szylinga lub dwa.

– Parę lat temu, kapitanie, kiedy byłem młody, sądziłem, że najważniejszą rzeczą na świecie są pieniądze. Teraz, kiedy jestem starszy, ja to wiem. Może pan uznać sprawę za

załatwioną. Czego chce się pan dowiedzieć?

– Muszę spotkać się z Żukiem, prezesem Związku Kominiarzy.

Algernon Swinburne spojrzał na przyjaciela zdumiony.

– Och! – krzyknął Oscar. – Niezłe wymagania. On lubi być tajemniczy.

Słowa Burtona zagłuszył hałas przejeżdżającego dyliżansu, ciągniętego przez cztery konie. Podróżnik odczekał, aż zniknie w głębi Wigmore Street, po czym powtórzył:

– Ale potrafisz go znaleźć? To jest możliwe?

– Zapukam do pańskich drzwi jutro rano, kapitanie. Jedna sprawa: jeśli chce pan pogadać z Żukiem, musi pan przynieść mu parę książek. Uwielbia czytać, pod tym względem jest prawdziwym szaleńcem.

– Co lubi czytać?

– Wszystko, kapitanie, choć nad prozę przedkłada poezję i literaturę faktu.

– Doskonale. Dziękuję ci, Śmieszku. Masz tu szylinga dla towarzystwa.

Oscar dotknął ronda cylindra, puścił oczko, odsunął się i krzyknął:

– Wieczorne wydanie! Wojska Konfederacji wkroczyły do stanu Kentucky! Od nas dowiesz się wszystkiego!

– Co za niezwykły dzieciak! – zachwycił się Swinburne.

– Tak, rzeczywiście. Przeznaczony jest do rzeczy wielkich, nasz mały Oscar Wilde.

– Jedno ci powiem, przyjacielu – pisnął poeta swym wysokim dyszkantem. – Nie mam zamiaru dłużej tolerować niewiedzy. Skaczący Jack, wilkołaki, a teraz jeszcze ten Żuk. W jakąż to wspaniałą historię się wplątałeś? Najwyższy czas, żebyś mi wszystko opowiedział, Richardzie. Nie ruszę się stąd ani krokiem, póki nie zaczniesz opowieści.

Burton przyglądał się przyjacielowi przez długą chwilę.

– Dobrze – zdecydował. – Dowiesz się o wszystkim, ale czy mogę ci zaufać? Potrafisz dochować tajemnicy?

– Tak.

– Dajesz słowo?

– Daję słowo.

– W takim razie, gdy tylko wsiądziemy do dorożki, która zawiezie nas do Battersea, wszystko ci wyjaśnię.

Z tymi słowy Burton odwrócił się i w towarzystwie podskakującego przy jego boku Swinburne’a opuścił plac.

– Chwileczkę – oburzył się poeta. – Dlaczego nie łapiemy dorożki od razu?

– Jeszcze chwila. Mam coś do załatwienia.

– Co?

– Zobaczysz.

– Dlaczego zawsze musisz być taki nieznośnie tajemniczy?

Był już wczesny wieczór. Przedzierali się przez gęstniejący tłum matek pchających dziecięce wózki, domokrążców, robotników, grajków ulicznych, żebraków, włóczęgów, prostytutek i złodziei, aż dotarli na Vere Street. Burton zatrzymał się przed wąskim, zapadniętym domem, wciśniętym pomiędzy sklep z towarami żelaznymi a Muzeum Anatomii. Obok pomalowanych jaskrawożółtą farbą drzwi znajdowało się wysokie okno z zasuniętą niebieską zasłoną. Od wewnętrznej strony na jego szybie naklejono kartkę z wypisanymi wielkimi literami, ozdobnym charakterem pisma, słowami:

Zdumiewająca HRABINA SABINA, siódma córka, chiromantka, wieszczka, pozna twą

przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, poda pełne nazwiska, odczyta bezbłędnie sekretne myśli i ukryte pytania, choć nie padnie ani jedno słowo. Połączy rozdzielonych, zneutralizuje złe wpływy, przepowie przyszłość dokładnie i zgodnie z prawdą.
Satysfakcja gwarantowana.
Konsultacje od godziny jedenastej przed południem do drugiej po południu i od szóstej do dziewiątej wieczorem.
Wejdź, proszę, i zaczekaj, aż zostaniesz wezwany.

– Chyba żartujesz! – zdziwił się Swinburne.

– Jestem śmiertelnie poważny.

Burton dowiedział się o hrabinie od Richarda Moncktona Milnesa. I on, i jego starszy przyjaciel od dawna interesowali się okultyzmem. Milnes powiedział mu kiedyś, że w całym Londynie nie ma lepszej od niej chiromantki.

Weszli do środka.

Za żółtymi drzwiami zaczynał się krótki, niezbyt czysty korytarz z podłogą z nagich desek, ścianami z popękanego gipsu, oświetlony zwisającą z poplamionego sufitu samotną lampą naftową. U jego przeciwległego końca odchylili fioletową aksamitną zasłonę. Znaleźli się w małym, kwadratowym pokoju, w którym unosił się zapach zatęchłego kadzidła z drewna sandałowego. Wzdłuż nagich ścian stały drewniane krzesła. Zajęte było tylko jedno. Siedział na nim wysoki, chudy, przedwcześnie łysiejący młody mężczyzna o wodnistych oczach, z popsutymi zębami, które na ich widok wyszczerzył w grymasie mającym udawać uśmiech.

– Jest tam moja żona – oznajmił piskliwie, wskazując drzwi obok zakrytego zasłoną wejścia. – Możecie zaczekać ze mną, aż skończy i wówczas wejdziecie.

Burton i Swinburne usiedli. Dwie lampy gazowe rzucały ruchome cienie na ich twarze. Włosy Swinburne'a wydawały się płonąć.

Młody mężczyzna przyglądał się Burtonowi.

– Na Boga, pan walczył na wojnach! – zadeklamował. – Czyżby zrzucili pana z konia?

– Walczył w burdelu. Zrzucili go po schodach – wtrącił Swinburne jakby od niechcenia.

– Wielkie nieba!

– Wywalili go na zbity pysk. Uznali, że ma zbyt... egzotyczne gusta.

– Erotyczne? – wyjąkał mężczyzna.

– Nie. Egzotyczne. Jestem pewien, że wie pan, o czym mówię. – I Swinburne udał świst przecinającej powietrze laski.

– No... ależ oczywiście... oczywiście...

Burton uśmiechnął się groźnie. Wyglądał jak wcielenie diabła.

– Algy, ty głupcze! – szepnął.

Młody mężczyzna odchrząknął raz, drugi i wreszcie trzeci, nim zdołał wydobyć z gardła głos.

– Ero... to znaczy egzotyczne... Hej! No... nieźle... Hej! Brawo!

– Pan zna *Kamasutrę Vatsyayana*? – spytał uprzejmie Swinburne.

– Ja... no... K...kama...?

– To przewodnik po sztuce uprawiania miłości. Ten dżentelmen właśnie zaczął tłumaczyć ją z języka oryginału, sanskrytu.

– Sztuka upra... uprawiania...

Otwarły się drzwi i do pokoju weszła kobieta, wysoka, nieprawdopodobnie gruba, odziana w najluźniejszą, najobszerniejszą szatę, jaką Burton miał okazję widzieć. Przypominała mu megalitycznych rozmiarów transatlantycki liniowiec Isambarda Kingdoma Brunela, SS „Titan”.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknął chudzielec. – To znaczy chciałem powiedzieć, skończyłaś już, mój mały baranku?

– Tak – powiedziała kobieta dudniącym głosem, kołysząc licznymi podbródkami. – Wracamy do domu, Reginaldzie. Natychmiast! Mamy ważne sprawy do przedyskutowania.

Mężczyzna wstał. Burton mógłby przysiąc, że strzelił obcasami.

– Sprawy, mój baranku?

– Sprawy, Reginaldzie.

Kobieta szarpnęła zasłonę, przecisnęła się do korytarza. Mąż pospieszył za nią, przez ramię rzucając ostatnie spojrzenie na Swinburne’a. Poeta puścił do niego oczko i scenicznym szeptem powiedział: „Kamasutra”.

Zachichotał na widok chudzielca rzucającego się w pościg za żoną.

W drzwiach pojawiła się kolejna kobieta. Trudno było określić jej wiek, mogła być starsza, lecz zachowująca urok młodości lub młoda, lecz bardzo zniszczona; Burton nie potrafił określić, co jest prawdopodobniejsze. Miała kasztanowe włosy przetykane pasmami siwizny, spadające na ramiona wbrew konserwatywnemu stylowi obowiązującej dziś mody, i kanciastą twarz, niegdyś zapewne piękną. Z pewnością piękne były jej wielkie, ciemne, lekko skośne oczy. W odróżnieniu od ust, cienkich, otoczonych głębokimi bruzdami zmarszczek. Ubrana była w czarną suknię i okrywający ramiona szary płaszcz. Nie osłaniała dłoni, ukazując niepomalowane, obgryzione paznokcie.

– Życzycie sobie spojrzeć w przyszłość? – spytała, patrząc to na jednego, to na drugiego gościa.

Burton wstał.

– Ja tak – powiedział. – Mój przyjaciel poczeka.

Kobieta skinęła głową. Cofnęła się i obróciła tak, by mógł przejść do pokoju sąsiadującego z poczekalnią. Okazał się mały, oszczędnie umeblowany, zdominowany długą niebieską zasłoną, tą samą, którą widział z ulicy. Słaba lampka wisiała nisko nad okrągłym stołem. Półki przy ścianach wypełnione były drobiazgami i błyskotkami ezoterycznej natury.

Hrabina Sabina zamknęła drzwi. Podeszła do krzesła. Ona i Burton usiedli twarzą do siebie.

Kobieta dokładnie przyjrzała się gościowi. W źle widocznym wnętrzu, oświetlona bezpośrednio z góry, blizna na lewym policzku podróżnika widoczna była wyraźniej niż zwykle, a jego oczy wyglądały jak puste, ciemne jamy.

– Pańska twarz będzie długo pamiętana – powiedziała.

– Przepraszam, nie zrozumiałem.

– To ja przepraszam. Czasami nie wiem, dlaczego mówię to, co mówię. Ma to związek z moim darem... z moją mocą. Od pana zależy, jak zrozumie pan moje słowa. Poproszę dłoń. Prawą.

Burton wyciągnął prawą rękę wnętrzem dłoni do góry. Kobieta ujęła ją, pochyliła się nad nią nisko, przesunęła palcem po liniach.

– Taka mała – szepnęła ledwie słyszalnie. – I... hmm... taki niepokój. Żadnych korzeni. Wiele pan widział. Naprawdę widział. – Spojrzała podróżnikowi w oczy. – Czy należy pan do Ludzi, sir? Jestem tego pewna.

– Pyta pani o rasę Cyganów? Noszę nazwisko Burton...

– Ach! Jedna z wielkich rodzin. Drugą rękę poproszę, panie Burton.

Wyciągnął w stronę wróżki lewą dłoń. Przyjęła ją, choć nie wypuściła prawej, i podniosła do oczu.

– Co? Jakie to dziwne... – szepnęła jakby do siebie. – To przecież niemożliwe. Dwie różne drogi do przejścia, dwa różne miejsca, do których prowadzą; jedna skromnej chwały, która stanie się wielką na długo po śmierci, druga wielkich zwycięstw, odniesionych w sekrecie i nigdy nieujawnionych. To niemożliwe. Nie można przejść obu tych dróg od początku do końca! Obu! Jak...

Burton poczuł, jak ciało pokrywa mu gęsia skórka. Kobieta mocno uścisnęła obie jego dłonie, zaczęła się kołysać w przód i w tył. Jęknęła cicho. Widział coś takiego wcześniej nieraz w Indiach, w Arabii. Zafascynowany patrzył, jak hrabina Sabina wpada w trans.

– Powiem, kapitanie... – wymamrotała.

Podróżnik drgnął. Skąd znała jego rangę?

– Powiem... powiem... powiem... powiem o czasie, który nie jest czasem. O czasie, który mógł być. Nie! Chwileczkę. Nie rozumiem. O czasie, który powinien być? Powinien? Powinien? Co ja widzę? Co?

Kobieta umilkła, tylko kołysała się w przód i w tył, w przód i w tył.

– Dla ciebie zła droga jest dobrą drogą – powiedziała nagle donośnie. – Kapitanie Burton: zła droga jest dobrą drogą. Na tej drodze dokonasz wyborów, których nie powinno się dokonywać, podejmiesz wyzwania, którym nie powinno się stawiać czoła. Jest fałszywa, a jednak idziesz nią, i to dobrze, że nią idziesz. A co z drugą? Co z drugą? Co z tym, o którym mówiono, lecz się nie objawił? Złamano prawdę dla życia w kłamstwie! Zabij go, kapitanie! – Wieszczka odrzuciła głowę. – Zabij go! – krzyknęła ile sił w płucach. – Zabij go!

Pochyliła się w krześle bezwładnie. W pokoju zapadła cisza. Burton cofnął dłonie. Za jego plecami trzasnęły drzwi.

– Hej, wszystko w porządku? – spytał Swinburne.

– Daj nam chwilę, Algy. Zaraz do ciebie przyjdę.

Poeta chrząknął. Zamknął drzwi.

Burton obszedł stół, ujął hrabinę za ramiona, podciągnął ją, usadził na krześle. Głowa kobiety odchyliła się bezwładnie. Oczy miała wywrócone tak, że widać było tylko białka, tęczówki skryły się w oczodołach.

Królewski agent zaśpiewał cichą pieśń w starożytnym języku, lewą ręką wykonał kilka dziwnych gestów przed jej twarzą. Rytm słów wydawał się przywracać kobietę do przytomności. Znów zaczęła się kołysać, tym razem w rytmie pieśni.

Burton zaprzestał śpiewu.

– Obudź się! – rozkazał.

Kobieta spojrzała przed siebie przytomnie. Złapała go za ramię, ścisnęła je mocno.

– Nie mogę panu pomóc – wybełkotała. Łza spadła z długiej rzęsy na policzek. – Samo pańskie istnienie nie jest takie, jakie powinno być, ale jednocześnie jest dokładnie takie, jakie powinno być. Wsłuchaj się w echa, kapitanie, punkty w rytmie czasu, ponieważ każdy z nich to rozdroże. Czas jest jak muzyka. Ten sam refren powtarza się

wciąż i wciąż, choć być może za każdym razem w innej formie. Co to znaczy? Co ja mówię?

– Hrabino – powiedział królewski agent – powiedziała mi pani to, co sam podejrzewałem. Coś gdzieś jest nie tak, jak powinno być. Wiem, kto zna sekret tej tajemnicy, i mam zamiar go z niego wyciągnąć.

– Chodzący na szczudłach – syknęła kobieta.

– Tak. Wiele pani widzi.

– Proszę strzec się chodzącego na szczudłach, kapitanie. A także pantery i małpy.

– Kim są pantera i małpa?

– Nie potrafię powiedzieć nic więcej. Proszę, niech pan odejdzie. Muszę odpocząć. Jestem bardzo, bardzo zmęczona.

Burton wyprostował się. Wyjął z kieszeni dwie gwinee, położył je na stole.

– Dziękuję, hrabino – powiedział.

– To za wiele, panie kapitanie.

– Pani przepowiednie są dla mnie tyle warte. W Londynie nie ma lepszego chiromanty. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Dziękuję panu, sir.

Kapitan zabrał przyjaciela i obaj opuścili dom wróżki.

– Brzmiało to tak, jakbyś dusił tę kobietę – zauważył Swinburne.

– Upewniam cię, że jej nie dusiłem. Rozejrzyj się, może znajdziesz dorożkę. Jedźmy do Battersea i do tego Dreszczyka. Muszę się napić.

Parę minut później udało się im złapać parowego konia. Przy wtórze regularnego posapywania silnika pojechali na południe, okrążyli Hyde Park i Sloane Street skierowali się ku Chelsea Bridge. Po drodze Burton opowiedział przyjacielowi o swym nowym stanowisku, o Skaczącym Jacku, o teorii, według której miał on być bytem nadnaturalnym, być może *Moko* z rejonu afrykańskiego Konga. Nie ominął też kwestii wilkołaków z East Endu. Przez ten cały czas Swinburne nie spuszczał z niego szeroko otwartych oczu.

Wreszcie przejechali na drugą stronę Tamizy. Mijali kolosalną, jaskrawo oświetloną elektrownię z jej wysokimi, miedzianymi prętami sterczącymi w ciemne niebo, gdy poeta wreszcie znalazł właściwe słowa.

– Zawsze byłeś niepoprawnym gawędziarzem, Richardzie, ale to bije na głowę te twoje *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*.

– Rzeczywiście, nic dziwniejszego nie znajdzie się nawet wśród opowieści Szeherezady – zgodził się z nim podróżnik.

– Więc do Dreszczyka jedziemy po to, żeby pogadać z jego właścicielem?

– Tak, z Josephem Robinsonem, człowiekiem, który zatrudniał mordercę królowej Wiktorii.

– Powiem ci, co lubię w tej twojej nowej robocie, dobrze?

– Co takiego?

– Prowadzi nas od baru do baru!

– Za dużo tych barów. Posłuchaj, Algy... chcę, żebyśmy obaj ograniczyli trochę picie. Przez kilka ostatnich tygodni szliśmy na całość. Pozwoliliśmy, żeby nasze frustracje wzięły górę nad nami samymi. Pora, żebyśmy się jakoś pozbierali.

– Łatwo ci mówić, stary przyjacielu. Masz nową pracę, nuda ci nie grozi. A ja? Tylko pisanie, a ono nie cieszy się szczególnym wzięciem.

Parowa dorożka, posapując, minęła Battersea Fields i zatrzymała się na Dock Leaf Lane. Pasażerowie wysiedli, zapłacili kierowcy, przeszli przez ulicę i wkroczyli do Dreszczyka, małego pubu z muru pruskiego.

Podłoga była tu nierówna, ściany zabawnie krzywe, a drewniane bale zdążyły popękać ze starości. Bar miał dwie sale, obie przytulnie oświetlone, miło ogrzane przez płonące na kominku kłody i wyposażone w kilka stolików, przy których siedzieli klienci. Burton i Swinburne minęli ich, zajęli miejsca przy barze. Bardzo stary, łysy mężczyzna z siwą brodą okalającą twarz dobrotliwego gnoma podszedł do nich, wycierając ręce ściereczką. Jego grubą szyję ściskał wysoki kołnierzyk. Ubrany był w niemodnie długą marynarkę.

– Dobry wieczór, panowie – powiedział skrzypiącym, lecz jowialnym głosem. – Deerstalker? Najlepsze ale na południe od rzeki!

Burton skinął głową.

– Pan jest Joseph Robinson? – spytał.

– Tak, proszę pana, Joseph Robinson to ja. – Barman przystawił kufel do kranu beczki, zaczął go napełniać. – Ktoś coś panu o mnie powiedział, mam rację?

– Wczoraj byłem w Wieprzu w Zagrodzie. Barman mi o panu wspomniał.

– Aha! Co za miejsce! Ho, ho, sporo tam przeżyłem. – Robinson postawił zapocony kufel na barze, spojrzał na Swinburne'a. – Dla ciebie to samo, chłopcze?

Poeta skinął głową.

– Poradzono mi, żebym spytał pana o tę nazwę – powiedział Burton. – Dreszczyk. Zdaje się, że wiąże się z nią ciekawa historia.

Myślał przy tym: „Najpierw najprostsze pytania. Niech zacznie mówić. Dopiero wtedy wspomnij Edwarda Oxforda".

– Och tak, oczywiście, proszę pana. Pan pozwoli, że obsłużę czekających, a potem przyjdę i wszystko panu opowiem.

Postawił piwo przed poetą, przyjrzał się ciekawie małemu, czerwonowłosemu klientowi, po czym przeszedł na drugą stronę sali, gdzie korpulentny gość czekał niecierpliwie, pobrzękując pieniędzmi.

– Planujesz jakąś ekspedycję, Richardzie, czy też nowa rola zagarnęła cię całego? – spytał Swinburne.

– Prawie na pewno to drugie, Algy. Po prostu czuję, że to moje właściwe miejsce. Mam jakiś cel w życiu. Chociaż przyznaję, że nieszczególnie cieszy mnie ta ciasnota Londynu, hałasy i mnóstwo ludzi.

– Może kiedy coś zacznie się dziać, nie będziesz już miał wrażenia, że jesteś jak tygrys zamknięty w klatce. A co na to Isabel?

– Nie ma już Isabel – oznajmił Burton spokojnym, zimnym głosem.

Poeta powoli odstawił kufel. Spojrzał na przyjaciela zdumiony, nie wycierając nawet piany znad górnej wargi.

– Nie ma Isabel? – zdumiał się. – Czy to znaczy, że się rozstaliście?

– Małżeństwo wyjątkowo nie pasuje do roli, którą teraz gram.

– Dobry Boże, gdyby powiedział mi to ktoś inny, za nic bym mu nie uwierzył. Jak to przyjęła?

– Nie za dobrze. Wolałbym nie rozmawiać na ten temat, bo wiesz, Algernonie, jest dla mnie dość bolesny. Świeża rana, można powiedzieć.

– Bardzo mi przykro, Richardzie. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Dobry z ciebie chłop, Algy. No, idzie stary Robinson. Posłuchajmy tej jego historii.

Właściciel rzeczywiście podszedł do nich ciężkim krokiem. Uśmiechał się bezzębnym uśmiechem, prześwitującym zza gęstej, zmierzwionej brody.

– Chodzi o elektrownię, rozumiecie, panowie? – zaczął opowieść, opierając łokcie na barze. – Kiedy Isambard Kingdom Brunel zaproponował jej budowę w trzydziestym siódmym, miejscowi wcale nie poczuli się uszczęśliwieni. Nie, nie, już raczej wręcz przeciwnie. Kto chciałby mieć pod domem takie gigantyczne szkaradzieństwo? A w dodatku wszyscy byliśmy wystraszeni. Zaczęli wiercić te cztery dziury, no i nikt nie wiedział, co będzie dalej. Pchali aż do środka ziemi cholerne wielkie miedziane pręty, żeby... jak to było... przewoziły geograficzne upały... nie... No, jak to się nazywa?

– Przewodziły ciepło geotermiczne – podpowiedział mu Burton.

– Ano właśnie! Pamiętam, jak obiecywali, że oświetlą całe wielkie miasto elektrycznością. Stek bzdur, okazało się. Udało się im oświetlić tylko tę ich cholerną elektrownię. Wracając do sprawy, w tamtych czasach miejscowi strasznie się bali, że skorupa ziemska pęknie i pochłonie wszystko w okolicy. A ja, że miałem wówczas ochotę porozrabiać, natychmiast założyłem Brygadę z Battersea.

– Grupę protestu? – domyślił się Swinburne.

– Tak, chłopcze. Nie byłem wówczas starszy od ciebie, ale już całkiem nieźle sobie radziłem. Przejąłem pub mojego staruszka, Wieprz w Zagrodzie, gdzie pan był wczoraj, proszę pana – zwrócił się do Burtona – a że stał na samej Oxford Street, klientów nie brakowało.

– Nadal mieszkał pan w Battersea, prawda?

– A jakże. Moi rodzice, dziękować Bogu, przeżyli tu całe życie. Staruszek chodził do pracy, piechotą chodził, a tak, tam i z powrotem. Trzy mile w jedną stronę, trzy mile w drugą. Kiedy go to już zmęczyło, zrobił szefem mnie, a ja też spacerowałem sobie do Wieprza w Zagrodzie z rana, a do domu wieczorem. W każdym razie, jak już mówiłem, zwerbowałem paru miejscowych, sformowałem brygadę, no i powiem bez wstydu, że nawet na tym zarobiłem.

– Jakim cudem? – Burton przesunął kufel, który starszy pan natychmiast zaczął napełniać.

– Szybko zrozumiałem, że jeśli mamy wystąpić przeciw tym diabelskim technikom, to przyda nam się dawka odwagi w płynie, że tak powiem. Więc co sobota wiozłem brygadę do siebie trzema, czasami czterema powozami i wszystkim serwowałem darmowego drinka. Ha! Jak wypili darmowego, to zaraz chcieli więcej. I dostawali, tylko że więcej już nie było darmowe. Te nasze spotkania zawsze kończyły się dobrą zabawą. Żebyście wiedzieli! Miałem z tego całkiem niezły dochodzik, a jeszcze lepszy w parę lat później, kiedy brygada piła w jednej sali, a ci hultaje, libertyni, w drugiej.

– Libertyni? – zdziwił się Burton niewinnie.

– Jasne, proszę pana, czemu nie? – Starszy pan napełnił kufel Swinburne’a.

– Poproszę dużą brandy – powiedział poeta. – I proszę nalać coś sobie na mój koszt.

– Dziękuję szanownemu panu. Bardzo pan uprzejmy. Chętnie napiję się whisky. Libertyni... no przecież cała ta sprawa zaczęła się w Wieprzu w Zagrodzie. Mam rację, Ted?

Pytanie to skierowane było do starego mężczyzny, który właśnie wszedł do baru. Stanął obok Swinburne’a, a Burton z wielkim zainteresowaniem przyglądał się jego ogorzałej twarzy, łysinie na czubku głowy, orlemu nosowi i długiej, spiczastej brodzie.

Wyglądał jak Punchinello, a kiedy przemówił okazało się, że brzmi jak on: ostro, zgryźliwie i agresywnie. Zupełnie jakby przemawiał ktoś o wiele młodszy.

– O czym mówiłeś, Bob? Libertyni? Łotry bez krzty moralności! A zwłaszcza ten szubrawiec Beresford.

– Mogę postawić panu drinka, panie...? – spytał Burton.

– Toppletree. Ted Toppletree. Bardzo to miłe z pana strony. Bardzo, bardzo miłe. Deerstalker. Najlepsze ale na południe od rzeki. Proszę się nie przejmować psem.

Ostatnie słowa skierowane były do Swinburne'a, którego za nogawkę spodni szarpał mały basset. Poeta cofnął nogę gwałtownie, a psiak skoczył i wbił zęby w but.

– Hej!

– On się tylko z panem droczy. Może pan go kupi? Lepszego tropiciela ze świecą szukać. Wszystko wywęszy. Wabi się Fidget.

– Nie! – pisnął Swinburne. – Niech go cholera! Nie chce zostawić mnie w spokoju.

– Od razu pana polubił. Siadaj, Fidget. Siad!

Odciągnięty przemocą przez właściciela psiak usiadł wreszcie, ale nie spuszczał tęsknego wzroku z kostek poety.

– Jest pan pewien, że nie chce pan go kupić?

– Nigdy nie byłem niczego taki pewien. – Swinburne pociągnął wielki łyk piwa. – Zaczynam wierzyć, że miał pan rację, wychwalając je. Bardzo dobre! – stwierdził z entuzjazmem, cały czas podejrzliwie obserwując basseta. Piana pokrywała mu już całą górną wargę. – Może nasz mały Fidget uspokoiłby się choć trochę, gdybyśmy postawili mu miseczkę?

Joseph Robinson postawił kufel przed przyjacielem. Toppletree napił się i nagle krzyknął:

– Drań!

Burton i Swinburne spojrzeli na niego jednocześnie, zdziwieni.

– Mówię o Edwardzie Oxfordzie – wyjaśnił starszy pan. – To przez niego. To przez niego Beresford i jego ludzie zaczęli przychodzić do Wieprza...

Swinburne wypił brandy jednym łykiem. Przesunął szklaneczkę w stronę barmana, spojrzał przepraszająco na przyjaciela, wzruszył ramionami.

– Edward Oxford? Chodzi o tego mordercę? – spytał królewski agent, popijający znacznie bardziej umiarkowanie.

– Oczywiście! Ten tu Bob zatrudniał gnoja.

Robinson przysunął kufel do przyjaciela, napełnił szklaneczkę poety.

– To prawda – przyznał. – Oxford rzeczywiście pracował dla mnie w Wieprzu, nim mu odbiło i zamordował kobietę, niech spoczywa w pokoju i gnije w piekle.

– Na święty kapelusz cioci Bessie – pisnął Swinburne. – Pan go znał? Naprawdę znał pan człowieka, który zabił królową Wiktorię?

– Znał! Znał! – wybuchnął Toppletree. – Ta głupia dupa mu płaciła!

– Nie zapłaciłem cholernikowi za to, żeby zabił królową – zaprotestował Robinson.

– Tak jakby zapłaciłeś. Kupił pistolety za twoje pieniądze.

Robinson obruszył się, wypiął pierś, spróbował wciągnąć całkiem pokaźny brzuszek, uniósł zaciśnięte w pięści dłonie.

– Uważaj, co mówisz, Ted. Łobuz uczciwie pracował na swe pieniądze. Co z nimi robił... za to już nie ponoszę odpowiedzialności.

Stary, czy też Punchinello, bo Burton nie potrafił nie myśleć o nim w ten sposób,

uśmiechnął się, a w oczach zapłonęły mu wesołe iskierki.

– Ale się nastroszył! – powiedział wesoło. – Sumienie cię gryzie, Bob?

– Zamknij gębę.

– He, he, he, he....

Robinson nagle wyraźnie się odprężył, nawet zachichotał.

– Ty stary palancie.

– Jesteś łatwym celem.

– Och, lepiej byś się zamknął, staruchu.

– Więc... jaki był ten Oxford? – przerwał im Swinburne i zerknął na basseta, który odpowiedział mu żałosnym spojrzeniem.

„Dobra robota, Algy!" – pomyślał Burton. Ucieszyło go, że przyjaciel tak umiejętnie steruje rozmową we właściwym kierunku. Pamiętał, jak to samo robił Monty przed niespełna dwudziestoma czterema godzinami. Powracające motywy, dokładnie to sugerowała hrabina, jakby czas był muzyką, powtarzającym się refrenem.

„Wsłuchaj się w echa, kapitanie, punkty w rytmie czasu, ponieważ każdy z nich to rozdroże".

– O do diabła, pan to umie pić – powiedział Robinson z podziwem na widok kieliszka i kufla poety, obu pustych.

– A takim razie następną kolejkę proszę, jeśli wolno. Dotyczy to także pana – dodał, mając na myśli barmana.

– Wielkie dzięki. Edward Oxford? Stuknięty facet. Cały czas coś do siebie mówił. Klienci traktowali go jak wioskowego głupka. Śmiali się z niego. Drażnili go. Ale w brygadzie był bardzo popularny, wypytywał o rodzinę, zaprzyjaźniał się z dzieciakami, no i piekielnie dobry był z niego barman. Umiał się szybko ruszać, miał doskonałą głowę do liczb. Nie było przypadku, żeby pomylił się przy wydawaniu reszty. Pilnował, żeby kurki były czyste i żeby piwo płynęło przez nie przez cały czas. Pytam was, panowie: skąd miałem wiedzieć, że jest mordercą?

– Nigdy nie wiadomo, o czym naprawdę myśli człowiek – stwierdził Burton uroczyście.

– Prawda – warknął Punchinello. – Gdybym wiedział, załatwiłbym drania.

Słuchacze wyrazili aprobatę chrząknięciami. Burton nieznacznie sprawdził godzinę. Dwadzieścia minut po północy.

– Więc libertyni chodzili do Wieprza w Zagrodzie, bo tam pracował Oxford? – spytał.

– Dokładnie. – Robinson dolał gościom alkoholu. – I mówię z całą powagą: na początku tylko to, że ubierali się jak dżentelmeni, powstrzymało mnie od wykopania ich z lokalu.

– No i to, ile płacili – prychnął Punchinello.

Swinburne spojrzał na siedzącego przy nim dziadka.

– Pan należał do Brygady z Battersea?

– Należałem. I omal nie pobiłem się z tym sukinsynem Beresfordem.

– Jak to?

– Czytał pan wieczorną gazetę? Co pisali o tym ataku dziś rano? Dziewczynie? Skaczącym Jacku?

Sir Richard Francis Burton poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. Odstawił kufel na bar, nie chciał, by ktoś zobaczył, jak trzęsą mu się ręce.

– Owszem – przytaknął Swinburne. – Dość ogólnikowe to było. Dziewczyna musiała

mieć halucynacje. Skaczący Jack to taki strach na dzieci.

– Nie. Ten diabeł z pewnością jest rzeczywisty. Mam rację, Bob?

Stary barman skinął głową.

– A owszem. Atakował nawet nasze dziewczyny.

– Wasze? – zdziwił się Burton.

– Brygady. Małą Bartholomew Stevensa. I Dave'a Alsopa.

Burton uniósł brwi. Stevens! Alsop!

– To było mniej więcej wtedy, kiedy Dave przeniósł się do małej wioski na północ od miasta, bo dostał tam pracę kowala – wyjaśnił Robinson. – Ale choć to daleko od elektrowni, nadal od czasu do czasu wpadał do Wieprza, żeby napić się ze starymi przyjaciółmi.

– Fajny był z niego facet – mruknął Punchinello.

– Co prawda, to prawda. A ten diabeł wziął się za jego córkę dosłownie na progu ich cholernego domu! To było w trzydziestym ósmym, parę miesięcy po tym, jak dobierał się do dziewczyny Barta Stevensa.

– Jak to właściwie wyglądało? – spytał Burton.

– Miała na imię Mary. Dopadł ją nawet niedaleko stąd, ale zaczęła krzyczeć wniebogłosy, zwróciła na siebie uwagę i diabeł uciekł. No i tak... minęło parę lat, mieliśmy ten zamach, a stary Beresford, Szalony Markiz, zaczął przyprowadzać swoich kumpli do Wieprza. Zaraz się rozeszło, że to on jest Skaczącym Jackiem. Dave i Bart się o tym dowiedzieli i obaj, plus ten tu Ted, gotowi byli sprać go na kwaśne jabłko. Mam rację?

– A tak. Zetrzeć sukinsyna na proszek.

– Ale powstrzymałem narwańców – mówił dalej Robinson. – Jasne, byłem za tym, żeby wybić Jackowi z głowy te pomysły, ale nie chciałem kłopotów, nie w moim pubie, chyba że byłby dobry powód, więc powiedziałem staremu Bartowi, żeby przyprowadził małą Mary. Niech przyjrzy się Beresfordowi, może go rozpozna?

– I nie poznała.

– Nie – potwierdził barman. – Nigdy przedtem go nie widziała. Powiedziała, że w ogóle nie przypomina diabła, który ją zaatakował. Jack miał pociągłą twarz, a Beresford okrąglutką.

– No i nici ze sprawienia lania Szalonemu Markizowi – powiedział Punchinello z żalem.

– A co się stało z Brygadą z Battersea? – spytał królewski agent.

– Ha! – prychnął stary. – Zmieniła się w klub pijaczków. Nigdy nic nie zrobiła. Nie zaprotestowała przeciw elektrowni.

– Gdzieś tak w połowie lat czterdziestych większość naszych rozleciała się po świecie.

– A dokąd to? – zainteresował się Swindburne.

– Niech pomyślę. Alsop, Fraser, Ed Chorley, Carl Goodking, Sid Skinner i Mark Waite wszyscy kopnęli w kalendarz. Bart Stevens przeniósł się do Essex, staruszek Shepherd zabrał rodzinę do Afryki Południowej, Fred Adams wyniósł się z Londynu gdzieś w stronę Chislehurst...

– Chislehurst? – przerwał mu Burton.

– Jakoś tak, owszem. Edmund Cottle jest moim regularnym gościem, jak ten tu Ted. Arnie Lovitt nadal mieszka w pobliżu, jego dziewczyna z mężem wpadają co piątek,

chociaż teraz przez jakiś czas nie będziemy ich widywać. Biedacy... ich córka, Lucy, parę tygodni temu dostała fioła, słyszałem, że mają ją zabrać do Bedlam. Eric Saydso jakoś się jeszcze trzyma, ale długo nie utrzyma, umiera na suchoty. To wszyscy. Było nas czternastu plus przeróżne żony i dzieci.

– A więc brygada się rozpadła – zauważył Burton – i wtedy dał pan sobie spokój z Wieprzem w Zagrodzie?

– Słusznie. Znudziła mnie ta piekielna dziura razem ze wszystkimi tymi ogłupiałymi libertynami, więc sprzedałem Wieprza i kupiłem sobie tę małą jaskinię rozpusty. By odpowiedzieć na pańskie pierwsze pytanie: nazwałem ją Dreszczykiem dlatego, że wszyscy tu w okolicy byli pewni, że elektrownia techników wywoła trzęsienia ziemi i tak dalej.

– Z pewnością świetnie się pan bawił w dawnych dobrych czasach – powiedział królewski agent. – Technicy, libertyni, Edward Oxford, Skaczący Jack...

Punchinello westchnął głęboko.

– Przyciąga wariatów!

Robinson roześmiał się.

– Edwardzie Toppletree, jesteś moim klientem codziennie wieczorem od trzydziestu lat, więc całkiem możliwe, że masz absolutną słuszność. A teraz przepraszam panów, ale klienci czekają. Kiedy będziecie gotowi na następną kolejkę, zawołajcie.

Skinął głową i odszedł.

– Miło się z wami rozmawiało – powiedział Punchinello. – Teraz posiedzę przy kominku, wypalę fajeczkę. Hej, panie, pan naprawdę nie chcesz Fidgeta? Jego nos to pewnie cholerny ósmy cud świata!

– Naprawdę! – przestraszył się Swinburne.

Pożegnali się z nim i odprowadzili wzrokiem starszego mężczyznę, idącego powoli, ciągnącego za sobą basseta.

– I co sądzisz? – spytał cicho Swinburne.

– Sądzę – odparł Burton – że właśnie poznaliśmy kilka bardzo interesujących faktów i że powinienem pogadać z inspektorem Trounce’em. Z samego rana.

*** Rozdział 10 ***

Żuk i pantera

Bądź większy.

Lepiej się czujesz i lepiej wyglądasz.
Pięciospotkaniowa terapia.
3–5 cali w ciągu miesiąca!
Wzrost się liczy!
Zwiększa wpływy!
Nikt cię nie przeoczy!
Nie stosujemy środków medycznych, żadnych lekarstw ani diety.
SŁYNNY SYSTEM COLWYNA NIGDY NIE ZAWODZI!

Colwyn Eugenics Institute,
109 Lincoln Street, Cardiff, W.

Ubrany w tradycyjną białą jedwabną kurtę, koszulę bez rękawów służącą mu normalnie za górę od piżamy, z szafranowej barwy turbanem na głowie, skórą – z natury ciemną – przyciemnioną jeszcze bardziej olejem z orzecha włoskiego, sir Richard Francis Burton szedł szybkim, energicznym krokiem wzdłuż brzegu kanału Limehouse Cut. Dotarł tu przez złej sławy uliczki Limehouse nieniepokojony przez łotrzyków, zamieszkujących ów wielki tygiel narodów. Mieszkańcy dzielnicy trzymali się z boku, wychodząc z ukrycia tylko po to, by ubić ciemny interes lub wykonać brudną robotę.

Nawet bez przebrania Burton wyglądał na barbarzyńcę w stopniu, który pomógłby mu zapewne uniknąć kłopotów, a jednak był wystarczająco ostrożny, by uznać, że będzie bezpieczniejszy jako nie-Anglik. Sikh wydawał się logicznym wyborem. Sikhowie cieszyli się reputacją srogich, zresztą całkiem nieuzasadnioną. Reputacja ta oraz rozdwojona broda i straszne, przykuwające uwagę oczy sprawiały, że gdy się zbliżał, ludzie szybko schodzili z chodnika. Dotarł do brzegu kanału ani razu niezaczepiony przez nikogo.

Kiedy w nocy wrócił wraz ze Swinburne'em z Battersea do domu, spał znacznie głębiej niż zazwyczaj. Obudził się dopiero o dziewiątej, zjadł śledzia z rusztu z grzanką, po czym pojechał do Scotland Yardu pokazać detektywowi inspektorowi Trounce'owi listę członków Brygady z Battersea.

– Na Jowisza! – wykrzyknął zdumiony policjant. – Nie do wiary, że udało się im to pominąć, choć biorąc pod uwagę okoliczności, może nie jest to wcale aż tak wielka niespodzianka? Aż do początku lat czterdziestych Yard nie miał wydziału śledczego, więc fakt, że atak na Alsopównę miał miejsce niedaleko Epping, mógł wprowadzić w błąd. Nikt nie widział powodu, by badać związki między ojcami dziewcząt. Sprawdzę to, kapitanie Burton. Jeszcze dziś pojadę do Battersea. Zajmę się tym osobiście.

Godzinę później, po powrocie na Montagu Place 14, znalazł czekającą już na niego wiadomość od Oscara Wilde'a. Korzystając z sieci uliczników, gazeciarz załatwił mu spotkanie z Żukiem. O trzeciej po południu w miejscu, które wydało mu się, najłagodniej mówiąc, dziwnym.

Był już bardzo blisko.

Oba brzegi Limehouse Cut, ważnej komercyjnej drogi wodnej łączącej dolny bieg Lea River z Tamizą, zaliczały się do najaktywniejszych w mieście terenów fabrycznych. Z kominów biły w niebo chmury czarnego dymu, a na ziemi tysiące robotników, mężczyzn, kobiet i dzieci, harowały w pocie czoła za grosze. Niektórzy mieli skórę żółtą, czerwoną lub niebieską od barwników mających pozostać na niej aż do ich śmierci, ciała innych zniekształciły oparzenia, nieuniknione podczas pracy przy kotłach oraz piecach do wypalania, a wszystkich charakteryzowały twarde, pokryte odciskami dłonie, chude ciała ze sterczącymi przez skórę żebrami i strach przed głodem w oczach.

Burton mijał jeden po drugim wielkie budynki fabryczne, aż dotarł do tego właściwego, w odróżnieniu od swych sąsiadów opuszczonego. Sześciopiętrowy, z popękanymi, powybijanymi szybami w oknach lub w ogóle bez okien, milcząco górował nad zatłoczonym, pulsującym życiem kanałem, pusta skorupa z kominami jak palce bezradnie wyciągnięte do nieba i zamurowanymi wejściami.

Skręcił i przeszedł pod sklepionym łukiem w zaułek prowadzący do Broomfield Street, a następnie ruszył wzdłuż frontu budynku. Wszystkie dojazdy do ramp załadunkowych zostały zablokowane, wszystkie stajnie stały puste. Kolejnym przykrytym łukiem wrócił nad kanał, gdzie znajdowały się wąskie nabrzeża przeładunkowe.

Ludzie go widzieli... i ignorowali. Jak na Limehouse przystało.

Koło jednej z przystani na kanale, w niszy otwartej na biegnące niżej zardzewiałe rury kanalizacyjne, znalazł to, czego szukał: żelazne, wmurowane w ścianę stopnie.

Burton przesunął przewieszoną przez ramię torbę do tyłu, tak by nie zakłócała równowagi.

Rozpoczął wspinaczkę. Sprawdzał każdy ze stopni, nim przeniósł nań ciężar ciała.

Oprócz wiadomości od Śmieszka rano po powrocie ze Scotland Yardu zastał w domu jeszcze jeden liścik. „Zmienisz zdanie" – napisała Isabel. „Jesteśmy sobie przeznaczeni. Wiedziałam o tym, gdy pierwszy raz cię zobaczyłam przed dziesięciu laty. Będę czekała. Tak długo, jak okaże się to konieczne".

Przeczytawszy go, Burton siedział przez dłuższą chwilę, machinalnie gładząc bliznę na policzku. A potem ułożył krótką, rzeczową odpowiedź: „Nie czekaj. Żyj swoim życiem". Zdawał sobie sprawę z tego, że to brutalna odpowiedź, ale rozstanie jest jak amputacja: szybkie, czyste cięcie goi się najlepiej.

Dotarł do końca drabiny. Przetoczył się przez gzyms. Usiadł i czekał, aż oddech mu się uspokoi. Patrzył na płaski dach z dwoma długimi świetlikami o szybach częściowo wybitych, a częściowo pokrytych sadzą i nieprzepuszczających już światła. Między nimi wzniesiono rząd ośmiu wysokich kominów. Interesował go trzeci po wschodniej stronie.

Lawirując wśród śmieci i odpadków, omijając niebezpieczne miejsca, w których dach zdążył się już zapaść, doszedł do bliższego świetlika, obszedł go i po chwili był już przy właściwym kominie. W niego także wmurowane były stopnie, prowadzące aż na sam szczyt. Podróżnik rozpoczął kolejną wspinaczkę, zachwycając się widokiem Londynu, wspanialszym z każdym krokiem w górę. Wiał chłodny wiatr, jego luźne ubranie łopotało raźno, lecz wspinacza grzała kamizelka termalna.

Zatrzymał się, objął stopień ramieniem. Odpoczywał. Był już w połowie drogi; z tego miejsca przez brudną, wiszącą w powietrzu mgiełkę, między kolumnami dymu wznoszącymi się nad miastem jak las, widział majestatyczną kopułę katedry Świętego Pawła. W polu widzenia miał też kilka plamek: rotofoteli i łabędzi, dwóch tak różnych środków transportu, wyprodukowanych przez potężne frakcje kasty techników – inżynierów i eugeników.

Westchnął. Pojawiły się za późno, by mógł je wykorzystać. Gdyby, jak John Speke podczas drugiej ekspedycji, miał do dyspozycji łabędzie, historia współczesna potoczyłaby się zupełnie inaczej.

Kontynuował wspinaczkę, w myśli dziękując losowi, że nie cierpi na lęk wysokości.

W kilka minut później był już na samej górze. Usiadł na kominie okrakiem. Mimo wiatru czuł się dość bezpiecznie z jedną nogą wciśniętą za żelazny szczebel, a drugą przylegającą do wewnętrznej ściany.

Zauważył, że identyczne jak na zewnątrz stopnie prowadzą też w absolutną czerń wnętrza kanału dymowego.

Burton przesunął torbę z pleców na bok, wyjął z niej oprawiony notes i zaczął czytać.

Przez dziesięć minut siedział tak; ostra sylwetka odbijająca się od postrzępionych chmur i widocznych między nimi od czasu do czasu spłachetków czystego nieba, zawieszona trzysta pięćdziesiąt stóp nad ziemią, trzymająca w ręku książkę, z wysokim czołem zmarszczonym w skupieniu, brutalną szczęką, łopoczącym na wietrze strojem.

Z wnętrza komina królewski agent usłyszał jakiś szmer, ciche, tajemnicze skrobanie. Słuchał, ale nie reagował.

Zaszeleściła opadająca sadza. But uderzył w metal.

Kilka chwil ciszy i nagle cichy, syczący głos spytał:

– Co czytasz?

Nie odrywając wzroku od kartek notesu, Burton odpowiedział:

– To mój przekład *Behdristanu*, naśladownictwa *Gulistanu* Sadiego, wielkiego poety perskiego. Napisany jest prozą i wierszem. Mówi o etyce i konieczności zdobywania wiedzy, choć jest w nim także mnóstwo opowiastek z morałem, aforyzmów i zabawnych historyjek.

– Autor oryginału?

– Nur ad-Din Abd ar-Rahman, Światło Wiary, Sługa Miłosiernego. Urodził się, według powszechnego przekonania, w tysiąc czterysta czternastym roku w miasteczku Ja'm niedaleko Herat, stolicy Chorasanu. Przyjął *takhallus* Jami... to rodzaj poetyckiego pseudonimu. Uważa się go za ostatniego wielkiego poetę perskiego.

– Chcę go dostać – powiedział głos.

– Jest twój. Tu mam też inne książki. – Królewski agent poklepał przewieszoną przez ramię torbę.

– Jakie?

– Moje prace: *Goa i Góry Błękitne*, *Scinde albo Nieszczęsna Dolina* i *Opowieść własna o pielgrzymce do El-Medinah i Mekki*.

– Jesteś pisarzem?

– Między innymi, tak.

– Hindus?

– Nie. To tylko przebranie. Nie chciałem, żeby mnie zaczepiano po drodze.

– Limehouse jest niebezpieczne.

– Tak.

Przez chwilę panowała cisza, a potem znów rozległ się grobowy głos:

– Czego chcesz za te książki?

– Proszę, żebyście pozwolili mi sobie pomóc.

– Pomóc? Pomóc w czym?

– Nie tak dawno widziałem, jak stworzenie przypominające wilka porwało na ulicy chłopca. Wiem, że nie jest on pierwszym porwanym, i wiem, że wszyscy porwani byli kominiarzami.

Tym razem cisza zapadła na dłużej.

Burton zamknął notes, schował go do torby, po czym zdjął ją z ramienia i, trzymając za pasek, wsunął w głąb komina. Mała, pokryta plamami ręka, tak blada, że wydawała się niemal niebieska, wysunęła się z czerni kanału dymnego. Odebrała mu torbę. Zachwycone westchnienie odbiło się echem w zamkniętej przestrzeni.

– Książki są twoje – powiedział Burton – niezależnie od tego, czy udzielisz mi jakichś informacji, czy nie.

– Dziękuję. To prawda. Związek Kominiarzy został zaatakowany, a my nie wiemy dlaczego.

– Ilu chłopców porwano?

– Dwudziestu ośmiu.

Królewski agent gwizdnął ze zdumienia.

– Aż tak wielu?

– Większość wróciła... oprócz dziewięciu. Dziesięciu, jeśli wliczyć tego ostatniego, Aubreya Baxtera. Jego porwanie widziałeś.

– Chodzi o tych schwytanych ostatnio?

– Nie, wcale nie. Większość wraca, niektórzy nie wracają.

– A ci pierwsi... co mówią?

– Nic nie pamiętają.

– Naprawdę? Zupełnie nic?

– Nie pamiętają nawet wilków. Ale jest jedna rzecz...

– Jaka? – zainteresował się Burton.

– Ci porwani to, kiedy znów zjawiali się wśród nas, mieli znak na czole, między oczami, jakiś cal nad nasadą nosa.

– Znak?

– Mały siniec otaczający punkcik.

– Jak od zastrzyku?

– Nigdy nie widziałem znaku po zastrzyku, ale wyobrażam sobie, że owszem, tak.

– Mógłbyś załatwić mi spotkanie z którymś z tych chłopców?

– Jesteś z policji.

– Nie.

– Zaczekaj.

Burton czekał. Obserwował przelatującego blisko łabędzia. W koszu latawcowym siedział mężczyzna trzymający w ręku długie lejce.

– Tsss – syknął Żuk.

Podróżnik opuścił wzrok. Z ciemności kanału dymnego wyłaniała się blada dłoń, w małych palcach trzymająca karteczkę. Musiał mocno się pochylić, by jej dosięgnąć.

Wypisane były na niej dwa adresy.

– Większość chłopców mieszka w Kotle – wyszeptał kryjący się przed nim chłopak – a to miejsce zbyt niebezpieczne dla takich jak ty.

„Jakbym nie wiedział" – pomyślał Burton.

– Wynajmuję kilka pensjonatów w bezpieczniejszych miejscach, między innymi te dwa. Zaczekaj do jutra, a ja dopilnuję, żebyś został zapowiedziany. Po prostu powiedz, że przysłał cię Żuk. W pierwszym znajdziesz Billy'ego Tuppera, jednego z tych, którzy wrócili. W drugim mieszkali trzej z tych, którzy nie wrócili.

– Nazwiska?

– Jacob Spratt, Rajish Thakarta i Benny Whymper. Wszystkich porwano, kiedy odwiedzali przyjaciół, kominiarzy z East Endu.

– Dziękuję. Twoje informacje okazały się bardzo użyteczne. Masz dla mnie coś jeszcze?

– Po drugiej stronie jest lista porwanych z datami porwań. Nic więcej nie wiem.

– A więc odejdę, lecz najpierw chcę ci podziękować jeszcze raz. Jeśli dowiem się czegokolwiek, wrócę.

– Wrzuć do komina trzy kamienie. Odpowiem. Przynieś więcej książek.

– Co cię interesuje?

– Filozofia, podróże, sztuka, poezja... wszystko.

– Fascynujesz mnie – powiedział królewski agent. – Nie wyjdziesz z cienia?

Nie doczekał się odpowiedzi.

– Hej, jesteś tam?

Cisza.

Zmuszony do zawieszenia obu spraw, Burton spędził resztę dnia, uzupełniając zaległości w korespondencji i swoich rozmaitych projektach pisarskich. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu znalazł w *Empire* artykuł Henry'ego Mortona Stanleya. Autor, przedstawiając stan debaty w sprawie źródeł Nilu, obiektywnie przedstawił obie spierające się strony. Teoria Burtona, według której wielka rzeka wypływała z niezbadanej jeszcze, północnej części jeziora Tanganika, była, jego zdaniem, co najmniej warta zbadania. Teorię Johna Speke'a, jakoby jej źródłem była Nyanza, autor uważał za bardziej prawdopodobną, lecz również wymagającą potwierdzenia w kolejnych ekspedycjach. A jeśli chodzi o postacie podróżników, to chorobę Burtona uniemożliwiającą mu okrążenie Tanganiki, Stanley przedstawił jako niezasłużone

nieszczęście, zaś Speke'a oskarżył o brak umiejętności i doświadczenia w prowadzeniu obserwacji geograficznych, skutkujący poważnymi błędami. Ostro skrytykował go także za przemianowanie Nyanzy. Napisał, że w Afryce Środkowej nie ma miejsca na Jezioro Alberta.

„Zdumiewająca zmiana poglądów" – pomyślał Burton. Stanleya uważał za nieprzejednanego wroga, za kogoś, kto przy każdej okazji podsycał niezrozumiałą niechęć Speke'a do jego osoby.

Cholerny jankes! Co też mu chodzi po głowie?

Odpowiedź na to pytanie królewski agent otrzymał, gdy w kilka minut później otworzył list od sir Rodericka Murchisona. Długi, kilkustronicowy, poruszał wiele spraw, choć przede wszystkim dotyczył finansowego bałaganu, jaki Burton zostawił po sobie przed dwoma laty, opuszczając Zanzibar. Odmówił wówczas wypłaty pełnego wynagrodzenia większości tragarzy, którzy wraz z nim i Spekiem wdarli się na siedemset mil w głąb nieznanego terytorium, a potem przez kolejne siedemset mil wracali z nimi do domu. Jego zdaniem nie dotrzymali oni umowy, buntowali się, opuszczali karawanę dużymi grupami, przez co zasłużyli na finansową karę.

Na nieszczęście brytyjski konsul Zanzibaru, Christopher Rigby, należał do wrogów Burtona. Znali się jeszcze z Indii, gdzie Rigby raz za razem przegrywał z nim na egzaminach językowych, a teraz mścił się, mącił, wykorzystywał zajmowane stanowisko, nie dając umrzeć naturalną śmiercią aferze ciągnącej się już dwa długie lata.

W każdym razie nie była to żadna nowość. Co naprawdę zwróciło uwagę Burtona, to krótki akapit, w którym sir Roderick informował, że Henry Morton Stanley otrzymał zezwolenie swego wydawcy na zorganizowanie własnej ekspedycji, której celem miało być rozstrzygnięcie kwestii źródeł Nilu raz na zawsze.

„W związku z tym – pisał Murchison – udostępniłem mu owoce twych wysiłków. Jestem przekonany, że będą nieocenioną pomocą dla tego nowego przedsięwzięcia. Możesz być spokojny, mój drogi Burtonie, że zajmujesz w historii miejsce nienaruszalne i wszystkim wiadome będzie, że osiągnięcia wyprawy Stanleya, jakiekolwiek będą, nie byłyby możliwe bez twych pionierskich prac, które z całą pewnością wytyczyły drogę wszystkim idącym w twe ślady".

I znów sir Richard Burton odczuł owo przedziwne rozdwojenie. Wiedział, że informacja ta doprowadziłaby go niegdyś do furii, lecz w tej chwili nie czuł nic. Odkrycia geograficzne wydawały się należeć do innej wersji jego samego. Jakby bliźniaka.

Przez kilka kolejnych godzin spisywał notatki ze sprawy, przygotowywał kopię akt pożyczonych od Trounce'a i opracował system katalogowania, umożliwiający utrzymanie w nich porządku.

O dziesiątej wieczorem pod jego domem pojawił się detektyw.

– Trafiłeś pan w dziesiątkę, przyjacielu – oznajmił, opadając na fotel i przyjmując z rąk gospodarza szklaneczkę whisky. – Urządziłem sobie dobry, stary pieszy obchód Battersea. Mam odciski... ale jedno powiem: warto było.

Burton siedział, popijając porto. Słuchał z uwagą.

– Z członków brygady na pańskiej liście siedmiu miało córki, resztę można na razie pominąć. Omówię tych siedmiu po kolei. Pierwszy z nich, Martin Shepherd, żyje, ma sześćdziesiąt jeden lat, jest żonaty z Luisą Buckle. Doczekali się dwóch synów i córki imieniem Jennifer, urodzonej w tysiąc osiemset dwudziestym drugim roku. W tysiąc osiemset trzydziestym ósmym, kiedy miała szesnaście lat, przechodziła przez Battersea

Fields i została napadnięta przez kogoś, kogo opisała jako skaczącego demona. Nie doznała krzywdy, choć przeżyła szok, a rodzina nie zawiadomiła policji. W tysiąc osiemset czterdziestym drugim roku wyszła za mąż za niejakiego Thomasa Shoemakera, z którym ma córkę imieniem Sarah. A tak przy okazji, Sarah właśnie skończyła szesnaście lat. Wkrótce po jej urodzeniu cała rodzina wyemigrowała do Południowej Afryki. Czy mogę zapalić fajkę?

– Oczywiście. Więc sądzisz, inspektorze, że skaczącym demonem był nasz Skaczący Jack?

– Wydaje się to oczywiste, prawda? Szkoda, że nie mogę przesłuchać Jennifer Shoemaker, choć nie uważam tego bynajmniej za konieczne. Prawdopodobnie zgodzi się pan ze mną po wysłuchaniu tego, co jeszcze mam do powiedzenia. Kolej na drugiego członka brygady, pana Bartholomew Stevensa.

– Ojca Mary Stevens.

– Racja. – Trounce pracowicie upychał tytoń w starej, poplamionej fajce z morskiej pianki.

– W tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym roku Bartholomew ożenił się z Elizabeth Pringle. Mary urodziła się po roku. Jak pan już wie, Jack zaatakował ją w trzydziestym siódmym, kiedy miała piętnaście lat. Pięć lat później wyszła za mąż za niejakiego Alberta Fairweathera. Rodzina przeniosła się do Essex i tam mieszka obecnie. Mają czwórkę dzieci, trzech chłopców i dziewczynkę, siedemnastoletnią Connie.

Numer trzeci, Carl Goodkind, zmarł pięć lat temu. Wdowa, Emily, żyje. Mieli jedno dziecko, córkę, Deborah, która w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku została zamknięta w Bedlam. Zwariowała nagle, bez żadnego wyraźnego powodu... w każdym razie nie potrafiłem skłonić pani Goodkind, by podała mi jakiś powód. Deborah zmarła tam przed dwunastu laty.

– Znowu Skaczący Jack? – zastanowił się Burton.

– Widział pan akta, kapitanie. Wie pan, że mamy przypadki, kiedy jego ofiary traciły zmysły, więc tak, podejrzewam, że panna Goodkind należy do ich grona. Nie powinniśmy się dziwić, że o tej sprawie nie wiedział nikt, nawet członkowie brygady. Wie pan, że choroba umysłowa uważana była za coś żenującego, wstydliwego.

Podróżnik skinął głową.

– Czwórka to Edwin Fraser, urodzony w tysiąc siedemset osiemdziesiątym, zmarł na początku bieżącego roku w godnym szacunku wieku osiemdziesięciu jeden lat. Poślubił May Wells. W tysiąc osiemset dwudziestym trzecim roku urodziła się im córka, Lizzie Fraser. Wszystko wskazuje na to, że była dzieckiem szczęśliwym i inteligentnym, aż w czternastym roku życia, po załamaniu nerwowym, stała się ponura i skryta. Mimo to znalazła męża, Desmonda Steephilla. W tysiąc osiemset czterdziestym siódmym roku urodziła mu córkę, Marian. Za kilka miesięcy Marian skończyłaby czternaście lat.

– Skończyłaby?

Trounce pyknął z fajki, wydmuchnął w powietrze chmurę niebieskiego dymu.

– W zeszłym miesiącu – powiedział cicho – Lizzie otruła się, przedtem podawszy truciznę mężowi i córce.

– O Boże!

– Raport koronera mówi o siniakach na ramionach dziewczynki, jakby ktoś mocno zacisnął na nich dłonie, a także zadrapaniach na piersiach. Powstałych wcześniej, z pewnością nie w dniu śmierci.

Poprzez zasłonę tytoniowego dymu Trounce patrzył wprost na gospodarza, a jego niebieskie oczy płonęły jak podświetlone od wewnątrz.

– Sądzę – rzekł – że Lizzie Fraser to ta Lizzie, o którą Jack pytał w trzydziestym ósmym, kiedy spowodował katastrofę powozu. Więcej: sądzę, że znalazł ją i napadł na nią, powodując u ofiary załamanie nerwowe. I że w zeszłym miesiącu napadł na jej córkę Marian, i że Lizzie, w szalonej próbie uniknięcia z nim kontaktu, otruła siebie wraz z całą swą rodziną.

– Wielkie nieba, człowieku – nie wytrzymał Burton. – Sugerujesz, że łotr wziął na cel kobiety członków Brygady z Battersea?

– Tak, kapitanie, dokładnie to sugeruję. Nim uzna pan, że nie mam racji, proszę wysłuchać mnie do końca. Piątym z naszej siódemki jest pięćdziesięciodziewięcioletni pan Frederick Adams, który w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku poślubił Virginię Jones. Spotkał pan ich córkę.

– Nie przypominam sobie...

– Tilly Adams, urodzona w tysiąc osiemset dwudziestym drugim roku, w tysiąc osiemset czterdziestym piątym poślubiła niejakiego Tew, a w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym wydała na świat córkę imieniem Angela.

– No niech mnie...

Policjant skinął głową.

– Właśnie! Pogrzebałem trochę w przeszłości pani Tew. Większą część tysiąc osiemset trzydziestego dziewiątego roku spędziła przykuta do łóżka. Nikt nie wie dlaczego.

– Więc miałem rację, zwracając uwagę na dziwne spojrzenie, którym pożegnała nas, kiedy wychodziliśmy z jej domu. Skryte i jakieś takie pełne urazy – powiedział Burton z zastanowieniem.

– Niewątpliwie. Zgodnie z pana podejrzeniami ta kobieta coś przed nami ukryła. Nie wątpię teraz, że wie, kto zaatakował jej córkę. Przed przeszło dwudziestu laty sama była ofiarą jego ataku. Mogę prosić o dolewkę?

– Oczywiście. – Królewski agent sięgnął po butelkę, napełnił szklaneczkę policjanta po brzegi. – A numer szósty?

– Pan David Alsop. Nie żyje. Poślubił Jemmę Bucklestone. Ich córką jest Jane Alsop. Zaatakowana w wieku osiemnastu lat, w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku. W tysiąc osiemset czterdziestym trzecim wyszła za Bentona Pipkissa. Alicja Pipkiss urodziła się trzy lata później. Podobnie jak Connie Fairweather należy do grupy wiekowej, z której Skaczący Jack wybierał ofiary, nie została jednak przez niego zaatakowana.

– Na razie – zauważył Burton.

– Na razie – przytaknął Trounce. – Mamy już dwa przypuszczalne cele. Siódmego członka Brygady możemy odliczyć. Arnold Lovitt ożenił się z June Dibble. Mają córkę, Sarah. Nie poinformowali wówczas policji, ale w rozmowie ze mną Sarah przyznała, że w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym roku była seksualnie napastowana. Wedle jej opisu sprawca do złudzenia przypominał naszego szczudlarza. Parę lat później wyszła za Donalda Harknessa. Mają trójkę dzieci, w tym dziewczynkę, Lucy. Trzy tygodnie temu Lucy zapadła w śpiączkę, z której się nie obudziła. Lekarz rodziny nazwał to „atakiem histerii wywołanym przez poważny uraz psychiczny”. Założę się, że uraz ten wywołał dobrze pan wie kto.

Burton chrząknął.

– A więc jest tak: jeśli członek Brygady z Battersea ma córkę, Skaczący Jack ją atakuje. Ostatnio zaatakowane też zostały wszystkie wnuczki z wyjątkiem Connie Fairweather i Alicji Pipkiss.

– Tak. I to prowadzi nas do pytania: w co on, do cholery gra?

Burton wstał, zaczął chodzić po gabinecie.

– Postawił pan konstabli przed domami tych dziewcząt?

– Nie spuszczamy ich z oka w dzień i w nocy – odparł Trounce. – Ale rodzina Fairweatherów niedługo u nas zabawi, przygotowuje się właśnie do emigracji do Australii. Być może w ten sposób zapewnią dziewczynie bezpieczeństwo?

– Wydaje się, że na naszą zagadkę składają się dwa elementy – powiedział Burton z przekonaniem. – Pierwszym jest morderca królowej Wiktorii, drugim: potomstwo w linii żeńskiej grupy mężczyzn, przez pewien czas odwiedzających regularnie pub, w którym pracował. Być może za jej trzeci element powinniśmy uznać świętej pamięci markiza Waterford?

– Jest jeszcze jeden – zauważył policjant.

– Naprawdę? Jaki?

– Pan.

Tej nocy znów śnił o Isabel.

Pochylała się nad ogniem. W pomarańczowym świetle jej twarz wyglądała wręcz diabolicznie.

W ręku trzymała oprawiony notes, tom jego dzienników, szczegółowy opis jednego z wielu rozdziałów niezwykłego życia.

Skrzywiona w piekielnej furii, rzuciła go w płomienie, a Burton poczuł, jak topi się i niknie fragment jego ja.

Isabel chwyciła kolejny tom, rzuciła go żywiołowi na pożarcie, syknęła z satysfakcją, widząc, jak kolejna część podróżnika zmienia się w popiół.

Paliła jego dzienniki. Jeden po drugim.

Sir Richard Francis Burton przestawał istnieć, pozostawiał po sobie pustą skorupę dokonań pozbawionych autora.

– Przestań! – krzyknął w rozpaczy.

Uniosła głowę, przeszyła go złym spojrzeniem, uniosła grubą, ciężką księgę.

– Nie! – krzyknął. – Proszę! – Wiedział, że to jego *opus magnum*.

– Wszystko, czym jesteś – powiedziała Isabel, jakby wydawała ostateczny wyrok – musi zostać napisane od nowa.

Rzuciła księgę w ogień.

Burton obudził się, wytarł spocone czoło.

– Niech to diabli – zaklął. Odrzucił kołdrę, owinął się galabiją. Wstał, rozsunął zasłony. Na dworze nadal panowała ciemność.

Ochlapał twarz wodą z miednicy.

Opuścił sypialnię, zszedł po schodach, pchnął drzwi do gabinetu i przestąpił próg. W kominku słabo żarzył się węgiel. Wyżej, na półce nad kominkiem, płonęła samotna świeca.

Była szósta rano, za wcześnie na panią Angell, poza tym pani Angell przenigdy nie zapaliłaby świecy. Podsyciłaby ogień w kominku, rozsunęła zasłony, zeszła do kuchni i czekała, aż lokator poprosi ją o filiżankę kawy.

Burton zamknął drzwi. Nasłuchiwał chwilę, a potem spokojnie wyjął rapier z pochwy wiszącej nad kominkiem. Zrzucił galabiję na krzesło. Odwrócił się twarzą do środka pokoju. Stał w piżamie, z ostrzem broni skierowanym w podłogę.

– Pokaż się – powiedział cicho.

Z cieni po lewej, zalegających między regałem na książki a zasłoniętym oknem, wyszedł mężczyzna.

Był albinosem. Skórę i opadające na ramiona włosy miał zaskakująco białe, oczy zaś różowe z kocimi, pionowymi źrenicami. Średniego wzrostu, średniej budowy, nosił czarne ubranie. W lewej ręce trzymał cylinder, w prawej zaś laskę ze srebrną gałką. Jego spiczaste paznokcie także były czarne. Najbardziej w nim niezwykła była jednak jego twarz i nienaturalnie wypchnięte ku przodowi szczęki, nadające jej wyraz pyska mięsożercy.

Był to bez wątpienia człowiek, który porwał Johna Speke’a ze szpitala i zahipnotyzował siostrę Raghavendrę.

– Czekałem na pana, sir Richardzie – powiedział głosem miękkim, kuszącym i odpychającym zarazem.

– Jak długo?

– Godzinę, może trochę więcej, może mniej. Proszę się nie obawiać, znalazłem sobie odpowiednie zajęcie. Czytałem pańskie notatki.

– Prywatność to pojęcie trudne do zrozumienia, prawda?

– Cóż mógłbym zyskać na respektowaniu pańskiej prywatności?

– Opinię dżentelmena? – podpowiedział mu Burton z ironią.

Albinos wydał z siebie dźwięk mogący oznaczać śmiech, choć bardziej przypominający warkot. Burton uniósł rapier.

– Czy porucznik Speke żyje? – spytał.

– Tak.

– Dlaczego go pan porwał?

– Być może lepiej byłoby dla pana, gdyby nie zadawał pan takich pytań. Było ich ostatnio zbyt wiele, choć pańskie śledztwo sprowadza się w swej istocie do długiej, męczącej wędrówki od pubu do pubu.

– Ludzie spotykają się w pubach. Puby są naturalnym źródłem informacji. Byłem obserwowany?

– Oczywiście. Od chwili, gdy przerwał pan moją hipnotyczną władzę nad pielęgniarką.

– Widziałem pańskie oczy w jej oczach.

– A ja widziałem przez nie pana.

– Słyszałem, że takie rzeczy są możliwe, choć nigdy nie widziałem, jak się to robi, nawet w Indiach. A przy okazji, może pan już przestać tak się we mnie wpatrywać. Sam jestem nie najgorszym hipnotyzerem, nie poddam się pańskim magnetycznym wpływom.

Intruz wzruszył ramionami. Wyszedł na środek pokoju; jego oczy zapłonęły groźną czerwienią, odbijając światło świecy. Odłożył cylinder na stół.

– Nie poznaje mnie pan – powiedział. – Nie jestem zaskoczony. Wiem, że się zmieniłem.

– Więc proszę mi powiedzieć, kim pan jest i czego chce, nim wyniesie się pan w diabły z mojego domu.

Jednym błyskawicznym ruchem albinos wyciągnął z laski broń, dotknął jej ostrzem ostrza rapiera podróżnika, odłożył pochwę na stół.

– Laurence Oliphant, z całą pewnością nie do pańskich usług.

Burton cofnął się zaskoczony, aż uderzył łopatkami w półkę nad kominkiem.

– Dobry Boże! Coś pan z sobą zrobił?

Oliphant postąpił krok w przód, tak by nadal naciskać ostrzem swojej broni na ostrze broni przeciwnika.

– Prawdziwi libertyni mogą atakować techników – wyjaśnił – lecz z kolei hulacy uważają dzieła eugeników za zgodne ze swymi ideami. Czy można lepiej przekroczyć ludzkie ograniczenia, niż najdosłowniej stać się kimś więcej niż człowiekiem?

– Obracał się pan w kiepskim towarzystwie – zauważył Burton.

Oliphant zignorował kpinę. Uderzył swoją klingą o rapier przeciwnika – raz, dwa, trzy razy.

– A odpowiadając na wcześniejsze pytanie – wymruczał ciepło – chcę, by przestał pan wtykać nos w sprawy, które nie dotyczą pana w najmniejszym nawet stopniu. Mówię to całkiem poważnie, sir Richardzie. Zmuszony zastosuję siłę. Chce mnie pan sprawdzić?

Królewski agent mocno trzymał broń. Nie ustępował.

– Uważają mnie za jednego z najlepszych szermierzy w Europie, Oliphant – ostrzegł.

Błyskawiczny ruch nie do zauważenia zajął chwilę tak krótką, że wręcz wydał się złudzeniem, jakby nic nie zdążyło się stać, ale Burton poczuł ciepło na policzku. Przyłożył do niego palce, a kiedy je odjął i spojrzał na nie, zobaczył krew.

– A ja jestem najszybszy – westchnął Oliphant. – Proszę się nie obawiać, w interesie pańskiej próżności otworzyłem starą ranę, nie zadałem nowej.

– Niezwykle pan troskliwy – odparł królewski agent głosem zimnym jak lód. Zrobił krok do przodu, pchnął, kierując ostrze w ramię przeciwnika. Pchnięcie sparowane zostało wręcz nonszalancko, a w następnej chwili rapier, szarpnięty wirującym ruchem rapiera albinosa, wyfrunął mu z dłoni, spadł na stół, odbił się od niego i wylądował na półce jednego z regałów.

Oliphant, dotykając czubkiem rapiera policzka tuż pod lewym okiem Burtona, zerknął za siebie.

– Och, mój przyjacielu – powiedział głosem słodkim jak miód – co za nieszczęście. Zdaje się, że przebiłeś na wskroś *Historię ekspedycji badającej rzekę Zair* Jamesa Tuckeya. – Odstąpił o krok, opuszczając ostrze. – Wybierz sobie inną broń.

Burton, który jeszcze nigdy nie dał się rozbroić w walce, sięgnął za siebie, przesunął dłonią po przewodzie kominowym, namacał drugi rapier, zdjął go wraz z pochwą, wysunął z niej, po czym powoli uniósł klingę, aż dotknęła ostrza przeciwnika. Albinos uśmiechnął się, ukazując równe, spiczaste zęby.

– Jest pan pewien, że chce kontynuować? – spytał. – Nie ma przecież takiej potrzeby. Proszę obiecać, że nie będzie śledztwa, a wyjdę, nie sprawiając kłopotów.

– Jestem odmiennego zdania – sprzeciwił się gospodarz.

– Proszę odłożyć broń, sir Richardzie. Dlaczego nie miałby pan znaleźć sobie miejsca w życiu? Może ożeni się pan ze swą dziewczyną, postara o rządową posadę, będzie pisał książki?

„*Bismillah*!” – pomyślał królewski agent. „Przecież on cytuje Skaczącego Jacka!

Niemal dosłownie!”

– Owszem, to jest jakieś wyjście – przyznał głośno. – Proponuję inne: powiedz mi pan dokładnie, o co chodzi. Zaczniemy od przyczyn porwania Johna Speke’a czy też może cofniemy się w czasie i porozmawiamy o tym, dlaczego po wyprawie w poszukiwaniu źródeł Nilu nastawił go pan przeciwko mnie? Albo inaczej: pogadajmy o wilkołakach towarzyszących ci w szpitalu? – Podjął ryzyko. – Mam jeszcze lepszy pomysł: pogawędźmy sobie o Skaczącym Jacku!

Mięsień w kąciku różowego oka zadrgał delikatnie i Burton wiedział, że jego cios trafił w cel. Nie pracował nad dwiema sprawami, lecz nad jedną!

Oliphant niemal leniwie pchnął, bez wysiłku odpychając ostrze rapiera, celując w serce. Królewski agent odparował pchnięcie, przesunął się lekko w lewo, zamarkował cios w gardło – była to finta – po czym opuścił ostrze, sięgając nim w punkt tuż pod obojczykiem albinosa. To uderzenie też zostało sparowane, przeciwnik znów omal go nie rozbroił, ale tym razem szybka riposta okazała się skuteczna, bowiem Oliphant, nie czując oporu z kierunku, z którego się go spodziewał, podniósł rapier wyżej, niż zamierzał. Sztych podróżnika prześlizgnął się pod nim, przebił rękaw aksamitnego surduta i trafił w kiść. Ten atak, *manchette*, podróżnik wymyślił sam, w Bolonii, gdzie ćwiczył pod nadzorem słynnego *monsieur* Constantina.

Laurence Oliphant odskoczył. Zacisnął dłoń na nadgarstku, wyszczerzył zęby. Burton okrążył Oliphanta, minął sekretarzyk, minął okna, minął swoje główne biurko i regał z książkami, zatrzymał się, blokując drzwi. Kocie oczy obserwowały każdy jego ruch.

Grzbietem dłoni otarł krew z twarzy.

– *En garde* – warknął, przyjmując pozycję.

Oliphant syknął jadowicie. Był gotów do walki.

Pojedynek toczył się w nieustannym, błyskawicznym ruchu. Dwa ostrza wirowały wokół siebie, zderzały się, atakowały, parowały, napełniając pokój przenikliwym trzaskiem metalu uderzającego o metal. Mimo rany przeciwnik Burtona był szybki jak nikt przed nim, ale też miał jedną słabość: jego oczy zdradzały każdy ruch przedwcześnie. Tylko dzięki temu królewski agent był w stanie parować powtarzające się z błyskawiczną szybkością ataki. Znalezienie luki w obronie było jednak sprawą zupełnie inną. W miarę jak mijał czas, a oni walczyli, przemieszczając się po całym pokoju, szybko okazało się, że przynajmniej dla Richarda Burtona jest to kwestia przede wszystkim wytrzymałości.

– Poddaj się – wydyszał Oliphant.

– Gdzie jest Speke? – Burton wypluł te słowa. – Domagam się odpowiedzi.

– Jedyną moją odpowiedzią jest... to!

Trzymane przez albinosa ostrze zawirowało z tak straszną szybkością, że stało się niemal niewidoczne. Burton zdał się na instynkt. Wiele lat treningów i długa praktyka w sztuce szermierki broniły go przed śmiercią, choć musiał rozpaczliwie parować i tańczył, unikając ostrza przeciwnika. Niemniej musiał cofać się krok za krokiem, aż plecami oparł się o regał i nie miał już pola manewru. Co gorsza, męczył się, a wyraz różowych oczu Oliphanta dowodził, że doskonale zdaje on sobie z tego sprawę.

Zmylił go fintą, uniknął kontrataku, pchnął...

Twarz albinosa przecięła rysa, ostrze rapiera cofnęło się w rozbryzgu krwi.

– Wet za wet – warknął królewski agent, a widząc Oliphanta momentalnie zdekoncentrowanego, spróbował kolejnego ze swych wynalazków, *une-deux*. Zastosowany wobec zwykłego przeciwnika natychmiast wyrywał mu broń z ręki, a mógł

nawet złamać ją w nadgarstku.

Laurence Oliphant nie był zwykłym przeciwnikiem.

Wrzasnął z dzikiego gniewu, sparował atak Burtona i sam zaatakował podwójnie gwałtownie. Śmiercionośne ostrze jego rapiera było wszędzie. Oparty plecami o regał królewski agent, czując, jak płoną mu mięśnie ramienia, wiedział, że niedługo już będzie w stanie się bronić. Na jego przedramionach pojawiły się rozcięcia, piżamę miał w strzępach, a na szyi płytką ranę kłutą. Oddychał ciężko, zaczynało mu się kręcić w głowie. Lewa ręka, wyciągnięta nieco w bok i w dół dla utrzymania równowagi, trącała coś raz za razem. Zawadzało mu to w walce, ostrze coraz częściej rozcinało ciało.

W jednej chwili dostrzegł w oczach przeciwnika błysk świadczący o tym, że najbliższy sztych będzie ostatni, i chwycił w dłoń to, co tak bardzo mu przeszkadzało. Szarpnął. Z ostrza pierwszego użytego w tej walce rapiera ześlizgnęła się książka Tuckeya, przeleciała w powietrzu i uderzyła Laurence'a Oliphanta wprost w nasadę nosa.

Albinos cofnął się, potknął, a ostrze jednego z trzymanych przez Burtona rapierów, mknące w dół, minęło się z ostrzem drugiego, lecącego w górę. Tym razem *une-deux* odniosło oczekiwany skutek. Broń wyfrunęła z dłoni Oliphanta i z brzękiem wylądowała pod jednym z okien. Burton natychmiast rzucił rapiery, skoczył i wymierzył przeciwnikowi straszliwy lewy hak w ucho. Z przekrzywioną na bok głową Oliphant runął na ziemię, przewracając stolik i roztrzaskując krzesło ciężarem bezwładnego ciała. Zdołał jednak przetoczyć się, przyklęknąć, uchylić się przed drugim uderzeniem, skoczyć i pazurami podrzeć nie tylko piżamę podróżnika, lecz także ciało pod nią.

Burton chwycił go za ramię, zamierzając zastosować *jambuvanthee*, chwyt z hinduskich zapasów, ale nadepnął bosą nogą na ostry odłamek drewna. Stopa zwinęła mu się w kostce. Zatoczył się, tracąc równowagę.

Kopnięcie w biodro rzuciło go na regał z donośnym głuchym hukiem i taką siłą, że aż posypały się książki. Ześlizgnął się za nimi na podłogę, chwycił odłupaną nogę krzesła. Wstał chwiejnie w samą porę, by zobaczyć, jak Oliphant chwyta laskę, chowa w nią rapier i wyskakuje przez zamknięte okno. Rozległ się głośny trzask, a zaraz po nim brzęk spadających na chodnik odłamków szkła.

Burton dobiegł do okna, spojrzał w dół. Zwykły człowiek nie miał prawa przeżyć bez szwanku upadku z takiej wysokości, a jednak Oliphant, okrwawiony, z gołą głową, już biegł Montagu Place na zachód. Minął jej rozkopany poprzedniego wieczora kraniec i znikł za rogiem.

Ociekający krwią gospodarz w doszczętnie podartej piżamie otworzył sekretarzyk, nalał brandy do dużego kieliszka, wypił ją jednym haustem. Następnie podszedł do fotela, opadł nań z ciężkim westchnieniem i nagle zerwał się na równe nogi. Dopiero teraz zadał sobie pytanie: jak albinos dostał się do domu?

Kilka minut później znał już odpowiedź. Wejście dla dostawców pod frontowymi drzwiami było otwarte, a w korytarzu w nocnej koszuli stała pani Angell, wpatrując się w ścianę nieruchomym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

– Proszę iść za mną, pani Angell – powiedział cicho, łagodnie. Poprowadził ją do saloniku. Posadził ją tam wygodnie i zaczął śpiewać cichą pieśń w obcym języku. Tym samym, który doprowadził do przytomności hrabinę Sabinę.

Wiedział, że musi być bardzo dokładny. W tym wypadku wyprowadzenie z hipnozy nie wystarczyło, musiał sięgnąć w głąb umysłu swej gospodyni, usunąć wszystkie, choćby najdrobniejsze, sugestie umieszczone w nim przez arcyhipnotyzera. Niedobrze by było,

gdyby dla niego szpiegowała, a jeszcze gorzej, gdyby zatruła przygotowywane dla lokatora jedzenie.

„Piekło i szatani” – pomyślał. „W co ja się wplątałem”.

*** Rozdział 11 ***

Zakłady

Palmerston jest sam przeciw niewoli
Palmerston jest sam za pracą dzieci
Praca dzieci to niewola
Won z roboty, hipokryci!
Dla nas dobry Disraeli

graffiti

Tego samego ranka, nieco później, po umówieniu szklarza do wstawienia wybitej szyby, sir Richard Francis Burton odwiedził Algernona Swinburne'a w jego wynajętym mieszkaniu na Grafton Way przy Fitzroy Square.

– No nie! – Na jego widok poeta zaniósł się skrzeczącym śmiechem. – Ilekroć się spotykamy, jesteś coraz bardziej pobity. Co się stało tym razem? Tygrys uciekł z klatki?

– Już raczej biała pantera – mruknął królewski agent, przyglądając się ciemnym sińcom pod oczami przyjaciela. Najwyraźniej Swinburne pił dalej po tym, jak wyszli z Dreszczyka, i teraz ponosił tego konsekwencje.

Poeta tymczasem badał wzrokiem twarz i ręce odkrywcy, cięcia i kłucia.

– Muszą ci rozkosznie dokuczać – zauważył.

– Nie jest to słowo, którego ja bym użył – odparł Burton z nutką kpiny w głosie. – Odwiedził mnie Oliphant. Kiedy go ostatnio widziałeś?

– Laurence Oliphant! Hmm... jakieś półtora roku temu?

– Opisz mi go.

– Średnia budowa, łysina na czubku głowy, nad uszami kręcone brązowe włosy, gęsta broda, rysy raczej kocie, oczy o zniewalającym spojrzeniu.

– Cera?

– Blada. Koloru oczu nie pamiętam. Dlaczego pytasz?

– Bo człowiek, z którym spotkałem się dziś rano i który się za niego podawał, był albinosem z różowymi oczami, gładko ogolony i miał gęste włosy. Włóż płaszcz i kapelusz, Algy, mamy coś do zrobienia.

– Więc to jednak nie był Oliphant. Gdzie idziemy?

– A jednak mam wrażenie, że to był on. Powiedział, że pracowali nad nim eugenicy, a wiesz, jak potrafią zmienić człowieka, tylko spójrz na Palmerstona! Powiedziałeś, że Oliphant miał białą panterę. Podejrzewam, że jest teraz bliższy ulubionemu zwierzątku niż kiedykolwiek wcześniej.

Poeta zasznurował buty, zarzucił płaszcz na ramiona i włożył melonik.

Wyszli. Zatrzymali parowego konia. Podczas gdy jechali na południe, Burton przekazał przyjacielowi wszystkie najnowsze wieści. Opowiedział mu o spotkaniu z Żukiem i z detektywem inspektorem Trounce'em, a potem wyjaśnił:

– Jedziemy do Elephant and Castle porozmawiać z jednym z chłopców, którego porwały *loups-garous*, ale wrócił. Wydaje się niczego nie pamiętać. Podejrzewam, że albinos poddał go hipnozie. Może uda mi się przerwać jej działanie, jak w przypadku siostry Raghavendry. Potem rzucimy okiem na pokoje należące do chłopców, którzy nie wrócili.

– Aha! Zamierzasz szukać śladów, jak ten detektyw Edgara Allana Poe, Auguste Dupin?

– Owszem, coś w tym rodzaju.

Na Waterloo Bridge ich pojazd popsuł się, więc złapali drugi, dorożkę konną. Przebyli w niej kawałek drogi przez rzekę, minęli stację kolejową, przejechali London Road i dalej New Kent Road, po czym wjechali w splątane uliczki Elephant and Castle.

Wysiedli na rogu William de Montmorency Close. Burton zapłacił i uciszył Swinburne'a, który już zaczął protestować.

– Nie ma różnicy, szyling czy nie szyling – powiedział. – Popatrz tylko, co się tam dzieje!

Swinburne przesunął wzrokiem za jego spojrzeniem. Nieco dalej na ulicy spory tłum zgromadził się przed jednym z szeregowych domków z czerwonej cegły.

– To ten nasz? – spytał.

– Obawiam się, że tak – przytaknął Burton.

Podeszli bliżej, wypatrzyli policyjny hełm między kapeluszami, czepkami i czapkami. Burton przepchnął się bliżej jednego z konstabli, poklepał go po ramieniu.

– O co chodzi? – spytał.

Policjant przyjrzał się z powątpiewaniem mężczyźnie w stroju dżentelmena, ale wyglądającemu na boksera po ciężkiej walce.

– Kim pan jest, proszę pana? – spytał niepewnie.

– Nazywam się sir Richard Burton. A to moje dokumenty.

Głos z tłumu krzyknął:

– No niech mnie! Wreszcie jakiś sir. Wreszcie do czegoś dochodzimy! Aresztuje pan łobuza za to, co zrobił dzieciakowi, prawda, wasza lordowska mość? Chcemy zobaczyć jak łotr zatańczy, tak, wszyscy chcemy!

Tłum potwierdził entuzjastycznymi okrzykami.

– Zatańczy? – szepnął Swinburne.

– Zawiśnie – przetłumaczył Burton.

– Sir, ale ja nie wiem, co to za dokument – zwrócił się do Burtona wyraźnie niepewny siebie konstabl.

– Kto jest pańskim zwierzchnikiem? – zniecierpliwił się podróżnik. – Może by tak pokazać go jemu?

Policjant jeszcze raz zerknął na wręczony mu dokument. Skinął głową.

– Jedną chwileczkę, sir – powiedział i znikł we wnętrzu domu.

– Zamordowali go – powiedział mężczyzna z tłumu. – A nie miał nawet dziesięciu lat.

– Był z niego taki mały aniołek – rozczuliła się jakaś kobieta.

– Właśnie – zgodziła się z nią inna. – Potulny jak baranek.

– Tak zabijać dzieciaka...

– To nie po angielsku!

– Mogę się założyć o każde pieniądze, że to robota jakiegoś przeklętego cudzoziemca!

Na progu domu pojawił się konstabl. Gestem zaprosił Burtona do wejścia. Królewski agent przepchnął się przez tłum, ciągnąc za sobą przyjaciela. Weszli do domu.

– Na górze, sir – powiedział policjant, zwracając dokument.

Weszli na piętro. Były tu trzy sypialnie. Martwe dziecko leżało w jednej z nich.

Na ich powitanie, wyciągając rękę, wyszedł niewysoki mężczyzna, delikatnie zbudowany, a jednak sprawiający wrażenie silnego i zręcznego. Miał brązowe, ekstrawagancko szerokie wąsy, nawoskowane i podkręcone na końcach, potraktowane lakierem włosy uczesane z przedziałkiem pośrodku. Nosił też monokl.

– Thomas Manfred Honesty[1] – przedstawił się. – Detektyw inspektor.

[1] honesty (ang.) – uczciwość (przyp tłum.).

– Krzepiące u policjanta... takie nazwisko – zauważył Swinburne.

Burton przywitał się z inspektorem. „A więc tak wygląda były dręczyciel Trounce'a?" – pomyślał, a głośno powiedział:

– Jestem kapitan Burton, działam w imieniu Jego Królewskiej Mości. Mój asystent nazywa się Algernon Swinburne.

Honesty spojrzał na Swinburne'a podejrzliwie. W odpowiedzi poeta zatrzepotał rzęsami.

– Hm, tak... a więc chłopiec... – Inspektor zająknął się, wskazał leżącą na brzuchu postać. – William Tupper. Nie znamy jego wieku, oceniamy go na około dziesięć lat. Kominiarczyk. Nieprzyjemna sprawa. Pożałowania godne.

Burton podszedł do ciała. Przykucnął. Ofiara była bardzo drobna, nawet jeśli wzięło się pod uwagę tak młody wiek. Jej szyję zalała krew wypływająca z rany, małej dziurki u nasady szczęki, tuż przy szyi.

– Sztylet – podpowiedział Honesty. – Pchnięcie w górę. Ostrze dotarło do mózgu.

– Nie – zaprotestował Burton. – Laska z ukrytym w niej ostrzem, taka, jaką może nosić dżentelmen. Ostrze sztyletu jest w przekroju trójkątne, okrągłe, kwadratowe lub ma kształt diamentu, w każdym razie krawędzie nie są ostrzone. Ostrze rapiera, a je najczęściej spotyka się w laskach, ma w przekroju albo kształt diamentu z rowkowaniem lub bez, albo spłaszczonego sześciokąta; w każdym razie krawędzie zawsze są ostrzone. Jeśli bliżej przyjrzy się pan ranie, inspektorze, z pewnością dostrzeże pan, że ostrze było w przekroju sześciokątne i nie tylko kłuło, ale i przecinało ciało.

Honesty przyklęknął, pochylił się nad ciałem, poprawił monokl. Przyglądał się makabrycznej ranie w gardle, niemal dotykając jej nosem. Zagwizdał cicho.

– Zgoda. Rapier. Ale laska z ukrytym ostrzem? Dlaczego?

– Potrafi pan sobie wyobrazić, że dziś, w naszych czasach, policja nie zatrzyma idącego ulicą uzbrojonego mężczyzny? Ja nie. Broń musi być ukryta.

– Pierwsza runda dla pana... Przepraszam, sir, nie chciałem niczego sugerować... A to?

Wskazał palcem na czoło chłopca: niewielkie zasinienie między oczami, w którego

środku widać było maleńką dziurkę.

– Nie wiem – przyznał królewski agent – ale podejrzewam, że mamy tu ślad po strzykawce.

– Strzykawce? Zastrzyk?

– Lub pobranie.

Inspektor wstał. Podrapał się po brodzie.

– Najpierw strzykawka? Potem rapier?

– Nie, inspektorze, ślad po strzykawce wydaje się mieć kilka dni. Proszę spojrzeć, siniec już zaczął blednąć.

– Hmm... a więc brak związku. Mimo to dziwne. Bardzo dziwne. A motyw?

– Przybyłem tu porozmawiać z chłopcem. Sądzę, że zabito go, by nie mógł mówić. W tej chwili, obawiam się, nie mogę powiedzieć panu nic więcej, ale pracuję w duecie z pańskim kolegą, detektywem inspektorem Trounce'em, i jemu składam raporty. Zawsze może pan porozmawiać z kolegą o tym nikczemnym morderstwie.

Honesty pociągnął nosem.

– Wiejący Trounce, co? Dobry człowiek. Z wyobraźnią. Może nawet ma jej zbyt wiele? Nie może pan powiedzieć mi więcej?

– Najpierw muszę zebrać więcej faktów, zrekonstruować z nich całą historię. Dopiero wtedy będę mógł przedstawić raport.

– Chcę mieć w tym udział. To mi się nie podoba. Morderstwa dzieci są złe.

– Gdy tylko pojawi się okazja, dopilnuję, by miał pan udział w ujęciu sprawców, detektywie Honesty.

– Dobrze. Chodźmy na dół. Mam dla pana jeszcze coś.

– Na dole?

– W kuchni – wyjaśnił Honesty. – Pan i pani Payne. Właściciele. Wynajmują pokoje. Jakim cudem chłopca było na to stać?

– Płacił za niego Związek Kominiarzy – wyjaśnił Burton. – Organizacja godna podziwu.

Obaj ze Swinburne'em, prowadzeni przez policjanta, zeszli po schodach. Poeta rozejrzał się na pożegnanie, chłonął atmosferę sceny zbrodni, nasycał się promieniującymi z niej nagimi, surowymi emocjami.

Na parterze przeszli korytarzem do małej, wąskiej kuchni, przesyconej zapachem gotowanej kapusty i smalcu.

– Proszę zostawić nas samych, konstablu Krishnamurthy – zwrócił się Honesty do pilnującego jej policjanta.

– Tak jest! – odparł służbiście policjant, odwrócił się i wyszedł, odsłaniając postacie pana i pani Payne.

Oboje zamarli w pół ruchu: stara kobieta nalewając herbatę, która przelała się z filiżanki, zalała stół i kapała na podłogę, mężczyzna w pół kroku, z kanapką podniesioną do ust. Oboje patrzyli w stronę drzwi otwierających się na maleńki ogródek. Burton przyglądał się im przez chwilę, przede wszystkim patrzył im w oczy.

– Unieruchomiło ich oddziaływanie psychiczne – powiedział.

– Rozumiem. – Honesty skinął głową. – Umysłowa dominacja?

– Tak. Potrafię ich z tego wyprowadzić.

Przez kilka następnych minut zdumiony inspektor wpatrywał się w królewskiego agenta, nucącego dziwne, obce słowa i wykonującego nienaturalne gesty przed

unieruchomionymi starymi ludźmi. Oboje wracali do rzeczywistości powoli, nieprzytomnie mrugając oczami. Wreszcie mogli przejść do saloniku, gdzie ciężko opadli na fotele. Pamiętali, że ktoś zastukał do tylnych drzwi, że stanął w nich mężczyzna o białej skórze, białych włosach i różowych oczach... a potem już nic. Dowiedziawszy się od Honesty'ego, że ich najmłodszy lokator zginął, zareagowali typowo: kobieta dostała ataku histerii, a mężczyzna zaczął kląć jak szewc.

Burton wraz ze Swinburne'em wyszli z domu. Przebili się przez tłum, nie odpowiadając na wykrzykiwane pod ich adresem pytania, i oddalili się szybko.

– Powinieneś to przewidzieć, Richardzie – przerwał milczenie poeta jakże dla niego nietypowym poważnym, wręcz ponurym głosem. – Oliphant przeczytał twoje notatki.

– Wiem. I wiem, jaki ze mnie tępy dureń – przeklął samego siebie królewski agent. – Nawet mi do głowy nie przyszło, że sukinsyn przyleci tu zabić dzieciaka. Jak, do diabła, mogłem przeoczyć tę możliwość? Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Nie bądź idiotą. Przeoczyłeś ją, bo dzieciobójstwo to coś niewyobrażalnego – zaprotestował poeta. – Nikt normalny nie rozważałby takiej opcji. Wiesz, Richardzie, mówiąc, że powinieneś to przewidzieć, nie zamierzałem robić ci wyrzutów za to, że o czymś takim nie pomyślałeś, a tylko zasugerować, że ta twoja nowa rola wymaga zupełnie innego podejścia. Musisz dostroić tę swoją niezwykłą inteligencję do sposobu myślenia ludzi tak zboczonych jak ów morderca.

– Masz rację, Algy, ale też muszę przyznać, że zwątpiłem w samego siebie. Najpierw Monty Penniforth, teraz Billy Tupper... Ilu jeszcze niewinnych ludzi straci życie, bo czegoś zaniedbałem?

Poeta podskoczył nagle i zapiszczał:

– Lejesz gorzkie łzy, Richardzie, ale przecież nie ty porżnąłeś kierowcę i nie ty pchnąłeś dziecko rapierem. Inni to zrobili, a ty masz powstrzymać ich, by w przyszłości nie dochodziło do takich potworności.

– Jasne, oczywiście! Daj spokój! Chodź, sprawdzimy pokoje innych porwanych chłopców. Może uda się nam dowiedzieć, dlaczego nie wrócili tak jak Tupper.

Od drugiego domu, którego adres dał podróżnikowi Żuk, dzieliło ich niespełna pół mili. Tainted2 Row, mimo nazwy, była ulicą szanowaną, zabudowaną ładnymi niegdyś domami w stylu georgiańskim, dziś podzielonymi na mieszkania i pokoje do wynajęcia. Dom, do którego zmierzali, był dwupiętrowy i stał na samym rogu ulicy. Właściciel, Ebenezer Smike, wynajmował Związkowi Kominiarzy wszystkie pokoje.

2 tainted (ang.) – zepsuty, skażony, zdemoralizowany (przyp. red.).

Smike wyglądał na wiecznie strapionego. Cerę miał ziemistą i oczy niejednakowej wielkości, co w połączeniu z zapadniętymi policzkami oraz asymetryczną szczęką nadawało jego twarzy szczególny wyraz nieszczerości, podkreślony jeszcze sposobem, w jaki patrzył na gości: kątem oka, z lekko odwróconą na bok głową. Ubrany był w długi, przetarty szlafrok w obrzydliwie żółtozielonym kolorze, pod którym nosił bladożółtą koszulę i spodnie w biało-czarną szachownicę, a na stopach miał stare pantofle w szkocką kratę.

– Związek nadal płaci za pokoje – powiedział, prowadząc podróżnika i jego przyjaciela na piętro – chociaż stoją puste. Ja tam niczego nie dotykałem. Proszę, to tu.

Otworzył drzwi małego pokoju wyposażonego w łóżko, stolik, krzesło i miednicę z wodą. Burton wszedł do środka, rozejrzał się dookoła. Zbadał złożone w szafie ubrania: koszulę, kamizelkę, parę spodni, miękkie buty do tańca, obejrzał leżące na stole: grzebień,

ołowianego żołnierzyka oraz torbę cukierków. Przez krawędź miski przerzucona była umazana sadzą flanelowa ścierka, na łóżku leżała wygnieciona książeczka za pensa: *Robin Hood's Peril*.

– Tu mieszkał Benny Whymper – objaśnił Smike.

Pojawili się dwaj mali chłopcy, stanęli za nim, z zainteresowaniem przyglądali się podróżnikowi i poecie. Swinburne uśmiechnął się do nich.

– Wy też czyścicie kominy? – spytał.

– Tak, proszę pana – odpowiedział jeden z nich.

Następny pokój, należący wcześniej do Jacoba Spratta, wyglądał niemal identycznie. Spod łóżka wyglądały czubki kapci, o ścianę za umywalką oparte było lustro, na stole leżał notes z dziecinnymi rysunkami przedstawiającymi głównie lokomotywy.

Swinburne przyjrzał się sobie w lustrze i jęknął.

– Pozowałem prerafaeliton, ale dziś nie chcieliby mnie chyba namalować. Wyglądam strasznie.

W trzecim, ostatnim pokoju mieszkał Rajish Thakarta. Było w nim mnóstwo małych żołnierzyków, które chłopiec wyrzeźbił z drewna, zdradzając przy tym duży talent. Scyzoryk leżał na stole, obok zaczytanej książki napisanej sanskrytem. Burton rozpoznał *Bhagavat Gitę*. Ubrań było tu więcej niż u innych chłopców, a wśród nich znajdowała się także mała *sherwani*, długa, przypominająca płaszcz szata, popularna w południowej Azji. Chłopiec najwyraźniej nie odrywał się od korzeni, choć był sierotą i mieszkał daleko od domu.

Wyszli na korytarz. Burton zatrzymał się nagle. Wydawał się zamyślony. Zerknął na przyjaciela i na dwóch małych kominiarczyków, kryjących się za Ebenezerem Smikiem. Następnie po raz drugi odwiedził wszystkie trzy pokoje. Tym razem interesowało go wyłącznie obuwie.

Nagle przykucnął, uśmiechnął się do chłopców. Swinburne nie mógł nie uśmiechnąć się także; surowe zazwyczaj rysy jego przyjaciela nagle dziwnie złagodniały.

– Mam dwa szylingi, koledzy – powiedział. – Chcecie zarobić? Powiedzmy, po szylingu każdy?

– Jasne – ucieszyli się malcy i entuzjastycznie przepchnęli się przed Smike'a.

– Co mamy zrobić, proszę pana? – spytał jeden z nich.

– Jak ci na imię, synu?

– Charlie, proszę pana, a on jest Ned.

– No cóż, Charlie i Nedzie, nie przemęczycie się. Macie mi tylko odpowiedzieć na pytania.

– Tak, proszę pana?

– Czy wasi koledzy, mieszkający w tych pokojach, byli wysocy?

– Tak, jasne! – krzyknęli chórem, a młodszy z nich, Ned, dodał: – Prawdziwe wielkoludy.

Burton poważnie skinął głową.

– Więc byli starsi od was, co?

– Nie, nie, wcale nie, proszę pana. Tylko tacy duzi.

– Świetnie! – dodał im odwagi Burton. – A teraz kolejne pytanie. Jeśli zastanowicie się poważnie, nim mi na nie odpowiecie, i będziecie mówić samą szczerą prawdę, każdy dostanie jeszcze po sześć pensów.

– O rany! – westchnął Charlie.

– Po pierwsze: znaliście tych, którzy ostatnio znikli?

– Tak, proszę pana.

– Wiem, że większość z nich wróciła. Moje pytanie będzie dotyczyć tych, którzy nie wrócili.

– To będą Jacob, Raj, Benny... i Paul Kelly... i Ed Trip, Mickey Smith, Lofty Sanderson, Grubas Chris Williams, Ben Prentiss też...

– I Aubrey Baxter – dodał Ned. – Porwali go parę dni temu.

– Oni wszyscy... też byli wysocy? – spytał królewski agent.

– No przecież! Jasne! – krzyknął podekscytowany Charlie. – Prawie najwyżsi kominiarze w związku, nie mam racji, Ned?

– Z wyjątkiem Aubreya, on był jak my, jasne. Tyczki chmielowe, bez wyjątku – potwierdził Ned.

– Dziękuję, chłopcy. Zasłużyliście na zapłatę.

Burton wrzucił monety w wyciągnięte niecierpliwie małe dłonie. Wstał. Spojrzał na Ebenezera Smike'a. Mali kominiarze prysnęli, jakby bali się, że może zmienić zdanie i zażądać zwrotu ich wynagrodzenia.

– Dziękuję, panie Smike – powiedział do gospodarza. – Nie będziemy zabierać panu więcej czasu.

– Widzieliście panowie wszystko, co chcieliście obejrzeć?

– Tak. Tak sądzę. Zostawimy pana teraz w spokoju.

Smike odprowadził ich do frontowych drzwi, a gdy żegnali się na progu, spytał jeszcze:

– Młodziaki, proszę pana... czy oni wrócą?

– Na to pytanie nie znam niestety odpowiedzi – przyznał królewski agent.

Obaj ze Swinburne'em poszli w stronę Kent Street, zamierzając złapać tam dorożkę.

– Interesujące – mruknął pod nosem Burton. – Wysocy chłopcy nie wracają. Ciekawe, co też to może oznaczać.

– Ale... słuchaj! – krzyknął poeta. – Co, do diabła, naprowadziło cię na ten szczególny trop?

– Ty, wyobraź sobie! Kiedy przeglądałeś się w lustrze w pokoju Jacoba Spratta, uświadomiłem sobie, że oparto je o ścianę pod kątem odpowiednim akurat dla kogoś twojego wzrostu, a więc znacznie wyższego od małych Neda i Charliego. Sprawdziłem potem buty i kapcie we wszystkich pokojach. Zorientowałem się, że jak na dzieci, są raczej duże.

– Auguste Dupin! – krzyknął piskliwie Swinburne, podskakując wokół starszego przyjaciela niczym tańczący derwisz.

– Zamknij się, głupi – zachichotał podróżnik.

Swinburne, choć nietypowo dla siebie niegadatliwy, bynajmniej się nie uspokoił. Szedł coraz dziwaczniejszym krokiem, aż wreszcie praktycznie wyłącznie podskakiwał, cały czas to wykręcał sobie dłonie, to wymachiwał rękami i drżał, jakby lada chwila miał dostać jakiegoś ataku. Wracali do domu parową dorożką i po drodze poeta nie wytrzymał.

– Przecież to oczywiste, Richardzie! – wybuchnął.

– Co jest dla ciebie oczywiste? – zdziwił się Burton.

– Muszę wcielić się w kominiarczyka.

– O co ci, do diabła, chodzi?

– Musisz znowu spotkać się z Żukiem, załatwić mi przyjęcie do związku. Popracuję w

Kotle, będę się wystawiał na ryzyko, aż zostanę porwany.

– Nie bądź śmieszny, idioto! – warknął Burton. – Mam na sumieniu parę trupów, niepotrzebny mi jeszcze i twój.

– Nie masz wyboru. Nie chcesz mi pomóc, w porządku, ale i tak to zrobię.

Oczy Burtona zapłonęły groźnie.

– Niech cię diabli, pętaku, przecież to samobójstwo!

– Nie, Richardzie. To jedyny sposób, by dowiedzieć się, skąd wychodzą wilkołaki i gdzie zabierają chłopców. Popatrz na mnie! Jestem tego samego wzrostu co Jacob, Rajish, Benny i inni zaginieni. Pospaceruję sobie ulicami po zmroku, dam się porwać i jakoś, każdy sposób dobry, wyślę ci wiadomość.

– Zabraniam, Algernonie! Surowo ci zabraniam! Z tego, co wiemy, ci chłopcy mogą równie dobrze nie żyć! I jak, do diabła, masz zamiar wysłać tę wiadomość?

– Wezmę ze sobą papugę!

– Nie da rady. Gdzie znajdziesz papugę, która zgodzi się siedzieć ci potulnie w kieszeni i ani razu nie zaklnie na cały głos? Każda ściągnie na siebie uwagę i skończysz z poderżniętym gardłem, jeśli nie przez *loups-garous*, to przez jakiegoś bandziora z East Endu.

– No więc nie wiem, Richardzie, ale... znajdę jakiś sposób. To nasza jedyna szansa na rozwikłanie sprawy.

– Nasza jedyna szansa? Co masz na myśli, mówiąc „nasza”? Od kiedy to jesteś moim asystentem?

– Od tej właśnie chwili. Nie łudź się, nie skłonisz mnie do zmiany zdania. Mój plan przyniesie nam sukces i ty dobrze o tym wiesz.

– Nic takiego nie wiem.

Kłócili się tak, póki nie dojechali do miejsca zamieszkania Swinburne’a. Burton miał wystarczająco wiele czasu, by dojść do wniosku, że nic, co mógłby powiedzieć lub zrobić, nie odwiedzie małego poety od zrealizowania szalonego planu. Kusiło go, żeby po prostu zahipnotyzować przyjaciela, ale był on człowiekiem nieprzewidywalnym, nie sposób było choćby domyślić się, co może zrobić w stanie hipnozy, być może nawet coś znacznie groźniejszego niż przytomny? Niechętnie, lecz jednak zgodził się porozmawiać z Żukiem jeszcze tego samego dnia.

Poza tym w jego głowie już rodził się pewien pomysł, wymagający kolejnej wizyty w Battersea.

Po powrocie do domu sir Richard Francis Burton stwierdził, że roboty drogowe prowadzone są niemal dokładnie pod jego oknem. Dwaj robotnicy pracowali znacznie wydajniej niż ich często widywani koledzy. Kopali głęboki, wąski rów, po czym go za sobą zakopywali.

– Szybcy są, nie, kapitanie? – pytanie to zadał mu pan Grub, sprzedawca kasztanów.

– Rzeczywiście szybcy, panie Grub – zgodził się z nim Burton. – Wziął pan sobie wolny dzień?

– Nie z własnej woli. Jakiś idiota stracił panowanie nad pensem z ćwiartką. Przewrócił moje palenisko, no i mocno się pogięło. Musiałem je wysłać do szwagra,

kowala, już on je wyklepie i doprowadzi do porządku. Ryzykowne są te cholerne nowe wynalazki, nie sądzi pan?

– Sądzę, a jakże. Oczywiście, że tak. Ciekaw jestem, co oni właściwie robią?

– Kopacze? Kładą rurę. Pewnie nowy gazociąg.

Burton przyjrzał się robotnikom uważniej. Pomyślał, że dziwnie wyglądają, jak grabarze.

Pożegnał się z Grubem i wszedł do domu.

W hollu już czekała na niego pani Angell.

– Szanowny panie – powiedziała, biorąc się pod boki i przytupując stopą – pół godziny temu szklarze skończyli wstawiać nową szybę, a ja sprzątnęłam panu pokój, tak że znów jest zdatny do użytku. A teraz chciałabym dowiedzieć się, o co chodzi i co za głupstwa się tu dzieją? Wielokrotnie wcześniej godziłam się z pańskimi nieprzystojnymi postępkami, ale nigdy nie spowodował pan tak dzikiego zamętu. Kim był ten białoskóry łotr?

– Proszę zaparzyć nam dzbanek herbaty, pani Angell, a potem siądziemy sobie razem w jadalni. Porozmawiamy. Chyba nadszedł czas, bym opowiedział pani wszystko o mojej pracy.

*** Rozdział 12 ***

Złodzieje trupów

Kiedy matka umarła, jeszcze mej piosenki
„O-jej!” nie potrafiłem wyćwierkać. Do pracy
Ojciec sprzedał mnie. Byłem wtedy tak maleńki.
Teraz czarne kominy czyszczę i śpię w sadzy.

William Blake „Pieśni niewinności”[1]

1 Przełożył Zygmunt Kubiak.

Pac!

– Proszę... nie... tak... aaaaa...!

Pac!

– Och nie... oj... auuu!

Pac!

– Oj! Ajaj! Aaaach... piecze!

Skórzany pas opadał na pośladki Algernona Swinburne’a raz za razem, śląc w jego ciało fale rozkosznego bólu. Swinburne krzyczał, wył, bełkotał bez sensu, aż wreszcie mistrz kominiarski Vincent Sneed zmęczył się, odrzucił pas, cofnął rękę, którą przytrzymywał za kark poetę przyciśniętego brzuchem do drewnianej skrzynki, i otarł pot z czoła.

– Niech to będzie dla ciebie lekcja, że takie śmiecie jak ty nie będą mi pyskować – warknął.

Swinburne wyprostował się, masując pośladki przez spodnie. Ubrany był w brudną koszulę bez kołnierzyka, uszytą z surowej bawełny, przetartą, znoszoną kamizelkę, na głowie miał płaską czapeczkę, a na rękach wełniane rękawiczki bez palców. Nogawki jego kusych spodni kończyły się kilka cali nad kostkami. Stroju dopełniały źle dopasowane buty z ledwie trzymającymi się podeszwami. Twarz, ręce i ubranie poety oblepiała sadza, a jego zęby wydawały się przyżółkłe i popsute.

– Przepraszam, panie Sneed – jęknął.

– Zamknij gębę. Nie mam ochoty słuchać tych twoich mysich pisków.

Poeta odwrócił się od nieszczęsnej skrzynki, której jego pan używał jako stolika. Podszedł do stołu warsztatowego, na którym leżały przepychacze i szczotki. Czyścił je od

samego rana, a teraz zaczął pakować do płóciennej torby.

Sneed opadł ciężko na stołek. Siedział z podkulonymi nogami, opierając łokcie na kolanach, z butelką bimbru w prawej ręce. Patrzył na Swinburne'a, uśmiechając się szyderczo. Trzy dni temu związek przydzielił mu nowego chłopca. Gówniarz wygadany był, aż strach.

– Już ja cię nauczę szacunku, obiecuję – wybełkotał – ty zarozumiały szczylu.

Z wyglądu Sneed bardzo przypominał gronostaja. Długie, przetłuszczone, rzadkie czarne włosy, sczesane do tyłu, przylegały do wąskiej głowy, a spod nich przeświecała lśniąca skóra czaszki. Chytra twarz pod niskim czołem pokryta była śladami ospy, a jedno i drugie wydawało się wypchnięte do przodu przez gigantyczny nochal do tego stopnia, że czarne oczka jak paciorki, które u normalnego człowieka umieszczone są po obu stronach nosa, u niego wydawały się znajdować na bokach tego zdumiewającego organu. To właśnie nos dał mu przydomek, którego z całego serca nienawidził. Biada temu, kto wypowiedział słowo Kinol w zasięgu jego kalafiorowatych uszu.

Małe usta oraz cofnięta szczęka prawie całe kryły się w poplamionych nikotyną, postrzępionych wąsach i skołtunionej brodzie, choć można było przez nie dostrzec dwa przednie wielkie, nierówne siekacze.

Swe niewysokie, chude, lecz mimo to silne ciało Kinol odziewał w workowate spodnie trzymające się tylko dzięki szelkom, brudną koszulę, czerwoną apaszkę dokoła szyi i przedziwną kurtkę o surdutowym kroju z epoletami, mogącą być nawet reliktem z czasów admirała Nelsona.

– Hanbury Street dwadzieścia dziewięć, Spitalfields. – Chrząknął. – Jeden kanał dymowy, wąski. Zabierzemy gęś na wszelki wypadek.

Poeta z trudem powstrzymał ziewnięcie. Przez trzy dni ciężko pracował, dłonie miał pokaleczone, pełne bąbli, a wszystkie pory skóry zatkane sadzą.

– Nie skończyłeś jeszcze?

– Skończyłem – oznajmił poeta. – Jesteśmy spakowani.

– No to załaduj wózek i zaprzęgnij konia. Wszystko ci trzeba tłumaczyć?

Swinburne poszedł na podwórko zrobić, co mu kazano. Pośladki płonęły mu od otrzymanego przed chwilą lania. Gdyby nie był taki zmęczony, to pogwizdywałby z radości.

Parę chwil później kominiarczyk i jego mistrz, otuleni płaszczami, z czapkami nasuniętymi nisko na oczy, siedzieli na ławeczce z przodu wózka jadącego Whitechapel na północny zachód. Wózek podskakiwał na bruku, a każdy podskok odzywał się bólem we wrażliwych pośladkach kominiarczyka.

– Bosko! – szepnął zachwycony Swinburne.

– Co tam mruczysz?

– Nic takiego, proszę pana. Tylko... myślałem o pracy...

– Myśl powożeniu tą starą chabetą. O robocie to będziemy musieli myśleć aż za dużo, kiedy dojedziemy na miejsce.

Było wpół do piątej. Zaczynał padać deszcz. Pogoda, nieprzewidywalna jak zawsze, zmieniła się na gorsze, ale choćby nie wiem jak lało, smród East Endu pozostawał nietknięty. Po trzech dniach nos Swinburne'a zaczął się do niego przyzwyczajać, straszliwy odór coraz mniej mu dokuczał, ale nie sposób było uniknąć niespodzianek – miejsc, gdzie zapach zgnilizny omal nie odbierał mu przytomności, zmuszał żołądek do rozpaczliwej walki o te nędzne resztki, które zdołały się w nim utrzymać.

Do mdłości doprowadzał także codzienny, powszechny widok ulic zatłoczonych najgorszymi odpadkami ludzkości, nieszczęśnikami włóczącymi się bez celu, padającymi lub już leżącymi bezwładnie, ludźmi o pustych oczach, zepchniętymi przez nędzę do poziomu zwierząt i niżej, ledwie wegetujących chwastów. Ci jeszcze zdolni do działania szukali frajerów, których można by oszukać, okraść lub pobić. Byli wśród nich żebracy, prostytutki, alfonsi, opiumiści, całe mnóstwo pijaków, a także dzieci, bawiące się bez zapału w brudzie i odpadkach. Tu i tam pojawiały się białe czepki sióstr Zgromadzenia Szlachetnej Dobroczynności, przepychających się wśród nieszczęśników. Chodzące zawsze trójkami siostry robiły, co w ich mocy, rozdawały miski kleiku i szorstkie koce. Jak udawało się im uniknąć krzywdy w tym piekle nędzarzy, nie wiedział nikt. Niektórzy uważali, że chroni je nieziemska łaska.

Byli i tacy, co na East Endzie zarabiali: domokrążcy, straganiarze, przekupki, cieśle, bednarze, farbiarze, rzeźnicy, murarze. Nawet na East Endzie istniały puby. Nie brakowało lichwiarzy, udzielających pożyczek pod zastaw, prosperowali bukmacherzy i ich naganiacze. Nawet grabarze. Ale znaczna większość pracujących nie rzucała się w oczy. Zamknięci w warsztatach i fabrykach ludzie ci harowali niczym niewolnicy, godzinę po godzinie za kilka godzin snu na twardym barłogu i miskę pomyj dziennie.

Wózek pracowicie przebijał się przez ten żywioł. Swinburne prowadził go ostrożnie wąskimi uliczkami, po których obu stronach stały domy zatłoczone jak kolonie gawronów, z pochylonymi do środka ścianami szczytowymi grożącymi w każdej chwili runięciem na przechodzących mimo ludzi. Brudna woda kapała z wywieszonego na sznurkach prania.

Kominiarz i jego terminator zatrzymali się, by kupić gęś od handlarza drobiem. Wsadzili ją do worka; przez resztę drogi Kinol trzymał go mocno między nogami.

– Dzielnie walczy. – Z uznaniem skinął głową.

Mniej więcej dziesięć minut później dotarli do browaru Trumana. Skręcili w Hanbury Street, zatrzymali się przy domu numer dwadzieścia dziewięć. Był duży, miał wiele pokojów, a od frontu mieścił się sklep żelazny. Plakat w oknie głosił: „Pokoje do wynajęcia. Pytaj w środku, tylko jeśli jesteś godny zaufania. Nie wynajmujemy cudzoziemcom”.

– Spętaj konia. Wyładuj narzędzia – rozkazał Kinol, zeskakując na chodnik.

Wszedł do sklepu, zabierając ze sobą worek, a Swinburne wyprzągł konia, związał mu nogi, zdjął z wózka ciężką torbę i czekał. W chwilę później kominiarz wyszedł, wskazał mu sąsiednie drzwi.

– Tędy – burknął, otwierając je.

Przeszli obaj, Swinburne krok za mistrzem, wąskim korytarzem i drugimi drzwiami wyszli na podwórko od tyłu: kamienie, trochę trawy, naga ziemia. Do wysokiego, drewnianego ogrodzenia dobudowano szopę na narzędzia i wygódkę. Trzy stopnie prowadziły do tylnych drzwi, Kinol do nich właśnie zapukał. Otworzyła je starsza dama w krynolinie, z włosami nakręconymi na papiloty. Gestem zaprosiła ich do środka.

Przeszli przez komórkę koło kuchni, samą kuchnię, krótki korytarz i drzwi po prawej stronie, prowadzące do małego saloniku.

– W porządku, proszę pani, proszę zostawić to nam – powiedział Kinol.

– Tylko uważajcie, żeby mi nie zbić porcelany – ostrzegła ich dama, wychodząc. Swinburne rozejrzał się dookoła, ale nigdzie nie zobaczył porcelany. W pokoju czuło się zapach zatęchłej wilgoci.

– Na co czekasz? Rozłóż płachty!

Kominiarz rozwalił się na sfatygowanym fotelu, wyjął z kieszeni butelkę bimbru. Popijał, przyglądając się swemu terminatorowi, od czas do czasu uderzał trzymany między nogami worek.

Kominiarczyk wziął się raźno do roboty i wkrótce wszystkie nieliczne meble były już porządnie przykryte. Wówczas mistrz schował butelkę do kieszeni, wstał chwiejnie z fotela, wsadził głowę do kominka, spojrzał w górę, na przewód kominowy.

– Nie da się – burknął. – Nie wleziesz. Dlaczego ten Żuk musiał przysłać mi takiego wielkiego niezdarnego słonia jak ty?

Swinburne nie mógł się nie uśmiechnąć. Różnie go w życiu nazywano, ale „wielkim niezdarnym słoniem" nigdy.

Kinol odwrócił się błyskawicznie, wyciągnął rękę, chwycił go za twarz. Kominiarczyk aż jęknął.

– Możesz już przestać wykrzywiać tak tę swoją ohydną gębę – warknął. – Masz cholernie zły stosunek do rzeczywistości, a tak!

Wrócili do wózka. Poeta odwiązał liny zabezpieczające drabinę. Kinol ją zdjął, bo dla jego terminatora była za ciężka, i ustawił przy ścianie. Najwyższy szczebel niemal sięgał okapu dachu.

– Właź i rzuć linę. Tylko się pospiesz.

– Tak jest. – Swinburne'a bardzo przyjemnie piekła twarz.

Kominiarz wrócił do domu, a terminator obwiązał liną kominiarską swe wątłe ramiona, po czym szybko wspiął się do góry. Miał do wykonania najniebezpieczniejsze zadanie: musiał wspiąć się po pochyłym dachu aż do komina, a pokrycie tego dachu było wilgotne od mżącego deszczu.

Zrobił krok, przechodząc ze stopnia drabiny przez okap. Położył się na prawym boku, przycisnął podeszwy butów krawędziami do śliskiej powierzchni. Zaczął się czołgać, przykładając do niej dłonie na płask. Cal za calem zbliżał się do kalenicy.

Droga ta zabrała mu niemal dziesięć minut, ale nie poślizgnął się i wreszcie z westchnieniem ulgi wstał i oparł się o komin. Opuścił przez niego linę.

– Najwyższy czas, ty leniwy gnoju! – dobiegł go z dołu stłumiony głos.

Lina szarpała mu się w rękach, to napinała, to rozluźniała, gdy Kinol wiązał ją na nogach gęsi. Swinburne słyszał, jak gęga rozpaczliwie. Wreszcie padł rozkaz:

– Dobra, ciągnij!

Zaczął ciągnąć nieszczęsne – i strasznie ciężkie – wrzeszczące, desperacko bijące skrzydłami ptaszysko.

Metody tej używali do zdrapania zapieczonej w przewodzie kominowym sadzy, wówczas gdy był on za wąski i terminator nie był w stanie się przez niego przecisnąć, by samemu wykonać tę pracę. I chociaż ten terminator współczuł przerażonemu zwierzęciu, czuł wielką ulgę, bo wspinaczka przewodem kominowym nie należała do łatwych i bezpiecznych, czego dowodziły sińce i otarcia na jego kolanach, łokciach, ramionach i dłoniach.

Przeciągnął gęś przez całą długość komina, aż pojawiła się u góry w chmurze sadzy, a potem znów ją opuścił. Ramiona płonęły mu z wysiłku, lina ślizgała się w dłoniach, otwierając świeże bąble.

– Załatwione! – krzyknął z dołu Kinol. – Złaź!

Swinburne wrzucił linę do komina, usiadł, położył się płasko na brzuchu i powoli

zszedł drogą, którą wcześniej przebył pod górę.

Przerywana mżawka zmieniła się w całkiem przyzwoity deszcz, zrobiło się ciemno, więc miał kłopoty ze znalezieniem drabiny, wystającej zaledwie parę cali nad okap dachu. Ale poeta, choć drobny, łatwo się ekscytujący i nadwrażliwy, nie wiedział, co to strach, i mimo iż groziło mu niebezpieczeństwo, spokojnie przesuwał się po mokrych dachówkach, póki nie uderzył w nią lewą nogą. Oparł stopy na najwyższym szczeblu. Schodził na dół powoli i wreszcie z westchnieniem ulgi dotknął butami chodnika. Bolało go całe ciało. Marzył o łyku brandy. Od trzech dni nie wypił ani kropli; okazało się, że trzeźwość nie jest dla niego.

Wrócił do pokoju. Na jego widok Kinol warknął:

– Co tak długo, chłopcze? To nie cholerne wakacje.

– Przepraszam pana, ale... dach jest śliski.

– Nie będę wysłuchiwał twoich wymówek. Kończ robotę!

Kominiarz usiadł. Napił się bimbru, patrząc, jak poeta klęka na workowym płótnie pokrytym sadzą wybraną z komina przez gęś, wyjmuje z długiej torby przedłużki szczotki kominiarskiej. Do pierwszej zamocował dużą, płaską okrągłą szczotkę o sztywnym włosiu, po czym wsunął ją w przewód kominowy. Sadza z jego ścianek opadła, otoczyła go chmurą. Założył drugą przedłużkę, znów wepchnął szczotkę do komina, z identycznym skutkiem. Dokręcał kolejne przedłużki i przepychał komin, aż poczuł, że szczotka przestała mu stawiać opór, co oznaczało, że sterczy teraz ponad wierzchołek komina. Wciągnął ją, odkręcając kolejne przedłużki jedną po drugiej.

– No, zrobione – wybełkotał Kinol, który zdążył się już nieźle upić. – Pakuj rzeczy.

„Jasne, że spakuję” – pomyślał Swinburne. „Ty tak się naharowałeś, że musisz być strasznie zmęczony”.

Schował przedłużki i szczotkę do torby. Zwinął ostrożnie osłaniające meble płótno, tak by nie zsypała się z niego sadza. Mimo to na wszystkich płaskich powierzchniach w pokoju leżała warstwa drobnego, czarnego proszku. Sprzątnął go, używając do tego szczotki, śmietniczki i wilgotnej ścierki. Kończył już, gdy do pokoju zajrzał domowiec sprzątacz, rozejrzał się i oblizał łakomie.

– No, jesteś. Masz, żryj – ucieszył się poeta. Kocisko wślizgnęło się do pokoju. Spacerowało po nim systematycznie to w jedną, to w drugą stronę, a jego długie, naładowane elektrycznością statyczną futro przyciągało pozostałe, nawet najdrobniejsze cząsteczki sadzy. Po wyczyszczeniu całego pokoju domowiec zlizywał brud, będący jego ulubionym pożywieniem, i trawił go.

Dopiero po siódmej odjechali spod domu przy Hanbury Street. W kieszeni Kinola brzęczały monety. Już niedługo kominiarz wymieni je na piwo, ale nie wyda wszystkiego. Zachowa część należną związkowi. Nikt nie marzy o odwiedzinach jego cieszących się złą sławą egzekutorów.

Gdyby Swinburne był autentycznym członkiem związku, dostawałby wypłatę w końcu każdego tygodnia. Kwota była stała, niezależnie od tego, jak długo w tygodniu pracował... lub nie pracował. System ten odpowiadał jego młodym członkom, wynagradzanym regularnie, a także chronionym przed najgorszymi przejawami brutalności ich mistrzów, którzy kiedyś, przed ukończeniem czternastego roku życia, też byli członkami związku.

Po opuszczeniu go i wyjściu spod kontroli Żuka większość kominiarzy prędzej czy później padała łupem East Endu, bo bardzo niewielu z nich stać było na zamieszkanie

gdzie indziej. Mieli wprawdzie swój związek, Bractwo Mistrzów Kominiarskich, ale nie rządziła nim żelazna ręka, więc bieda, przestępczość i alkohol zbierały wśród nich obfite żniwo, degenerując Charliech i Nedów do poziomu sadystycznych łotrów pokroju Vincenta Sneeda. Taka była naturalna kolej rzeczy w Kotle i nawet sam Charles Darwin miałby wielkie kłopoty ze znalezieniem tu jakichś oznak ewolucji.

Algernon Swinburne zatrzymał wózek przed sklepikiem handlarza drobiem. Przekazał lejce Kinolowi, zeskoczył na chodnik, wziął leżący z tyłu worek. W worku była martwa gęś; w nagrodę za to, czego dokonała i przez co przeszła, kominiarz skręcił jej kark.

– Narzędzia możesz wyczyścić rano – powiedział z rzadką u niego łaskawością. Cmoknął na konia, klepnął go lejcami po grzbiecie i odjechał, zostawiając ucznia samemu sobie. Będzie wracał na kwaterę piechotą, ale na razie miał coś jeszcze do zrobienia.

Wszedł do sklepiku.

– Dzień dobry, panie Jambory – przywitał wesoło wysokiego, tęgiego właściciela z aż trzema podbródkami.

– Cześć, synu. A mówiłem, że machać skrzydłami to ona potrafi. Jesteś czarny jak smoła!

– Miał pan rację, panie Jambory. Rzeczywiście, bardzo nam pomogła. Mówię szczerze.

– No i dobrze. Idź na podwórko, tam możesz ją oskubać.

Kominiarczyk skinął głową. Zaniósł worek za dom, usiadł na niskim stołku, wyciągnął ptaka i zaczął wyrywać jego poczerniałe pióra. Deszcz padał mu na kark, sadza spływała z gęsi i jego ciała, gromadząc się na ziemi szarą papką. Swinburne zasypiał powoli, choć jakaś część jego umysłu nadal kierowała pracą palców. Drżał z zimna i wyczerpania.

Po niemal godzinie przekazał różowe ciało właścicielowi sklepu.

– Dobry chłopiec – pochwalił go grubas. – Chcesz jeść?

– Umieram z głodu!

– Co powiesz na szklankę mleka i kawałek chleba umoczonego w brytfannie?

Poeta, jadający w najlepszych restauracjach Londynu, uznał tę ofertę za prawdziwie królewską.

– Ach! – westchnął. – Bardzo proszę.

Nieco później, odzyskawszy znaczną część sił, z zachwycająco pełnym żołądkiem, Swinburne maszerował Commercial Road wśród rzedniejącego tłumu. Nagle krzyknął do niego ktoś idący po jej drugiej stronie. Spojrzał w kierunku, z którego dobiegł go głos. Zobaczył małego obdartusa o żółto-blond włosach. W zbyt wielkiej czapce, za obszernym grubym płaszczu i wielkich butach na wyrost. Był to Willy Cornish – tak jak on członek Związku Kominiarzy.

– Cześć, Marchewa! – krzyknął Willy, przechodząc przez Commercial Road. – Pracowałeś?

– Tak, tam dalej, w Whitechapel. O co chodzi?

Willy przysunął się bliżej. Patrzył na niego szeroko otwartymi, niebieskimi oczami.

– Słyszałeś o cmentarzu Squirrel Hill? – spytał niemal szeptem.

– Nie, a co?

– Złodzieje trupów!

– Co?

– Złodzieje trupów. Wykopywali zwłoki z grobów na Squirrel Hill. Chodź, pójdziemy

popatrzyć, może zobaczymy, jak to robią?

Swinburne zawahał się. Wprawdzie był zmordowany, ale z drugiej strony na Squirrel Hill nie było znowu tak daleko, a on zdecydował się na tę awanturę nie tylko po to, by pomóc Richardowi, lecz także doświadczyć życia w całej jego surowej, krwawej pełni. Szukał natchnienia w twórczej autentyczności. Ludzie wykopujący trupy, by sprzedać je oszustom podającym się za lekarzy... czyż jest w życiu coś równie prostego, mniej ozdobnego, mniej zakłamanego?

Skinął głową.

– Jasne, Willy. Chodź, obejrzyjmy ich sobie.

– Poważnie mówisz? – Chłopak nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Większość chłopców w jego wieku uciekała do domów, jeśli tylko je mieli, bo wszyscy bali się ciemności i wilkołaków. – Nie boisz się?

– Nie, a ty?

Mały Willy dumnie wypiął pierś.

– Oczywiście, że się nie boję.

Poeta – poruszający się zwykle żywym, sprężystym krokiem – szedł za przyjacielem powoli, niemal powłócząc nogami. Chłopiec wręcz przeciwnie, podskakiwał z podniecenia i snuł fantastyczne plany złapania złodziei trupów, w których główne role grały doły-pułapki, spadające z góry sieci, kajdany i opaski na oczy, a koniec zawsze był jeden: szubienice, sznury i kopiące w agonii nogi.

– Strasznie z ciebie krwawy mały rzezimieszek, Willu Cornishu – skwitował jego opowieści poeta – a twoje plany są podziwu godne, choć powiedziałbym, że odrobinkę niepraktyczne. Może na razie powinniśmy się ograniczyć do rekonesansu?

– Re... rekone... co?

– Rekonesans. Oznacza to, że postaramy się dowiedzieć, co te łotry zamierzają, a jeśli ich zobaczymy, zwiejemy w podskokach, wołając o pomoc.

– Nieźle pomyślane, Marchewa. – Ale mały sprawiał wrażenie rozczarowanego. – Wolałbym raczej złapać ich własnoręcznie, wiesz?

Z Commercial Road skręcili w nieoświetlony zaułek prowadzący do Hardinge Street. Z cienia wyszła dziewczynka, może dwunastoletnia. Podała im cenę. Nawet w ciemności Swinburne dostrzegł, że Willy się rumieni. Spojrzał na dziewczynkę, pokręcił głową, a potem popędził przyjaciela.

Wyszli na Hardinge, cichą, spokojną uliczkę, choć oczywiście i tu docierały echa nigdy niemilknącego hałasu miasta. Dotarli nią na róg Squirrel Hill, gdzie czekało ich strome podejście. W pobliżu nie było domów, żadnych ludzi, a jedna jedyna lampa gazowa świeciła dopiero na szczycie wzgórza, przy cmentarnej bramie.

– Teraz cicho, Marchewa – szepnął Willy. – Nie chcemy przecież spłoszyć łobuzów.

Swinburne poszedł za swym towarzyszem jeszcze trochę dalej, aż na skraj rzędu drzew rosnących na granicy właściwego cmentarza. Przykucnęli obaj, ukryci w ciemności, przy murze. Dosłownie zmienili się w słuch, ale słyszeli tylko deszcz; krople wody szeleszczące wśród liści drzew, ze stukiem rozbijające się na ulicy.

– Podsadź mnie – powiedział Willy.

Poeta westchnął ciężko. Pomyślał o nędznym materacu i cienkim kocu czekających na niego w norze Kinola. Pochylił się, chwycił mocno kolano Willy'ego, podniósł go. Chłopak złapał wierzch muru, podciągnął się, położył na nim płasko i wyciągnął rękę do kumpla, który poszedł jego śladem. Po chwili obaj byli już na cmentarzu.

– Przemokłem na wylot – poskarżył się poeta.

– Ciii...

Willy popełzł, przedzierając się przez krzaki. Poeta podążył w jego ślady.

Nagle gdzieś przed nimi rozległ się ostry trzask.

– Co to było? – syknął Swinburne.

– Ciiii... – powtórzył Willy i dodał ledwie słyszalnie: – Złodzieje trupów.

Doszli do nagrobka, całego zarośniętego chwastami i pnączami, przesunęli się do następnego i jeszcze następnego, powoli, ostrożnie zbliżając się do plamy mroku, z której dobiegały ich ciche dźwięki.

Swinburne natychmiast zapomniał o zmęczeniu i o deszczu. Bardzo chciał zobaczyć, co dzieje się tam, przy grobach. Dostał dreszczy, cały trząsł się z podniecenia. Willy posunął się jeszcze kawałek, wystawił głowę ponad bryłę granitu. Cofnął ją natychmiast, gestem polecił zbliżyć się przyjacielowi, który natychmiast podczołgał się do niego na łokciach i kolanach. Swinburne wyjrzał. Poprzez zasłonę deszczu dostrzegł poruszające się cienie. Opuścił głowę, wyszeptał wprost do ucha chłopca:

– Musimy podejść bliżej.

Willy skinął głową. Palcem wskazał mauzoleum, ledwie majaczące w ciemności po prawej stronie.

– Możemy je obejść – szepnął.

Trzymając się jak najbliżej ziemi, przekradali się, przygarbieni, przez trudny teren, przez krzaki i kałuże błota, omijając pochylone krzyże i kamienne anioły, których puste oczy wydawały się płakać. Dotarli wreszcie do podstawy masywnego monumentu. Niewidoczni, lecz także odcięci od światła palącej się przy wejściu latarni, niezdarnie poruszali się w absolutnej ciemności. Przystanęli przy narożniku.

– Policzymy ich – szepnął Swinburne – a potem wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy, i ile sił w nogach popędzimy do gospody na rogu Commercial Road. Dopiero tam narobimy hałasu. Jeśli dopisze nam szczęście, wrócimy tu z grupą silnych chłopów i złapiemy łotrzyków na gorącym uczynku.

Następnie obaj kominiarczykowie wyjrzeli zza narożnika mauzoleum.

Dostrzegli siedem postaci, niektóre pochylone, niektóre skulone w deszczu, a wszystkie owinięte w długie płaszcze z kapturami. Do ich uszu dobiegły dziwne dźwięki: szmery, zgrzyty, trzaski, odgłosy darcia.

Jedna z postaci wstała; Swinburne’owi wydawała się dziwnie niska. W ręku trzymała jakby gałąź. Podniosła ją do okrytej kapturem twarzy.

Poeta poczuł naraz paraliżujące wręcz obrzydzenie.

Bo nie był to konar, lecz ramię z widoczną na końcu dłonią.

Postać oderwała ją od miejsca, w którym powinna mieć twarz. Znów rozległ się odgłos darcia.

Swinburne padł ukryty za mauzoleum, pociągając za sobą Willy’ego.

– Jezu Chryste! – jęknął. – Oni nie kradną trupów... oni je pożerają!

Czuł, jak przytulony do niego mały Willy Cornish drży na całym ciele.

– Ja chcę do domu...

– Idź – szepnął, przytulając dzieciaka. – Wynoś się stąd jak najszybciej. Bądź ostrożny, zachowuj ciszę, trzymaj się cieni, przeleź przez mur i biegnij, biegnij! W gospodzie opowiedz, co widziałeś. Już!

Dzieciak wytarł nos rękawem, chlipnął i odpełzł.

Poeta znów wyjrzał zza rogu. Dwie postaci wyciągały trumnę z rozmiękłej ziemi. Spróchniałe drewno pękało, boczne ścianki odpadły, wieko zapadło się do środka. Pozostała piątka, ciasno otulona płaszczami, powłócząc nogami, podeszła bliżej, sformowała ciasny krąg, pochyliła się nad jej zgniłą zawartością. Tajemnicze istoty odsunęły resztki pokruszonego wieka, sięgnęły do środka. Rozległ się trzask łamanych kości.

To, co się w tym momencie stało, zdarzyło się tak nagle, że Swinburne zareagował, nie mając pojęcia, co robi.

Coś... trzask gałązki, może nieostrożny ruch zainteresował upiornych kanibali. Odwrócili się wszyscy identycznym ruchem. Nie było wątpliwości: obecność Willy'ego Cornisha na cmentarzu przestała być tajemnicą.

Poeta wstał. Wyprostowany wyszedł zza osłony mauzoleum.

– Hej! – krzyknął.

Siedem kapturów zwróciło się w jego stronę, siedem par gorejących czerwienią ślepi wbiło w niego nieruchome spojrzenia. Jedna z postaci zrobiła dwa kroki przed siebie, mętne światło lampy padło na jej twarz, ujawniając zmarszczony pysk i białe psie kły.

Loups-garous!

Po raz pierwszy życiu Swinburne doświadczył strachu. Odwrócił się, próbował biec, ale wpadł na nagrobek, potknął się, stracił równowagę. Wierzgał nogami, usiłował pełznąć, skryć się gdzieś w cieniu, ale poczuł szpony na ciele i wiedział, że już nie ucieknie. Stwory pociągnęły go po mokrej ziemi; wbijał w nią palce, ale nie miał się czego chwycić.

Mocne ręce uniosły go w powietrze. Swinburne przeraził się, że wilkołaki rozszarpią go i pożrą żywcem. Na tę myśl omal nie stracił przytomności.

Unieruchomiony w potężnym uścisku słyszał warkot, czuł, jak pyski wsuwają mu się pod ubranie. *Loups-garous* obwąchały go, chrząknęły dziwnie i ruszyły biegiem. Widział tylko przesuwającą się pod nim szybko ziemię.

W ostatnich chwilach przytomności Algernon Swinburne uświadomił sobie, że oto został porwany.

*** Rozdział 13 ***

Pies, kot i mysz

> Wszechświat, jaki obserwujemy, ma dokładnie te cechy, których powinniśmy oczekiwać, jeśli u jego podstawy nie ma zasady, nie ma celu, nie ma zła, nie ma dobra, nie ma nic oprócz ślepej,
> bezbrzeżnej obojętności.
>
> **Charles Darwin**

Rankiem następnego dnia po wspólnych z przyjacielem poetą odwiedzinach na Elephant and Castle sir Richard Francis Burton znów przebrał się w strój sikha, poszedł do opuszczonej fabryki przy Limehouse Cut i wspiął się na dach. Wrzucił trzy kamyki do przewodu dymnego, jeden po drugim, po czym, zaledwie kilka chwil później, odbył drugą rozmowę z Żukiem, który znowu się przed nim nie ujawnił. Załatwili sprawę terminu Swinburne'a u Vincenta Sneeda, Burton przekazał tajemniczemu szefowi Związku Kominiarzy przyniesione dla niego książki i na tym skończyło się ich spotkanie.

Kiedy królewski agent udał się do mieszkania przyjaciela, by przedstawić mu swój plan, Swinburne omal nie oszalał z radości. Natychmiast zaczął przygotowania do odegrania nowej roli.

Następnie Burton odbył spotkanie z inspektorem Trounce'em w Scotland Yardzie. Zrelacjonował mu najnowsze wydarzenia, przyznał, że podejrzewa Oliphanta o ukrywanie jakiejś wiedzy o Skaczącym Jacku, sam zaś dowiedział się, że dwie dziewczynki, Connie Fairweather i Alicja Pipkiss, żyją sobie najzupełniej zwyczajnie i że Skaczący Jack jeszcze się im nie objawił.

Na Montagu Place wrócił o wpół do trzeciej. Płacąc dorożkarzowi, zauważył, że roboty drogowe pod jego domem skończyły się, rów został zakopany i przykryty nowym brukiem. Pojawiła się natomiast gruba rura, której tu przedtem nie było. Biegła wzdłuż ściany, po czym wnikała w mur tuż pod jednym z okien jego gabinetu.

– Co to takiego? – spytał panią Angell od progu, wycierając buty na wycieraczce.

– Podobno ma coś wspólnego z gazem. Muszę powiedzieć, że pracowali nieprawdopodobnie szybko.

Burton wszedł na piętro, przeszedł przez gabinet do przebieralni, zdjął strój sikha i zmył makijaż. W pół godziny później w swobodnym, domowym stroju siedział za

biurkiem. Jadł lunch, pogrążony w lekturze najnowszego numeru *Esquire*.

Rozległo się pukanie do drzwi. Za jego pozwoleniem na progu stanęła pani Angell.

– Dwaj robotnicy chcą się z panem widzieć, kapitanie – powiedziała.

– Robotnicy? – zdziwił się podróżnik.

– Tak. Ci, którzy doprowadzili do nas ten gaz.

– Czego mogą ode mnie chcieć?

– Nie wiem, ale są raczej natarczywi.

– Dobrze, proszę przysłać ich do mnie.

Gospodyni cofnęła się, a chwilę później do gabinetu podróżnika weszło dwóch mężczyzn. Ubrani byli identycznie, w długie czarne surduty z czarnymi kamizelkami. Wysokie, wykrochmalone na sztywno, gladstonowskie kołnierzyki białych koszul przy każdym nieostrożnym obrocie głowy groziły wykłuciem oczu twardymi, ostrymi rożkami. Garderobę obu dżentelmenów uzupełniały bladożółte krawaty, spodnie z wysokim stanem kończące się pod kolanami, wystające spod nich bladożółte pończochy i półbuty z klamerkami.

Krótko mówiąc, nosili się zgodnie z zasadami mody... sprzed pięćdziesięciu lat.

– Dobry wieczór, kapitanie Burton – powiedział wysoki, choć przy tym garbaty, mężczyzna po lewej. Podobnie jak jego towarzysz w ręku trzymał wysoki cylinder, w odróżnieniu od niego był łysy jak kolano, choć pozostała mu cienka linia włosów nad uszami. Jakby dla kompensacji nosił niezwykle długie bokobrody, znane w mieście pod nazwą „żałobników z Piccadilly". Jego twarz układała się naturalnie w wyraz ogromnego smutku, a to przez opadające kąciki ust, obwisłe policzki oraz żałosne spojrzenie. Nerwowo bawił się kapeluszem. – Jestem Damien Burke.

Drugi z mężczyzn skłonił głowę. Był niższy, lecz niesłychanie potężnie zbudowany, z barami jak u zapaśnika i długimi rękami małpy. Jego głowę zdobiła gęsta grzywa siwych włosów, przyciętych równo poniżej małych, mięsistych uszu – do kompletu z krótką kozią bródką pod dolną szczęką. Jasnoszare oczy patrzyły na świat z głębi oczodołów. Obraz uzupełniał płaski, niewątpliwie wielokrotnie łamany, nos i niezwykle szerokie usta wypełnione dużymi zębami. W ręku trzymał wielką płócienną torbę.

– A ja nazywam się Gregory Hare – przedstawił się dudniącym, basowym głosem. – Gdzie chce pan to mieć?

Burton wstał zza biurka. Podszedł do gości z wyciągniętą ręką.

– Miło mi panów poznać – powitał ich uprzejmie.

Burke spojrzał na dłoń gospodarza z nieukrywanym zaskoczeniem. Ujął ją, oblizując przy tym wargi. Wydawał się nieprzyzwyczajony do takich reakcji na swą obecność. Hare, mając obie ręce zajęte, jedną kapeluszem, drugą torbą, poruszył się niezdecydowanie, włożył cylinder, krótko uścisnął dłoń gospodarza i natychmiast znów zdjął godne nakrycie głowy.

– Chcę mieć co? – spytał Burton.

– Ach, no właśnie, oto jest pytanie – odparł Burke głosem kojarzącym się z przemową nad grobem. – Rzeczywiście, co? Może pan mógłby nam coś zasugerować, kapitanie? Przewód kurierski? Przenośnik pojemników? Rura komunikacyjna? Choćby nasze życie od tego zależało, nie potrafimy dopasować temu odpowiedniego przezwiska.

– Mówi pan o urządzeniu, które lord Palmerston ma na biurku?

– Och, ależ oczywiście, sir. Ale, w odróżnieniu od premiera, pan nie cierpi na widoczny brak biurek. Któreś z nich jest pana ulubionym?

Podróżnik wskazał mu to stojące przy oknie.

– Z niego korzystam najczęściej – wyjaśnił.

– W takim razie doskonale, sir. Jesteśmy niestety zmuszeni zerwać panu podłogę, ale niedogodności potrwają krótką chwilę, a pański pokój zostawimy w takim stanie, w jakim go zastaliśmy. Czy nie zechciałby pan oczyścić blatu? Nie chcielibyśmy przeszkadzać panu w pracy. A przy okazji, sir, czytałem pańskie *Pierwsze kroki w Afryce Wschodniej*. Fascynująca lektura, tak, doprawdy fascynująca. – Garbus zwrócił się do towarzysza: – Do roboty, panie Hare, nie chcemy inkomodować kapitana Burtona dłużej niż to absolutnie konieczne.

– Oczywiście, że nie chcemy inkomodować, panie Burke – zawtórował mu gorylowaty Hare.

Podczas gdy królewski agent zajął się sprzątaniem z biurka książek oraz papierów, jego dwaj niezwykli goście wyjęli z torby narzędzia i zabrali się do podważania desek parkietu. W niespełna godzinę później układali je już tak, jak były.

Rura wchodząca do domu pod oknem gabinetu biegła teraz pod podłogą aż do wskazanego biurka, po czym zakręcała w górę, przechodziła przez nią, biurko i blat, gdzie łączyła się z urządzeniem parowym identycznym z tym, jakie stało na biurku premiera.

– Obsługa jest bardzo prosta, kapitanie – wyjaśnił Burke. – Tę część tutaj trzeba codziennie wypełniać wodą po brzegi. Tą kontrolką steruje pan pojemnikami. Jeśli wybierze pan: jeden-jeden-jeden, wiadomość dostanie Jego Wysokość, dwa-dwa-dwa to numer premiera, a trzy-trzy-trzy – nasz. Proszę o wybaczenie mi tego, co powiem, sir, ale ma pan opinię człowieka, który nie cofa się, gdy trzeba iść naprzód, uważam więc, że należy się panu wyjaśnienie: łączność z królem to przywilej, którego nie wolno nadużywać. Osobiście doradzałbym ograniczyć się do udzielania odpowiedzi na pytania... Mam nadzieję, że dobrze mnie pan rozumie, sir.

– Rozumiem – przytaknął Burton. – Jak podgrzewane jest to urządzenie?

– Niech pana o to głowa nie boli, kapitanie, już my się tym zajmiemy. Ciepło przewodzone jest specjalnym przewodem w wewnętrznej okładzinie rury. To dość skomplikowane, nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły. Proszę pamiętać: jeśli chce pan się z nami skontaktować, wybiera pan trzy-trzy-trzy. Oczywiście zawsze może pan wysłać papugę albo gońca... Adres pan zna?

– Tak.

– Doskonale. Ostatnia sprawa, sir. Ciało pana Montague Pennifortha wyłowiła z rzeki dziś nad ranem policja wodna. Żona została poinformowana o tym smutnym fakcie, pogrzeb opłacono, a jej samej wyznaczono rentę. Jeśli w przyszłości zdarzy podobny nieszczęśliwy przypadek i jeśli będzie musiał pan albo zostawić ciało na miejscu zdarzenia, albo gdzieś złożyć, proszę nas o tym zawiadomić, a my natychmiast podejmiemy działania prowadzące do pogrzebania go w sposób cywilizowany, z należnym szacunkiem. To chyba wszystko. Pozwolimy sobie teraz uwolnić pana kapitana od naszego towarzystwa. Przepraszamy, że zajęliśmy mu tyle cennego czasu. Przykro nam, prawda, panie Hare?

– Bardzo przykro, panie Burke – przytaknął pan Hare swym grobowym głosem. – Naprawdę bardzo przykro. Do widzenia, panie kapitanie.

– Do widzenia, panie kapitanie – zawtórował mu pan Burke.

– Do widzenia – powiedział Burton.

Za gośćmi zamknęły się drzwi. Burton słyszał ich ciężkie kroki na schodach, usłyszał

też, jak drzwi otwierają się, a potem zamykają. Podszedł do okna, wyjrzał na ulicę.

Ulica była pusta.

A więc to byli Burke i Hare? Cóż za przedziwny duet!

W pół godziny później zainstalowane właśnie urządzenie zaczęło drżeć i syczeć, zatrzęsło się, zagwizdało, po czym rozległ się stuk pojemnika. Burton otworzył drzwiczki w jego ściance, chwycił go, nim wypadł na biurko. Otworzył wieczko, wyjął arkusik papieru.

„Prezenty w garażu. A".

A jak Albert! Dostał wiadomość od króla Anglii!

Zaintrygowany podróżnik zszedł na dół, do królestwa pani Angell. Otworzył tylne drzwi prowadzące na podwórko, z którego wchodziło się do garażu. W środku stały dwa pensy z ćwiartką i rotofotel.

Nieco później po południu Burton użył jednego z welocypedów, by udać się do Battersea.

Wrócił po kilku godzinach. Do kierownicy przyczepiony miał duży kosz.

Minęły trzy dni, nieprzynoszące żadnego postępu.

Skaczący Jack nie pokazał się nikomu.

Algernon Swinburne tkwił gdzieś w najgłębszej głębi Kotła.

Sir Richard Burton martwił się i zaczynał bać. Próbował zająć myśli książkami, ale nie potrafił się skoncentrować. Sprawdził wszystkie posiadane informacje o *Moko Jumbie*, ale odkrył wyłącznie powierzchowne podobieństwa między afrykańskim bóstwem a stworem poruszającym się jak na szczudłach.

Czwartego dnia wczesnym rankiem do jego drzwi zapukał młody Oscar Wilde, gazeciarz.

– Witam pana kapitana pięknym rankiem – przywitał podróżnika wesoło. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, że każdy dobry uczynek zostanie prędzej czy później ukarany, ale są ludzie, dla których jestem gotów na każde ryzyko. Więc proszę, to dla pana, i żegnam się z życzeniami najmilszego dnia.

Wyciągnął rękę, wrzucił coś w dłoń Burtona, odwrócił się i odszedł, ale po kilku krokach spojrzał przez ramię, uśmiechnął się i pomachał podróżnikowi.

Burton został z trzema kamykami w garści. Otrzymał wezwanie od Żuka.

Zareagował natychmiast. Wbiegł po schodach do gabinetu, popędził do przebieralni. Założył strój z grubego, szorstkiego materiału, przystrzygł brodę przy samej skórze, zachował jednak długie, opadające na końcach wąsy. Potargał też włosy, ubrudził twarz, szyję i dłonie. Wybrał najbardziej zdarte, popękane buty.

Wyszedł z domu. Nie sam.

Miał ochotę skorzystać z jednego ze swych nowych pojazdów, ale tam, gdzie jechał, twory współczesnej techniki kradziono przy każdej nadarzającej się okazji, a jeśli nie kradziono, to co najmniej niszczono. Zatrzymał więc pierwszą przejeżdżającą okazję, powóz konny.

– Limehouse Cut! – krzyknął. – Tylko szybko, najszybciej jak się da!

Woźnica przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Masz na przejazd?

Podróżnik niecierpliwie błysnął mu w oczy kilkoma monetami.

– Zapłacę podwójnie, jeśli dojedziemy w pół godziny! – Wepchnął swego towarzysza do powozu, wsiadł za nim.

– Łatwo przyszło – mruknął pod nosem woźnica, strzelając z bicza ponad łbami pary koni.

Powóz szarpnął i popędził ulicą. Za rogiem skręcił gwałtownie. Podróżnik walnął w coś mocno głową, lecz wcale się tym nie przejął. Najważniejsza była w tej chwili szybkość. A pędzili w szalonym tempie, trzęsąc się i ślizgając na wilgotnym bruku. Woźnica okazał się jednak prawdziwym ekspertem. Dostarczył pasażerów na St. Paul's Road, niemal pod samą fabrykę, w czasie sporo krótszym od wyznaczonego.

– Godne podziwu – przyznał królewski agent, płacąc hojnie. – Te pieniądze nie przyszły ci łatwo.

Lał deszcz, zmywając brud miasta do równie brudnej arterii, przecinającej je niemal dokładnie przez środek. Ten sam deszcz wydawał się obmywać sir Francisa Burtona z resztek nadziei, bo to on właśnie był w stanie zrujnować plany jego i Swinburne'a, skazać poetę na śmierć.

Burton śpieszył się. Wszedł do fabryki. Towarzysza wyprawy zostawił u stóp drabiny, wspiął się na dach i na komin. Kiedy wrzucał do niego trzy kamyki, deszcz zalewał mu twarz.

Kilka minut później rozległ się głos Żuka:

– Wyglądasz inaczej.

– Jakie masz nowiny? – spytał niecierpliwie podróżnik.

– Twój przyjaciel został porwany. Na cmentarzu Squirrel Hill przez siedem zamaskowanych postaci. Świadkiem był jeden z moich kominiarzy, chłopiec nazwiskiem Willy Cornish. Nie rozpoznał twarzy, postacie otulone były płaszczami, a na głowach miały kaptury, ale twierdzi, że poruszały się dziwnie.

– *Loups-garous* – stwierdził Burton.

– Owszem. Ja też tak myślę. Sądzisz, że uda ci się podążyć ich tropem?

– Obawiam się, że nie. Nie w tym deszczu. Ale muszę spróbować. I muszę już iść.

– Powodzenia, kapitanie Burton.

Królewski agent zszedł na dach, a potem, po drabinie, wzdłuż ściany fabrycznego budynku do miejsca, gdzie cierpliwie czekał na niego przyjaciel.

– Mam nadzieję – powiedział mu – że Ted Toppletree nie przesadzał w ocenie twojego nosa, Fidget. Bo jeśli zdarzyło mu się przesadzić, całkiem możliwe, że nigdy już nie zobaczymy Algernona Swinburne'a.

Basset tylko spojrzał mu w oczy.

W umyśle Algernona Swinburne'a tańczyły oderwane, przypadkowe wspomnienia. Wilkołaki niosły go z wielką szybkością przez labirynt zaułków miasta, czasami pionowo, a czasami poziomo, twarzą w dół, w uścisku tak mocnym, że ledwie był w stanie oddychać. Szpony wbijały się w jego ramiona i piersi, w uda, w łydki. A potem wbiegli w tunel, długi, mroczny, wydający się prowadzić wprost w gąbczaste, ociekające wilgocią

serce samej Ziemi.

Pamiętał, że w pewnej chwili odzyskał przytomność na tyle, by zacząć krzyczeć ile sił w płucach, ale jego wołanie stłumiła śmierdząca piżmem łapa.

Potem nie było już nic, a jeszcze później otworzył oczy.

Znajdował się w wielkiej komnacie, przywiązany w nadgarstkach rozkrzyżowanych rąk i kostkach szeroko rozłożonych nóg do pionowego, lekko pochylonego rusztowania. Komnatę wielkości katedralnej nawy rozjaśniało sztuczne światło, nie gazowe, lecz żarzące się bielą niczym błyskawica, jakimś sposobem zamknięte w kulach zwieszających się z wysokiego stropu. Na podłodze, skąpane w przeraźliwym blasku, stały maszyny w niczym nieprzypominające tych, które poeta miał okazję widywać, a nawet tych, które sobie wyobrażał. Nie było tu śladów pary, wszystko opierało się na elektryczności, tańczącej z trzaskiem po powierzchni megalitycznych urządzeń, przeskakującej między przedziwnymi wieżami, wypełniającej wnętrze zapachem ozonu oraz ostrymi trzaskami i niskim, przenikliwym buczeniem.

Szczególnie wiele płomienistych błyskawic energii biegło do przypominającej żyrandol struktury zwisającej z sufitu nad środkiem sali. Wyglądała jak wielkie żeliwne koło, a z jego obwodu sterczały pionowe rzędy tarcz, do których prowadziły wiązki kabli i przewodów.

Oczy poety podążyły za nimi w dół, do miejsca, w którym się zbiegały: konstrukcji w postaci metalowej obręczy z przymocowanymi do niej rzędami długich, skierowanych na zewnątrz, kilkucalowych igieł. Kable prowadziły właśnie do nich, a drugim końcem igły wnikały w udekorowaną tą monstrualną koroną czaszkę. Bezwłosą, groteskowo spuchniętą, rozszerzającą się nad uszami do dwukrotnej wielkości normalnej czaszki, jednocześnie fenomenalną i ohydną. Rozrastała się nad i tak szeroką twarzą, spychając krzaczaste brwi nisko nad oczy, błyszczące zimnym blaskiem zza ich zasłony. Do twarzy tej należały też: mały nos, szerokie, surowo zaciśnięte usta oraz spływająca z policzków i podbródka na pierś długa siwa broda. Bowiem ta tak strasznie zniekształcona postać była niewątpliwie mężczyzną.

Wielka, jakby nadęta głowa królowała nad ubranym w szary garnitur drobnym, chudym jak szkielet ciałem – tak wyschniętym, że prawie nie istniało. Każdy widoczny fragment skóry pokryty był zmarszczkami, z nadgarstków wybiegały gumowe rurki połączone z pracującymi nieprzerwanie, sapiącymi i jęczącymi pompami, umieszczonymi za metalowym tronem, na którym postać ta siedziała.

Swinburne’owi nasunęła się myśl, że wygląda ona jak płód spoczywający w mechanicznym łonie.

Wyglądała także dziwnie znajomo.

– Charles Darwin!

Oczy błysnęły, ich spojrzenie zmierzyło poetę od stóp do głów.

– Znasz nas, chłopcze? – głos Darwina był głęboki. Brzmiał także dziwną dla ucha harmonią, jakby jednocześnie mówiło dwóch ludzi.

– Oczywiście! Co tu się dzieje? O co panu chodzi? Dlaczego mówi pan „nas”?

– Nie tłumaczymy się dzieciom. Bądź cicho!

Zza pleców Swinburne’a wysunął się cicho niewidoczny do tej pory mężczyzna: wysoki, elegancko ubrany, z długimi bokobrodami i przystojną, lecz doskonale nieruchomą twarzą. Jego głowa kończyła się tuż nad brwiami. Mężczyzna nie miał wierzchołka czaszki, a miejsce mózgu zajmowała zagadkowa maszyneria z metalu i szkła,

błyskająca wielką ilością światełek, to zapalających się, to gasnących w pozornie zupełnie przypadkowy sposób. Z jej tylnej części spływał kabel, wił się aż pod tron Darwina i znikał w jego podstawie.

Mężczyzna z maszyną w miejscu mózgu podszedł do wózka. Wziął z niego strzykawkę o przerażająco długiej igle.

– Co ty wyprawiasz?! – pisnął Swinburne.

– Bardzo dociekliwy, czyż nie? – mruknął do siebie Darwin. – Tak, bardzo dociekliwy. A także wysoki, co jest znaczną niedogodnością. Poddamy go badaniu czy też odrzucimy natychmiast? Poddamy badaniom, jak sądzę. Dziecko, powiedz nam: czy jesteś sierotą? Czy pamiętasz swoich rodziców? Czy oni także byli wysocy?

Maszynowy mózg wymierzył strzykawkę w miejsce tuż poniżej środka czoła. Swinburne poczuł dotyk igły na skórze.

– Na litość boską, Darwinie! Nie jestem sierotą, moi rodzice to nie twój przeklęty problem, a w ogóle to nie jestem dzieckiem! Mam dwadzieścia cztery lata! Jestem Algernon Swinburne, poeta.

Zapadła cisza, ale igła nie dotykała już skóry. Maszynowy cofnął się.

– Jesteś czyścicielem kominów – orzekł Darwin. – Skórę i ubranie pokryte masz sadzą, masz sadzę za paznokciami. Wyczuli ją nasi pobieracze, a oni nigdy się nie mylą.

Swinburne szarpnął więzami krępującymi mu ręce. Trzymały mocno.

– Jeśli pobieracze to pańska nazwa dla tych wilkokształtnych stworów, to obawiam się, że tym razem popełniły błąd. Mówię panu, że jestem poetą! Proszę mnie puścić!

– Błąd?

– Udawałem kominiarczyka!

– Po co poeta miałby robić coś takiego?

– Żeby odkryć, skąd biorą się te przeklęte wilki i dlaczego porywają chłopców.

Darwin milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Jesteśmy zaintrygowani. Uwaga: mamy przed sobą człowieka o głęboko nienaukowym podejściu. Ewolucyjna osobliwość, czyż nie tak należałoby pomyśleć? Jaki jest użytek z poety? Czyż poeta nie jest przykładem braku umiaru czy też, innymi słowy, dekoracją? Być może, zapewne, lecz proszę wziąć teraz pod uwagę dekoracyjne cechy pewnych gatunków, powiedzmy: upierzenie tropikalnych ptaków. Czy barwy i wzory nie służą celowi, jakim jest przyciągnięcie partnerki czy też wprowadzenie w błąd drapieżnika? To stworzenie, mimo iż jego włosy mają niezwykłą barwę, w swym rozwoju sprawia wrażenie żałosne. Czy możemy przyjąć, że jego powołanie jest elementem kompensującym widoczny brak siły fizycznej? Czy nie może być tak, że nie dysponując zdolnością przyciągnięcia samicy, wytworzył w sobie zdolność tworzenia pieśni w ten sam sposób, jaki obserwujemy u skowronka, małego, szarego ptaszka o iście niezwykłym głosie?

– Cóż to za bełkot, do diabła?! – krzyknął przeraźliwie Swinburne. – Proszę odwiązać mnie od tego przeklętego koła tortur. Ma pan natychmiast zdjąć krępujące mnie więzy!

Wielka głowa Darwina przechyliła się lekko na bok, paciorkowate oczy zamrugały.

– Musimy jednak zadać jedno pytanie: dlaczego poeta interesuje się naszymi badaniami?

– Jakimi badaniami? – spytał Swinburne. – Chcę wiedzieć, co się tu w ogóle dzieje? Dlaczego porywa pan kominiarczyków? I – w imię wszystkiego, co święte – co też stało się z pańską głową, Darwinie? Co to za wstrętne obrzydlistwo! Dlaczego jest pan

podłączony do tych wszystkich urządzeń? Co to za automat?

Siedząca postać zagrzechotała dziwnie... Czyżby był to śmiech?

– Ojoj, jaka ciekawska osóbka! Tyle pytań! Mamy propozycję, pomysł na mały eksperyment: czy nie byłoby interesujące odpowiedzieć temu młodemu człowiekowi? Nigdy jeszcze nie tłumaczyliśmy naszych działań nieracjonalnemu umysłowi. Czy dysponuje zdolnością umysłową wzniesienia się ponad moralny gniew, czy też fikcja Boga będzie mu przewodniczką w reakcji na nasze słowa?

– Nie wierzę w Boga! – zapiszczał Swinburne.

– Ach! Posłuchajcie tylko, on deklaruje niewiarę! Poeta niewyznający Boga. Jak wiemy, tacy jak on sami siebie nazywają cyganerią. Na jakiej zasadzie działa umysł niedysponujący ani naukową racjonalnością, ani przesądną wiarą? Nie sądzimy, że to fascynujące? Sądzimy! Oczywiście, że sądzimy! A więc zaczynajmy! Wyjaśnijmy mu wszystko, a kiedy zanalizujemy jego reakcję, będziemy mogli się go pozbyć.

– Co? – wrzasnął poeta. – Pozbyć! Co to znaczy: pozbyć?

– Zauważmy: tak oto działa instynkt przetrwania – oświadczył Darwin uroczyście. – Algernonie Swinburne, objaśnimy ci nasz program. Potem poprosimy o odpowiedź. Odpowiadaj nam jasno i szczegółowo. A więc zaczynamy. Od tematu naszej głowy. Twoja reakcja odwołuje się do walorów estetycznych, niesłużących żadnemu celowi. Jej rozmiar wynika z konieczności pomieszczenia dwóch mózgów. To ciało jest Charlesem Darwinem. Osobnik nazywany przez ciebie automatem był kiedyś Francisem Galtonem. Mózgi tych dwóch ludzi zostały wszczepione w jedną czaszkę, tworząc czteropłatowy organ z nakładającymi się na siebie polami psychicznymi umożliwiającymi natychmiastowy transfer myśli. W efekcie staliśmy się jednością, dzięki czemu ominęliśmy ograniczenia języka. Przy przekazywaniu sobie wzajemnie naszych teorii nie musimy już uciekać się do symboli, komunikujemy się wprost, w sposób czysty i nieskazitelny. Nie istnieje już groźba nieporozumienia ani niezrozumienia. Ciała Francisa Galtona używamy jako kończyny, bowiem sami jesteśmy ograniczeni przez wspierającą nas maszynę, skonstruowaną do tego celu przez Isambarda Kingdoma Brunela. Niestety, ludzkie ciało nie jest w stanie wspierać dwóch mózgów samodzielnie. Wymaga mechanicznego wspomagania.

– Chwileczkę! – zaprotestował Swinburne.

– Przerywa nam! – zabrzmiała harmonia głosów Darwina. – Nie powinniśmy doznawać uczucia zniecierpliwienia, bo czyż nie ustaliliśmy już, że umysłowość poetycka operuje poza zasadami logiki właściwej umysłowości naukowej? Nie powinniśmy spodziewać się, że powstrzyma odruchy, póki nie usłyszy wszystkich informacji, które mamy jej do przekazania. A więc tak, zgadzamy się. Musimy dogodzić stworzeniu. O co ci chodzi, Algernonie Swinburne?

Drobny, porywczy poeta, rozciągnięty na kole, skrępowany, otoczony maszynami syczącymi, plującymi iskrami, strzelającymi błyskawicami, jakby wymierzone były właśnie w niego, miał wrażenie, że uwięziono go w koszmarze. Wpatrzona w niego twarz Darwina, sprawiająca wrażenie zmiażdżonej, zniekształconej niczym pysk średniowiecznego rzygacza, stojący obok nieruchomy Galton z górną połową głowy zastąpioną migającymi światełkami... scena ta była niczym cudem ożywione płótno Hieronima Boscha. A jednak próbował walczyć z histerią. Potrząsał głową, porządkując myśli.

– *O pochodzeniu gatunków* uczyniło cię sławnym, a może raczej powinienem

powiedzieć: osławionym, dwa lata temu – powiedział. – Kościół zagroził ci śmiercią, więc się ukryłeś, lecz przedtem twoja twarz stała się powszechnie znana i z pewnością nie miała nad sobą tego wielkiego łba. Innymi słowy, maszyna, w której jesteś zamknięty, stała się potrzebna przed mniej niż dwoma laty. A Brunel zmarł w pięćdziesiątym dziewiątym, więc... nie mógł ci jej skonstruować.

Znów zabrzmiał przerażający grzechot.

– Poeta stosuje argumentację logiczną. Rozwiązanie pozornego paradoksu jest proste.

– Doprawdy? W takim razie bądź uprzejmy mnie oświecić?

– Pokaż się, Brunel.

Jedna z wielkich maszyn stojących po lewej stronie tronu uniosła się nagle z podłogi i głośno sycząc parą, przesunęła do przodu.

Najsłynniejszy, odnoszący największe sukcesy inżynier na świecie, jeśli rzeczywiście nim była, w niczym nie przypominał niewysokiego, ciemnowłosego, wiecznie żującego cygaro mężczyzny.

Stał na trzech metalowych nogach, każdej składającej się z trzech połączonych ze sobą segmentów. Podtrzymywały one poziomą podstawę w postaci dysku, na której spoczywała część główna w kształcie leżącej beczki, wyglądającej na skonstruowaną z drewnianych klepek opasanych obręczami z nabijanego ćwiekami mosiądzu. Oba denka beczki zaopatrzone zostały w występy o półkolistym kształcie, każdy wyposażony w dziewięć wieloprzegubowych ramion kończących się rozmaitymi narzędziami, od delikatnych chwytaków po śmiertelnie groźne ostrza, od wiertarek po młoty, od kluczy po spawarki. Kolejna kopuła wyrastała z górnej części „ciała” inżyniera. Ona też wyposażona była w ramiona, łącznie sześć, choć te przypominały raczej macki, długie i giętkie, zakończone kleszczami w miejscu rąk.

W na pozór przypadkowych miejscach korpusu przez szczeliny w drewnie wyglądały wirujące koła zębate, a na jednym z ramion, nie sposób powiedzieć, prawym czy lewym, bo Brunel wydawał się nie mieć przodu ani tyłu, powoli wznosiły się i opadały tłoki. Na drugim poruszały się miechy wydające upiornie rzężący dźwięk. Małe rury wydechowe po obu stronach beczki wypuszczały kłęby białej pary.

Wśród mnóstwa elektrycznych urządzeń to wielkie, parowe wydawało się dziwnie prymitywne. Szło, ciężko waląc nogami w podłogę. Przykucnęło przy boku Swinburne’a. Z jednego z odpowietrzników wydobyła się gorąca chmura, owiewając twarz poety. Z głębi potężnego mechanizmu rozległ się melodyjny dźwięk dzwonków.

– Do głosu naszego drogiego przyjaciela Isambarda trzeba się przyzwyczaić – powiedział Darwin. – Właśnie potwierdził, że owszem, żyje i ma się nieźle.

Swinburne wybuchnął śmiechem.

– To mi się tylko śni! – krzyknął. – To mi się tylko śni!

– Bardzo interesujące. Zauważmy, jak poeta zaprzecza świadectwu swych zmysłów. Co za fascynująca reakcja. Sugerujemy przerwanie więzi między wrodzonym zmysłem życia a nabytym zmysłem tożsamości intelektualnej. No proszę! Algernon Swinburne całkiem dosłownie nie jest w stanie uwierzyć świadectwu swych oczu. Warto zauważyć, że nie patrzy na nic konkretnego. Proponujemy przyjąć, że jest to symptom znanego medycynie stanu zwanego szokiem, spowodowanego w tym przypadku nieznajomością otoczenia. Gdyby należał do niższego rzędu zwierząt, przypłaciłby go utratą życia. A więc kontynuujmy ten jakże zabawny eksperyment. Być może krótkie wyjaśnienie, w jaki sposób Brunel istnieje, przywróci zerwaną więź? Tak... ale chwileczkę, wkroczyliśmy oto

na zupełnie nową ścieżkę rozumowania. Jesteśmy zainteresowani faktem, że istota, umieszczona w nieznanym sobie środowisku, może zareagować w ten sposób. Jeśli ewolucja to alternatywa: przystosuj się lub giń, czyż szok nie jest całkowicie nieprzydatny w tym procesie? Po co więc istnieje? Jaką pełni funkcję? Czujemy się zmuszeni do dalszego prowadzenia eksperymentu. Zgoda. Jednakże kontynuujmy sprawę naszego fałszywego kominiarczyka. Algernonie Swinburne, patrzysz w tej chwili na coś, co można nazwać maszyną podtrzymywania życia. Jest zasilana parą, co zapewnia jej pełną mobilność, bo inżynierowie jeszcze nie opracowali techniki pozwalającej zgromadzić odpowiednią elektryczną moc w przenośnym pojemniku. Nasz kolega Isambard sam umieścił się w niej w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Od tamtej pory utrzymuje go przy życiu, umożliwia mu też sprawowanie rządów wśród techników.

– Cóż, bardzo to miłe – wymamrotał Swinburne, cofając się najdalej jak to możliwe od wielkiej Brunelowskiej maszyny. – Ale wróćmy może do jednej cholernej najważniejszej rzeczy: dlaczego porywacie czyścicieli kominów?

Darwin rozprostował kościste palce.

– Ach! Znowu patrzy bystro. Doskonale! Czy mu powiemy? Tak. A więc kontynuujmy. Nie mamy się czego obawiać, ponieważ wkrótce zostanie zniszczony. Algernonie Swinburne, kiedyś, w przyszłości, w czasie nieodległym, bo mierzonym stuleciami, cywilizowane rasy ludzkie z niemal absolutną pewnością eksterminują i zastąpią rasy dzikie na całym świecie.

– Doprawdy?

– Taka jest ścieżka ewolucji. Podstawą naszego eksperymentalnego programu jest konieczność udzielenia odpowiedzi na następujące pytania: „Czy imperium brytyjskie jako cywilizacja dominująca przyspiesza ten proces?”, „Jaki kształt przybierze przyszłe imperium?”, „Jakie cechy fizyczne okażą się najkorzystniejsze dla jego mieszkańców?”. By zaleźć te odpowiedzi, podzieliliśmy eksperyment na trzy części. Po pierwsze, chcemy zdjąć z barków obywateli imperium ciężar przetrwania, tak by mogli skoncentrować się wyłącznie na kształceniu talentów naukowych i wynalazczych. Pan Brunel nadzoruje więc przyspieszoną produkcję maszyn, które we właściwym czasie wypełnią wszystkie materialne funkcje konieczne do podtrzymania życia, od produkcji i dystrybucji żywności do tworzenia i konserwacji domów.

– A co z tymi z nas, którzy nie chcą być naukowcami? – przerwał ten wykład Swinburne.

– Drugi nurt naszego eksperymentu powstał specjalnie z myślą o takich jak ty. Dotyczy selektywnej hodowli... eugeniki w jej najczystszej formie. Większa część ludzkości, czyli ta, która nie wyrobiła w sobie jeszcze zdolności do racjonalnego myślenia, jest chaotyczna i nieprzewidywalna. Kierują nią zwierzęce kaprysy, a one nawet po tym, jak maszyny wyeliminują głód, nadal będą zakłócały proces ewolucji. Zamierzamy więc zapewnić sobie posłuszeństwo mas przez interwencję biologiczną, program, dzięki któremu każda jednostka zyska specjalizację przydatną dla ogółu. Używamy kominiarzy jako naszych obiektów testowych i tak manipulujemy biologią, by ich potomstwo pozostało niewielkie wzrostem, bowiem taka forma jest idealna dla sprawowanej przez nich funkcji. Trzeba sobie powiedzieć, że ubogacamy tych chłopców, wpisując w nich poprzez hodowlę dodatkowe cechy, które dobrze posłużą im w zawodzie. Zamierzamy śledzić postępy przez kolejne pokolenia i gdy tylko nasze techniki osiągną doskonałość, zaczniemy tworzyć inne organizmy wyspecjalizowane, na przykład

górników doskonale widzących w ciemności, robotników o wielkiej sile fizycznej i tak dalej. Większa część ludzkości upodobni się do maszyny, jej poszczególne części będą gładko ze sobą współpracowały, a cały mechanizm stanie się służebnym wobec naukowców. Trzeci nurt eksperymentu, prowadzony przez naszą koleżankę, siostrę Nightingale...

Swinburne aż zachłysnął się ze zdumienia, bowiem znał Florence Nightingale. Chodziły plotki, że Richard Monck Milnes oświadczył się jej dziesięć lat temu i choć jego oświadczyny nie zostały przyjęte, uwaga, jaką nieustannie poświęcał pannie Nightingale, doprowadziła ją do załamania nerwowego.

– ...dotyczy wprowadzania niższych gatunków na poziom, na którym będą w stanie lepiej przysłużyć się ludzkości.

– I twoi ludzie-wilki mają być tego przykładem – przerwał mu znowu poeta.

– Zauważmy jego impulsywną dociekliwość – powiedziały w harmonii głosy Darwina i Galtona zamkniętych w jednym groteskowym ciele. – Brak mu cierpliwości koniecznej do zebrania faktów przed sformułowaniem pytania, więc wypowiada każde, gdy tylko przyjdzie mu ono do głowy. Nie jest to zachowanie charakterystyczne dla ukształtowanego umysłu. Mimo to musimy przecież komunikować się na jego poziomie, prawda? Algernonie Swinburne, masz słuszność: te stworzenia nie są ludźmi przemienionymi w wilki, lecz wilkami przemienionymi w ludzi. Czuję się zmuszony do przyznania, że nasza metodologia w tym zakresie wymaga jeszcze bardzo wielu prób, nim będzie można uznać ją za doskonałą. Wilkołaki cechuje nieszczęśliwa biologiczna nierównowaga, powodująca spontaniczny samozapłon. Siostra Nightingale zajmuje się tym właśnie problemem.

– Mam nadzieję, że poparzy sobie palce – mruknął Swinburne pod nosem.

– Będziemy kontynuować. Prowadzimy także eksperyment niższej rangi, łączący w sobie pewne cechy pierwszego i trzeciego programu. Jego celem jest mechaniczne wzmocnienie ludzkiego ciała. Popatrz tylko!

Darwin wskazał na coś znajdującego się po prawej ręce skrępowanego Swinburne’a. Poeta spojrzał w tamtą stronę, lecz zobaczył tylko masywne urządzenia, iskrzące elektrody, kable, przewody, migające światełka i obiekty, których znaczenia nie potrafił zinterpretować.

Coś się poruszyło.

Poruszył się przód czegoś w kształcie rombu, metalowej płyty z osadzonymi w niej tarczami zegarowymi i wskaźnikami, stojącej, lecz odchylonej nieco w tył. Przez głowę poety przemknęła myśl, że bardzo przypomina sarkofag, którego wieko podnosi się właśnie pozornie samo z siebie. Wydostał się z niego biały opar, opadł śniegiem na podłogę.

Wieko wysunęło się, a potem cicho przesunęło w bok, odsłaniając wnętrze urządzenia. Swinburne zobaczył nagiego mężczyznę, na którego bladej skórze błyszczała warstewka lodu. Od wewnętrznej części sarkofagu biegły rurki przebijające skórę pokrytych bliznami ud, ramion i szyi i tam wnikające w jego ciało. Mężczyzna pozbawiony był górnej lewej ćwiartki czaszki, lewe oko zastępowała mu soczewka osadzona w mosiężnych pierścieniach. Wyżej, tam gdzie powinno znajdować się czoło i linia włosów, widniała mosiężna kopuła ze szklaną płytą z przodu, co przypominało mały żeglarski iluminator. Znad ucha z ciała wyrastał klucz do nakręcania.

Ludzka część twarzy miała wyraz wielkiego spokoju. Choć zgolono z niej krzaczastą

brodę, Swinburne natychmiast rozpoznał te rysy.

– Dobry Boże! – krzyknął. – John Hanning Speke!

– Oczywiście – przytaknął Darwin. – Wkrótce dojdzie do siebie wystarczająco, by móc nam służyć. Jak widzisz, lewy płat mózgu zastąpiony został babbage'em.

– Czym?

– Kalkulatorem prawdopodobieństwa stworzonym przez naszego kolegę, Charlesa Babbage'a. Oprócz wielu innych przyniesie nam także tę korzyść, że wzmocni zdolności pana Speke'a do analizy sytuacji i formułowania strategicznych reakcji w oparciu o wnioski z analizy. Urządzenie to napędza mechanizm zegarowy, dzięki czemu jest mobilne.

– I on się na to zgodził? – wybełkotał poeta.

– Nie miał możliwości zgadzania się na coś bądź niezgadzania. Umierał, nie zachowując przytomności. Ocaliliśmy mu życie.

Sarkofag zamknął się, ukrywając Speke'a w swym wnętrzu.

– Algernonie Swinburne – oznajmił Darwin, przeszywając małego poetę przenikliwym spojrzeniem – a teraz przeanalizujemy twe reakcje. Mów.

Swinburne ponuro przyglądał się czemuś, co go porwało i uwięziło. Odkaszlnął, oblizał wargi.

– Będzie krótko – powiedział schrypniętym głosem. – Zalejesz imperium nowymi maszynami, mającymi zdestabilizować obecny porządek społeczny. Zamierzasz stworzyć nowy, w którym wyspecjalizowani ludzie będą niczym trutnie w czymś, co najbardziej przypomina naukowy pszczeli rój. Dodatkowo ingerujesz w biologię zwierząt, z których tworzysz bezmyślnych niewolników. A wszystko to dla ekspansji imperium brytyjskiego rządzonego przez naukowców i po to, by w końcu podporządkowało sobie cały świat. Mam rację?

Darwin skinął wielką głową.

– Jesteśmy pod wrażeniem jego zdolności redukowania tego, co skomplikowane, do twierdzeń drastycznie uproszczonych, lecz jednocześnie w swej istocie prawdziwych.

– I chcesz usłyszeć moją odpowiedź?

– Tak. Chcemy.

– Skoro chcecie, to macie: jesteście kompletnie, całkowicie, beznadziejnie, nieodwracalnie szaleni!

Trysnęła para. Isambard Kingdom Brunel uniósł powoli swą wielką postać, tym większą, że górowała nad małym, bezradnym człowieczkiem.

– Wszystko w porządku, Isambardzie. Uspokój się.

Maszyna zamarła, poruszał się tylko mały tłok na jej ramieniu, wznoszący się i opadający powoli, oraz miech na drugim, trzeszcząc przy tym i sapiąc, jakby oddychał umierający człowiek.

– Toż to absurd! – zapiszczał Swinburne. – Nie chcecie rozmawiać o moralności i etyce, w porządku, ale jak, na wszystkie świętości, zamierzacie skutecznie monitorować trzy gałęzie eksperymentu, skoro przeprowadzacie je jednocześnie i na jednym terytorium? Co z czynnikiem czasu? Na przykład kominiarze. Na rezultaty tego rodzaju badań będziecie musieli czekać pokolenia! Pokolenia! Spodziewacie się żyć wiecznie?

Po raz trzeci Darwin zatrzeszczał śmiechem, wyraźnie słyszalnym mimo syku i trzasku wyładowań elektrycznych.

– Zaskoczył nas! – przyznał. – Sięgnął sedna sprawy. Bowiem rzeczywiście,

Algernonie Swinburne, czynnikiem kluczowym jest czas! A jednak mamy...

– Milcz!

Krzyk dobiegł zza pleców poety, tak głośny, że odbił się echem zagłuszającym panujący w komnacie mechaniczny hałas.

– Skąd ta przeszkoda? – oburzył się Darwin, a Galton, ciągnąc za sobą przewód, zrobił dwa chwiejne kroki w przód, unosząc trzymaną w dłoni strzykawkę jak broń. Rozległ się terkot, ramię Brunela wysunęło się z wielką szybkością, chwyciło kleszczami nadgarstek automatu.

Brzęknęły dzwonki.

– Wybacz, Isambardzie. Zostaliśmy zaskoczeni, to wszystko. Panie Oliphant, proszę podejść i wytłumaczyć nam swe zachowanie.

Ramię Brunela cofnęło się, Galton opuścił rękę, a Laurence Oliphant wszedł w pole widzenia poety.

– No nie! – ucieszył się Swinburne. – Co za uroczy wieczór dziwadeł!

Oliphant rzucił mu złowrogie spojrzenie.

– Nie widzę znaku na jego czole? – jego spokojny, aksamitny wręcz głos przejął poetę dreszczem. – Uzyskaliście jego komórki?

– Nie było takiej potrzeby – odparł Darwin. – Bowiem, mimo iż jego wygląd na to nie wskazuje, mamy do czynienia nie z chłopcem, lecz z mężczyzną.

– Wiem. To Swinburne, poeta. Mały idiota, przez ostatnie kilka dni spędzał wyjątkowo wiele czasu w towarzystwie Burtona.

– Doprawdy? O tym nie wiedzieliśmy.

Oliphant niecierpliwie stuknął laską w podłogę.

– A skąd miałeś wiedzieć? Z takim zapałem zdradzałeś mu nasze plany, że zapomniałeś zapytać o jego!

– Przeprowadzałem eksperyment.

– Do diabła z eksperymentem! Jesteś maszyną do obserwowania faktów i wyciągania wniosków z obserwacji, ale nawet ci w tych dwóch mózgach nie zaświtało, że mówiąc mu o programie, przekazujesz informacje wrogowi!

– Nie byliśmy świadomi faktu, że jest naszym wrogiem!

– Głupcy! Powinniście traktować każdego człowieka jako wroga, póki nie udowodni, że nim nie jest!

– Masz rację. Było to interesujące ćwiczenie, ale eksperyment został ukończony ku naszej satysfakcji. Algernon Swinburne nie jest nam już potrzebny. Możesz pozbyć się go na zewnątrz.

– Pozbędę się go tutaj. – Oliphant wyjął rapier z laski.

– Nie! – powstrzymał go Darwin. – Przebywamy w laboratorium, a to jest bardzo delikatne środowisko. Nie zniesie rozlewu krwi. Załatw tę sprawę na dziedzińcu. Najpierw go wypytaj, dowiedz się, co wie Burton. Potem wrzuć ciało do pieca.

– Doskonale. Odwiążcie go. Panie Brunel, proszę wyprowadzić go z laboratorium.

Patrzący przed siebie oczami bez wyrazu Francis Galton odłożył strzykawkę na wózek narzędziowy, podszedł do Swinburne'a, zaczął rozpinać krępujące go pasy. Jedna z kończyn Brunela rozwinęła się, jej uchwyt zacisnął się na przedramieniu jeńca.

– Puść mnie! – krzyknął cienko poeta. – Na pomoc! Ratunku!

– Pora kończyć przedstawienie – warknął Oliphant. – Nikt nie usłyszy twoich wrzasków, a mnie, przyznaję, irytują.

– Odchrzań się! – Równie dobrze poeta mógł napluć mu w twarz.

Galton rozpiął ostatni rzemień. Brunel z największą łatwością uniósł porwanego w powietrze.

– Ajaj! Sam pójdę, żeby cię szlag trafił!

– Za mną!

Isambard Kingdom Brunel spełnił rozkaz Oliphanta, pobrzękując i łomocząc nogami, trzymając przed sobą w powietrzu wrzeszczącego cienko, wierzgającego jeńca. We trzech przeszli przez ogromne laboratorium. Wysokie, podwójne drzwi prowadziły na imponującej wielkości kwadratowy dziedziniec. Swinburne ze zdziwieniem spojrzał w niebo. Mijało południe, a on nie wiedział nawet, jak długo był nieprzytomny. Za to miejsce rozpoznał od razu: elektrownia Battersea. Wokół dziedzińca wznosiły się mury, a w ich narożnikach stały gigantyczne miedziane wieże.

– Puść go.

Brunel rozluźnił uścisk na jego ramieniu, poeta upadł bezwładnie na mokrą ziemię. Oliphant przyłożył mu rapier do gardła.

– Możesz odejść, Brunel.

Zabrzęczał dzwonek, wielka maszyna cofnęła się, drzwi się za nią zamknęły.

Albinos cofnął się, schował ostrze do laski. Odwrócił się, wielkimi susami podbiegł do wyjścia z dziedzińca: szerokiej, wysokiej bramy. W jedno z jej dwóch skrzydeł wstawiono normalne drzwi. Otworzył je.

– Droga ucieczki. – Uśmiechnął się, jego różowe oczy zabłysły, pionowe źrenice zwęziły się. Odsunął się na bok. – No idź. Biegnij!

Algernon Swinburne patrzył na niego ze zdziwieniem. O co mogło mu chodzić? Pozbierał się z trudem, ruszył przed siebie. Oliphant cofnął się, dając mu więcej wolnego miejsca.

– Dlaczego...?

Albinos milczał. Uśmiechał się, śledząc wzrokiem poruszenia ofiary. Poeta wzruszył ramionami. Przyspieszył kroku. Był nie więcej niż cztery stopy od wyjścia, kiedy Oliphant skoczył.

Swinburne krzyknął. Pobiegł, ale jego prześladowca był wyjątkowo, nieprawdopodobnie szybki. Zaatakował, chwycił ofiarę za kołnierz, gdy stała już niemal w progu, szarpnął. Tak mocno, że Swinburne poleciał w powietrze, a potem uderzył w ziemię, przetoczył się przez kałużę, rozpryskując wodę i zatrzymał niemal dokładnie w miejscu, w którym rzucił go Brunel.

Oliphant zachichotał. Był to okrutny, złowrogi dźwięk.

Swinburne pozbierał się jakoś, wstał.

– Kot i mysz – powiedział cicho do siebie. – I to ja jestem tą cholerną myszą.

*** Rozdział 14 ***

Trop

Gdy zmieniamy jakiś element zwierzęcej natury, inny jej element zmienia się sam z siebie, jakby działał jakiś system kontroli i równowagi. Czego nie potrafimy zrozumieć to fakt, że nieplanowane zmiany wydają się całkowicie bezsensowne z funkcjonalnego punktu widzenia. Zbija mnie to z tropu. Zbija to z tropu Galtona. Zbija z tropu Darwina. Możemy tylko próbować, próbować, próbować.

Florence Nightingale

Sir Richard Francis Burton pojechał na cmentarz Squirrel Hill. Szybko, bez problemu znalazł miejsce, gdzie pożywiały się *loups-garous*. Rozkopały groby, porozbijały trumny, wyciągnęły z nich gnijące trupy, rozszarpały je, a szczątki pozostawiły w wilgotnym błocie.

Choć już w Afryce fascynowała go idea kanibalizmu, w sercu Burtona drzemał głęboki strach przed makabrą. Wszystko, co związane z trupami i cmentarzami, zawsze wyprowadzało go z równowagi. Zwłoki, które widział na East Endzie i o które nawet zdarzało mu się potknąć, napełniały go nabożnym lękiem, poszarpane ciało Montague Pennifortha doprowadziło do mdłości, a teraz to! W ustach momentalnie zrobiło mu się sucho, jego serce biło jak oszalałe.

Stojący posłusznie przy nodze Fidget zawarczał, pisnął, szarpnął się na smyczy. Podróżnik przykucnął przy nim, ujął w dłonie jego łeb, zajrzał głęboko w duże, brązowe ślepia.

– Posłuchaj, Fidget – powiedział. – Ten cholerny deszcz prawdopodobnie zmył wszystkie zapachy, ale ty musisz jakimś cudem znaleźć ten właściwy. Rozumiesz? Życie mojego przyjaciela od tego zależy. – Wyjął z kieszeni białe rękawiczki Swinburne'a, podsunął je pod nos basseta. – Szukaj, Fidget! Szukaj!

Pies zaskowyczał krótko i gdy tylko jego pan wyprostował się, zaczął entuzjastycznie obwąchiwać ziemię, zataczając coraz szersze kręgi. Kilkakrotnie natykał się na rozrzucone kości i kawałki przeżartego przez robaki mięsa, prychał wtedy przez nos, co zdaniem Burtona oznaczało, że nie podoba mu się nie tyle smród zwłok, co woń wilkołaków. Mogło się to okazać błogosławieństwem, bo jeśli ich zapach był aż tak silny, psu łatwiej byłoby pójść za nim niż za zapachem poety.

W końcu okazało się, że jest właśnie tak. Fidget zaprowadził go tam, gdzie sądząc po pozostałych nawet po deszczu śladach, doszło do jakiejś szarpaniny. Głębokie, wyżłobione w ziemi podeszwami butów bruzdy świadczyły, że kogoś ciągnięto, a wokół nich było mnóstwo śladów *loups-garous*. Potem nagle ślady obecności Swinburne'a znikły, a ślady łap poprowadziły w stronę muru cmentarza, którego część zawaliła się w tym właśnie miejscu.

– Stąd go nieśli – mruknął Burton do siebie.

Fidget patrzył na niego, jakby chciał przeprosić. Ślad Swinburne'a znikł.

– Nie martw się, przyjacielu. Gra jeszcze nie skończona.

Podróżnik przepchnął basseta przez dziurę w murze, sam przeszedł na drugą stronę, wepchnął nos psa w jeden z odcisków łapy wilkołaka. Fidget zawarczał basowo, krzywiąc pysk z obrzydzenia.

– Trop!

Pies zaskomlał, pisnął cienko, spróbował pociągnąć pana z powrotem na cmentarz.

– Nie! Nie w tę stronę. Tędy. Trop!

Basset zatrzymał się, przyjrzał nowemu panu, potem śladom łap, odwrócił się i odbiegł od cmentarza.

– Dobry piesek.

Ciągnięty przez podnieconego psiaka królewski agent niemal zbiegł ze wzgórza, popędził wzdłuż ogrodzenia i przez zaśmieconą alejkę, dzielącą tylne podwórka dwóch rzędów szeregowych domków, aż wreszcie znaleźli się na Devonport Street. Fidget skręcił w prawo, popędził w dół, z jednej strony głównej ulicy, Cable Street, na drugą i dalej, w stronę Tamizy. Burtona zaskoczyło, jak szybko się poruszał. Deszcz padał od ładnych kilku godzin, a jednak zapach wilkołaków pozostał – wystarczający dla zdumiewającego doprawdy zwierzęcia.

Biegli wśród ludzi. Wielu z nich oglądało się za mężczyzną goniącym małego basseta, niektórzy krzyczeli i gwizdali, ale podróżnik nawet ich nie zauważał, z takim zapamiętaniem oddał się pogoni.

Na brzegu rzeki skręcili znów w prawo, zgodnie z jej biegiem wzdłuż Wapping Wall. Od straszliwego odoru głównej drogi wodnej miasta Burtona zemdliło, ale Fidget nie zwrócił na niego uwagi. Jego czuły nos oddzielał zapachy jeden od drugiego, segregował je, pozwalał mu odepchnąć te, którymi nie miał się interesować, skupić na tym, który kazano mu tropić.

Podążali na zachód obojętni na otaczający ich Kocioł z wszystkim typowymi dla niego makabrami, dziejącymi się także na ich oczach. Po dwóch milach, nadal daleki, pojawił się London Bridge. Burton dostrzegł wylot Mews Street i zabity deskami lombard, w którym spotkał się z Paulem Gustave'em Dorém.

Mężczyzna z psem minął doki i Tower of London. Obaj wąskim łącznikiem przekroczyli zatrutą rzekę. Kamienna powierzchnia była śliska od obrzydliwej mazi i choć deszcz nie padał już tak gęsto, niebezpiecznie było śpieszyć się akurat tutaj. Jeden nieostrożny krok mógł posłać ich wprost do obrzydliwej wody.

W mroku pod London Bridge Fidget zatrzymał się nagle i zaczął obwąchiwać próg wąskich drewnianych drzwi, na których widniał napis: „Wstęp surowo wzbroniony". Burton pchnął je ramieniem. Otworzyły się z niskim, nieprzyjemnym zgrzytem. Za nimi znajdowało się kwadratowe pomieszczenie.

Podróżnik wyjął z kieszeni gazową latarkę. Obrócił część mechanizmu i jej boki

rozjaśniły się, wypełniając światłem salę, jak się okazało, pustą. Na posadzce widać jednak było ślady błota w kształcie łap prowadzące w stronę przeciwległej ściany, pod kamienny łuk, w ciemność. Ciągnięty przez niecierpliwiącego się psa Burton zamknął drzwi, a potem poszedł za tropem. Spod łuku kamienne stopnie wiodły w dół, w jeszcze gęstszy mrok. Nie zawahał się.

Im niżej schodzili, tym robiło się wilgotniej, aż wreszcie dotarli do miejsca, w którym woda dosłownie lała się ze ścian. Minęło ładnych parę minut, nim wreszcie dotarli do podnóża schodów, skąd dalej prowadził wykuty w litej skale tunel. Jego posadzka zalana była brudną wodą, a przy lewej ścianie biegły trzy grube rury. Burton uznał, że płynie nimi gaz.

– W tych warunkach niczego nie wywąchasz – powiedział cicho do Fidgeta. – Ale nie ma tu innej drogi, więc... idziemy dalej. No, hop!

Pochylił się, wziął basseta na ręce, wszedł w zimną, obrzydliwą ciecz. Jeszcze dwa stopnie i pod stopami poczuł równą płaszczyznę. Woda wirowała mu wokół kolan, wypełniła buty, zatkała nos ohydnie gęstym smrodem gnijących ryb. Ze stropu spadały gęsto krople. Ich plusk rozchodził się wokół dziwnie melodyjnym echem.

Królewski agent parł przed siebie wąskim tunelem, trzymając w ręku tykającą latarnię, rzucającą niespokojne plamy światła na ociekające wodą ściany i błyszczące wilgocią metalowe rury. Wkrótce przed nim była już tylko ciemność sprawiająca, że doznał tego samego wrażenia co wtedy, gdy w rotofotelu przelatywał przez mgłę: że porusza się, ale nigdzie nie dociera i że jego podróż nie będzie miała końca.

Szedł dalej.

Uznał za oczywiste, że znajduje się pod Tamizą, a świadomość naciskającego z góry ciężaru była wręcz przerażająca. Nigdy nie czuł się dobrze w ciasnej, zamkniętej przestrzeni. *Bismillah!* W tej chwili oddałby wszystko za rozległe przestrzenie Afryki, wiecznie zmienne piaski Arabii.

– Dlaczego się na to zgodziłem? – szepnął Fidgetowi do ucha. – Służę imperium, którego działań nie pochwalam, i krajowi, którego nie mogę nawet nazwać ojczyzną.

Pies zaskomlał, złożył mu pysk na ramieniu.

Nagle, niespodziewanie, tunel skończył się ciągiem schodów.

Burton odetchnął z ulgą. Wyszedł z wody, rozpoczął wspinaczkę. Z bassetem w ramionach wyszedł wreszcie do sali pod każdym względem przypominającej tę, do której dostali się z łącznika. Postawił Fidgeta na kamieniach, wcisnął jego nos w odcisk wilczej łapy.

– Trop! Dobry piesek!

Basset natychmiast pobiegł do drzwi w ścianie przeciwległej do wejścia. Spojrzał na niego znacząco, jakby chciał powiedzieć: otwórz je.

Podróżnik spełnił jego życzenie i w ten sposób wyszli na drugi łącznik, także pokryty śliskim mułem. Nadal znajdowali się na London Bridge, ale już po stronie Southwark. Wyłączył latarnię, schował ją do kieszeni.

Fidget wyprowadził go na Tolley Street, gdzie jego oczom objawił się obraz zniszczenia. Tę część Londynu, rejon Hay’s Wharf, jeszcze w czerwcu zniszczył straszliwy pożar. Magazyny płonęły przez dwa dni. Nawet teraz, w trzy miesiące później i w trakcie padającego deszczu, pogorzelisko nadal zauważalnie się tliło. Rozciągało się na wschód jak okiem sięgnąć: czarna jałowa ziemia, a nad nią warstewka brudnej mgły, której nawet deszcze nie dawały rady.

Burton aż się skrzywił. Widok ten był bolesny dla niego osobiście, bo wśród spalonych magazynów był też magazyn Grindlays, w którym przechowywał większość orientalnych manuskryptów, na które, gdy służył jeszcze w armii w Indiach, wydał większość żołdu; kufry wypełnione orientalnymi i afrykańskimi kostiumami i pamiątkami, a także wiele prywatnych zapisków. I wszystko to strawił ogień.

Z posępnym humorem wspominał urzędnika z centrali Grindlays, który na widok jego rozpaczy spytał:

– Stracił pan może nagrody sportowe lub biżuterię, sir?

– Nie, nic takiego – oparł.

– Ach, miło słyszeć! – ucieszył się urzędnik. – Więc nie jest jeszcze tak źle!

Fidget szarpnął smycz.

Podążyli na zachód, wzdłuż rzeki, aż do Southwark Bridge i dopiero tam skręcili w głąb lądu. Z nosem tuż przy ziemi basset pociągnął pana w boczną uliczkę prowadzącą ich do serca dzielnicy. Burton ocenił, że choć w nocy prawdopodobnie pusta, teraz, wczesnym popołudniem, roiła się wręcz od ludzi zajętych swoimi sprawami. Mężczyzna z psem przepychali się wśród nich, przebiegali od zaułka do zaułka, dotarli do Lambeth, z Lambeth do Vauxhall, aż wreszcie znaleźli się na Nine Elms Road. Tu trop, którym podążał pies, skręcił z drogi, przeprowadził ich przez dziurę w drewnianym ogrodzeniu i dalej, równolegle do ulicy. Królewski agent domyślał się już, dokąd zmierzają, bo z każdym krokiem zbliżali się do bijących w niebo czterech potężnych konstrukcji przypominających kominy.

Swinburne nie mógł przestać się śmiać.

Bolało go całe ciało, a każdy siniak, każde skaleczenie, każda rana dostarczały mu czystej rozkoszy.

Laurence’a Oliphanta opanowała ślepa furia. Odrzucił laskę, ściągnął płaszcz, cisnął go na ziemię, podwinął rękawy koszuli. Nie przejmując się niczym, bił małego poetę. Zamierzał go zabić, oczywiście, ale niech go diabli, jeśli ten rudy pętak łatwo straci życie. Nic z tego, ma umierać długo, cierpiąc, śmiertelnie przerażony.

Więc raz za razem pozwalał mu dobiec do kusząco otwartych drzwi, raz za razem dopadał go w ostatniej sekundzie i rzucał z powrotem na środek dziedzińca.

A Swinburne się śmiał.

Diabolicznie uśmiechnięty albinos okrążył go, doskoczył i uderzył. Swinburne wyleciał w powietrze, obrócił się i padł na ziemię, drąc ubranie i skórę pod nim. Ale wstał, poraniony, zakrwawiony, z obłędem w oczach. Jego chichot przeszedł w bulgot, zaczynał dławić się krwią cieknącą z nosa i rozbitych ust.

Oliphant znalazł się obok niego w czterech długich krokach.

– Czym ty właściwie jesteś? – wychrypiał poeta. – Jednym z tych obrzydliwych eksperymentów siostry Nightingale?

– Zamknij gębę!

– Co ona ci zrobiła, Oliphant?

– Uratowała mnie.

– Przed czym?

– Śmiercią, poeto. Śmiercią. Rozkochałem się w opium, stałem się nałogowcem i zapadłem w śpiączkę w jaskini narkotykowej Limehouse. Panna Nightingale uratowała funkcjonujące jeszcze części mojego mózgu, po czym zespoliła je z częścią mózgu uczłowieczonego zwierzęcia.

– Jakiego zwierzęcia?

– Białej pantery.

– Ach, to wszystko wyjaśnia!

– Wyjaśnia co?

– Ilekroć się do mnie zbliżasz, czuję smród kocich szczyn.

Albinos wydał z siebie wściekły syk, chwycił poetę jedną ręką za kark, drugą za udo, podniósł go, obrócił i cisnął nim wysoko w powietrze. Nieszczęśnik uderzył o mur, spadł, przetoczył się bezwładnie i znieruchomiał. Z poziomu ziemi zielone oczy obojętnie obserwowały zbliżające się stopy oprawcy.

Poeta otworzył usta, na których natychmiast pojawiły się kropelki krwi. Wychrypiał:

Zwyciężyłeś, blady Galilejczyku.
Świat poszarzał pod twym tchnieniem,
Pijemy wody letejskie,
Żywimy się śmiertelnym uspokojeniem1.

1 Algernon Charles Swinburne, *Hymn do Prozerpiny*, przekład Kris Van Der Graaf.

Oliphant pochylił się nad nim nisko.

– Biegnij, mały człowieczku – szepnął. – Biegnij do drzwi.

Swinburne obrócił się na wznak. Spojrzał w złe, różowe ślepia.

– Dziękuję – wybełkotał – ale mam ochotę poleżeć sobie trochę, ułożyć wiersz, może dwa? Jeśli ci to odpowiada...

– Nie odpowiada. – Albinos chwycił go za gardło, poderwał z ziemi, uniósł w powietrze za chudą szyję, przyglądając się, jak twarz ofiary zaczyna sinieć. Swinburne wierzgał, próbował kopać, zaciskał dłonie na nadgarstku mordercy, ale nie miał szansy sam się uwolnić.

Nagle zauważył coś za plecami Oliphanta i jego ciało wyraźnie się rozluźniło. Ba, nawet znowu zdołał się uśmiechnąć!

Albinos przyglądał mu się w zdumieniu.

Niski, rozkazujący głos odbił się echem od murów:

– Puść go!

Oliphant odwrócił się błyskawicznie.

Sir Richard Francis Burton stał na dziedzińcu, tuż za bramą. Podniósł laskę albinosa, trzymał w ręku rapier. Mały pies przy jego nogach cofnął się, ukrył za framugą drzwi, wychylił łeb i z tej najbezpieczniejszej pozycji obserwował sytuację.

– Burton...

Oliphant puścił Swinburne’a. Poeta upadł, znieruchomiał i tylko chichotał cicho.

– Chodź tu, sukinsynu – warknął królewski agent.

– Nie jestem uzbrojony. – Oliphant szeroko rozłożył ręce.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Zachowanie niegodne dżentelmena.

– Wielu twierdzi, że nigdy nie byłem dżentelmenem. Nawet nazywają mnie

Bandziorem Dickiem. W tym szczególnym miejscu i czasie mam zamiar dorosnąć do tego przezwiska.

Skoczył nagle, mierząc w serce albinosa, ale człowiek-pantera obrócił się, cofnął i ostrze zaledwie rozcięło rękaw koszuli.

– Jestem dla ciebie za szybki, Burton – wydyszał i niczym błyskawica zadał cios nisko, mierząc ostrymi pazurami w udo podróżnika. Ale on przewidział ten ruch, chwycił i unieruchomił mu rękę.

– Mnie też dopisuje szybkość reakcji. – Królewski agent zacisnął palce, aż zatrzeszczały kości. Oliphant wrzasnął, a on puścił rapier i z całej siły uderzył go pięścią w podbródek. – I chyba przyznasz mi rację, kiedy powiem, że jestem silniejszy.

Lewą ręką bezlitośnie krusząc kości prawej ręki albinosa, prawą metodycznie miażdżył twarz śmiertelnego wroga. Krew trysnęła z połamanego, zmiażdżonego kociego nosa człowieka-pantery, pękły kły. Pod ciosami zaczęła pękać także skóra.

Burton walczył niezwykle metodycznie, można powiedzieć: naukowo. Przypomniał sobie czasy młodości i wyniesione z nich umiejętności bokserskie, chłodno, uważnie wybierał miejsca do zadania ciosów, wymierzał ich kolejność, ich siłę i nie zapominał o pilnowaniu skuteczności, tak by ofiara odczuwała każdy z nich w całej jego niszczącej pełni, ale, broń Boże, nie straciła przytomności.

Była to więcej niż kara, ale torturując tego przeciwnika, Burton nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia.

Fidget ostrożnie przeszedł przez bramę i powoli, krok za krokiem ruszył wzdłuż muru, zbliżając się do leżącego Swinburne'a. Raz za razem oglądał się na swego pana, cały czas trzymając się ściany, dotarł wreszcie do stóp poety. Obwąchał ochlapane krwią buty, wsunął nos do przykrótkiej nogawki spodni i... wbił zęby w chudą kostkę.

– Aaaauuuu!

Burton odwrócił się i przy tym odsłonił na najkrótszą chwilę. Laurence Oliphant wykorzystał okazję, wyrwał poharataną rękę z uścisku, błyskawicznie wystartował do ucieczki. Odskoczył do tyłu, przetoczył się, poderwał na równe nogi i już był przy wielkiej bramie prowadzącej do budynku elektrowni. Doskonale wyważone wrota otworzyły się pod lekkim dotknięciem i natychmiast zatrzasnęły. Ścigający go Burton uderzył w nie z całej siły, pociągnął je, popchnął i przyjął do wiadomości fakt, że wróg zdołał mu uciec.

Podszedł do przyjaciela. Odsunął Fidgeta na bok.

– Żyjesz, Algy?

– Ach, jak wspaniałe jest to życie...!

– Możesz iść?

– Byłem pewien, że mogę, a potem to cholerne psisko mnie ugryzło!

– Idiota! Ledwie cię drasnął.

Podróżnik ujął poetę pod ramiona, pomógł mu wstać. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że na jego ciele nie ma jednego cala kwadratowego wolnego od krwi.

– Lekarz musi obejrzeć cię jak najszybciej – powiedział. – Trzeba koniecznie powstrzymać krwawienie.

– Było cudownie – westchnął Swinburne. – Zniosłem wszystko, czym zechciał mnie obdarować. Czy to była odwaga, Richardzie?

– Tak, Algy, z całą pewnością była to odwaga.

– Cudownie! Po prostu cudownie! Aha, przy okazji: tam, w środku, jest John Speke.

Nim Burton zdążył coś powiedzieć, z przeciwnego końca dziedzińca dobiegło ich wycie.

– Wilkołaki! – westchnął podróżnik. – Musimy się stąd wynosić.

Pociągnął poetę w stronę otwartych drzwi, po drodze podnosząc z ziemi laskę Oliphanta, ale nim tam dotarli, dobre pół tuzina ludzi-wilków w czerwonych płaszczach wyskoczyło spod arkady i rzuciło się za nimi w pogoń. Przewodnik watahy, pędzący na jej czele, patrzył na nich płonącymi w cieniu kaptura ślepiami. Pokazał ostre kły w strasznej parodii uśmiechu, wyciągnął w stronę uciekinierów zakończoną pazurami łapę... i nagle zapłonął żywym ogniem. Pozostałe stwory rozproszyły się, uciekając przez rozpętanym nagle piekłem, a w całym tym zamieszaniu Swinburne odskoczył od Burtona, zanurkował, by chwycić coś z ziemi, rzucił się przez drzwi wyjściowe, przy okazji przewracając królewskiego agenta. Wylądowali poza terenem elektrowni jeden na drugim, a Fidget zaplątał im się między nogami.

Burton poderwał się i zamknął drzwi. Nie było sposobu, by je jakoś zabarykadować od zewnątrz, nie pozostało im więc nic innego, jak skorzystać z okazji, że wilkołaki poszły w rozsypkę, i uciekać.

Podróżnik zarzucił przyjaciela na ramię. Popędził najszybciej jak potrafił na zachód, przez pas nagiej ziemi w stronę linii kolejowej, za którą znajdowała się już ruchliwa Kingstown Road i, dalej, Chelsea Bridge. Basset dzielnie pędził obok niego.

– Pośpiesz się, są tuż za nami! – krzyknął Swinburne.

Jedno szybkie spojrzenie przez ramię wystarczyło do potwierdzenia tej oceny: wataha *loups-garous* wylewała się przez bramę.

Mimo krótkich łapek Fidget pędził jak chart i nawet zdążył pierwszy przebiec przez tory. Burton próbował dotrzymać mu kroku, ale ciężar na ramieniu spowalniał go, a po prawej widać już było pędzącą lokomotywę. Wydawało się, że droga ucieczki została odcięta, że nie zdąży przeskoczyć na drugą stronę... a wilkołaki doganiały go szybko.

Królewski agent pojął, że nie ma wyboru. Odetchnął głęboko. Skupił całą wolę, wszystko, czym dysponował, na zmuszeniu nóg do jeszcze większego wysiłku.

Zdarzenia z następnych kilku sekund nastąpiły tak szybko, że świadomość nie była w stanie zarejestrować ich wszystkich we właściwej kolejności, a jednak śniły mu się one później przez wiele miesięcy.

Lokomotywa jest tuż-tuż.

Burton resztkę sił wkłada w przeskoczenie torowiska.

Stopy odrywają się od ziemi.

Szpony rozdzierają mu marynarkę na plecach, ranią skórę.

Ogłuszający gwizd.

Ściana metalu po prawej.

Paląca mgła.

Uderzenia żwiru.

Toczy się.

Potworny ryk.

Smuga mknących kół, pod kołami... ogień.

Oddalający się grzmot.

Para rozwiewa się powoli.

Szare niebo.

Krople deszczu na twarzy.

Jęk przy boku.

Chwila ciszy.

I słowa:

– Auuu... wszyscy święci... kochana psinka, niech ją diabli wezmą... znowu mnie ugryzła!

Sir Richard Francis Burton roześmiał się. Śmiech ten zaczął się w żołądku, dotarł do piersi, zatrząsł całym jego ciałem, nie zamierzał ustąpić. Śmiał się z Indii. Śmiał się z Arabii. Śmiał się z Afryki. Śmiał się z Nilu, z Królewskiego Towarzystwa Geograficznego i Johna Hanninga, niech go diabli, Speke'a. Śmiał się ze Skaczącego Jacka, z wilkołaków, z albinosa i małego durnego pieska, z uporem godnym lepszej sprawy obgryzającego Swinburne'owi kostki.

Odpędził śmiechem swój dziecinny gniew, odpędził śmiechem urazy, wahania i niepewność, a kiedy wreszcie przestał się śmiać, był sir Richardem Burtonem, królewskim agentem służącym ojczyźnie, i już nie miało znaczenia, że jest też outsiderem i że nie zgadza się z jej polityką zagraniczną. Miał do wykonania zadanie, to wszystko.

Przestał się śmiać. Leżał, wpatrując się w milczeniu w szare niebo. Londyn szemrał i pomrukiwał z daleka.

Usiadł, przyjrzał się przyjacielowi dokładniej. Poeta stracił przytomność. Fidget siedział przy jego stopie, radośnie żując nogawkę spodni.

Lokomotywa znikła z pola widzenia za grupą magazynów, tory były puste, choć czuło się jeszcze ich wibrację. *Loups-garous* także znikły, pociąg wymazał ich ślady.

Burton wstał. Znów zarzucił nieprzytomnego przyjaciela na ramię i, często korzystając z laski Oliphanta pomagającej mu zachować równowagę, zszedł żwirowym zboczem, u stóp którego widać było drewniany parkan. Za parkanem biegła już Kingstown Road.

W połowie drogi po zboczu usłyszał donośne dudnienie. Odwrócił się, spojrzał na elektrownię. Unosiła się nad nią nieprawdopodobna wręcz maszyna, nabierała wysokości, napędzana, jak się wydawało, tryskającym z jej brzucha stożkiem kłębiącej się pary. Był to rotostatek, gigantyczna owalna platforma z szarego metalu, z iluminatorami umieszczonymi wzdłuż jej krawędzi. Zaostrzony, wznoszący się do góry dziób upodabniał go do galeonu, z boków sterczały wsporniki niczym wiosła, lecz na ich końcach, na pionowych trzonach, wielkie skrzydła obracały się tak szybko, że oko nie było w stanie za nimi nadążyć.

Czy na pokładzie tego statku był Speke? I kto jeszcze?

Swinburne wymagał pilnej opieki medycznej. Musiał oprzytomnieć, żeby przekazać wszystko, czego dowiedział się jako kominiarczyk.

Rotostatek wzniósł się w niebo i odleciał na północ. Burton zszedł do ulicy, a następnie skierował się w stronę Chelsea Bridge. Powoli, stopniowo, znów otoczył go kipiący londyński tłum. Widok przewieszonego przez ramię przechodnia małego, nieprzytomnego człowieczka wywołał liczne krzyki i wrzaski. Policjant pojawił się niemal natychmiast.

– Co się stało, proszę pana? Zdarzył się wypadek?

– Tak, konstablu – przytaknął królewski agent. – Proszę zatrzymać mi jakiś środek transportu. Mój ranny przyjaciel wymaga opieki lekarza.

– Powinienem pojechać z wami. Muszę umieścić to w raporcie.

– Doskonale... ale pospiesz się, człowieku!

Policjant wybiegł na ulicę. Zatrzymał konny czterokołowy powóz, wyrzucił z niego pasażerów mimo ich gniewnych protestów.

– Oburzające. Co to ma znaczyć, do diabła?! – zakrzyknął tęgi, starszy dżentelmen, który nagle znalazł się na ulicy. – To niedopuszczalne, tak traktować moją żonę. Jakby pan nie wiedział, ma sześćdziesiąt dwa lata!

– Haroldzie! – zaprotestowała wymalowana dama.

– Ależ... kochanie... tak strasznie mi przykro... – zawstydził się były pasażer i nagle, dostrzegłszy układanego na siedzeniu Swinburne'a, krzyknął: – Mój Boże! Biedaczyna! Ależ proszę, bierzcie panowie powóz. Bardzo proszę!

– Wielkie dzięki. – Burton wsiadł z Fidgetem w ramionach. Jako ostatni zajął miejsce konstabl.

– Dokąd? – spytał.

– Bayham Street, Mornington Crescent... tak szybko, jak to tylko możliwe.

Policjant podał adres woźnicy. Zamknął drzwiczki. Nagłe szarpnięcie rzuciło go na siedzenie. Poprawił się i przedstawił:

– Konstabl Yates. Więc... o co chodzi? Obaj wyglądacie na zdrowo pobitych.

– W królewskiej służbie, Yates. Rzuć okiem na to. – Burton podał mu wyjęty z portfela dokument.

– No nie! Oczom nie wierzę. To przecież podpis króla. W takim razie pan tu jest szefem, sir. Jak mogę panu pomóc?

Burton przede wszystkim wyjął z kieszeni notes i zaczął szybko coś pisać.

– Dowieziemy pana pod Scotland Yard, konstablu – oznajmił. – Proszę oddać ten list inspektorowi Trounce'owi. Zalecam natychmiastowy policyjny nalot na elektrownię Battersea.

– Kwaterę główną techników? Bez urazy, ale... ma pan spore wymagania.

Burton nie odpowiedział, zapisywał stronę swym drobnym, ścisłym pismem.

Powóz skręcił ma wschód, w Grosvenor Road, a następnie pojechał Millbank wzdłuż rzeki, minął budynki Parlamentu i znalazł się przy Scotland Yardzie. Konstabl Yates wyskoczył praktycznie w biegu, a oni ruszyli Strandem, manewrując w ścisku ulicy, aż boki koni pokrył pot. Zjechali w Kingsway, potem w Southampton Row i Eversholt Street. Potem był już Mornington Crescent i Bayham Street.

– Tu! – krzyknął Burton. Wyskoczył, nie czekając, aż powóz się zatrzyma. – Czekaj!

Podszedł szybko do frontowych drzwi, szarpnął sznurek dzwonka, niecierpliwie czekał, aż coś się stanie. Już miał zadzwonić po raz drugi, gdy drzwi wreszcie się otworzyły. Wdowa Wheeltapper w pierwszej chwili zmierzyła podejrzliwym spojrzeniem brudnego oberwańca, ale potem go rozpoznała.

– Ależ to pan kapitan Burton! – zdumiała się. – Jak to miło, że postanowił nas pan odwiedzić, lecz...

– Jest mi niewymownie przykro, szanowna pani, ale zdarzył się wypadek. Potrzebuję pomocy siostry Raghavendry. Czy jest w domu?

– Ojej! Natychmiast wyślę po nią Polly!

Królewski agent dosłownie wtargnął do domu wdowy. Już ze schodów krzyknął:

– Proszę nie robić sobie subiekcji, dobra kobieto. Ja po nią pójdę.

– Ależ... przyzwoitość nakazuje...! – Dama mogła oszczędzić sobie protestów, bowiem gość wbiegał już na piętro, gdzie czekała na niego siostra Raghavendra, którą hałasy wywabiły z jej pokoju.

– Sadhvi, potrzebuję twojej pomocy! Mój przyjaciel jest ranny. Pojedziesz z nami?

– Natychmiast, kapitanie. – Dziewczyna podjęła decyzję w ułamku sekundy. – To zajmie tylko chwilę.

Znikła w pokoju i w minutę później pojawiła się na schodach w czepku pielęgniarki, płaszczu, z płócienną torbą w ręku.

Zbiegli po schodach i znikli oboje za progiem, zostawiając dom na łasce wzburzonej wdowy, wołającej za nimi:

– Przyzwoitka! Na Boga, młoda damo, jedziesz gdzieś z tym oficerem bez przyzwoitki!

– Montagu Place, ale szybko – polecił podróżnik woźnicy. Gdy tylko znaleźli się w powozie, konie ruszyły galopem. W podskakującym, kołyszącym się wnętrzu pielęgniarka szybko badała rannego.

– Na wszystkie świętości, co mu się stało? – spytała.

– Miał spotkanie z twoim przyjacielem albinosem.

Pielęgniarka pobladła. Przesunęła palcami po ciele poety, badała rany, oceniała, jak są poważne.

– Albinos? – westchnęła po chwili. – Przecież to są obrażenia zadane przez dzikie zwierzę!

– Co z nim, siostro? Od dłuższego czasu jest nieprzytomny.

– On nie jest nieprzytomny, tylko śpi, kapitanie Burton. Musi być wyczerpany do granic możliwości.

Skręcili z Hampstead Road w Euston Road. Powóz mijał w pędzie wózki i dorożki, płoszył pieszych rozbiegających się przed nim w panice, ale na Marylebone Road ruch był tak gęsty, że zwolnili do zaledwie stępa.

Burton wystawił głowę przez okno.

– Bocznymi uliczkami, człowieku! – krzyknął.

Woźnica usłuchał i okazało się, że rzeczywiście, podróż dłuższą drogą okazała się w rezultacie krótsza. W kilka minut później byli już pod domem.

– Weź psa, proszę – powiedział Burton do pielęgniarki, która tylko skinęła głową, sam zaś zajął się przyjacielem.

Woźnica dostał hojny napiwek, po czym oboje, podróżnik i dziewczyna, wnieśli swe ciężary na piętro. Swinburne złożony został w pokoju gościnnym. Dopiero teraz Burton dostrzegł, że przyciska coś do piersi. Był to płaszcz; odebrał mu go i wrzucił do garderoby. Siostra Raghavendra tymczasem, dotąd idąca posłusznie za nim, postawiła Fidgeta na podłodze, otworzyła torbę, zaczęła z niej wyjmować ampułki, rolki bandaża i inne narzędzia swej profesji.

– Potrzebna mi będzie miska gorącej wody, kapitanie – rzuciła. – No i trochę to potrwa. Nigdy nie widziałam tylu sińców i ran na skórze jednego człowieka. Biedny chłopiec, musiał strasznie cierpieć.

Algernon Swinburne otworzył oczy.

– Cierpiałem, a jakże – szepnął. – Co za wspaniałe uczucie!

Była dziewiąta wieczorem, a Swinburne siedział w łóżku, pożywiając się filiżanką

uzdrawiającego rosołu z wołowiny. Sir Richard przydźwigał do gościnnej sypialni dodatkowe krzesła. Zajmowali je we troje: on, przybyły dosłownie przed chwilą inspektor Trounce oraz siostra Raghavendra. Pani Angell zgodziła się wyjątkowo na nieobecność przyzwoitki; dziewczyna była w końcu profesjonalną pielęgniarką, a w dodatku siostrą Zgromadzenia Szlachetnej Dobroczynności.

– Obawiam się, że nie osiągnęliśmy niczego – zameldował inspektor niemal od progu, a zająwszy miejsce, mówił dalej: – Zwyczajnie nie zdołaliśmy dostać się do środka. To miejsce jest obwarowane jak forteca. Światła świeciły, widzieliśmy, że w środku plują iskrami różne maszyny, ale... ani śladu człowieka. Jeden Bóg wie, co za szkła użyli: waliliśmy w nie łomami i nic, nawet się nie zarysowało. Jeśli chodzi o drzwi, to wątpię, by nawet dynamit dał im radę. Oczywiście rozstawiłem swoich ludzi naokoło budynku, ale oprócz tego... co mogę zrobić? Kapitanie Burton... pozwolę sobie na jedną uwagę. Przyjąłem na wiarę, że miał pan swoje powody, by domagać się nalotu. Czy mógłby pan mnie teraz oświecić?

– Tego, detektywie, może dokonać wyłącznie ten tu przykuty do łóżka mój przyjaciel. Pozwoli pan przestawić sobie pana Algernona Swinburne’a, znanego poetę.

– Zwolennika de Sade’a! – wybuchnął Trounce.

Pani Angell, obecna akurat w sypialni i nalewająca gościom herbatę, odchrząknęła znacząco.

– Hmm... to znaczy... no...

Swinburne zachichotał.

– Miło mi pana poznać, detektywie. Śpieszę pana upewnić, że mimo inklinacji do pewnych narowów, które dzielę ze wspomnianym dżentelmenem, jeśli słowo dżentelmen uznamy za właściwe, a prawie na pewno nie powinniśmy, tych ran nie zadałem sobie sam ani nikogo nie prosiłem o ich zadanie.

– Hm... na Jowisza... od razu mi lżej – powiedział policjant dość, trzeba przyznać, niepewnie.

– Sądzę, że... – Pani Angell spojrzała znacząco na młodą pielęgniarkę.

Burton powstrzymał ją gestem.

– Panowie, cieszymy się towarzystwem dam – wtrącił szybko. – Nie powinniśmy o tym zapominać. A teraz, Algy, może mógłbyś opowiedzieć nam o swych przygodach?

Mały poeta złożył głowę na poduszce – jego rude włosy wydawały się świecić własnym światłem na tle czystej bieli – i przymknął oczy. Rozpoczął opowieść od opisu terminu u Vincenta Sneeda, po czym przeszedł do zdarzeń na cmentarzu i konfrontacji z Darwinem. Dobór słów oraz rytm konstruowanych przez niego zdań z miejsca oczarowały słuchaczy, zaś Burton dopiero teraz naprawdę uwierzył w to, że jego przyjaciel posiada niezwykły talent. Talent na miarę prawdziwego geniusza literatury i że mógłby nim zostać... gdyby udało mu się zachować trzeźwość wystarczająco długo, by podjąć ten wysiłek.

Gdy poeta skończył, trwające długą chwilę milczenie przerwał Trounce.

– Obrzydliwe – westchnął. – Przecież to szaleńcy!

– Po trzykroć tak – skinął głową Burton. – Po pierwsze, zakłócają naturalny porządek rzeczy. Po drugie, w konsekwencji eksperymentów otrzymają beznadziejnie splątany zespół rezultatów, co z pewnością zaprzecza sensowności ich prowadzenia, a po trzecie, nawet jeśli uda się im wyodrębnić istotne owoce wysiłków, rezultaty będą mierzalne za pokolenia, czyli długo po śmierci eksperymentatorów. Nie widzę w tym żadnego sensu.

– Mniej więcej to samo powiedziałem Darwinowi – przytaknął Swinburne. – Ale mimo to zachował wielką pewność siebie. Stwierdził, że czas jest kluczem, miał dodać coś jeszcze, ale właśnie wtedy pojawił się Oliphant.

– Czas – powtórzył Burton z zastanowieniem. – Interesujące. Pomyślałem właśnie, że w sprawie Skaczącego Jacka czas też wydaje się być elementem kluczowym, tym jednym jedynym naprawdę istotnym.

– I powiedział mi pan jeszcze, że Oliphant powtórzył niemal słowo w słowo to, co wcześniej usłyszał pan od Jacka – dodał Trounce.

– Tak. Dziwne. Pozwolę sobie powiedzieć, że nawet bardzo dziwne.

– Mogę dostać nakaz aresztowania Darwina pod zarzutem porwania, prowadzenia nielegalnych eksperymentów medycznych i podejrzenia o morderstwo – stwierdził policjant. – Co bez wątpienia zachwyciłoby funkcjonujące jeszcze resztki Kościoła. Siostrę Nightingale też wypadałoby zatrzymać, bo bez wątpienia jest jakoś wplątana w sprawę. Laurence'a Oliphanta da się oskarżyć o morderstwo Billy'ego Tuppera, a to poprowadziłoby go prostą drogą na szubienicę. Ale nie mogę tknąć Isambarda Kingdoma Brunela. Nie wolno mi aresztować człowieka, jeśli on jeszcze jest człowiekiem, tylko za to, że buduje maszyny i żyje długo po tym, gdy opinia publiczna obwołała go martwym.

– Hej, chwileczkę – pisnął Swinburne. – Gdzie płaszcz? Miałem płaszcz Oliphanta. Co się z nim stało?

– Tu jest. – Burton wstał. Wyjął z garderoby płaszcz, nadal wilgotny po deszczu.

– Myślałem, że w kieszeni może mieć notes albo coś takiego – przyznał poeta.

– Sprytny chłopak! – pochwalił go Trounce.

– Auguste Dupin.

Ale tego żartu policjant już nie zrozumiał.

Tymczasem gospodarz przeszukał kieszenie płaszcza. Znalazł srebrny kieszonkowy zegarek, jedwabną chusteczkę, papierośnicę z zawartością, którą czuć było opium, zestaw szczególnych narzędzi, w których inspektor rozpoznał wytrychy, łańcuszek z czterema kluczami, ołówek i – ku wielkiej radości Swinburne'a – także mały notes. Przerzucili kartki. Znaleźli zapiski dotyczące wszystkich dwudziestu ośmiu porwań łącznie z nazwiskami i wiekiem każdego z kominiarczyków. Ale tych informacji udzielił im już Żuk.

Były tu również zapiski dotyczące spotkań, które już się odbyły, choć ograniczały się one do dat, bez wzmianki o miejscach i uczestnikach. Towarzyszyły im nieczytelne oznaczenia, lecz Burton, ekspert w dziedzinie lingwistyki, na pierwszy rzut oka poznał, że nie uda się ich odcyfrować.

I nie było żadnej notatki dotyczącej czegoś, co miało się zdarzyć w przyszłości.

Burton westchnął ciężko.

– Pomysł był świetny, Algy, ale obawiam się, że nie mamy szczęścia.

– Niech to szlag! – mruknął poeta.

Nagle rozległ się głos pani Angell:

– Proszę o wybaczenie, sir, ale jest jeszcze kapelusz.

– Kapelusz? Jaki kapelusz?

– Kiedy ten okropny albinos uciekł przez okno, nie zabierając ze sobą kapelusza, powiesiłam go na dole, na wieszaku przy drzwiach. Mam go przynieść?

– Brawo, pani Angell! Proszę zostać, ja po niego pójdę.

Podróżnik znikł, a po chwili rozległy się szybkie kroki na schodach. Tymczasem

starsza dama poczęstowała obecnych gorącą, słodką herbatą, a siostra Raghavendra poprawiła poduszki pacjentowi, który aż westchnął z rozkoszy. Detektyw inspektor Trounce sięgnął do kieszeni, wyjął cygaro, spojrzał na panie i schował je z powrotem.

Burton wrócił.

– Chętnie bym panią wycałował, pani Angell. Znalazłem coś za podszewką.

Pokazał mały kawałek papieru, na którym ołówkiem zapisano kilka słów. Przeczytał je.

„PILNE! O potwierdź: CW 2909 2300, D t? B t? N t? B –

– Kolejny szyfr – skrzywił się Trounce.

– Nie, stary, to nie jest żaden szyfr, tylko prosty skrót.

– Czego?

– Widzisz trzy „t” ze znakami zapytania. Najprostszą odpowiedzą na pytanie jest „tak” lub „nie”. Jeśli „t” oznacza „tak”, to moim zdaniem znak zapytania jest prośbą o potwierdzenie.

– Ach, rozumiem! – ucieszył się policjant.

– Po wysłuchaniu opowieści Algy’ego nikt nie ma chyba wątpliwości, że D, B i N to Darwin, Brunel i Nightingale.

– O rany! Teraz to się wydaje oczywiste; O to Oliphant, którego proszą o potwierdzenie czegoś, co ich dotyczy. A to drugie B?

– Nie wiem. Jeszcze do tego wrócimy. A jeśli chodzi o to, co tajemniczy B chce potwierdzić, cyfry zdradzają tajemnicę: to data i czas w zapisie dwudziestoczterogodzinnym. Dwudziesty dziewiąty września, jedenasta wieczorem. To w niedzielę. Założę się, że chodzi o spotkanie.

– Na Jowisza, cwany z pana gość. Ja mógłbym nad tym deliberować godzinami. A CW?

– Chorzy Wenerycznie! – ucieszył się Swinburne.

– Osioł. – Burton uśmiechnął się. – W moim przekonaniu to oznaczenie miejsca.

– Jeśli, jak pan podejrzewa, między Oliphantem a Skaczącym Jackiem rzeczywiście istnieje jakiś związek – powiedział cicho Trounce – to czy CW nie może oznaczać Chmurnych Wież? W końcu były domem Beresforda, którego podejrzewano, że jest Jackiem, i który aż do śmierci przewodził ruchowi hulaków.

– A Oliphant jest jego następcą! – krzyknął Swinburne.

Burton spojrzał na policjanta z uczuciem bliskim podziwu.

– Założę się o własną prawą rękę, że wbiłeś przysłowiowy gwóźdź jednym uderzeniem młotka.

– Wcale nie jestem taki pewien – burknął inspektor. – To może być przypadek.

– Może, ale byłby to naprawdę dziwny przypadek. Pozostaje nam tylko to B. Kto odziedziczył tytuł po Beresfordzie? Czy miał on syna?

– Nie. Zmarł bezpotomnie i tytuł wygasł. Chmurne Wieże odziedziczył po nim kuzyn, wielebny John de La Poer Beresford, prowadzący organizację pomocy dla głodujących, i nigdy nie postawił stopy na angielskiej ziemi. Przez agenta nazwiskiem Flagg wynajął posiadłość niejakiemu Henry’emu Belljarowi, odludkowi, na którego nic nie mamy. Nawet ten Flagg nie widział go na oczy, wszystkie formalności załatwili listownie. A więc ma pan tego swojego tajemniczego pana B, kapitanie Burton.

– Tak by się wydawało – powiedział królewski agent z namysłem. – Bardzo chciałbym poznać pana Henry’ego Bell–coś–tam. Skoro w niedzielę wieczorem O, D, B i

N mają odbyć z nim pogawędkę w Chmurnych Wieżach sądzę, że nie powinno zabraknąć tam trzeciego B – Burtona.

– Jeśli chce pan przez to powiedzieć, że zamierza ich szpiegować, to nie beze mnie, nie beze mnie! – krzyknął Trounce.

– I mnie – dodał Swinburne.

– Nie! – zaprotestował ostro królewski agent. – Obawiam się, że muszę wydać ci polecenie służbowe, inspektorze, a ty, Algy, w swoim stanie po prostu się do tego nie nadajesz. Jedna osoba wślizgnie się tam, gdzie trzy nie dadzą rady, a ja mam w tych sprawach pewne doświadczenie. Podczas służby w Indiach byłem szpiegiem sir Charlesa Napiera, wykonałem niejedną misję, w której najważniejsze było nie rzucać się w oczy.

– Ale pozwolisz mi przecież ukryć się gdzieś w pobliżu? – spytał skwaszony policjant. – Na wszelki wypadek? Gdybyś potrzebował pomocy? Poza tym możemy przecież dać sobie spokój z tym szpiegowaniem. Zebrać oddział, zrobić nalot...?

– Jeśli to zrobimy, być może nigdy nie poznamy ich wszystkich planów... i nie dostaniemy Skaczącego Jacka.

– Nalegam, żebyście zabrali mnie ze sobą – pisnął Swinburne, uderzając dłońmi w prześcieradło. – Nie zostawicie mnie tak!

– Panie Swinburne – zaprotestowała siostra Raghavendra – pan zostaje w łóżku, szanowny panie. W pańskim stanie nie marzy się o tak niebezpiecznych... rozrywkach.

– Ależ droga pani, mam dwa pełne dni na odzyskanie zdrowia. Będę w świetnej formie! Richardzie, powiedz proszę, że zabierzesz mnie ze sobą.

Burton pokręcił głową przecząco.

– Przyjacielu, wniosłeś do sprawy więcej, niż przypadłoby ci po sprawiedliwości – powiedział. – I omal nie zginąłeś.

Swinburne odrzucił kołdrę. Uniósł się z wysiłkiem, stanął na łóżku w za dużej piżamie, chwiał się lekko, drżał z podniecenia na całym ciele.

– Tak! – krzyknął. – Omal nie zginąłem z ręki tego potwora! Wiesz, czego nauczyło mnie to doświadczenie? Nauczyło mnie, że...

Gwałtownym gestem rozchylił ramiona, tracąc równowagę i omal się przy tym nie przewracając. Obecni rzucili mu się z pomocą, ale mały poeta poradził sobie jakoś sam i zadeklamował:

Jak umrzeć może ktoś tak w życiu zakochany,
Jak wściekły pies odejść, bez śladu.
Ktoś, kto kocha mniej niż nienawidzi
Ludzkiego zła, gdy się pojawi.
Wszędzie i zawsze, pod tym naszym słońcem,
Żyć będzie, mimo czasu i wyroków ludzi[2].

2 Algernon Charles Swinburne, *Poematy*, przekład Krzysztof Sokołowski.

Nogi się pod nim ugięły, uderzył plecami o ścianę i zaczął się po niej osuwać.

– Mój Boże – westchnął. – Chyba wstałem trochę za szybko.

Siostra Raghavendra chwyciła go za ramiona, ułożyła w łóżku, otuliła troskliwie.

– Ty głupi człowieku – niemal krzyknęła – jesteś zbyt wyczerpany, by skakać na materacu, to co tu mówić o łowach na tajemniczego pana Belljara? Nie wolno ci wstać z łóżka i trzy razy dziennie masz jeść rosół wołowy na wzmocnienie. Mam rację, pani

Angell?

– Dopilnuję tego, nawet gdybym miała na nim siedzieć i przemocą wlewać mu zupę do gardła – obiecała stara gospodyni.

– Richardzie, więc mam zostać więźniem? – zaprotestował poeta.

– Na co najmniej dwa dni, owszem – przytaknął podróżnik. – Zobaczymy, jak będziesz czuł się w niedzielę. Będzie go pani odwiedzała, siostro?

– Oczywiście, kapitanie Burton. Jest przecież moim pacjentem! Będę przy nim i dopilnuję, by odzyskał zdrowie.

– Cóż za rozkosz – szepnął Swinburne.

– I, kapitanie – dodała jeszcze siostra – jeśli mogę dopomóc panu w jakikolwiek inny sposób, proszę mi koniecznie powiedzieć.

Inspektor Trounce podniósł swój melonik. Strzepnął z niego płatek sadzy. Pani Angell śledziła jego upadek na podłogę, gniewnie zaciskając usta.

– Skontaktuję się z panem jutro, kapitanie – oznajmił policjant, podchodząc do drzwi. – Musimy przygotować jakieś plany na niedzielny wieczór. Ale, jeśli wolno... czy naprawdę sądzisz, że ten pan Belljar jest naszym Skaczącym Jackiem?

– Nie mam pojęcia, inspektorze – przyznał królewski agent. – Właśnie tego mam zamiar się dowiedzieć.

*** Rozdział 15 ***

Chmurne Wieże

> Jestem przeciwny wprowadzaniu zasad czy warunków obowiązujących przy konstrukcji urządzeń mechanicznych, by nie doszło do takiej oto sytuacji, że jutrzejsze udoskonalenia są krępowane lub powstrzymywane przez wprowadzenie i zapisanie jako prawa uprzedzeń oraz błędów sentymentalnych jednostek przyjmujących, że kwestie moralne lub etyczne są nieodłączne od postępu technicznego.
>
> **Isambard Kingdom Brunel**

Chmurne Wieże... ta nazwa zdecydowanie do nich pasowała.

Leżąca nieco za wioską Waterford, a blisko Hertford posiadłość liczyła sobie nieco więcej niż czterdzieści, ale mniej niż pięćdziesiąt akrów, w całości ogrodzonych murem ze starego, kruszejącego szarego kamienia. Po wewnętrznej stronie tej rozpadającej się bariery rozciągał się nierówny teren, którego spore fragmenty zapadły się w podmokłe, śmiercionośne niczym zaraza niecki, jakby coś wybrało spod nich ziemię. Wypełniał je wirujący leniwie opar wydający się świecić bardzo bladą zielenią, a nad nim gnijące, skręcone jak w mękach, przygarbione drzewa, czarne w blasku księżyca, poruszały się tajemnie, nieznacznie, rzucając niesamowite cienie. Zatrutą ziemię porastały porozrzucane tu i tam nędzne kępy trawy, a chwasty, kolczaste krzaki i pnącza rosły pokrzywione, jakby samo istnienie było dla nich niewypowiedzianą męką.

Ze środka tego pejzażu wyrastała zapadła, na pół zrujnowana posiadłość.

Zbudowana na fundamentach normańskiego dworu ponura budowla była w fatalnym stanie. Całe jej lewe skrzydło strawił niegdyś ogień, pozostawiając wyłącznie szczątki nagich, murszejących murów. Nad ocalałą częścią zdążył się już zapaść dach, przy czym na zagrzybionych, porośniętych dzikim winem ścianach pojawiły się szerokie szczeliny.

Ostrołukowe okna oraz duże, podwójne frontowe drzwi wprawione w ostry łuk natychmiast przywodziły na myśl gotyk. U stóp prowadzących do nich schodów, po ich obu stronach, przykucnęły na plintach kamienne gryfy o dumnych niegdyś pyskach, pociemniałych teraz od brudu i grzyba. W głębokim cieniu jednego z nich stał poeta.

Dwa dni odpoczynku wystarczyły mu w zupełności. Choć rany jeszcze się nie wygoiły, a sińce przybrały czarną, żółtą i chorą niebieską barwę, nerwowa energia przyspieszyła proces leczenia w stopniu, który wraz z natrętnymi, piskliwymi prośbami

skłonił sir Richarda Francisa Burtona do zmiany zdania.

– Będziesz czujką – powiedział. – Tylko tyle, nic więcej. Rozumiesz?

I w tej chwili Swinburne wykonywał to właśnie odpowiedzialne zadanie, podczas gdy Burton obchodził dwór, szukając jakichś oznak aktywności oraz miejsca, w którym mógłby bezpiecznie przeniknąć do środka. Na zewnątrz posiadłości, ukryty w krzakach pod murem, inspektor Trounce pilnował trzech welocypedów, zachodząc w głowę, dlaczego jemu przypadła w udziale służba na tyłach, podczas gdy znanemu z odwagi podróżnikowi w jego niebezpiecznej misji towarzyszył... poeta. Poeta!!!

Trounce nie potrafił zrozumieć Burtona z jednego prostego powodu: nie znał Swinburne'a tak dobrze jak on, nie mógł więc wiedzieć, że ten mały człowieczek musiał stanąć twarzą w twarz ze śmiercią, bo inaczej śmierć obrałaby go z poczucia własnej wartości i zabiła – powoli, używając butelki jako narzędzia zbrodni.

Cichy szelest obwieścił powrót Burtona.

– I co? – syknął poeta.

– Po drugiej stronie domu stoją dwa rotostatki – powiedział podróżnik. – Jestem pewien, że większy to ten, który wystartował z terenu elektrowni. Na ich pokładzie są jacyś ludzie, widziałem ruch. Z tego większego do domu biegną kable, przechodzące przez drzwi werandy. Tamtędy nie wejdziemy, od razu by nas zauważyli. Po tej stronie wszystko jest zamknięte na cztery spusty. Ten dom to ruina, ale okna i drzwi wyglądają mi na nowe. Mam ochotę kopnąć się w tyłek, powinienem poprosić Trounce'a, żeby mnie nauczył posługiwania się tymi wytrychami Oliphanta.

Poeta wyjął z kieszeni zegarek, obrócił nim, aż tarczę oświetliły promienie księżyca.

– Już niemal jedenasta – szepnął. – Musimy dostać się jakoś do środka!

– Nie musimy, tylko ja muszę – mruknął Burton. – Przecież mówiłem: masz mieć oczy otwarte, ale nic więcej. Nie wolno ci ryzykować.

– Skoro ty nie możesz, ja muszę.

– Co ci chodzi po głowie?

– Komin.

– Co?

– Mogę wspiąć się na dach po dzikim winie, zejść kominem i otworzyć okno od środka. Zapomniałeś, że uczyłem się na kominiarza?

– Nie. Jakoś sobie poradzę.

Jednakże, choć jeszcze raz obszedł dwór dookoła, królewski agent nie znalazł wejścia. Nie miał więc wyboru; niechętnie, ale jednak zgodził się na propozycję przyjaciela.

– Zostań tu, ja po ciebie przyjdę – szepnął mu do ucha Swinburne.

Nagle podróżnik chwycił go porywczo za rękę i mocno nią potrząsnął.

– Powodzenia.

Poeta skinął głową i odszedł cicho. W chwilę później w księżycowej poświacie błysnęła jasna plama. To światło odbiło się od jego rudych włosów.

Choć mały i wyglądający bardzo delikatnie, Swinburne wspinał się szybko, pewnie. Sprawdzał wytrzymałość pnącza, nim powierzył mu ciężar swego ciała, mimo to szybko dotarł do gzymsu, chwycił łeb rzygacza, przewinął się, wgramolił za krenelaż na krawędzi dachu i znikł z pola widzenia.

Burton odetchnął głęboko. Do tej chwili nawet nie uświadamiał sobie, że o tym zapomniał.

„Znowu to samo” – pomyślał Swinburne, przekraczając płaski łącznik za fałszywym blankowaniem; po jego drugiej stronie zaczynał się stromy dach. Jedno dobre: jeśli się na nim poślizgnie, zjedzie w dół, ale będzie miał się gdzie zatrzymać. Nie grozi mu fatalny upadek z wysokości.

Rozpoczął powolną wspinaczkę po porośniętych mchem gontach, obluzowanych, trzeszczących pod jego ciężarem. Ich kawałki obłamywały się, spadały z trzaskiem, który w nocnej ciszy wydawał się tym głośniejszy. Nie sądził, by hałas mógł zwrócić uwagę kogoś znajdującego się w domu, na parterze, ale jeśli ktoś zawędrował na piętro, mogą być kłopoty.

Ale... co mógł zrobić? Tylko wspinać się dalej; więc wczołgał się na samą górę, wstał i przeszedł do jednego z kominów. Spojrzał w niebo – chłodne, czyste, rozgwieżdżone, zwieńczone srebrnym kołem księżyca. Zajrzał do komina: ciemnego, brudnego, pozornie bezdennego. Prowadzącego wprost na spotkanie z wrogiem.

Swinburne usiadł na jego krawędzi, zwiesił nogi do przewodu kominowego. Przycisnął kolana do kruszących się cegieł, zaparł się i zaczął schodzić. Szybkość schodzenia regulował zewnętrznymi krawędziami stóp, dłońmi, przedramionami i łokciami.

Pogrążył się w wielkiej, absolutnej ciemności. Sadza sypała się wokół niego płatami. Wybrał komin odległy od tego miejsca w domu, w którym Burton widział światło, ale gdyby ktoś przechodził akurat obok właściwego pokoju, mógłby usłyszeć, jak szeleści, spadając w palenisko, i wejść do środka sprawdzić, co się dzieje.

A jednak nie zatrzymywał się ani na chwilę. Pocieszał się wspomnieniem cudownego lania, które Vincent Sneed sprawił mu przed zaledwie kilku dniami. Jeśli chodzi o odczuwanie bólu, to Algernon Swinburne mógł uchodzić za konesera. Niestety, wrażenia dostarczane przez liczne rany, wzmożone teraz wysiłkiem fizycznym, należały do zupełnie innej kategorii niż chłosta rózgą lub pasem po pośladkach. Nie były ani w części tak przyjemne.

Zatrzymał się. Musiał przeczekać ogarniającą go nagłą falę zmęczenia. Ile jeszcze przed nim tego wysiłku? Nie było tu śladu światła z wyjątkiem małego, jaśniejszego prostokąta nad jego głową, ale z jakiegoś powodu był pewien, że do paleniska ma już blisko.

– Pośpiesz się – powiedział sam do siebie bezgłośnie, zaledwie poruszając wargami. – Spotkanie już się pewnie zaczęło.

Schodził, zagłębiając się w gęstniejącą ciemność.

Stopą dotknął resztek węgla, poślizgnął się, ruszt zadzwonił mu pod butami.

– Niech to diabli! – westchnął.

Pomacał wokół siebie, znalazł otwór kominka, wyszedł. Zawadził o stojak z akcesoriami do podtrzymywania ognia; posypały się na podłogę z przeraźliwym brzękiem. Aż skrzywił się, słysząc, jak odbija się on echem w mrocznym pokoju, donośny niczym Big Ben.

Ruszył przed siebie powoli z wyciągniętymi rękami. Oczekiwał, że lada chwila na coś wpadnie, ale udało mu się bez przeszkód dotrzeć do ściany. Wzdłuż niej doszedł do drzwi, znalazł klamkę, przekręcił. Z chrapliwym zgrzytem uchyliły się, a za nimi też była ciemność.

Swinburne wiedział, że oświetlony pokój, który Burton zobaczył, obchodząc dom, znajduje się gdzieś po jego prawej i nieco z tyłu domu, więc by nie iść na spotkanie niebezpieczeństwu, skręcił w lewo. Przesuwał się powoli czymś, co, jak założył, było korytarzem. Po paru minutach rzeczywiście trafił na kolejne drzwi. Otworzył je. Ciemność.

„Idę dalej" – postanowił, minął drzwi, po cichu dotarł do następnych. Te były zamknięte, kolejne już nie, a kiedy je otworzył, zobaczył przed sobą nieco jaśniejszy prostokąt. Przeszedł po nagich deskach skrzypiących mu pod butami. Zatrzymał się przed zasłoniętym oknem. Szarpnięte kotary spadły mu pod nogi w chmurze kurzu. W słabym świetle księżyca przyjrzał się sobie i odkrył, że sam też jest kompletnie czarny.

Burton – jak niemal zawsze – miał rację. Okno rzeczywiście wykonano solidnie, choć framugi pokryte były grubą warstwą kurzu. Wyglądało na to, że wstawiono je względnie niedawno, korniki nie zdążyły zaatakować dobrej jakości drewna, a oryginalne, skomplikowanej konstrukcji zamknięcie wydawało się bardzo nowoczesne. Przez dłuższy czas nie potrafił sobie z nim poradzić, ale w końcu wcisnął coś, rozległ się trzask, zdołał unieść dolną połowę i wyjść z niesamowitego domu. Pobiegł wzdłuż ściany do frontowych drzwi. Spod jednego z gryfów wyłonił się cień.

– Algy?

– Tędy, Richardzie.

Poeta poprowadził przyjaciela drogą, którą tu przyszedł, po czym obaj jeden po drugim weszli do środka Chmurnych Wież.

Królewski agent wyjął z kieszeni latarkę, obrócił ją i włączył. Jej światło popełzło po brudnych ścianach, ujawniając postrzępione tapety, spękany tynk, wiszące krzywo portrety i zsunięte pod ściany meble, okryte płótnem dla ochrony przez kurzem.

Tłumiąc pod płaszczem światło gazowej latarni, Burton wyszedł na korytarz; Swinburne dosłownie deptał mu po piętach. Zobaczył pokrytą grubą warstwą kurzu podłogę z wydeptanym na niej czarnym od sadzy śladem znikającym w trzecim pokoju, licząc od miejsca, w którym się teraz znajdowali. Dalej rozciągał się przed nimi labirynt krętych przejść, wydających się kpić z logiki konstrukcji.

Odsuwając gęste pajęczyny, ostrożnie przekraczając kupki gipsowego gruzu, obłamanego z sufitu i ścian, wymieszanego ze szczątkami połamanych mebli, szli jak najciszej potrafili, wytężając słuch, wyczulony na najsłabsze nawet dźwięki.

– Czekaj! – syknął Burton nagle. Przekręcił latarnię, wygaszając płomień. Przed nimi pojawiła się plama słabego światła. – Zostań tu, Algy. Zaraz wracam.

– Uważaj na siebie, Richardzie.

Powoli, cicho, Burton przeszedł aż do następnego skrzyżowania. Korytarz na wprost znacznie się w tym miejscu rozszerzał, został też oczyszczony z kurzu i odpadków. Po lewej, nieco w głębi, znajdowały się duże podwójne drzwi z wprawionymi w nie szklanymi szybkami, przez które sączyło się światło. Widać było przez nie salę balową, z otaczającą ją galerią na piętrze i zwisającymi z sufitu kryształowymi żyrandolami. A także wielką maszynę, którą Burton rozpoznał z przedstawionego przez Swinburne'a opisu jako Isambarda Kingdoma Brunela. Słyszał cichy dźwięk dzwonków, co oznaczało, że konstruktor z kimś rozmawiał.

Królewski agent wrócił do przyjaciela.

– Są tu, Algy. Zajęli salę balową, a na górze jest galeria. Zamierzam na nią wejść. Twoja pomoc miała nieocenione znaczenie, ale teraz nic już nie możesz zrobić. Chcę,

żebyś wziął latarnię, wrócił tą drogą, którą tu przyszliśmy, i dołączył do inspektora Trounce'a.

– Nie, Richardzie. Idę z tobą – uparł się poeta.

– Zakazuję ci, Algy. Jeśli chcesz być moim asystentem, musisz nauczyć się słuchać rozkazów.

– Asystentem? Dajesz mi pracę?

– Jeśli pokażesz mi, że wiesz, co to samodyscyplina, tak. Sądzę, że dysponujesz cechami, które mogą być mi bardzo pomocne. Co więcej, sądzę także, że możesz skorzystać na tym doświadczeniu. Ale, jak powiedziałem, wykonywanie rozkazów, a nie kwestionowanie ich jest w tej pracy wymogiem bezwarunkowym.

– A więc wykonam rozkaz. – Poeta wziął latarnię, odwrócił się i odszedł.

Burton odczekał, aż przyjaciel zniknie mu z oczu, po czym pochylony, trzymając nisko głowę, przebiegł przez skrzyżowanie. Szedł przed siebie, póki znów nie ogarnął go mrok. Jeśli ta sala miała rozkład podobny do znanych mu wielu innych, gdzieś blisko powinny być schody prowadzące na galerię. Wyjął z kieszeni pudełko zapałek, zapalił jedną i poszedł dalej, aż do drzwi, które pojawiły się w jej migotliwym płomyku. Prowadziły do dużej garderoby, wyposażonej we wznoszące się po lewej stronie schody. Z góry padał blask. Burton zgasił zapałkę.

Stawiając ostrożnie stopy, królewski agent nieskończenie powoli wchodził na galerię, a gdy znalazł się już blisko niej, opadł na czworaki. Tu dzwonki Brunela dobiegały go już wyraźnie, a niezwykły talent językowy pozwolił mu nawet rozróżniać słowa. Słynny inżynier mówił po angielsku, ale jego mechanicznie generowany głos dźwięczał tak niezwykle, że przeciętni ludzie nie potrafiliby rozpoznać słów. Obecni najwyraźniej nie mieli z tym jednak problemu, podobnie jak mężczyzna, który właśnie położył się na brzuchu na galerii i przyglądał scenie widocznej między rzeźbionymi tralkami.

– Eksperymentalne ornitoptery okazały się tak niestabilne, że nie sposób nimi latać. Ludzkie reakcje są zbyt wolne do stałego korygowania odchyleń wysokości i kursu, bez których nie utrzymają się w powietrzu. Szukamy mechanicznych sposobów stabilizacji lotu. Oczywistym rozwiązaniem jest babbage, ale sir Charles pracuje obecnie w odosobnieniu. Nie zamierza dzielić się swą wiedzą.

– Więc go zmuście! – rozkazał nieznoszący sprzeciwu głos rozlegający się z miejsca bezpośrednio pod tym, które zajmował królewski agent. Nie widział mówiącego, ale wymawiał on słowa zgrzytliwie, w sposób, który podsłuchującemu wydał się z gruntu nienaturalny.

– Nie wiemy, gdzie się obecnie znajduje – wydzwonił Brunel. – A poza tym jest doskonale chroniony.

– Znajdźcie sposób. Siostro Nightingale, proszę o raport. Znalazła pani rozwiązanie naszego problemu?

Sześć osób siedziało przy długim stole bankietowym, którego jeden koniec znikał pod balustradą. Miejsce obok Brunela zajmował Laurence Oliphant, z poranioną twarzą, jednym okiem zamkniętym przez opuchliznę i prawym ramieniem w gipsie. Naprzeciwko niego, na cylindrycznej metalowej podstawie, stało krzesło jak tron. Zajmował je Darwin. Jego wielką głowę podtrzymywał kołnierz ortopedyczny. W czaszkę nadal wbite miał długie, metalowe, przytrzymywane opaską igły. Wybiegające z nich przewody podłączono do wijących się na podłodze kabli, znikających w drzwiach prowadzących na werandę. Kolejny kabel łączył podstawę krzesła z elektrycznym mózgiem Galtona, stojącego przy

nim nieruchomo i wpatrującego się w przestrzeń pustymi oczami.

Przy stole znalazło się też miejsce dla siostry Florence Nightingale, chudej kobiety o surowej twarzy, ze spiętymi włosami ukrytymi pod pielęgniarskim czepkiem, ubranej w obcisłą czarną suknię.

– Nie, proszę pana – powiedziała zadziwiająco miękkim głosem. – We wszystkich przypadkach, oprócz jednego, podniesienie zwierzęcia do ludzkiego poziomu ewolucji oznacza, że prędzej czy później ulegnie ono samospaleniu. Wyjątkiem jest oczywiście pan Oliphant. Ale w jego przypadku części ludzkiego mózgu oryginalnego Laurence'a Oliphanta przeszczepiono do mózgu zwierzęcia. Hodujemy w tej chwili drugą białą panterę, która nie otrzyma przeszczepu. Jeśli przeżyje, będziemy wiedzieli, że samozapłon to ryzyko związane z gatunkiem. Powinnam wspomnieć jeszcze, że podczas bójki z kapitanem Burtonem temperatura ciała pana Oliphanta wahała się w niekontrolowany sposób. Od tej chwili pozostaje pod naszą stałą obserwacją.

– Nic mi nie jest – wybełkotał albinos. Mówił niewyraźnie z powodu rozciętych ust i wybitych zębów.

– Dziękuję, siostro – powiedział straszny głos. – Jakieś postępy, Darwin?

– Do tej pory przeprowadziliśmy zabiegi na dziewiętnastu kominiarzach. Dziewięciu zostało odrzuconych ze względu na wzrost. Pozostałych uwolniono.

– Będą pamiętać?

– Nie. Pan Oliphant poddał ich swemu hipnotycznemu wpływowi, co zablokowało wspomnienia zdarzeń z okresu pobytu u nas. Będziemy kontynuowali program, dopóki nie poddamy kuracji stu chłopców. Nie jest tajemnicą, że zrewidowaliśmy naszą teorię pangenezy, włączając do niej wyniki prac niemieckiego mnicha Gregora Mendla. W dzieciach naszych kominiarczyków, dzieciach ich dzieci i dalszych pokoleniach uwidoczni się słuszność nowej teorii, nazwanej teorią genetycznego dziedziczenia. Będziemy ją obserwować w działaniu. Męskie potomstwo zacznie maleć, aż wzrost ustabilizuje się na poziomie przeciętnie trzech stóp. W każdym pokoleniu będzie też wzrastać owłosienie na całym ciele, sztywne, bardzo przypominające kolce. W ten sposób istoty te będą idealnie przygotowane do wykonywania swego zawodu. Zmieszczą się w każdym przewodzie kominowym, wyczyszczą go same sobą. Żywe szczotki kominiarskie! Jeśli eksperyment powiedzie się w tej grupie pracowników, wybranej przez nas ze względu na to, że jest społecznie praktycznie nieistotna, rozszerzymy go na innych specjalistów, całe spektrum społeczeństwa. Oczywiście możliwość monitorowania przyszłych pokoleń jest zależna wyłącznie od ciebie.

– O to nie musicie się martwić – warknął głos. – Ja dotrzymam warunków umowy. Właściwy czas się zbliża.

– A więc powiedz nam – zażądał Darwin. – Już chyba pora, byśmy poznali prawdę o Skaczącym Jacku.

W polu widzenia Burtona pojawiła się ukryta do tej pory postać. Królewski agent z trudem powstrzymał okrzyk. Był to orangutan, wielka ruda małpa! Tak samo jak Galton nie miała górnej części czaszki, ale zamiast maszyny zastępował ją szklany dzwon, w którym pływał mózg stworzenia.

„Tajemniczy pan Belljar" – pomyślał. „Szklany dzwon!"

Naczelny okrążył stół. Poruszał się szybko, podpierając się zaciśniętymi w pięści dłońmi.

– Sprowadziłem was tu z tego właśnie powodu – zazgrzytał. – Choć ostrzegam, jest to

niewiarygodna historia, zawierająca odwołania do rzeczy, których nie zrozumiecie, których nawet ja nie rozumiem. W części zrelacjonuję wam moje własne doświadczenia, ale opowiem też o tym, co usłyszałem od człowieka mówiącego z dziwnym akcentem, używającego języka angielskiego w sposób, jakiego nigdy nie słyszałem. Wiele z tego, co mówił, było wręcz niezrozumiałe.

Burton zesztywniał. Jego dwie sprawy stały się jedną, a ta postawiła go teraz wobec grupy zbuntowanych naukowców. Wreszcie miał się dowiedzieć, kim lub czym jest w istocie Skaczący Jack i jak to niezwykłe zjawisko pasuje do rzeczywistości.

– Panowie, szanowna pani, dla mnie wszystko zaczęło się w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku, wkrótce po tym, jak sławę przyniósł mi dziecinny figiel spłatany w Melton Mowbray, miesiąc po tym, jak kupiłem tę rezydencję i wprowadziłem się do niej.

„*Bismillah*!" – pomyślał królewski agent. „Henry Beresford wcale nie zmarł przed dwoma laty. Ta małpa to Szalony Markiz z Waterford!"

– Ale od prawdziwego początku dzieli nas bardzo wiele lat. Prawdziwy początek, moi przyjaciele, leży w odległej przyszłości.

*** Część druga ***

Czyli prawdziwa historia Skaczącego Jacka

Jesteś tym, kim myślisz, że jesteś.
Ale co, jeśli myślisz, że jesteś nikim?
Co, jeśli przekroczysz wszystkie definiujące cię granice?
Co wtedy?
Kim jesteś?

propaganda libertyńska

*** Rozdział 16 ***

Profilaktyka

Zawsze gdy stajemy przed koniecznością wyboru, a dokonujemy wyborów w każdej chwili każdego dnia, podejmujemy decyzję i wkraczamy w przyszłość zgodną z jej skutkami. Ale co z opcjami, z których zrezygnowaliśmy? Czy są jak nieotwarte drzwi? Czy leży za nimi alternatywna przyszłość?
Jak daleko zboczylibyśmy z przyjętego kursu, gdybyśmy, tylko raz, wrócili i otworzyli drzwi A zamiast drzwi B?

Henry de la Poer Beresford,
trzeci markiz Waterford

Nazywał się Edward John Oxford, urodził się w dwa tysiące sto sześćdziesiątym drugim roku. Był fizykiem, inżynierem, historykiem i filozofem. W wieku trzydziestu lat wynalazł baterię „rybią łuskę”: płatek materiału nie większy od paznokcia, który wchłaniał energię słoneczną z jednej strony, a z drugiej magazynował ją w wielkich ilościach. Bateria ta zmieniła technikę, zaś technika zmieniła świat.

– Jak się czuje człowiek, który sam jeden zmienił historię? – spytał go kiedyś pewien dziennikarz.

– Nie zmieniłem historii – odparł. – Historia to przeszłość.

Zachichotał przy tym, jakby był to jakiś jego prywatny żart, bowiem był nie tylko geniuszem, lecz także ekscentrykiem i maniakiem, przede wszystkim na tle przeszłości, a dokładnie roku tysiąc osiemset czterdziestego, gdy jego przodek i imiennik, Edward Oxford, wystrzelił z dwóch pistoletów do królowej Wiktorii.

Oba strzały chybiły, Oxford pierwszy został uniewinniony ze względu na niepoczytalność i skazany na pobyt w Bedlam. Wiele lat później zwolniono go ze szpitala. Wyemigrował do Australii, gdzie spotkał wnuczkę małżeństwa, które znał jeszcze z Anglii, i ożenił się z nią. Jej imię nie zapisało się w historii, tylko fakt, że była znacznie młodsza od męża, co w owych czasach nie było niczym szczególnym. Potomkowie z tego małżeństwa byli przodkami Edwarda Johna Oxforda z dwa tysiące sto sześćdziesiątego drugiego roku.

Bateria „rybia łuska” sama w sobie nie mogła zmienić przeszłości, była jednak częścią o wiele wspanialszego projektu, który był w stanie tego dokonać i po to właśnie został

wynaleziony.

Edward John Oxford miał plan. Zamierzał wrócić do roku tysiąc osiemset czterdziestego i zmazać plamę na rodowym nazwisku.

Prawdziwym wyzwaniem były oczywiście kwestie techniczne, wśród nich ta najtrudniejsza: wzajemne stosunki między czasem a przestrzenią. Rozwiązał ją, przypisując swe urządzenie stałym grawitacyjnym: jądru Ziemi i odległej, względnie statycznej galaktyce. Umożliwiało mu to wybranie punktu wyjścia w przeszłości względem pozycji ziemskiej w czasie teraźniejszym, a jeśli punkt wyjścia był akurat zajęty, urządzenie – specjalnie do tego zaprogramowane – przenosiło go w niedalekie bezpieczne miejsce.

Funkcja taka była niezbędna, ale wymagała wielkich mocy i szybko wyczerpywała baterie, Oxford znalazł więc inny sposób na zminimalizowanie możliwości materializacji w obiekcie stałym, a ten pozostawił jako rezerwę na wypadek niebezpieczeństwa.

Nie ma wątpliwości, że szaleństwo przodka udzieliło się wynalazcy, bowiem jego rozwiązania należy określić w najlepszym razie jako cudaczne. Swą zminiaturyzowaną technologię podróży w czasie wszył w strój, którego buty zamontowane były na załadowanych ściśniętą sprężyną, dwustopowych szczudłach. Dzięki nim mógł wyskoczyć na dwadzieścia stóp w powietrze, zniknąć ze swojego bieżącego czasu i pojawić się w przyszłości dwadzieścia stóp nad ziemią, w niczym bardziej stałym od cząsteczek powietrza.

Pomysł był szalony, ale zazwyczaj działał, a kiedy nie działał, kontrolę przejmował program i przenosił go z niebezpiecznej strefy.

Był także problem psychologiczny. Oxford doskonale wiedział, że w epoce wiktoriańskiej czeka go bardzo poważna dezorientacja. By temu zapobiec, wyposażył kombinezon w system, dzięki któremu jego współczesność miała przejąć kontrolę nad rzeczywistością wiktoriańską. Hełm miał zmieniać sposób, w jaki umysł interpretuje dostarczone mu dane, więc gdy spojrzy, powiedzmy, na dorożkę, zobaczy i usłyszy współczesną mu taksówkę, otaczający go ludzie będą dla niego obywatelami jego własnego świata, a zamiast kamienic dziewiętnastowiecznego Londynu zobaczy drapacze chmur z dwudziestego trzeciego wieku. A ponieważ z pamięcią najbliżej związany jest zmysł węchu, dopilnował, by system odcinał go od wszelkich zapachów.

Wiedział, że natychmiast po przybyciu w przeszłość będzie musiał zdjąć kombinezon, stanąć z wiktoriańskim Londynem twarzą w twarz, bez filtrów. Jednak obliczone to było na krótki czas, a kiedy doprowadzi misję do końca, szybko wciągnie kombinezon i włączy iluzję. Miał nadzieję, że w ten sposób uniknie szoku kulturowego.

Edward John Oxford ukończył przygotowania w dniu swoich czterdziestych urodzin.

Włożył fałszywy wiktoriański strój, na który wciągnął jednoczęściowy kombinezon zrobiony z baterii, ze zwieszającym się z ramion gumowanym płaszczem, w który mógł owinąć się dla ochrony samego kombinezonu, gdy nie ładował się w słońcu.

Przymocował do piersi płaski, okrągły układ sterujący, a potem założył na głowę duży, ciężki hełm, czarny i lśniący. Skomplikowane pola magnetyczne przeszyły mu mózg. Strumień informacji popłynął z niego do potężnego procesora i z powrotem.

Kołysząc się na szczudłach, z cylindrem w ręku Oxford wyszedł niezdarnie z laboratorium do rozciągającego się za nim długiego ogrodu.

Z kuchni stojącego po przeciwnej stronie ogrodu domu wyszła jego żona, wycierając dłonie ściereczką.

– Już ruszasz? – spytała. – Kolacja za parę minut.

– Już – przytaknął Oxford. – Ale nie obawiaj się, nawet jeśli zniknę na wiele lat, wrócę za pięć minut.

– Mam nadzieję, że nie jako starzec. – Kobieta przesunęła dłonią po wypukłym brzuchu. – To dziecko będzie wymagało energicznego ojca.

Oxford roześmiał się.

– Nie bądź głupia. Nie zajmie mi to wiele czasu.

Pochylił się, pocałował żonę w nos.

Była dziewiąta rano, dnia 15 lutego 2202 roku.

Wydał kombinezonowi polecenie przeniesienia go do godziny wpół do szóstej po południu dnia 10 lipca 1840. Lokalizacja: północny narożnik Green Park, Londyn.

Spojrzał w niebo.

– Czy naprawdę mam zamiar to zrobić? – spytał sam siebie.

W odpowiedzi zrobił trzy długie kroki, ugiął kolana, odbił się od ziemi i wystrzelił wysoko w powietrze. Żona zauważyła tylko formujący się wokół niego bąbel i Edward John Oxford znikł.

Najzupełniej dosłownie skoczył w czasie.

Doświadczył chwili dezorientacji.

Spadał.

Uderzył w porośniętą gęstą trawą ziemię, odbił się od niej, znieruchomiał.

Rozejrzał się. Zobaczył niskie wzgórza dużego parku otoczonego szklanymi budynkami, na których wyświetlano błyskające reklamy. Niedaleko wznosiło się stare Muzeum Monarchii, znane kiedyś pod nazwą Buckingham Palace; przechowywano tam pamiątki po nieistniejących już rodzinach królewskich.

Grom dźwiękowy poinformował go, że prom kosmiczny skierował się właśnie na orbitę. Ludzie latali mu nad głową tu i tam w małych osobistych lataczach.

Oxford popędził do zalesionego kawałka parku. Schował się za drzewami i pełzł, póki nie nabrał pewności, że znalazł miejsce zabezpieczone przed wścibskim spojrzeniami. Dopiero wtedy zdjął kombinezon. Powiesił go na niskiej gałęzi.

Wyłączył i zdjął hełm.

Obrzydliwy smród uderzył w niego z wielką siłą: mieszanina nieoczyszczonych odpadów, gnijącej ryby i spalanych paliw kopalnych. Dostał ataku kaszlu. Powietrze wydawało mu się gęste, ziarniste, drażniło oczy i gardło. Padł na kolana, chwycił się za gardło, rozpaczliwie walczył o tlen. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że umiał przewidzieć tę sytuację i że przybył przygotowany. Drżącymi rękami wyjął z kieszeni małe urządzenie, przykleił je z boku do szyi. Wcisnął przycisk, usłyszał syk, poczuł leciutkie ukłucie i znów mógł oddychać.

Oxford zdjął i odłożył urządzenie do kieszeni. Odpoczywał przez chwilę. Niezdolność złapania oddechu była objawem psychicznym, percepcyjnym raczej niż fizycznym. Hełm obronił go przed przekonaniem, że atmosfera nie nadaje się do oddychania, a teraz jeszcze zaczął działać środek uspokajający.

Od strony biegnącej niedaleko drogi doszły go nieznane dźwięki: stuk końskich podków, zgrzyt kół, okrzyki ulicznych sprzedawców.

Wstał. Poprawił ubranie. Włożył cylinder. Podszedł do krawędzi zagajnika, a kiedy wyszedł spomiędzy drzew, zmieniony w jednej chwili świat zaatakował wszystkie jego zmysły, wstrząsnął nim i wywołał nieznośny niepokój.

Tylko trawa nic się nie zmieniła.

Przez gęste, brudne powietrze widział ogrom wolnego nieba; szklane wieże z jego czasów znikły, miasto tuliło się do ziemi. Na wprost stał Buckingham Palace, częściowo ukryty za wysokim murem, sprawiający wrażenie nowiutkiego jak spod igły.

Dziwacznie poprzebierani ludzie spacerowali po parku – nie, niepoprzebierani, uświadomił sobie, przecież dla nich to normalne ubrania – krokiem tak wolnym, że wydał mu się uderzająco nienaturalny.

Mimo docierającego zewsząd niskiego pomruku Londyn wydawał się spać pod przykryciem z ciszy.

Oxford ruszył zboczem pagórka w dół, w stronę Constitution Hill. Walczył z narastającym wrażeniem dyslokacji.

– Spokojnie, Edwardzie – szepnął do siebie. – Trzymaj się, trzymaj. To nie sen, to nie iluzja, więc skup się, zrób, co masz do zrobienia, wracaj i wkładaj kombinezon.

Dotarł do szerokiej ścieżki; wkrótce miał przyjechać nią królewski powóz. Mój Boże! Zobaczy królową Wiktorię!

Rozejrzał się. Wszyscy ludzie w zasięgu jego wzroku nosili nakrycia głowy: mężczyźni kapelusze, kobiety czepki. Prawie wszyscy mężczyźni byli brodaci lub przynajmniej wąsaci. Kobiety miały ze sobą parasolki.

Tak wolno! Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie.

Przyjrzał się twarzom. Kto był jego przodkiem? Nigdy nie widział pierwszego Edwarda Oxforda, gdyż nie istniała żadna jego fotografia, ale miał nadzieję, że dostrzeże jakieś podobieństwo rodzinne. Przeszedł przez niski płotek biegnący wzdłuż ścieżki, przeszedł na jej drugą stronę, przystanął, oparł się o drzewo.

Ludzie już zaczęli ustawiać się rzędem na trasie przejazdu. Słyszał nieprawdopodobną rozmaitość sposobów wymowy, a każdy wydawał mu się komicznie przesadzony. Ludzi, których zaliczył do klasy pracującej, w ogóle nie potrafił zrozumieć, język klas wyższych był czysty, precyzyjny, co sprawiało nieodparte wrażenie sztuczności.

Szczegóły narzucały mu się z niezwykłą siłą, skupiały na sobie jego uwagę wręcz hipnotycznie: śmiecie i psie odchody na trawnikach, plamy na ubraniach, miejscami poprzecieranych ze starości, zgniłe zęby, nogi powykręcane krzywicą, obecne na każdym kroku, jakby specjalnie podkreślane manieryzmy, obszyte koronką chusteczki, dziobate twarze, suchotniczy kaszel.

– Skup się – szepnął do siebie.

Zobaczył mężczyznę stojącego naprzeciw w swobodnej, lecz wyraźnie aroganckiej pozie, przyglądającego mu się z uśmiechem. Był szczupły, miał okrągłą twarz i wielkie wąsy.

„Czy widzi, że nie należę to tego miejsca?" – pomyślał.

Rozległy się wiwaty. Oxford spojrzał w prawo. W pałacowych wrotach pojawił się powóz królowej, którego konie prowadził foryś. Dwóch jeźdźców eskorty poprzedzało pojazd, dwóch innych jechało za nim.

Gdzie jego przodek? Gdzie zamachowiec?

Stojący przed nim mężczyzna w cylindrze, niebieskim surducie i białych bryczesach wyprostował się nagle, sięgnął pod ubranie, przysunął do ścieżki.

„Czy to on?" – zastanowił się Oxford, wpatrzony w tył głowy tego człowieka.

Królewski powóz zbliżał się powoli.

W chwilę później zrównał się z nim jeździec eskorty.

Ubrany na niebiesko człowiek przeszedł przez płotek i w chwili, gdy mijali go królowa z małżonkiem, wyjął pistolet skałkowy. Wystrzelił, odrzucił dymiącą broń, wyjął drugi...

– Nie, Edwardzie! – krzyknął Oxford, zbliżając się do niego biegiem.

Zamachowiec spojrzał w jego kierunku.

„On wygląda zupełnie jak ja" – pomyślał zdumiony podróżnik w czasie.

Przeskoczył na ścieżkę, złapał wzniesioną rękę swego przodka. Gdyby tylko udało mu się go rozbroić, odciągnąć, kazać mu uciekać i zapomnieć o tak głupim dowcipie...

Walczyli, mocno do siebie przyciśnięci.

– Przestań... – powiedział Oxford błagalnie.

– Puść mnie! – stęknął potencjalny zamachowiec. – Moje nazwisko musi zapisać się w historii. Ludzie muszą je zapamiętać.

Gdzieś z daleka dobiegł ich krzyk:

– Przestań, Edwardzie!

Oxford dostrzegł jaskrawy błysk, niczym błyskawicy. Spojrzał w tamtą stronę. Zamachowiec także.

Pistolet wypalił. Odrzut wstrząsnął nimi oboma.

Czaszka królowej Wiktorii jakby wybuchła od środka.

Cholera! Nie! To się nie miało zdarzyć!

Chwycił swego przodka, potrząsnął nim, a potem przewrócił go na ziemię.

Mężczyzna upadł na wznak, uderzając tyłem głowy w płotek. Rozległ się trzask, a w jednym z oczodołów pojawił się ostry koniec słupka ogrodzeniowego.

– Nie zginąłeś! – krzyknął Oxford. – Żyjesz, nie zginąłeś! Wstawaj! Uciekaj! Nie pozwól, żeby cię złapali!

Zamachowiec leżał na wznak z przebitą czaszką. Pod jego ciałem rosła kałuża krwi.

Oxford cofnął się niezdarnie.

Słyszał krzyki, płacz, ludzie biegli, przepychali się, potrącali go.

Zobaczył Wiktorię: drobną, młodą, wyglądającą jak laleczka. Jej mózg wypływał na ziemię.

Nie, nie, nie!

To się nie dzieje!

To się nie może dziać!

To się nie stało!

Przy jego boku pojawił się nagle uśmiechnięty mężczyzna o okrągłej twarzy.

– Brawo, przyjacielu! – powiedział cicho. – Niezłe przedstawienie.

Oxford cofnął się przed nim. Był przerażony, upadł, wstał, wydostał się jakoś ze wzburzonego tłumu. Pobiegł.

– Kombinezon... – bełkotał do siebie. – Znajdź kombinezon. Spróbuj czegoś innego.

Pokonał łagodne zbocze pagórka i już był wśród drzew.

Co wywołało ten błysk światła? I krzyk: „Przestań, Edwardzie!", dobiegający z tej właśnie strony. Kto krzyczał? On sam nie widział nikogo wyraźnie, za wiele się działo.

Odnalazł kombinezon, włożył i aktywował hełm.

Ogarnęła go błogość. Znów słyszał szum tła: silników samochodów elektrycznych, startujących odrzutowców pasażerskich, wielkich reklam. Wciągnął kombinezon, nastawił system nawigacyjny na trzy miesiące w przeszłości. Jego szalony przodek pracował wówczas w pubie Wieprz w Zagrodzie na Oxford Street. Historia przechowała tę

informację.

– Pójdę i przekonam go, żeby tego nie robił – szepnął do siebie. – Od tego powinienem zacząć.

Ale straszne wrażenie nieuchronności nie dało się przytłumić.

To się nie uda.

Ale trzeba spróbować.

To się nie uda.

Przepchnął się przez krzaki, wrócił na granicę lasu.

– Proszę wyjść na otwartą przestrzeń – polecił mu jakiś głos.

Oxford zamarł. Co teraz? Przesunął się cicho nieco w przód.

– Widziałem, co się stało, nie ma pan powodu do obaw. Proszę wyjść, chcę pana zobaczyć.

Zachował milczenie.

– Proszę pana, widziałem, że chciał pan ocalić królową. Muszę tylko...

Oxford wyskoczył na otwarty teren. Policjant zachłysnął się, cofnął i z rozmachem usiadł na tyłku. Rzucił pałką. Obróciła się w powietrzu i ze sporą siłą uderzyła w tarczę kontrolną na piersi. Trysnęły iskry, przez ciało Oxforda przebiegł niegroźny szok elektryczny.

– Do diabła! – krzyknął, wbił szczudła w ziemię, skoczył, wydał polecenie przesunięcia do 10 czerwca 1849 roku.

Kombinezon zawiódł. Zamiast wysłać go trzy miesiące wstecz, wysłał znacznie dalej i nie pół mili na północ, do cichego zaułka za pubem, lecz dwadzieścia jeden mil dalej.

Powrócił do świata piętnaście stóp nad ziemią. Elektryczność nadal przeszywała mu ciało. Spadł na ziemię nieprzytomny. Ręce i nogi drżały mu spazmatycznie przez trzydzieści minut, a potem człowiek z przyszłości znieruchomiał jak głaz.

W cztery godziny później omal nie stratował go jeździec. Ściągnął wodze, spojrzał na przedziwnie ustrojoną postać.

– No nie, co my tu mamy! – wykrzyknął, zeskakując z konia.

Henry de La Poer Beresford, trzeci markiz Waterford, pochylił się, przesunął palcami po dziwnym materiale kombinezonu czasowego. Nigdy jeszcze nie odczuł niczego podobnego. Chwycił Edwarda Oxforda za ramiona, potrząsnął nim.

– Hej, człowieku, należysz do świata żyjących?

Nie doczekał się odpowiedzi.

Beresford przyłożył dłoń do piersi nieprzytomnego, poniżej świecącej tarczy. Poczuł bicie serca.

– W każdym razie ciągle jesteś z nami – mruknął. – Tylko... co z ciebie za diabeł, stary przyjacielu? Takiego jeszcze nie widziałem.

Podłożył rękę pod plecy nieprzytomnego, podniósł go i z niemałym wysiłkiem przerzucił przez siodło, tak że głowa w hełmie wisiała po jednej stronie konia, a buty i szczudła po drugiej. Następnie ujął wodze i poprowadził wierzchowca do domu, do Chmurnych Wież.

Oxford odzyskał przytomność pięć dni później.

Henry Beresford próbował rozebrać go z kombinezonu czasowego, ale to się mu nie udało, bowiem nie znalazł guzików. Za to zdołał uwolnić nieprzytomnego człowieka od butów oraz hełmu. Następnie umieścił go w łóżku, podkładając mu pod plecy stos poduszek, i okrył kocem.

Pozbawionego osłony maskowania rzeczywistości, o tym, że wraca do świata, Oxforda poinformował nos. Przebudzenie zwiastował smród zastarzałego potu, zatęchły odór niepranej bielizny i wszechobecny zapach lawendy.

Otworzył oczy.

– Dobry wieczór – powiedział Beresford.

Oxford zamrugał nieco nieprzytomnie, a potem skupił wzrok na gładko wygolonej, okrągłej twarzy gospodarza.

– Kim jesteś? – wychrypiał. Jego głos brzmiał dziwnie, jakby te słowa wypowiedział ktoś inny.

– Nazywam się Henry de La Poer Beresford. Jestem markizem Waterford. A pan? Kim czy raczej czym pan jest? Proszę napić się wody.

Oxford chwycił podaną mu szklankę, ugasił pragnienie.

– Dziękuję. Nazywam się Edward Oxford. Jestem... podróżnikiem.

Brwi gospodarza powędrowały w górę.

– Doprawdy? W jakim cyrku występujesz?

– Jak to?

– Pytam o cyrk, przyjacielu. Jesteś klaunem? Chodzisz na szczudłach?

Gość nie odpowiedział. Beresford przyglądał mu się przez chwilę.

– A jednak w pobliżu nie ma żadnego jarmarku, co prowokuje do zadania pytania: jakim cudem padłeś pan nieprzytomny za murem mojej posiadłości?

– Nie wiem. Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie właściwie się znajduję?

– W Chmurnych Wieżach pod Hertford, jakieś dwadzieścia mil na północ od Londynu. Pięć dni temu znalazłem cię na mojej ziemi.

– Pięć dni!

Oxford spojrzał na panel kontrolny na piersi. Wgniecione, przypalone przy lewej krawędzi urządzenie nie działało.

– Te moje słowa można uznać za pozbawione delikatności, za co przepraszam – usprawiedliwił się Beresford – ale jest faktem, że nie potrafiłem zdjąć tego pańskiego kostiumu, a obawiam się, że będąc nieprzytomnym, mógł go pan... zanieczyścić.

Oxford zaczerwienił się, skinął głową. Beresford położył mu dłoń na ramieniu.

– Mój człowiek przyniesie miednicę z gorącą wodą, mydło, ręczniki i czyste ubranie. Jesteśmy podobnej budowy, choć może pan jest odrobinę wyższy. Poinstruuję też kucharza, by przygotował coś do jedzenia. Czy to będzie zadowalające?

– Oczywiście, dziękuję. – Dopiero teraz Oxford uświadomił sobie, jak bardzo jest wygłodzony.

– Doskonale. Proszę więc doprowadzić się do porządku, a potem dołączyć do mnie w jadalni.

Gospodarz wstał, podszedł do drzwi.

– Przy okazji... – zatrzymał się, odwrócił – pański akcent nie jest mi znany. Skąd pan pochodzi?

– Urodziłem się i wychowałem w Aldershot.

Markiz chrząknął.

– Nie, to nie jest akcent z Hampshire.

Przekroczył próg.

– Co z królową? – wykrztusił Oxford.

Bereford odwrócił się, spojrzał na niego zdziwiony.

– Królową? Ma pan na myśli młodą Wiktorię? Nie jest jeszcze naszą prawdziwą królową, choć powiadają, że Jego Wysokość leży już na łożu śmierci.

Oxford zmarszczył brwi.

– Którego dziś mamy?

– Piętnastego czerwca.

– Więc nadal jest czerwiec?

– Nie rozumiem.

– A który rok?

– Rok? Ależ tysiąc osiemset trzydziesty siódmy, oczywiście. – Markiz spojrzał na gościa dziwnie. – Ma pan kłopoty z pamięcią, panie Oxford?

– Tak... drobne kłopoty...

– Pełny żołądek pomaga nawet na to. Czekam na pana na dole.

Beresford wyszedł, a w chwilę później pojawił się pokojowy – chudy, sztywny i nienagannie grzeczny dżentelmen niosący dużą porcelanową miednicę, dwa ręczniki i kawałek mydła. Wyszedł. Pojawił się znów z kompletnym ubraniem. Znów wyszedł. Po raz trzeci wrócił z wiadrem gorącej wody, którą napełnił miednicę.

Dopiero teraz przemówił:

– Życzy pan sobie czegoś jeszcze, sir?

– Nie, dziękuję. Jak się nazywasz?

– Brock, proszę pana. Życzy pan sobie golenia?

– Sam to załatwię, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Doskonale, sir. Dzwonek znajduje się przy łóżku. Proszę mnie wezwać, gdy będzie pan gotowy. Odprowadzę pana do jadalni. Czy mogę zabrać pański... ehm... kostium? Do prania?

– Kostium? Obawiam się, że nie, Brock. Wolę zająć się nim osobiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ale mam pod nim ubranie. Będę wdzięczny, jeśli się nim zajmiesz. Obawiam się, że nie jest w najlepszym stanie.

Pokojowy skinął głową.

Oxford usiadł, zdjął z piersi tarczę panelu kontrolnego, przesunął palcem po zamku. Dziwny materiał rozdzielił się i opadł wzdłuż jego boków, czemu Brock przyglądał się w milczeniu, z zaledwie lekko uniesionymi brwiami.

Przybysz zrzucił kombinezon, zdjął ubranie wraz z brudną bielizną i oddał je służącemu, który ukłonił się i wyszedł, nadal zachowując milczenie. Następnie umył się, ogolił niezdarnie przeraźliwie ostrą brzytwą. Włożył pożyczony strój, szorstki, nieprzyjemnie drażniący skórę.

Wywrócił kombinezon na drugą stronę i wyczyścił go. Rybia łuska wyładowała się do zera i to zapewne już kilka dni temu, ale parę minut na słońcu powinno ją ożywić. Tylko panel kontrolny doznał poważnych uszkodzeń, bez których naprawy podróże w czasie były niemożliwe. Problem bardziej bezpośredni i pilniejszy polegał jednak na tym, że hełm bez zasilania nie działał, co oznaczało, że Edward musi przetrwać w bezpośrednim kontakcie z rzeczywistością. Tu, we wnętrzu domu, w obecności zaledwie kilku osób nie wydawało się to szczególnie trudne, ale pełne obcowanie z tą teraźniejszością groziło

szokiem kulturowym, teoretycznie wystarczająco gwałtownym, by zagrozić jego zdrowym zmysłom.

Pociągnął za sznur dzwonka. Brock pojawił się niemal natychmiast.

– Tędy, proszę pana – powiedział grzecznie.

Oxford wyszedł za nim na szokująco szeroką klatkę schodową, z której prowadziły w dół ozdobne schody. Niemniej od razu zauważył, że dom jest po prostu zrujnowany. Czas zmienił przepych w zaniedbaną dekadencję. Pomalowane na jaskrawe kolory sztukatorskie profile sufitu wyblakły i złuszczyły się, boazerie na ścianach były zwichrowane i spękane, dywany, draperie i zasłony przetarte, tynk popękał. Gdziekolwiek spojrzał, leżały grube pokłady kurzu, w kątach nagromadziły się pajęczyny.

Na dole przeszli jednym korytarzem, skręcili w drugi, a potem w następny.

– Chmurne Wieże są bardzo stare, proszę pana – przerwał milczenie pokojowy. – Człowiek, który je wybudował, był, jeśli można tak powiedzieć, ekscentrykiem, a potem często je rozbudowywano. Pan kupił dwór zaledwie przed miesiącem i nie zdążył jeszcze przeprowadzić napraw.

– Toż to istny labirynt!

– Jesteśmy w jadalni, proszę pana. – Brock usłużnie otworzył drzwi.

Oxford wszedł do długiej, mrocznej sali o ścianach obwieszonych portretami bardzo poważnych, wręcz surowych dżentelmenów. Nad stołem bankietowym wisiał żyrandol.

Markiz wstał na powitanie gościa.

– Ach, mój drogi Oxfordzie, sprawiasz wrażenie odświeżonego. Ufam, że moje ubranie pasuje?

– Tak, dziękuję – odpowiedział uprzejmie podróżnik w czasie, choć w rzeczywistości było nieco przyciasne.

Brock podprowadził go do miejsca naprzeciw gospodarza, podsunął mu krzesło, a kiedy gość zajął miejsce, skłonił się i opuścił salę. Lokaj, który go zastąpił, natychmiast napełnił kieliszki czerwonym winem. Dwie niezwykle ruchliwe pokojówki uwijały się, wnosząc talerze wypełnione mięsem i warzywami. Różnorodne zapachy znów wydały się gościowi mdłe, a jednocześnie natarczywe, intensywne, jakby składniki dań zbyt długo marynowano w zwierzęcych tłuszczach przed ugotowaniem. Przyjrzał się podejrzliwie strużkom tłuszczu na ich powierzchni, ale w żołądku i tak mu zaburczało.

Beresford opróżnił kieliszek jednym łykiem; lokaj natychmiast mu go napełnił.

– I jak pamięć, przyjacielu? Wspomnienia wracają?

Oxford zawahał się. A potem podjął decyzję.

– Lordzie markizie...

– Henry, proszę.

– A więc Henry. Postanowiłem powiedzieć ci wszystko, ponieważ, nie mam zamiaru tego ukrywać, rozpaczliwie potrzebuję pomocy. Czy nie moglibyśmy jednak przedtem zjeść? Umieram z głodu.

– Ależ oczywiście, oczywiście. Proszę tylko, byś mnie uspokoił pod jednym względem... Nie jesteś z cyrku, prawda?

– Prawda. Nie jestem z cyrku.

– I twój kostium to coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka?

– Jesteś bardzo spostrzegawczy, Henry.

– Niech pan je, panie Oxford. Porozmawiamy po posiłku.

Godzinę później podróżnik w czasie, najedzony aż do mdłości, przyjął kieliszek

brandy, odmówił cygara i powiedział gospodarzowi niemal wszystko. Pominął zamach na królową, twierdził, że wrócił w czasie po to, by spotkać się ze swoim przodkiem.

Po posiłku przeszli do pokoju dziennego. Usiedli w wielkich drewnianych fotelach przy trzaskającym na kominku ogniu.

Beresford był pijany.

A także niedowierzający.

I śmiał się.

– Wielkie nieba! – ryknął. – Jesteś równie doskonałym gawędziarzem jak Dickens. Czytałeś *Pickwicka*?

– Oczywiście, że czytałem. Ale to, co mówię, jest jak najbardziej rzeczywiste.

– Brednie! Czy może być coś bardziej fikcyjnego niż mężczyzna z przyszłości przenoszący się w przeszłość przy pomocy ubrania?

– A jednak będę się upierał, że to najprawdziwsza prawda.

– Muszę przyznać, że jesteś dziwnym człowiekiem – stwierdził markiz. – Zwracasz się do innych zbyt bezpośrednio jak na Anglika, maniery masz o wiele za swobodne. Osobiście uważam, że jesteś cudzoziemcem, przyjacielu.

– Przecież mówiłem ci, że urodziłem się i wychowałem w Aldershot.

– I mówiłeś, że w dwa tysiące sto sześćdziesiątym drugim roku. Ile to? Jakieś trzysta dwadzieścia pięć lat od dziś?

– Tak.

Beresford napełnił im kieliszki, zapalił kolejne cygaro.

– Powiedzmy, że jestem skłonny pograć z tobą w tę dziwną grę, Edwardzie. Powiedziałeś, że potrzebujesz mojej pomocy? A więc w czym mogę ci pomóc?

– Chcę, żebyś kupił mi zestaw narzędzi zegarmistrzowskich.

– A po co ci one?

– Muszę naprawić mechanizm kontrolny kombinezonu. Mam nadzieję, że narzędzia zegarmistrza są wystarczająco precyzyjne do tego celu.

– Mechanizm kontrolny?

– Ta okrągła tarcza na piersi.

– Czy mam rozumieć, że jeśli naprawisz ten mechanizm kontrolny, znowu będziesz mógł podróżować w czasie?

– Tak.

– No wiesz! Takiej historii to ja nie słyszałem w całym moim życiu. Ale mam ochotę spełnić twoje zachcianki. Zostaniesz tu jako mój gość i kupię ci te narzędzia.

– Mogę ci powiedzieć coś, co zwiększy wiarygodność mojej historii.

– Naprawdę? A co takiego?

– Od dziś za pięć dni będziecie mieli nowego monarchę.

W ciągu następnego tygodnia rozbawione niedowierzanie Henry’ego de La Poer Beresforda przeszło ciężką próbę. Markiz poważniał powoli. Śmierć króla Wilhelma Czwartego na zamku Windsor nikogo oczywiście nie zaskoczyła, a to, iż Oxford przewidział, że Wiktoria wstąpi na tron dwudziestego czerwca, też nie zdumiewało i łatwo dawało się zakwalifikować jako szczęśliwy traf.

Jednakże po wymuszeniu na gospodarzu przysięgi milczenia gość opowiedział mu znacznie obszerniej o świecie, z którego przybył, zwłaszcza technologiach i alternatywnych źródłach energii, dostępnych w świecie przyszłości. Wydawało się, że z upływem czasu rasa ludzka nie utraciła nic ze swej wynalazczości.

Ale Beresforda przekonał do jego historii sposób, w jaki gość poruszał się i mówił. Było w tym coś trudnego do opisania, lecz niewątpliwie obcego, a jednak, paradoksalnie, im dłużej markiz przebywał w towarzystwie tego dziwnego człowieka, tym mocniej był przekonany, że jest on, jak twierdzi, Anglikiem.

– To oczywiste, że wyrafinowany człowiek z ciebie – powiedział pewnego ranka – a jednak, wybacz mi proszę bezpośredniość, brakuje ci manier, których oczekuje się od dżentelmena.

Oxford, grzebiący precyzyjnymi narzędziami zegarmistrzowskimi w niepojęcie skomplikowanym wnętrzu jednostki kontrolnej, odparł, nie podnosząc głowy:

– Nie zamierzam się obrażać, Henry. Nie chcę manifestować gruboskórności, chodzi tylko o to, że w moich czasach stosunki społeczne są znacznie mniej zrytualizowane. Wyrażamy nasze uczucia i opinie szczerze, otwarcie, jak nam się podoba.

– Co za barbarzyństwo – orzekł markiz, przerzucając nogę przez oparcie fotela. – A więc przegryzacie sobie gardła bez chwili wytchnienia?

– Nie częściej niż wy, z epoki wiktoriańskiej.

– Wiktoriańskiej? Więc tak się nazywa ta epoka. Właściwie... dlaczego nie? Ale wyjaśnij mi, proszę, przyjacielu, jaki pożytek odnieśliście, porzucając nasze zrytualizowane, jak sam powiedziałeś, sposoby zachowania? Czy maniery nie są wyznacznikiem cywilizowanego człowieka?

– Pożytkiem jest wolność, Henry. Od tego stulecia licząc, przez wszystkie następne pojęcie wolności stawało się stopniowo kluczem do postępu osobistego, społecznego, politycznego, ekonomicznego i technicznego. Ludzie nie chcą czuć się ograniczeni, więc czyni się wielkie wysiłki, by wprowadzić jeśli nie prawdziwą wolność, to przynajmniej trwałą i przekonywającą jej iluzję. Wątpię, czy kiedykolwiek w historii człowiek był autentycznie wolny, ale tam, skąd pochodzę, czy raczej w moim „kiedy”, więcej ich wierzy w tę wolność niż w jakimkolwiek wcześniejszym okresie historii.

– I co na tym zyskują?

– Życie, w którym mogą bez żadnych ograniczeń wykorzystywać swe możliwości, dążąc do osobistego spełnienia.

– Spełnienia.

– Uznania, że wykorzystałeś wszystkie dane ci możliwości do maksimum.

– Tak... teraz rozumiem – przyznał Beresford z zastanowieniem. – Ale przecież jeśli okazji nic nie ogranicza, rosną też możliwości, prawda? Czy nie prowadzi to do sytuacji, w której są tak liczne, że nie sposób zbadać ich wszystkich, a jednocześnie wyjątkowo trudno jest wybrać sobie jedno pole działalności i pracować na nim aż do spełnienia?

Oxford spojrzał na markiza, marszcząc brwi.

– Interesująca uwaga, Henry. To prawda, że w moich czasach wielu ludzi frustrują nie ograniczenia, lecz niemożność dokonania wyboru. Wyczuwają, że ich życie nie zmierza w żadnym określonym kierunku. Trudno im znaleźć miejsce w społeczeństwie.

– Podczas gdy skromny „wiktoriański” robotnik – kontynuował Beresford – zna swoje miejsce niemal od urodzenia. Z całą pewnością nie marnuje czasu na rozmyślania nad ideą tak nieokreśloną jak spełnienie... chyba że, pozwolę sobie zaryzykować, w

odniesieniu do obfitego obiadu i kufla piwa.

– Skończyłem! – oznajmił Oxford.

– Co?

– Jednostkę kontrolną. Naprawiłem ją. Prowizorycznie, ale dzięki temu zdołam dotrzeć do domu – ale wrócę. Po kompletnym przeglądzie.

– Do tysiąc osiemset trzydziestego siódmego roku, to masz na myśli?

– Najpierw muszę załatwić jedną sprawę w tysiąc osiemset czterdziestym, ale tak, wrócę, Henry. Z prezentem z przyszłości, w podziękowaniu za gościnność, której doświadczyłem przez te ostatnie kilka dni.

– Jak długo cię nie będzie?

– Mój lordzie markizie, nadal nie obejmujesz całości zagadnienia, prawda? Zniknę, ale wrócę po kilku sekundach, nawet gdyby z mojej perspektywy minęły lata. Możesz poprosić Brocka, żeby przyniósł z góry kombinezon?

– Jasne. – Beresford pociągnął sznur dzwonka zwisający przy kominku. – A więc masz zamiar opuścić nas teraz, od razu?

– Nie ma to jak natychmiastowe działanie – powiedział Oxford z uśmiechem.

Markiz podniósł butelkę wina z podłogi przy fotelu, pociągnął łyk, wytarł usta grzbietem dłoni. Gość przyglądał mu się z dezaprobatą.

– Chyba trochę na to za wcześnie, nie uważasz? – spytał.

– Mój drogi przyjacielu, na to nigdy nie jest za wcześnie – uświadomił go gospodarz sennym głosem. – A poza tym, jakiż to wspaniały środek na odzyskanie dobrego samopoczucia.

– Leczenie kaca czerwonym winem to prosta droga do alkoholizmu.

– Nonsens. A poza tym zapewniam cię, że jeśli rzeczywiście na moich oczach udasz się do tej twojej przyszłości i znikniesz, to gdyby nie łagodzący wpływ wina, szok z pewnością by mnie zabił.

Pojawił się Brock z kombinezonem, przymocowaną do niego peleryną, szczudłami, butami i hełmem. Oxford przyjął je od niego, zabrał też układ kontrolny i za Henrym Beresfordem wyszedł z pokoju. Przeszli korytarzem, skręcili za jego rogiem, weszli do wielkiej sali balowej i przez werandę opuścili dom.

Człowiek z dwa tysiące dwieście drugiego roku włożył kombinezon, podłączył tarczę kontroli do piersi, założył hełm, wsunął nogi w buty, podniósł się na szczudłach, wyciągnął rękę i pożegnał się z człowiekiem z tysiąc osiemset trzydziestego siódmego roku.

– Ty naprawdę w to wierzysz, prawda? – spytał Beresford.

– Wierzę. Zaczekaj tu na mnie. Wrócę... do ciebie za chwilkę.

Oxford wyszedł na trawnik. Udało mu się przywrócić łączność między jednostką sterującą i hełmem. Pozwalała na przekazywanie poleceń odczytywanych z przebiegu fal mózgowych, ale brak jej było stabilności koniecznej do stworzenia iluzji rzeczywistości.

Ustawił punkt docelowy: dziesiąta wieczorem w dniu 15 lipca 2202 roku. Miejsce: ogród domu w Aldershot. Miał nadzieję, że kolacja jeszcze nie wystygła.

Dzień był słoneczny, baterie naładowały się do pełna w niespełna dwie minuty.

– W porządku – mruknął do siebie. – Wracajmy do domu i zacznijmy od początku.

Pomachał markizowi na pożegnanie, wyskoczył w powietrze.

– Teraz! – polecił.

Rzeczywistość przeskoczyła w mgnieniu oka.

Spadł. Uderzył w ziemię przy drzewie.

Była noc.

Nie trafił do swego ogrodu.

Oxford rozejrzał się. Za plecami miał światła małego miasteczka, przed nim, po drugiej stronie drogi, wznosiło się wysokie ogrodzenie, a za nim stały ledwie widoczne niskie budynki. Przy bramie, w budce wartowniczej, stał wartownik w mundurze.

Wartownik podniósł rękę do ust, w ciemności rozbłysła iskierka światła.

Do diabła ciężkiego, ten facet palił. W 2202 roku nie palił nikt!

Ukryty za drzewem Oxford przesunął się kilka kroków, co dało mu lepszy widok na znajdujący się nad bramą znak głoszący: „Armia brytyjska. Obóz Północny. Aldershot".

Przecież to niemożliwe.

Owszem, od 1854 roku była tu baza wojskowa, ale w 2079 zlikwidowano ją, by stworzyć miejsce dla rozrastającego się miasteczka.

– Właściwe miejsce, zły czas – mruknął i wyszedł z ukrycia.

Podszedł do wartownika szybkim krokiem. Szczudła stukały w powierzchnię drogi i to zwróciło jego uwagę.

– Chryste wszechmogący! – krzyknął żołnierz na widok wysokiej, chudej postaci. – Stój! Podaj nazwisko i...

Oxford odtrącił na bok broń, którą wartownik trzymał w rękach. W nagłym przypływie wściekłości chwycił go za gardło.

– Którego dziś mamy? – spytał rozkazująco.

Twarz żołnierza obwisła.

– Co... co... co... – wybełkotał.

– Data! – Uderzył chłopaka otwartą ręką w twarz: raz, drugi i trzeci, aż wreszcie w jego oczach zabłysło zrozumienie.

– Jaką mamy datę? Dzień, miesiąc, rok? – powtórzył.

– Pppp... piątek, dddziewiąty marca...

– Rok!

– Tysiąc osiemset siedemdziesiąty siódmy.

Oxford, zaskoczony, puścił wartownika, cofnął się o krok. Żołnierz chwycił wytrącony mu z dłoni karabin, wymierzył, nacisnął spust. Kula zrykoszetowała po hełmie, boleśnie wykręcając Edwardowi głowę. Gdzieś po prawej stronie rozległ się krzyk, zatupotały szybkie, głośne kroki. Oxford odwrócił się, odszedł, rozkazał kombinezonowi przenieść się do Chmurnych Wież, wyskoczył w górę... i wylądował w słońcu.

– Nie było cię mniej niż dwie minuty – wykrzyknął markiz. – Przekonałeś mnie, panie Oxford. Znikłeś mi sprzed oczu! Zdumiewające, doprawdy zdumiewające! Ale chwileczkę... coś złego stało się z twoim hełmem!

Podróżnik w czasie zrobił kilka kroków, zatoczył się, padł na kolana przed Beresfordem. Chciał zdjąć hełm, ale z krzykiem cofnął oparzoną dłoń.

– Ostrożnie. Wokół głowy tańczą ci jakieś niebieskie płomienie – ostrzegł go gospodarz. – Zaczekaj chwilę!

Pobiegł do domu. Po chwili pojawił się, niosąc zasłonę zerwaną znad drzwi werandy. Otulił nią hełm, tak że mógł już bezpiecznie go zdjąć i odrzucić na trawę. Zasłona zaczęła płonąć, ale zadeptał ogień czubkiem buta. Błękitny płomień pełgał jeszcze wokół czarnego metalu, po czym zgasł.

– Nie wróciłem do domu – oznajmił Oxford, zdejmując buty.

– Do przyszłości? Dlaczego nie? I gdzie właściwie byłeś?

– W Aldershot, gdzie mieszkam, ale mój dom jeszcze nie istniał. Trafiłem do tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego roku.

– Czterdzieści lat od dziś. – Beresford wziął buty ze szczudłami. – Wracajmy do domu. Zakładam, że właśnie przestałeś być wrogiem alkoholu?

– Ale jak dla mnie ciągle jest za wcześnie, Henry. Chciałbym pobyć chwilę sam, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Muszę poważnie zastanowić się nad tym, co zaszło.

– Doskonale. Dziś i tak muszę jechać do Londynu w interesach, pewnie zostanę tam na noc, więc masz dość czasu na swe rozmyślania. Zobaczymy się jutro rano. Czuj się jak u siebie w domu.

– Dziękuję, Henry, w dalszym ciągu jesteś dla mnie bardzo hojny. Nie wiem, jak poradziłbym sobie bez ciebie. Jesteś wspaniałym przyjacielem.

– Ależ nic takiego, nie ma o czym mówić. A... jako przyjaciel... mogę ci coś zasugerować?

– Oczywiście.

– Wyglądasz, jakbyś nie całkiem przytomnie patrzył na świat, Edwardzie. Od pierwszego dnia spędzonego w moim domu pracowałeś bez wytchnienia na tą swoją jednostką kontrolną. Może powinieneś odpocząć? Chociaż przez kilka dni. Zajmij się czymś innym. Jeśli chcesz, możesz pojechać ze mną do Londynu. Mam zamiar odwiedzić Athenaeum Club. Będzie tam Brunel, ten słynny inżynier... Słyszałeś o nim?

– Oczywiście. Jest słynny w moich czasach – przyznał Oxford. – Ale nie mogę, Henry. Nie mogę opuścić Chmurnych Wież. Odosobnienie jest znośne, ale jeśli wyjdę, wystawię się na świat bardzo różny od mojego świata. Zbyt różny. Bardzo prawdopodobne, że stanę się ofiarą szoku kulturowego, z którego być może nigdy nie wyjdę.

– Szok kulturowy? A co to takiego?

– Pomyśl o wszystkich tych rzeczach, które uczyniły cię człowiekiem, jakim jesteś dzisiaj, Henry. A gdyby tak je zmienić? Byłbyś tym samym człowiekiem?

– Przystosowałbym się.

– Owszem. Adaptacja jest możliwa... do pewnego poziomu. Ale dalej czeka cię destrukcja.

– No to trudno. Jeśli uważasz, że Londyn to dla ciebie za wiele, odpocznij tutaj. Śpij, pij, ale przynajmniej na parę godzin daj sobie spokój z pracą. I z myśleniem.

– Spróbuję.

Tuż po południu markiz Waterford opuścił Chmurne Wieże, zostawiając Oxforda samemu sobie. Brock podał lekki lunch, który podróżnik w czasie zjadł, nie poświęcając ani chwili uwagi temu, co je. Mimo dobrych rad przyjaciela cały czas zastanawiał się tylko nad tym, dlaczego nie udało mu się dotrzeć do domu. Później, na ile był w stanie, sprawdził stan aparatury hełmu. Bez odpowiednich narzędzi naprawa była niemożliwa.

Musiał wrócić do 2202 roku!

Pogrążył się w rozmyślaniach.

Minęło popołudnie i wieczór, zrobiło się późno, a on siedział skulony w fotelu, nie zwracając uwagi na Brocka, pojawiającego się od czasu do czasu, by poprawić ogień na kominku, przynoszącego herbatę, proponującego coś do jedzenia.

W końcu, po czterokrotnym znaczącym, a nie przynoszącym żadnych efektów chrząknięciu, służący ośmielił się powiedzieć:

– Proszę mi wybaczyć, sir, ale... czy pan czegoś potrzebuje? Bo... jest pierwsza w nocy. Chętnie udałbym się na spoczynek.

Oxford obrzucił go nieobecnym spojrzeniem.

– Co? Aha, tak, oczywiście, idź do łóżka, Brock. Dziękuję.

Służący odszedł. Podróżnik w czasie nie ruszył się z fotela.

Ogień na kominku wygasł.

Minęła noc.

Wzeszło słońce.

Brock znów pojawił się w pokoju.

Oxford chodził niecierpliwie od ściany do ściany.

– Czy mam powiedzieć kucharzowi, żeby przygotował śniadanie, sir?

– Nie – warknął gość. – Gdzie twój pan?

– W Londynie. Spodziewamy się jego powrotu dziś, późniejszym rankiem.

– Zawiadom go, że ma wracać. Muszę porozmawiać z nim już, natychmiast.

– Mam go zawiadomić?

– Natychmiast, do diabła!

– Obawiam się, że pan mnie źle zrozumiał. Jest w Londynie.

– Zrozumiałem cię doskonale. Masz do niego za... a nie, nie, oczywiście! Przepraszam cię, Brock. Bardzo mi przykro. Gdy tylko twój pan przyjedzie, bądź uprzejmy powiedzieć panu, że chcę z nim rozmawiać.

– Oczywiście, sir.

– Dziękuję.

Musiał czekać do trzeciej po południu.

Beresford przekroczył próg i zamarł, słysząc wywrzeszczane pytanie:

– Gdzieś ty był, do diabła?! Czekam na ciebie cały dzień!

Markiz oddał cylinder i rękawiczki Brockowi, a potem spojrzał na wymizerowaną, bladą postać, krzyczącą na niego z progu bawialni.

– No nie! – wykrzyknął. – Co się z tobą dzieje, Oxford?

– Wchodź, muszę ci coś powiedzieć. Pospiesz się!

Beresford wzruszył ramionami. Wszedł do środka, po drodze zdejmując marynarkę do konnej jazdy.

– O co chodzi? – spytał, przerzucając ją przez oparcie fotela.

Edward Oxford, patrząc na niego płonącym wzrokiem, skrzywił usta w żałosnym uśmiechu, przeczesał palcami rozczochrane włosy i nagle roześmiał się. Jego śmiech zabrzmiał rozpaczliwie i jakby żałośnie.

– Nie mogę wrócić! – krzyknął. – Nie mogę wrócić!

Beresford ciężko opadł na fotel.

– Dokąd? Chodzi ci o to, że nie możesz wrócić do domu? Do dwa tysiące dwieście drugiego roku?

– Oczywiście, że o to mi chodzi, ty cholerny głupcze!

– Spokojnie, człowieku. Nie szalej. Pamiętaj, czyim jesteś gościem.

Oxford objął się ramionami. Nie spuszczał wzroku z gospodarza.

– Zabiłem człowieka – szepnął.

– Co? Kiedy?

– Za trzy lata. Zabiłem człowieka. Przypadkiem. Był moim przodkiem.

– Dobry Boże. Siadaj, powiedz mi więcej.

Oxford powoli podszedł do fotela. Usiadł ciężko, wbił wzrok w podłogę.

– Henry, wyobraź sobie przyszłość jako sznur, ciągnący się od teraz nieprzerwanie aż do dwa tysiące dwieście drugiego. A teraz wyobraź sobie punkt na tym sznurze, niewielki kawałek od teraz – rok tysiąc osiemset czterdziesty. W tym punkcie jest człowiek nazywający się jak ja, Edward Oxford. Nazwiemy go Oryginalnym Oxfordem. Przesuwasz się wzdłuż sznura i widzisz, jak Oryginalnemu Oxfordowi rodzi się dziecko, to dziecko dorasta, zostaje ojcem, jego dziecko po jakimś czasie też i tak dalej, aż dochodzisz do roku dwa tysiące sto sześćdziesiątego drugiego. Potomkowi Oryginalnego Oxforda rodzi się syn. Ja.

– No dobrze, rozumiem. I co?

– A teraz przesuń się do dwa tysiące dwieście drugiego roku. Mam czterdzieści lat. Skaczę z tamtego końca liny do tysiąc osiemset czterdziestego, zabijam Oryginalnego i dopiero wówczas skaczę do tego końca liny, w którym jesteśmy teraz razem.

– Teraźniejszość – zaryzykował markiz.

– Tak. Wracając do rzeczy... w tysiąc osiemset czterdziestym lina została przecięta. Ten jej odcinek, na którym są wszyscy potomkowie Oryginalnego Oxforda nie jest już połączony z częścią, na której jesteśmy my. Może nadal istnieje, może nie, ale nawet jeśli istnieje, to nie dla nas. Dla nas wszystko po śmierci Oryginalnego Oxforda musi zostać stworzone na nowo. Nie ma nic, do czego mógłbym skoczyć.

– Ale dotarłeś do tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego. To po przecięciu!

– Owszem. Zastanawiałem się nad tym całą noc i sądzę, że wiem dlaczego. Chyba skoczyłem do końca mego naturalnego życia.

– Teraz cię nie rozumiem.

– Henry, jeśli pozostanę w tym czasie, to w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku będę miał osiemdziesiąt lat. Piątek dziewiąty marca siedemdziesiątego siódmego to dzień mojej śmierci. Chyba że zdarzy się jakiś wypadek.

– Chcesz mi powiedzieć, że możesz podróżować w granicach swego naturalnego życia, tak jak zostały określone, ale żeby skoczyć dalej, potrzebujesz przyszłości, która już została określona, przynajmniej dla ciebie?

– Tak. Dokładnie tak.

– A więc pod każdym praktycznym względem sam siebie wymazałeś z istnienia. Dlaczego, Edwardzie? Dlaczego zabiłeś tego człowieka?

– O tym wolałbym raczej nie rozmawiać. Jak powiedziałem, to był wypadek.

– Więc skocz i zapobiegnij wypadkowi. Jeśli możesz skoczyć do siedemdziesiątego siódmego, to czterdziesty nie powinien ci sprawić najmniejszych kłopotów. Nie pozwól umrzeć Oryginalnemu Oxfordowi!

– Henry, czy ty naprawdę nie rozumiesz? Jestem tu, zabiłem go, nikt mnie nie powstrzymał, więc jeśli spróbuję, z pewnością mi się nie uda.

– Subtelności podróży w czasie umykają mojemu prostemu rozumowi – stwierdził spokojnie Beresford – ale w przyszłości żyłeś, miałeś się dobrze i wynalazłeś kombinezon czasowy. Nie byłoby to możliwe, gdyby ktoś zabił twojego przodka. No i... przecież tu jesteś. Mam wrażenie, że nawet jeśli dla ciebie rzeczy dzieją się w pewien określony sposób, to nie znaczy, że nie możesz cofnąć się i ich zmienić.

Edward zapatrzył się w ścianę.

– Tak... – szepnął z namysłem. – Tak, sądzę, że to możliwe. W każdym razie warto spróbować.

Poderwał się na równe nogi.

– Muszę popracować nad kombinezonem, Henry. Hełm został uszkodzony i jednostka kontrolna też wymaga poprawek.

– Człowieku, zlituj się sam nad sobą! Odpocznij! Wyglądasz, jakbyś nie spał całą noc!

– Bo nie spałem! – warknął Oxford. Podszedł do stołu, na którym leżały jego rzeczy. – To nie jest dobry czas na sen.

Beresford potrząsnął głową.

– A myślałem – powiedział cicho, jakby do siebie – że właśnie ty masz tyle czasu, ile tylko chcesz.

Trzy lata później Edward Oxford wylądował i natychmiast pobiegł ile sił w nogach.

Był dalej od dwóch Oxfordów, niż zaplanował. Już mijając policjanta, zorientował się, że nie, że jest za późno, że tych dwóch ze sobą walczy, że lufa pistoletu już wymierzona jest w głowę królowej.

– Przestań, Edwardzie! – krzyknął ile sił w płucach.

Nagle z jednostki kontrolnej wystrzeliła błyskawica energii, uderzyła w ziemię. Poczuł nieznośny ból przenikającego ciało wyładowania elektrycznego, złożył się wpół, podniósł głowę w chwili, gdy broń wypaliła, a z głowy królowej Wiktorii buchnęła krew.

Władczyni wypadła z powozu, uderzyła plecami w ziemię.

A Oxfordowie walczyli. Oryginalny potknął się i upadł, uderzając głową w pręty ogrodzenia.

„To byłem ja” – pomyślał podróżnik w czasie. „Odwróciłem jego uwagę krzyk i błysk. Spojrzałem na siebie tu, na wzgórzu, przez to poruszyłem ramieniem przodka i sam wycelowałem w jej głowę”.

– Nie – jęknął. – Nie.

Z jednostki kontrolnej trysnęły iskry.

Odwrócił się.

Policjant był tuż-tuż.

Skoczył nad jego głową i wylądował w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku.

– Nie mogę powstrzymać wypadku – powiedział Henry’emu de La Poer Beresfordowi, wchodząc do domu przez drzwi werandy. – Może nawet nic by się nie stało, gdybym nie powrócił właśnie w tamtej chwili!

Ukrył twarz w dłoniach. Jęknął.

– Śpij – polecił mu Beresford. – Wypoczęty zaczniesz myśleć jasno. Znajdziemy jakieś rozwiązanie. I pamiętaj, masz czterdzieści lat na rozwiązanie tego problemu.

– Do diabła z tym! – zaklął Oxford. – Nie mogę przez resztę życia tkwić w... w wiktoriańskim zamknięciu! Poza tym żona spodziewa się mnie na kolacji!

Zachichotał nagle na myśl, jaka przepaść dzieli to, co niezwykłe, od tego, co normalne, codzienne. Stracił panowanie nad sobą, odrzucił głowę, śmiał się dziko, ochrypłym, histerycznym śmiechem tak strasznym, że markiz cofnął się o krok. Jego śmiech odbijał się echem od ścian Chmurnych Wież.

Być może odbijał się echem w czasie?

*** Rozdział 17 ***

Zniechęcanie

Nic nie jest stałe, a najmniej stałe jest to, o czym myślisz „ja”.

Henry de La Poer Beresford,
trzeci markiz Waterford

Edward Oxford szalał cały wieczór, aż wreszcie Beresford wezwał Brocka. Wspólnymi siłami na wpół wepchnęli, a na wpół wnieśli gościa po schodach na piętro. Zaprowadzili go do sypialni, ściągnęli z niego ubranie – obaj nauczyli się już rozpinać kombinezon – a potem położyli go do łóżka. Gość zapadł w końcu w niespokojny sen, mrucząc coś do siebie, jęcząc i rzucając się w pościeli.

A kiedy rano wszedł do salonu, wydawał się chudy i rozgorączkowany. Oczy miał podkrążone.

– Jedz! – rozkazał Beresford, wskazując talerze ustawione na stole przez lokaja.

Gość usiadł. Zaczął jeść powoli, obojętnie, patrząc przed siebie szklistym wzrokiem.

– Mam pytanie – powiedział markiz.

Oxford tylko chrząknął.

– Gdzie teraz jest twój przodek? W tej chwili?

– Ma piętnaście lat. Mieszka z matką i siostrą w wynajętym mieszkaniu na West Place, West Square, w dzielnicy Lambeth.

– A gdzie go zabijasz?

– W Green Park.

– Więc musisz pojechać do Lambeth, znaleźć go i przekonać, że jeśli odwiedzi Green Park w tysiąc osiemset czterdziestym roku, to zginie.

Oxford poprawił się w krześle, spojrzał na gospodarza przytomniej.

– Tak – powiedział niewyraźnie. – Jeśli to by mi się udało, jeśli zdołam zachować zdrowe zmysły w Londynie, to się może udać.

– Wiesz, gdzie jest West Place?

– Tak, to tuż przy Imperial War Museum.

– Co?

– Imperia... nie, chwileczkę, chyba jeszcze go nie wybudowano. To Bethlem Royal Hospital.

– Masz na myśli Bedlam?

– Dokładnie to miejsce, w którym mój przodek spędzi dwadzieścia cztery lata życia... jeśli uda mi się nie dopuścić, bym go zabił.

– Więc był... to znaczy jest szaleńcem?

– W tej chwili, w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku, zaczyna zdradzać objawy zaburzeń umysłowych. Choroba objawi się z pełną siłą w tysiąc osiemset czterdziestym. Popełni wówczas postępek natury kryminalnej. Zostanie złapany, osądzony i osadzony w Bedlam. Po mniej więcej dwóch dekadach odzyska zmysły, choć nadal pozostanie w zamknięciu. Potem przeniosą go do Broadmoor, a wreszcie zostanie zwolniony i deportowany do Australii. Spotka tam dziewczynę. Ożeni się z nią, urodzi się im dziecko i to dziecko będzie moim praprapraprapra... sam nie wiem, ile tego ...dziadkiem.

Beresford pochylił się, podparł głowę dłońmi, przyglądał się uważnie swemu dziwnemu gościowi.

– A teraz nic z tego się nie zdarzy – mruknął.

– Wróciłem w czasie, żeby powstrzymać go od popełnienia zbrodni, ale zamiast jej zapobiec, zabiłem go.

– I nie ma szczęśliwego zakończenia w Australii.

– Szczęśliwego zakończenia w Australii i tak nie było, Henry. Spójrz.

Oxford wyjął z kieszeni portfel, a z portfela złożoną kartkę. Przesunął ją po blacie stołu w kierunku gospodarza. Markiz wziął ją, rozłożył i od razu zorientował się, że ma do czynienia z listem, chociaż takiego atramentu nie widział nigdy w życiu.

Brisbane, 12 listopada 1888
Kochanie,

Nie było nigdy nikogo oprócz ciebie i to, że traktowałem cię źle, boli mnie bardziej nawet niż noszący znamiona zdrady czyn, który popełniłem w roku czterdziestym. Chciałem tylko stworzyć tobie i małemu szczęśliwy dom, a że to mi się nie udało, że piłem i kradłem, zamiast być dobrym mężem, którym tak pragnąłem być, tego żałować będę do kresu mych dni, który wydaje mi się nie tak znów odległy, jako że czuję się chory na ciele i duszy.

Nie winię cię za to, co robisz. Jesteś młoda, w Anglii, przy rodzicach, możesz wieść szczęśliwe życie, a gdybyś została, ściągnąłbym tylko na ciebie nowe nieszczęścia, bowiem diabeł kieruje mną od dnia, gdy wybrał mnie sobie na narzędzie, a byłem wówczas zaledwie młodym chłopcem. Błagam, byś uwierzyła, że to jego wpływy ściągnęły nieszczęścia na naszą rodzinę, a moja prawdziwa dusza nigdy nie życzyła ci nic innego niż szczęście i zadowolenie.

Pamiętasz, moja żono, jak powiedziałem, że znamię na twej piersi jest przesłanym mi od Boga znakiem przebaczenia za zdradę i że w tobie nagrodził mnie On za wszystko, czego dokonałem w szpitalu, odzyskując zdrowe zmysły i umiejętność rozróżnienia dobra od zła?

Modlę się teraz, by łaskawie spojrzał na mój upadek i proszę Go, by znamię, tak bardzo przypominające kształtem tęczę, widoczne także na piersi naszego syna, zdobiło mych potomków na zawsze jako znak, że dokonane przeze mnie zło ściągnie Jego karę na jednego tylko Oxforda: na mnie, bo to ja wystrzeliłem wówczas, nikt inny. Z moją śmiercią, która, jak napisałem, wydaje się bardzo bliska, ta sprawa powinna się skończyć, a zło, kojarzone z moim nazwiskiem, zostać wymazane na wieki.

Byłaś najwspanialszą rzeczą, jaka zdarzyła mi się w życiu.
Żyj szczęśliwa, pamiętaj tylko pierwsze dni.

Twój kochający mąż,
Edward Oxford

PS Przypomnij mnie swoim dziadkom, tak dobrym dla mnie, kiedy byłem dzieckiem. Byli jednymi z pierwszych przyjaciół, jakich w ogóle miałem. Wspominam ich z wielką sympatią.

– To skan listu, który przysłał żonie po tym, jak go porzuciła i powróciła do Anglii, do rodziców. Oryginał mam w domu. Przechodził z pokolenia na pokolenie – wyznał podróżnik w czasie.

– List z przyszłości! Fascynujące! – ucieszył się Beresford.

– Dla mnie z odległej przeszłości. A teraz także list, który nigdy nie zostanie napisany.

– A jednak trzymam go w ręku – powiedział markiz cicho, z zastanowieniem. – Prowokuje to do zadawania pytań, przyjacielu. Po pierwsze: kim była owa żona?

– Nie mam pojęcia. Historia nie przekazała nawet jej imienia. Wiem tyle, że była córką ludzi, których znał z czasów przed przestępstwem. Pisze o tym w postscriptum.

– Zauważyłem. To przestępstwo to była zdrada, prawda? Poważna, bo inaczej nie podróżowałbyś przez czas, żeby jej zapobiec.

– Owszem. Prześladowała moją rodzinę przez stulecia.

– Ale nie powiesz mi, na czym polegała... czy raczej będzie polegać?

– Nie. Wolałbym nie.

– A co z tą tęczą, o której wspomina?

– To takie małe znamię nad sercem, niebiesko-żółtawe, w kształcie łuku. Od czasu do czasu pojawia się w linii Oxfordów. Ja go nie mam, ale mama miała.

– Znak bożego przebaczenia, zdaniem tego biedaka – mruknął Beresford. – Co się w końcu z nim stało w twojej historii?

– Zmarł jako nędzarz w tysiąc dziewięćsetnym roku.

– Więc jeśli znajdziesz go w tej teraźniejszości, jeśli skłonisz go, by nawet nie myślał o przestępstwie, być może jego przyszłość nie będzie tak żałosna, jak była, ale... Mamy problem. Jeśli nie popełni przestępstwa, nie zostanie zesłany do Australii, nie spotka dziewczyny i twoi przodkowie się nie urodzą.

Oxford skinął głową. Powolnym, zmęczonym ruchem przeczesał palcami włosy.

– Myślałem o tym, nim zdecydowałem się na to przedsięwzięcie – przyznał. – Ale zastanów się chwilę. Oryginalny znał dziadków dziewczyny, nim go uwięziono. Istnieje więc spora szansa, że nawet pozostawszy na wolności, poznałby ich wnuczkę i ruszył w konkury, nim dziewczyna wyemigruje, a także, że jego oświadczyny zostaną przyjęte.

Beresford wyglądał na zaskoczonego.

– Święty Boże, Edwardzie, chcesz mi powiedzieć, że zaplanowałeś tę wycieczkę, tak kiepsko zabezpieczając sobie przyszłe istnienie? Czyś ty oszalał, człowieku?

– Zamknij się – warknął podróżnik w czasie, a oczy zapłonęły mu groźnie. – To kwestia prawdopodobieństwa, a rachunek prawdopodobieństwa jest w przyszłości nauką, więc jakie masz kompetencje, żeby się o tym wypowiadać, ty cholerna, prymitywna małpo?

Beresford skoczył na równe nogi. Zmierzył gościa gniewnym spojrzeniem.

– Jak pan śmie, sir! Przypominam, że jesteśmy pod moim dachem! Nie pozwolę, by odzywano się do mnie w ten sposób! Teraz idę zająć się końmi. Proponuję, by przemyślał pan sobie swą sytuację, panie Oxford, bo niech mnie diabli, jeśli będę nadal udzielał gościny człowiekowi zwracającemu się do mnie w ten sposób.

Wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami. Edward Oxford odprowadził go wzrokiem, po czym wstał, podszedł do kominka i zapatrzył się na płomienie pożerające kłody drewna.

Tego samego wieczora o jedenastej wylądował na terenie Bedlam, przy południowo-wschodnim murze. Przeniósł się w przyszłość zaledwie dwie godziny, nadal był koniec czerwca tysiąc osiemset trzydziestego siódmego. Wielki szpital górował nad nim groźnie, tonąc we mgle.

Oxford przeskoczył przez mur na cmentarz, przemierzył go szybkim krokiem, skoczył przez ogrodzenie po drugiej stronie. Wylądował na bruku ulicy tuż przed szacownym biznesmenem, który wrzasnął, rzucił jakieś papiery i uciekł ile sił w nogach.

Spojrzał w lewo, gdzie droga dochodziła do ruchliwej arterii komunikacyjnej.

– To musi być St. George Road – powiedział do siebie. – To jest Geraldine Street, więc West Place mam dokładnie przed sobą.

Usłyszał zbliżające się kroki. Odszedł szybko w przeciwnym kierunku, na drugą stronę ulicy, a stamtąd na zamglony placyk z małym, ogrodzonym płotem parkiem pośrodku. Za ogrodzeniem drzewa garbiły się nad wielkimi plamami głębokiej ciemności. Była to wręcz idealna kryjówka.

Wiedział, że już jako dzieciak, a potem nastolatek Oryginalny sprzątał i pomagał w różnych pubach, nim w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym roku zakotwiczył na dłużej w Kapeluszu i Piórkach, a potem, na pierwsze miesiące tysiąc osiemset czterdziestego, w Wieprzu w Zagrodzie. Gdzie pracował akurat w trzydziestym siódmym roku, pozostawało tajemnicą, ale Oxford uznał, że w wieku zaledwie piętnastu lat, to chyba jak najbliżej domu. Lambeth była dzielnicą dość przyzwoitą, lokalne puby pewnie trzymają się przepisów, zamykają o wpół do dwunastej, więc jeśli w którymś z nich pracował, powinien wracać do siebie w ciągu następnych kilku godzin.

Ale nie wrócił.

Ulicą przechodzili mężczyźni, kilka kobiet i paru młodych ludzi, ale z tych żaden nie przypominał Oryginalnego Oxforda.

O drugiej nad ranem, przemoczony i zesztywniały z zimna, jego potomek wyszedł z kryjówki, skoczył w powietrze i wylądował w tym samym miejscu, również o jedenastej wieczorem.

Czekał.

I nic.

Spróbował następnego dnia, kolejnego i kolejnego.

Był wyczerpany, ciekło mu z nosa, już dawno stracił cierpliwość. Wstęgi energii wiły się po powierzchni jednostki kontrolnej kombinezonu. Osłaniał ją płaszczem.

– Pieprzyć to – szepnął do siebie.

I w tym momencie minął go piętnastoletni Edward Oxford.

Było wpół do pierwszej.

Podróżnik w czasie natychmiast rozpoznał chłopca. Zupełnie jakby patrzył na młodszą wersję samego siebie.

Przeskoczył przez ogrodzenie, złapał dzieciaka za ramiona, odwrócił go i uderzył w szczękę.

Oryginalny stracił przytomność. Podróżnik w czasie wziął go na plecy i zaniósł do ogrodu. Jednocześnie skoczył trzy i pół godziny do przodu. O czwartej nad ranem niewiele się dzieje.

Złożył chłopca pod drzewem, przykucnął, uderzył go otwartą dłonią w twarz. Dzieciak otworzył oczy i wrzasnął. Oxford zasłonił mu usta dłonią.

– Zamknij się! Słyszysz, co mówię? Zamknij się!

Patrzył w szeroko otwarte w panice oczy. Oryginalny nerwowo skinął głową. Drżał na całym ciele.

Cofnął rękę.

– Posłuchaj mnie i zapamiętaj, co ci powiedziałem.

Chłopiec kiwnął głową... i nie przestał kiwać.

Oxford chwycił go za włosy.

– Przestań, mały idioto. Mam ci coś do powiedzenia. Polecenia, które musisz wykonać!

Usta Oryginalnego otworzyły się i zamknęły. Na wargi wypłynęła piana.

– Za trzy lata wpadniesz na pomysł, żeby popełnić przestępstwo. Daj sobie z tym spokój, do cholery. Zrozumiałeś?

Chłopiec wydał z siebie dźwięk przypominający bulgot. W jego oczach było przerażenie... i nic więcej.

– Jeśli zrobisz, co sobie wbiłeś do łba, twoje nazwisko zostanie zapamiętane w historii. Przyniesiesz hańbę każdemu kolejnemu noszącemu je pokoleniu. Przyniesiesz hańbę mnie! Rozumiesz? Mnie, Edwardowi Oxfordowi!

Oryginalny bełkotał coś bez sensu.

– Cicho bądź! – warknął Oxford. – Uważaj, mały głupku! Dziesiątego czerwca tysiąc osiemset czterdziestego roku masz trzymać się z dala od Constitution Hill. Pamiętaj tę datę i moje polecenie! Dziesiąty czerwca tysiąc osiemset czterdziestego! Nie zbliżaj się do Constitution Hill!

Chłopiec zaczął się histerycznie śmiać. Nie mógł przestać.

Podróżnik w czasie puścił swojego przodka. Wstał, spojrzał z góry na tę żałosną postać.

Jedno wydawało się pewne: Oryginalny już był szaleńcem.

Cofnął się jeszcze krok. Skoczył do Green Park w dniu dziesiątego czerwca tysiąc osiemset czterdziestego roku, ale zamiast zmaterializować się parę jardów od miejscu zamachu i kilka minut przed nim, znalazł się wysoko na zboczu wzgórza, za dużym drzewem, a ze ścieżki w dole dobiegały go krzyki. Daleko po jego prawej jakiś człowiek biegł w kierunku gęsto zalesionego kącika parku. Ścigał go policjant. Na wprost, u stóp wzgórza, książę Albert klęczał przy zwłokach młodej żony. Czterej jeźdźcy z eskorty usiłowali powstrzymać panikujących ludzi.

A po drugiej stronie królewskiego powozu leżał mężczyzna, martwy, z głową przebitą przez pręt ogrodzenia.

– Nie – westchnął Oxford. – Nie, nie, nie...!

Powrócił do Chmurnych Wież w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku.

Wylądował na trawniku, upadł na kolana.

Pamiętał, jak zaatakował Oryginalnego tuż przy królewskim powozie. Walczyli, a jego przodek powiedział: „Puść mnie. Moje nazwisko musi zapisać się w historii! Ludzie muszą je zapamiętać”.

– Niemożliwe! – krzyknął. Uniósł głowę i krzyknął w niebo: – Niemożliwe, żebym ja to wywołał! Niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe!

Następne dziesięć dni Edward Oxford spędził przykuty do łóżka. Wysoka gorączka sprawiała, że miotał się i bełkotał całymi godzinami, bez przerwy.

Henry de La Poer Beresford pielęgnował swego gościa troskliwie. Fascynował go ten dziwny człowiek z przyszłości.

– Możemy być jak bogowie – powiedział do Brocka pewnego dnia.

Służący przyjrzał się pacjentowi z powątpiewaniem. Nie dostrzegał nic boskiego w leżącym przed nim nieszczęśniku o wychudłej twarzy i bladej skórze naciągniętej ciasno na sterczące kości policzkowe. Oxford wydawał się dziś o dwadzieścia lat starszy niż wtedy, kiedy pojawił się w posiadłości. Policzki przecinały ciągnące się aż do kącików ust głębokie bruzdy, podobne pojawiły się także wokół jego oczu i na czole. Cienki nos wydawał się bardziej sterczący niż kiedyś.

– Czy mam posłać po doktora, sir?

– Nie, Brock. To przeziębienie, nic więcej.

Ale tak naprawdę było to o wiele więcej.

Edward Oxford rozpadał się. Zanurzony w świecie, który był dla niego obcy, wiedząc, że jego czas już nie istnieje, odłączał się, można powiedzieć, od rzeczywistości. Psychologiczne związki słabły i znikały; ulatywał w próżnię, nie mając się o co zaczepić. Tracił zmysły.

Gorączka ustąpiła we wtorek, szóstego czerwca. Zdarzyło się to w nocy, a Oxforda obudziły krzyki.

Przez chwilę leżał nieruchomo, nie wiedząc, gdzie się znajduje, ale strzępy wspomnień zaczęły do niego wracać, układały się w całość. Jęknął w rozpaczy.

Krzyki nie cichły.

Oxford usiadł na łóżku, a potem wstał z wysiłkiem. Chwiejnym krokiem podszedł do krzesła, zdjął wiszący na jego oparciu szlafrok, włożył go, z wysiłkiem dotarł do drzwi. Wyszedł na korytarz, ale zabrakło mu sił. Przystanął, oparł się o ścianę.

– Błagam – usłyszał kobiecy krzyk. – Nie! Nie rób mi tego! Więcej nie zniosę! Boże, miej litość!

Hałas dobiegał z pokoju markiza, znajdującego się w tym samym korytarzu.

Oxford zrobił kilka kroków w tamtą stronę, gdy nagle drzwi tuż przed nim otworzyły się, wypadła przez nie naga kobieta i runęła na podłogę. Uniosła się na łokciach i kolanach, poczołgała się w jego kierunku. Wówczas dostrzegł, że plecy ma pocięte czerwonymi pręgami. W kilku miejscach skóra pękła, z ran płynęły krople krwi.

– Przestań, panie! Nie! Błagam! – zawyła.

Na korytarz wytoczył się Beresford, ubrany wyłącznie w spodnie. W prawej ręce trzymał bicz, w lewej butelkę. Z demonicznym śmiechem smagnął kobietę po nagich

pośladkach.

– Przestań! – krzyknął Oxford.

Kobieta upadła na twarz. Leżała nieruchomo, jęczała cicho.

– Na Boga! – Markiz dopiero dostrzegł swego gościa. – Odzyskałeś przytomność, nie mylę się?

– Co... co się tu dzieje? – wybełkotał podróżnik w czasie.

– Ha! – ryknął Beresford. – Ta flądra dostaje, na co zasłużyła, a mnie kosztuje to kilka nędznych szylingów. Tania dziwka!

Trzasnął bicz. Markiz roześmiał się.

Oxford próbował coś powiedzieć, nie zdołał i tylko patrzył, jak podłoga unosi się, uderza go w czoło...

Potem nie było już nic.

W środowe popołudnie podróżnik w czasie siedział na łóżku, ostrożnie popijając rosół z kury. Zdarzenia poprzedniej nocy wydawały mu się już tylko niemal zapomnianym snem.

Gospodarz wszedł do jego pokoju ubrany w strój jeździecki. Właśnie wrócił z polowania i znów był pijany jak bela, czego można było oczekiwać. Potknął się, podchodząc do fotela, usiadł na nim ciężko.

– Widzę, że wróciłeś z krainy martwych? Jak się czujesz, do diabła?

– Jestem słaby – przyznał Oxford. – Henry, przepraszam cię za to, co powiedziałem.

– Do diabła, zdejmij mi buty, Brock! – polecił Beresford. Uśmiechnął się do gościa szeroko. – Jakoś nie potrafię ściągnąć tych starych choler bez pomocy.

– To, co ci powiedziałem, było niewybaczalne – mówił dalej Oxford. – Nie wolno mi było nazwać cię małpą.

– Ach, zapomnij o tym. Było, minęło, nie ma o czym mówić. Jak rozumiem. Oryginalny nie chciał o niczym słyszeć? Nie udało ci się go zniechęcić? Gadałeś o tym cały czas przez sen.

– Zamiast go zniechęcić, chyba raczej zachęciłem – przyznał Oxford.

– Ha! A więc Wiktoria musi umrzeć. Ha, ha!

Oxford oblał zupą pościel. Odłożył talerz na stolik przy łóżku. Ręka mu drżała.

– Zdaje się, że powiedziałem za wiele – westchnął ochryple.

– Ależ skąd, stary. Nie kocham tej naszej małej, wymuskanej lafiryndy. Poza tym mam wrażenie, że znając całą historię, lepiej ją teraz rozumiem. Mniemam, że Jej Wysokość jest w twej historii postacią o pewnym znaczeniu?

– Rządziła w okresie ekspansji lmperium brytyjskiego, przeżywającego również epokę wielkiego postępu technicznego.

– Brock! – wrzasnął Beresford. – Gdzieś ty się podział, człowieku? Te cholerne buty mnie dobijają. – Markiz spojrzał na gościa, potrząsnął głową. – Zdaje się, że wiemy już, co się zdarzy, a poza tym jakoś nie widzę tej zadzierającej nosa kurewki wpływającej na losy kraju, obojętnie jak.

– Jest symbolem.

– Do diabła z symbolami. Symbole przychodzą, symbole odchodzą. Pieprzyć królową, tylko tyle ci powiem. Ach, Brock, jesteś wreszcie. Bądź uprzejmy zdjąć mi z

nóg te cholery, stary głupi koźle.

Kamienna twarz służącego nie zmieniła wyrazu. Brock przyciągnął stołek na trzech nogach, usiadł, ułożył sobie na kolanie prawą nogę markiza, zaczął rozpinać długi jeździecki but.

– Nie, Edwardzie – mówił dalej Beresford. – Gdybyś mnie spytał, powiedziałbym ci, że przywiązujesz zbyt wielkie znaczenie do wydarzeń z tego dnia tysiąc osiemset czterdziestego roku. Powinniśmy skierować nasze wysiłki gdzie indziej.

Brock zaczął ściągać but swemu panu.

– Nie mamy wielkiego wyboru – zauważył Oxford. – Byłem tam trzykrotnie. Za każdym razem lądowałem nieco dalej od miejsca zdarzenia, geograficznie i czasowo. Kombinezon ochrania mnie przed spotkaniem z samym sobą.

– Więc, jak powiedziałem, powinieneś przestać zajmować się sprawą od tej strony. – Markiz westchnął z ulgą, bo właśnie udało mu się uwolnić stopę.

– Co sugerujesz?

– Historia niech się toczy, jak chce. Być może liczy się nie rodzaj, nie porządek zdarzeń, tylko to, byś w nich w ogóle uczestniczył. Jeśli załatwisz to tak, żeby właściwa dziewczyna miała dziecko z Oxfordem, odtworzysz linię przodków. Kogo obchodzi, że bez Wiktorii świat będzie może trochę inaczej wyglądał? Ważne, żeby był w nim jakiś dwa tysiące dwieście drugi rok i Edward Oxford. Wrócisz do domu, człowieku!

Podróżnik w czasie przyglądał się swym dłoniom z namysłem.

– To prawda – przyznał cicho. – Oryginalny miał... to znaczy ma braci. Ale jeśli nawet uda mi się zidentyfikować dziewczynę, co wcale nie będzie takie łatwe, to nie widzę sposobu, żeby ich jakoś... skojarzyć.

Markiz ryknął pijackim śmiechem. Pozbył się już drugiego buta, więc gestem odesłał Brocka. Służący odszedł z ukłonem, zabierając ze sobą obuwie.

– No nie, jak na człowieka z przyszłości jesteś cholernie tępy. Sam to załatw, człowieku. – Klepnął się po kolanie z wielkiej radości. – Nie potrafisz? Znajdź małą dziwkę i załatw to!

Oxford spojrzał na swego gospodarza ze zdumieniem.

– Chyba nie sugerujesz, Henry, żebym zgwałcił dziewczynę będącą moją własną prababką!

– Ależ oczywiście, że sugeruję. Dokładnie to. Musisz powołać do życia sam siebie. Wpieprzyć się w nie. Masz jakieś inne wyjście?

*** Rozdział 18 ***

Przygotowania

Wszystko jest losem i przypadkiem.

przysłowie arabskie

Trzy dni później pomysł Beresforda nie wydawał się już aż tak zatrważający. Nie dlatego, że nagle nabrał sensu, lecz dlatego, że Oxford tracił poczucie tego, co w ogóle jest sensowne. Czuł się przerażająco niezwiązany z otaczającym go światem i kiedy Beresford lub Brock mówili coś do niego, wydawało mu się, że grają, bardzo dobrze grają, ale to nie rzeczywistość, lecz właśnie gra. Tylko tyle. Gra.

W sobotę wieczorem, przy kolacji, poruszył temat, który w tej chwili był dla niego sednem planu: nie gwałt, lecz jak znaleźć właściwą ofiarę gwałtu.

– Niewiele o niej wiem – powiedział do markiza.

– Wiesz, że ma znamię na piersi.

– Tak.

– I że była znacznie młodsza od Oryginalnego.

– Tak.

– I wiesz, że znał jej rodziców i dziadków, nim wyemigrowali do Australii.

– Tak.

– I wiesz, że był przetrzymywany w Bedlam i Broadmoor od połowy lat czterdziestych aż do dnia, w którym sam wyemigrował, a to znaczy, że musiał znać ich przed zabójstwem.

– Usiłowaniem zabójstwa – poprawił gospodarza Oxford.

– To właśnie chciałem powiedzieć. I wiesz, że najpierw pracował w Kapeluszu i Piórkach, a potem w Wieprzu w Zagrodzie.

– To się zgadza.

– Więc masz od czego zacząć.

– Chyba nie spodziewasz się, że będę odwiedzał puby, Beresford. Zaledwie znoszę odosobnienie Chmurnych Wież, mając za całe towarzystwo ciebie i służbę.

– Nie czuję się urażony – powiedział markiz, uśmiechając się kpiąco. – I nie sugeruję ci niczego takiego.

– Więc co?

– Po prostu to: przez te dwa i pół roku wytropię dla ciebie tę młodą damę. Spotykamy się tu co sześć miesięcy, będę cię informował o postępach.

– Co sześć miesięcy?

– Jasne. Skończ jeść, dopij wino i skacz. Do zobaczenia pierwszego stycznia tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku.

Sześć miesięcy później Henry de La Poer Beresford, trzeci markiz Waterford, wyglądał nędzniej, podobnie jak jego posiadłość. I oczywiście był pijany.

– No nie, a zaczynałem już myśleć, że byłeś czymś w rodzaju złudzenia – wybełkotał do Oxforda, gdy tylko ten zmaterializował się przy drzwiach werandy. – Zejdź z tego deszczu, przyjacielu.

Weszli do sali balowej, przeszli przez nią do pokoju dziennego. Oxford zdjął hełm i buty. Hełm wydawał się za gorący, musiał zdusić ogień tlący się wokół wgniecenia w miejscu, w którym zrykoszetowała kula strażnika.

– Wiesz coś? – spytał.

– Napijesz się ze mną wina?

– Piłem do obiadu. Zapominasz, że od czasu naszej ostatniej rozmowy dla mnie upłynęło zaledwie kilka sekund. Znalazłeś dziewczynę?

– Nie. Ten żałosny idiota nadal mieszka z matką i siostrą. W czerwcu wywalono go z Czerwonego Lwa, bo dostał jakiegoś ataku. To chyba było po tym, jak sprawiłeś mu lanie. W każdym razie był bez pracy całe miesiące, a potem poszedł do Szczurołapa. Pijałem tam, w peruce i z brodą, jako pan A.W. Smith. To nędzna dziura, a ja jestem najregularniejszym z jej regularnych klientów. Mogę powiedzieć ci z całą pewnością, że reszta to niesympatyczna banda, trochę bezzębnych starych sukinsynów oraz parę ospowatych dziwek. Wątpię, by nasza dziewczyna mogła być owocem lędźwi kogokolwiek spośród nich. Oryginał jest kretynem, nie ma przyjaciół, ale dobrze spisuje się za barem. Sprawny chłopak. Oczywiście będę go miał na oku.

Oxford wyciągnął rękę. Beresford potrząsnął nią, choć wydawał się nieco zaskoczony.

– Jeszcze ci nie podziękowałem, Henry.

– To ja ci dziękuję, Edwardzie. Wiele skorzystałem na naszej znajomości. Dałeś mi do myślenia, widzę nasz świat w zupełnie innym świetle. Być może nadszedł czas, by ktoś zachęcił ludzi do zerwania krępujących ich więzów. Niech mówią, co chcą powiedzieć, jeśli tylko mają coś do powiedzenia, niech swobodnie wyrażają swą seksualność, niech ubierają się, jak chcą, będą, kim chcą być. Może pewnego dnia uczynię tę sprawę swoją?

Markiz czknął. Oxford uśmiechnął się.

– Piękna mowa, choć może trochę niewyraźna. Powinieneś odstawić alkohol. Nie służy ci.

Markiz uśmiechnął się szeroko.

– Wynoś się w diabły do pierwszego lipca trzydziestego ósmego!

– Jak powiedziałeś, tak się i stanie. – Podróżnik w czasie znikł.

Pół roku później znów byli razem. Beresford wyraźnie się postarzał.

– Przykro mi, Edwardzie, ale nie mam ci do powiedzenia nic oprócz tego, że chłopak przez swoje dziwne zachowanie stracił pracę i przeniósł się do Fajansowego Kufla. Poza tym ciągle to samo: mieszka z matką, nie ma przyjaciół, a wśród klientów trudno znaleźć kogoś odpowiedniego.

– Dzięki, Henry. Do zobaczenia pod koniec roku.

– Może byś został? Nie widziałem cię od wieków! Pogadajmy...

– Nie zostanę. Ten problem trzeba rozwiązać jak najszybciej. Chcę wrócić wreszcie do domu, Henry.

Markiz westchnął ciężko.

– A więc idź, przyjacielu, ale zapamiętaj sobie: nie zadowolę się wyłącznie tak przelotnymi wizytami. Następnym razem pozostaniesz dłuższy czas, dotrzymasz mi towarzystwa.

Następny raz wypadał pierwszego stycznia tysiąc osiemset trzydziestego dziewiątego roku.

– Wymówił pracę tuż przed Bożym Narodzeniem. Dobra wiadomość, Edwardzie, brzmi: wkraczamy wreszcie na lepiej nam znany teren. Za dwa tygodnie zaczyna w Kapeluszu i Piórkach. Sam mi to powiedział. Zostaniesz choć parę godzin, dobrze?

– Następnym razem.

Mijały miesiące.

Dla Henry’ego de la Poer Beresforda, którego wesoły tryb życia nabierał zaskakująco filozoficznej motywacji, świat był po prostu światem, lecz gdyby posiadał on wiedzę Edwarda Oxforda, wiedziałby, że nie jest to już rzeczywistość znana z podręczników historii. Coś wyrwało go z utartych kolein, skierowało, pędzącego coraz szybciej, w nieco innym kierunku.

Tym czymś był sam markiz.

Jeszcze w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku rozmawiał, nieco zbyt swobodnie, z Isambardem Kingdomem Brunelem, zaszczepiając słynnemu inżynierowi idee, na których fundamencie miał w przyszłości stanąć gmach ruchu techników. Dokładnie tak, jak z niego samego Edward Oxford uczynił przyszłego przywódcę libertynów.

Pojawiając się pierwszego lipca w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym roku, gość z przyszłości oczywiście nic nie wiedział o tych zmianach.

– Stęskniłem się za tobą, przyjacielu – powiedział Beresford.

– Cześć, Henry. Ja za tobą nie. Przecież przed chwilą się widzieliśmy. Pamiętasz Nowy Rok? Pomóż mi z hełmem, proszę. Nadal się pali?

– Bardziej niż poprzednio. I to coś na piersi też.

– Muszę zostać na trochę, dokonać napraw. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Doskonale. Jesteś mile widzianym gościem. Brakuje mi naszych rozmów. Masz, załóż narzutę na hełm, to ci go zdejmę.

Pozbywszy się kombinezonu, Oxford rozgościł się w salonie, który teraz, w połowie trzydziestego dziewiątego roku, był jednym z niewielu urządzonych i zadbanych

pomieszczeń w rozpadającym się dworze.

– Wina?

Oxford roześmiał się.

– Znów zapomniałeś. Nadal czuję na języku smak tego, którym częstowałeś mnie dwa lata temu.

– Nie, nie... do czegoś takiego człowiek długo musi się przyzwyczajać.

– I jak tam, Beresford?

– Zyskuję sobie reputację, przyjacielu, i to wcale nie lokalną. Wiesz, jak mnie nazywają?

– No jak?

– Szalony Markiz. A wiesz dlaczego?

– Bo jesteś beznadziejnym pijakiem?

Beresford roześmiał się wesoło.

– No, nie mogę się nie zgodzić. Ale przede wszystkim chodzi o to, że łamię konwenanse, które, jak twierdzisz, tak krępują nas, wiktorianów. Prawdę mówiąc, Edwardzie, zamierzam stanąć na czele ruchu, którego zadaniem będzie zburzenie konstrukcji wszystkich tych zasad i manier. Przekonałeś mnie, że człowiek może dokonać o wiele więcej, jeśli jest wolny.

– Ambitny plan. Co z chłopcem?

– Ach, nasz szanowny Oryginalny! Od stycznia pracuje w Kapeluszu i Piórkach. A pan Smith ze Szczurołapa przeniósł się wraz z nim. Młodemu człowiekowi wielką przyjemność sprawiła informacja, że ten oto dżentelmen uważa go za najlepszego barmana w Londynie! Ha, ha, ha! Ale nie wiem, Edwardzie... to mały pub. Nie widziałem, żeby nawiązywał w nim jakieś przyjaźnie. Przez pewien czas byłem prawie pewien, że nasz cel to Lucy Scales, osiemnastolatka. Oczywiście nie mogła być tą dziewczyną, którą poślubi w Australii, ale mogłaby być jej matką. Jest w odpowiednim wieku.

– Dlaczego ona? – W oczach Oxforda błysnęło zainteresowanie.

– Bo w lutym została zaatakowana tuż obok baru, za rogiem, a młody Oxford zareagował bardzo gwałtownie. Nie było mnie tam akurat wtedy, ale podobno dostał ataku histerii, a potem jeszcze załamania nerwowego. Zdrowiał przez parę tygodni i wrócił do pracy.

– Uważasz, że darzy tę dziewczynę uczuciem?

– Przyszło mi to do głowy, ale przyjrzałem się jej bliżej, no i okazało się, że nigdy nie spotkał ani jej samej, ani jej rodziców, ani w ogóle kogoś, kto miałby z nią coś wspólnego.

Oxford rozważał jego słowa przez dłuższą chwilę, a potem spytał:

– Masz jeszcze coś?

– Owszem. Poczyniłem kilka sprytnych przygotowań. Oryginalny ma obsesję. Chce unieśmiertelnić swe nazwisko, czyli, jeśli zacytować jego samego: „zapisać się w historii”.

– Jakim ja byłem głupcem, że dopadłem go w kombinezonie – przerwał mu podróżnik w czasie. – Zgłupiał z przerażenia, a mądry to on nigdy nie był. Uczepił się moich słów jak pijany płotu, tylko przedtem wszystko poprzekręcał, żeby pasowało do jego manii wielkości.

– Jego manie pracują teraz dla nas – zauważył Beresford. – Zaoferowałem mu pozycję w tajnym stowarzyszeniu, które sam wymyśliłem... a raczej wymyślił je A.W. Smith.

Nazywa się Młoda Anglia, ma dwudziestu pięciu członków.

Oxford uderzył dłonią w oparcie fotela.

– Proszę, powiedz mi, że żartujesz. Wtajemniczyłeś dwadzieścia pięć osób?

– Oczywiście, że nie wtajemniczyłem. Ci ludzie to fikcja, podobnie jak cała organizacja.

– Po co to wszystko?

– Otóż Młoda Anglia stawia sobie za cel obalenie angielskiej arystokracji, czyli ludzi takich jak ja, i zastąpienie jej kimś, kogo można by nazwać rasowym robotnikiem. Nie zamierzam wchodzić w szczegóły, Edwardzie, bo to przecież oczywisty nonsens. Gadałem jak najęty, a temu biednemu dzieciakowi aż kręciło się w głowie. Ostateczny rezultat jest jednak taki, że... każdy członek organizacji musi znaleźć sobie żonę będącą personifikacją najlepszych cech pracującej dziewczyny. Robotną, cnotliwą i skromną w obyczajach, uczciwą, lojalną... no wiesz, takie głupie gadanie. Oryginalny szuka sobie teraz tego niemożliwego ideału. Został nakręcony tak, żeby sprawdzać pochodzenie każdej spotkanej dziewczyny. Ma mi nawet pisać odpowiednie raporty, osobny dla każdej.

Edward Oxford roześmiał się nieprzyjemnie, zgrzytliwie.

– Chytry z ciebie lis, markizie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale przyznaję, imponuje mi twoja pomysłowość.

– Cieszę się, że mogę pomóc. Pozostawiam cię teraz twym naprawom, ale później musisz napić się ze mną wina. Będę nalegał.

– Zgoda!

Oxford spędził wieczór z gospodarzem, przespał noc, a rano rozpłynął się w powietrzu i wrócił dopiero pierwszego stycznia tysiąc osiemset czterdziestego roku.

– Królowa ma przed sobą jeszcze sześć miesięcy, robi się gorąco – oznajmił Beresford.

– Naprawdę? – wychrypiał Oxford. Wydawał się patrzeć gdzieś w przestrzeń. – Opowiedz mi o wszystkim.

– Nasz człowiek pracuje teraz w Wieprzu w Zagrodzie na Oxford Street. Jako jego najwierniejszy klient, pan A.W. Smith oczywiście się tam przeniósł. Właścicielem baru jest Joseph Robinson. Mieszka w Battersea. Co tydzień ściąga grupę rodzin ze swojej dzielnicy. Organizuje im zabawę, można powiedzieć, że huczną. Sami siebie nazywają Brygadą z Battersea. Podobno mają protestować przeciw budowie elektrowni.

– Jakiej elektrowni?

– Elektrowni Battersea. To pomysł Brunela, taki bardziej kontrowersyjny.

– Przecież to nie ma żadnego sensu – zaprotestował podróżnik w czasie. – Budowa elektrowni Battersea rozpoczęła się dopiero w latach dwudziestych dwudziestego wieku... i nie miała nic wspólnego z Brunelem.

– Hmmm... być może to moja wina.

– Jak to? Nie rozumiem?

– Dużo mówiłeś mi o przyszłości, Edwardzie, bardzo dużo, a ja obiecałem dochować tajemnicy. Obawiam się jednak, że pewnego razu w trzydziestym siódmym w Athenaeum Club, byłem w dość kiepskiej formie. Spotkałem tam inżyniera, Isambarda Kingdoma

Brunela...

– Pamiętam tę noc – wtrącił Oxford.

– No cóż, z przykrością przyznaję, że trochę się rozgadałem. Powiedziałem Brunelowi, jak twoi ludzie wyciągają energię z ziemi. Pamiętałem nawet nazwę, której użyłeś: energia geotermiczna. Zachwycił się jak wariat i jeszcze przed końcem roku zgłosił projekt eksperymentalnej elektrowni Battersea.

– Niech cię diabli, Henry. Jakby mało było, że wrócę do przyszłości bez Wiktorii, to teraz jeszcze przez ciebie energia geotermiczna stała się znana trzysta lat za wcześnie. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że przed kompletnym szaleństwem może mnie ocalić tylko otoczenie jakoś tam mi znane.

– Przepraszam. To rzeczywiście była wpadka.

– Cholerna wpadka. Opowiedz mi teraz o tej grupie protestu... Dlaczego są tacy ważni?

– Ponieważ od chwili, gdy Oryginalny się tam zatrudnił, on i brygada dosłownie się w sobie zakochali. Wyobrażasz to sobie? Kochają tego małego dupka.

– Chcesz powiedzieć, że wreszcie ma przyjaciół?

– Właśnie. Siedmiu z nich ma córki, wszystkie w wieku kwalifikującym je na matki żony Oryginalnego. Każda z tych córek może mieć znamię Oxfordów na piersi.

– Niekoniecznie. Znamię nie pojawia się w każdym pokoleniu.

– Ale jeśli któraś je ma, dobrze byłoby stwierdzić która. Zamiast śledzić je wszystkie, póki któraś nie wyda na świat twojego przodka, musiałbyś śledzić jedną.

Oxford powoli skinął głową, przygryzł wargi, po czym znieruchomiał, a jego twarz straciła wszelki wyraz i obwisła.

– Edwardzie? – zdziwił się markiz. – Nie słuchasz, co do ciebie mówię?

– Słucham – wybełkotał podróżnik w czasie. Zamrugał. – Powiedz mi, kiedy i gdzie mogę spotkać te dziewczyny. Pora kończyć całą tę sprawę. Do zobaczenia za sześć miesięcy.

Znikł.

Minął styczeń, potem luty, marzec, kwiecień, maj i czerwiec.

Nadszedł lipiec.

Królowa Wiktoria zginęła w zamachu.

Zamachowiec zmarł w kilka chwil po niej.

W dziesięć dni później Beresford powitał gościa w drzwiach werandy.

– Kilka dni po śmierci Wiktorii zabrałem moich zwolenników do Wieprza w Zagrodzie – oznajmił. – Porzuciłem tożsamość A.W. Smitha.

– Więc nie ukrywasz już, że jesteś markizem Waterford?

– Nie – roześmiał się Beresford. – Wręcz przeciwnie.

– Zabawne. A ja myślałem, że te twoje wąsy to część przebrania. Kiedy je zapuś... Boże!

– O co ci chodzi?

– Poznaję cię. Byłeś tam! Przyglądałeś się zamachowi! Z uśmiechem!

– Oczywiście, stary przyjacielu. Takiego widowiska się nie traci. Spodziewałeś się, że

zrezygnuję z obejrzenia cię w akcji? Zobaczenia na własne oczy tego, o czym tyle mi opowiadałeś? Bycia świadkiem śmierci tej nadętej krowy?

– Henry! Mogłeś przecież spróbować zapobiec temu, co się stało!

– Nie sądzisz, że problem ten jest wystarczająco skomplikowany i bez mego udziału?

Oxford przez chwilę tylko wpatrywał się w markiza, a potem westchnął i wzruszył ramionami.

– Chyba rzeczywiście masz rację.

Beresford uśmiechnął się.

– Zdejmij hełm i wejdź do domu.

– Nie mogę zostać na dłużej. Kombinezon wyzionie ducha lada chwila.

Mówił prawdę. Białe łuski wokół tarczy na piersi były mocno nadpalone, z dziwnej jednostki kontrolnej tryskały iskry, a aura niebieskawych płomieni wydawała się już stałą ozdobą hełmu.

– Przyznaję, nie to wygląda najlepiej – zgodził się z nim Beresford. – A więc interesy, tak?

– Proszę.

– Doskonale. Po pierwsze, powinieneś dowiedzieć się, że od dnia zamachu policja węszy wokół Wieprza w Zagrodzie. Nic dziwnego zresztą. Sprawdzają, czy zamach na królową jest częścią szerzej zakrojonej, dobrze zorganizowanej akcji, i moi ludzie wszyscy są podejrzani. Chyba mają nas za bandę niebezpiecznych anarchistów.

Przeszli przez salę balową na ciągnący się za nią korytarz.

– Czyli jest dokładnie tak, jak chciałem – mówił dalej markiz. – Właśnie dlatego zabierałem moich młodych byczków do baru. Policja koncentruje się w tej chwili na nich, pozostawiając w spokoju Brygadę z Battersea, która przez kontrast wydaje się im niczym więcej niż bandą wsioków. No i oczywiście jest jeszcze Młoda Anglia. Scotland Yard niewymownie zdumiał się faktem, że choć w pokoju Edwarda Oxforda znaleziono listy od A.W. Smitha, nigdzie indziej nie ma śladów ani jego samego, ani jego organizacji. Czyli, inaczej mówiąc, władzom puściliśmy dobry, gęsty dym w oczy.

Weszli do salonu.

– A co z dziewczynami, Henry? – spytał Oxford. – Oryginał miał o nich coś użytecznego do powiedzenia?

– No przecież! Niezwykły był z niego wioskowy idiota. Zdołał zgromadzić mnóstwo informacji, wystarczająco wiele, żebyś mógł odszukać dziewuchy, nawet skoczywszy parę lat wstecz. Siadaj, zjesz coś na drugie śniadanie.

Oxford usiadł za stołem, a Brock, jedyny pozostały przy boku Beresforda służący, postawił przed nim talerz chleba i serów.

Na twarzy podróżnika w czasie widać było wyraz powątpiewania.

– Pokrzep się, przyjacielu – zachęcił go markiz. – W gruncie rzeczy to bardzo proste. Nie dobierzesz się do dziewczyn w przyszłości, ponieważ, co oczywiste, nie wiemy, gdzie wówczas będą. Nie możesz dopaść ich teraz, ponieważ policja tylko czeka, aż koło Wieprza w Zagrodzie zdarzy się coś dziwnego. Zostaje nam to tylko przeszłość. Mam tu opisy ich wszystkich: Jennifer Shepherd, Mary Stevens, Deborah Goodkind, Lizzie Fraser, Tilly Adams, Jane Alsop i Sarah Lovitt. A także, na piśmie, miejsca i czas, gdzie spotkanie każdej z nich jest najbardziej prawdopodobne.

Oxfrod wziął podaną mu kartkę, przeczytał notatki markiza i nagle bardzo się ożywił.

– Wyjątkowo szczegółowe dane – powiedział z radością. – Mój przodek zrobił

doskonałą robotę. Z tą twoją Młodą Anglią połknął haczyk, żyłkę i ciężarek przy żyłce. W porządku, zabieram się do roboty.

– Zaczekaj! Nie zostaniesz? Nie dojesz drugiego śniadania?

– Dziękuję, Henry, ale nie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zobaczysz mnie za minutę. Wtedy się najem.

Wyszli z dworu.

– Bierz je, Edwardzie. *Bon voyage!* – krzyknął Beresford.

*** Rozdział 19 ***

Polowanie

> Jeśli odrobina wiedzy jest niebezpieczna, gdzie człowiek, który ma jej tyle, by uważać się za bezpiecznego?
>
> **Thomas Henry Huxley**

5 maja 1838

Każdego sobotniego popołudnia o godzinie za piętnaście druga szesnastoletnia Jenny Shepherd wychodziła z domu rodziców przy Maskelyne Close w Battersea, przecinała południowo-zachodni kraniec parku i dochodziła do domu rodziny Calvertów na Beechmore Road. Zamiast pukać do frontowych drzwi, szła do wejścia dla służby, gdzie już czekała na nią gospodyni, pani Twiddle.

Jenny zawsze zaczynała o drugiej. Pracowała bez przerwy do szóstej po południu. Rodzice nazywali to praktyką. Pani Twiddle nazywała to pracą. A Jenny Shepherd – niewolnictwem.

Musiała jednak przyznać, że przez sześć miesięcy spędzonych w niewoli wiele się nauczyła. Potrafiła polerować srebra, aż można było się w nich przejrzeć jak w lustrze, potrafiła wywabić plamy z bawełny i jedwabiu, potrafiła tak zastawić tacę z herbatą, by ciężar był dobrze wyważony, potrafiła upiec chleb i wypatroszyć rybę.

Umiała zrobić mnóstwo rzeczy, do których pół roku temu nie potrafiłaby się nawet zabrać.

Tego letniego wieczora Jenny wyszła z domu pracodawców szczególnie zmęczona, bo wiele godzin spędziła, myjąc podłogi na klęczkach. Wszystko ją bolało, pragnęła jedynie znaleźć się już w domu rodziców, we własnym łóżku.

W powietrzu wisiała wilgotna mgiełka, aż gęsta od przenikliwego smrodu Tamizy. Słońce zniżyło się już nad horyzontem, ale było jeszcze wystarczająco jasno, aby mogła pójść na skróty, łamiąc bardzo stanowcze ojcowskie polecenie, że zawsze ma iść drogą.

Przeszła przez bramę wejściową parku. Wlokła się ścieżką noga za nogą, strój pokojówki był za ciężki na tę pogodę i bardzo niewygodny.

„Dom. Łóżko” – pomyślała. Dopasowała te dwa słowa do rytmu swych kroków. Dom. Łóżko. Dom. Łóżko. Dom...

A to co?

Coś poruszyło się w krzakach po lewej stronie.

Pewnie bezdomny szuka sobie miejsca na noc. Takiego, w którym nie wpadnie w oko policji. Z parku natychmiast by go wygonili.

Jenny skręciła ze ścieżki. Mimo wszystko zamierzała obejść tę kępę szerokim łukiem. Znajdowała się w raczej odludnej części parku.

– Nie można być za ostrożnym, moja mała Jenny – szepnęła, cytując ojca. – Miej oczy i uszy otwarte.

Dom. Łóżko. Dom. Łóżko. Dom. Łóżko.

– Jennifer Shepherd!

Głos dobiegał z krzaków. Głośny szept.

Dziewczyna zatrzymała się, rozejrzała. Rzeczywiście, ktoś się tam krył, widziała nawet fragmenty białego ubrania.

– Jennifer Shepherd!

Ten ktoś ją znał!

– Kto tam? – spytała, starając się, by jej głos zabrzmiał stanowczo. – Znowu próbujesz tych twoich sztuczek, Herbercie Stubbs? Bawisz się w rozbójnika na gościńcu, tak? Dicka Turpina? Nie zatrzymam się i nie mam zamiaru płacić, mój mały. Mowy nie ma! Idę do domu pospać sobie w chłodnej pościeli. Więc nie wyłaź z krzaków i czekaj na kolejną ofiarę!

Odwróciła się, przeszła kilka kroków, ale zatrzymała się, spojrzała na kępę.

– Hej, Dicku Turpinie! – zawołała. – Wyłaź i odprowadź mnie do domu, jak przystało na małego dżentelmena. Mama i tak każe ci wracać do domu na herbatę. O tej porze mali chłopcy nie powinni się włóczyć nie wiadomo gdzie.

Odpowiedziała jej cisza.

– Herbert! Wyłaź stamtąd natychmiast!

Krzaki zaszeleściły.

– Nawet rozbójnicy muszą jeść. Może przypadkiem...

Zamilkła i znieruchomiała z otwartymi ustami. Nogi się pod nią zatrzęsły.

Wysoka, patykowata postać wyprostowała się i wyszła z krzaków na bocianich nogach. Wokół wielkiej, czarnej głowy tańczyły niebieskie płomienie. Dopadła jej w trzech krokach, przysiadła, złapała ją za ramiona.

– Masz znak na piersi? – spytała syczącym głosem.

Dziewczyna próbowała poruszyć się, krzyknąć, uciec, ale ciało nie poddawało się rozkazom umysłu.

– Odpowiedz mi – warknął stwór. – Na piersi, nad sercem... czy masz znamię w kształcie tęczy?

Dom. Łóżko. Dom. Łóżko. Dom. Łóżko.

Po jej udzie pociekła ciepła uryna.

Poczuła, jak nagle otacza ją ściana strasznego dźwięku, jak skowyt. Na początku był cichy, ale stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy, aż ranił uszy. Stwór uniósł rękę, opuścił gwałtownie, otwartą dłonią uderzył ją w policzek. Skowyt ucichł; dopiero wówczas dotarło do niej, że to ona wyła.

– Nie – odpowiedziała ze szlochem.

– Nie masz znamienia?

– Nie mam – powiedziała głośniej.

– Nie masz znamienia?

– NIE! – krzyknęła, wyrwała się z uścisku potwora, pobiegła ścieżką tak szybko, jak nie biegła jeszcze nigdy w życiu. Łzy ściekały jej po policzkach. Nie czuła bólu.

9 października 1837

Miała piętnaście lat. Od dwunastego roku życia od poniedziałku do piątku mieszkała u pracodawców. Było tak, jakby za każdym razem po weekendzie wysyłano ją z powrotem do więzienia.

Pierwsza więzienna zasada mówiła, że wolno ci wyłącznie odpowiadać na pytania.

Druga więzienna zasada mówiła, że gdy w korytarzu zdarzy się jej spotkać panią, pana lub ich syna, ma natychmiast odwrócić się twarzą do ściany i czekać, aż przejdą. Gdy ich syn był sam, przechodząc, zawsze przeciągał ręką po jej pupie. Uważała to za okropne.

Trzecia więzienna zasada mówiła, że ma obowiązek płacić za wszystko, co uszkodziła. Tej zasady nie lubiła najbardziej ze wszystkich, bo Mary Stevens była dziewczyną niezdarną i biorąc pod uwagę, jak ułożył się jej ten rok, będzie potrzebowała dużo szczęścia, żeby na jego koniec dostać w ogóle jakąś wypłatę.

Weekendy! Boże, jak ona kochała weekendy! Co piątek wieczorem wychodziła z domu pracodawców na Lavender Hill, szła Cut Throat Lane aż do Clapham Common, okrążała je do Raspberry Lane, a tam właśnie mieszkali jej rodzice.

Całe dwa szczęśliwe dni w domu!

Tej niedzieli wypadały piąte urodziny jej braciszka. Mama uszyła mu ze ścinków mundurek żołnierski, pracowała nad nim kilka ostatnich miesięcy. Tata wyciął mu karabin z kawałka drewna, wyrzuconego na brzeg rzeki.

Wracając Cut Throat Lane do domu pracodawców, Mary przypominała sobie buzię braciszka rozświetlającą się na widok prezentów czystą dziecinną radością. Jak dumnie maszerował tam i z powrotem! Jak chętnie na wyszczekaną przez ojca komendę stawał na baczność, sztywno, z dumnie wypiętą piersią.

– Co ja widzę, szeregowy Stevens – powiedział ojciec tak surowo jak tylko potrafił. – Rozpięty mundur? Jej Wysokość królowa Wiktoria nie tak znów długo zasiada na tronie, ale nie oznacza to, że jej dzielna armia nie dysponuje zasadami i regulaminami na każdą okazję. Pozwól powiedzieć sobie, chłopcze, że każdy dzielny żołnierz musi mieć śliczne świecące guziki. Co ty na to?

Chłopczyk spojrzał niepewnie na matkę.

– Ale ja... ja... – zaciął się.

W tym momencie Mary zrobiła krok w jego kierunku.

– Zdaje się, że mam sposób na zaradzenie tej nieprzyjemnej sytuacji. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, szeregowy Stevens.

Jej prezentem dla brata było sześć lśniących mosiężnych guzików. Roześmiała się do siebie, pamiętając doskonale, jaki wówczas był zachwycony. Z pewnością lepiej myśleć o tym niż o rozpoczynającym się nowym tygodniu.

– Mary Stevens! – ochrypły głos dobiegł ją zza płotu, przy którym właśnie

przechodziła. Zatrzymała się.

– Tak?

– Ty jesteś Mary Stevens?

– Tak, to ja, proszę pana. A pan kim jest?

Coś przeleciało nad płotem i nad jej głową, wylądowało na ulicy. Krzyknęła wstrząśnięta, odwróciła się, próbowała uciec.

Coś chwyciło ją za gardło. Okropna twarz znalazła się naraz blisko jej twarzy; pod dziewczyną ugięły się nogi. Upadła na bruk. Coś pochyliło się nad nią, nie rozluźniło uścisku.

– Pierś, dziewczyno. Czy masz jakiś znak na piersi?

Mary próbowała krzyknąć, ale tylko zacharczała cicho.

– Przestań się szarpać, głupia. Odpowiedz mi na pytanie.

– Ccc... ccco?

Bała się, a strach kazał się jej bronić. Zaczęła się rzucać, kopała, wymachiwała rękami. Otworzyła usta, gotowa krzyczeć.

Nim zdążyła krzyknąć, coś rozluźniło uścisk na jej gardle, chwyciło kołnierz płaszcza, szarpnęło ją w górę, rozrywając ubranie.

Wrzasnęła.

– Zamknij się!

Nie mogła przestać krzyczeć.

– Pieprzyć to – warknęło wysokie, niesamowite coś. Chwyciło jej sukienkę, szarpnęło ją, rozdzierając materiał i bieliznę od szyi aż do pasa. Mary walczyła wściekle, szarpała się, biła coś pięściami, kopała... i krzyczała ile sił w płucach. Coś próbowało ją utrzymać, ale wyślizgnęła mu się, zatoczyła, uderzyła plecami w płot z taką siłą, że pękł z trzaskiem, a kiedy upadła, zawalił się na nią.

– Hej! – krzyknął jakiś, daleki jeszcze głos. – Co się dzieje? Zostaw ją!

Stwór obrócił czarną głowę, spojrzał wzdłuż ulicy.

Mary usłyszała szybkie, zbliżające się kroki.

Potwór odwrócił się do niej, spojrzał na jej piersi. Chwyciła strzępy ubrania, próbowała się nimi okryć.

– To nie ty, Mary Stevens – powiedziało coś i nagle wyskoczyło wysoko w powietrze.

– O do diabła! – powiedział jakiś mężczyzna.

– Nie do wiary! – zdumiał się drugi.

Widziała, jak coś oddala się, sadząc wielkimi susami. Znikło, a silne, lecz łagodne dłonie pomogły się jej podnieść.

– Nie zrobił ci krzywdy, kochanie?

– Spokojnie.

– Naciągnij płaszcz, dziewczyno. Okryj się.

– Weź mnie za rękę. Możesz iść?

– Hej, to Mary Stevens! Znam jej starego!

– Co to było, Mary? Czym jest to coś?

– Widzieliście, jak skakało? Niech mnie, musi mieć sprężyny w podeszwach!

– To był człowiek, Mary?

Dziewczyna przyjrzała się wpatrzonym w nią, zatroskanym twarzom.

– Nie wiem – szepnęła.

Od stycznia do maja tysiąc osiemset trzydziestego ósmego

Edward Oxford czekał w cieniu ohydnego posągu, na terenie kościoła Świętego Davida na Silverthorne Road. Wiedział, że w ciągu tego roku Deborah Goodkind regularnie chodziła na niedzielne nabożeństwa, a jednak przez trzy kolejne niedziele w styczniu, dwie w lutym i teraz, w marcu, nie zobaczył nikogo pasującego do opisu.

– Jeśli Oryginalny przekazał markizowi błędne informacje, nigdy nie znajdę małej suki – mruknął do siebie. Roześmiał się. Nie wiedział dlaczego.

Na ziemi leżał śnieg. Było mu zimno. Kontrola temperatury kombinezonu przestała działać.

Ludzie zaczęli wychodzić z kościoła. Nie widział, żeby poszukiwana dziewczyna wchodziła do środka, ale mógł przegapić ją w tłumie. Teraz wygodniej mu było obserwować twarze.

Cofnął się nieco w obawie, że iskry z jednostki kontrolnej mogą zwrócić na niego uwagę. Szczelniej otulił się płaszczem.

Pół godziny później ostatni maruder wyszedł z kościoła.

– Gdzie jesteś, do diabła? – szepnął do siebie.

Przykucnął, skoczył i wylądował miesiąc później i półtorej godziny wcześniej.

Lało jak z cebra.

Walnął pięścią w cokół posągu.

– Do diabła! Do diabła ciężkiego! No pokaż mi się, pokaż!

Pojawili się pierwsi wierni z twarzami osłoniętymi rondami kapeluszy i parasolkami.

Oxford zaklął strasznie i przeskoczył do dwudziestego piątego maja. Czekał niemal godzinę, ale wreszcie zobaczył ją, gdy wychodziła z kościoła.

Dziewczyna była jak mała, szara myszka: nieokreślonego koloru włosy, blada skóra, chude, kościste ramiona i nogi. Zamieniła kilka słów najpierw z pastorem, potem ze starszą kobietą, na końcu z młodym małżeństwem, a potem wyszła z terenu kościoła i skręciła w lewo.

Miasto otulała przedziwna, ciepła mgła, niewystarczająco jednak gęsta, by zapewnić mu osłonę, i Oxford nie oszukiwał się – mógł zostać zauważony. A jednak musiał zaryzykować.

Przeskoczył przez mur cmentarza do czyjegoś ogródka, z niego do następnego, przesuwając się wzdłuż rzędu domów przy Silverthorne Road, aż dotarł do biegnącego poprzecznie zaułka. Skręcił w niego, wyjrzał zza rogu, patrząc w stronę, z której przybył. Chwilę później zobaczył zbliżającą się dziewczynę. Szczęście mu sprzyjało, oprócz niej w polu widzenia nie było nikogo.

Oxford oparł się o ścianę. Nasłuchiwał.

Lekkie kroki zbliżały się powoli.

Chwycił Deborah, gdy mijała jego kryjówkę, wciągnął ją w zaułek, obrócił i przycisnął do muru, zatykając jej usta dłonią.

Zbliżył twarz do jej twarzy, zadał najważniejsze pytanie:

– Masz znamię na piersi?

Pokręciła głową.

– Nie masz? Nie masz znamienia w kształcie tęczy?

Odpowiedziała mu tak samo: nie.

Podróżnik w czasie puścił ją, obrzucił pożegnalnym spojrzeniem jej zaskakująco

spokojną twarz, odszedł i skoczył w inne miejsce, inny czas.

Deborah Goodkind stała nieruchomo, oparta plecami o cegły.

Potrząsnęła głową po raz trzeci. Uśmiechnęła się.

Podniosła prawą dłoń. Jej nasadą mocno uderzyła się w ucho.

Raz.

Potem drugi.

I trzeci.

Zachichotała.

I nie przestała chichotać aż do śmierci w tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym roku. Umarła w Bedlam.

10 października i 28 listopada 1837

Jak Deborah Goodkind, Lizzie Fraser nie było tam gdzie – a może kiedy – powinna być.

Edward Oxford znajdował się niedaleko miejsca, w którym wczoraj zaczepił Mary Stevens. Kucał za murem na Cedar Mews, w wąskim zaułku odchodzącym od Cedars Road, krzyżującej się z Lavender Hill niedaleko stąd, w kierunku północnym.

Tą alejką Lizzie wracała do domu na Taybridge Road codziennie po pracy. Pracowała w pasmanterii.

Teoretycznie powinna pojawić się codziennie około ósmej, ale był wtorek, Oxford czekał na nią już siedem razy... i nie doczekał się.

Kombinezon regularnie raził go prądem, na razie nieszkodliwie.

Z kryjówki za murem mógł widzieć ludzi przechodzących naprzeciw wylotu zaułka. Te ubrania wykończone mnóstwem koronek, te pretensje, te powściągane manieryzmy, to wszystko nie mogło być rzeczywiste. Konie i powozy nie mogły być rzeczywistością. Odgłosy miasta wydawały mu się chaotycznym szumem, boleśnie ocierającym świadomość. Pamiętał, choć niezbyt wyraźnie, że kiedy pojawił się tu po raz pierwszy, Londyn wydawał mu się dziwnie cichy. Jakże się mylił! Jak mylił! Kakofonia dźwięków nie milkła nigdy. Koszmar, koszmar, koszmar...

– Codziennie o ósmej, niech cię diabli! – jęknął.

Nie! Dłużej tego nie zniesie.

– Znajdź ją – powiedział głośno. Podniósł głowę, spojrzał na nisko wiszące na niebie chmury i krzyknął: – Znajdź ją!

Przeskoczył mur, wybiegł zza domków na główną ulicę.

Kobiety piszczały ze strachu. Mężczyźni krzykiem dawali świadectwo zaskoczeniu.

Oxford skoczył na burtę przejeżdżającego wozu. Wóz zadrżał i zakołysał się pod jego ciężarem. Woźnica wrzasnął ze strachu. Konie zadrżały, szarpnęły, omal nie strącając podróżnika w czasie na ziemię.

– Gdzie Lizzie!?

– Jezusie, Józefie i Mario!

– Powiedz mi, cholerny błaźnie, gdzie Lizzie?

Konie pognały ulicą, ludzie krzyczeli, odskakiwali na boki, wóz kiwał się i ślizgał niebezpiecznie, koła toczyły się po bruku z ogłuszającym łoskotem.

– Spadaj! Już cię nie ma! – krzyczał przerażony woźnica.

Oxford czepiał się wozu kurczowo. Jedno z jego szczudeł ciągnęło się po ulicy.

Spanikowane konie poniosły na mały uliczny targ. Zawadziły o stragan, wystawione na nim sery rozleciały się na wszystkie strony. Zaraz potem stratowały kram z drobiem. Kury i gęsi poleciały w powietrze w kłębach piór i kawałków drewna.

Do krzyków dołączyły policyjne gwizdki.

– Pieprzyć to – powiedział Oxford, zeskakując z wozu. Uderzył o ziemię, skoczył piętnaście stóp w powietrze, wylądował i pobiegł.

Woźnica wrzasnął ze strachu, ale jego krzyk przerwał w połowie straszny huk i trzask. Wóz uderzył w narożnik sklepu. Odłamki drewna oraz kości niemal natychmiast przykryły okruchy szkła i cegieł, a strzaskany wóz znikł pod walącą się ścianą budynku.

Podróżnik w czasie przebijał się przez ogarnięty paniką tłum. Widok uciekających przed nim mężczyzn, kobiet i dzieci wywołał wybuch histerycznego śmiechu.

– Uciekajcie! – bełkotał. – Wszyscy jesteście historią. Ha, ha, ha... Gdzie mój pradziad?! Odtwórz! Odtwórz!

Przeskoczył dziewięciostopowy mur, wylądował na nagiej, zaniedbanej działce, potknął się, upadł, przetoczył. Leżał na wznak, wbijał palce w spłachetek trawy.

– Gdzie, do diabła, jestem? – spytał sam siebie.

Zza muru dobiegły go krzyki.

Oxford usiadł. Wstał z wysiłkiem. Wysłał polecenie do jednostki kontrolnej, zrobił dwa długie kroki i skoczył.

Wylądował za murem Mews Lane dwudziestego ósmego listopada o godzinie za piętnaście ósma.

Ukrył się, rozpłakał... i czekał.

Dziewczyna przeszła obok niego pół godziny później.

Lizzie Frazer miała zaledwie czternaście lat.

W roku tysiąc osiemset trzydziestym siódmym uważano, że jest wystarczająco dorosła, by pracą zarabiać na życie. W czasach Edwarda Oxforda była po prostu dzieckiem.

Kiedy zawołał cicho: „Lizzie Fraser!”, łzy nadal płynęły mu po policzkach.

12 stycznia 1839

Tilly Adams miała siedemnaście lat. Niedzielne poranki, niezależnie od pogody, spędzała na spacerach po Battersea Fields, w lecie zbierając kwiaty, a podczas chłodów łapiąc owady. Chciała zostać botanikiem, marzyła o tym, choć wiedziała, że jej ambicje są nierealne.

– Musisz nauczyć się gotować, szyć i zajmować domem – pouczała ją matka. – Żaden mężczyzna nie zechce kobiety wiedzącej wszystko o owadach, ale nie umiejącej upiec na grillu kotletów jagnięcych. To dzięki nim zostaniesz szczęśliwą żoną i matką. Potrafisz podać jakiś przykład naukowca kobiety?

Los, któremu polecała ją matka i który narzucało społeczeństwo, był, wiedziała o tym, jedynym dostępnym jej losem, ale póki mogła, zamierzała chodzić w niedzielę rano do parku i robić to, co najbardziej lubi.

– *Lucanus cervus* – krzyknęła radośnie. Pochyliła się, by dokładniej obejrzeć wielkiego czarnego żuka, pełznącego po krawędzi ścieżki. Jelonek rogacz.

Padł na nią długi cienki cień.

– Tilly Adams?

Podniosła głowę.

I straciła przytomność.

Nieco później zauważył ją młody mężczyzna. Wyjął piersiówkę, wlał jej do ust trochę brandy.

Dziewczyna odzyskała przytomność, kaszląc i plując alkoholem. Opuściła wzrok, zorientowała się, w jakim jest stanie, krzyknęła ze wstydu, bo sukienkę miała rozpiętą z przodu, a bieliznę zadartą aż pod szyję.

– Ja tego nie zrobiłem. – Młody mężczyzna zaczerwienił się wyraźnie. – Taką cię znalazłem.

Tilly Adams wstała, uporządkowała ubranie i uciekła. Biegła całą drogę do domu.

Nigdy nie rozmawiała z nikim o człowieku na szczudłach.

Nigdy już nie poszła do parku Battersea Fields.

Porzuciła marzenia o botanice. Zaczęła rozglądać się za mężem.

19 lutego 1838

Rodzina Alsopów niedawno wyprowadziła się z Battersea i przeniosła do małej wioski Old Ford niedaleko Hertford. Wioska nie miała kowala, więc David Alsop przejął kuźnię, leżącą na samej jej granicy. Nowi w okolicy Alsopowie nie czuli się tu jeszcze jak w domu, nie mieli przyjaciół, więc wieczory najczęściej spędzali w domu.

Tym razem podróżnik w czasie zmaterializował się nad Bearbinder Lane, wylądował, stanął na szczudłach.

Było za piętnaście dziewiąta.

Droga biegła wzdłuż płytkiej doliny. Jedno jej zbocze zajmowały pola, drugim biegła odchodząca od niej dróżka prowadząca do zabudowań. Domek Alsopów stał w rogu, na uboczu, nieco oddalony od innych.

Dość daleko od miejsca, w którym przystanął Oxford, stojący na drabinie mężczyzna grzebał w zepsutej latarni gazowej. Poza nim w zasięgu wzroku nie było nikogo.

Podróżnik w czasie podszedł do furtki od frontu, szarpnął sznurek dzwonka, usłyszał dobiegający z domu brzęk. Skrajem płaszcza owinął głowę, ukrywając hełm, ugiął nogi w kolanach, by wydać się niższym, niż był w rzeczywistości. Stał w głębokim cieniu.

Frontowe drzwi niewielkiego domku otworzyły się, na progu stanęła dziewczyna. Zeszła na ścieżkę do furtki, a kiedy się zbliżyła, Oxford dostrzegł, że na prawym policzku, tuż przy kąciku ust, ma pieprzyk. Tym razem dopisało mu szczęście, była to Jane Alsop.

– W czym mogę panu pomóc? – spytała, zatrzymując się przy furtce.

– Jestem policjantem – powiedział Oxford. – Otrzymaliśmy wiadomość, że ktoś włóczy się po drodze. Mógłbym pożyczyć świecę? Nic nie widzę.

– Ależ oczywiście, proszę pana. Proszę tu zaczekać, zaraz przyniosę.

„Dobrze” – pomyślał Oxford. „Wróci ze świecą i będzie musiała wyjść za furtkę, żeby mi ją dać”.

Dziewczyna pojawiła się po chwili, podeszła, otworzyła furtkę, podała mu świecę. Podróżnik w czasie odrzucił płaszcz. Złapał ofiarę za włosy, wciągnął ją w plamę ciemności. Upuszczona świeca zgasła.

Nie fatygował się zadawaniem pytań, tylko rozdarł jej sukienkę od szyi do talii.

Jednak nim zdążył obejrzeć jej piersi, Jane wyrwała się, pozostawiając mu w garści kilka pasm włosów. Skoczył za nią, poślizgnął się, zatoczył, odzyskał równowagę, przeskoczył przez furtkę i dopadł dziewczyny na progu domu jej rodziców.

– Pokaż mi! – syknął, odwracając ją, szarpiąc sukienkę.

W domu Alsopów rozległ się głośny, przenikliwy krzyk.

Oxford poniósł głowę. W hollu stała druga dziewczynka. To ona krzyczała.

Znów skupił uwagę na Jane. Przechylił ją, zagapił się na jej nagie piersi. Ich skóra była biała, nieskazitelna.

Jeszcze jedna dziewczynka nagle wybiegła z pokoju, chwyciła ją, wyrwała z jego uścisku i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

– Nie ma znamienia – szepnął Oxford.

22 sierpnia 1839

Do sprawdzenia pozostała tylko Sarah Lovitt, pracująca na straganie z kwiatami na targu przy Lower Marsh Street w Lambeth.

Wyjątkowo duża odległość między domem i miejscem pracy, pokonywana krętymi, bocznymi uliczkami wijącymi się w bezpośredniej bliskości brzegu Tamizy, sprawiała, że zawsze trzymała w ręku bukiecik pachnących kwiatów chroniących przed jadowitym smrodem rzeki.

Dzięki czemu łatwo ją było zidentyfikować.

Edward Oxford skoczył na nią na Nine Elms Lane. Wciągnął ją na odosobniony, otoczony wysokim murem dziedziniec przy opuszczonej wozowni.

Sarah wiedziała, że takie rzeczy się zdarzają. Dziewczyny musiały robić coś, czego zrobić nie chciały, bo zmuszali je do tego mężczyźni, którym zawsze uchodziło to na sucho.

„Nie walcz” – powiedziała sobie. „Szybciej się skończy”.

Napastnik odwrócił się i mogła mu się lepiej przyjrzeć.

Zaczęła walczyć.

Jej paznokcie przesunęły się po hełmie, z boku, ześlizgnęły na policzek, zraniły skórę. Zęby wgryzły mu się w nadgarstek. Oxford puścił dziewczynę, zaraz złapał ją znowu. Upadł, pociągając ją za sobą.

– Puść mnie! Zostaw! Ratunku! Pooolicjaaa!

Podróżnik w czasie uderzył ją łokciem w szczękę, aż odskoczyła głowa. Wpadł w furię. Przycisnął dziewczynę całym ciężarem ciała, unieruchomił, jego szalone oczy znalazły się zaledwie kilka cali od jej oczu.

Splunęła mu w twarz. Uderzył ją hełmem w czoło. Znieruchomiała.

Oxford podniósł się, stanął niepewnie. Sarah jęknęła, usiadła, zamrugała nieprzytomnie i znów na niego spojrzała.

– Występujesz na festynie? – spytała.

– Nie. Wstawaj.

Pozbierała się jakoś i spełniła jego polecenie.

– Odpowiedz mi na pytanie i możesz iść – powiedział podróżnik w czasie.

– Nie skrzywdzisz mnie?

– Nie.

W tym momencie z jednostki kontrolnej strzeliła błyskawica, uderzyła dziewczynę w pierś. Zbiła ją z nóg; Sarah poleciała wstecz, uderzyła plecami w mur, ześlizgnęła po nim na ziemię.

Oxford krzyknął z bólu. Zatoczył się.

– Chryste – westchnął.

I znów poraził go szok elektryczny. Stracił przytomność.

Odzyskał ją po chwili. Leżał na ziemi.

– Wrócę na kolację – wybełkotał, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

Sarah Lovitt albo nie żyła, albo była nieprzytomna. Oxford zachichotał szaleńczo na myśl, że może to trup ze znamieniem na piersi. Ale zaraz okazało się, że nie ma racji ani w jednym, ani w drugim. Jej serce biło. Nie miała znamienia.

20 lipca 1840 roku

Od brutalnego morderstwa królowej Wiktorii minęło dziesięć dni.

– Bierz je, Edwardzie. *Bon voyage!* – krzyknął Henry de La Poer Beresford stojący przed Chmurnymi Wieżami. Edward Oxford znikł, więc odwrócił się, wszedł na werandę. Nim dotarł do drzwi, za plecami usłyszał huk.

Obejrzał się. Podróżnik leżał na trawniku.

– Krótko to trwało! – krzyknął, podbiegając do przyjaciela. – Nic ci nie jest?

Oxford obrócił się, spojrzał na niego. Wstrząśnięty markiz zrobił krok wstecz. Człowiek z przyszłości wydawał się starszy o dwadzieścia lat.

– Co się, do diabła, stało, Edwardzie? Wyglądasz strasznie.

– Żadna z nich – wychrypiał podróżnik w czasie. – Nie miały znamienia! Spędziłem jeden Bóg wie ile godzin wystawiony na waszą cholerną śmierdzącą przeszłość i wszystko na nic!

Beresford przykucnął, rozpiął mu buty, zdjął je.

– Chodź – powiedział. – Wejdźmy do środka.

Dwie godziny później, mimo usunięcia uszkodzonego kombinezonu, obfitego posiłku i kieliszka brandy, Oxford wpadł w katatonię. Wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się w ścianę. Kurczowo zaciskał i rozluźniał mięśnie szczęk. Gospodarzowi powiedział tylko tyle, że żadna z dziewczyn Brygady z Battersea nie miała na piersi znamienia w kształcie tęczy.

Ale Beresford był więcej niż pewien, że w niedalekiej przyszłości jedna z nich urodzi naznaczoną nim dziewczynkę.

Teraz ona miała stać się obiektem ich poszukiwań.

*** Część trzecia ***

Czyli bitwa pod Old Ford i jej następstwa

Wiara jest fałszem, prawdą jest wiara
Wiara to lustro w milion strzaskane
Okruchów. A każdy z nas wierzy,
Że władza okruchem czyni go jej panem.

Sir Richard Francis Burton

* Rozdział 20 *

Beresford kontynuuje opowieść

Czas! Naprawia nasze błędy w ocenie.

lord Byron

Potrzeba było trzech miesięcy, żeby odzyskał zmysły – powiedział Henry de la Poer Beresford. – Zresztą „odzyskał” to być może zbyt optymistyczne twierdzenie, bowiem upewniam was, że w tym momencie podróżnik w czasie był już kompletnie szalony.

Markiz obchodził stół, kolebiąc się na boki i podpierając kułakami. Do ukrytego na galerii sir Richarda Francisa Burtona docierało każde jego słowo, wypowiadane stłumionym, gardłowym głosem.

– Ustaliliśmy spotkanie na dwudziestego ósmego września tysiąc osiemset czterdziestego trzeciego roku. Potem zrobił tę swoją sztuczkę ze zniknięciem, a ja przez następne trzy lata miałem oko na dziewczyny z Battersea, zbierałem informacje o ich małżeństwach i rodzących się im dzieciach. Przez ten czas wyrobiłem sobie reputację taką, że nie mogłem choćby zbliżyć się do którejkolwiek z rodzin, a tym samym stwierdzić, która z córek nosi znamię Oxfordów.

Poinformowałem o tym Edwarda trzy lata po jego zniknięciu. Dostał takiego ataku furii, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby padł na apopleksję. Przez całą noc wściekał się, bełkotał, krzyczał, a potem zażądał, żebym pilnował dzieci, i poinformował mnie, że wróci dopiero po osiemnastu latach, czyli dwudziestego ósmego września tego roku, kiedy dzieciaki z Battersea będą już dorosłe. Wystarczająco dorosłe, by mógł z którąś z nich spłodzić przodka.

– Dwudziesty ósmy był wczoraj! – zawołała siostra Nightingale.

– Owszem – przytaknął Beresford. – Jego decyzja była dla mnie prawdziwym ciosem, bo już wówczas planowałem pozbyć się tego szalonego głupca, by zawładnąć jego kombinezonem. Próbowałem skłonić go, żeby przybył wcześniej, niech mnie diabli, nawet go o to błagałem, ale odmówił. Stanowczo. Utrzymywał, że byłoby to bezsensowne wykorzystywanie zasobów kombinezonu, które i tak są już na wyczerpaniu. Wyszedł z tego pokoju, w którym teraz wszyscy siedzimy, a ja popędziłem do pokoju dziennego, wziąłem z szafki pistolet i wróciłem. Chciałem go zastrzelić, nim zniknie, ale nie zdążyłem. Przez następne lata starałem się mieć oko na rodziny z Battersea, ale przyznaję,

że od kiedy libertyni podzielili się, a nowa frakcja hulaków wzrosła w siłę, jej poświęciłem całą swą uwagę, a sprawa Oxforda zaczęła mi się wydawać coraz bardziej nierzeczywista. Czy człowiek z przyszłości rzeczywiście był moim gościem, czy tylko pijackim złudzeniem?

Osiemnaście lat to długo, pamięć płata człowiekowi figle, wątpliwości stawiają przeszłość w zupełnie innym świetle. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się spotkać jeszcze kiedyś Oxforda, a po pewnym czasie przestało mi na tym nawet zależeć. Stał się on dla mnie tylko, czy też aż, symbolem, przykładem człowieka transnaturalnego, uwolnionego z okowów prawa, moralności i konwenansów. Był Skaczącym Jackiem! Mitem! Strachem! Tworem wyobraźni!

A potem zdarzyło się nieszczęście. Dwa lata temu, w marcu tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego roku, spadłem z konia i złamałem kręgosłup. Nie spodziewano się, że przeżyję. Wiadomość dotarła do ciebie, Isambardzie, i to ty przysłałeś mi na pomoc pannę Nightingale. Zabrała mnie ze szpitala, w którym leżałem, przeniosła do swych laboratoriów medycznych i tam, z charakterystycznym dla niej niezwykłym talentem, ocaliła mi mózg, przeszczepiając go w ciało jednego z eksperymentalnych zwierząt. Rezultat widzicie na własne oczy. Szanowna pani, powiedziałem to już, ale powtórzę jeszcze raz: na zawsze pozostanę pani dłużnikiem.

Siostra Nightingale podziękowała mu, skłaniając lekko głowę.

– Wypadek – mówiła dalej małpa – obudził we mnie zainteresowanie Oxfordem, bo oczywiście wolałbym żyć jako człowiek niż jako małpa, a mając kombinezon czasowy, mógłbym – lub ktoś inny mógłby – wrócić w czasie i zapobiec wypadkowi. Wszyscy wiecie, co się zdarzyło później. Przekazałem Isambardowi informację, że z jego pomocą mogę zdobyć urządzenie do podróży w czasie. W przeszłości opowiedziałem mu o kilku wynalazkach przyszłości, takich jak energia geotermalna i elektryczna, maszyny latające dzięki skrzydłom i rotorom, pojazdy napędzane silnikiem. Dzięki temu zbudował urządzenia oparte o te strzępy wiadomości, których udzielił mi Edward Oxford. On nie ma powodu mi nie wierzyć. Przekazał wam wiadomość o podróżach w czasie, a wy rozpoczęliście swoje eksperymentalne programy ze świadomością, że istnieje urządzenie umożliwiające obserwację ich rezultatów, no i dziś się tu spotykamy... i wszyscy musimy polegać na tym przedziwnym kombinezonie, bez którego nie osiągniemy naszych celów!

– A wczoraj co? – spytał Laurence Oliphant. – Był?

– Tak. Nie spodziewał się oczywiście zobaczyć mnie w tym stanie, ale skłamałbym wam, gdybym powiedział, że udało mi się nim wstrząsnąć. Ten człowiek jest szalony do tego stopnia, że już wszystko wydaje mu się iluzją. Odkrycie, że jego przyjaciel markiz zmienił się w pana Belljara z rzędu naczelnych, jest dla niego takim samym dziwem jak to, że w naszych czasach mężczyźni palą fajki i cygara i że nie wychodzą z domu bez kapeluszy na głowach. Nie marnował czasu. Wziął ode mnie listę dziewcząt i odszedł.

– Znaleźć tę ze znamieniem i zgwałcić ją – wtrąciła Florence Nightingale z obrzydzeniem.

– Mhm – chrząknął Beresford. – Pomysł szaleńczy, przyznaję, chociaż mój. W grę wchodzi sześć kobiet. Sarah Shoemaker, córka Jennifer Shepherd, ma szesnaście lat. Niestety cała ta rodzina wyemigrowała do Afryki Południowej, a tam nie da się ich obserwować. Inni na szczęście pozostali w Londynie i okolicach. Ci inni to: Marian Steephill, lat trzynaście, córka Lizzie Frazer, Angela Tew, lat piętnaście, córka Tilly Adams, Lucy Harkness, lat osiemnaście, córka Sarah Lovitt, Connie Fairweather, lat

siedemnaście, córka Mary Stevens, i Alicja Pipkiss, lat piętnaście, córka Jane Alsop. Siódma z oryginalnych dziewcząt z Battersea, przez co rozumiem matki, czyli Deborah Goodkind, po zbadaniu przez Oxforda w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku oszalała. Parę lat temu zmarła w Bedlam. Była bezdzietna.

– Paradoks – stwierdził Darwin swym dziwnym harmonicznym głosem. – Bo jeśli w jego historii to ona urodziła mu przodka, przez wpędzenie jej w szaleństwo uczynił się podwójnie nieistniejącym.

Oliphant roześmiał się dziwnym, syczącym śmiechem.

– Te całe podróże w czasie wydają się wyjątkowo skomplikowane.

– Bardziej skomplikowane, niż potrafisz sobie wyobrazić, przyjacielu – wychrypiał Beresford. – Bo wczoraj, dając mu listę, miałem dowody, że działa w oparciu o nią. U Marian Steephill, Lucy Harkness i Angeli Tew już szukał znamienia!

– Kolejny paradoks – skomentował to Darwin. – Jesteśmy zaintrygowani.

– Markizie – wtrąciła Nightingale – dlaczego nie doprowadziłeś do złapania go, kiedy się wczoraj pojawił? Miałeś osiemnaście lat na zorganizowanie zasadzki!

– Doskonałe pytanie, proszę pani. Jak powiedziałem, moja wiara w jego istnienie z czasem słabła. Nie byłem pewien, czy mogę zaufać własnym wspomnieniom, bo cała ta afera zaczęła mi się wydawać najzupełniej fantastyczna. Poza tym człowiek, który opuścił mnie w tysiąc osiemset czterdziestym trzecim roku, był chory na ciele i umyśle, a moc jego kombinezonu słabła. Nie miałem żadnych gwarancji, że pojawi się w zapowiedzianym terminie, a ponieważ w złapanie go trzeba zainwestować niebagatelne środki, zdecydowałem czekać, aż zyskam pewność, gdzie się pojawi i kiedy.

– Więc gdzie i kiedy?

– Jutro wieczorem. Jedna z dziewcząt, Alicja Pipkiss, mieszka w rodzinnym domu, tym samym, w którym Oxford zaatakował Jane Alsop w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku. Stoi on na granicy wioski Old Ford, niedaleko stąd. Powiedziałem Oxfordowi, że wraz z rodziną odwiedzi go jutro wieczorem, po raz pierwszy po kilku latach spędzonych za granicą. Wymyśliłem oczywiście tę historyjkę, dziewczyna jest w tej chwili w domu i nigdzie nie podróżowała. Powiedziałem także, że dla panny Pipkiss to krótka wizyta rodzinna, bo następnego dnia przeprowadza się do Londynu, nie wiem dokładnie gdzie. Ma więc tylko jedną szansę, by ją dopaść. Musi to zrobić trzydziestego września po zmroku.

– Doskonale! – ucieszył się Darwin. – Oddaję nasze siły do twojej dyspozycji, Beresford.

– Ja także – dodał Isambard Kingdom Brunel.

– Dziękuję, panowie – powiedział orangutan. – Jednakże jest pewien problem. Oliphant może potwierdzić, że z jakiegoś powodu, którego w tej chwili nie znam, podróżnik i lingwista sir Richard Francis Burton zainteresował się Brygadą z Battersea. On i detektyw inspektor Trounce wydają się bliscy odkrycia prawdy. Trounce rozstawił nawet policjantów wokół domu Alsopów, więc gdy Oxford pojawi się, a my uderzymy, musimy spodziewać się oporu.

Oliphant zacisnął dłonie w pięści.

– Jeśli Burton się pojawi, zostawcie go mnie. Nalegam.

Markiz skinął małpim łbem.

– Jest jeszcze jedna, ostatnia sprawa. Isambard i ja umówiliśmy się, że za informacje, których wam dziś udzieliłem, dostanę kombinezon czasowy... jeśli uda się wam

odtworzyć to urządzenie. Jeśli nie, ale zdołacie naprawić kombinezon Oxforda, będę mógł go używać. Zgoda?

– Tak – odpowiedział każdy z obecnych.

Markiz pokazał zęby w uśmiechu, po czym wyprostował się i przeciągnął.

– Najwyższy czas zorganizować środki – zachrypiał. – Moi libertyni już obserwują dom, a wielu przybędzie jutro. Jeśli którykolwiek z nich dostrzeże Oxforda, zawiadomi mnie bez zwłoki. Będziemy jednak potrzebować techników i tylu ludzi – wilków, ilu tylko uda się nam zgromadzić.

Sir Richard Francis Burton, leżący plackiem na galerii nad stołem bankietowym, uznał, że usłyszał wystarczająco wiele. Powinien wynosić się z Chmurnych Wież... póki jeszcze może.

Ostrożnie wycofał się tyłem przez próg, aż na schody. Wstał i nisko pochylony jak najciszej zszedł do garderoby. Otrzepał przód marynarki z kurzu, zrobił krok w kierunku drzwi...

– Cześć, Dick – powiedział cichy głos.

John Hanning Speke wyłonił się z plamy mroku.

*** Rozdział 21 ***

Gromadzenie sił

> Porucznik Burton powiedział: „Nie cofajcie się, bo pomyślą, że uciekamy”.
> Rozgoryczony jego krytyką mojego zachowania w walce, przyjmując, że w ten sposób daje mi polecenie obrony obozu, bez wahania wystąpiłem na front i wypaliłem z bliska do pierwszego stojącego przede mną człowieka.
>
> **John Hanning Speke**

Niebiosa! Co oni z tobą zrobili! – westchnął Burton. Od Swinburne’a wiedział wprawdzie o przeprowadzonej na Speke’u operacji, ale zobaczyć na własne oczy mosiężny mechanizm, zastępujący górną lewą część głowy i twarzy niegdysiejszego przyjaciela, ooo... to było coś zupełne innego.

– Uratowali mnie – powiedział Speke cicho.

– Uratowali? O nie, John, oni tobą manipulowali. Od samego początku. Kierowali tobą jak lalkarze lalką. Kiedy odpłynąłeś z Zanzibaru po naszej wyprawie, na statku zaprzyjaźniłeś się z Laurence’em Oliphantem, prawda? To nie był przypadek. On znalazł się tam specjalnie po to, żeby rzucić na ciebie czar. Jest mistrzem hipnotyzerem, Johnie! To on obrócił cię przeciwko mnie, poróżnił naszych towarzyszy z Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, a wreszcie sprawił, że sam się postrzeliłeś. Tę ranę zadano ci specjalnie! Oni chcieli zastąpić połowę twojego cholernego mózgu!

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia... ale zamierzam się dowiedzieć. Tak czy inaczej.

– Jeśli zostaniesz przy życiu.

– Więc twoja zdrada sięga aż tak głęboko? Byliśmy przyjaciółmi. Przeszliśmy razem przez piekło. Pielęgnowałem cię, gdy chorowałeś, gdy zostałeś ranny, a ty robiłeś to samo dla mnie. Zamierzasz udawać, że tego nie było? Naprawdę? Myśl, człowieku! Pomyśl o przeszłości, John! Znów możemy być przyjaciółmi. Pomóż mi w walce z tymi ludźmi!

Nagle twarz Speke’a, do tej chwili całkowicie wypraną z emocji, wypełniły w równych proporcjach konsternacja, smutek i pragnienie.

– Dick... – westchnął. – Nie powinienem... nie mogę... ja nie.. nie... – Sięgnął po klucz wystający z maszynerii po lewej stronie głowy. Zaczął ją nakręcać. – Muszę zde... zde... cydować – wyjąkał.

– Nie rób tego – syknął Burton, ale Speke dalej nakręcał mechanizm równymi ruchami nadgarstka, a gdy cofnął rękę, klucz zaczął się obracać, tykając cicho. Przez okrągłą, szklaną ścianę nad okiem widać było mnóstwo maleńkich trybików.

Burton doznał nagle wrażenia, że rzeczywistość zrobiła się jakby bardziej rzeczywista. Wirujące kółka w głowie Speke'a wydawały się skręcać rozbieżne przeznaczenia, aż tu, w tym pokoju, zetknęły się i skrzyżowały. Jedna droga prowadziła od Indii, Arabii, Afryki na Fernando Po, do Brazylii i Damaszku, druga od nasion zmian, zasianych w przeszłości najzupełniej przypadkowo przez Edwarda Oxforda, do nieznanej przyszłości, w której on, Burton, jako królewski agent będzie musiał poradzić sobie jakoś z wyrosłym z nich szalonym, rozchwianym światem.

Wyczuwał, że obok niego stoi drugi on. Którąkolwiek drogą pójdą, pójdą nią razem, jako jeden człowiek.

Cofnął się do drzwi.

Speke odwrócił głowę. Śledził jego ruchy. Ludzkie, prawe oko wpatrywało się gdzieś daleko, ale kółka za szklaną soczewką obróciły się, jedne w jedną, drugie w drugą stronę.

Klucz znieruchomiał.

Speke podjął decyzję.

Burton podjął decyzję.

Królewski agent skoczył w drzwi, pobiegł korytarzem.

Speke odrzucił głowę, spojrzał w górę i krzyknął:

– Oliphant! Burton tu jest!

Podróżnik minął połączenie z krótkim korytarzem prowadzącym do sali balowej w chwili, gdy w otwierających się szklanych drzwiach po jego drugiej stronie stanął albinos. Pobiegł dalej, znikł w ciemności. Zza pleców dobiegł go krzyk człowieka-pantery:

– Brunel! Na statek! Uwolnij wilki!

Posługując się wyłącznie pamięcią, potykając o gruz i śmieci, wpadając na ściany, Burton wracał po własnych śladach do pokoju z otwartym oknem.

– Widzę w ciemności, sir Richardzie – kpiący głos dobiegł go z bardzo niewielkiej odległości.

Jeden czarny jak smoła korytarz, drugi... Burton skręcił w prawo, w lewo i znów w prawo.

– Już cię mam! – zaśpiewał głos za jego plecami.

Podróżnik wyszarpnął pistolet z kieszeni marynarki, zatrzymał się, odwrócił, uniósł broń i wystrzelił. Błysk z lufy oświetlił obłażącą tapetę na długich ścianach i, dalej, bladą postać ubraną na czarno, z szeroko rozwartymi różowymi oczami. Zapadła ciemność, wzmacniając głośny, koci wrzask.

„Trafiłem, łotrze!" – pomyślał Burton.

Biegł dalej.

Przed nim pojawiło się światełko.

Podniósł pistolet...

– Tutaj, Richardzie! Tu! – zapiszczał cienki głosik.

Swinburne!

– Do diabła! Kazałem ci wrócić do Trounce'a!

Mały poeta podniósł dopalającą się zapałkę. Uśmiechnął się.

– Wykonałem twój rozkaz... w połowie. No już, chodź.

Poprowadził Burtona do pokoju i do otwartego okna. Byli już na zewnątrz, gdy z

dworu dobiegł ich okrzyk:

– Spłacisz mi swój dług, Burton!

– Biegnij jak najszybciej potrafisz – polecił przyjacielowi słynny podróżnik. – Wypuszczają *loups-garous*.

– Ich mam już dosyć. – Swinburne rzucił się do ucieczki.

Burton popędził za nim. Zdumiała go osiągnięta przez poetę szybkość.

Nad Chmurnymi Wieżami podniosło się wycie, do pojedynczego głosu niemal zaraz dołączył drugi i trzeci, i następny.

– Szybciej, Algy – sapnął królewski agent.

Pędzili po nierównej ziemi, między pokręconymi drzewami i jeziorkami wirującej mgły. Jeszcze kilka chwil i dotarli do otaczającego posiadłość muru. Burton dosłownie wrzucił na niego Swinburne'a.

– Trounce, włączaj te przeklęte silniki! – krzyknął poeta.

Jego towarzysz obrócił się w miejscu. *Loups-garous* już ich dopadały. Strzelił dwukrotnie, trafiając jednego z nich. Inne stanęły, a potem rzuciły się na martwego. Potężne szczęki kruszyły kości, szarpały mięso. Stwory najwyraźniej głodzono, czyniąc je w ten sposób dzikszymi, groźniejszymi; ta krótka przerwa okazała się jednak błogosławieństwem, bo Burton zdążył wspiąć się na mur, opuścić Swinburne'a z drugiej strony i zeskoczyć za nim. Przebiegli przez idącą wzdłuż muru drogę, znikli w kępie drzew. Usłyszeli pykanie silników.

– Chwileczkę – powiedział ukryty w mroku inspektor Trounce. – Został jeszcze jeden.

– Pospiesz się, człowieku! – krzyknął Burton.

Ostatni z trzech pensów z ćwiartką prychnął i obudził się do życia. Mężczyźni wskoczyli na siodełka, wyjechali na drogę, przyspieszyli w chmurze pary. Za ich plecami mur przeskoczył pierwszy warczący, szczerzący kły *loup-garou*. Za nim poszły inne.

– Piekło i szatani! – krzyknął inspektor, oglądając się przez ramię. – Otwórzcie zawory! Szybkie są, bestie. A w ogóle, do diabła, co to takiego?!

– Głodomory – odkrzyknął Swinburne.

Welocypedy pomknęły po nierównym gruncie, grzechocząc i trzęsąc się, aż jadący na nich dzwonili zębami. Naszczekujące, warczące, wściekłe potwory, zostawiając za sobą pasemka śliny bezustannie cieknącej im z pysków, pędziły wielkimi skokami, powoli skracając dystans.

Przemknęli za róg posiadłości Beresforda, mocno przechyleni skręcili w drogę do Waterford. Po bokach migały drzewa, potem zastąpiły je ogrodzenia, żywopłoty i wreszcie szerokie pola, blade w świetle księżyca.

Biały opar ciągnął się za welocypedami. Poniżej jego rozwiewającej się powoli zasłony mknęły *loups-garous* w pościgu za ofiarami. Były już blisko. Czuły zapach ludzkiego ciała.

– Cholerne maszyny – zaklął cicho Burton. – Nie są wystarczająco szybkie.

Przednie koło podskoczyło na dziurze. Omal nie odgryzł sobie języka.

– Trounce! – krzyknął. – Podjedź do Algy'ego!

Policjant usłuchał, choć kontrolowanie pojazdu na szczególnie wyboistym kawałku drogi nie należało do najłatwiejszych zadań.

Usłyszeli za plecami wycie, głośne i długie.

– Algy! Przeskocz ze swojego welocypedu do Trounce'a.

– Co?! – wykrzyknęli jednocześnie poeta i policjant.

– Po prostu zrób to!

Swinburne, który najwyraźniej nie czuł strachu, wstał w strzemionach, przerzucił nogę nad siodełkiem, stając w ten sposób po jednej stronie welocypedu i jego wielkiej kierownicy. Kierował jedną ręką, choć wibrowała nieznośnie, drugą położył na ramieniu Trounce'a. Jednym szybkim ruchem pochylił się, postawił stopę na poprzeczce welocypedu policjanta, puścił swój.

Jego maszyna zatrzęsła się, ale nie przewróciła, utrzymywana w pionie przez żyroskop. Uwolniony od nacisku palców zawór sterujący szybkością zamknął się, zwalniając ją tak, że wyraźnie została z tyłu.

Burton wyciągnął pistolet. Zostały mu trzy kule. Obejrzał się.

Wilkołaki mijały właśnie welocyped pozbawiony kierowcy. Podniósł broń, wymierzył, głęboko odetchnął, ściągnął spust.

Kula trafiła wprost w kocioł, wywołując jego zdumiewająco głośną detonację. Odłamki rozgrzanego do czerwoności metalu dosięgły atakujące ich stwory. Rama pojazdu wzleciała w powietrze, wykręcając fikołka, jedna z bestii zapłonęła, a po niej następne. Jedna po drugiej padały na ziemię i tam spalały się na popiół.

Dwa pozostałe pensy z ćwiartką oddaliły się od miejsca rzezi. Niestety, cztery *loups-garous* wyszły z niej obronną ręką i już próbowały podgryzać ich małe, tylne koła.

– Pozbądźcie się ich jakoś! – krzyknął podróżnik. – Mój pistolet się zaciął.

Trounce przez ramię podał poecie colta.

– Masz, mały! Ja prowadzę, ty strzelasz.

– Cudownie! – ucieszył się Swinburne.

Wymierzył. Strzelił trzykrotnie, pudłując za każdym razem.

– Na Jowisza! – zdumiał się policjant. – Trzeba mieć prawdziwy talent, żeby chybić z tej odległości.

Czwarta kula trafiła w cel. Jeden z wilkołaków zapłonął oślepiającym płomieniem, a od niego zajęły się dwa sąsiednie. Umierały, skrzecząc z bólu. Swinburne krzyknął z radości, lecz zaraz rewolwer wypadł mu z dłoni, gdy welocyped podskoczył na wyboju.

– O do diabła. Przepraszam, Trounce, stary przyjacielu. Mam nadzieję, że nie był dla ciebie cenny... ze względów sentymentalnych.

– Był tylko o tyle cenny, że mógł nam uratować życie, idioto.

Burton zwolnił lekko, zajechał drogę ostatniej ścigającej ich bestii. Podczas gdy stwór próbował chwycić go za nogę, sięgnął do pojemnika i wyciągnął z niego laskę z główką w kształcie łba pantery, zdobytą na Oliphancie po walce w elektrowni Battersea. Trzymając ją w zębach, wysunął ostrze, pochylił się z chłodną precyzją przebił mózg wilkołaka przez jego prawe oko. *Loup-garou* padł i znieruchomiał.

Królewski agent zadrżał. Kątem oka widział końce laski po obu stronach ust; przywodziło to na myśl nieprzyjemne wspomnienia z Berbery.

Wsunął w nią rapier, po czym odłożył do pojemnika.

– Przed nami Waterford, dalej jest Old Ford, a jak się nazywa następna wioska? – spytał Trounce'a.

– Chyba Pipers End. A co?

– Powiem wszystko, kiedy tam dojedziemy. Obudzimy właściciela gospody, wynajmiemy pokój. Już niemal świt, Trounce. Niewiele mamy czasu na zaplanowanie naszej kampanii.

– Kampanii?

– Tak. Tego wieczora stoczymy bitwę z naszymi przeciwnikami. Wykradniemy im sprzed nosa samego Skaczącego Jacka!

I znów sir Richard Francis Burton znalazł się w gospodzie – w Kocie i Śmietance w Pipers End. Ale tym razem alkohol zszedł na dalszy plan. Przez cały ten dzień nawet Swinburne się nim nie interesował.

Zaraz po przyjeździe zamówili herbatę. W milczeniu czekali na śniadanie, jajecznicę na bekonie. Dostali ją wreszcie, zjedli i przeszli do prywatnego pokoju. Tam Burton opowiedział im, czego dowiedział się w Chmurnych Wieżach.

Usłyszawszy opowieść o Skaczącym Jacku, detektyw inspektor Trounce rzucił się na oparcie fotela. Grubymi paluchami przeczesał krótkie, sztywne włosy.

– Kompletne szaleństwo, ale niech mnie diabli, jeśli panu nie wierzę. To tłumaczy wszystko! I wie pan, teraz, kiedy mi pan wszystko powiedział, uświadomiłem sobie, że Tajemniczy Bohater, tak dzielnie walczący z mordercą Wiktorii, miał twarz Skaczącego Jacka! Początkowo po prostu tego nie zauważyłem, bo uwagę zwracał ten jego przedziwny kostium. W każdym razie wyślę informację do Spearinga w Yardzie, gdy tylko otworzą pocztę. W Old Ford natychmiast zjawi się tylu ludzi, że trudno policzyć.

– Chwileczkę, chwileczkę – zaprotestował sir Richard. – Wiemy, że hulacy i technicy gromadzą się we wsi i w jej pobliżu. Jeśli poślemy tam naszych ludzi zbyt wcześnie, to pewnie kilku złapiemy... tylko o co ich oskarżymy? A jeśli chodzi o Beresforda, Darwina i ich wspólników, to z pewnością pojawią się w okolicy przed przybyciem Skaczącego Jacka. O wiele lepiej zgromadzić siły tutaj i zaatakować dopiero wówczas, gdy przybędzie ten podróżnik w czasie, a nasi przeciwnicy spróbują go dopaść.

– Chodzi panu o złapanie ich wszystkich w jedną sieć? Nie jestem pewien, czy będę miał aż tylu ludzi, Burton.

– Nie obawiaj się. Ten tu Algy za chwilę wyruszy po posiłki.

– Doprawdy? – zdziwił się Swinburne.

– Właśnie tak. Posłuchaj, chcę, żebyś...

Wydawszy poecie instrukcje, królewski agent zwrócił się do policjanta:

– Mogę poprosić cię o grzeczność, przyjacielu?

– Oczywiście!

– Obiecałem inspektorowi Honesty'emu, że będzie obecny przy zakończeniu historii.

– Temu małemu fanfaronowi? Nie jestem tym zachwycony, kapitanie Burton. On nigdy nie wierzył w Skaczącego Jacka.

– Jeden powód więcej, żeby pozwolić mu zobaczyć go na własne oczy. Otrzyma dowód, że to on mylił się od samego początku, nie ty.

– No tak. – Trounce uśmiechnął się. – Muszę przyznać, że sprawiłoby to mi wielką satysfakcję. W porządku, polecę mu przyprowadzić ludzi tutaj. A co z dziewczyną? Z Alicją Pipkiss? Usuniemy ją z zasięgu niebezpieczeństwa?

– Nie będzie łatwo, hulacy obserwują dom, ale... – powiedział z zastanowieniem królewski agent – ale sądzę, że da się to załatwić. Connie Fairweather nadal jest pilnowana?

– Nie. Nie musi. Cała rodzina wypłynęła wczoraj do Australii.

– Doprawdy? O nieba! Więc być może chodziło o nią? Algy, ty lepiej idź, masz dużo spraw do załatwienia. A my, Trounce, chodźmy na pocztę. Pobębnimy w drzwi, nie będziemy marnować czasu, czekając na godzinę otwarcia.

Tego samego dnia o wpół do dziewiątej rano w domu na granicy Hammersmith detektyw inspektor Thomas Honesty nasadził na głowę modny miękki kapelusz filcowy i przejrzał się w lustrze w przedpokoju. Wąsy przystrzyżone miał doskonale, równo, z perfekcyjnie symetrycznymi zakręconymi końcami. Strzepnął nitkę z ramienia, sięgnął po laskę.

– Och, Tom! – krzyknęła z bawialni jego żona. – Tom! W oknie jest jeden z tych okropnych ptaków.

Troskliwie wyrównane brwi Honesty'ego uniosły się wysoko. Papuga posłaniec jeszcze nigdy nie trafiła do jego prywatnego domu, choć wiele ich dobijało się do okien gabinetu w Yardzie.

Wszedł do bawialni. Mały pokój wypełniony był bibelotami i ozdobnymi drobiazgami w stopniu wręcz zdumiewającym. Żona, drobna, bardzo ładna kobieta, wymierzyła palec w okienną szybę.

– Popatrz tylko! – krzyknęła.

– Vero, wyjdź, proszę.

– Chcę jej posłuchać. Nigdy nie słyszałam papugi!

– Używają brzydkiego języka. Nieodpowiedniego dla ciebie. Wyjdź!

– Tom, chcę zostać. Bardzo mi na tym zależy. Odrobina brzydkiego języka z pewnością mnie nie urazi. Powiem ci coś... będę jej słuchać, zasłaniając uszy dłońmi.

Honesty przyjrzał się żonie, kilka razy szybko zamrugał, wzruszył ramionami i chrząknął.

– Doskonale. Ja cię ostrzegałem.

Podniósł okno.

– Wiadomość od detektywa inspektora koniobija Trounce'a i sir Richarda Francisa babiarza Burtona – skrzeknęła papuga radośnie.

Pani Honesty krzyknęła i uciekła z pokoju.

– Zgromadź tylu skretyniałych konstabli, ilu tylko zdołasz, i przetransportuj ich na śmierdzący koniec świata do wiochy Letty Green. Mają być w cywilnych strojach, wyposażeni w broń i gogle lotnicze. Za wszelką cenę unikaj zaplutej wiochy Old Ford, ty lizodupie. Z Letty Green twoi ludzie mają przejść w grupach nie większych niż trzy osoby do Kota i Śmietanki w Pipers End. Jest rzeczą najwyższej wagi, by zdziadziali funkcjonariusze wszyscy dotarli do baru przed zachodem słońca. Honesty, baranie, to kwestia narodowego przeklętego bezpieczeństwa, konstablów nie może być za wielu. Niepotrzebna nam zapluta armia. Przyjmuję pełną odpowiedzialność. Sam masz trafić do Kota jak najszybciej się da, śmierdzielu. Zabierz ze sobą dziwkę siostrę Raghavendrę, mieszka na Bayham Street pod trójką, koło Mornington Crescent. Szybkość działania ma decydujące znaczenie. Koniec wiadomości.

– Niech mnie szlag trafi! – krzyknął zaskoczony Honesty. Była to informacja najdłuższa i najdziwniejsza ze wszystkich, jakie kiedykolwiek usłyszał od papugi.

– Moczymorda! – odwdzięczył mu się ptak.

– Odpowiedź – warknął policjant. – Początek wiadomości. Postąpię według rozkazów. Lepiej, żeby miały jakieś uzasadnienie. Koniec wiadomości. Leć.

Papuga rozpostarła kolorowe skrzydła, zeskoczyła z parapetu, wzleciała w powietrze. Nim znikła mu z oczu, doleciał go jeszcze jej słaby skrzek: „Lizodup!”.

Nieco ponad półtorej godziny później pięć rotofoteli wylądowało na polu na zachód od Letty Green. Z pierwszego wysiadł inspektor Honesty, zdjął gogle, poprawił ubranie. Z pojemnika za siedzeniem wyjął kapelusz i laskę. Podszedł do jednej z maszyn, pomógł wysiąść kierowcy.

– Co za cudowne przeżycie – roześmiała się siostra Raghavendra. – Chociaż na początku było trochę trudno.

– Doskonale pani sobie poradziła – zapewnił ją Honesty. – Pierwsza latająca kobieta!

– Naprawdę? Ależ nie, z pewnością nie. Ja? Pierwsza latająca kobieta?

– Być może, moja droga, być może.

Następnie Honesty zwrócił się do trzech mężczyzn oczekujących jego rozkazów.

– Zostańcie tu, konstablu Krishnamurthy – polecił. – Poinstruujecie tych, którzy przylecą po nas.

– Tak jest!

– Venables, Ashworth, za mną.

Poprowadził ich oraz dziewczynę do schodków, po których można było wygodnie przejść nad otaczającymi pole krzakami na biegnącą za nimi dróżkę. Poszli w kierunku Pipers End. Za nimi, na niebie, pojawiły się trzy punkciki. Z Londynu przybywały posiłki.

Spacerek do Kota i Śmietanki zajął im czterdzieści minut. Natychmiast zaprowadzono ich do prywatnego pokoju.

– Witaj, przyjacielu. – Burton potrząsnął dłonią policjanta. – Chciałbym, żebyś posłuchał, co Trounce ma ci do powiedzenia. Zabrzmi to nieprawdopodobnie, ale zapewniam, że każde jego słowo będzie prawdą. Musimy działać szybko. Polegamy na tobie.

Honesty sztywno skinął głową. Usiadł w fotelu wskazanym mu przez kolegę.

Burton przeprowadził siostrę Raghavendrę do salonu.

– Sadhvi – powiedział, kładąc jej ręce na ramionach – powiedziałaś, że chciałabyś pomóc. Teraz masz okazję, ale uprzedzam, być może narażam cię na niebezpieczeństwo.

– Nie szkodzi – odparła natychmiast pielęgniarka. – Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić.

Tego samego ranka nieco później kwiaciarka w czerwonym płaszczu z kapturem weszła do Old Ford i zaczęła pukać do drzwi. Sezon już się kończył, więc w koszyku miała tylko magnolie, hortensje, geranium, zestaw do makijażu i pistolet.

Nie udało się jej wiele sprzedać, zaledwie kilka wiązanek, chociaż wszyscy mieszkańcy bez wyjątku byli dla niej bardzo uprzejmi, a jeden z nich, zwolniony do

rezerwy stary żołnierz przedstawiający się jako Stary Carter, zapalacz latarni, powiedział jej nawet, że jest najbardziej egzotycznym kwiatem.

Zatrzymała się wreszcie przy domku stojącym u stóp wzgórza, po zachodniej stronie wioski. Przed wejściem stało dwóch policjantów, jeden z nich zastąpił jej drogę i zabronił przejścia.

Wyszeptała do niego kilka słów.

Skinął głową, powiedział coś cicho do drugiego policjanta, po czym obaj odeszli i już nie wrócili.

Ignorując sznurek dzwonka przy furtce, kwiaciarka weszła do ogródka i po krótkiej ścieżce podeszła do drzwi. Zapukała.

Otworzono jej po chwili.

Odbyła się krótka rozmowa.

Kwiaciarka weszła do domku.

Drzwi zamknęły się za nią.

Dwadzieścia minut później otworzyły się znowu. Dziewczyna przeszła ścieżką przez ogródek na uliczkę i ruszyła z powrotem tą samą drogą, którą przyszła.

W koszyku miała magnolie, hortensje i geranium.

Stary Carter, zapalacz latarni, zamiatał dróżkę przed domem.

– Dużo sprzedałaś? – spytał ją, gdy go mijała, ale ona tylko potrząsnęła głową i przyspieszyła kroku.

– Zabawne – powiedział stary żołnierz do siebie. – Egzotyczny kwiatek przywiądł...

Przy wyjściu z Old Ford w kierunku południowym z cienia drzewa wyłonił się mężczyzna. Szedł za nią, ani się zbliżając, ani oddalając. Kilka chwil później kwiaciarka weszła do Kota i Śmietanki, pubu w sąsiedniej wiosce, Pipers End. Usiadła w środku. Czekała. Po chwili pojawił się mężczyzna, który szedł za nią.

– Panna Pipkiss? – spytał.

– Tak – odpowiedziała dziewczyna nerwowo.

– Moje nazwisko Trounce, detektyw inspektor. Zapewniam, że od tej chwili jest pani całkowicie bezpieczna.

Alicja Pipkiss ściągnęła kaptur. Cerę miała ciemną, ale na granicy włosów, za uszami i na karku jej skóra była niemal biała.

– Mogę gdzieś zmyć ten makijaż? – spytała.

– Poproszę właściciela, by zagrzał trochę wody – powiedział głęboki, lecz melodyjny głos dobiegający z przeciwległego kąta sali.

Wyłonił się z niego mocno zbudowany mężczyzna. Jego pocięta bliznami, poraniona, pokryta siniakami twarz wydawała się wręcz okrutna.

– Dzień dobry, Alicjo, jestem kapitan Richard Burton – przedstawił się. – Współpracuję ze Scotland Yardem.

Alicja skinęła głową.

– Muszę zadać ci pytanie o charakterze osobistym. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Dziewczyna przełknęła nerwowo. Potrząsnęła głową.

– Alicjo, czy masz na ciele znamię? W kształcie tęczy?

Alicja Pipkiss odchrząknęła. Odstawiła koszyk kwiatów.

– Tak – przyznała. – Skoro pan już pyta... tak.

Tymczasem w domku w Old Ford pani Jane Pipkiss z domu Alsop, niegdyś ofiara Skaczącego Jacka, podała swemu gościowi filiżankę herbaty. Siostra Sadhvi Raghavendra przyjęła ją z uśmiechem. Filiżankę postawiła na stoliku przy fotelu. Siedziała i czekała, z herbatą pod ręką i pistoletem w dłoni.

Niemal cała męska populacja Letty Green zgromadziła się w porze lunchu na boisku do krykieta. Tematem rozmowy był dziwny wygląd nieba, na którym białe smugi ciągnęły się od południa, nad wsią skręcały na zachód i na wschodzie opadały ku ziemi.

– To komety, nic innego – zawyrokował jeden z gapiów.

– Masz ma myśli meteory – poprawił go drugi. – A one nie ganiają po niebie jak te nasze.

– Może to jakiś nowy rodzaj?

– A może masz pusty łeb?

Dyskusja toczyła się tak z pół godziny, aż wreszcie ktoś zaproponował, żeby pójść i obejrzeć miejsce, gdzie kończyły się ślady pary. Plan ten spotkał się z natychmiastową entuzjastyczną aprobatą. Tłumek, uzbrojony w łopaty, ogrodowe widły, kije od szczotek, laski nieliczne garłacze oraz skałkówki, wyległ z Letty Green, wspiął się na wzgórze od zachodu i... zamarł na jego szczycie. Pole, na które patrzyli, wypełnione było rotofotelami.

– Co się tu dzieje, na litość boską? – mruknął wieśniak, który w jakiś sposób stał się przywódcą tłumu.

Poprowadził swych ludzi w dół, na uliczkę i do drewnianego progu przy przejściu przez krzaczki. Stojący przy nim mężczyzna przywitał ich uśmiechem.

– Dzień dobry, panowie – powiedział. – Jestem konstabl Krishnamurthy z policji miejskiej i... właśnie zostałem oficerem werbunkowym!

Stary Carter, zapalacz latarni, nigdy nie widział w wiosce tylu obcych. A dokładniej, nigdy nie widział w wiosce tak wielu dobrze ubranych obcych z papierowymi torebkami w jednej ręce, laską w drugiej i małym plecakiem na plecach.

Przyszło mu do głowy, że znów trzeba by pozamiatać drogę.

Pięć minut później ukłonił się eleganckiemu obcemu z torebką.

– Dzień dobry – powiedział.

Mężczyzna uśmiechnął się wyniośle, zakręcił laską i odszedł.

Po kwadransie pojawił się drugi.

Stary Carter skinął głową.

– Dzień dobry. Ładną mamy pogodę, co?

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem od góry do dołu, mruknął „dzień dobry” i poszedł dalej.

Następnemu Carter zastąpił drogę. Uśmiechnął się szeroko, ukłonił czapką, przywitał go bezceremonialnie.

– Jak się pan ma! Witamy w Old Ford. Wybrał pan sobie piękny dzień na przechadzkę. Co jest w tej torbie?

Mężczyzna stanął jak wmurowany.

– No wiecie? – niemal krzyknął zaskoczony.

– Właśnie nie wiem – powiedział żołnierz. – Powiedziałem, że to piękny dzień na spacer z torbą w ręku. Co pan w niej ma, drugie śniadanie? Będzie piknik?

– No właśnie... tego... piknik. No tak. – Obcy uczynił ruch, jakby chciał obejść przeszkodę.

– Wsadź se w dupę – oznajmiła torba.

Obaj mężczyźni jednocześnie spojrzeli na nią z zainteresowaniem.

– Kanapka? – zasugerował zapalacz latarni.

– Papuga – przyznał obcy z zakłopotaniem.

– Ach tak! Zapewne pan ją tresuje?

– No właśnie. Tresuję. Sprawdzam, jak szybko doleci stąd do Londynu, no nie?

– Pierdziel! – wrzasnęła torba.

– Czy to konwencja?

– Kon... kon... co?

– Konwencja, stary. Zgromadzenie Wszędzie Ich Pełno Treserów Papug z Naszego Starego Londynu. Hej, panowie, ale to nie wy uczycie je kląć, co?

– Cóż za impertynencja! – zirytował się obcy. – Proszę mnie przepuścić!

– Ależ przepraszam. – Carter odstąpił na bok. – A przy okazji, w tę stronę ryby kiepsko biorą. Nie ma wody, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Ryby? O co tym razem ci chodzi, człowieku?

– Z pańskiego plecaka zwisa siatka, proszę pana.

Obcy odszedł, wymachując laską, z twarzą zaczerwienioną od gniewu.

– Życzę miłego dnia! – krzyknął za nim stary.

– Kozie w zadek! – odkrzyknęła torba.

Kłusownik dotarł na pole naprzeciw domu Alsopów przez ugór od północy. Cicho wślizgnął się między gęste, rosnące na jego granicach drzewa. Zające łapały się tu doskonale, ale od paru dni przed domem stała policja, więc zaniepokoił się i nie sprawdził pułapek. Są tam jeszcze czy nie? To właśnie miał zamiar sprawdzić.

Skrycie, cicho jak zawsze, przekradał się od pnia do pnia.

Nagle poczuł się bardzo niewyraźnie.

Zamarł.

Nie był sam.

Wyczuwał czyjąś obecność.

Oblizał wargi, przykucnął, wstrzymał oddech. Słuchał.

Ale słyszał tylko ptaki.

Mnóstwo ptaków.

Za wiele.

Co za kakofonia!

– Robaczywy matoł! Zezowaty pozer! Zdzira! Ograniczony debil! Wstrętny brudas! Głupek! Robal grobowy! Patafian! Dupogłowy!

Zdumiony kłusownik rozejrzał się dookoła. Co, do diabła?! Na drzewach siedziało mnóstwo ptaków, czegoś takiego w życiu nie widział... i wszystkie klęły jak najęte.

– Sukinsyny! Zgniłe mózgi! Zagrzybione dupki! Lobotomię przeszły! W rodzinie się mnożą! Parszywe kundle! Rybie mordy! Pustogłowie! Kupa gówna! Bufony! Sracie miękko!

Niepokój przerodził się w zabobonny strach.

Kłusownik zamierzał się odwrócić, ale przeszkodziło mu bolesne ukłucie w kark. Opuścił głowę. Niedogoloną brodą dotknął wychodzącego z gardła ostrza. Wykaszlał na nie krew, patrzył, jak spływa z powrotem ku szyi i znika.

– Jest mi niewymownie przykro – odezwał się cichy głos zza jego pleców.

Kłusownik osunął się na ilastą ziemię.

Mężczyzna, który go zabił, wsunął ostrze w laskę. Jak wszyscy hulacy był elegancko ubrany, w ręku trzymał torbę z papugą w klatce, nosił też plecak.

Przybywający jeden po drugim hulacy kryli się w cieniach pod drzewami porastającymi granice pola. Było ich już kilkuset.

Wieś powoli pogrążała się w mroku. Strumyk eleganckich, bawiących się laskami obcych z torbami w ręku wysechł. Nie było już kogo zatrzymywać.

Stary Carter wysprzątał ulicę, aż lśniła, a teraz siedział w fotelu, gotów pocieszyć się filiżanką herbaty i gorącą bułeczką z roztopionym masłem.

Odstawił filiżankę na podłokietnik fotela, podniósł do ust bułeczkę... i zamarł.

Szklanka drżała na spodku, podzwaniając lekko.

– W imię wszystkiego, co święte, co się tu, do diabła, dzieje? – burknął pod nosem, z bułeczką w dłoni wyjrzał przez okno. Nie zobaczył niczego ciekawego, ale usłyszał niegłośne bzyczenie. Przeszedł do frontowych drzwi. Otworzył je w samą porę, by zobaczyć zniżający się z nieba wygodny skórzany fotel.

Fotel wylądował naprzeciw jego domu, po przeciwnej stronie ulicy. Wirujące nad nim skrzydła zwolniły, silnik pracował coraz ciszej, wiatr rozwiał smugę pary. Siedzący w fotelu mężczyzna przesunął gogle na czoło. Zapalił fajkę.

Stary Carter, zapalacz latarni, westchnął. Wyszedł z domu, zamykając za sobą drzwi. Przeszedł przez ogródek do furtki i na drugą stronę niepokalanie czystej ulicy. Zatrzymał się przy pojeździe.

– Sangappa – powiedział.

Siedzący w fotelu mężczyzna spojrzał na niego i nie wyjmując fajki z zaciśniętych zębów, spytał:

– Co proszę?

– Sangappa. Zmiękcza skórę jak nic innego. Przysyłają ją z Indii. Trudno kupić i dość drogo wypada, ale jest warta każdych pieniędzy. Nie do pobicia. Sangappa. Dobrze przysłużyłaby się temu fotelowi, może mi pan uwierzyć na słowo.

– Wierzę. – Mężczyzna podniósł do oczu lornetkę. Patrzył wzdłuż ulicy.

Stary żołnierz dojadał bułeczkę. Żuł pracowicie, patrząc w tę samą stronę co przybysz, na skrzyżowanie drogi z Bearbinder Lane, dolny kraniec wioski i ciągnące się w górę zbocza sąsiedniego wzgórza pola, a za nimi lasy.

– Obserwuje pan ptaki? – spytał niedbale.

– Można powiedzieć.

– Papugi?

Mężczyzna opuścił lornetkę, spojrzał na niego ciekawie.

– Dziwne, co pan powiedział – zauważył.

– Bo to był dziwny dzień. Pan z policji, prawda?

– Skąd to przypuszczenie?

– Buty.

– Ach. No tak.

– Sangappa nada się i do butów. Są w lesie.

– Ma pan na myśli papugi?

– Tak. Papugi w klatkach, w torbach, w rękach ludzi, w lesie.

– Ilu? To znaczy ilu ludzi?

– Po mojemu istna plaga. To jedna z tych nowych zegarowych lamp? – Carter wskazał na cylindryczny przedmiot wiszący na sznurze między nogami policjanta.

– Owszem.

– Straciłbym przez nią pracę. Gdybym nie miał podwójnej renty.

– Podwójnej?

– Tak. Dobra jest? Jasno świeci?

– Bardzo jasno, panie...

– Nazywają mnie Stary Carter, zapalacz latarni, panie policjancie. To dlatego, że zapalałem latarnie. Nim poszedłem na rentę.

– Tak sobie myślałem, że właśnie dlatego.

– Detektyw, co?

– Nie, konstabl. A ta druga renta?

– Żołnierska. Królewski Korpus Strzelców. Mają też siatki.

– Oprócz karabinów?

– Mówię o tych tam, w lesie. Papugi i siatki.

– Rozumiem. No cóż, dziękuję, panie Stary Carterze, zapalaczu latarni. Ja nazywam się konstabl Krishnamurthy. Pańskie informacje są ważne, nawet bardzo ważne. Przyjmie pan ode mnie pewną radę?

– Należy mi się, panie konstablu. W końcu poradziłem panu sangappę.

– Prawda. Moja rada brzmi: niech pan tego wieczora nie wychodzi z domu!

Policjanci i wieśniacy z Letty Green wyszli z Pipers End o zachodzie słońca. Zbliżali się do Old Ford szerokim, milczącym łukiem od południowej, zachodniej i północnej granicy pola Alsopa.

Detektyw inspektor Thomas Honesty poprowadził ludzi na południe.

Detektyw inspektor William Trounce poprowadził ludzi na zachód.

Sir Richard Francis Burton poprowadził ludzi na północ.

Tymczasem na przeciwnym, dolnym krańcu pola, w stojącym na uboczu domku, przy stoliku w oświetlonej świecami piwnicy rodzina Alsopów grała w wista. Siostra Raghavendra zajęła miejsce nad nimi. Siedziała na fotelu w holu, przodem do drzwi. Na kolanach miała pistolet, palec trzymała na spuście.

Dalej na wschodzie, za wioską, przy ruinach farmerskiego domu, wylądowało sześć rotofoteli. Kierowcy pozostali na miejscach. Obserwowali Old Ford. Jeśli zobaczą startującą maszynę Krishnamurthy'ego, odpalą silniki i polecą za nim.

Siły dowodzone przez sir Richarda Burtona były gotowe do ataku.

Ale przeciwnik również dysponował armią.

Beztroscy hulacy, kryjący się pod drzewami otaczającymi pole Alsopów, cierpliwie znosili obelgi, których nie szczędziły im zamknięte w klatkach papugi.

W Chmurnych Wieżach, na granicy Waterford, trzy mile na zachód od Old Ford, orangutan ze szklanym dzwonem na łbie, znany jako pan Belljar, czyli tak naprawdę Henry de La Poer Beresford, Szalony Markiz, niecierpliwie chodził tam i z powrotem po pustej sali balowej, oświetlonej wielkim, zwisającym z sufitu żyrandolem. Światło miało przywabić papugi, mające dla niego jakieś wiadomości.

Na zewnątrz stały dwa rotofotele. Silnik większego, przy którym normalny wydawał się zabawką, cały czas pracował. W środku siedzieli Charles Darwin, automat Francis Galton, siostra Florence Nightingale, Isambard Kingdom Brunel, John Hanning Speke i wielu techników.

Wzdłuż rzędu krzaków między Waterford i Old Ford parł na wschód kulejący albinos. Towarzyszyły mu, idące posłusznie przy nodze, dwadzieścia trzy stworzenia w płaszczach z kapturami, poruszające się dziwnym, chybotliwym krokiem. Od czasu do czasu skomlały żałośnie. Jak głodne psy.

Te siły miały się wkrótce spotkać.

Była to już tylko kwestia czasu.

*** Rozdział 22 ***

Bitwa pod Old Ford

Zapuść wąsy

Eleganckie, męskie wąsy dla mężczyzny w każdym wieku. Rosną szybko dzięki eliksirowi Mahabala, jedynemu prawdziwemu płynowi na porost wąsów.

Pamiętaj – wąsaty, masz sukces w kieszeni!

Chłopcy stają się mężczyznami.

Mężczyźni zyskują na pewności siebie.

To działa jak magia!

Pudełko (bez oznaczeń) za sześć denariusów.

Koszta przesyłki – jeden denarius.

Rameswaram Importers Co.,

42 Hobbles Lane, Newbury, Berkshire

28 września 1861 roku Skaczący Jack wylądował na przywiędłym, łysiejącym trawniku przed drzwiami werandy dworu Chmurne Wieże. Drzwi były otwarte, w sali balowej paliło się światło. Podszedł bliżej.

– Henry, Henry, gdzie jesteś?

– Zostań, gdzie stoisz, Oxford! – polecił bełkotliwy, nieprzyjemny głos. Dobiegał zza zwisającej z sufitu aż do podłogi zasłony, z kąta wielkiej, na pół zrujnowanej sali.

– Kim jesteś, u diabła? – zdziwił się podróżnik w czasie.

– To ja! Henry Beresford.

– Głos ci się zmienił. Dlaczego się ukrywasz? Wyjdź.

Jednostka kontrolna nagle plunęła ogniem.

– Kombinezon już prawie nie działa – jęknął Oxford, tłumiąc płomień płaszczem. – Wyłaź, niech cię diabli!

– Posłuchaj mnie, Edwardzie. To ważne. Miałem groźny wypadek – mówił bełkotliwy głos. – Złamałem kręgosłup. Przeszedłem wyjątkowo poważną operację, dzięki niej ocaliłem życie. Przygotuj się na mój widok, bo nie jestem człowiekiem, którym niegdyś

byłem.

Zza zasłony wyłonił się orangutan. Wierzch głowy zastępował mu szklany dzwon wypełniony płynem, w którym unosił się mózg.

Edward Oxford zareagował na ten widok śmiechem.

– Co za pieprzony żart! – wykrztusił.

– Mam nadzieję, że to rozwiązanie przejściowe – wyjaśnił orangutan.

Podróżnik w czasie złapał się za brzuch, złożył jak scyzoryk, a jego coraz głośniejszy śmiech odbijał się echem w wielkiej sali.

– Ten pieprzony świat jest... jest... jest szalony!

– Uspokój się, Edwardzie. Mnie też wydaje się to dziwne. Już nawet zacząłem podejrzewać, że sam sobie ciebie wymyśliłem. Minęło wiele czasu, z trudem przychodzi mi uwierzyć, że jesteś rzeczywisty.

Orangutan podszedł do postaci na szczudłach, wyciągnął rękę. Skaczący Jack cofnął się szybko, choć niezręcznie.

– Nie dotykaj mnie, małpo!

– Dobrze już, dobrze! Spróbuj się opanować, człowieku. Mam dla ciebie listę dziewcząt.

Oxford dokładniej przyjrzał się małpoludowi.

– To naprawdę ty, Henry?

– Tak.

– Udało ci się?

– Po większej części tak.

– Większa część? A co to niby ma znaczyć?

– Jedna z rodzin przeniosła się do Afryki Południowej. Straciłem jej trop.

– No to ich znajdź, głupcze! Ona może być tą właściwą!

– Robię, co w mojej mocy, Edwardzie. Na razie mam rysopisy i miejsca zamieszkania Angeli Tew, Marian Steephill, Connie Fairweather, Lucy Harkness i Alicji Pipkiss.

Małpa podeszła do stołu bankietowego, który ostatnim razem podróżnik w czasie widział w pokoju jadalnym, podniosła kartkę, podała ją gościowi.

– Wybacz charakter pisma. Trudno mi to teraz przychodzi. Praktycznie nie mam przeciwstawnego kciuka, rozumiesz?

Oxford spojrzał na nabazgrane na kartce nazwiska.

– One wszystkie są córkami dziewcząt z oryginalnej Brygady z Battersea – mówił dalej orangutan. – Pochodzisz od jednej z nich, tego jestem więcej niż pewien. Tylko uważaj, bo jeśli chodzi o Pipkiss, masz ograniczone możliwości. Wiem, gdzie będzie pojutrze wieczorem, ale przedtem i potem... to nie jest jasne.

– Doskonale. – Skaczący Jack spojrzał na listę. – Ach! Więc będzie całkiem niedaleko stąd? Ten sam dom co przedtem?

– Tak.

– Co z tą z południowej Afryki?

– Sarah Shoemaker. Już wysłałem ludzi – zełgał Beresford. – Znajdą ją.

– Doskonale. Nie będę czekał, muszę działać, póki kombinezon jeszcze funkcjonuje. A z tobą... co?

– Spodziewam się zyskać wkrótce nowe ciało. Wrócisz?

– Tak. Jeśli mi się uda, jeśli odtworzę swą genealogię, z pewnością zechcę pożegnać się z tobą przed powrotem do moich czasów. Jeśli mi się nie uda, dowiemy się

przynajmniej, że chodzi o tę Shoemaker, i wówczas będziesz musiał pomóc mi ją odnaleźć. No, na mnie czas.

– Do zobaczenia, Edwardzie.

Oxford skinął głową. Wyszedł na trawnik. Obejrzał się przez ramię. Orangutan stał w drzwiach: ciemna sylwetka na tle padającego z sali balowej światła. Znów wybuchnął śmiechem. Co za prześmieszny świat. Nic tu nie jest rzeczywiste.

Skoczył.

Śmiał się nadal o siódmej 2 sierpnia 1861 roku, lądując na Wix's Lane, między Battersea a Clapham. Natychmiast przeskoczył przez ogrodzenie na pustą działkę, którą lokalni mieszkańcy wykorzystywali jako wysypisko śmieci. Dobiegający z ulicy krzyk powiedział mu, że został zauważony. W kilku skokach dopadł kupy śmieci, za którą mógł się ukryć.

Po chwili był już na tyłach domów przy Taybridge Road. Podszedł do piątego z nich, wyjrzał nad murem od tyłu.

W kuchni paliła się lampa gazowa. Kobieta zmywała statki w misce. Po raz ostatni widział ją, kiedy miała czternaście lat, a dziś Lizzie Fraser miała ich trzydzieści osiem. Wyglądała na stroskaną, udręczoną, zmęczenie ściągnęło jej skórę wokół oczu.

Pojawiła się młoda dziewczyna. Marian.

Matka powiedziała coś do córki.

Córka jej odpowiedziała.

Odeszła od okna.

Otworzyły się tylne drzwi.

Dziewczyna wyszła na podwórko, skręciła do małego kurnika.

Pochyliła się nad nim.

Edward Oxford przeskoczył przez mur. Wylądował za nią, zacisnął jej dłoń na ustach, otoczył ramieniem szczupłe ciało, podniósł je, przycisnął mocno i skoczył przez mur.

Z kuchni dobiegł go przeraźliwy krzyk.

Do diabła! Matka go zobaczyła!

Obrócił dziewczynę, złapał ją za ramiona.

– Jesteś Marian Steephill, tak? – warknął. – Odpowiedz mi!

Skinęła głową. Przerażenie wykrzywiło jej twarz.

Krzyki zza muru powtarzały się, coraz głośniejsze, coraz bardziej histeryczne.

Bez dalszych ceregieli podróżnik w czasie rozerwał suknię, a potem bieliznę, obnażając Marian do pasa.

Nie znalazł znamienia.

Odepchnął dziewczynę, podbiegł do kupy śmieci, zrobił trzy wielkie kroki, wzleciał w powietrze... i wylądował na Patcham Terrace o dziesiątej wieczorem w dniu 6 września 1861 roku.

Noc była ciepła, a ulica pusta, słyszał jednak zbliżający się pojazd. Ukrył się przed nim w ciemności. Zmotoryzowany welocyped, pozostawiający za sobą chmurę pary... Potrząsnął głową. Niemożliwe. Coś takiego nigdy nie istniało.

Lucy Harkness, córka Sarah Lovitt, mieszkała z rodzicami pod numerem dwunastym. Był piątek, więc rodzice siedzieli pewnie w Dreszczyku.

Oxford podszedł do drzwi, w które wchodziło się wprost z chodnika – tu nie było frontowych ogródków. Zapukał. Pochylił się, aż jego głowa znalazła się na wysokości szybki w drzwiach.

– Kto tam? – rozległ się stłumiony dziewczęcy głos.

– Konstabl Dickson – przedstawił się Oxford. – Pani jest Lucy Harkness?

– Tak.

– Czy doszło u was do włamania?

– Ależ skąd, nie, proszę pana.

– Pozwoli mi pani sprawdzić okna od tyłu, panienko? W tej okolicy grasuje jakiś obcy mężczyzna.

– Chwileczkę...

Oxford usłyszał stuk przesuniętego rygla. Drzwi uchyliły się lekko.

Uderzył w nie całym ciężarem ciała. Skrzydło pchnęło dziewczynę, przewracając ją na podłogę.

Oxford zatrzasnął je za sobą, przykucnął, by nie zawadzić głową o sufit, podszedł do bezbronnej ofiary.

Lucy drżała gwałtownie, szczękała zębami ze strachu.

Rozdarł jej bluzkę na piersiach.

Nie opierała się.

Rozdarł bieliznę.

Nie miała znamienia.

Nagle jej ciało wygięło się w łuk, a oczy uciekły w głąb czaszki. Dostała jakiegoś ataku.

Zaniepokojony Oxford cofnął się, szarpnął raz i drugi klamkę, otworzył drzwi, wyszedł na chodnik i skoczył.

Spadł na ziemię o piątej rano we wtorek, 19 września 1861 roku. Wylądował na ciemnej, mglistej ścieżce w Hoblingwell Wood, niedaleko wioski Mickleham.

Skrył się między drzewami. Czekał.

Po kilku minutach dostrzegł światełko lampy naftowej. Zbliżało się.

Wyszedł z kryjówki.

– Kto tam? – spytał dziewczęcy głos.

Nagle dziewczyna odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

Oxford skoczył, złapał ją, obrócił, poszarpał i rozdarł jej ubranie aż do nagiej skóry, a potem przechylił dziewczynę i zbliżył głowę do jej ciała. Niebieski płomień otaczający hełm oświetlił gładką skórę.

– Nie ty – powiedział, patrząc dziewczynie w oczy.

Puścił ją i skoczył... ale wylądował w tym samym czasie i tym samym miejscu.

– Do diabła! – zaklął.

Skok z Battersea wyczerpał baterie. Musi czekać, aż o świcie słońce znów je naładuje.

Wyszedł ścieżką z lasu, przekroczył drogę, znalazł się na polach. Usiadł pod poskręcanym dębem. Czekał we mgle. Nagle poczuł senność.

„Aż tak nisko upadłem?” – pomyślał. „Zdzieram ubrania z nastolatek jak jakiś seksualny maniak? Boże, jak bardzo pragnę wrócić do domu. Chcę zjeść kolację z żoną. Chcę położyć dłoń na jej brzuchu, poczuć, jak dziecko kopie”.

W pół godziny później obudził go krzyk.

Podniósł głowę. W jego stronę biegli ludzie, wymachując widłami i pałkami.

Podróżnik w czasie podniósł się, zaczął uciekać.

Nogi go bolały.

Był wyczerpany.

Kiedy ostatnio spał? Nie pamiętał. Prawdopodobnie całe lata temu. Dosłownie.

Pędził przed siebie. Wieśniacy nie ustawali w pogoni.

Jakoś udało mu się od nich oddalić. Mógł chwilę odpocząć. I nagle znów ich zobaczył, wrzeszczących i wymachujących improwizowanym orężem. Zachowywali się jak dzikie zwierzęta.

Jeśli go złapią, zabiją. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Nadszedł świt. Edward Oxford, człowiek z dalekiej przyszłości, przeskakiwał na szczudłach z jednego pola na drugie, skakał nad krzakami i nad drogami, przebiegł przez pole golfowe i wreszcie znalazł się wśród drzew. Wsunął się między nie, oparł o pień, czekał, aż odzyska oddech.

Słońce świeciło już, ale z powodu mgły zbyt słabo, by szybko naładować baterie.

Coś podrażniło mu ucho... daleka wibracja, dźwięk towarzyszący zbliżaniu się maszyny.

Był już wystarczająco donośny, by podróżnik w czasie go rozpoznał. Wirnik nośny. Maszyna była tak blisko, że czuł wibrację pnia, o który się opierał.

Podniósł głowę. Właśnie przelatywało nad nim coś dziwnego, coś wręcz śmiesznego.

Edward Oxford nie wierzył już nawet świadectwu swych oczu. Dla niego cały świat był jedną wielką bajką, oszalałą, bezładną mieszaniną gadających małp, konnych powozów, pretensjonalnych manier, smrodu ścieków, a teraz jeszcze latających foteli, ciągnących za sobą ogon pary.

Maszyna znów się do niego zbliżyła. Leciała tak nisko, że drzewa gięły się pod wywołanym przez nią, skierowanym w dół podmuchem pary.

– Proszę, odpieprz się ode mnie! Daj mi święty spokój!

Przedziwne urządzenie przesuwało się właśnie nad jego głową. Podróżnik w czasie podskoczył, przeleciał między cienkimi, porośniętymi liśćmi gałęziami, chwycił je za burtę. Zakołysało się, przechyliło niebezpiecznie.

Pilot odwrócił głowę. Patrzył na niego przez okrągłe gogle.

– Powiedziałem, żebyś się odpieprzył!

Chwycił go za nadgarstek.

Pilot stracił kontrolę nad maszyną. Wirując, spadła na las.

Wstrząs odrzucił Oxforda. Podróżnik w czasie przeleciał wśród gałęzi, uderzył w ziemię. Leżał nieruchomo, walcząc o odzyskanie oddechu. Ramię go bolało.

Po chwili udało mu się przyklęknąć. Z lewej dobiegał go świst pary. Wyprostował się, zrobił kilka kroków w tym kierunku, zobaczył dymiące szczątki.

Koło maszyny, głową w dół, leżał jej pilot. Odwrócił się na plecy. Oxford okraczył go szczudłami. Przykucnął.

– Kim jesteś? – spytał. Skądś znał tę twarz, ogorzałą, dziką, ale także pokrytą bliznami, ranami i siniakami.

– Cholernie dobrze wiesz, kim jestem – powiedział pilot.

– Nie wiem. Nigdy cię nie widziałem, choć przyznaję, mam wrażenie, że powinienem cię znać.

– Nigdy mnie nie widziałeś? To ty podbiłeś mi oko! A może to był twój brat?

Edward Oxfod uśmiechnął się. Kolejny nonsens. Kolejny idiotyzm tego świata.

– Nie mam brata. Nie mam nawet rodziców!

Odrzucił głowę. Wybuchnął śmiechem. Leżący mężczyzna poruszył się niespokojnie. Edward zmierzył go spojrzeniem. Taka znana twarz, doskonale znana twarz.

– Gdzie ja cię widziałem... Jesteś sławny czy co?

– Względnie sławny. – Pilot rozbitej latającej maszyny próbował wydostać się spomiędzy szczudeł, ale Oxford chwycił go za płaszcz na piersi i przytrzymał.

– Nie ruszaj się – rozkazał.

Usiłował przypomnieć sobie, co wiedział o historii tego okresu, o czym czytał w biografiach sławnych ludzi, przedstawionych na czarno-białych zdjęciach.

No tak. Znał to nazwisko.

„No nie, cholera" – pomyślał. „Kolejny pieprzony żart".

Ale to nie był żart. Tego człowieka znał doskonale.

– No tak, już wiem. Sir Richard Francis Burton. Jeden z tych słynnych wiktorianów.

– Kto to jest wiktorianin, do diabła?

Usłyszeli dobiegające z daleka krzyki, to zbliżali się policjanci i miejscowi. Towarzyszyło temu charakterystyczne bębnienie kolejnej latającej maszyny.

– Posłuchaj mnie, Burton – syknął Oxford. – Nie mam pojęcia, co tu robisz, ale musisz zostawić mnie w spokoju. Pozwolić mi zrobić, co mam do zrobienia. Wiem, że niedobrze to wygląda, ale nie zamierzam krzywdzić tych dziewczyn. Jeśli mnie powstrzymasz, ty czy ktokolwiek inny, nie zdołam wrócić. Nie naprawię tego, co się popsuło. Wszystko zostanie, jak jest, a do tego nie wolno dopuścić! Jest źle! Nie tak miało być! Rozumiesz?

Burton potrząsnął głową.

– Nic nie rozumiem. Pozwól mi wstać, niech cię diabli!

Edward zwolnił uścisk. Burton mógł wreszcie wyślizgnąć się spomiędzy jego szczudeł. Wstał, przyjrzał się bliżej dziwnemu stworzeniu.

– Więc co dokładnie musisz zrobić? – spytał Richard Burton.

– Odtworzyć, Burton! Odtworzyć!

– Odtworzyć co?

– Siebie. Ciebie. Wszystko! Czy ty naprawdę uważasz, że na świecie powinny żyć gadające orangutany? Nie wydaje ci się, że coś tu jest cholernie nie tak?

– Gadające orangu...?

– Kapitanie Burton! – przerwał mu dobiegający ciągle jeszcze z daleka głos. Za to terkot drugiego rotofotela rozlegał się całkiem blisko.

– Mgła się rozeszła. Będę mógł się doładować – powiedział Oxford.

– Władować? Gdzie? Przemawiasz zagadkami, człowieku!

– Czas na mnie – powiedział cicho Edward i nagle ryknął śmiechem. – Czas na mnie!

Burton zaatakował, ale podróżnik w czasie uskoczył, a królewski agent upadł na wystające z ziemi, splątane korzenie.

– Sir Richard Francis Burton – syknął Oxford do siebie. – Jeszcze i tego było mi trzeba.

Uchylając się przed gałęziami, przeskakiwał od pnia do pnia, aż w końcu wyszedł z lasu na pole golfowe. Daleko na południu widział kłębiący się tłum wieśniaków i konstabli. Rozległ się policyjny gwizdek, tłum wrzasnął jednym głosem. I rzucił się za nim w pogoń.

Oxford odskoczył od nich, okrążył pole. Kilka minut na słońcu, tyle wystarczało do naładowania kombinezonu.

Sadził wokół jego granic wielkimi susami, a miejscowi biegali bezładnie, próbując go jakoś osaczyć.

Znów przebiegł wzdłuż granicy lasu. Zobaczył stojącego wśród drzew Burtona. Królewski agent wybiegł na jego spotkanie. Podróżnik w czasie przeskoczył mu nad głową.

– Trzymaj się od tego z daleka! – krzyknął.

Zrobił jeszcze sześć kroków. Skoczył...

...i w najwyższym punkcie skoku, podając kombinezonowi miejsce i czas lądowania, uświadomił sobie, że jest o wiele za blisko drugiej latającej maszyny. Że niemal jej dotyka.

Wylądował na polu Alsopów nocą 30 sierpnia 1861 roku wraz z resztkami latającego fotela. Uderzył w ziemię niezręcznie, potknął się o szczudła, przewrócił. Poskręcane szczątki metalu padały wokół niego jak deszcz, jeden z nich wbił mu się w prawe ramię. Wyrwał go, krzycząc z bólu. Krew opryskała łuski kombinezonu.

Oxford uniósł się na czworakach. Wstał. Złapał się za ramię, skrzywił, ale spojrzał przed siebie i natychmiast zapomniał o bólu.

Wszystko tu było takie znajome.

Tam widać światła Old Ford, tam jest Bearbinder Lane, a tu stoi domek, w którym mieszkała Jane Alsop, w którym znajdzie teraz jej córkę, Alicję Pipkiss.

Nie miał żadnego powodu, by sądzić, że to ona nosi na ciele znamię w kształcie tęczy, ale nagle właśnie tak pomyślał.

Uśmiechnął się.

Coś przeleciało w powietrzu, uderzyło w szczudła, owinęło się na nich. Oxford przechylił się, upadł na zranione ramię. Z ust znowu wyrwał mu się krzyk.

Co do...

Spojrzał na nogi. Krępował je bolas, broń miotana w postaci liny z ciężarkami na obu końcach.

Spomiędzy drzew wyskoczyli ludzie. Bardzo wielu ludzi. Zarzucili na niego sieci.

W powietrze wzleciały kolorowe ptaki.

Pozostawiony w Old Ford konstabl Krishnamurthy dostrzegł stado papug zataczające krąg w powietrzu i odlatujące na zachód. Odpalił silnik rotofotela, wzniósł się na kolumnie pary, poprowadził maszynę w kierunku pola. Zaraz za nim spomiędzy ruin starego domu farmerskiego wystartowało jeszcze sześć rotofoteli.

Po północnej, zachodniej i południowej stronie pola Burton, Trounce i Honesty również dostrzegli ptaki. Wydali rozkaz ataku.

Na tyłach oddziału Trounce’a, w niewielkiej od niego odległości, prowadzący dwadzieścia trzy postaci w płaszczach i kapturach Laurence Oliphant odwrócił się i warknął:

– Brać ich! Atakować! Żarcie!

Wilkołaki odrzuciły kaptury i zawyły!

Ludzie rzucili się na Edwarda Oxforda. Przede wszystkim unieruchomili mu ramiona, żeby nie mógł sięgnąć dłonią do piersi. Następnie postawili go na nogi. Ciskał się wściekle, coraz bardziej oplątując się siecią. Jeden z mężczyzn uderzył go pięścią w żołądek. Oxford skulił się, zwymiotował.

– Przepraszam, stary, ale musiałem cię jakoś unieruchomić, prawda? – usprawiedliwił się napastnik.

– Do diabła – powiedział ktoś. – Mamy towarzystwo.

Hulacy, zgromadzeni wokół podróżnika w czasie, otoczeni zostali przez mężczyzn atakujących spod tych samych drzew, spośród których przed chwilą wybiegli. Natychmiast otoczyli kołem więźnia, wyciągnęli rapiery z lasek.

Nowo przybyli zsunęli gogle z czoła na oczy, sięgnęli do kieszeni kurtek, wyjęli pałki oraz pistolety.

– Jestem detektyw inspektor Trounce ze Scotland Yardu! – ryknął donośny głos. – W imieniu Jego Wysokości króla Alberta rozkazuję wam złożyć broń i poddać się.

– Akurat! – odpowiedział mu ktoś.

Libertyńscy ekstremiści roześmiali się. Ostrza ze świstem przecięły powietrze.

W powietrzu krążyło już siedem rotofoteli, każdy z podwieszoną na linach lampą, jednocześnie oświetlającą przyszłe pole bitwy i rzucającą na nie długie czarne cienie.

Oxford usłyszał, jak jeden z tych ludzi, którzy wzięli go do niewoli, mówi do drugiego:

– Potrzebujemy wsparcia.

– Nie martw się – pocieszył go towarzysz. – Wsparcie jest już blisko.

Papuga wylądowała przy drzwiach werandy dworu Chmurne Wieże.

– Wiadomość dla Henry’ego śmierdziela Beresforda! – skrzeknęła.

Obok niej pojawiła się druga.

– Wiadomość dla onanisty markiza Waterford!

I kolejne.

– Wiadomość dla sukinsyna z sukinsynów Henry’ego Beresforda!

– Wiadomość dla koniobija Beresforda!

– Wiadomość dla parchatego markiza!

– Wiadomości dla stukniętego Beresforda!

– Wiadomość dla markiza tłustej dupy Waterford!

– Do diabła!! – nie wytrzymał Henry de La Poer Beresford, trzeci markiz Waterford. Jaskrawa fala papug zalała mu posiadłość, a wszystkie go obrażały.

– Początek wiadomości – wrzasnął ptasi chór. – Przybył, drapiący się po jajach dupku. Koniec wiadomości.

Wymachując długimi rękami, orangutan ze szklanym łbem rzucił się pomiędzy ptaki, podrywając w powietrze ich barwną, niespokojną masę. Wypadł z dworu, krzycząc:

– Całą parą naprzód! Całą parą naprzód! Już jest! Skaczący Jack wylądował!

Gigantyczny rotostatek zadrżał, to jego wały korbowe obróciły się, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Zawory wydechowe plunęły białym oparem. Ludzie biegali pomiędzy gigantem a mniejszym, stojącym blisko niego pojazdem.

Beresford popędził po rampie na pokład. Minął mężczyznę z mosiężną połową głowy, w której tkwił powoli obracający się klucz. John Speke biegł do mniejszego rotostatku.

Szalony Markiz był ostatnim pasażerem. Rampa powoli wsunęła się w głąb kolosa. Stuknęły zamykające się drzwi.

Z ogłuszającym rykiem silnika statek wzniósł się w powietrze.

Sir Richard Francis Burton z oczami przysłoniętymi parą skórzanych gogli, laską za pasem i rapierem w dłoni rzucił się na armię hulaków. Ostrze wirowało, uderzało tu i tam, a każde pchnięcie trafiało w cel. Choć przeciwnicy mieli wielką przewagę liczebną, sprawność podróżnika pozwalała mu rozbrajać ich lub ranić, on sam zaś do tej pory nie został nawet draśnięty.

Obok niego i za nim walczyli konstable. Odpychali rapiery libertynów pałkami, uderzali pięściami, kopali ciężkimi butami.

Królewski agent pomyślał przelotnie, że jego poprzednia tego rodzaju przygoda zakończyła się fatalną klęską.

– Nie tym razem – mruknął pod nosem, wyprowadzając *manchette* i z przyjemnością patrząc, jak przeciwnik kuli się, krzyczy, upuszcza broń i ściska przebity nadgarstek.

Ale niemal natychmiast tłum walczących zgęstniał tak, że o szermierce nie mogło już być mowy, a prywatną bronią sir Richarda stała się lewa pięść łamiąca szczęki, miażdżąca nosy, odbierająca przytomność uderzeniem w czoło. Podróżnik uśmiechał się okrutnie, dziękując losowi, że wreszcie doszło do ostatecznej rozprawy z przeciwnikiem w chwale walki twarzą w twarz.

Zobaczył inspektora Honesty'ego i nie mógł się nie roześmiać. Drobny, niewysoki policjant boksował zgodnie z zasadami markiza Queensberry'ego, tak jak po raz pierwszy zaprezentował je w czerwcu pięściarz wagi ciężkiej Jem Mace, odbierając tytuł mistrza Anglii Samowi Hurstowi. Idealnie wyprostowany tańczył na palcach stóp, schodząc z linii ciosów przeciwnika. Lewą pięścią osłaniał szczękę, prawą wyprowadzał szybkie proste, trafiające bezbłędnie w twarz przeciwnika. Nie wydawało się, by osiągał nad nim zdecydowaną przewagę, do momentu gdy, niczym nie zdradzając swych zamiarów, wykonał unik, zbliżył się do niego i lewą zadał potężny cios hakiem w podbródek. Siła uderzenia aż poderwała hulakę z ziemi. Padł na wznak nieprzytomny. Nie trzeba było go nawet liczyć.

– Brawo! – krzyknął radośnie na ten widok.

Gdzieś za jego plecami rozległ się huk pistoletowego strzału.

– Człowieku, nie! – krzyknął Trounce. – Brać ich żywcem, żywcem!

Nad polem bitwy uniósł się przeraźliwy wrzask.

A zaraz po nim tryumfalne wycie.

– Wilkołaki! – krzyknął ktoś.

Padły kolejne strzały.

Rozbłysnął płomień.

Czyjaś pięść uderzyła Burtona w skroń. Królewski agent zatoczył się, odzyskał równowagę, oddał cios, wybijając komuś zęby. Trafiony osunął się na ziemię, a on potknął się o niego, opadł na czworaki.

– Burton! To wszystko przez ciebie – syknął wściekle głos.

Podniósł głowę. Patrzył wprost w szalone oczy Skaczącego Jacka. Niepilnowany już przez walczących o życie hulaków, Jack zdołał uwolnić się od bolasa i sieci. Przykucnął, gotów w następnej chwili wyskoczyć w powietrze.

– Przecież mówiłem ci, żebyś się nie wtrącał... Ale ja cię powstrzymam... tak, powstrzymam!

Burton skoczył na niego, ale tylko bezwładnie zwalił się na ziemię, bo podróżnik w czasie zdążył skoczyć. Królewski agent przewrócił się na wznak w tej samej chwili, w której Jack znikł. W następnej pole widzenia zasłonił mu pysk *loup-garou*. Instynktownie pchnął rapierem w górę, przebijając mu gardło. Ciężki łeb ześlizgnął się po ostrzu, ciało zwaliło na niego, pazury rozdarły materiał ubrania i skórę na ramieniu.

A potem wilkołak znieruchomiał, a podróżnik poczuł bijące od niego ciepło. Natychmiast zrzucił z siebie ciało, wstał, cofnął się.

Bestia eksplodowała płomieniem.

Jak okiem sięgnąć widział walczących ze sobą ludzi. Bitwa toczyła się już na całym polu.

Loups-garous przedzierały się przez tłum, siejąc zniszczenie kłami i pazurami.

Całkiem niedaleko Laurence Oliphant właśnie wyciągał ostrze rapiera z czyjegoś brzucha.

Zawibrowało samo powietrze.

Ogromna latająca platforma zawisła tuż nad czubkami drzew, kryjąc pole bitwy w strumieniu skierowanej w dół pary.

Przez otwarte drzwi w jej burtach wyrzucono liny.

Ludzie zjeżdżali po nich na ziemię.

Posiłki techników przybyły.

„Mają przewagę liczebną” – pomyślał Burton.

Edward Oxford wylądował w Green Park w niedzielę, 8 września 1861 roku. Od północy dzieliło go jeszcze trzydzieści minut. Noc była mglista i bardzo chłodna.

Stał tuż przy drzewach porastających szczyt wzgórza. Dołem biegła ścieżka, a przy ścieżce widział wysoki pomnik wzniesiony w miejscu, w którym zamordowano królową Wiktorię.

Oxford ukrył się wśród drzew. Myślał o jednym: gdzie znajdzie sir Richarda Francisa Burtona?

Nie był w stanie przypomnieć sobie, gdzie podróżnik mieszka i gdzie mieści się Królewskie Towarzystwo Geograficzne. Ale na Leicester Square, nad włoską restauracją Bartolini, mieścił się Klub Kanibali. Czytał o nim i o tym, że przyciągał przede wszystkim ekscentryków. Wiedział, że Burton był tam regularnym gościem.

Nie tak dawno temu perspektywa odwiedzenia Leicester Square bez wsparcia systemu maskowania rzeczywistości napełniłaby go przerażeniem, ale niezwykłe środowisko, w którym zmuszony był egzystować, uczyniło go niemal doskonale odpornym. Wszystko było tylko iluzją. Snem. Oprócz nich nic nie istniało. Nie był już nawet pewien, dlaczego tu przybył, i właściwie mało go to obchodziło. Trzymał się drobiazgów, jedynych, które

miały dla niego sens, mimo że były w oczywisty sposób absurdalne: musiał dopaść małą Pipkiss i miał na to tylko jedną noc, a słynny podróżnik sir Richard Francis Burton zastawił pułapkę, żeby mu w tym przeszkodzić.

Oxford nie zdawał sobie sprawy z tego, że walczą o niego dwie sprzeczne siły. Kaleki umysł czepiał się wyłącznie myśli o tym, że by wrócić do 15 lutego 2202 roku, 30 września 1861 musi powstrzymać Richarda Burtona.

Nie powinno to być szczególnie trudne, prawda?

Zamknął oczy, poczuł zawrót głowy, chwiał się przez chwilę.

„Nie" – pomyślał. „Nie odpuszczaj. Zrób, co musisz zrobić. Zrób to teraz".

Skoczył. Wylądował pięć godzin później, na Panton Street, na tyłach Leicester Square. O tej nocnej porze było tu pusto, ale i tak, bojąc się zauważenia, Oxford natychmiast wskoczył na dach jednego z domów przy ulicy, a potem sąsiedniego, wyższego. Skakał tak z budynku na budynek, aż wreszcie znalazł zespół kominów, zza których można było obserwować Bartoliniego. Mógł tu spokojnie siedzieć i czekać, ale najpierw przeskoczył jeszcze w to samo miejsce, lecz następnej nocy, dokładnie w chwili, gdy Big Ben wybijał północ.

Czekał długo. Marzł. Na darmo.

O trzeciej nad ranem dał sobie spokój. Przeskoczył do następnej nocy, dziesiątego września.

I znów nic.

Kolejnego członkowie klubu zebrali się, dobrze bawili, rozeszli o drugiej.

Nie było wśród nich Burtona.

Edward próbował dzień za dniem, cierpliwie, długie godziny. Nie rezygnował, choć zmęczenie wzięło w końcu nad nim górę i zasnął, przytulony do komina. Obudził się o świcie, zaklął, znów przesunął się w czasie.

We wtorek, siedemnastego września, wreszcie się doczekał.

Sir Richard Francis Burton wyszedł z Bartoliniego o pierwszej w nocy.

Był najoczywiściej w świecie pijany.

Szedł chwiejnym krokiem, a Oxford tropił go, przeskakując z dachu na dach. Nie spuszczał z niego wzroku.

Przemierzali w ten sposób uliczki i zaułki miasta. Edward zastanawiał się, czy podróżnik wie, dokąd zmierza, bo wydawało się, że po prostu idzie przed siebie.

Wielkim susem przeskoczył kanion Charing Cross Road, wylądował na pochyłym dachu, poślizgnął się, chwycił czegoś, odzyskał równowagę, przeniósł się na kolejny budynek.

Przemierzał miasto niczym przedziwny konik polny.

Nad głową, łopocząc skrzydłami, przeleciało mu coś wielkiego i białego. Był to ogromny łabędź, ciągnący za sobą pasażerski latawiec. Pasażer spojrzał na niego z góry.

– Co, u licha?! – krzyknął.

Oxford zignorował go. Łabędź i jego pasażer byli złudzeniem, bo coś takiego nie istniało przecież w epoce wiktoriańskiej. Tropił Burtona, aż znaleźli się w gorszej części miasta, a Burton wszedł do długiego, wąskiego, całkowicie pustego zaułka.

– Wygląda nieźle – szepnął do siebie Oxford.

Wyprzedził podróżnika, przeskakiwał nad magazynami, odczekał, aż przejedzie kolejny, ten tutejszy, zwariowany pens z ćwiartką, i wreszcie zeskoczył na ulicę.

Wielkie, metalowe coś w kształcie kraba wyszło zza rogu. Ruszyło w jego kierunku.

Ruchome, wyrastające z jego brzucha ramiona wysuwały się, chwytały rozrzucone na ulicy śmieci, cofały. Obserwował jego powolną, zygzakowatą wędrówkę zadziwiony tym widokiem i nagle zaczął się zastanawiać, czy nie trafił przypadkiem na obcą planetę. Przechodząc przez skrzyżowanie z zaułkiem, którym szedł słynny podróżnik, straszydło wydało z siebie wycie niczym syrena. Żałosne zawodzenie odbiło się echem od murów, a zaraz potem rozległ się niezwykle głośny, wręcz przerażający syk. To z jego grzbietu trysnął strumień pary, rozpłynął się chmurą dookoła.

Edward Oxford przekroczył tę chmurę. Wszedł w zaułek i stanął twarzą w twarz z wrogiem.

Sir Richard Francis Burton zatrzymał się, spojrzał na niego, po czym odskoczył i oparł się plecami o mur.

– Burton – zachrypiał podróżnik w czasie, zbliżając się do słynnego wiktorianina. – Richard Francis pieprzony Burton.

Uderzył podróżnika, wyprowadzając cios z boku w prawe ucho. Burton zatoczył się aż pod przeciwległą ścianę.

– Przecież mówiłem ci, żebyś trzymał się od tego z daleka – warknął podróżnik w czasie. – Nie posłuchałeś mnie.

Złapał sławę swej epoki za włosy, szarpnął, spojrzał mężczyźnie wprost w oczy.

– Nie będę powtarzał. Zostaw mnie w spokoju!

– Co...? – wysapał Burton.

– Po prostu zostaw tę sprawę. To nie twój cholerny interes.

– Jaką sprawę?

– Nie udawaj mi tu niewiniątka – warknął Oxford. – Nie chcę cię zabić, ale przysięgam, że jeśli będziesz wtykał w nią nos, to ci skręcę ten pieprzony kark.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

– Mówię o tym, że zbierasz siły przeciwko mnie. Nie tym powinieneś się zajmować. Przeznaczone ci jest coś zupełnie innego. Rozumiesz?

Wyprowadził cios przedramieniem w twarz.

– Pytałem, czy rozumiesz.

– Nie!

– Więc wytłumaczę ci to... – warknął facet na szczudłach – dobitnie.

Obrócił ofiarę, cisnął nią o ścianę, zamierzył się i uderzył ją trzykrotnie pięścią w usta.

– Masz... zająć się tym... czym powinieneś się zająć.

Burton uniósł rękę. Próbował się bronić, ale niezbyt mu to wychodziło.

– A skąd mam wiedzieć, co powinienem zrobić? – wybełkotał. Z rozbitych warg ciekła mu krew.

Oxford znów szarpnął go za włosy.

– Powinieneś poślubić Isabel, a potem wędrować po żałosnych konsulatach. Szczyt twej kariery ma nastąpić za trzy lata, wraz z debatą o Nilu i śmiercią tego żałosnego dupka Speke’a, ginącego od postrzału z własnej ręki. Powinieneś pisać książki, a potem umrzeć.

– O czym ty, do diabła, opowiadasz? – zaprotestował podróżnik nieco mocniejszym głosem. – Debata została odwołana. Speke postrzelił się wczoraj... ale żyje.

Edward John Oxford, naukowiec i historyk, znieruchomiał. Jak to możliwe? Przecież znał fakty. Nie mógł się mylić, zbyt dobrze były udokumentowane. Śmierć Speke’a była

jedną z wielkich zagadek tego świata. Biografowie wałkowali ją, debatując w nieskończoność, czy było to samobójstwo, czy też wypadek. Powoli zaczął zastanawiać się nad tym, co widział, dziwnymi maszynami, jeszcze dziwniejszymi zwierzętami.

– Nie... – wyszeptał. – Nie. Jestem historykiem. Wiem, co się stało. To był tysiąc osiemset sześćdziesiąty czwarty rok, nie tysiąc osiemset sześćdziesiąty pierwszy. Wiem...

Przerwał. „Co ja zrobiłem?" – spytał sam siebie. „Jak mogło się zmienić aż tyle?"

– Do diabła – jęknął – dlaczego to musi być takie strasznie skomplikowane? Może gdybym cię zabił? Ale jeśli śmierć jednego człowieka doprowadziła do takich skutków...

Burton wyrwał mu się nagle z rąk, popchnął go mocno. Oxford stracił równowagę, zatoczył się, uderzył w mur.

Stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy.

– Posłuchaj mnie, sukinsynu! – powiedział podróżnik w czasie dobitnie. – Kiedy znowu się spotkamy, nie podchodź do mnie... dla swego własnego dobra.

– Nie znam cię – zaprotestował Burton. – Nie pożałuję, jeśli nigdy się już nie spotkamy. Ani przez chwilę!

Oxford szykował się do ostrej odpowiedzi, gdy jednostka kontrolna zawiodła po raz kolejny, przeszywając mu ciało ładunkiem elektrycznym. Krzyknął z bólu tak wielkiego, że omal go nie powalił. A potem, oprzytomniawszy, spojrzał na przeciwnika. Widział go teraz przedziwnie jasno, jakby uniosła się oślepiająca go do tej pory kurtyna mgły. Zdumiały go brutalne rysy tej okrwawionej teraz twarzy.

– Ironia losu... Kończy mi się czas – powiedział cicho, spokojnie. – Wszedłeś mi w drogę, to przez ciebie sytuacja jest o tyle gorsza.

– Jaka sytuacja? Wyjaśnij – zażądał badacz.

Prąd elektryczny nadal przepływał przez ciało podróżnika w czasie, wywołując ból i drżenie mięśni.

– Ożeń się z tą suką, Burton – jęknął. – Ustatkuj się, ustabilizuj. Zostań konsulem w Fernando Po, Brazylii, Damaszku czy gdzie tam te pierdoły cię wyślą. Pisz te swoje cholerne książki. A przede wszystkim zostaw mnie w spokoju! Rozumiesz, co do ciebie mówię? Zostaw mnie w pieprzonym spokoju!

Przykucnął, wyskoczył wysoko w powietrze.

Może to jedno ostrzeżenie jednak poskutkuje?

Może kiedy teraz wróci na pole Alsopów, Alicja Pipkiss nie będzie tak dobrze chroniona?

Być może będzie mógł wrócić do domu?

Oxford wylądował w ogniu bitwy.

*** Rozdział 23 ***

Z zimną krwią

Postępuj jak mężczyzna, choć tylko ty, nikt inny, będziesz bił sobie za to brawo,
Szlachetne życie i szlachetna śmierć tych, co sami sobie narzucają prawo.

sir Richard Francis Burton

Tam jest! – krzyknął któryś z hulaków.

Burton odwrócił się. Skaczący Jack stał w miejscu, od którego odskoczył przed chwilą, depcząc szczudłami popiół pozostały po pokonanym *loup-garou*. Wokół jego postaci unosiły się wstęgi pary.

– Do diabła! – ryknął. – Nie mogłeś mnie, kurwa, posłuchać?

Rzuciło się na niego dwóch hulaków. Przewrócili go na ziemię. Królewski agent postąpił w ich kierunku, lecz zatrzymał się w pół kroku. Instynkt ostrzegł go, że za jego plecami czai się niebezpieczeństwo. Obrócił się błyskawicznie. Jakiś technik mierzył do niego z broni przypominającej kuszę. Zwisał z niej pas ze spiczastymi bełtami, a strzelec właśnie ściągał dźwignię, mocującą pierwszy z nich w krótkim łożu. Podniósł urządzenie, wymierzył i w tej właśnie chwili po prawej pojawił się wieśniak z Letty Green, walczący wieszakiem na kapelusze jak pałką. Uderzył nim w pierś hulakę, przewracając go na strzelca, rozległo się niegłośne „puf" sprężonej pary, a bełt przebił na wylot połę surduta królewskiego agenta, chybiając jego uda o milimetry. Krawędzie wyrwanych przezeń dziur zapłonęły żywym ogniem.

Burton stłumił płomień, klepiąc go kilka razy dłonią. Skoczył na strzelca, złapał go wpół, przewrócił i pozbawił przytomności lewym hakiem. Następnie chwycił kuszę. Pod jej uchwytem znajdowało się jakieś urządzenie rozgrzewające, od którego cztery cienkie rurki prowadziły do umieszczonego nad łożem cylindra. Poruszał dźwignią z boku kuszy tak, jak to zaobserwował wcześniej. Na miejsce wskoczył kolejny bełt.

Królewski agent wsunął rapier w laskę, po czym wymierzył w wilkołaka, toczącego pianę z pyska. Para buchająca z wiszącego nad polem bitwy wielkiego rotostatku i światło kołyszących się, podwieszonych do rotofoteli latarni czyniły z niego scenę baletu ciemnych, niekształtnych cieni, niesłychanie utrudniających celowanie, a jednak trafił za pierwszym strzałem, przebijając bestii łeb. Wilkołak upadł, zadrżał i znieruchomiał.

Burton przeładował. Rozejrzał się. Trzech hulaków biegło w górę, po zboczu wzgórza

leżącego na zachód od pola, trzymając nad głową Skaczącego Jacka. Jednego z nich trafił w nogę; ranny upadł, krzycząc i wijąc się z bólu. Pozostali dwaj natychmiast rzucili na ziemię dźwigany ciężar. Jeden z nich dostał bełt w łopatkę, wrzasnął i padł. Drugi odwrócił się. Wpatrując się w strzelca, rozkręcił bolas. Dostał w ramię, nim zdołał wypuścić go z ręki.

– Trounce! Honesty! – Na szczęście policjanci walczyli niezbyt daleko. – Jack tu jest! Pomóżcie mi!

Inspektor Honesty walczył na pięści z wielkim, mocno zbudowanym, groźnie wyglądającym technikiem, który, sądząc po umorusanym ubraniu i skórze, pracował przy piecu wiszącego na niebie ogromnego rotostatku. Szczupły, drobny policjant wyglądał przy nim jak karzeł, a jednak udawało mu się jakoś unikać wielkich, groźnych pięści, jednocześnie trafiając każdym uderzeniem w pozornie kamienną szczękę przeciwnika. Na oczach Burtona pod technikiem ugięły się nogi. Usiadł, a wtedy „bam!" i od sierpa w szczękę głowa aż odwróciła mu się na bok. Bam! – kolejny sierp posłał go „na deski".

Honesty potrząsnął obolałymi dłońmi, wyprostował palce i podbiegł z uśmiechem.

Tymczasem inspektor Trounce nie bawił się w subtelności. Trzymaną w ręku pałką walił po głowie każdego, kto się zbliżył, czy to technika, czy hulakę.

On także zareagował na wezwanie.

– Front przesuwa się w górę pola – zameldował. – Przewyższają nas liczebnością. Zbyt szybko tracimy ludzi, kapitanie.

– Gdzie jest ten... jak mu tam... Skaczący Jack? – Honesty wytarł ze szkła gogli kroplę krwi.

– Tam!

Edward Oxford zdołał już podnieść się i teraz, na ich oczach, skoczył nagle do przodu, ciągnąc za sobą iskry i pasma niebieskiego płomienia.

– Gonić go! Nie dajmy mu uciec!

Oxford zrobił dwa wielkie kroki, wyrwał jakiemuś wieśniakowi łopatę, zdzielił go nią w głowę, a potem rozpoczął walkę z każdym, kto znalazł się w zasięgu jego broni.

Trounce i Honesty natychmiast pobiegli w jego stronę.

Królewski agent podniósł kuszę. Wymierzył w lewą nogę uciekającego Jacka. Ściągnął spust.

Raptem czyjeś ostrze przebiło mu biceps i cofnęło się. Burton krzyknął z bólu, upuścił kuszę. Bełt wypalił się na ziemi.

– Od tyłu, Oliphant? – spytał, odwracając się. Wyjął rapier z laski lewą ręką.

– Dziś nie czuję się dżentelmenem – stwierdził albinos. – Nie przepadam za walczeniem gorszą ręką, choć jeśli o to chodzi, to udało mi się co najmniej wyrównać szanse.

– Jak twoja łapa? Nie zdążyłeś jeszcze jej wylizać? Kula ciągle tkwi w ramieniu, tuż nad nią? Biedny, biedny kotek.

Klingi zderzyły się z trzaskiem. Krew ciekła po prawej ręce Burtona, kapała z palców na ziemię.

– Och, moje ostrze – zauważył Oliphant. – Wolałbym je odzyskać. Zrobiono je specjalnie dla mnie. Jest dziełem sztuki.

– Rzeczywiście, doskonale wyważone. Chyba jednak zechcę zachować je na pamiątkę. Będzie mi przypominać chwilę, kiedy cię nim przebiłem. Nie wydaje ci się doskonałą ironią, że broń, którą zamówiłeś, trafi cię teraz wprost w serce?

Walczący ostrożnie poruszali się po okręgu. Oliphant pchnął. Burton z łatwością sparował sztych, nim zdołał sięgnąć jego ramienia.

– No nie – powiedział, udając zaskoczenie. – Dziś jakoś nie jesteś taki szybki.

Oliphant wyszczerzył kły.

Nad ramieniem przeciwnika podróżnik dostrzegł wilkołaka przewracającego na ziemię jego przyjaciela Trounce'a. Honesty pospieszył mu na pomoc. Wyciągnął pistolet, przeszył kulą czaszkę stwora, a potem spojrzał na toczącą się walkę. Wycelował z pistoletu w tył głowy człowieka-pantery. Burton lekko potrząsnął głową, sygnalizując: jest mój.

Honesty skinął głową i rzucił się w wir bitwy. Ścigał Skaczącego Jacka.

Oliphant pchnął, omal nie trafiając w pierś przeciwnika, któremu z trudem, ale jednak udało się najpierw sparować cios, a w następnej chwili odwrócić losy walki. Jego *une-deux* miało taką siłę, że nie tylko pozbawiło albinosa broni, lecz także złamało ją.

Burton dotknął ostrzem jego szyi.

Oliphant roześmiał się dziko, cofnął, wyciągnął pistolet, wymierzył mu między oczy.

Królewski agent opuścił rapier.

– Ależ z ciebie łotr!

Kocie oczy zwęziły się, palec nacisnął na spust. W tejże chwili czarny pocisk trafił albinosa w twarz, rozpadł się w chmurze czarnego pyłu, przewrócił go. Kula chybiła celu.

– Ju-huuu! – rozległ się z góry radosny krzyk.

Z chwiejącego się niebezpiecznie pasażerskiego latawca, holowanego przez wielkiego łabędzia, uśmiechał się wesoło Algernon Swinburne. Całe stado tych ptaków nadleciało z południa. Wydawały się nieprawdopodobnie wręcz białe na tle nocnego nieba, od ich skrzydeł odbijało się bowiem światło zwisających z rotofoteli latarni.

A w każdym z latawców, wyjąwszy ten jeden, siedziało dwóch kominiarczyków miotających torbami z sadzą.

Właśnie dlatego wszyscy policjanci nosili gogle. Owszem, musieli je teraz często wycierać, ale przynajmniej sadza nie dostawała się im do oczu. Technicy i hulacy znaleźli się w znacznie gorszej sytuacji. Mieszane skrzydłami wirników zanieczyszczone powietrze praktycznie pozbawiło ich zmysłu wzroku. Jeden po drugim, ślepi i zapłakani, bezkarnie waleni policyjnymi pałkami, padali nieprzytomni na ziemię.

Dowodzeni przez Swinburne'a mali kominiarze podzielili się na dwie grupy. Pierwsza, utrzymując się pod rotostatkiem, mimo gwałtownych wahań latawców, szarpanych podmuchami powietrza wywołanymi przez jego rotory, nadal miotała bomby sadzowe. Druga oddzieliła się od niej i wzniosła nad maszynę. Mali kominiarze wyjęli teraz metalowe pręty, części swych szczotek. Wyrzucali je, celując w śmigła. Rozległ się szereg donośnych brzęków, a uszkodzone fragmenty płatów, wirując, prysły na boki, nad otaczające pole drzewa.

Zamierzony efekt został osiągnięty. Choć bardzo powoli, rotostatek zaczął jednak wycofywać się znad pola walki. W ślimaczym tempie odpływał majestatycznie na zachód.

Laurence Oliphant podciął Burtonowi nogi, przewrócił go, wyrwał mu z ust okrzyk bólu – to odezwało się przebite rapierem ramię. Rzucił się na niego jak pantera. Przetaczali się po ziemi, wymierzając sobie ciosy, drapiąc się, gryząc i kopiąc. Usiłowali miażdżyć sobie gardła łokciami, próbowali ciosami głową pozbawić się nawzajem przytomności. Walczyli o jeden dobry chwyt. Po stronie królewskiego agenta były siła, zręczność i wytrenowanie, lecz albinos dysponował zwierzęcą dzikością. Odrzucił kpiącą

parodię dobrych manier, pozostała tylko bestia i Burton miał wrażenie, jakby powrócił do Afryki i musiał walczyć gołymi rękami z którymś z zamieszkujących ją wielkich kotów.

Oliphant nie dawał się obezwładnić i Burton czuł, jak siły w szybkim tempie odbiera mu konieczność obrony przed błyskawicznymi ciosami szponów i kłów. Nagle dostał cios czołem w twarz, tak silny, że przez kilka sekund widział tylko gwiazdy. Wzrok wrócił mu w chwili, gdy pysk pantery był już blisko jego gardła, nienaturalnie szeroko otwarty, pełen ociekających śliną kłów, gotowych szarpać ludzkie ciało.

Po odrzuconej na bok ręce i przez dłoń prześlizgnął mu się sznur. Zdołał go uchwycić i jednym błyskawicznym ruchem zarzucił pętlę na szyję albinosa. Ze zdławionym kaszlnięciem człowiek-pantera pojechał po ziemi, a potem poderwany został w powietrze. Kołysał się przez chwilę, kopał i wił konwulsyjnie, lecz zaraz znieruchomiał z pociemniałą nagle twarzą. Wisząc na linie zwisającej z drzwi ulatującego rotostatku, znikł wśród chmur pary i sadzy.

– Zawsze wiedziałem, że najbardziej zabójczą rzeczą na świecie jest złe towarzystwo – powiedział półgłosem sir Richard.

Ciemność przeszył gwałtowny błysk i ciało człowieka-pantery znów stało się widoczne, choć zaledwie na chwilę. Uległo samospaleniu.

Burton przyglądał się temu zjawisku, póki trwało, a potem znalazł i podniósł kuszę. Musiał teraz odszukać Trounce'a i Honesty'ego.

Unosząca się w powietrzu, oblepiająca gogle sadza zdecydowanie pogarszała widoczność, wydawało się jednak, że bitwa powoli wygasa. Walczyło niewielu, za to mnóstwo pokonanych leżało na ziemi, martwych lub nieprzytomnych.

Mgła rozstąpiła się nagle przed lecącym niezwykle nisko białym łabędziem. Przeleciał mu nad głową. Biegnące od jego uprzęży do latawca skórzane wodze trzymał mały rudy człowieczek.

– Domek! – krzyknął Algernon Swinburne.

Nie musiał niczego tłumaczyć. Burton pobiegł.

Stary Carter, zapalacz latarni, usiłował powstrzymać sąsiadów zgromadzonych na niezwykle czysto wysprzątanej drodze.

– To nie nasz interes – oznajmił. – Przypadkiem wiem, że policja się tym zajmuje, a policja nie lubi mieszać w swoje sprawy zwykłych ludzi.

– A kogo nazywasz zwykłym, jeśli wolno spytać? – zaprotestował mężczyzna w średnim wieku. – Old Ford to nasza wioska, nie policji! Jakby Skaczący Jack w trzydziestym ósmym nie wystarczył, to teraz jeszcze mamy te wielkie łabędzie, wilkołaki i latające maszyny. To nie jest naturalne, mówię ci.

– Racja! – poparł go tłumek. – Na naszą wieś ktoś rzucił jakieś przeklęte czary!

– Nie ma czegoś takiego jak czary – zaprotestował Carter.

– To czym wytłumaczysz te cuda? – spytał ktoś inny, wskazując pole bitwy, od którego dzieliła ich tylko płytka dolinka. – Wszystko przez to dworzyszcze w Waterford. Ono jest winne! Zły wiatr nam powiał, od kiedy w trzydziestym siódmym osiedlił się w nim Szalony Markiz!

– Prawda! – krzyknął ktoś z tylnych rzędów. – Może i nie żyje, ale dobrze go

pamiętamy. Straszy tam jego duch!

– Chmurne Wieże postawił szaleniec. Do dziś mieszkają tam sami szaleńcy! – rozległ się kobiecy głos. – Powinniśmy spalić je przed laty!

– A co z tym Belljarem? Ktoś go w ogóle widział?

– Nie! – wrzasnął tłum.

– Kto to jest? Po co tu przybył?

– Patrzcie, patrzcie, latający statek się ruszył. Leci do Waterford.

– Założę się, że do Chmurnych Wież!

– Chodźmy za nim. Przynajmniej dowiemy się, kim jest ich lokator.

– Ano. A jeśli on sprowadził na nas przekleństwo, to go powiesimy!

– Brawo!

– Jasne!

– Wieszać! Wieszać!

– Stójcie, głupcy! – krzyknął Stary Carter, ale nikt go nie słuchał. Już po chwili tłum, uzbrojony w domowe narzędzia i płonące pochodnie, schodził do Bearbinder Lane, która miała go doprowadzić do drogi do Waterford.

– Ech, do diabła – westchnął stary. – Jeśli nie możesz ich pokonać, to się przyłącz.

I pospieszył za sąsiadami.

Zeszli ze wzgórza. Na dole, mając przed sobą wznoszące się na przeciwległym zboczu pole Alsopów, zatrzymali się przy małym domku, od początku bitwy strzeżonym przez czterech policjantów, którzy teraz postąpili krok w ich stronę.

– Hej, ludzie, powinniście natychmiast wrócić do domów! – krzyknął jeden z nich. – Tu nie jest bezpiecznie.

– Ano – odpowiedział mu ktoś. – I nie będzie, póki stoją Chmurne Wieże!

– Prawda! Spalimy to przeklęte miejsce do fundamentów!

Konstabl potrząsnął głową.

– Niczego nie spalicie.

Nagle jedna z kobiet wrzasnęła przeraźliwie. Wyciągnęła rękę, wskazując na pole. Wieśniacy odwrócili się. Brudnoszara chmura rozstąpiła się, wyskoczyła z niej niezwykła postać. Pędziła w ich stronę wielkimi susami. Wszyscy znali tego wielkiego, przeraźliwie chudego potwora, związanego z Old Ford od dwudziestu trzech lat, od chwili ataku na Jane Alsop, a działo się to przecież dokładnie w tym miejscu, w którym teraz stali.

Skaczący Jack!

Krzycząc ze strachu, wieśniacy rozbiegli się przed szalejącą postacią, która wbiła się w ich grupę, waląc łopatą na prawo i lewo.

– Wynoście się! Won! – wrzeszczała.

Ten wściekły atak położył także policjantów. A miejscowi pryskali, aż się za nimi kurzyło.

Domek Alsopów w jednej chwili pozbawiony został obrony.

Skaczący Jack odrzucił łopatę. Przeskoczył furtkę, przekradł się ścieżką, uderzył barkiem we frontowe drzwi. Ustąpiły natychmiast.

Pochylił się. Zajrzał do środka.

W korytarzu stała młoda kobieta, mierząc w jego głowę z pistoletu.

– Powiedz mi... masz znamię na piersi?

– Nie jestem Alicją Pipkiss – odparła. – Alicję zabrano stąd w bezpieczne miejsce. Nigdy jej nie znajdziesz.

Jack wydał z siebie straszny, przepełniony szalonym gniewem, jadowity syk. Przez jedną chwilę siostra Raghavendra była pewna, że się na nią rzuci, lecz nagle rozległ się silny, dźwięczny głos:

– Edwardzie Johnie Oxfordzie!

Oxford odwrócił się na pięcie.

W bramie stał sir Richard Francis Burton.

W ręku trzymał jakąś dziwną broń.

Ściągnął jej spust.

Bełt przeszył powietrze, uderzył w jednostkę kontrolną kombinezonu czasowego.

Oxford krzyczał. Rzucał się w konwulsjach, a wokół jego ciała wiły się pasma energii. Zatoczył się, omal nie upadł, lecz jednak zdołał skoczyć i zniknąć.

– *Bismillah*! – mruknął Burton pod nosem. – I gdzie go teraz poniosło?

Wzywano go po imieniu do powrotu na pole walki. Krzyczał detektyw inspektor Trounce, wymachujący w dodatku melonikiem, by zwrócić na siebie uwagę.

Burton wytężył słuch.

– Tu jest! Tutaj! Technicy go mają!

Kiedy Oxford wyskoczył z tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku z zasilanym bełtem kuszy tkwiącym w tarczy kontrolnej na piersi, nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Wyładowanie elektryczne omal nie pozbawiło go przytomności, nie był w stanie wyobrazić sobie miejsca lądowania i przez ułamek sekundy, a może przez wieczność, unosił się poza czasem.

Rozpadł się na kawałki.

Części, z których składał się Edward John Oxford, w połączeniu czyniące z niego człowieka, rozdzieliły się teraz i rozproszyły. Podjęte decyzje przestały być decyzjami, a stały wyborami, sukcesy i klęski zdegenerowały się do możliwości i wyzwań, a cechy charakterystyczne zmieniły we wpływy, nic więcej.

Stracił spójność. Nie pozostało w nim nic oprócz potencjału.

A jednak gdzieś poza granicami tego przedziwnego procesu istniało coś, co obserwowało jego działanie, protestowało, żałowało i wyło, widząc, jak samo rozpada się na coraz mniejsze części.

To coś czepiało się rozpaczliwie nadziei, wydało ostatni rozkaz przestającemu działać kombinezonowi, wbrew wszelkiemu rozsądkowi i dowodom ciągle wierzyło, że kolejna próba powstrzymania Oxforda przed zabiciem królowej Wiktorii może, zwyczajnie może zakończyć się sukcesem, czyli odebraniem tej szalonej wersji historii prawa do istnienia.

Powrócił do świata nad Green Dragon Alley, dnia 27 lutego 1838 roku. Ciężko uderzył w ziemię, upadł, uniósł się i podczołgał w ciemny zakątek pod murem zaułka.

Zarzucił płaszcz na głowę. Szukał ciemności, chwili na wspomnienie, na zebranie myśli.

Kim jest?

Gdzie jest?

Dlaczego jest tu, gdzie jest?

Co musi zrobić?

Jest imię: Edward Oxford... Oryginalny Oxford...

Jest miejsce: Kapelusz i Piórka.

Jest wróg: Burton.

I jest głos: „Czy pan się źle czuje? Sprowadzić pomoc?”.

Odsłonił głowę. Przyglądały mu się ciekawie młoda dziewczyna i stojąca za nią mała dziewczynka, jeszcze dziecko.

Musi ją zgwałcić... ją lub kogoś bardzo do niej podobnego.

Zgwałcić?

O czym on myśli? Przecież nigdy nie zrobiłby niczego tak strasznego! Nie był zdolny do tak brutalnych czynów. Dlaczego w ogóle rozważał coś aż tak obrzydliwego? Gwałt, darcie bielizny, zamachy, walka...

Aż krzyknął, takim wstrętem napełniło go nagle to, co zrobił... i co jeszcze zamierzał zrobić.

Zygzakowata błyskawica wystrzeliła z hełmu, przeleciała wprost do twarzy dziewczyny. Porażona upadła, dostała konwulsji. Ta młodsza podbiegła do niej zrozpaczona.

– Co pan zrobił? Ratunku! Pomocy!

Podróżnik w czasie wstał z wysiłkiem.

– Burton! – krzyknął. – To wszystko przez ciebie!

Poszedł zaułkiem, wstrząsany konwulsjami elektrycznych przepięć – mniej człowiek, bardziej chaotyczny zbiór możliwości.

W tym momencie wreszcie włączył się program awaryjny uszkodzonej jednostki kontrolnej kombinezonu. W głowie Oxforda zabrzmiał głos wydający mu komendę skoku. Uczynił to instynktownie. Wyczerpując swe możliwości do końca, kombinezon przeniósł go tam, skąd Edward Oxford przybył, przesuwając miejsce lądowania nieco na zachód, by nie zderzył się przypadkiem sam ze sobą.

Trzydzieści sekund po tym, jak uciekł przed Burtonem, podróżnik w czasie opadł na pole Alsopów. I trafił wprost w ręce wycofujących się techników.

– Technicy złapali Oxforda – wydyszał Trounce do zbliżającego się Burtona. – I teraz z nim uciekają.

Burton wytężył wzrok. Mimo mroku i ciągle brudnego powietrza widział bitwę, toczącą się teraz przy szczycie wzgórza. Policjanci, dowodzeni przez detektywa inspektora Honesty’ego, wraz z resztkami sił wieśniaków z Letty Green, walczyli wręcz z ustawionymi w linię hulakami, którym udało się zatrzymać ich ofensywę, a tymczasem, jeszcze wyżej, technicy wspinali się po linach do rotostatku, którego dziób mijał powoli linię drzew na zachodzie.

Dostrzegł także najwyraźniej nieprzytomnego Skaczącego Jacka, wciąganego na pokład ogromnej maszyny.

– Jeśli to wy walczycie z tymi gnojami, jesteśmy do dyspozycji – powiedział jakiś głos. Królewski agent odwrócił się. Zobaczył starszego mężczyznę prowadzącego grupę wieśniaków. Wszyscy mrużyli zapłakane oczy, gdyż w powietrzu ciągle unosiło się mnóstwo sadzy.

– Stary Carter, zapalacz latarni – przedstawił się ich przywódca. – Jesteśmy z Old Ford i dosłownie rzygamy tym całym Skaczącym Jackiem.

– Brawo! – Trounce wskazał walczących. – Dajcie z siebie wszystko.

– Tak jest! No, chłopcy, to im dokopiemy.

Wieśniacy odmaszerowali.

Burton wyciągnął koszulę ze spodni, oderwał wąski pas, z pomocą policjanta przewiązał krwawiące ramię. Następnie spojrzał na rotostatek. Wiedział, co musi zrobić. Nie miał żadnych wątpliwości, nie zadawał sobie żadnych pytań, żadne drugie ja nie prześladowało go, przedstawiając inne możliwości.

– Potrzebuję rotofotela – powiedział. – Zamierzam sprawdzić, czy uda mi się ściągnąć któryś z nich na ziemię.

– To się może przydać. – Trounce podał mu policyjny gwizdek.

Królewski agent zbiegł na dół, bo tam powietrze było trochę czystsze. Machał na przelatujące nad nim maszyny, gwizdał na nie krótko, raz za razem. Czwarta z kolei wyłamała się z szyku i wylądowała. Wysiadł z niej konstabl Krishnamurthy.

– Omal pana nie przeoczyłem – usprawiedliwił się. – Widoczność jest fatalna. Na szczęście ta lampa dobrze świeci. Wygląda pan jak prawdziwy diabeł.

– Potrzebna mi ta maszyna. – Burton wskoczył do rotofotela. Wyjął laskę z główką pantery zza pasa, wepchnął ją pod siedzenie. – Jak z paliwem?

– Wystarczy, chyba że chce pan lecieć do Brighton.

Podróżnik skinął głową. Wystartował.

W miarę jak nabierał wysokości, powietrze robiło się coraz czystsze. Widział kłębiącą się w dole chmurę pary i sadzy, to rozświetlaną błyskami światła, to pogrążającą się w mroku, mieszaną przez krążące w niej pozostałe rotofotele.

A przed sobą miał lśniący w świetle gwiazd, srebrzysty statek techników, powoli nabierający szybkości.

Pospieszył za nim.

Za jego rotofotelem pojawił się łabędzi zaprzęg, a kiedy się obejrzał, zobaczył machającego do niego Swinburne’a, szeroko uśmiechniętego i najwyraźniej w świecie doskonale się bawiącego. Krzyknął coś, ale jego słowa nie przedarły się przez hałas silnika, więc podróżnik tylko pokazał mu uniesiony w górę kciuk, a potem wskazał rotostatek. Swinburne skinął głową.

Lecieli szybko. Wznieśli się też wysoko ponad wirujące skrzydła, dzięki czemu uniknęli turbulencji i mogli wylądować na ogromnej, owalnej platformie. Okrążała ją szeroka galeria zabezpieczona relingami, a w środku wznosiła się długa budowla.

Królewski agent lądował na galerii. W przypadku Swinburne’a manewr ten był jednak znacznie bardziej ryzykowny. Poeta przeleciał nisko nad platformą, szarpnął dźwignią bezpieczeństwa, uwalniającą latawiec, i wraz z nim spadł na pokład, koziołkując. Latawiec ześlizgnął się, mocno uderzył w reling, a poeta wyleciał z niego i znikł za burtą.

Burton poczuł mdłości. Spojrzał w dół...

I zobaczył uśmiechniętego przyjaciela wiszącego nad przepaścią, trzymającego się palcami pokładu.

– Klify Culver! – powiedział, gdy tylko znalazł się bezpiecznie na pokładzie. – Co teraz?

– Pora kończyć... mam nadzieję. – Podróżnik wyjął z laski rapier. – Darwinowi i jego kompanom nie wolno przecież pozwolić na kontynuację tych szalonych eksperymentów.

Ludzie powinni mieć prawo wyboru swego przeznaczenia, prawda?

– Nie uważasz, że jest w tym sprzeczność, Richardzie?

– Jeśli pozwolisz, wolałbym zostawić tę filozoficzną dyskusję na później. Na razie nie dostaliśmy się jeszcze do środka tego czegoś. Masz broń?

Poeta wyciągnął zza paska colta. Burton skinął głową z uznaniem, a potem zaczął obchodzić wystającą nad pokład budowlę. Czując pod stopami wibrację silników, zaglądali w bulaje, przez które widać było głównie puste kabiny wyposażone w stoły i prycze, biura z biurkami i szafkami oraz pomieszczenia kontrolne, niektóre z załogantami, odczytującymi wskazania mierników i wprowadzającymi jakieś poprawki za pomocą przyrządów.

Minęli dwoje drzwi prowadzących do środka, nie skorzystali z nich jednak, gdyż w środku było za wielu ludzi. Za to za trzecimi znajdowało się centrum łączności, obsługiwane przez tylko jednego technika. Skoczyli do środka, Burton przyłożył mu ostrze rapiera do gardła, Swinburne zaś zamknął przejście prowadzące do wnętrza statku.

– Jeśli cenisz życie, nie będziesz krzyczał – powiedział królewski agent ostrzegawczo.

Technik przełknął, skinął głową, podniósł ręce.

– Chcę poznać plan statku. Bez szczegółów.

– Dwa pokłady – powiedział łącznościowiec szybko. – Na tym są kabiny załogi i różne ośrodki obserwacji i kontroli, wszystkie położone wokół centralnego korytarza, który z obu końców ma schody. Główny pokład jest znacznie większy. Osiem maszynowni ułożonych jest wokół sekcji środkowej, odpowiadającej wymiarami temu, górnemu pokładowi. Tylna jedna trzecia to kotły, zbiorniki wody, piece i magazyny węgla. Pośrodku umieszczono turbinę główną. Z przodu mieści się kabina pilotów.

– Dobrze – warknął Burton. – Darwin jest na pokładzie?

– Tak, w kabinie pilotów.

– Brunel?

– Tak, najprawdopodobniej przy turbinach.

– Beresford?

– Kto?

– Małpa.

– Jest z Darwinem.

– Nightingale?

– Tak. Ale nie wiem gdzie.

– Speke?

– Ten z babbage’em w głowie?

– Tak.

– Nie. Zszedł z pokładu, nim wystartowaliśmy. Chyba przeszedł na pokład drugiego statku, który został w Chmurnych Wieżach. Służy jako laboratorium medyczne.

– Rozumiem. Jak dostać się do kabiny pilotów, nie zwracając na siebie uwagi?

– Dwie kabiny dalej, w ładowni, jest drabina prowadząca wprost na korytarz serwisowy, łączący maszynownię z kabiną pilotów. Wejście jest do obu.

– Doskonale. Bardzo nam pan pomógł.

– Nie chcę umierać.

– Nie jestem mordercą – wyjaśnił królewski agent. – Niestety, muszę pozbawić pana przytomności. Co ma być: cios w szczękę czy hipnoza?

– Tylko żadnych zabaw z rozumem, bardzo proszę – przeraził się technik i wysunął

szczękę.

Burton zastosował się do jego życzenia.

Swinburne złapał upadającego i w miarę delikatnie ułożył go na podłodze.

– Gdyby tylko wszyscy byli tacy uważający – westchnął.

– Algy, ja ich wszystkich pięściami nie załatwię. Być może będziesz musiał wziąć na siebie jednego czy dwóch. Staraj się nikogo nie zabić. Mierz w nogi.

– Rozumiem.

Otworzyli drzwi, wyjrzeli na korytarz. Był pusty, nikt nie zatrzymał ich też po drodze do ładowni, wypełnionej belami miękkiego materiału izolacyjnego. Zeszli po krótkiej drabinie do korytarza serwisowego i wówczas zobaczyli, że takim właśnie materiałem wyłożone są ściany za biegnącymi wzdłuż nich rurami i przewodami, które w połowie korytarza po jego obu stronach wyginały się do góry i biegły nad wielkimi, podwójnymi drzwiami, prowadzącymi do maszynowni z jednej strony, a do kabiny pilotów z przeciwnej. Burton uchylił te drugie najwyżej na cal.

Zobaczył wielką kabinę na dziobie statku, wyposażoną z przodu w panoramiczne okno. Dwaj technicy prowadzili statek, trzeci stał obok nich, przy konsoli, trzymając w ręku tubę komunikacyjną.

Darwin siedział na swym metalowym tronie pośrodku sterówki. Przewody i kable łączyły go ze zwisającą z metalowego sufitu konstrukcją w kształcie poziomego koła, bardzo podobną do tej, jaką Swinburne widział w elektrowni Battersea.

Po podłodze biegł gruby kabel łączący go z automatem będącym niegdyś Francisem Galtonem. Stał on przy łóżku na kołach, do którego przywiązany był Skaczący Jack. Zdjęty z jego głowy hełm odłożono na pobliski stół. Henry Beresford chodził obok więźnia niecierpliwie tam i z powrotem.

– Dlaczego nie odpowiadają? – spytał.

– Nie wiem, proszę pana – przyznał technik z tubą w ręku. – Ale mamy w tej chwili za małą załogę, a uszkodzone śmigła uniemożliwiają stabilizację lotu. Wyobrażam sobie, że mają tam mnóstwo roboty.

– Oni – może, ona z pewnością nie! – wrzasnął orangutan. – Jest pielęgniarką, a nie cholernym mechanikiem!

– Zauważyliśmy, że zadurzyła się w Brunelu – wtrącił Darwin.

– Ba! – prychnął orangutan. – Znajdźcie ją i przywleczcie tu za te jej cholerne włosy, jeśli to będzie konieczne. Oxford nie może umrzeć. Jego wiedza jest nam potrzebna!

– Tak jest!

Łącznościowiec wsunął tubę w przeznaczony dla niej otwór i szybkim krokiem przeszedł do drzwi.

Burton i Swinburne zajęli miejsce po ich obu stronach.

Technik przekroczył próg, zamknął drzwi za sobą, zobaczył Swinburne’a, otworzył usta... i wydał z nich zaledwie cichy skrzek. Potężne lewe ramię Burtona otoczyło mu szyję i ścisnęło z wielką siłą. Królewski agent palcami prawej dłoni nacisnął ją w odpowiednich miejscach, po czym po kilku sekundach odciągnął nieprzytomnego w kąt i wrócił na miejsce obserwacji.

Automat Galton ściągał Oxfordowi szczudła.

– Interesująca konstrukcja – przyznał Darwin – choć Brunel oceni ją z całą pewnością kompetentniej od nas.

– Do diabła z byle butami – denerwował się Beresford. – Kiedy dolecimy do dworu?

– Za około dziesięć minut – poinformował go jeden z pilotów.

– Przyspieszcie!

– To niemożliwe, proszę pana. Jeśli spróbujemy, odlecą śmigła!

– Nie interesują mnie wasze bełkotliwe usprawiedliwienia.

– Musimy utrzymać ciało przy życiu do przeniesienia go na statek medyczny – oznajmił Darwin. – Potem nie będzie to miało żadnego znaczenia. Siostra Nightingale potrafi przenieść mózg do pojemnika systemu podtrzymywania życia. Tam będzie... – Umilkł. Wielka czaszka z dwoma mózgami obróciła się, spojrzenie oczu jak koraliki wbiło się w dwóch mężczyzn, którzy cicho weszli do kabiny. – Zakładam, że pan to sir Richard Francis Burton? – powiedział swoimi dwoma dziwnymi, harmonijnymi głosami. – Małego poetę, Swinburne'a, już oczywiście poznaliśmy.

Henry Beresford odwrócił się błyskawicznie, wyszczerzył wielkie zęby, skoczył na intruzów.

– Nogi, Algy – powiedział cicho królewski agent.

Poeta podniósł lufę colta i ściągnął spust.

W szklanym dzwonie, tuż nad prawym okiem małpoluda, pojawiła się dziura.

– Ups! – skwitował swój wyczyn Swinburne.

Z dziury wypływał płyn. Beresford próbował zatkać ją palcem. Ale nie zatkał otworu wylotowego. Jakimś cudem kula ominęła sam mózg.

Jeden z techników przy sterach osunął się na podłogę. Jego kula nie ominęła.

– Ups po raz drugi – mruknął poeta. – Bardzo cię przepraszam, Richardzie. Nie miałem zamiaru...

– Sprowadźcie siostrę! Sprowadźcie siostrę!

– A może wystarczą dwa korki? – zasugerował niefortunny strzelec.

– Odsuń swojego chodzącego trupa od Oxforda, Darwin – polecił królewski agent.

Dwumózgowiec wykonał polecenie. Galton cofnął się.

Burton podszedł do noszy na kółkach, przyjrzał się podróżnikowi w czasie. Oczy miał dzikie, ale na jego widok pojawił się w nich błysk inteligencji. Poznał, z kim ma do czynienia.

– Umarłeś w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym. Na serce.

Zimny pot spłynął Burtonowi po krzyżu.

– Proszę pana! – krzyknął pozostały przy życiu pilot. – Sam nie dam rady! Zbyt szybko tracimy wysokość!

– Na litość boską, gdzie jest Nightingale?! – zawył Beresford.

– Algy, wyjdź i pilnuj drzwi – powiedział Burton. – Nikt nie ma prawa tu wejść. Zrób, co będziesz musiał.

– Ale...

– Algy – warknął podróżnik – mój ostatni rozkaz wykonałeś w części. Tym razem musisz bardziej się postarać. Zrozumiano?

– Tak jest – powiedział cicho poeta. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Bądź przeklęty, Burton – jęknął cicho Beresford. Siedział, zatykając palcami otwory po kulach, ale płyn nadal wyciekał z dzwonu. Jedna trzecia jego mózgu była już odsłonięta.

Burton spojrzał na Oxforda.

– Wiem, kim jesteś – oznajmił. – I wiem, co próbowałeś zrobić.

– Umarłeś w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym – powtórzył podróżnik w czasie.

– Ty tak twierdzisz. Zresztą to bez znaczenia. Wszyscy umrzemy. Mnie interesuje to, dlaczego żyjemy.

– Intrygujące – zauważył Darwin.

– Zdarzyło mi się już podejmować drastyczne decyzje – mówił dalej królewski agent. – Ich skutkiem były czyny, na które większość ludzi nigdy by się nie zdecydowała. Coś kazało mi...

– Szukać swego miejsca w świecie. – W oczach Oxforda nie było już szaleństwa. – Odnaleźć samego siebie. W dzieciństwie ciągano cię z kraju do kraju. Nie wiedziałeś, gdzie przynależysz. Od tej pory szukasz stabilizacji. Czegoś, o czym mógłbyś powiedzieć, że jest twoje. Stałych koordynat.

– Koordynat... tak, rozumiem, co masz na myśli.

– One czynią nas tym, czym jesteśmy. Nadają nam tożsamość. Popełniłem błąd. Wybrałem jako koordynatę zdarzenie z odległej przeszłości, które, w mojej opinii, ściągnęło niesławę na me nazwisko. Próbowałem ją wykreślić, a wykreśliłem coś, co uczyniło mnie mną.

Po policzku podróżnika w czasie spłynęła łza.

Darwin zachichotał.

– Wielce satysfakcjonujące. Jakie to proste: skonstruować nową przyszłość. Tak. Jesteśmy zafascynowani możliwościami. Są wręcz nieskończone. Jednakże musimy najpierw ustalić, czy jedna przyszłość zastępuje drugą, czy też dzieją się one jednocześnie. Zdobywszy kombinezon czasowy, przede wszystkim trzeba określić metodykę umożliwiającą zbadanie tego problemu.

– Oni nie mogą dostać kombinezonu – szepnął Oxford. – Uwolnij mnie. Już się sobą nie przejmuję. Jestem człowiekiem spoza. Tylko... pozwól mi odbudować historię!

Beresford przewrócił się na bok.

– Pomóż mi, Darwinie – wybulgotał. – Czuję się taki... wyczerpany...

– Zmieniłem jedną rzecz – wyszeptał jeszcze podróżnik w czasie. – Zaledwie jedną rzecz. Ale konsekwencje tej zmiany zmieniły wszystko. Nie miałeś zajmować się tym, czym się teraz zajmujesz.

– Problem w tym – powiedział sir Richard Burton, królewski agent – że choć przyszłość nie jest taka, jaką była, mnie podoba się taka, jaką jest.

– Bardzo, bardzo satysfakcjonujące! – cieszył się Darwin. – Oto widzimy organizm wybierający własną drogę ewolucji.

Henry de la Poer Beresford wyszeptał:

– Wolny!

Z jego gardła dobył się straszliwy charkot.

Za drzwiami zabrzmiał strzał.

– Spadamy! – krzyknął pilot.

– A jeśli technicy dobiorą się do kombinezonu – mówił dalej Burton – sama historia stanie się przeszłością.

– Rozbijemy się! – Pilot chciał uciec, pobiec do drzwi, ale automat Francis Galton stojący tuż za nim złapał go za szyję i przytrzymał przy sterach.

– Masz pilotować maszynę – polecił mu Darwin.

– Nie mogę! Nie mogę!

– Musisz!

Burton objął dłońmi głowę Oxforda.

– Z zimną krwią? – spytał podróżnik w czasie.

– Jeśli to konieczne...

– Czego oczekujesz? – Sir Richard Francis Burton spojrzał mu w oczy.

– Stałych koordynat – powiedział cicho Oxford. – Szczęśliwego rebootu...

Burton nie odpowiedział. Jednym ruchem skręcił nieszczęśnikowi kark.

– Bardzo poważna pomyłka – orzekł Darwin. – A jednak co się stało, to się nie odstanie. A teraz wydobądź nas stąd, nim ten pojazd się rozbije. Zabierz ciało, hełm i buty.

W przednim oknie maszyny widać już było Chmurne Wieże. Wydawały się strasznie wielkie.

– Nie – zdecydował sir Francis Burton. – Kombinezon czasowy trzeba zniszczyć. Koniec z twoimi eksperymentami.

– Nie zgadzamy się. Może porozmawiamy na ten temat, nim zdecydujesz się działać? Twierdzimy, Burton, że dostęp do podróży w czasie pozwoli nam raz na zawsze pozbyć się wielkiej iluzji Boga interweniującego w ludzkie sprawy. Pozbędziemy się także absurdalnych pojęć losu i przeznaczenia. Będziemy wybierać własne ścieżki w czasie. Okiełznamy proces ewolucji, pokierujemy nim, jak zechcemy.

– Więc nic nie zdarzy się przypadkiem?

– Właśnie tak. Uratuj kombinezon czasowy.

– I ciebie?

– I nas! Tak, uratuj nas!

Burton wyjrzał przez okno.

– Czekamy na twoją odpowiedź – zabrzmiał dwugłos Darwina. – Co powiesz?

Królewski agent podszedł do drzwi. Od progu obejrzał się jeszcze na zniekształconego naukowca.

– Przykro mi – powiedział. – Dziś debata się nie odbędzie.

– Ewolucyjnie wyżsi muszą przetrwać!

Burton wyszedł za drzwi. Swinburne trzymał siostrę Nightingale na dystans, grożąc jej pistoletem. Na podłodze leżał mężczyzna, przyciskając dłoń do boku. Z rany płynęła krew.

– Mierzyłem w nogi, przysięgam! – zapiszczał poeta.

Podróżnik chwycił pannę Nightingale za ramię, pociągnął ją do drabiny.

– Właź! – rozkazał.

– Nie! – usłyszał w odpowiedzi.

Uderzył ją w czoło. Pielęgniarka osunęła mu się w ramiona.

– Nie czas na uprzejmości – usprawiedliwił się. – Właź na drabinę, Algy.

Tym razem poeta posłuchał go bez dyskusji. Przyjaciel poszedł za nim z kobietą przewieszoną przez ramię.

W niespełna minutę później potężny rotostatek uderzył w Chmurne Wieże. Stary dwór rozleciał się, siejąc odłamkami cegieł, zaprawy i szkła. Miażdżony metal stękał, ryjąc budynek, a potem ziemię.

Mieszkańców pobliskiego Waterford wyrwał ze snu przerażający huk. Podłoga zatrzęsła się im pod stopami, pękały szyby w oknach. Rotostatek wyrył szeroką, głęboką wyrwę w granicach należącej do pana Belljara posiadłości, a kiedy zatrzymał się po niemal ćwierć mili, był już tylko bezładną masą porozrywanego, poskręcanego metalu.

Na chwilę zapadła dziwna, przejmująca cisza, jakby dzieło zniszczenia zostało już

dokonane. I nagle, jeden za drugim, w serii rozdzierających uszy eksplozji, wybuchły kotły, rozrywając na strzępy tylną część pojazdu, wyrzucając wysoko w powietrze odłamki wraz z ogromną chmurą pary.

I wreszcie wszystko się uspokoiło, tylko wrak stękał i jęczał, gdy obniżała się temperatura stygnącego w nocnym powietrzu metalu.

Z Chmurnych Wież nie pozostało nic oprócz brzydkiej plamy na krajobrazie.

Sir Richard Francis Burton nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Siły wyzwolone podczas katastrofy ciskały nim, owiniętym belą materiału izolacyjnego, jakby próbowały wytrząsnąć z niego życie. Nie zdołały, ale pierwsze, co zrobił, to sprawdzenie, czy jego ciało jeszcze funkcjonuje. Na szczęście wszystkie członki wydawały się działać właściwie, niczego sobie nawet nie złamał, tylko ramię bolało go tam, gdzie przeszył je rapier Oliphanta.

Choć z wielkim trudem, ale jakoś wypełzł z kryjówki. Stanął na przechylonym, zniekształconym pokładzie. Wyjął z kieszeni latarnię, w jej świetle przyjrzał się otaczającym go ruinom. Ładownię rozerwało niemal na kawałki, podłoga wypaczyła się, a przez wielką, poszarpaną wyrwę w suficie do środka zaglądały gwiazdy.

Bele izolacji porozrzucane były wszędzie dookoła. Rola, w którą owinął siostrę Nightingale, rozwinęła się, a ona sama leżała dziwnie skręcona. Podpełzł do niej i stwierdził, że żyje, choć pewnie jeszcze długo nie odzyska przytomności.

Swinburne leżał, zabezpieczony, pod stosem popękanych dźwigarów, które spadły na niego z sufitu. Długa, cienka igła metalu wbiła się w zwój, a kiedy Burton zajrzał do niego z jednego końca, zobaczył w środku plamę krwi. W pierwszej chwili przeraził się, pewny, że jego przyjaciel nie żyje, ale zaraz uświadomił sobie, że to, co wziął za krew, było tylko pasmem przeraźliwie rudych włosów.

– Algernonie? – zawołał. – Słyszysz mnie?

– Tak – dobiegł go stłumiony, niewyraźny głos.

– Wyciągnę cię stąd, ale może to trochę potrwać. Leżysz pod kupą metalu. Jesteś ranny?

– Coś ostrego wbiło mi się w lewy pośladek. Może brzmi to cudownie, ale upewniam cię, że wcale cudowne nie jest.

– Zorganizuję pomoc najszybciej jak się da.

– A ty, Richardzie? Wyszedłeś z tego w jednym kawałku?

– Owszem, tylko mózg kompletnie mi się zbełtał. Trzymaj się. Słyszę, że ktoś nadchodzi. Być może światło go przyciągnęło.

Dobiegł go grzechot przesuwanego metalu. Pomyślał, że to może Trounce przyleciał tu rotofotelem, gdy on sam był jeszcze nieprzytomny. Ale hałas rósł, musiał być dziełem czegoś znacznie cięższego nawet od mocno zbudowanego policjanta.

Mechaniczne chwytaki zamknęły się na krawędzi szczeliny w suficie, rozdarły metal z przeraźliwym zgrzytem.

Podniósł wzrok. Zobaczył zaglądającego z góry do ładowni Isambarda Kingdoma Brunela. Ramiona po jednej stronie ciała miał pogięte i zniekształcone. Przez chwilę słychać było tylko sapanie miechów, a potem rozległ się zaskakująco delikatny głos:

– Czy ona żyje?

– Tak – odparł Burton. – Jest tylko nieprzytomna. Owinąłem ją tym materiałem, to zwiększyło jej szanse.

W ciszy mechaniczne ramiona wsunęły się w głąb ładowni, uniosły bezwładne ciało.

– Dziękuję panu, sir Richardzie. Jestem pańskim dłużnikiem.

Maszyna cofnęła się, słychać było jeszcze jej ciężkie kroki dudniące po metalu wraku, potem po ziemi, a wreszcie i one ucichły.

Podróżnik próbował zdjąć ciężar zwalony na przyjaciela.

Jakiś czas później usłyszał warkot charakterystyczny dla startu rotostatku.

– To pewnie ich laboratorium odlatuje – powiedział głośno. – Mają na pokładzie Speke’a. Ciekawe, dokąd polecą?

Minęło mniej więcej dziesięć minut, a potem zapyrkotał nadlatujący rotofotel. Burton wyszedł na dach, pomachał do detektywa inspektora Trounce’a.

Dopiero teraz poczuł, jak strasznie jest zmęczony.

– Boże! – westchnął. – W porównaniu z tym Afryka była kaszką z mleczkiem.

*** Aneks ***

A tymczasem, w epoce wiktoriańskiej...

Sir Richard Francis Burton

W 1859 roku, po zakończeniu wyprawy do krainy Wielkich Jezior Afrykańskich, John Hanning Speke pojawił się w Londynie przed Richardem Burtonem. Przywłaszczył sobie sławę odkrywcy źródeł Nilu, a gdy po kilku tygodniach powrócił i Burton, rozpoczął się między nimi gorzki spór. W następnym roku Burton objechał Amerykę, a Speke powrócił nad Wielkie Jeziora, ale nie zdobył przekonywających dowodów prawdziwości swych twierdzeń.

W roku 1861 Burton poślubił Isabel oraz przyjął stanowisko konsula na Fernando Po. Nie pozwolił młodej żonie sobie towarzyszyć i małżonkowie spotkali się dopiero w grudniu następnego roku.

Burton spełniał swe obowiązki na zżeranej chorobami wysepce do 1864 roku. W tym samym roku, we wrześniu, w siedzibie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Bath miała się odbyć debata na temat Nilu. Na dzień przed wyznaczonym terminem, w czasie polowania, Speke zginął od postrzału w bok.

Jego śmierć oznaczała punkt zwrotny w karierze Burtona. Został konsulem w Brazylii, następnie w Damaszku, a wreszcie w Trieście. Przez resztę życia zajmował się pisarstwem, a nie badaniami geograficznymi.

Królowa Wiktoria obdarzyła go tytułem szlacheckim dopiero w 1886 roku.

Burton zmarł na serce w 1890 roku. Po jego śmierci doszło do kontrowersji, gdy stało się wiadome, że Isabel spaliła wiele z jego papierów, notatników i nieopublikowanych manuskryptów.

Algernon Charles Swinburne

W roku 1866 Swinburne wywołał sensację publikacją *Poematów i ballad I* i szybko stał się enfant terrible wiktoriańskiej sceny literackiej. Choć obwołano go jednym z najlepszych poetów Anglii, alkoholizm odbił się wyjątkowo niekorzystnie zarówno na jego zdrowiu, jak i karierze. Wiele energii kosztowało go też zamiłowanie do chłosty oraz dewiacje seksualne. Cierpiał na przypadłość znaną współczesnej medycynie pod nazwą algolagnia, w której mózg interpretuje ból jako przyjemność. Krytycy są zgodni, że nigdy nie zrealizował pełni swego potencjału.

W 1879, w wieku czterdziestu dwóch lat, Swinburne przeszedł załamanie zarówno psychiczne, jak i fizyczne. Jego przyjaciel Theodore Watts odsunął go wówczas od pokus czyhających na poetę wśród londyńskiej śmietanki towarzyskiej. Resztę życia Swinburne spędził we względnej samotności. Mieszkał z Wattsem, uspokoił się, przestał buntować i darzony należnym mu szacunkiem zmarł w roku 1909.

Słowa: „...o wstydzie: nie wiemy. O cnocie: nie chcemy. O grzechu: kochamy. I to już nie jest grzech” to cytat z poematu *Before Dawn*, opublikowanego w *Poems and Ballads, First series*, *The Poems of Algernon Charles Swinburne*, 6 vols., London: Chatto, 1904.

Słowa: „Nie sny, lecz krew i żelazo stworzą naród godny przetrwania” to cytat z poematu *A Word for the Country* (niedatowany).

„Zwyciężyłeś, blady Galilejczyku,
Świat poszarzał pod twym tchnieniem,
Pijemy wody letejskie,
Żywimy się śmiertelnym uspokojeniem”.

To cytat z *Hymn to Proserpine*, przytoczony za *Poems and Ballads, First Series*.

„Jak umrzeć może ktoś tak w życiu zakochany,
Jak wściekły pies odejść, bez śladu.
Ktoś, kto kocha mniej niż nienawidzi,
Ludzkiego zła, gdy się z nim pozna.
Wszędzie i zawsze, pod tym naszym słońcem,
Żyw będzie, mimo czasu i wyroków ludzi”.

To cytat z *Thalassius* w *Songs of the Springtides*, przytoczony za *Poems and Ballads, First Series*.

John Hanning Speke

Wiele można powiedzieć o stosunku Speke’a do Burtona po ich wyprawie w krainę Wielkich Jezior Afrykańskich, w każdym razie podjęte po jej zakończeniu działania rzucają cień na jego charakter. Błędem byłoby jednak kwestionowanie odwagi Speke’a, a tak odebrał on opublikowany przez Burtona opis ataku pod Berberą. Rozkaz: „Nie cofać się! Pomyślą, że uciekamy!” nie był wycieczką osobistą. Nie ma żadnych dowodów pozwalających interpretować go w ten sposób.

Pozbawiona środków pozwalających na przemieszczanie się drogą powietrzną druga ekspedycja Speke’a do Afryki Środkowej trwała równie długo jak pierwsza. Debata na temat Nilu zaplanowała więc była na rok 1864, a nie 1861.

Oscar Wilde

Irlandzki Wielki Głód trwał od 1845 do 1852 roku. Oscar Wilde nie uciekł przed nim, nie był też sierotą ani gazeciarzem.

W dorosłym wieku został autorem sztuk teatralnych, poetą, pisarzem i budzącą liczne kontrowersje osobistością. Jego powiedzenia cytuje się po dziś dzień. Między innymi te:

„Przekazując opinie zwykłych ludzi, dziennikarstwo uświadamia nam, jak wielka jest

ignorancja społeczeństwa”.

„Samooskarżanie to luksus. Kiedy sami się winimy, nabieramy przekonania, że nikt inny nie ma prawa nas winić”.

„Jestem tak inteligentny, że czasami nie rozumiem ani słowa z tego, co mówię”.

„Moje gusta są najprostsze z możliwych. Zawsze zadowala mnie to, co najlepsze”.

„Kiedy byłem młody, sądziłem, że najważniejszą rzeczą na świecie są pieniądze. Teraz, kiedy jestem starszy, ja to wiem”.

„W dzisiejszych czasach można przeżyć wszystko z wyjątkiem własnej śmierci i przetrzymać wszystko z wyjątkiem dobrej reputacji”.

Wilde zmarł w 1900 roku.

Laurence Oliphant

Laurence Oliphant nigdy nie trzymał białej pantery jako zwierzęcia domowego. Jednakże troskliwie podtrzymywał niechęć Speke’a do Burtona.

W 1861 roku został pierwszym sekretarzem Poselstwa Brytyjskiego w Japonii. Wkrótce po objęciu tego stanowiska miał miejsce atak Japończyków na poselstwo, podczas którego został poważnie ranny, tracąc władzę w jednej ręce.

Po nieudanej próbie zrobienia kariery w parlamencie Oliphant spróbował powieściopisarstwa, w którym wykazał się pewnym talentem. Następnie dostał się pod wpływ spirytualistycznego proroka Thomasa Lake’a Harrisa. Od 1868 pracował jako prosty robotnik rolny na farmie jego sekty. Zdołał się uwolnić dopiero w 1881.

Był pisarzem do śmierci w 1888 roku.

Richard Monckton Milnes

Richard Monckton Milnes, jeden z najlepszych przyjaciół Burtona, był poetą, politykiem, patronem literatury i bibliofilem, posiadającym wielką kolekcję książek erotycznych.

Nigdy nie powiedział: „Eugenicy zaczęli nazywać swe brudne eksperymenty »genetyką«, od starogreckiego słowa *genesis* oznaczającego pochodzenie. To reakcja na prace Gregora Mendla, zakonnika augustianina, kapłana. Kapłana! Czyż można sobie wyobrazić hipokrytę większego niż kapłan ingerujący w Kreację?”.

Znaczenie prac Gregora Johanna Mendla rozpoznano dopiero na przełomie wieków, na długo po jego śmierci, a on sam stał się znany jako ojciec współczesnej genetyki.

Milnes zmarł w 1885 roku.

Isambard Kingdom Brunel

Isambard Kingdom Brunel rzeczywiście powiedział: „Jestem przeciwny wprowadzaniu zasad czy warunków obowiązujących przy konstrukcji urządzeń mechanicznych, by nie doszło do takiej oto sytuacji, że jutrzejsze udoskonalenia są krępowane lub powstrzymywane przez wprowadzenie i zapisanie jako prawa uprzedzeń oraz błędów

sentymentalnych jednostek przyjmujących, że kwestie moralne lub etyczne są nieodłączne od postępu technicznego”.

Brunel zaplanował swą „kolej atmosferyczną” jako przedłużenie linii GWR (Great Western Railway), mającej obsługiwać ruch z Exeter w kierunku Plymouth. Jeden jej odcinek obsługiwała od 1848 do 1849 roku, ale gdy szczury pożarły skórę zaworów, Brunel zrezygnował z projektu.

Nie był związany z budową londyńskiego metra, którego pierwszą linię otwarto w 1863 roku, jednakże dokończył budowę tunelu pod Tamizą, zaprojektowanego przez jego ojca, Marka Brunela. Tunel został następnie zakupiony przez konsorcjum sześciu linii kolejowych. W 1884 roku linie District i Metropolitan rozpoczęły jego eksploatację.

Brunel zaprojektował i zbudował Great Western Railway oraz wiele mostów, w tym najsłynniejszy Clifton Suspension Bridge w Bristolu. Konstruował także pasażerskie liniowce – jego dziełem jest między innymi wielki, siedemsetstopowy „Great Eastern”.

W 2002 roku BBC przeprowadziło plebiscyt na 100 najważniejszych Brytyjczyków wszech czasów. Isambard Kingdom Brunel zajął w nim drugie miejsce, po Winstonie Churchillu. Zmarł w 1859 roku.

Henry John Temple, trzeci wicehrabia Palmerston

Lord Palmerston był brytyjskim premierem w latach 1855–1858 i 1859–1865. Zmarł podczas pełnienia funkcji. Nigdy nie przeszedł operacji plastycznej.

Paul Gustave Doré

Związki tego francuskiego artysty z Londynem datują się dopiero od połowy lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Album sztychów *London: A Pilgrimage* opublikowany został w 1872 roku. Doré zmarł w 1883 roku.

Konstabl William Trounce

Nie istnieją żadne ślady świadczące o obecności konstabla Williama Trounce’a na scenie nieudanego zamachu na królową Wiktorię, przeprowadzonego w 1840 roku przez Edwarda Oxforda. Jednakże dnia 29 maja 1842 roku drugą próbę zamachu przeprowadził młody mężczyzna nazwiskiem John Francis. Wystrzelił on z pistoletu raz, po czym został ujęty przez konstabla Williama Trounce’a.

Historia nie odnotowała, co stało się z dzielnym policjantem po tym, gdy minęła krótka chwila jego sławy.

Elektrownia Battersea

Elektrowni Battersea nie zaprojektował Isambard Kingdom Brunel, nie istniała też ona w epoce wiktoriańskiej. Jej budowa rozpoczęła się w marcu 1929 roku. Stoi ona nadal, choć porzucona i zrujnowana.

Hanbury Street 29, Spitalfields

Pod tym adresem 8 sierpnia 1888 znaleziono jedną z ofiar Kuby Rozpruwacza. Okaleczone ciało Annie Chapman leżało na podwórku od tyłu.

Florence Nightingale

„Dama z lampą" nie powiedziała: „Gdy zmieniamy jakiś element zwierzęcej natury, inny jej element zmienia się sam z siebie, jakby działał jakiś system kontroli i równowagi. Czego nie potrafimy zrozumieć to fakt, że nieplanowane zmiany wydają się całkowicie bezsensowne z funkcjonalnego punktu widzenia. Zbija mnie to z tropu. Zbija to z tropu Galtona. Zbija z tropu Darwina. Możemy tylko próbować, próbować, próbować". Zrewolucjonizowała natomiast opiekę pielęgniarską i jest słusznie uważana za jedną z największych Brytyjek w historii.

Florence Nightingale zmarła w wieku dziewięćdziesięciu lat w 1910.

Henry de La Poer Beresford, trzeci markiz Waterford

Szalony Markiz nie powiedział: „Zawsze gdy stajemy przed koniecznością wyboru, a dokonujemy wyborów w każdej chwili każdego dnia, podejmujemy decyzję i wkraczamy w przyszłość zgodną z jej skutkami. Ale co z opcjami, z których zrezygnowaliśmy? Czy są jak nieotwarte drzwi? Czy leży za nimi alternatywna przyszłość? Jak daleko zboczylibyśmy z przyjętego kursu, gdybyśmy, tylko raz, wrócili i otworzyli drzwi A zamiast drzwi B?".

Henry Beresford ożenił się w 1842 roku, pozostawiając burzliwą młodość za sobą.

Zmarł po upadku z konia w 1859 roku.

Skaczący Jack

Skaczący Jack jest jednym z wielkich sekretów epoki wiktoriańskiej (i nie tylko). Pod pewnymi względami przypominający Człowieka Ćmę z Zachodniej Wirginii, ten duch, upiór, stwór czy też żartowniś pomiędzy 1837 a 1888 rokiem, a nawet w XX wieku atakował skokiem niczego niespodziewające się ofiary. Najgłośniejsze przypadki jego ataków dotyczą okresu 1837–1887, późniejsze doniesienia mogą być oszustwem, naśladownictwem lub czymś zupełnie innym.

W historii nie zapisał się żaden przypadek odwiedzin epoki wiktoriańskiej przez

podróżnika w czasie.

Podziękowania

Gdyby nie poświęcenie Emmy Barnes i Lou Anders książka ta być może nigdy nie zostałaby opublikowana. Bez pomocy i niezachwianego optymizmu George’a Manna być może nigdy nie zostałaby napisana. Bez wpływu, bez geniuszu Mike’a Moorcocka być może nigdy nie zostałaby wymyślona. Z serca im wszystkim dziękuję.

Pragnę także wyrazić wdzięczność Saladinowi Ahmedowi, który pomógł mi z arabskim, i Stephane Rouvillois, która pomogła mi z francuskim.

Podczas pracy nad książką zawsze miałem przy boku *A Rage to Live* Mary S. Lovell. Istnieje wiele biografii sir Richarda Francisa Burtona, lecz tę uważam za o niebo lepszą od wszystkich innych.

Yolando Lerma: dzięki za cierpliwość, za wsparcie i za to, że mnie żywiłaś.

I ostatnia sprawa: słynne nazwiska wymienione w książce to nazwiska bohaterów narodowych, stale obecnych w świadomości Brytyjczyków. Pisząc tę powieść, żartobliwie, lecz bezlitośnie podeptałem ich reputację, tworząc ludzi, którymi z całą pewnością nie byli. Uczyniłem to, doskonale wiedząc, że cokolwiek bym zrobił, ich pozycja i sława nie ucierpią w najmniejszym nawet stopniu.

O autorze

Mark Hodder pisał dla BBC, był redaktorem, dziennikarzem, twórcą witryn internetowych, pracował we wszystkich tradycyjnych i elektronicznych mediach Londynu. Niemal całe jego zawodowe życie jest związane z tym miastem.

Jest twórcą oraz opiekunem witryny BLAKIANA (*www.sextonblake.co.uk*), skarbnicy wiedzy i prawdziwej mekki fanów Sextona Blake'a, fikcyjnego detektywa, najgłośniejszej postaci w historii angielskiego przemysłu wydawniczego.

Legitymuje się tytułem naukowym z kulturoznawstwa. Jest wielbicielem historii Wielkiej Brytanii (przede wszystkim okresu od 1850 do 1950 r.), dobrej kuchni, najnowszych gadżetów, kultowej telewizji (ITC rządzi!), Toma Waitsa i całego mnóstwa innych dziwactw.

Od 2008 roku mieszka w Walencji. Jak wyjaśnia, przeprowadził się tam, uciekając od stresu i w poszukiwaniu klimatu sprzyjającego pisaniu powieści. Trafił idealnie – jego literacki debiut, pierwszy tom serii *Burton i Swinburne*, uhonorowany Nagrodą Philipa K. Dicka, to jedno z najgłośniejszych wydarzeń literackich 2011 roku w Wielkiej Brytanii.

Oparty o pień palmy, z pasją wystukujący na klawiaturze laptopa kolejne wersy swoich książek – takim widzi się Marka najczęściej.

COPYRIGHT © BY Mark Hodder
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2012
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Krzysztof Sokołowski, 2012

TYTUŁ ORYGINAŁU The Strange Affair of Spring Heeled Jack

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-603-7

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Magdalena Zawadzka

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Jon Sullivan

REDAKCJA Ewa Białołęcka

KOREKTA Piotr Pawlik, Celina Nikolska

SKŁAD Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA fabryka ponad normę .pl

firma księgarska fk JaK Olesiejuk
ZAMÓWIENIA HURTOWE
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

fabryka słów
WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Steam opera najwyższej próby. Szybka, skomplikowana akcja i pomysłowość, która nigdy nie zawodzi! Książka Hoddera ze strony na stronę staje się lepsza. Tak dobrego debiutu nie czytałem od lat.

MICHAEL MOORCOCK,
genialny anarchista brytyjskiej fantastyki

Obfitująca w świetne pomysły i pełna werwy książka przygodowa w starym pulpowym stylu. Po mistrzowsku skonstruowana fabuła uhonorowana NAGRODĄ

PHILIPA K. DICKA.

LONDYN, 1861.

SIR RICHARD FRANCIS BURTON.
Badacz, lingwista, naukowiec, fechtmistrz. Nadszarpnięta reputacja, kariera w gruzach.

GDY JEDEN CZŁOWIEK ZMIENIA HISTORIĘ, HISTORIA ZMIENIA NAS **WSZYSTKICH.**

ALGERNON CHARLES SWINBURNE.
Młody, obiecujący poeta spragniony mocnych wrażeń, wyznawca markiza de Sade'a. Ból jest dla niego rozkoszą, brandy – ruiną.

MŁODZIUTKA KRÓLOWA WIKTORIA GINIE z ręki zamachowca, a na tronie zasiada książę Albert. Imperium targają sprzeczne siły. Oto wiek triumfu inżynierii i eugeniki. Ulicami przetaczają się parowe powozy, śmigają dymiące welocypedy, na niebie klekocą rotofotele. Dyszą sztucznie wyhodowane megalkonie. Libertyni na przekór represyjnemu prawu śnią o społeczeństwie zbudowanym na fundamencie piękna, a hulacy przesuwają dopuszczalne granice ludzkich zachowań dzięki magii, narkotykom i anarchii.

Burton i Swinburne na prośbę z Downing Street 10 podejmują się rozwiązania zagadki upiornego **SKACZĄCEGO JACKA**, szaleńca atakującego młode kobiety. Trop wiedzie ich wprost w cuchnące slumsy East Endu, gdzie okrutne wilkołaki terroryzują londyńską biedotę. **PRZYPADEK CZY COŚ WIĘCEJ?**

A MOŻE TO WSZYSTKO, rzeczywistość, w której Charles Darwin zabił Boga, TO WYNATURZENIE? Może BURTON I SWINBURNE są obywatelami świata, który w ogóle nie powinien istnieć?

fabrykaslow.com.pl

fantastyka obca